



**SALLY BEAUMAN**



**KOCHANKOWIE I KŁAMCY**

**Cz. 2**

## XXI

Gini wyszła z domu o ósmej trzydzięci. Pojechała na południe, w kierunku redakcji „News”, przedzierając się przez korki, przeklinając zatłoczone ulice i czerwone światła. Jeśli zdoła dotrzeć do redakcji koło dziewiątej, ma szansę złapać Nicholasa Jenkinsa, zanim rozmaite kryzysy odetną jego gabinet od reszty świata. Podczas rozmowy z nią i Pascalem Jenkins nie był całkowicie szczery, nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Musiał powiedzieć komuś jeszcze, że zleca im tę sprawę, może na przykład Daichesowi. Zaczęła się też zastanawiać, czy przypadkiem Jenkins nie wygadał się przed Appleyardem, a w pewnej chwili przyszło jej nawet do głowy, że może pierwotnym źródłem całej historii był właśnie Appleyard, nie McMullen. Była to dość logiczna hipoteza - Jenkins bardzo często przypisywał sobie czyjeś zasługi i osiągnięcia, i zawsze dość entuzjastycznie reagował na podrzucone przez Appleyarda pomysły. Gini wiedziała, że Jenkins i Appleyard kilkakrotnie kontaktowali się w ciągu minionych miesięcy. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że obie sprawy - i Hawthorne'a, i seksu przez telefon - trafiły do niej w tym samym tygodniu.

Gdy zatrzymała się na czerwonym świetle przy barbakanie, pamięć natychmiast podsunęła jej paskudny, przerażający obraz nieżyjącego od dwóch tygodni Appleyarda. Zamknęła oczy, usiłując się go pozbyć. Stojący za nią kierowca nacisnął klakson - światło zmieniło się na zielone. Gini ruszyła. Na przednią szybę gęsto posypały się krople deszczu. Włączyła wycieraczki i światła. Był ciemny, zimny i mokry ranek, zapowiadający mroczny, ponury dzień.

Appleyard, pomyślała. Appleyard, który od zawsze był ulubionym plotkarzem Jenkinsa... Musiał istnieć jakiś związek między Appleyardem i sprawą Hawthorne'a, była o tym głęboko przekonana. Ale jaki?

Na piętnastym piętrze Charlotte, główna sekretarka Jenkinsa, tkwiła już za biurkiem, a pod jej czujnym okiem pracowały dwie asystentki. Drzwi gabinetu naczelnego były zamknięte. Znużona Charlotte poinformowała Gini, że najprawdopodobniej pozostaną zamknięte do końca dnia. Jenkins konferował ze swoim totumfackim, Daichesem, a za dwie godziny obaj mieli spotkanie z właścicielem

„News”, lordem Melrose'em. Zdaniem Charlotte, lord Melrose odziedziczył prasowe imperium ojca, ale nie jego talent. Opinia ta była prawdopodobnie uzasadniona, gdyż to właśnie Charlotte pełniła rolę tarczy Jenkinsa, kiedy Melrose odwiedzał redakcję w jednym z nieczęstych ataków zainteresowania swoimi gazetami.

- Melrose znowu robi fale - powiedziała. - Coś pieprznięło podczas weekendu, nie pytaj mnie, co. I nie zbliżaj się do Nicholasa, nawet nie próbuj, w porządku? - rzuciła Gini tajemniczy uśmiech. - Możesz omówić z nim wszystko dzisiaj wieczorem.

- Dzisiaj wieczorem?

- Przed chwilą goniec przyniósł to dla ciebie. - Wręczyła Gini dużą kopertę z grubego kredowego papieru. - Ja już wiem, co to jest. Osobista asystentka lorda Melrose dzwoniła do mnie w tej sprawie dokładnie o siódmej trzydzieści rano...

Gini otworzyła kopertę. Wewnątrz znajdowało się drukowane zaproszenie na uroczystą kolację, wydawaną przez Stowarzyszenie Wydawców Gazet. Prezesem Stowarzyszenia był obecnie lord Melrose. Przyjęcie miało odbyć się w hotelu Savoy, a gościem honorowym i głównym mówcą miał być Jego Ekscelencja Ambasador Stanów Zjednoczonych, John Hawthorne. „Prawo do prywatności a prasa” - tak brzmiał temat zapowiedzianego w zaproszeniu wykładu. U góry, pięknymi, pochyłymi literami, wypisano imię i nazwisko Gini.

- Przysłano to z biura lorda Melrose'a? - zapytała po chwili namysłu.

- O, tak, na polecenie samego wielkiego człowieka... - Charlotte zmrużyła oczy. - Co ty wymyśliłaś? Nie wiedziałam, że przestajesz z wielkimi i sławnymi tego świata...

- Bo nie przestaję, w każdym razie niezbyt często... Gini jeszcze raz przyjrzała się zaproszeniu.

Doskonale wiedziała, kto się o nie wystarał - John Hawthorne. No, no, no... W tych okolicznościach z zainteresowaniem wysłucha jego poglądów na temat prawa do prywatności i na temat prasy...

- Nicholas wie o tym. - Charlotte się uśmiechnęła. - O mało nie wyszedł z siebie z ciekawości. Mówi, że możesz pojechać jego samochodem. Tylko nie zapomnij, że jesteś zaproszona, moja droga. Nicholas przyjedzie po ciebie o siódmej trzydzieści. Mogę mu powiedzieć, że będziesz czekała?

- Jasne.

Drzwi do gabinetu Jenkinsa otworzyły się i do sekretariatu wkroczył Daiches, obrzucając Gini chłodnym spojrzeniem. Charlotte, która siedziała tyłem do drzwi, posiadała chyba zdolność wyczuwania jego obecności plecami, bo w tej samej sekundzie zwróciła się twarzą do komputera i zaczęła pisać. Daiches podszedł do Gini, lekko uśmiechnięty.

- I cóż tam, moja droga? - zagadnął, zmierzając u jej boku w kierunku windy. - Podobno masz nowego przyjaciela w osobie samego lorda Melrose'a, ni mniej, ni więcej. Serdeczne gratulacje. Ta przyjaźń powinna pozytywnie wpłynąć na twoją przyszlą karierę. Przyjaciele na odpowiednio wysokich stanowiskach - oto tajemnica sukcesu każdej dziennikarki...

- Och, odpieprz się! - warknęła Gini. Daiches uśmiechnął się szerzej.

- Język, moja droga, uważaj na język! Kto by pomyślał, przecież zwykle jesteś taka uprzejma... Jedziesz na dół? Ja również. Jak to miło...

Wszedł do windy razem z Gini, niosąc pod pachą gruby plik papierów. Odwrócił się do niej i wolną ręką wskazał jeden z faksów.

- Johnny Appleyard nie żyje - powiedział. - Słyszałaś o tym? Wiadomość przysłał nasz wolny strzelec z Rzymu. Morderstwo, wyobrażasz sobie?

Gini zerknęła na faks. Podane w nim szczegóły zabójstwa były niedokładne, miejscami wręcz niezgodne z prawdą. Nie zareagowała.

- Ktoś zabił Appleyarda i tego facecika, który z nim mieszkał... Jak on miał na imię?

- Chyba Stevey.

- Tak, Stevey. - Daiches pokiwał głową. - Wieśniak ze śliczną buzią. Obaj byli związani, masz pojęcie? Pachnie mi to jakimś zbrodnicem albo zdecydowanym przeciwnikiem homoseksualizmu. To straszne, jaki nietolerancyjny jest ten nasz zły świat...

- Daj sobie siana.

Daiches rzucił jej długie spojrzenie bladych oczu.

- Cóż, morderstwo to morderstwo... - zauważył, przekładając kartki. - Zawsze jednak jakaś wiadomość, prawda? Zajmie ze dwie kolumny, więc nie można tego zupełnie lekceważyć...

Dotarli już do piętra, na którym znajdował się dział reportażu. Gini z westchnieniem ulgi wyszła z kabiny, lecz Daiches przytrzymał drzwi.

- Sekundkę, moja droga... - Uśmiechnął się słodko. - Nie zapomniałaś chyba o seksie na telefon, co? Nicholas zlecił ci to w ubiegły piątek, prawda? Muszę dostać ten tekst, i to szybko.

- Kiedy?

- Najpóźniej pod koniec tygodnia.

- To niemożliwe.

- Więc dołóż wszelkich starań, żeby stało się możliwe - powiedział Daiches łagodnym niebezpiecznym tonem. Drzwi windy zaczęły się zamykać. - Tekst ma być na moim biurku w piątek, do trzeciej po południu! - zawołał. - Na moim biurku, pamiętaj!

W dziale reportażu Gini jeszcze raz przejrzała swoje notatki. Wzięła długopis, czystą kartkę papieru i zamyśliła się. Czas na listę zadań, pomyślała i zaczęła pisać.

1) *Odnaleźć McMullena. Zadzwoń do jego college'u w Oksfordzie.*

*Porozmawiać z Jeremym Prior-Kent.*

2) *Odnaleźć Lornę Munro i porozmawiać z nią.*

3) *Dowiedzieć się, gdzie można wynająć blondynkę z wysokimi kwalifikacjami.*

*W agencji towarzyskiej?*

4) *Appleyard - ustalić ewentualne powiązania z bieżącą sprawą i seksem na telefon.*

5) *Porozmawiać o szyfrach z przyjacielem Mary od krzyżówek.*

Pierwsze dwa zadania były proste. Zadzwoń do college'u Christ Church i bardzo szybko dowiedziała się, że opiekunem McMullena był dziekan wydziału historii, którego nazwisko było jej dobrze znane - doktor Anthony Knowles, wybitny naukowiec, ale także człowiek o reputacji cyrkowego sztukmistrza, gwiazdor programów telewizyjnych, pupil publiczności i autor popularnonaukowych tekstów dla gazet. Ku zaskoczeniu Gini, udało jej się nawet zamienić parę słów z samym

Knowlesem, który okazał się bardzo sympatyczny i rozmowny. Udzielił jej sporo informacji o krótkiej karierze McMullena w Oksfordzie, lecz nie miał pojęcia, gdzie może znajdować się teraz jego dawny student.

- Szczerze żałuję, że nie mogę pani pomóc, moja droga. W przeszłości James wpadał do mnie, kiedy czasami przejeżdżał przez Oksford, co zawsze sprawiało mi ogromną radość. Był jednym z moich najlepszych studentów, wyjątkowo bystry umysł... Niestety, w ciągu ostatniego roku nie dał znaku życia. Zaraz, zaraz, kto mógłby wiedzieć, co się z nim dzieje... Ach, mam! W grupie Jamesa był dość głupawy młody człowiek, mieli pokoje na tym samym piętrze... Wydaje mi się, że nie stracili ze sobą kontaktu. Jak on się nazywał? Jeremy... Jeremy jakiś tam...

- Jeremy Prior-Kent? - podsunęła Gini.

- Tak jest, to ten. Bardzo mi przykro, ale muszę już kończyć rozmowę... Zajęcia czekają...

Gini zadzwoniła do firmy Prior-Kenta w Soho. Jego sekretarka powiadomiła ją, że szef, niestety, zmienił plany i wróci do Londynu dopiero w czwartek późnym wieczorem. On i jego człowiek od scenografii szukają miejsc nadających się na plan filmowy w Kornwalii, więc w żaden sposób nie można się z nimi skontaktować...

Sądząc po tonie sekretarki, można by przypuszczać, że Kornwalia to Sahara, a Jeremy Prior-Kent jest producentem filmowym formatu Cecila B. de Mille'a.

- Naturalnie, jeżeli pan Kent zadzwoni do biura, niezwłocznie przekażę mu pani wiadomość - oświadczyła sekretarka. - Dzwoni pani z redakcji „News”, tak? Jeśli to pilne...

- Bardzo pilne.

- Więc może uda mi się wyszperać dla pani jakieś malutkie okienko w piątek... Zaraz zajrzę do terminarza pana Kenta, chwileczkę...

- Okienko? Dziękuję bardzo.

W czasie długiej przerwy w rozmowie, która nastąpiła w tym miejscu, Gini przejrzała spis firm zajmujących się produkcją filmową. Firma Kenta, Salamander Films, kręciła głównie reklamy telewizyjne i krótkie filmy dokumentalne; o filmach fabularnych krótki opis nie wspominał ani słowem. Mają okienka i szukają miejsc nadających się na plan filmowy w Kornwalii, pogardliwie pomyślała Gini. Pre-

tensjonalni idioci... Ciekawe, dlaczego wszyscy ludzie związani z biznesem filmowym, nawet ci stojący najniżej w hierarchii, są właśnie tacy?

- O dwunastej w piątek - obwieściła sekretarka. - To jego jedyne okienko, zaraz potem ma ważny lunch. Może spotka się z nim pani w klubie Groucho? To tuż za rogiem, więc będzie mu wygodnie...

- Bardzo dziękuję. Na szczęście ja też mam okienko w piątek o dwunastej. Niech będzie Groucho...

Gini odłożyła słuchawkę, przerywając jęśliwe prośby dziewczyny, żeby wcześniej potwierdziła spotkanie, i wybierając numer hotelu w Rzymie, w którym zatrzymała się Lorna Munro. Był to jej szósty telefon do modelki. Bez specjalnego zdziwienia przyjęła wiadomość, że Lorna Munro wyjechała. Na szczęście w recepcji hotelu zostawiła kontakt, numer francuskiego magazynu mody. Gini przez piętnaście minut gimnastykowała swój zardzewiały francuski, lecz w końcu dowiedziała się, że Lorna Munro przebywa teraz w Paryżu. Natychmiast zadzwoniła do Pascala. Dochodziła dziesiąta, godzina, o której i tak miała do niego zatelefonować. Słuchawkę podniosła Helen Lamartine. Ku zaskoczeniu Gini, głos Helen brzmiał miło i całkiem przyjaźnie.

- Marianne? - odezwała się w odpowiedzi na pytanie Gini. - Och, dziękuję, dziś rano czuje się już znacznie lepiej, można powiedzieć, że jest rekonwalescentką... Przez najbliższą dobę musimy ją uważnie obserwować, ale wszystko wskazuje na to, że penicylina podziałała. Chwileczkę, Pascal jest w drugim pokoju... Pascal, telefon z Londynu! Z pracy...

Czekając na głos Pascala, Gini zapatrzyła się w przestrzeń. To „my”, które padło z ust Helen, mocno ją zabolowało.

Brzmiała w nim dawna małżeńska bliskość. Nawet jeżeli jego małżeństwo było nieszczęśliwe, to w porównaniu z nim więzi łączące ją i Pascala wydawały się słabe, prawie nieistniejące... Ogarnęły ją złe przeczucia, lecz wszystko minęło w chwili, gdy w słuchawce rozległ się głos mężczyzny, którego kochała.

Szybko powiedziała mu o Lornie Munro, która miała być w Paryżu do następnego dnia. Lorna pozowała do zdjęć w sukniach domu mody Gaultier dla



magazynu „Elle”, nie w studio fotograficznym, lecz pod kościołem St Germain, na lewym brzegu Sekwany.

- Doskonale - rzekł Pascal. - Zajmę się tym. Marianne czuje się dużo lepiej, więc nawet nie zauważy, jeśli wymknę się na jakieś dwie godziny... - przerwał. - Gorączka nadal trochę skacze, więc powinienem zostać tu jeszcze jeden dzień, by upewnić się, że wszystko z nią w porządku... Przylecę jutro... - W jego głosie zabrzmiała prawdziwa czułość. - Tęsknię za tobą, wiesz?

- Ja także...

- Powiedz mi jeszcze tylko, czy wczoraj wieczorem wszystko było w porządku, kochanie...

Gini się zawahała. Miała ochotę powiedzieć mu, że nic nie było w porządku, opowiedzieć mu o dziwnej pocztówce, krokach, wyłączeniu prądu, ciemności i tym okropnym głosie, szepczącym obsceniczne rzeczy, ale czuła, że lepiej z tym poczekać.

- Tak - rzekła pośpiesznie. - Widziałam się z Lise, jak już ci mówiłam... Było to bardzo dziwne. Mam ci dużo do opowiedzenia, wyjaśnię wszystkie szczegóły, kiedy się spotkamy. Teraz załatwiam różne drobne sprawy, a wieczorem muszę iść na jakieś wielkie redakcyjne przyjęcie, z Jenkinsem.

- Wiesz, o co mieliśmy go zapytać...

- Wiem. Nie wiem tylko, czy raczy odpowiedzieć, bo to już zupełnie inna sprawa. Na razie skupiłam się na powiązaniach z Appleyardem...

- To znaczy?

- Jeszcze nie wiem, ale jestem pewna, że jakieś powiązania istnieją. Czuję, że ma to coś wspólnego z kobietami i ze sposobami wynajmowania dziewczyn, które świadczą usługi seksualne.

Kiedy Appleyard podrzucił Jenkinsowi pomysł tekstu o seksie przez telefon, wymienił trzy firmy, których głównym źródłem dochodów było zakładanie takich linii telefonicznych oraz produkcja nagrań. Pierwsze dwie okazały się dokładnie takie, jak przypuszczała Gini - małe i raczej niezbyt dochodowe, w każdym razie pozornie. Jedna miała obskurne biuro przy bocznej uliczce w Hackney, druga, działająca także jako firma wynajmująca minivany do przewozu rzeczy, okazała się być interesem rodzinnym, prowadzonym przez matkę i córkę. Jednopokojowe biuro tej drugiej znaj-



dowało się tuż za dworcem kolejowym King's Cross, w dzielnicy czerwonych lamp. Matka, kobieta o twardej, niechętnej twarzy, mówiła niewiele, natomiast córka, gruba dziewczyna w obcisłych legginsach z dzianiny z lycrą, który to strój w jej przypadku nie był najlepszym wyborem, buntowniczym tonem długo tłumaczyła Gini, że ta praca daje łatwe pieniądze i że znalezienie kobiet do nagrań nie stanowi problemu.

- Co by pani wołała, siedzieć w domu z magnetofonem i scenariuszem, czy robić numerki z jakimś tłustym brudasem w samochodzie zaparkowanym za stacją benzynową? - Wskazała widoczną przez okno stację benzynową z rozciągającym się za nią pustym placem. - No, co by pani wołała? - powtórzyła drwiąco. - Pięć gwinei za obciążanie ręką w ciemnej alejce, może to? My obie, mama i ja, dbamy o nasze dziewczęta. A jeżeli koniecznie chce pani wiedzieć, to ja piszę te teksty, tak, ja... Wszystko jak najbardziej legalnie i uczciwie. Teraz proszę spadać, nie mam czasu.

Gini usłuchała bez chwili wahania. Zajęła się trzecią wymienioną przez Appleyarda firmą i kiedy zobaczyła, że jej siedzibą jest piękny, duży dom w Fulham, zamieszkanym przez zamożne, dobre rodziny, jej nadzieje wzrosły. Jeżeli można było mieć zaufanie do pomysłów Appleyarda, jeżeli za tymi firmami rzeczywiście stał ktoś wpływowy, to właśnie tu mogła się czegoś o nim dowiedzieć.

Drzwi otworzył jej ktoś, kogo spodziewała się w takim miejscu - bardzo modnie ubrany młody człowiek ze złotą bransoletą na ręku. Miał na imię Bernie i okazał się idealnym rozmówcą - gadatliwym, obeznanym z biznesem, zachwyconym, że może udzielić wywiadu i zupełnie nieprzywykłym do kontaktów z prasą.

Była pora lunchu, więc Bernie przychylnie zareagował na zaproszenie na drinka.

- Co mam do stracenia? - zapytał, mierząc Gini wzrokiem. - Gdybym zaczął opowiadać co ciekawsze historie... A wszystko to jest absolutnie legalne, rozumiesz? No, bo niby komu to może zaszkodzić, nie? Mamy pozwolenie, specjalną licencję... - Mrugnął znacząco. - Licencję na drukowanie pieniędzy... Tylko tego nie pisz.

Zaprowadził Gini do baru na rogu Fulham Road, pełnego kobiet, które nadal nosiły na szyjach aksamitne opaski rodem z lat siedemdziesiątych i mówiły piskliwymi, histerycznymi głosami. Gini zamówiła szampana z wiśniowym likierem, po pięć funtów za szklanekę - wybór Berniego.

Wystarczyło kilka pytań na rozgrzewkę i Bernie wystartował jak rakieta. Najpierw wyjaśnił Gini kilka rynkowych zasad, rządzących tym biznesem.

- Ja tam widzę to tak: co sprawia, że świat się kręci? Seks. Co jest jedynym towarem, który zawsze możesz sprzedać? Seks. W jaki sposób możesz miło i bezpiecznie korzystać z seksu, nie obawiając się zarażenia AIDS i innymi pa-skudztwami? Przez telefon. Dlatego ten biznes ma wielką przyszłość - to możesz zacytować, oczywiście za autorem...

Bernie gadał jak najęty, a Gini słuchała go tylko jednym uchem. Wcześniej pracowała już nad sprawami, które wymagały wejścia w strefę czerwonych lamp. Potrzeby, jakie zaspokajali ludzie trudniący się tym biznesem, były intensywne i rozliczne, a asortyment usług bogaty i zróżnicowany: dziewczyny na ulicy, dziewczyny na telefon, agencje towarzyskie, modelki, czasopisma, kluby ze striptizerkami, peep-showy, linie telefoniczne, książki, kasety video. Było to prawdziwe imperium, w którym każdy nie usatysfakcjonowany, niezależnie od orientacji i upodobań seksualnych, mógł znaleźć coś dla siebie. Bernie z przyjemnością wytłumaczył Gini, że wszystkie rozwijające się gałęzie biznesu wymagają poświęcenia, a niektórzy amatorzy, zajmujący się seksem na telefon, nie mogli tego zrozumieć.

- Trzeba zbudować sobie wyraźną osobowość rynkową - oświadczył, popijając drugiego szampana z likierem. - I my już ją mamy. Musisz brać pod uwagę bardzo różne gusty. Na przykład, nasza firma zatrudnia dziewczyny, które opowiadają, jak wiążą klienta, jak dają mu klapsa w tyłek - nie pytaj mnie, dlaczego, ale numery z klapsami cieszą się wielką popularnością. Czarne dziewczyny, Szwedki, francuskie pokojówki... Oczywiście, że to przewidywalne, nie musisz mi tego mówić... Sprawa jest prosta - nasi klienci nie czekają na niespodzianki, oni chcą dostać towar, który ich kręci, i tyle. Blondynki, brunetki, rude... Naturalnie mamy też seks przez telefon dla gejów. Numery z dziewicami i z dziwkami. Dziwki dużo gadają, werbalizują seks, rozumiesz? Dlatego jest na nie duże zapotrzebowanie. Wielu klientów ma specjalne wymagania anatomiczne, dlatego mamy numery z nóżkami i tyłeczkami. No i oczywiście bestseller nie do pobicia...

- To znaczy?

- Piersi. - Bernie przewrócił oczami i wykonał kilka okrągłych gestów dłońmi. -  
Duże piersi...

Westchnął. Wszystko wskazywało na to, że możliwość tak łatwego przewidzenia pragnień klientów jest dla niego poważnym rozczarowaniem.

- Ile linii osobiście nadzorujesz? - zapytała Gini.

- Ja? Osiemdziesiąt sześć. Ta liczba rośnie z każdym tygodniem.

- To naprawdę bardzo dużo... Pozwól, że zamówię ci jeszcze jednego drinka...

Tak jak liczyła, trzeci drink jeszcze bardziej rozluźnił Berniego, który teraz był gotów gadać bez przerwy. Delikatnie nakierowała go w pożądanym kierunku - kto stoi za firmą i czy poza seksem przez telefon świadczy ona jeszcze jakieś usługi? Kwestię swoich pracodawców Bernie potraktował w wyjątkowo ostrożny sposób.

- Bez nazwisk, w porządku? Powiedzmy po prostu, że pracuję dla bardzo bystrego szefa...

Do pytania o inne sfery działań szefa podszedł ze znacznie mniejszą czujnością. Dyskrecja szybko przegrała z potrzebą chwalenia się. Najpierw tylko zasugerował, a potem potwierdził, że seks przez telefon to czubek góry lodowej i że dla przedsiębiorczego młodego człowieka istnieje w firmie wiele możliwości zrobienia kariery. Schody na szczyt już czekają. Firma Berniego prowadziła również agencję towarzyską - wysokiej klasy agencję, pośpiesznie dodał Bernie, z najwyższej klasy dziewczynami i możliwością regulowania należności kartami kredytowymi. Ostatnio powstało też studio nagrań filmowych, gdzie produkuje się nie ohydne kasety porno, w żadnym razie nie chciałby, żeby Gini odniosła takie wrażenie, ale filmy edukacyjne, w stu procentach legalne, bardzo wyraziste, jeśli chodzi o formę przekazu, konsultowane przez lekarzy seksuologów i terapeutów, sprzedawane w najlepszych sklepach i najlepszych dzielnicach. Najnowsza oferta firmy, *Matżeńska miłość II*, w ciągu sześciu tygodni sprzedała się w liczbie siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy egzemplarzy.

Gini wyraziła odpowiedni podziw.

- To fascynujące! Naprawdę chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o twojej firmie, zwłaszcza o agencji towarzyskiej... Myślisz, że zechcą tam ze mną porozmawiać?

- Jasne, jeżeli pójdę z tobą. Agencję prowadzi Hazel, moja najlepsza kumpela. Chcesz pojechać tam teraz?

- A znajdziesz na to czas?

- Jasne, czemu nie? - Bernie uśmiechnął się łaskawie i z pewnym trudem dźwignął się na nogi.

Agencja towarzyska i studio nagrań filmowych znajdowały się w Shepherd's Bush. Agencja, o zachęcającej nazwie „Znajomości na wysokim poziomie”, okazała się zaskakująco elegancka. Drugie drzwi obok wejścia, nieoznaczone żadną tabliczką, prowadziły do urządzonego w piwnicy studia. Bernie wskazał drzwi kciukiem.

- Nie uwierzyłabyś, jaki mają sprzęt - powiedział. - Trzy zestawy kamer, najnowocześniejsze urządzenia dźwiękowe, obrotową scenkę za co najmniej siedemset pięćdziesiąt tysięcy... Teraz nagrywają, więc nie da się tam wejść. Szkoda. Studio z prawdziwego zdarzenia, absolutnie profesjonalne - na pewno zrobiłoby na tobie wrażenie...

Otworzył drzwi agencji i wprowadził Gini do środka. Hazel, wysoka, dobrze zbudowana ruda dziewczyna, siedziała przy biurku między szafkami na dokumenty, telefonami i kosztownymi bukietami oraz koszami kwiatów, i malowała sobie paznokcie wiśniowym lakierem. Miała koło trzydziestki, zielone oczy i zieloną sukienkę. Wyraźnie ucieszyła się na widok Berniego, który serdecznie ją uściskał i ucałował.

- Oooch... - jęknęła. - Strasznie cuchniesz, Bernie! Znowu piłeś szampana z likierem? Napijcie się kawy? Ja konam z pragnienia. Gini? To naprawdę żaden kłopot, we wtorki zwykle działamy na zwolnionych obrotach...

Podobnie jak Bernie, Hazel nie miała nic przeciwko rozmowie z przedstawicielką świata prasy. Okazało się, że jest stałą czytelniczką „News”, a została nią dlatego, że ciekawiły ją wywiady ze znanymi osobistościami, jakie kiedyś robiła Gini.

Gini uchyliła rąbka kilku nieszkodliwych tajemnic zawodowych, co natychmiast zapewniło jej przychyłność Hazel. Młoda kobieta podała gościom kawę, wróciła na swoje krzesło za biurkiem i mrugnęła do Berniego.

- Część tych nazwisk nie jest nam obcych, prawda, Bernie? - zagadnęła. -  
Mamy tutaj wiele staw, Gini, możesz mi wierzyć. Gwiazdy filmowe, arabscy książęta,  
najbogatsi biznesmeni - cóż, więcej nie mogę ci powiedzieć... Musimy być dyskretni.  
Oczywiście, jesteśmy agencją towarzyską, nie żadną inną. - Hazel zmrużyła oczy. -  
Klient dostaje tylko to, co widzi, nic więcej. Nasze dziewczyny, bardzo piękne, niektóre  
inteligentne, towarzyszą klientom przy różnych okazjach, prowadzą lekką rozmowę,  
mogą zjeść z nim kolację... To wszystko, nie świadczą żadnych dodatkowych usług,  
surowo przestrzegamy tej zasady.

- Naturalnie - przytaknęła Gini. - Jakie macie stawki?

- Wszystko zależy od dziewczyny. Za czas od ósmej do północy liczymy  
dwieście pięćdziesiąt funtów, za cztery godziny łącznie. Po północy przechodzimy na  
stawkę godzinową. Nasze ekstra dziewczyny dostają premię. Dwie najlepsze zwykle  
zarabiają minimum pięćset funtów za noc.

- Mnóstwo pieniędzy...

- Osiemdziesiąt procent dla dziewczyny, dwadzieścia dla agencji... - Hazel  
przerwała i zerknęła na Berniego. - Potem, jeżeli klient i dziewczyna chcą się umówić  
prywatnie, to już ich sprawa... Głównie sprawa dziewczyny, prawda?

Gini doszła do wniosku, że najwyższy czas przejść do rzeczy.

- Interesują mnie przede wszystkim klienci - powiedziała. - Bernie mówił mi  
wcześniej, że w swojej dziedzinie, seksu przez telefon, musi brać pod uwagę rozmaite  
upodobania. U ciebie na pewno jest podobnie... Trafiają się mężczyźni, którzy wolą  
blondynki, są wielbicielami brunetek, i tak dalej, rozumiesz, o co mi chodzi...

- Jasne! - Hazel sięgnęła po leżący na biurku duży katalog. Otworzyła go i  
podsunęła Gini. - Właśnie tak klasyfikujemy dziewczyny, według koloru włosów,  
widzisz? Przekonaliśmy się, że taki podział jest najlepszy. Co jakiś czas zdarza się  
klient o szczególnych wymaganiach. Pamiętasz tego, który lubił Irlandki, Bernie? Był  
bardzo miłutki, lubiłam go. Mówił, że woli Irlandki, bo uwielbia ich akcent...

Gini przewracała kartki katalogu, dość podobnego do katalogów ze zdjęciami  
modelek, które parę dni wcześniej pożyczyła od Lindsay. Wiele kobiet z tego katalogu  
śmiało mogłoby zresztą być modelkami. Ani Hazel, ani Bernie nie przesadzili -  
wszystkie dziewczyny były młode i atrakcyjne, żadna nie wyglądała na tanią czy

wulgarną. Blondynki, brunetki i rude umieszczono w trzech rozdziałach. Pod zdjęciami wydrukowano podstawowe informacje - wzrost, wymiary dziewczyny, a także imiona, najprawdopodobniej pseudonimy. Uwagę Gini zwrócił fakt, że większość kończyła się na „y”. Tylko wśród blondynek były Nicky, Lucky, Vicky oraz Suzy, dziewczyna o wyjątkowo pięknej, urokliwej twarzy.

- Oczywiście macie stałych klientów - odezwała się. - Czy niektórzy z nich umawiają się z dziewczynami regularnie, raz na tydzień, raz na miesiąc lub tak jakoś? Bernie się roześmiał.

- Co tydzień? Przy naszych stawkach? Chyba żartujesz! Nie mamy wielu takich chętnych, prawda, Hazel?

- Nie, za to sporo takich, którzy odzywają się co miesiąc. - Hazel zrobiła zabawną minę. - Kilku umawia się z dokładnością co do dnia i godziny, jak w zegarku... Widać, że trudno by im było żyć bez tej małej przyjemności...

- Może jest to dla nich coś w rodzaju rytuału - podsunęła Gini. - Nie mieliście kiedyś takiego wrażenia? Na przykład, klient umawia się zawsze w piątek o dwudziestą, w tym samym miejscu... Nie sądzicie, że niektórych mogłoby to podniecać?

Hazel rzuciła jej uważne spojrzenie.

- Masz dobry instynkt, wiesz? Nie szukasz przypadkiem pracy? - westchnęła. - Przychodzi do nas wielu takich mężczyzn, skarbie. W zeszłym roku mieliśmy faceta - nie wymienię nazwiska, bo jest więcej niż znane - który świrował na punkcie czerwonego koloru. Każda dziewczyna, którą mu posyłaliśmy, musiała wkładać czerwoną sukienkę. A pamiętasz tego Japończyka, Bernie? Miał kompletnego fioła, jeśli chodzi o stopy. Nie interesował go kolor włosów, figura, twarz, tylko stopy. Raz wysłaliśmy do niego dziewczynę z polakierowanymi paznokciami stóp. Japończyk wpadł w szal... - Hazel wzniosła oczy do góry. - Ach, ci faceci... Są strasznie dziwni, mówię ci...

Gini uznała, że filozoficzne rozważania nie zaprowadzą jej zbyt daleko i szybko wróciła do tematu.

- A dni tygodnia? - zapytała. - Są tacy, co chcą tylko w poniedziałek albo sobotę? Albo niedzielę?

- Nie przypominam sobie... - Hazel wzruszyła ramionami. - Może coś bym znalazła, gdybym miała trochę czasu na przejrzenie zamówień... To całkiem prawdopodobne. Na przykład, facet umawia się zawsze tego samego dnia, bo wie, że jego żona wraca wtedy późno z pracy, czy coś takiego... Niektórzy są tacy bezczelni i otwarci, że nie uwierzyłybyś... - Hazel uśmiechnęła się lekko. - Mają gdzieś, czy ktoś wie, co wyrabiają... Pamiętasz tego Amerykanina, Bernie? Tego, który kazał zadzwonić do nas swojej sekretarce? Strasznie jej współczułam, słowo daję. Po głosie można było się zorientować, że to dziewczyna z dobrej rodziny, po dobrej szkole, a przy tym była naprawdę miła...

- Angielka? - zagadnęła Gini obojętnym tonem.

- Jasne. Dosłownie czułam, jak się biedaczka czerwieni. Dzwoniła do nas trzy razy, szef jej kazał i już, coś okropnego... Mam to gdzieś tutaj... - Przerzuciła kilka kartek w terminarzu. - O, tutaj, proszę bardzo... Październik, listopad, grudzień... Raz w miesiącu, wszystko się zgadza... I jaki wymagający! Dziwne, że nie przysłał sekretarki z centymetrem... Chodziło mu o blondynki, nie niższe niż metr siedemdziesiąt sześć i nie wyższe niż metr osiemdziesiąt dwa... Długie nogi, młode - tak, lubił młode. Duże cycki... Nic nadzwyczajnego, ale wyobrażasz sobie, co przeżywała ta biedna dziewczynina, kiedy składała takie zamówienie przez telefon? Właśnie przez nią ten przypadek utkwił mi w pamięci. Zwykle faceci są ostrożni i dzwonią sami, tymczasem ten zboczeniec załatwiał wszystko przez sekretarkę...

- Rzeczywiście niezwykle. - Gini pokiwała głową. - Więc jak to wyglądało?

- Dziwnie, szczerze mówiąc... - Hazel zniżyła głos, szybko przerzucając kartki. - Zaraz sprawdzę... No, mam go... Za pierwszym razem ta biedaczka powiedziała, że jej szef przylatuje za tydzień ze Stanów i ona musi umówić go z dziewczyną. Przeczytała te wszystkie dane, o których ci wspomniałam i obiecała, że oddzwoni. Faktycznie, oddzwoniła i poprosiła, żeby przysłać jej zdjęcia różnych blondynek o takich i takich wymiarach... Facet urządził regularne eliminacje, wyobrażasz sobie? Posłałam kilkanaście zdjęć do jakiegoś hotelu w pobliżu Albemarle Street, robiłam to trzy razy, w październiku, listopadzie i grudniu, Bóg raczy wiedzieć, dlaczego... Za każdym razem wybierał Suzy. Sekretarka znowu oddzwaniała, ustalała datę spotkania... Jejku, tylko spójrzcie... Coś takiego! Ten Amerykanin umawiał się zawsze



na niedzielę! Albo zapomniałam, albo po prostu wcześniej nie zwróciłam na to uwagi...

- Naprawdę? - Gini poczuła ukłucie podniecenia.

Zajrzała do katalogu. Ze zdjęcia patrzyły na nią zamyślane oczy Suzy. Miała gęste jasne włosy do ramion i bardzo młodą wrażliwą twarz. Ubrana w białą, skromną i prostą wieczorową suknię z długim rękawem. Wyglądała jak śliczna nastolatka, która wybiera się na pierwszą randkę.

- Nie dziwi mnie, że wybrał właśnie ją - odezwała się ostrożnie. - Jest bardzo ładna, ale wygląda zdumiewająco młodo...

Hazel mrugnęła znacząco.

- Nie jest ani tak młoda, ani niewinna, ta nasza Suzy. Należy do najlepszych dziewczyn. Tak czy inaczej, nie miało to wielkiego znaczenia, bo facet zawsze odwoływał randkę, czy raczej sekretarka robiła to w jego imieniu. Mówiła, że zmienił plany, czy coś w tym rodzaju. Zmieniał plany po tym całym zamieszaniu, wyobrażasz sobie?

- Rezygnował? - Gini zmarszczyła brwi. - Jesteś tego pewna?

- Tak. - Hazel zamknęła terminarz. - Mówiłam już, że faceci są dziwni, nie? Może zadowalał się samymi zdjęciami, kto go tam wie... A może zwrócił się do innej agencji i tam znalazł dziewczynę, która bardziej mu się spodobała...

- Chcesz powiedzieć, że nigdy nie spotkał się z Suzy? Ani razu?

Hazel uśmiechnęła się z rozbawieniem.

- Ani razu! Ale raz ją chyba widział...

- Dlaczego tak myślisz? - zapytała Gini.

- Bo w grudniu sekretarka powiedziała, że chciałby obejrzeć Suzy. Jak jakiś towar, do diabła! Suzy pojechała do luksusowego hotelu w West Endzie, pół godziny posiedziała w holu i wyszła - tak ustaliliśmy.

- I ten facet też był w holu? Oglądał ją?

- Skąd mogę wiedzieć... - Hazel wzruszyła ramionami. - Może i tak, w każdym razie nie odezwał się do niej, nie podszedł, nic z tych rzeczy. Nie mam pojęcia, może doszedł do wniosku, że nie spełnia jego wymagań... Dzień później sekretarka zadzwoniła i znowu odwołała spotkanie. Więcej się nie odezwała. Oczywiście, to

wszystko sporo faceta kosztowało - pełne stawki za rezygnację po ustalonym terminie, dodatkowa opłata za wizytę w hotelu, razem ze dwa tysiące funtów. Musi być strasznie bogaty.

- Płacił kartą?

Hazel odkręciła lakier i zaczęła nakładać drugą warstwę.

- Gotówką, przez kuriera - powiedziała. - Najłatwiejsza forsa, jaką kiedykolwiek zarobiliśmy, prawda, Bernie? Och, gdyby wszyscy klienci byli tacy...

Po wyjściu z agencji Gini próbowała uporządkować myśli. Tajemniczym klientem po prostu musiał być Hawthorne, poza tym miała wreszcie pierwsze potwierdzenie z zewnątrz, że przedstawiona przez McMullena historia jest prawdziwa. Angielska sekretarka, kobieta z angielskim akcentem, dzwoniąca do ICD w sprawie przesyłek - Gini nie miała wątpliwości, że te sprawy coś łączy. Za dużo zbiegów okoliczności, pomyślała. Spojrzała przez ramię na siedzibę agencji, żałując, że sama nie mogła przejrzeć terminarza, chociaż najprawdopodobniej zapiski niewiele by jej powiedziały - Hawthorne na pewno nie użył własnego nazwiska. Poza tym mogła dowiedzieć się czegoś więcej w jakiś inny sposób.

Odwróciła się do Berniego, który wiernie jej towarzyszył, aby mu podziękować. W tej samej chwili drzwi prowadzące do studia w piwnicy otworzyły się i na chodnik wysypała się grupka ludzi. Dwoje z nich, przystojny młody mężczyzna o dość długich ciemnych włosach i bardzo ładna dziewczyna, mogło być gwiazdami instruktażowego filmu o współżyciu seksualnym, pozostali wyglądali na techników lub kamerzystów.

Zaraz za nimi ze studia wyszedł mężczyzna po czterdziestce, z rudawymi włosami ściągniętymi w kucyk, od stóp do głów odziany w musztardowozielone rzeczy od Armaniego. Na jego widok Bernie pośpiesznie uskoczył w bok i pociągnął Gini w kierunku wejścia do najbliższego sklepu. Najwyraźniej bardzo mu zależało, żeby mężczyzna go nie zauważył.

- Twój szef, tak? - zapytała Gini z lekkim uśmiechem. Bernie niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

- Jeden z szefów, tak to ujmijmy - powiedział. - Muszę już wracać. Zadzwoń kiedyś, dobrze?

Mężczyzna w garniturze od Armaniego wsiadał właśnie do nowiuteńskiego bmw. Bernie, zerknąwszy kilka razy nerwowo w jego kierunku, pomknął w odwrotną stronę. Gini powoli ruszyła na najbliższą stację metra. Nie ulegało wątpliwości, że teraz należało porozmawiać z Suzy... Problem polegał na tym, że Gini nie znała jej prawdziwego imienia, nazwiska, numeru telefonu ani adresu. Nie mogła poprosić o te dane Hazel ani Berniego, bo to wydałoby im się podejrzane. Na szczęście towarzystwo Suzy można było zapewnić sobie na cały wieczór, wystarczyło wcześniej umówić się na spotkanie. Gini nie mogła zadzwonić do agencji, ale Pascal wręcz powinien to zrobić, i to jak najszybciej.

## XXII

O trzeciej we wtorkowe popołudnie, mniej więcej w tym samym czasie, gdy Gini dotarła do agencji towarzyskiej, Pascalowi w końcu udało się skłonić Lornę Munro, żeby z nim porozmawiała. Po zakończeniu sesji zdjęciowej zabrał ją na drinka do kawiarni Deux Magots na bulwarze St Germain, naprzeciwko kościoła St Germain.

Ta tak trudna do złowienia Amerykanka wyglądała na osiemnaście lat. Miała trochę ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, a według oceny Pascala ważyła nie więcej niż pięćdziesiąt pięć kilo. Nie zdążyła jeszcze zmyć mocnego makijażu, który nałożono jej do biało-czarnych zdjęć. Krótkie, gęste włosy okazały się jasne. Miała szeroko rozstawione szafirowe oczy, przyjazny uśmiech i roztaczała wokół siebie aurę zdrowia i sprawności. Ubrana była w czarne legginsy, białą męską koszulę, męski tweedowy płaszcz i buty na płaskim obcasie. Mimo chłopięcego wyglądu, wszyscy mężczyźni w lokalu natychmiast obrzucili ją zachwyconymi spojrzeniami.

Lorna Munro sprawiała wrażenie uodpornionej na takie hołdy lub całkowicie wobec nich obojętnej. Usiedli na oszklonym tarasie tuż przy ulicy. Zmierzyła Pascala baczny wzrokiem i uśmiechnęła się.

- No, trudno, zrobiłam wszystko, co mogłam - westchnęła. - Niech pan powie swojemu znajomemu w Anglii, że naprawdę się starałam, dobrze? Mogłam się domyślić, że w ten czy inny sposób jednak mnie złapiecie... Ma pan coś przeciwko temu, żebym zamówiła sobie coś do jedzenia? Umieram z głodu, mam wrażenie, że

śniadanie było chyba tydzień temu... - Z olśniewającym uśmiechem przywołała kelnera. - Dużą kanapkę ze stekiem, frytki, zieloną sałatę bez sosu... Och, i może jeszcze gorącą czekoladę. Na dworze jest po prostu lodowato zimno. Zesztywniały mi ręce, nogi i tyłek, jeśli mam być szczerą...

Pascal uśmiechnął się. Lekko perwersyjny pęd do oryginalności, typowy dla świata wielkiej mody, kazał szefom jednego z kobiecych czasopism wybrać na termin sesji zdjęciowej najnowszej letniej kolekcji Gaultiera styczniowy dzień. Suknie, w których pozowała Lorna, były na ogół bez rękawów i miały wielkie dekolty, kilka ozdobiono kolczugami z metalowej siatki, ze stożkowatymi osłonami na piersi. Lorna Munro była zawodową modelką, więc już dawno nauczyła się ignorować tłumy ciekawskich i gęsią skórę.

- Gorąca czekolada? - zagadnął Pascal. - Kanapka ze stekiem? Myślałem, że wszystkie modelki są anorektyczkami...

- O, nie, nic z tych rzeczy! Mam koński apetyt, zawsze tak było, ale dziękuję Bogu za szybką przemianę materii. Jem i nie tyję. Życie jest niesprawiedliwe... - przerwała, wzięła papierosa z podsuniętej przez Pascala paczki i popatrzyła na niego badawczo. - Pascal Lamartine... Mogę mówić ci po imieniu? Dobrze... Słyszałam o tobie. Zrobiłeś te zdjęcia Soni Swan, prawda? A w zeszłym roku w lecie sfo-tografowałeś księżniczkę Stefanię? - Zrobiła zabawną minę. - Gdybym wiedziała, że to ty mnie ścigasz, uciekałabym szybciej i dalej...

- To zupełnie co innego - powiedział szybko. - Nie chodzi o zdjęcia dla prasy, ale...

- Och, daj spokój! - Znowu się uśmiechnęła. - Nie jestem aż taka tępa... Ta kobieta z londyńskiej redakcji „News”, Gini, tak?, dzwoniła do mnie z milion razy, do Mediolanu, do Rzymu, do mojej agencji... I raczej nie w sprawie sesji zdjęciowej, prawda?

- Nie, nie w sprawie sesji... Chcieliśmy zadać ci parę pytań na temat pewnych paczek, dokładnie czterech paczek... Dostarczyłaś je do biura firmy wysyłkowej w Londynie, tydzień temu.

Zapadła cisza. Lorna Munro zaciągnęła się dymem. Jej szafirowe oczy utkwione były w twarzy Pascala. Milczała.

- Zidentyfikowała cię recepcjonistka z biura - ciągnął Pascal. - Podejrzewam, że zleciodawcy tego zadania zależało, żebyś została rozpoznana. Gdyby było inaczej, zatrudniłby kogoś, kto mniej rzuca się w oczy...

- Uważasz, że rzucam się w oczy? - Uśmiechnęła się zalotnie. - To miłe...

Zareagował na to z instynktowną galanterią.

- Wyjątkowo piękne kobiety zawsze rzucają się w oczy.

Lornie Munro nie brakowało inteligencji. Komplement Pascala wyraźnie ją rozbawił.

- Nie udawaj zainteresowania, jeżeli nie jesteś zainteresowany - powiedziała. - Potrafię wyczuć, któremu facetowi wydaję się atrakcyjna, zajmuje mi to równo pięć sekund. Wystarczy, że spojrzę w oczy i już... - W zamyśleniu zmarszczyła brwi. - Więc nie chodzi wam o mnie, tylko o te paczki? Specjalnie przyjechałeś do Paryża, żeby o nie zapytać?

- Nie. Byłem w Londynie, bo tam pracuję z Gini, a do Paryża przyjechałem dopiero wczoraj. Moja córka zachorowała i...

- O, bardzo mi przykro. - Wyglądała na szczerze przejętą. - Co jej jest?

- Szkarlatyna, tak powiedział lekarz. Mała ma dopiero siedem lat, wczoraj była w naprawdę marnym stanie. Dziś jest już lepiej, powoli wraca do siebie. Zostawiłem ją na dwie godziny...

- Masz jej zdjęcie? Lubię dzieci, mam cztery siostry. Najmłodsza jest w wieku twojej córeczki.

Pascal wyjął portfel i podał Lornie zdjęcie. Dziewczyna się uśmiechnęła.

- Och, jaka zabawna... Ma śliczną buzię. Podobna do ojca, od razu widać... Jak ma na imię?

- Marianne.

- Przekaż jej ode mnie, żeby szybko odzyskiwała siły, dobrze? No, wreszcie niosą jedzenie, już myślałam, że żołądek przyschnie mi do kręgosłupa...

Kelner z niemym uwielbieniem w oczach postawił przed nią posiłek. Zaczęła jeść szybko i z wyraźną przyjemnością. Pascal powoli popijał czarną kawę i czekał. Widział, że dziewczyna ocenia go, zastanawia się, co powiedzieć, skłamać czy nie.

- W porządku - odezwała się w końcu. - Ale najpierw chcę cię o coś zapytać. Założmy, że przyznam się do dostarczenia tych paczek, co wtedy? To nie przestępstwo.

- Oczywiście że nie. - Pascal spojrzał jej prosto w oczy. - Nie musisz odpowiadać na moje pytania, ale mam nadzieję, że to zrobisz. Widzisz, jedna z paczek była zaadresowana do mnie, druga do Gini, o czym na pewno wiesz. Prawdopodobnie nie wiesz jednak, co było w środku...

- O, mój Boże... - Odłożyła widelec i z trudem przełknęła kęs kanapki. - Chyba nie narkotyki?

- Nie, nie! - zapewnił ją pośpiesznie. - W moim przypadku była to rękawiczka, w przypadku Gini metalowe kajdanki. Bez żadnej kartki, bez niczego...

- Kajdanki? Dla kobiety? - Lorna ściągnęła brwi. - Niezbyt miły pomysł...

- Otóż to... Ktoś zrobił nam głupi kawał, tak nam się wydaje. Chcielibyśmy się dowiedzieć, kto to był i dlaczego przysłał nam te rzeczy.

Znowu zapanowało milczenie. Lorna skończyła jeść, odsunęła talerz i przyjęła drugiego papierosa. Chwilę wpatrywała się w nitkę dymu, potem odwróciła się do Pascala, jakby nagle podjęła decyzję.

- Dobrze, powiem ci, co wiem. Kajdanki, co za głupek... To mało zabawny dowcip. Jestem zaskoczona, bo wyglądał na zupełnie normalnego faceta...

- Kto? Mężczyzna, który dał ci paczki?

- Powoli... - Uśmiechnęła się. - Od początku, dobrze? Wszystko zaczęło się w Nowym Jorku. Znam tam pewnego faceta, pracuje dla gazet, podrzuca im rozmaite plotki i półprawdy, nazywa się Appleyard...

- Johnny Appleyard?

- Tak. Jedna z paczek była zaadresowana do niego. - Lorna spojrzała na Pascala spod oka. - Skoro wiesz aż tyle, to pewnie i to...

- Masz rację.

- No, dobrze... Kilka tygodni temu, przed Bożym Narodzeniem, wpadłam na Appleyarda na przyjęciu w Soho. Wcześniej spotkałam go ze dwa razy, więc przywitaliśmy się, chociaż jest to jeden z tych ludzi, których zwykle unikam jak zarazy, bo bez przerwy szuka skandalu. Poza tym bywa wszędzie - na przyjęciach, w

restauracjach, na otwarciach galerii, premierach teatralnych - można go spotkać naprawdę wszędzie... Kręci się koło agencji, wpada na sesje zdjęciowe, plotkuje ze specjalistami od makijażu i wizażystami. Zbiera w ten sposób mnóstwo plotek o modelkach, ich życiu prywatnym, i tak dalej...

Przerwała. Pascal milczał. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że Lorna Munro nie wie jeszcze o śmierci Appleyarda.

- Więc, jak już mówiłam, wpadłam na niego tamtego wieczoru w Soho...

- Pamiętasz może dokładną datę? Zmarszczyła brwi.

- Tak... Następnego dnia miałam lecieć na święta do domu, więc musiało to być dwudziestego trzeciego grudnia...

Dwa dni po zniknięciu McMullena, pomyślał Pascal.

- Świetnie. Mów dalej...

- Appleyard podszedł do mnie na tym przyjęciu, oświadczył, że słyszał, iż właśnie podpisałam kontrakt z agencją Models East i pogratulował mi. Czułam, że do czegoś zmierza i rzeczywiście, w końcu wyjaśnił, o co mu chodzi. Zapytał, czy byłabym gotowa wykonać zlecenie, podobno dość niecodzienne, w Londynie. Musiałabym spędzić tam dwa dni - poniedziałek, trzeciego stycznia i wtorek, czwartego. Miała to być praca łatwa i dobrze płatna... - Zawahała się. - Mało brakowało, a odmówiłabym. Każda praca polecona przez Appleyarda mogła oznaczać kłopoty. Wtedy wymienił sumę...

- Wysoką?

- Och, tak. - Spojrzała na niego z uśmiechem. - Dwadzieścia tysięcy dolarów gotówką, żadnego procentu dla agencji, żadnych pytań. Plus przelot pierwszą klasą w obie strony, apartament na tę jedną noc w hotelu Claridge's...

- Claridge's?

- Właśnie... - westchnęła. - Może to śmieszne, ale właśnie to przeważało... Nigdy nie mieszkałam w takim luksusowym hotelu. Pomyślałam sobie, że skoro warunki są tak dobre, nie może to być żaden podejrzany biznes, i nastawiłam uszu...

- Czy Appleyard wyjaśnił, co będziesz musiała zrobić?



- Jasne. Powiedział, że nie chodzi o zdjęcia, miałam tylko zjawić się w Londynie, przebrać się w drogie ciuchy i we wtorek rano złożyć komuś wizytę. Zapewniał, że załatwia to dla swojego przyjaciela, który chce zrobić komuś kawał.

- Uwierzyłaś mu?

- Raczej nie, ale koniec końców postanowiłam spróbować. Dwadzieścia tysięcy dolarów piechotą nie chodzi, prawda? Nie mam nic przeciwko takiej sumie, potrafię być materialistką...

- Nie wyglądasz na materialistkę.

- Miło, że tak mówisz... - Uśmiechnęła się. - Powiedzmy, że jestem realistką. Przy odrobinie szczęścia, jeżeli będę ciężko pracowała, jeszcze przez dziesięć lat mogę zarabiać w tym zawodzie. Potem zdecydowana większość modelek schodzi z wybiegu. Dlatego muszę oszczędzać, dopóki mogę. Mówiłam ci, że mam cztery siostry i rodziców, którym z każdym rokiem jest ciężiej. Nie chcę, żebyśmy wiecznie byli biedni...

Pascal pomyślał, że Lorna Munro naprawdę zasługuje na sympatię. Podobała mu się jej bezpośredniość i szczery uśmiech. Podał jej ogień i odchylił się do tyłu na krześle.

- Więc poleciałaś do Londynu, tak?

- Tak. Z lotniska pojechałam prosto do hotelu, gdzie czekał na mnie apartament. Kwiaty, owoce, szampan w wiaderku z lodem... Doszłam do wniosku, że kumpel Appleyarda ma klasę. Bilet powrotny miałam w kieszeni, więc gdyby coś zaczęło się układać nie tak, w każdej chwili mogłam dać nogę. Okazało się jednak, że faktycznie było to proste zlecenie i wszystko poszło zgodnie z planem.

- Kto skontaktował się z tobą w Londynie?

- Jakiś Anglik. Zadzwoił w poniedziałek koło południa, a dwie godziny później przywiózł mi do hotelu kostium Chanel i buty. Przymierzyłam rzeczy i wtedy okazało się, że mamy problem, na szczęście drobny - jestem tak chuda, że kostium był za duży...

- Czy ten mężczyzna ci się przedstawił? Możesz go opisać?

- Powiedział, że nazywa się John Hamilton. Typowy Anglik, taki z dobrej rodziny, rozumiesz? Trochę ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, szczupły, jasne włosy, dobrze ubrany, uprzejmy, lecz dość oficjalny, po czterdziestce...

- Czy to ten?

Pascal już wcześniej przygotował dwa zdjęcia - McMullena i Johna Hawthorne'a. Jako pierwszą podsunął dziewczynie fotografię McMullena. Przyjrzała się jej uważnie.

- Chyba tak... Trudno poznać go w tym stroju, poza tym jest tu sporo młodszy, ale tak... Tak, to on.

- Jesteś pewna?

- Tak. To ten facet.

Schował zdjęcia do kieszeni. Reakcja Lorny oznaczała, że będzie musiał zweryfikować poprzednie założenia. Oparł łokcie na blacie stołu.

- Wy tłumacz mi, czego wymaga w ramach zlecenia?

- Tak. - Uśmiechnęła się lekko. - Bardzo szczegółowo. Kilka razy powtórzył, co mam zrobić i powiedzieć, zupełnie jakby prowadził odprawę dla oddziału... Podał mi nazwiska i adresy, i kazał nauczyć się ich na pamięć. Zapytałam, czy nie powinnam nosić obrączki, skoro występuję w roli jego żony, ale on zaprzeczył.

- Naprawdę wierzyłaś, że to tylko kawał?

- Szczerze mówiąc, nie bardzo mnie to obchodziło, choć wydawało mi się całkiem możliwe. Anglik wrócił następnego dnia z samego rana. Przywiózł dwie rzeczy - najbardziej niesamowite futro, jakie kiedykolwiek widziałam i absolutnie olśniewające perły. Futro miało maskować fakt, że kostium od Chanel trochę na mnie wisiał. Facet wszystko dokładnie zaplanował. Co było dalej? Na dole czekała taksówka, mężczyzna pojechał ze mną do firmy wysyłkowej, ale został w samochodzie. Zaniósłam paczki do recepcji, odstawiłam swój numer, wróciłam do hotelu, pożegnałam się z perłami i futrem, zainkasowałam dwadzieścia tysięcy dolarów i poleciałam do domu...

- Mówisz tak, jakby sprawiło ci to przyjemność.

- Bo tak było. Hamilton był całkiem sympatyczny, bawiłam się nieźle, sądziłam, że to, co zrobiłam, nikomu nie mogło zaszkodzić... - Przerwała i bacznie popatrzyła na Pascala. - Nie miałam racji?

- Obawiam się, że nie...

- Komuś to jednak zaszkodziło, tak? I nie skończyło się na paczce z kajdankami w środku?

- Nie skończyło się... - Zawahał się. - Nie rozmawiałaś o tym z nikim?

- Nie, tylko z tobą. Hamilton powiedział, że mam zachować dyskrecję, Appleyard także. Nie masz zbyt pogodnej miny. Czy ta sprawa wiąże się z czymś niebezpiecznym? Czy coś mi grozi? A może tobie?

Pascal przywołał kelnera i poprosił o rachunek. Nie był pewny, jak odpowiedzieć na te pytania i nie chciał się do tego przyznać.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

- Cudownie... Krótko mówiąc, oboje jesteśmy w niebezpieczeństwie.

- Nie, nie jest aż tak źle...

Podniósł się i zapłacił za posiłek. Lorna Munro także wstała. Razem przeszli przez oszklony dziedziniec kawiarni i wyszli na rue Bonaparte, prosto w deszcz.

Dziewczyna zadrżała i ciaśniej otuliła się płaszczem. Zaczynała się godzina szczytu, zmierzchało i na ulicach paliły się już latarnie. Modelka z uśmiechem odwróciła się do Pascala.

- No, ale przecież to chyba nic takiego - powiedziała. - Dostarczyłam tylko kilka paczek do wysłania, nic więcej. Tak czy inaczej, będę trzymać buzię zamkniętą na kłódkę.

- To dobry pomysł.

- I będę się starała unikać Appleyarda! - Roześmiała się. - Cóż, mam nadzieję, że trochę ci pomogłam. Muszę już wracać do hotelu, wieczorem odlatuję do Nowego Jorku. Miło mi było cię poznać, Pascal...

Uścisnęli sobie ręce. Ruszyła w kierunku jezdni, ale na krawężniku zatrzymała się i odwróciła.

- Jeszcze coś... - dorzuciła. - Kiedy będę sławna, nie podkradaj się, żeby zrobić mi kilka zdjęć nad basenem, dobrze? - Obdarzyła Pascala szerokim uśmiechem. - Zawiadom mnie wcześniej i zadzwoń do frontowych drzwi...

- Zapamiętam to sobie. - Uniósł dłoń w geście pożegnania.

Lorna zeszła z chodnika na jezdnię, spojrzała w prawo i w lewo, zobaczyła, że na skrzyżowaniu St Germain właśnie zmieniają się światła i zrobiła parę kroków do przodu. Pascal, który wciąż na nią patrzył, był pewien, że nie dostrzegła samochodu.

Wóz wyłonił się ze strumienia samochodów po prawej stronie i błyskawicznie przyspieszył. Kiedy dotarł do świateł, dla niego czerwonych, pędził z prędkością mniej więcej stu kilometrów na godzinę. Czarny mercedes z przyciemnianymi szybami uderzył Lornę z boku i wyrzucił jej ciało na trzy metry w górę. Spadła na maskę, odbiła się i runęła na ziemię.

Powietrze wypełniło kakofoniczne wycie klaksonów. Pascal widział, jak inni przechodnie zamierają z przerażenia, podobnie jak on. Mercedes przemknął przez skrzyżowanie, z piskiem opon wziął zakręt i zniknął. Nie było nawet czasu, aby odczytać tablicę rejestracyjną. W jednej sekundzie wóz znajdował się w zasięgu wzroku, w następnej już go nie było.

Pascal rzucił się biegiem w kierunku Lorny. Miał wrażenie, że nogi i ręce ma dziwnie ociążałe, i że pokonanie krótkiego, najwyżej trzydziestometrowego odcinka trwa bez końca.

Lorna Munro musiała zginąć na miejscu. Złamała kark, może też kręgosłup w dolnej części. Leżała na jezdni na plecach, otoczona gromadzącymi się ludźmi. Jej piękna twarz była nietknięta, niebieskie oczy wpatrywały się w niebo.

Jakiś mężczyzna długą chwilę szukał tętna na jej szyi, wreszcie bezradnie pokręcił głową. Pascal odwrócił się i zaczął przeciskać przez tłum. Inni świadkowie także widzieli samochód, więc jego pomoc była zbędna. Rozmowa z policją mogła jedynie opóźnić jego powrót do Marianne, być może nawet wyjazd z Paryża. Nie mógł już pomóc Lornie. Nagle przystanął. Wciąż słyszał jej głos, pełny szczerego optymizmu, z jakim mówiła o swoich planach na przyszłość.

Kiedy zaczęła z nim rozmawiać, miała przed sobą niecałą godzinę życia... Pascal oparł się o mur i na moment ukrył twarz w dłoniach. Zastanawiał się, czy Lorna

Munro nadal by żyła, gdyby się z nią nie skontaktował, i szybko odkrył, że to pytanie sprawia mu ból.

## XXIII

- Kto jeszcze wie o sprawie Hawthorne'a? - zapytała Gini Nicholasa Jenkinsa. Siedzieli na tylnym siedzeniu służbowego jaguara Jenkinsa, naturalnie wyposażonego także w szofera, i jechali w kierunku hotelu Savoy Jenkins wydawał się roztargniony i zirytowany.

- Nie wymiguj się, wiemy, że ktoś wie. Kto? Daiches?

- Dasz mi w końcu spokój? Ile razy mam powtarzać? Nie wie nikt poza tobą, Lamartine'em i mną. Nikt więcej. - Przerwał i rzucił jej ostre spojrzenie. - Dlaczego pytasz?

- Bo mam nieodparte wrażenie, że ktoś wie. I chyba ten ktoś wiedział o tym, zanim przydzieliłeś nam tę sprawę.

- Gówno prawda. Wpadasz w paranoję.

- Odpowiedz mi na proste pytanie, dobrze? Czy Daiches wie?

- Nie wie. Daiches lubi wyobrażać sobie, że jest lepiej poinformowany od samego Pana Boga, ale będę go musiał wyprowadzić z błędu... - Jenkins znowu zerknął na Gini. - Podpuszczał cię? Chwalił się, że coś wie?

- Niezupełnie, ale robił uwagi na temat dzisiejszego przyjęcia.

- I co z tego? Nie mam mu tego za złe, sam zrobiłem kilka uwag na ten temat. Odkąd to jesteś w takich bliskich stosunkach z szacownym właścicielem naszej gazety? Zaproszenia dostarczane przez kuriera...

- To w tej chwili nieistotne - przerwała mu. - Wróćmy do tematu. Jeżeli Daiches nic nie wie, to może Johnny Appleyard coś wiedział? Czy Appleyard mówił ci coś o Hawthornie? Zapytam wprost - czy to Appleyard nadał ci tę sprawę?

- Nie do wiary... Ile razy muszę jeszcze to powtórzyć, na Boga? To mój temat, w stu procentach mój! Appleyard nigdy nie miał nic do tej sprawy, niech spoczywa w pokoju, i tak dalej. To mój temat, zdobyty dzięki moim źródłom i jeżeli nawet ty i

Pascal czegoś się dowiecie, cała zasługa będzie moja, wyłącznie moja. A propos, robicie jakieś postępy?

- Tak, robimy. Pracowałam nad tym przez cały weekend, do cholery.

- I co z tego? - Wzruszył ramionami. - Ja często pracuję nad czymś przez cały weekend.

- Mamy podstawy, aby sądzić, że sprawa jest znacznie poważniejsza, niż początkowo myśleliśmy.

- Naprawdę? - W jego oczach zabłysło zaciekawienie, zaraz jednak przyłożył palec do warg i zerknął w szybę oddzielającą ich od kierowcy. - Zostaw szczegóły na później... Po kolacji odwiezę cię do domu, wtedy porozmawiamy... - Utkwił wzrok w oknie i najwyraźniej doszedł do wniosku, że czas wykazać się poprawą nastroju, bo odwrócił się do niej z uśmiechem. - Tak czy inaczej, to przyjęcie na pewno okaże się dla ciebie użyteczne, będziesz miała szansę zobaczyć Hawthorne'a w czasie publicznego występu. Muszę powiedzieć, że wyglądasz dziś bardzo ładnie, moja droga. Włożyłaś sukienkę, wreszcie jakaś odmiana...

Bacnym spojrzeniem zmierzył jej nogi. Gini przezornie odsunęła się o kolejne parę centymetrów. Szofer zwolnił. Jenkins znowu wyjrzał przez okno.

- O, cholera, co za pech! Kurwa mać! - zaklął.

Zatrzymali się u styku Kingsway i Covent Garden. Przed nimi stał sznur samochodów, daleko z przodu Gini dostrzegła błyskające światła policyjnych wozów. Powoli przesuwali się w korku. Policjanci kierowali ruchem, inni rozstawiali czarno-białe bariery. W oddali zawyła syrena.

- Pieprzone IRA! - wściekł się Jenkins. Nachylił się i odsunął połowę szyby. - Daj większe tempo, Chris - polecił kierowcy. - Przejeźdź przez Covent Garden, a potem wymiń gmach opery...

- Właśnie staram się to zrobić, ale nie ja jeden...

- Więc wykaż się sprytem! Za to ci płacę, prawda? Nie zamierzam się spóźnić.

Kolacja w Savoyu okazała się wystawnym przyjęciem. Gini na pierwszy rzut oka oceniła, że w wielkiej sali River Room zgromadziło się około trzystu gości.

Organizatorzy przedsięwzięli wszelkie środki bezpieczeństwa. Gini przypuszczała, że chodzi o zagrożenie zamachami bombowymi, lecz Jenkins szybko wyprowadził ją z błędu.

- To nie ma nic wspólnego z kowbojami z Dublina - rzucił ze zniecierpliwieniem. - Wszystko zostało zaplanowane wiele tygodni temu, tak powiedział mi Melrose. Za całe zamieszanie powinniśmy podziękować Johnowi Hawthorne'owi...

Wskazał liczną grupę ludzi przed wejściem do sali. Każdy z gości musiał wylegitymować się przepustką, którą ochroniarze skrupulatnie sprawdzali. Gdy wreszcie dotarli do drzwi, mała wieczorowa torebka Gini została dokładnie przeszukana.

- Mam wywrócić kieszenie? - zapytał nieuprzejmie Jenkins.

- Nie będzie to konieczne, proszę pana - spokojnie odparł Amerykanin. - Proszę tylko przesunąć dłońmi pod skanerem, o, tak... Dziękuję bardzo. Teraz pani...

Gini włożyła dłonie pod urządzenie wielkości przenośnego telefonu. Niebieskawe światło przemknęło po jej rękach.

Jenkins ujął ją za ramię i razem przeszli przez umieszczoną w drzwiach bramkę. Ale miał w kieszeni klucze, które uruchomiły alarm. Dwoch członków ochrony grzecznie lecz stanowczo zaprowadziło go za wysoki parawan. Po chwili wyłonił się stamtąd z czerwoną twarzą i przez następne pół godziny chwalił się swoimi przeżyciami.

- Skaner? Skaner to nic - opowiadał na prawo i lewo. - Możecie mi wierzyć... Ja zostałem obmacany przez CIA, to naprawdę niepowtarzalne doświadczenie... Najlepsze doznania seksualne od wielu, wielu lat...

Przy głównym stole, w sporej odległości od tego, który wskazano Gini i Jenkinsowi, siedziało czterech ministrów, trzech baronów prasowych, między nimi lord Melrose, kilku znanych dziennikarzy telewizyjnych, szef liczącego się Niezależnego Stowarzyszenia Sieci Telewizyjnych i Radiowych oraz czterech redaktorów naczelnych największych brytyjskich gazet. Widok tych ostatnich wyraźnie popsuł Jenkinsowi humor.



- Co tam robi ten nadęty bufon z „The Times”? - warknął. - I ten popieprzony Szkot? Wspaniale, no, po prostu cudownie... Serdeczne dzięki, Melrose...

Zaczął ze złością kruszyć kawałek chleba na talerzyk. Odwrócił się bokiem do Gini i wdał się w ożywioną rozmowę z kobietą siedzącą po jego drugiej ręce.

- Tak jest... - usłyszała Gini. - Sto tysięcy nakładu, nadal rośnie...

Skupiła uwagę na głównym stole. John Hawthorne siedział pośrodku, między lordem Melrose i prezesem BBC. Nigdzie w pobliżu nie było widać kobiecych twarzy, a Hawthorne z pewnością był najmłodszym z gości.

W porównaniu z potężnymi, lecz starzejącymi się towarzyszami, Hawthorne roztaczał wokół siebie aurę młodości i siły. Przemówienia miały być w całości lub w części przekazane przez stacje telewizyjne, więc sala była mocno oświetlona. Blask reflektorów sprawił, że kilku mężczyzn przy stole Hawthorne'a wyglądało bardzo źle, lecz samemu ambasadorowi bynajmniej nie zaszkodził. Może Hawthorne miał specjalny telewizyjny makijaż, z takiej odległości Gini nie mogła tego ocenić. Tak czy inaczej, Hawthorne robił wrażenie jeszcze bardziej opalonego i sprawnego niż zwykle. Opalenizna podkreślała błękit oczu i prawdziwie hollywoodzką biel idealnie równych zębów.

Gini rozejrzała się po sali, szukając wzrokiem ochroniarzy. Widziała kelnerów, obsadę jednej ze stacji telewizyjnych po lewej stronie podwyższenia i drugą, która usytuowała się naprzeciwko Hawthorne'a, szefa sali ze słuchawkami na uszach, dwóch techników od dźwięku... Wreszcie dostrzegła i tamtych - Malone'a, stojącego trochę z boku i jeszcze dwóch - Franka Romero i trzeciego, którego widziała chyba po raz pierwszy.

Romero odwrócił się, potoczył czujnym wzrokiem po sali, zerknął na ambasadora, podszedł do jednego z kelnerów i coś do niego powiedział. Mężczyzna skinął głową i zniknął. Frank Romero zrobił ruch, który Gini zdążyła już dobrze poznać - podniósł rękę i wymamrotał coś do mankietu, w każdym razie tak to wyglądało, bo z tej odległości małeńki mikrofon był niewidoczny. Romero opuścił rękę, znowu rozejrzał się po sali i zbliżył się do stolika ustawionego tuż obok podwyższenia. Nachylił się i powiedział coś do ucha siwowłosego mężczyzny.

Gini zamrugła ze zdziwienia.

Mężczyzna siedział dość daleko, lecz zwrócony był twarzą do niej, dlatego nie miała cienia wątpliwości, że patrzy na ojca ambasadora, S.S. Hawthorne'a. Wysłuchał Franka Romero i udzielił mu odpowiedzi. Ochroniarz szybko oddalił się w kierunku drzwi.

Gini zmarszczyła brwi - na przyjęciu u Mary Hawthorne powiedział, że S.S. ma przylecieć do Londynu na przyjęcie z okazji jego czterdziestych ósmych urodzin, lecz z całą pewnością ani słowem nie wspomniał o wcześniejszym przyjeździe ojca.

Dziwne... Jeszcze raz rozejrzała się po sali. Nigdzie nie dostrzegła Lise Hawthorne. Żony ambasadora nie było, natomiast zjawił się jego ojciec... Co to mogło znaczyć?

Popatrzyła na S.S. Hawthorne'a. Dopiero teraz dostrzegła, że starszy pan siedzi w wózku inwalidzkim. Rozmawiał ze swoją sąsiadką. Miał prawie osiemdziesiąt lat, lecz wyglądał młodziej i podobnie jak syn, tryskał energią.

- Wielki Mag... - odezwał się mężczyzna siedzący po lewej stronie.

Gini podskoczyła nerwowo. Zobaczyła, że jej sąsiad także wpatruje się w S.S. Hawthorne'a. Kiedy odwróciła się twarzą do niego, uśmiechnął się. Miała przed sobą niskiego szpakowatego Amerykanina koło pięćdziesiątki. Mężczyzna popatrzył na umieszczoną na stole przed nią kartkę.

- Genevieve, czy tak? - zapytał. - Córką Sama? Aż trudno mi uwierzyć... Kiedy widzieliśmy się ostatnim razem, miałaś chyba pięć lat... - Wyciągnął do niej rękę. - Na pewno mnie pani nie pamięta - Jason Stein...

- Nie pamiętam spotkania, ale oczywiście znam pańskie nazwisko... „New York Times”, prawda?

- Zgadza się. Jestem teraz szefem redakcji w Londynie, to surowa kara za grzechy... - Uśmiechnął się. - Cieszę się, że znowu się spotykamy. Proszę mi powiedzieć, dlaczego tak bardzo interesuje panią Mag... - Dyskretnym skinieniem głowy wskazał S.S. Hawthorne'a.

- Tak go nazywacie?

Stein rzucił jej sarkastyczne spojrzenie.

- To jedno z określeń, z pewnością najbardziej pochlebne - odparł.

W tej samej chwili S.S. Hawthorne podniósł głowę i zmierzył ich stół zimnym, twardym spojrzeniem niebieskich oczu. Gini pośpiesznie odwróciła wzrok.

- Nie interesuję się nim z jakiegoś szczególnego powodu - powiedziała. - Intryguje mnie, bo dużo o nim czytałam, ale nigdy dotąd nie miałam okazji go zobaczyć...

- Ciekaw jestem, co sprowadziło go do Londynu... - rzekł Jason Stein. - Ostatnio rzadko opuszcza swój pałac w stanie Nowy Jork, w każdym razie tak słyszałem.

- Może zjawiał się, żeby wystąpić w roli dumnego seniora rodu. - Gini się uśmiechnęła. - John Hawthorne ma przemawiać, to ważna okazja...

- To przyjęcie? - Stein lekceważąco machnął ręką. - Hawthorne wygłasza trzy przemówienia tygodniowo na równie prestiżowych przyjęciach, więc dla niego to nie ważnego. Proszę go uważnie obserwować, to doskonały mówca. Wszyscy będą mu jedli z ręki...

- Tak pan sądzi? - Gini z powątpiewaniem rozejrzała się dookoła. - Tylu dziennikarzy, ludzi prasy, radia i telewizji... Nie jest to najłatwiejsze audytorium...

Stein czekał, aż jeden kelner zabierze talerze do przystawek, a drugi naleje wino. Potem wskazał kieliszki i uśmiechnął się.

- Może jestem cynikiem, ale zauważyłem, że na każdym przyjęciu, w czasie którego ma przemawiać John Hawthorne, podają bardzo dobre wino, i to w dużych ilościach, o wiele więcej niż zazwyczaj... Proszę spróbować tego czerwonego...

Gini umoczyła usta w winie, które rzeczywiście okazało się doskonałe.

- To niemożliwe - odparła z uśmiechem. - Hawthorne nie jest nawet gospodarzem tego wieczoru...

- Nie wierzy mi pani? Chwileczkę... - Stein sięgnął po kieliszek. - Zwykle na kolacjach, na które zaprasza się tylu gości, butelki stoją na stole, żeby ludzie mogli sami sobie nalewać wino, prawda? Przeciętna liczba butelek na taki stół jak nasz, dla ośmiu osób, to cztery, czasami pięć...

Gini spojrzała na butelki ustawione dookoła stroiku z kwiatów - było ich osiem.

- A teraz proszę uważnie patrzeć... - Stein wypił wino, lecz nie wykonał żadnego ruchu w kierunku butelek. - Trzydzieści sekund... - mruknął. - Zbadałem tę

kwesję kilka lat temu, kiedy towarzyszyłem Hawthorne'owi w czasie kampanii wyborczej. Zastanawiam się nawet, czy nie opublikować swoich spostrzeżeń, na przykład w formie poradnika pod tytułem *Jak zdobywać przyjaciół i wywierać wpływ na ludzi...* O, proszę...

Przy ich stoliku jak spod ziemi wyrósł kelner. Napełnił kieliszek Steina i kilku innych osób, po czym zastąpił pustą butelkę po winie pełną.

- Co do sekundy - potwierdziła Gini.

- No, właśnie... Teraz zna już pani jedną z przyczyn, dlaczego przemówienia Johna Hawthorne'a zwykle spotykają się z tak przychylnym przyjęciem. - Stein lekko wzruszył ramionami. - Ten człowiek przywiązuje wagę do najdrobniejszych szczegółów...

- Jaki był Hawthorne podczas kampanii? I kiedy mu pan towarzyszył?

- Dwa razy. W czasie kampanii przed wyborami do Senatu, mniej więcej szesnaście lat temu, i w 1992, kiedy wszystko wskazywało, że będzie kandydował na urząd prezydenta z ramienia Demokratów. Powiem jedno - jego metody się nie zmieniły. Hawthorne'owi wystarczają trzy godziny snu dziennie. Przysięgam, że to prawda. Ja po paru godzinach spędzonych w jego orszaku ledwo trzymałem się na nogach, tymczasem on wyglądał i czuł się świetnie. O świcie zjawiał się na pasie startowym w jakiejś zapadłej dziurze, świeżutki i wypoczęty, z asystentami, planem do zrealizowania i listami...

Gini zaczęła, aż kelnerzy podadzą drugie danie.

- Z listami? - powtórzyła, spoglądając na Steina.

- Listami lokalnych osobistości, działaczy organizacji charytatywnych, kobiet zrzeszonych w różnych organizacjach... - Stein wzruszył ramionami. - I oczywiście wszystkich, z którymi miał się spotkać danego dnia. Asystenci układali mu te listy według hierarchii ważności - poziom piąty mógł liczyć na pięciominutową rozmowę, a...

- A poziom pierwszy na jedną minutę? Stein się roześmiał.

- Powiedzmy. Należy przy tym pamiętać, ile ktoś taki jak Hawthorne potrafi osiągnąć w ciągu paru minut. Wystarczy mu trzydzieści sekund, aby zdobyć głos, w każdym razie tak twierdzili jego asystenci. Odpowiedni uścisk dłoni, kilka dobrych

pytań, urok osobisty... Hawthorne zawsze jest doskonale poinformowany i przygotowany...

- Kilka dobrych pytań, czyli jakich? - zapytała. - Niemożliwe, żeby to było takie łatwe...

- Hawthorne nigdy nie spotyka się z kimś, o kim nie ma podstawowych danych: ile ma dzieci, którą drużynę futbolową popiera, czy ma psa, czy kota, nawet jakie płatki jada na śniadanie, do diabła... Asystenci przygotowują mu wszystkie takie informacje. Hawthorne ma nieprawdopodobną pamięć. Uczy się tych faktów w samochodzie lub samolocie. Taka metoda idealnie działa i na drwali, i na prezesów banku... Ludzie Hawthorne'a nadali tej metodzie nazwę UUUO...

- UUUO?

- Ukierunkowanie Uroku Osobistego.

Zapadło krótkie milczenie. Gini zastanawiała się nad słowami Steina. Na chwilę zajęła się jedzeniem, które było doskonałe, starannie unikając wina. Zaczynała rozumieć, że istotnie źle oceniła swoją rozmowę z Hawthorne'em u Mary, natomiast Pascal miał rację. Ukierunkowanie Uroku Osobistego, pomyślała. Padłam ofiarą starannie wypracowanej metody socjotechnicznej...

Jason Stein odwrócił się, żeby zamienić parę zdań ze swoją drugą sąsiadką; Nicholas Jenkins nadal ignorował Gini. Nie przeszkadzało jej to - miała teraz chwilę, żeby wszystko spokojnie przemyśleć. Kiedy podano deser, Stein znowu skupił na niej uwagę.

- Ma pani jakiś szczególny powód, żeby interesować się Hawthorne'em? - zapytał z uśmiechem.

- Nie - odrzekła Gini. - Politycy ciekawią mnie jako gatunek, to wszystko. Lubię wiedzieć, co nimi kieruje i jak działają... - Przerwała i uważnie spojrzała na Steina, który był świetnym dziennikarzem i wybitnie inteligentnym człowiekiem. - Uważa pan, że Hawthorne naprawdę zrezygnował z politycznej kariery? A może spróbuje jeszcze wrócić?

Stein wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć... Rok temu, gdy przyjął urząd ambasadora, byłem przekonany, że się poddał, chociaż wciąż zachodziłem w głowę, dlaczego to zrobił,

przecież taka decyzja była w sprzeczności z jego charakterem. Ostatnio dotarły do mnie rozmaite pogłoski i teraz nie jestem już taki pewny, czy Hawthorne faktycznie się wycofał. Ma wielu potężnych zwolenników w Partii Demokratycznej i poza nią, nigdy nie przestał być ukochanym dzieckiem wpływowych grup nacisku. - Dziennikarz się uśmiechnął. - Nie mam pod ręką kryształowej kuli, więc nic więcej nie wiem... Jeżeli jednak zapyta mnie pani, czy zdecydowanie wykluczam możliwość, iż Hawthorne będzie w przyszłości kandydatem na prezydenta Stanów Zjednoczonych, odpowiem przecząco...

- I na pewno nie zechce pan podzielić się ze mną tymi pogłoskami? - Gini spojrzała na niego spod oka.

Stein się uśmiechnął.

- Nie zechcę, ma pani rację. Nie z dziennikarką „News”, nawet jeśli jest ona córką Sama Huntera... Proszę spojrzeć na to w ten sposób... - Stein wskazał ręką główny stół. - Człowiek, o którym mówimy, ma czterdzieści siedem lat, lecz wygląda na trzydzieści siedem. Jak długo zostanie w Londynie? Dwa, najwyżej trzy lata, przy czym ja stawiam na dwa. Potem wróci do Stanów i zajmie się odbudowywaniem bazy politycznej. Na razie w tym względzie opiera się na Magu. Powiem pani jeszcze coś... Z bardzo dobrze poinformowanych źródeł napływają wieści, że stary S.S. nigdy się nie poddał - z jego punktu widzenia, ten ambasadorski epizod jest tylko małym antraktem, niczym więcej...

Gini zerknęła na ojca Johna Hawthorne'a, który znowu rozmawiał z Frankiem Romero.

- Widzi pan tego mężczyznę obok S.S. Hawthorne'a?

- Oczywiście.

- Czy to jeden z ochroniarzy Johna?

- O ile mi wiadomo, jest to jeden z ochroniarzy jego ojca. - Oczy Steina przybrały twarde wyraz. - Nie pamiętam jego nazwiska, ale znam go. Od lat związany z rodziną, zatrudniony przez S.S., zawsze kręci się w pobliżu Johna. W czasie jego kampanii czuwał, żeby młodszy Hawthorne robił to, co do niego należy, no i oczywiście, żeby nic mu się nie stało... S.S. umie chronić swoje inwestycje...

- Naprawdę? - Gini popatrzyła na niego z niedowierzaniem. - Ojciec zatrudnił ochroniarzy dla Johna?

- Tak jest. - Stein się uśmiechnął. - Ci sami ludzie donosili potem S.S. o każdym kroku syna, tego także jestem absolutnie pewny. Na początku, kiedy John Hawthorne nie był jeszcze taki dyskretny, otwarcie o tym mówił, nawet żartował przy drinku. Z jego słów wynikało, że ojciec jest po prostu trochę nadopiekuńczy. Podobno założył podsłuch w pokoju Johna w Yale, sprawdzał pochodzenie i reputację jego przyjaciółek, i tak dalej...

- Żartuje pan! Hawthorne naprawdę o tym mówił?

- Jasne. Sam go słyszałem, raz czy dwa. Oczywiście udawał, że go to bawi, opowiadał w lekki, ironiczny sposób... - Stein wzruszył ramionami i ściągnął brwi. - To interesujący człowiek, bardzo skomplikowany... To, co powiedziałem o nim wcześniej, wcale nie znaczy, że patrzę na niego z góry. W ostatnich latach bardzo się zmienił. Teraz jest twardy i zdecydowany, to nieuniknione, ale kiedyś szczerze go lubiłem...

- Teraz już nie? - Gini uniosła brwi.

- Nie podoba mi się jego polityka, to na pewno...

- Chodzi panu o to, że Hawthorne postępuje zgodnie z zasadą: „I Panu Bogu świeczkę, i diabłu ogarek”?

- Właśnie, ale to pomaga mu zdobyć głosy... - Stein zaczął wyliczać na palcach. - Obiecuje lepsze warunki życia wszystkim, ze szczególnym uwzględnieniem Afroamerykanów i Latynosów... Popiera politykę proizraelską do tego stopnia, że nazywają go syjonistą, ale nie ma żadnych przyjaciół Żydów i jest pełnokrwistym białym protestantem... Wszystko to razem oznacza, że nie jest człowiekiem z zasadami. Mógł być, ale nie jest, a więc jest dobrym politykiem. No cóż, to tyle...

- Więc nie zgadza się pan nie tylko z jego polityką... Nie podoba się panu Hawthorne jako człowiek...

- Nie znam polityka, który podobałby mi się jako człowiek. - Stein uśmiechnął się szeroko. - Żmijowe plemię, jeden w drugiego...



Kelnerzy roznosili kawę oraz drinki. Stein poczęstował się cygarem, Jenkins także. Przez mgiełkę aromatycznego dymu Gini widziała, jak obsługa ustawia mikrofony i włącza światła.

Lord Melrose wstał i wygłosił mowę wstępną, miłą, lecz przydługą. Gini uznała, że bynajmniej nie ułatwił zadania Hawthorne'owi - słuchacze byli wprawdzie gotowi wysłuchać następnego wystąpienia, lecz wyglądali na znudzonych.

Kiedy John Hawthorne wstał, kamerzyści natychmiast przystąpili do dzieła. Hawthorne zaczekał, aż w sali zapadnie całkowita cisza, po chwili uśmiechnął się i „włączył” swój urok. Gini wyczuła, kiedy to zrobił, podobnie jak tamtego wieczoru u Mary. Niezależnie od tego, czym jest charyzma, ta ulotna, trudna do zdefiniowania cecha, John Hawthorne niewątpliwie ją posiadał...

- Prawo do prywatności a środki masowego przekazu... - Hawthorne popatrzył na słuchaczy. - Cóż za wspaniała okazja... Stoję tu przed wami i mogę przedstawić swoje poglądy ze świadomością, że kiedy skończę, nie będę musiał odpowiadać na żadne pytania, co w kontaktach z przedstawicielami brytyjskiej prasy jest nie lada ulgą...

Idealnie, pomyślała Gini. Idealny ton, moment wypowiedzenia tych słów, idealny uśmiech... Reakcja była taka, jakiej się spodziewał - słuchacze się roześmieli i wyraźnie rozluźnili. Poprzedzająca przemówienie Hawthorne'a chwila napięcia minęła. Teraz Hawthorne mógł owinać sobie obecnych wokół palca.

Mówił bez notatek, jasno i zwięźle, początkowo lekkim tonem, później coraz poważniej. Starannie rozważał wszystkie „za” i „przeciw”, zupełnie jak adwokat. Gini miała nadzieję, że lada chwila wyraźnie określi swoją pozycję, nie była tylko pewna, czy zaprezentuje liberalny, czy też konserwatywny punkt widzenia.

Hawthorne przerwał i utkwiał w słuchaczach baczne spojrzenie chłodnych, niebieskich oczu.

- Kilka lat temu, jeszcze jako senator, odbyłem długą podróż po arabskich krajach Bliskiego Wschodu - podjął. - Dziś nie zdecydowałbym się na coś takiego... W czasie tamtej podróży zrozumiałem, jak wygląda życie w społeczeństwie, gdzie przeciętni mężczyźni i kobiety nie mają dostępu do prawdy, gdzie dziennikarze, tacy jak wy, muszą publikować i firmować propagandowe teksty, bo inaczej czeka ich

więzienie i śmierć... Gdzie prasa i telewizja działają na zlecenie państwa... - Błękitne oczy Hawthorne'a ogarnęły salę, nie zatrzymując się na żadnej twarzy. - Można powiedzieć, że byłem naiwny. Powiniennem był wiedzieć, jak wygląda takie społeczeństwo - miałem przecież dostęp do zachodnich gazet i innych mediów... Jednak czytanie opisów pewnych sytuacji a bezpośrednio doświadczanie działania tego rodzaju propagandy to dwie bardzo różne sprawy... Wiele się nauczyłem podczas tej podróży. Przede wszystkim poznałem prawdziwy strach. Techniki stosowane w tamtych krajach nie są niczym nowym. Udoskonalono je już w czasach III Rzeszy, w nazistowskich Niemczech. Pięćdziesiąt lat później, kiedy zimna wojna dobiegała końca, w państwach bloku wschodniego wciąż z nich korzystano. Działały wtedy, i działają teraz, z równą skutecznością. - Hawthorne przerwał i zmierzył milczące audytorium długim, chłodnym spojrzeniem. - Oczywiście, my wszyscy mamy ogromne szczęście, i ja, i wy. Żyjemy w demokratycznych krajach, mamy wolną prasę, możemy badać niedawną historię i dokładniej poznawać mechanizmy przemian, które zawdzięczamy wolności. To nie przesada, to nie przenośnia. Myślę o takich wydarzeniach jak afera Watergate, ale też szczególnie o wojnie w Wietnamie i o dziennikarzach, którzy narażali życie, aby powiedzieć prawdę o wszystkim, co się tam działo. Ci ludzie, mężczyźni i kobiety, odmienili Amerykę, pokazali narodowi jego prawdziwe oblicze i zawrócili go z błędnej drogi. W ostatecznym rozrachunku to właśnie ich wpływ doprowadził do zakończenia tej wojny. Naturalnie, popełniłbym pomyłkę, nie przyznając, że dziennikarstwo nie zawsze osiąga taki wymiar. - Ton Hawthorne'a stał się lżejszy, naznaczony lekkim rozbawieniem. - Uważam, że odsłanianie seksualnych upodobań ministrów brytyjskiego rządu i ujawnianie szczegółów prywatnego życia członków królewskiej rodziny to nie to samo, co mówienie prawdy o wojnie. Kiedy słyszę, że takie zabiegi są niewłaściwe z powodów moralnych, częściowo podzielam ten punkt widzenia. - Uśmiechnął się. - W przeszłości nie raz byłem ofiarą prasowych dochodzeń... Obiektywy aparatów fotograficznych bywały wymierzone we mnie, więc doskonale wiem, jakie może to być nieprzyjemne. Niezależnie od tego, szczerze wierzę, że ci z nas, którzy cieszą się pewnymi przywilejami i sprawują władzę, muszą liczyć się z tym, że osobistości życia publicznego nie mają życia prywatnego. - Hawthorne w jednej chwili spoważniał. -

Taką cenę płaci się za wysoką pozycję. Politycy, prezydenci i - tak - nawet książęta muszą zrozumieć, że prasa będzie zaglądać w ich życie. Nie da się tego uniknąć. Jeżeli nie mają nic do ukrycia, nie mają się czego obawiać. Fakt, iż każdy ma prawo przyjrzeć się naszemu życiu, to podstawowy warunek istnienia wolnego społeczeństwa. Jeżeli nam się to nie podoba, zawsze możemy przenieść się w inne miejsce, gdzie sprawujący władzę są lepiej i dokładniej chronieni.

Po sali przetoczył się szmer reakcji, lecz Hawthorne szybko go uciął. Gini wyczuła, że zmierza już do końca.

- Wierzę więc, że wszyscy powinniśmy kontynuować walkę o wolność prasy - ciągnął. - Powinniśmy sprzeciwiać się cenzurze oraz innym, bardziej wyrafinowanym środkom ograniczania swobody słowa. Wolność prasy gwarantuje, że prawda ujrzy światło dzienne, a kłamstwo zostanie zdemaskowane. Wolność prasy to podstawa demokratycznego społeczeństwa, nawet wtedy, gdy niektórym kojarzy się z madejowym łożem... - Podniósł kieliszek. - Lordzie Melrose, panie i panowie, chciałbym wznieść toast. Za wolność prasy! Oby nadal kwitła, także w osobach obecnych tu jej przedstawicieli...

Rozległy się gromkie oklaski. Słuchacze nie kryli zachwyty, przy niektórych stolikach ludzie zaczęli wstawać, inni poszli za ich przykładem.

- Klaka... - mruknął Stein z irytacją. - Ludzie zachowują się zupełnie jak owce, bez dwóch zdań... Jezu Chryste, Wietnam... Czy jest jakiś temat, którego ten człowiek by nie poruszył?

- Cóż, mimo wszystko walczył tam... - zaczęła Gini.

- Właśnie o to mi chodzi. - Stein rzucił jej ostre spojrzenie. - Kiedy Ameryka się zmieniała, on był nie w kraju, lecz w Wietnamie, gdzie strzelał do Wietnamczyków... Niech pani kiedyś przyjrzy się okresowi jego służby Gini. Został trzykrotnie odznaczony, i to nie za podbijanie serc i umysłów. Hawthorne zaczął przemawiać przeciwko tej wojnie dopiero koło 1985 roku, dawno po jej zakończeniu. W latach siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych był jeszcze jastrzębiem...

- Może ma pan rację... - Gini się zawahała. - Tak czy inaczej, wygłosił dobre przemówienie. Zgadzam się z jego argumentami...

- Oczywiście. Jesteś dziennikarką, podobnie jak większość tych ludzi.

Hawthorne wygłosił nie tyle dobre, co odpowiednie dla tego audytorium przemówienie, rozkładając akcenty we właściwych miejscach. Naziści, goebbelsowska propaganda - wykorzystał wszystkie chwyt...

- To było proste odwołanie do historii, nic wyjątkowego...

- Jasne, z tym że wywołało przewidywalną reakcję emocjonalną. - Stein wzruszył ramionami. - Nieważne... Może jestem do niego uprzedzony, a już z pewnością jestem jednym z tych Żydów, których Hawthorne nigdy nie zaprosiłby na kolację.

Po toastach goście zaczęli krążyć między stolikami. Hawthorne i lord Melrose stali na podwyższeniu, pogrążeni w rozmowie. Przyjęcie powoli dobiegało końca. Gini poszukała wzrokiem Nicholasa Jenkinsa, który przesiadł się chyba do innego stolika. W końcu go dostrzegła - siedział daleko, zajęty rozmową z jednym z asystentów Melrose'a. Kilka chwil później dołączył do nich sam Melrose i wziął Jenkinsa na stronę.

John Hawthorne zszedł z podwyższenia w tłum, ze wszystkich stron otoczony pragnącymi wyrazić mu swój podziw dziennikarzami i ochroniarzami. Gini usiadła przy pustym stole, aby poczekać na powrót Jenkinsa. Utkwiła wzrok w obrusie i zaczęła bawić się sztuczkami. Nie chciała się do tego przyznać, ale mowa Hawthorne'a trafiła w jej czuły punkt. Nawet teraz, mimo wszystkich argumentów Pascala i wydarzeń, których była świadkiem, niechętnie przyjmowała do wiadomości fakt, że Hawthorne może być zaangażowany w całą tę historię. Wcześniej, w czasie rozmowy z jego żoną poprzedniego wieczoru i dzisiejszej z Berniem oraz z Hazel, prowadzącą agencję towarzyską, była już bliska przyznania, że prawdopodobnie Hawthorne jest winny, lecz teraz znowu wydało jej się to niemożliwe. Może nie miała wyobraźni, ale nie była w stanie zrozumieć, jak człowiek, który wygłosił dzisiejsze przemówienie, mógłby regularnie umawiać się na perwersyjne randki z wynajętymi blondynkami lub zlecać zabójstwa.

- Gini? To pani, prawda?

Podniosła wzrok i ujrzała stojącego przy stole Hawthorne'a w otoczeniu świty. Wstała i ujęła rękę, którą do niej wyciągnął. Uścisk jego dłoni był krótki i bezosobowy

- ze wszystkich stron patrzyli na nich ludzie. Mimo tego Gini wyczytała z jego twarzy i oczu coś, co wydało jej się prośbą.

- Chciałem pani podziękować... - powiedział. - Wyjście z domu wczoraj wieczorem naprawdę dobrze zrobiło Lise. To był świetny pomysł.

Gini nie zamierzała uprzytomniać mu, że pomysł wyszedł od Lise.

- Nie ma jej tu dzisiaj? - zapytała.

- Nie... - Lekko się zawahał. - Ma migrenę.

- Naprawdę mi przykro... Mam nadzieję, że szybko poczuje się lepiej.

- Na pewno. Migreny Lise nigdy nie trwają długo. Ja...

Przerwał, a Gini uświadomiła sobie nagle, że po raz pierwszy widzi go zmieszanego, jakby zbitego z tropu. Przez chwilę nie mogła oprzeć się wrażeniu, że cała ta wielka energia i tempo działania stanowią tylko maskę, spod której wзира ogromne zmęczenie. Przypomniała sobie słowa Mary i zrozumiała, że stojący przed nią człowiek rzeczywiście jest w rozpacz.

Hawthorne odwrócił się już w stronę następnego stolika, następnej grupy wielbicieli.

- Proszę przekazać Mary serdeczne pozdrowienia - powiedział.

I już go nie było. Gini obserwowała, jak opuszcza salę, zatrzymując się po drodze przy kolejnych stolikach. Przed drzwiami ochroniarze utworzyli zwartą grupę. Gini zauważyła potężną sylwetkę Franka Romero i to przypomniało jej o pewnym aspekcie wieczoru. Szybko rozejrzała się po sali, lecz S.S. Hawthorne'a nigdzie nie było. Nie miała pojęcia, kiedy i jak opuścił bankiet.

W końcu znalazła Nicholasa Jenkinsa po przeciwnej stronie sali, nadal pochłoniętego rozmową z lordem Melrose. Jenkins był czerwony jak burak i spocony. Kiedy podeszła bliżej, zobaczyła, jak wyciąga chusteczkę z kieszeni i ociera czoło.

Zamierzała oddalić się niepostrzeżenie, żeby nie przerywać, lecz Jenkins zobaczył ją i przywołał ruchem dłoni.

- Henry, oto ona - odezwał się. - Zjawiałaś się w doskonałej chwili, moja droga. Właśnie o tobie rozmawialiśmy...

- Między innymi - uzupełnił Melrose z lekkim uśmiechem.

Jenkins wyraźnie się zdenerwował. Przystąpił do przedstawienia Gini swojemu rozmówcy, lecz ten szybko wszedł mu w słowo.

- Dobrze wiem, kim jest panna Hunter - powiedział, odwracając się do Gini. - Czytam jej artykuły i szczerze je podziwiam. Chciałbym... - Dyskretnie odciągnął Gini trochę na bok. Wysoki elegancki mężczyzna koło sześćdziesiątki, o doskonałych manierach. - Od czasu do czasu wydaję skromne przyjęcia, Gini... Mogę tak do pani mówić? Dziękuję. Wydaję przyjęcia dla swoich dziennikarzy i wydawców, bardzo nieoficjalne, w czasie których lubimy wymieniać pomysły, tematy, którymi należałoby się zająć, i tak dalej...

Przerwał. Gini milczała. Słyszała o tych lunchach, ale nigdy nie sądziła, że otrzyma zaproszenie. O udział w przyjęciach organizowanych przez Melrose'a walczyli dziennikarze o wiele bardziej doświadczeni niż ona, ponieważ wiedzieli, że tamtędy wiedzie droga do awansu. Jenkins czasami na nich bywał, natomiast ambitny Daiches nigdy nie dostąpił tego zaszczytu, chociaż wciąż ponawiał starania.

- Zwykle robię je raz w miesiącu, oczywiście jeżeli jestem w Londynie - ciągnął wydawca. - Na przyszły tydzień chciałem zaprosić dziennikarzy z „News” i bardzo bym się cieszył, gdyby pani także przyjęła zaproszenie... Poproszę asystentkę, aby skontaktowała się z panią jutro lub pojutrze, dobrze? Doskonale... Cieszę się, że mogłem panią poznać...

Lord Melrose krótko pożegnał się z Jenkinsem i zniknął. Naczelnny „News”, który słyszał całą rozmowę, rzucił Gini gniewne spojrzenie. Najwyraźniej nie widział powodu, by ukrywać swój zły nastrój.

- Cholerny Melrose... - warknął, ujmując ramię Gini. - Jezu, co za wieczór... Chodźmy stąd.

W sunącym na północ jaguarze Jenkins odezwał się tylko do kierowcy, polecając mu, aby jechał jak najkrótszą trasą.

Kiedy dotarli pod dom Gini, Jenkins odprowadził ją do schodów i zawahał się.

- Wejść na chwilę, jeżeli nie masz nic przeciwko temu - mruknął. - Dosłownie na pięć minut...

W salonie nie usiadł i nie zdjął płaszcza. Stał na środku pokoju, dziwnie skrępowany i niepewny. Gini zaproponowała mu kawę lub drinka, ale odmówił.

- Posłuchaj, najlepiej będzie, jeżeli od razu przejdę do sedna - powiedział. - Rano porozmawiam z Lamartine'em, lecz ty powinnaś wiedzieć o tym już dzisiaj. Odwołuję temat Hawthorne'a. Zapadła cisza.

- Odwołujesz temat? - powtórzyła Gini powoli.

- Tak. - Jenkins przestąpił z nogi na nogę. - Temat jest martwy, kończę z nim. Od tej chwili macie przestać zajmować się Hawthorne'em, ty i Pascal. Rozumiesz mnie?

Gini nie odpowiedziała. Spokojnie zdjęła płaszcz i położyła go na fotelu.

- Chcesz podać mi jakiś powód? - odezwała się.

- Mógłbym podać kilka, ale wystarczy jeden. Wprowadzono mnie w błąd, McMullen kłamał. Tego tematu nie da się podeprzeć dowodami...

Odwrócił wzrok. Jego zwykle różowe policzki poczerwieniały. Gini długo przyglądała mu się bez słowa, oceniając poziom jego zażenowania. Uznała, że jest dość duży.

Usiadła i utkwiała spojrzenie w ścianie. Wszystko było oczywiste - pamięć podsunęła jej obrazy wszystkich pozornie drobnych wydarzeń wieczoru: rozmowy Hawthorne'a i lorda Melrose, rozmowę tego ostatniego z Jenkinsem. Zrozumiała, że znalazła się w samym sercu burzy, a raczej manifestacji władzy. W tej walce zainteresowani posługiwali się metodą kija i marchewki. Spojrzała na Jenkinsa.

- Rozumiem - powiedziała. - Melrose kazał ci skreślić temat.

- Nie ma to nic wspólnego z Melrose'em, do kurwy nędzy! - wściekł się Jenkins. - Sam podjąłem decyzję. Przynajmniej raz zrób, co ci mówię, dobra?

- Daj spokój! - Gini wstała, czując, że dygocze ze złości. - Masz mnie za idiotkę? Dobry Boże... I pomyśleć, że przez część wieczoru słuchaliśmy Hawthorne'a i tych jego retorycznych popisów na temat wolności prasy! Mało brakowało, a uwierzyłabym w te łgarstwa! Tymczasem zaraz potem Hawthorne zamienia słówko ze swoim kumplem Melrose'em i temat zostaje zdjęty! Do diabła z tym wszystkim! Myślałam, że zadaniem redaktora naczelnego jest odrzucanie wszelkich nacisków, zwłaszcza zewnętrznych, ale widać bardzo się pomyliłam... Twarz Jenkinsa pociemniała jeszcze bardziej.



- Zapomnę, że powiedziałaś coś takiego - wycedził. - Powtarzam raz jeszcze, Melrose nie ma z tą sprawą nic wspólnego, nawet nie ma pojęcia, że temat Hawthorne'a istnieje...

- Nie wciskaj mi tych bzdur! Melrose wie! Jeżeli ty mu nie powiedziałaś, to zrobił to jego dobry przyjaciel, John Hawthorne!

- Słuchaj, długo zastanawiałem się nad naszą polityką redakcyjną. - Jenkins zmienił temat, nie zwracając najmniejszej uwagi na jej słowa. - Musimy ograniczyć teksty o seksie i skandalach, bo przecież w dużym stopniu zależy od czytelników z klasy średniej...

- Co ty powiesz? Jeżeli posuniemy się zbyt daleko, to ich stracimy. Wiesz, kto mi to ostatnio tłumaczył? Nie kto inny jak sam ambasador Stanów Zjednoczonych w Wielkiej Brytanii! Na pewno to samo powiedział Melrose'owi, który to kupił, no i oczywiście z przyjemnością wstawił się za swoim przyjacielem Hawthorne'em. Nacisnął cię, a ty natychmiast się poddałeś! Wspaniale! Dam sobie rękę uciąć, że zwykle zmieniasz politykę redakcyjną przy kolacji, w czasie piętnastominutowego przemówienia ważnej osobistości, prawda?

- Przestań, dobrze? - Jenkins zacisnął usta. - Przykro mi, ale muszę ci to powiedzieć. Reagujesz w typowo kobiecy sposób, wszędzie widzisz męski spisek... - Machnął ręką. - Tak czy inaczej, chciałbym ci przypomnieć, że nie muszę wyjaśniać swoim dziennikarzom, dlaczego prowadzę taką, a nie inną politykę redakcyjną.. Jeżeli ci się nie podoba, to wiesz, co możesz zrobić...

- Czyżbyś miał na myśli złożenie wypowiedzenia? Och, teraz chyba jednak nie powinnam tego robić, bo właściciel mojej pieprzonej gazety właśnie zaprosił mnie na jeden ze swoich słynnych lunchów! To dla mnie ogromna szansa, chociaż jakoś nie mogę pozbyć się uczucia, że z tym zaproszeniem wiąże się kilka warunków, na przykład, żebym zachowywała się jak grzeczna dziewczynka... Żeby wymazała z pamięci temat Hawthorne'a i podała piłeczkę. Jeżeli się nie zgodzę, to całkiem możliwe, że zaproszenie zostanie w ostatniej chwili odwołane. Kto wie, może czeka mnie nawet zwolnienie! Dobry Boże, rzygać mi się chce na samą myśl o tym wszystkim...

- Spokojnie, zaraz, nikt tu nie mówi o zwalnianiu... - Jenkins nagle się przestraszył i zmienił ton. - Nie chcemy cię stracić, ja też tego nie chcę...

- Jasne, nie chcesz, żebym poszła z tym tematem do innej gazety, co zresztą jest całkiem niezłym pomysłem!

Jenkins otworzył usta, żeby rzucić jakąś ostrą odpowiedź, lecz zaraz je zamknął. Gini wcale nie byłaby zaskoczona, gdyby z miejsca ją zwolnił, ale Jenkins wyraźnie nie mógł sobie na to pozwolić. Było to dla niej bardzo interesujące spostrzeżenie.

- Niepotrzebnie tak się denerwujesz i wprowadzasz wątek ze zwolnieniem - powiedział pokojowo. - Musisz nauczyć się przyjmować fakty. Trudno, ten temat nie wypalił, ale będą inne. Pamiętasz naszą rozmowę o Jugosławii? Może nadszedł czas, żebyśmy do niej wrócili...

Jenkins mówił i mówił, a Gini przyglądała mu się zimno, z rosnącą niechęcią. Skoro był gotowy znowu rozmawiać o Jugosławii, to widać bardzo mu zależało, aby odsunąć ją od tematu Hawthorne'a i nie dopuścić, by poszła z nim gdzie indziej. Odwróciła wzrok i nagle przypomniała sobie, że w jej mieszkaniu może być podsłuch. W gniewie zupełnie zapomniała o tym aspekcie sprawy, lecz teraz zorientowała się, że może go wykorzystać. Jeżeli ktoś chciał ją podsłuchiwać, to dlaczego ona nie miałaby teraz powiedzieć tego, co pragnął usłyszeć? Pozwoliła Nicholasowi Jenkinsowi mówić, a gdy skończył, wzruszyła ramionami i westchnęła.

- W porządku, niech ci będzie - rzekła ostrożnie. - Może masz rację, chyba faktycznie zbyt żywiołowo zareagowałam... Naprawdę zastanowisz się nad wysłaniem mnie do Jugosławii?

- Jasne! - Twarz Jenkinsa rozpromienił uśmiech. - Zrozum wreszcie, że naprawdę cenię twoją pracę. Kobięcy punkt widzenia na sytuację w Bośni bardzo nam się przyda. Może zamieścilibyśmy całą serię twoich reportaży, razem ze zdjęciem... Tak, to chyba dałoby się zrobić...

- Mówisz poważnie?

- To więcej niż możliwe, moja droga. Powinnaś pójść na ten lunch u Melrose'a, a w przyszłym tygodniu moglibyśmy omówić listę nowych tematów. Moim zdaniem ta sytuacja wyjdzie ci na dobre, tylko nic nie spieprz, dobrze?

- Ale muszę zostawić sprawę Hawthorne'a, tak?

- Tak. I przestać gadać bzdury o złożeniu wypowiedzenia...

- W porządku. - Gini uśmiechnęła się pogodnie. - Umowa stoi... - Zawiesiła głos. - Nie chciałam cię wcześniej denerwować, ale jeśli mam być całkiem szczerą, to nie zrobiliśmy z Pascalem zbyt wielkich postępów... Natknęliśmy się na wiele tropów, lecz żaden z nich do niczego nas nie doprowadził. Mogłam pracować nad tym jeszcze wiele miesięcy i nic nie osiągnąć... Pascal ma takie same odczucia. Nie chcę marnować czasu, zwłaszcza jeżeli miałabym w perspektywie wyjazd do Jugosławii...

- Nie musisz nic więcej mówić. Masz to jak w banku.

- Martwi mnie tylko, że jestem kompletnie wykończona. - Rzuciła Jenkinsowi czujne spojrzenie. - Temat Hawthorne'a wyszał ze mnie siły. Nie zamierzam wchodzić w szczegóły, bo niby po co, ale chwilami naprawdę się bałam... Przydałby mi się krótki urlop, zresztą, mam jeszcze prawie cały za ubiegły rok...

- Weź urlop, odpocznij, nie widzę przeszkód. Tydzień? Dwa?

- Mogę wyjechać na dwa tygodnie? Jesteś pewny?

Jenkins był przekonany, że odniósł zwycięstwo i teraz wręcz tryskał dobrą wolą. Podszedł do Gini i położył rękę na jej ramieniu.

- Absolutnie. Jedź na dwa tygodnie w jakieś słoneczne miejsce i zapomnij o pracy. - Uśmiechnął się szeroko. - I nie odzywaj się do nas, dobrze? Już ja cię znam, drugiego dnia gotowa jesteś zadzwonić do redakcji z jakąś propozycją... Tym razem nawet o tym nie myśl, w porządku? Kiedy wrócisz, opalona i wypoczęta, zabierzemy się do pracy. Tylko może przed wyjazdem wpadnij na ten lunch u Melrose'a... Zresztą rób, co chcesz...

- Pójdę na lunch, skoro już mnie zaprosił, a potem kupię sobie bilet na samolot do jakiegoś pięknego ciepłego kraju. Boże, co to za wspaniałe pomysły! Słońce, wreszcie słońce, po całych miesiącach deszczu i szarugi...

Jenkins poklepał ją po ramieniu.

- Wiedziałem, że spojrzysz na to z właściwej perspektywy - powiedział na pożegnanie. - Doskonale, moja droga. Mądra z ciebie dziewczyna.

Gini zamknęła drzwi za Jenkinsem i poszła do sypialni. Leżąc na łóżku, rozważała poszczególne elementy rozmowy. Była spięta i podenerwowana, ponieważ

bała się, że lada chwila zadzwoni telefon i w słuchawce znowu odezwie się szepczący, podniecony męski głos, lecz na szczęście tej nocy nikt nie zakłócił jej snu. Kiedy obudziła się rano, przyszło jej do głowy, że spokojną noc zapewniła jej może rozmowa z Jenkinsem, ale oczywiście nie mogła być tego pewna.

Miała nadzieję, że o ósmej zadzwoni Pascal z wiadomością, iż wraca do Londynu, lecz telefon uparcie milczał. Była rozczarowana, ale pocieszała się, że może Pascal nie dzwoni, ponieważ obawia się podsłuchu. Postanowiła, że sama zadzwoni do niego trochę później, z automatu. Na razie musiała zdążyć na spotkanie z Lise Hawthorne w Regent's Park...

Długą chwilę siedziała, przygotowując się wewnętrznie do tej rozmowy, chociaż wiedziała, że Lise może się nie zjawić. Głaskała Napoleona, który zwinął się w kłębek na jej kolanach. Kot mruczał i z zadowoleniem mrużył oczy. Przesuwała palcami po delikatnych liniach plam na jego sierści i gładziła różowe poduszeczki łapek.

Parę minut przed dziewiątą wyszła z domu i wymijając korki, pół godziny krążyła po mieście, aby upewnić się, czy nikt jej nie śledzi. Potem skierowała się na południe. Zostawiła samochód w pewnej odległości od parku i dalej ruszyła pieszo. Piętnaście minut przed umówioną porą przekroczyła bramę Regent's Park.

## XXIV

Park był prawie pusty, w oddali dostrzegła tylko kilka sylwetek niezłomnych biegaczy, trenujących jogging dla zdrowia i formy. Minęła też parę osób z psami, spacerowały z pochylonymi głowami, aby przynajmniej trochę uchronić się przed ostrymi podmuchami wiatru. Poszła główną alejką w kierunku ogrodów rezydencji ambasadora, potem zboczyła na trawę i błoto zamlaskało pod jej butami.

Lise Hawthorne nie podała jej zbyt dokładnych wskazówek. Ogrody były rozległe i wcinały się w park kształtem podkowy. Przez jakiś czas Gini spacerowała po górnym łuku podkowy, w tę i z powrotem. Parę chwil później, chociaż chyba nikt jej nie obserwował, oddaliła się trochę i usiadła na doskonale usytuowanej ławce pośrodku trawnika. Minuty mijały powoli. Dziesiąta, dziesiąta piętnaście, dziesiąta

trzydzieści... Zziębnięta, czuła się coraz bardziej nieswojo. W czasie rozmowy z Lise, poruszona cierpieniem i bladością żony ambasadora, nie zwróciła uwagi na fakt, że jej wskazówki brzmią nieco dziwnie, a teraz zdała sobie sprawę, że Regent's Park nie należy do najbardziej ustronnych miejsc.

Czy to możliwe, że wcześniej Lise rzeczywiście umawiała się tu z McMullenem? Gini się zamyśliła. Może Lise miała na myśli dużo wcześniejszy okres, sprzed pięciu lub nawet sześciu miesięcy, kiedy nic nie wzbudziło jeszcze podejrzeń Hawthorne'a... Ponownie zaczęła zastanawiać się nad prawdziwą naturą związku McMullena i Lise, a po paru minutach, drżąc z zimna, podniosła się z ławki.

Zdecydowała, że jeszcze raz przejdzie wzdłuż ogrodzenia. Jeszcze pół godziny, pomyślała, starając się pamiętać, że miejsce, w którym mieszka Lise Hawthorne bardziej przypomina twierdzę niż dom. Zawróciła na północ i ruszyła w kierunku małego pawilonu przy wejściu na teren rezydencji, najeżonego antenami i kamerami.

Ogrodzenie otaczające tylną część ogrodów sprawiało naprawdę imponujące wrażenie. Trzymetrowe metalowe sztachety, z których każda zwieńczona była potrójnym szpicem uformowano w taki sposób, aby pokonanie ich było praktycznie niemożliwe - zupełnie gładkie, pokryte zostały specjalną farbą, zmniejszającą przyczepność każdego materiału. Między sztachetami widać było dom i wielki trawnik, lecz w wielu miejscach widok zasłaniały grupy wysokich krzewów iglastych. Gini nie miała wątpliwości, że pod osłoną krzewów umieszczono inne, mniej widoczne środki zabezpieczające. Tam, gdzie nie było krzewów, ogrodzenie wzmocniono kamuflującą siatką.

Deszcz powoli ustawał. Gini wyminął najpierw jakiś biegacz, a potem kobieta z czerwoną parasolką, prowadząca na smyczy miniaturowego, delikatnego pieska. Kiedy zbliżyła się do jednego ze znajdujących się na terenie parku stawów, zorientowała się, że tu alejka skręca w prawo i dalej biegnie w odległości co najmniej pięćdziesięciu metrów od ogrodzenia rezydencji.

Przed sobą miała dwa ozdobne mostki i plac zabaw dla dzieci. Na dalej położonym mostku stali mężczyzna i kobieta, którzy karmili kaczki, nie zwracając uwagi na deszcz. Przechodząc, spojrzała na nich, a oni uśmiechnęli się i powiedzieli coś na temat pogody. Oboje mieli koło sześćdziesiątki.

Gini minęła opuszczony plac zabaw. Znajdowała się teraz po południowej stronie ogrodów - miała je po prawej ręce. Trochę dalej, po lewej, widać było dużą miedzianą kopułę i wysoki minaret głównego londyńskiego meczetu. Jak zawsze uderzyło ją usytuowanie świątyni - w tym najbardziej angielskim z parków, w pobliżu zaprojektowanych przez Nasha tarasowych domów przy Hanover Gate, jej islamska egzotyka wydawała się doprawdy fascynująca. Minaret wznosił się na wysokość ponad trzydziestu metrów i był taki, jak na ilustracjach w *Baśniach z tysiąca i jednej nocy*, piękna miedziana kopuła zwieńczona półksiężycem. W środku angielskiego parku sąsiadowały ze sobą terytorium arabskie i amerykańskie - chyba niecałe sto metrów dzieliło islamską świątynię od rezydencji ambasadora Stanów Zjednoczonych.

Gini przystanąła między dwiema budowlami, pod grupą młodych kasztanowców. Z nagich gałęzi kapały krople wody. Zorientowała się, że znajduje się na lekkim wzniesieniu, którego zbocze łagodnie schodzi w dół po prawej stronie. Mogła zejść stąd wprost ku ogrodzeniu rezydencji. Zrobiła tak i podeszła na tyle blisko, żeby dotknąć sztachet. Z powodu grubo w tym miejscu położonej kryjącej siatki nie widziała nic, ale usłyszała jakieś głosy.

Po drugiej stronie ogrodzenia pracowali ludzie. Uszu Gini dobiegł zgrzyt łopat, potem ostre warczenie piły. Ktoś przycinał gałęzie starych drzew. Warkot piły ustał i nagle Gini wyraźnie usłyszała Lise Hawthorne, udzielającą wskazówek robotnikom.

- Nie, tę gałąź trzeba obciąć i te wyższe także... Rzucają zbyt gęsty cień, nic tu nie urośnie. Trzeba też wyciąć ten duży figowiec, bo rozsiewa się wszędzie dookoła, a mój mąż wolałby tu zasadzić małe himalajskie brzoźki. Pójdziemy teraz do lawendowej pergoli, dobrze? Niewiele z niej zostało po deszczu, ale cóż, trudno...

Głos Lise ucichł w oddali. Piła znowu zawarczała.

Gini wykonała pół obrotu do tyłu, zaskoczona i niepewna. Spojrzała na ogrodzenie, odwróciła się i nagle ostro wciągnęła powietrze. Biegacz, który minął ją wcześniej, stał pół metra za nią. Nie słyszała, jak się zbliżał. Ubrany był w czarny dres z kapturem, który prawie całkowicie osłaniał jego twarz.

Gini cofnęła się o krok i znieruchomiała. Mężczyzna wyglądał groźnie, ale nie wykonał żadnego ruchu w jej stronę. Przyjrzała mu się uważniej. Oddychając szybko,

podniósł rękę, żeby poprawić kaptur i wtedy Gini zobaczyła, że na lewej ręce nosi sygnet. Miał jasne włosy.

- Szuka pani Jacoba? - zapytał.

Jego głos brzmiał miło, mówił z typowo angielskim akcentem. Zawahała się.

- Przyszłam tu na spotkanie z jego przyjaciółką - powiedziała. - Ale tak, szukam Jacoba...

Mężczyzna podniósł głowę, kaptur opadł do tyłu. Oczywiście był starszy, ale Gini doskonale zapamiętała te rysy, bo często patrzyła na jego fotografię. Wydała cichy okrzyk. Przed nią stał James McMullen.

Już miała się odezwać, gdy McMullen obejrzał się i położył palec na wargach. Do parku właśnie wszedł jakiś mężczyzna.

- W British Museum, za godzinę - rzekł cicho. - Proszę tam na mnie czekać. Spotkamy się, jeżeli będzie to bezpieczne...

Mężczyzna zmierzał w ich kierunku.

- Może mi pani powiedzieć, jak tam dojść? - McMullen podniósł głos.

- Oczywiście - odparła Gini. - Musi pan przejść przez park i skręcić w lewo...

To dosyć daleko...

- Dziękuję, teraz już na pewno trafię...

Odwrócił się i ruszył we wskazaną stronę. Biegł szybko. Gini odwróciła się i spojrzała na zbliżającego się mężczyznę w ciemnym płaszczu. Minął ją bez cienia zainteresowania. Kiedy dotarła do alejki, jeszcze raz zerknęła przez ramię. Mężczyzna spokojnie szedł dalej. Na chwilę przystanął obok pary starszych ludzi, którzy nadal karmili kaczki. Kilkanaście metrów dalej podniósł rękę do twarzy.

Znajdowała się za daleko, aby mieć pewność, co właściwie zrobił. Mógł po prostu wykonać niewinny gest lub spojrzeć na zegarek; może poprawiał krawat, lecz równie prawdopodobne było, że powiedział coś do umocowanego przy przegubie mikrofonu. Przyspieszyła kroku. Na ulicy nie było żywego ducha. Kiedy znowu podniosła wzrok, mijiała meczet, a mężczyzna i James McMullen już dawno zniknęli z jej pola widzenia.



W ciągu dziesięciu minut dotarła do samochodu. Dwadzieścia minut później była pod British Museum, lecz przez następnych dwadzieścia krążyła dookoła, szukając miejsca do zaparkowania.

Wreszcie dobiegła do muzeum i szybkim krokiem weszła do holu. Tam zatrzymali ją wartownicy, którzy skrupulatnie przeszukali torbę. Pośpieszyła dalej, do wielkiej sali na parterze. Przystanęła. Ostatni raz była tu kilka lat temu i zdążyła już zapomnieć, jak ogromne jest to pomieszczenie. Muzeum było prawdziwym labiryntem, złożonym z galerii i korytarzy. Nie miała pojęcia, w którą stronę powinna się teraz udać.

- Chcę, żebyś zdjął Gini z tego tematu - powiedział Pascal. Znajdował się w gabinecie Nicholasa Jenkinsa, na piętnastym piętrze biurowca redakcji „News” i miał przed sobą widok na nowe, wciąż rozbudowywane doki. Za głową Jenkinsa widział dźwigi i rusztowania.

Jenkins uśmiechał się przyjaźnie i zgodnie kiwał głową. Była jedenasta przed południem. Pascal przyjechał tu prosto z lotniska. Spodziewał się, że czeka go kłótnia z Jenkinsem, tymczasem naczelny „News” w ogóle nie protestował. Wciąż z uśmiechem kiwał głową i rzucał mu zadowolone spojrzenia.

Pascal usiłował wyrzucić z pamięci obraz czarnego mercedesa, starał się nie myśleć o pięknej twarzy martwej Lorny Munro. Przez całą noc rozmyślał, jakimi kłamstwami uraczyć Jenkinsa, tymczasem teraz nie mógł oprzeć się wrażeniu, że Jenkins wyprzedza go o kilka kroków i jest tego w pełni świadomy. Pascal pochylił się nad blatem wielkiego biurka.

- Mam nadzieję, że wyrażam się w zrozumiały sposób - powiedział. - Nie będę pracował z Gini nad tą sprawą, chcę, żebyś ją od tego odsunął, jasne?

Za okularami w grubych oprawkach błysnęło rozbawione spojrzenie. Jenkins westchnął.

- Masz ci los... - odezwał się niewinnym tonem. - Co się stało? Brak porozumienia czy coś bardziej dramatycznego?

- Daj spokój, dobrze? Nie, nic z tych rzeczy. Gini świetnie sobie radzi, ciężko pracuje, jest bardzo dokładna, ale ja wolę pracować sam. Zawsze wolałem...

- Ostrzegałem cię. - Jenkins spojrzał na niego z wyrzutem. - Mówiłem, że jest dobra, ale upierdliwa...

- Nie zauważyłem - odparł chłodno Pascal. - Nie potrzebuję jej pomocy, to proste. Gini... - Zawahał się. - Gini pracowała wolniej. Nie chcę, żeby ktoś narzucał mi tempo. Do końca tygodnia mogę skończyć sprawę.

- Do niedzieli? - upewnił się Jenkins.

- Tak. Sądzę, że do niedzieli wieczorem będę miał zdjęcia i dam słowo, że sam załatwię to szybciej i sprawniej. Tak czy inaczej, to nie jest temat dla kobiety.

Jenkins uśmiechnął się lekko.

- Też przyszło mi to do głowy, kiedy dowiedziałem się o śmierci Appleyarda...

Pascal rzucił mu ostre spojrzenie. Poprzedniego wieczoru podjął mocne postanowienie, że nie pozwoli się sprowokować. Jeśli chodzi o tę sprawę, nie ufał nikomu, Jenkinsowi także, i nie zamierzał dzielić się z nim szczegółami.

- Spiesz mi się - powiedział. - Musisz zdecydować teraz, od razu. Jeżeli chcesz dostać zdjęcia, zdejmij Gini, to wszystko. - Wzruszył ramionami. - Próbowałem sam przemówić jej do rozsądku, ale bez skutku. Może posłucha ciebie, w końcu jesteś jej szefem. Zrób, co możesz, stań na głowie, jeśli będzie trzeba...

- Och, już to załatwiłem. - Uśmiech Jenkinsa był szeroki i pełen satysfakcji. - Wczoraj wieczorem, jeżeli chcesz wiedzieć. Ty nie umiałeś sobie z nią poradzić, a dla mnie to była bułka z masłem...

W pokoju zapanowało milczenie. Pascal uważnie patrzył na Jenkinsa.

- Wczoraj wieczorem odsunąłeś ją od tej sprawy? - zapytał.

- Tak jest. Najpierw trochę protestowała, była potwornie nieuprzejma, jeśli mam być szczery, ale w końcu przyznała mi rację. Niestety, Gini nigdy mnie nie lubiła. Oskarżyła mnie o uleganie naciskom z zewnątrz, konkretnie naciskom ze strony naszego drogiego szefa i właściciela, lorda Melrose'a, oraz przyjaciela wyżej wymienionego, jego ekscelencji ambasadora Stanów Zjednoczonych... - Przerwał i zmierzył Pascala baczny spojrzeniem. - Powiedziałem Gini, że w ogóle rezygnuję z tego tematu, co było chyba częściowo usprawiedliwione...

- A rezygnujesz z niego? - zapytał Pascal.

- Nie, mój drogi.

Jenkins wstał i podszedł do okna. Chwilę w zamyśleniu obserwował doki, a potem odwrócił się do Pascala. Szklą jego okularów załśniły w świetle.

- Gini uważa, że jestem zwykłym popychadłem - rzekł ostro. - Takim tam pieskiem kanapowym... Cóż, z czasem odkryje, jak bardzo się myliła. Takiego stanowiska jak moje nie osiąga się dzięki słabości. Nie można zrobić kariery, kłaniając się i spełniając wszystkie polecenia jakiegoś starego nudziarza, na przykład Melrose'a. Oczywiście, należy mu z uśmiechem przytakiwać, ale robić swoje, tyle że bardzo sprytnie. Unikać bezpośredniej konfrontacji do chwili, kiedy stanie się ona nieunikniona... Czyli na przykład wtedy, gdy gazeta jest już w druku albo gdy trafia do sprzedaży... W ten sposób, jeżeli tekst jest naprawdę dobry, stary piernik nie ośmieli się cię wyrzucić, a jeżeli mimo wszystko to zrobi, zyskujesz opinię nieustraszonego redaktora naczelnego, bohatera. Możesz się ugryźć w dupę, Melrose, bo ja i tak mam pięć innych propozycji pracy - oto moje podejście...

Pascal zgasił papierosa i zapalił następnego.

- Chyba powinieneś wyjaśnić mi, co się dzieje - rzekł powoli. - Bo nie ulega wątpliwości, że dzieje się dużo...

- Masz absolutną rację. - Jenkins wrócił za biurko, usiadł i sięgnął po słuchawkę. - Żadnych telefonów przez najbliższy kwadrans, Charlotte - polecił. - Żadnych, jasne? - Odłożył słuchawkę i spojrzał na Pascala. - Kiedy ostatnio spałeś? - zapytał. - Wyglądasz potwornie, ale chyba to dla ciebie nie nowina...

Pascal wzruszył ramionami.

- Mam powody - powiedział.

- Tak myślałem. Posłuchaj mnie, mój drogi, tylko uważnie... Po pierwsze, pojawiło się pytanie, kto poza nami wiedział, że macie zająć się tym tematem, pytanie, które nie dawało spokoju biednej Gini. Niestety, nie byłem z wami całkowicie szczery, ale teraz to naprawię. James McMullen wiedział, że daję wam sprawę Hawthorne'a. Uzgodniliśmy to w grudniu, kiedy przekazał mi taśmę. Dwa tygodnie później zniknął. To on poprosił, by przydzielić temat właśnie tobie. Zdziwiło mnie to, ale najwyraźniej McMullen znał nie tylko twoje obecne prace... Zaproponowałem też Gini, a on się zgodził. Nie mam zielonego pojęcia, komu jeszcze o tym powiedział, lecz mam pewne podejrzenie...

- Lise Hawthorne?

- Oczywiście... Istnieje też możliwość, że nasza rozmowa została podsłuchana. - Zmarszczył brwi. - Naturalnie, staraliśmy się być ostrożni, nigdy nie byłem w jego mieszkaniu, on nie przychodził tutaj, spotykaliśmy się z dala od wścibskich dziennikarzy, a wtedy, gdy rozmawialiśmy o was, byliśmy w Klubie Armii i Marynarki Wojennej. Powinieneś wiedzieć jeszcze o paru rzeczach, które dotyczą Johnny'ego Appleyarda. Myślałem, że Appleyard ma niewielki związek z historią Hawthorne'a i dlatego o nim nie wspomniałem. Dopiero po jego śmierci zrozumiałem, że popełniłem błąd. Teraz dochodzimy do naprawdę ciekawej części, a mianowicie do ostatniego weekendu i kolacji, na której byłem wczoraj z Gini. - Uśmiechnął się. - Oczywiście, towarzyszyłem jej za sprawą zbiegu okoliczności, ale właśnie wtedy dotarło do mnie, że ta sprawa to coś znacznie więcej niż zwykły skandal seksualny... - Jego twarz przybrała triumfalny wyraz. - Że wpadło nam w ręce coś naprawdę ważnego...

- Skąd ta pewność?

- Ponieważ zastosowano wobec mnie nacisk, bardzo mocny nacisk, co zawsze jest papierkiem lakmusowym, jeśli chodzi o wagę problemu... - Przerwał. - Co wiesz o lordzie Melrose?

- Jest właścicielem „News” i kilku innych gazet. Odziedziczył je po ojcu. Ma trzy dzienniki tutaj, dwa w Australii i po jednym w Kanadzie i Stanach. Przyjaźni się z Hawthorne'em, w każdym razie tak mówiła Gini...

- Zgadza się, lecz z naszego punktu widzenia najważniejszy jest fakt, że Melrose jest człowiekiem establishmentu. Ma przyjaciół we wszystkich liczących się miejscach, nawet w służbach specjalnych, chociaż nigdy się tym nie chwali. W rezultacie już wcześniej mieliśmy do czynienia ze zdejmowaniem tematów. Zwykle odbywa się to w następujący sposób: jakiś miły i dyskretny przedstawiciel określonej instytucji zaprasza Melrose'a na lunch w Athenaeum, Brooks's lub w innym równie wykwinnym lokalu i przy kawie odpowiednio przyciszonym głosem przekazuje mu pewną wiadomość. Jeżeli jedna z gazet Melrose'a jest akurat na tropie jakiejś delikatnej afery, tenże miły i dyskretny pan radzi lordowi, aby powstrzymał swoich ludzi. Daj spokój, stary, mówi, liczy się przede wszystkim bezpieczeństwo kraju, więc

lepiej załóż kaganiec swoim terierom. Melrose czasami słucha, a czasami przypomina sobie, że ma liberalne sumienie i wtedy mówi kumpłowi, żeby się odpieprzył. W ubiegły piątek Melrose był na jednym z takich lunchów.

- W piątek?

- Tak jest - Jenkins uśmiechnął się ironicznie. - Niestety, wcześniej zapomniałem mu wspomnieć o naszym dziennikarskim śledztwie w sprawie Hawthorne'a - fatalnie, prawda? Tak więc Melrose dowiedział się o nim z pewnym opóźnieniem, czyli dopiero w czasie lunchu, i nie był zachwycony. Szczerze mówiąc, wściekł się. Jego nastrój pogorszył fakt, że dyskretny stary kumpel z Eton był przerażająco dobrze poinformowany - nie dość, że wiedział o całej sprawie, to jeszcze znał nazwisko mojego źródła...

- Powiedział, że chodzi o McMullena?

- Melrose'owi? Oczywiście. Wyjaśnił mu też, że McMullen narobił sobie kłopotów. Poza tym, że podrzucił mi stek bzdur i kłamstw na temat znanej osobistości życia publicznego, w jakiś sposób naraził się znajomym Melrose'a, którzy już od pewnego czasu mieli go na oku. Brytyjskie służby specjalne zaczęły obserwować McMullena dawno temu, akta pęczniały...

- Melrose poinformował cię, że agenci służb specjalnych prowadzili już obserwację McMullena?

- Otóż to... W zeszłym roku do operacji przyłączyli się Amerykanie. Dokładnie w lipcu, na prośbę Johna Hawthorne'a. - Postukał palcami w blat biurka. - Melrose spanikował. Poprosił o weekend na przemyślenie sprawy, a jego kumpel przystał na to. W niedzielę rano, o siódmej trzydzieści, żeby było ciekawiej, do Melrose'a zadzwonił jego przyjaciel, John Hawthorne, i wtedy rozpętało się piekło... Melrose wezwał mnie do swojej rezydencji i kazał dokonać prostego wyboru - albo zdejmę temat Hawthorne'a, albo w poniedziałek rano uprzątnę swoje biureczko i złożę wypowiedzenie.

Pascal milczał. Zastanawiał się nad umiejscowieniem w czasie tych wszystkich wydarzeń. Hawthorne zadzwonił do Melrose'a następnego dnia po przyjęciu u Mary. Te manewry odbywały się w czasie, kiedy on i Gini byli w Wenecji... Spojrzał na Jenkinsa.

- Co zrobiłeś? - zapytał.

- Kupiłem sobie trochę czasu, a jestem w tym naprawdę dobry. Odegrałem rolę uczciwego dziennikarza, oburzonego faktem istnienia zawołowanej cenzury, i tak dalej. Postarałem się, żeby Melrose poczuł się jak podły faszysta, a ponieważ biedny staruszek lubi myśleć o sobie jako o liberalnym wydawcy, zupełnie zbiło go to z tropu. Dał mi czterdzieści osiem godzin na podjęcie decyzji, pod warunkiem, że w tym czasie nie puszczę do druku ani słowa na wiadomy temat. Zgodził się też skontaktować z kumplem ze służb specjalnych i zdobyć więcej informacji, ponieważ powiedziałem mu, że nie dam się zbyć ogólnikowym bełkotem o podejrzeniach wobec McMullena. Melrose tak bredził, że w ogóle nie wiadomo było, o co mu chodzi - czy McMullen jest agentem opłacanym przez Moskwę, czy tylko spóźnił się z zapłaceniem podatków. W efekcie Melrose potruchtał z powrotem do Athenaeum czy gdzieś tam indziej. Przyszedłem do redakcji w poniedziałek rano, dowiedziałem się o śmierci Appleyarda i natychmiast kazałem zająć się zbieraniem bardziej szczegółowych informacji naszemu włoskiemu współpracownikowi. Ściągnąłem też z archiwum wszystkie możliwe dane o Hawthornie. I to był błąd.

- Dlaczego?

- Bo jakiś podstępny skurwiol doniósł o tym Melrose'owi.

- Kto?

- Nie wiem, ale kiedy się dowiem, zabiję drania. Wreszcie, następnego dnia wieczorem, Hawthorne podjął następną próbę. Byliśmy na tym pieprzonym bankiecie. Hawthorne wygłosił wzniosłą mowę o wolności prasy i zaraz potem przyparł swojego starego kumpla Melrose'a do muru. Powiedział, że mógłby oskarżyć redakcję „News” o zniesławienie, i tak dalej, i tak dalej... Melrose kompletnie stracił głowę i tak wróciliśmy do punktu pierwszego - albo zdejmę temat, albo pożegnaj się z pracą.

- I zgodziłeś się? To było wczoraj wieczorem, tak?

- Jasne, że się zgodziłem. Nie zapominaj, że musimy grać na czas. Gini już nie pracuje nad tematem, co robi bardzo dobre wrażenie. Powinno to ich przekonać, że jestem grzeczny...

- Ale ty nie zamierzasz być grzeczny?

Jenkins rzucił mu bardzo ostre spojrzenie znad okularów.

- Nie znasz mnie zbyt dobrze - powiedział. - Genevieve Hunter też mnie nie zna. Ujmijmy to tak. Kiedyś byłem chłopakiem z robotniczej rodziny, który dostał stypendium w doskonałej szkole. Pobyt we wspomnianej szkole pozostawił we mnie trochę urazów. Nie przepadam za zwartymi organizacjami kumpli z doskonałych szkół, rozumiesz? Nie znoszę dawnych uczniów Eton, którzy zapraszają innych etończyków na lunch i wywierają na nich nacisk, domagając się wszelkiego rodzaju uprzejmości... I nie cierpię Amerykanów z dobrych protestanckich rodzin, którzy mówią jedno, a robią drugie. Kiedy ludzie z tych środowisk próbują mnie naciskać, od razu robię się podejrzliwy. Zaczynam się zastanawiać i zwykle dochodzę do wniosku, że jeżeli aż tak bardzo niepokoi ich jakaś sprawa, to musi to być coś poważnego. Może nawet poważniejszego, niż na początku sądziłem... - Otworzył szufladę biurka, wyjął z niej dużą szarą kopertę i przesunął ją w stronę Pascala. - Zajmij się tym - powiedział. - Ale bądź ostrożny, do kurwy nędzy... Nie mogę się w to angażować, oficjalnie nie wiem nawet, co ci chodzi po głowie, jasne? Kiedy zgromadzisz informacje, w każdej chwili możemy zaprzęgnąć Gini do roboty. Zrób w niedzielę te cholerne zdjęcia, a będziemy w połowie drogi. Będziemy mieli Hawthorne'a w garści i nawet Melrose nie osłoni swojego przyjaciela. Wtedy na serio dobierzemy się jego ekscelencji do skóry. Tu chodzi o coś więcej niż bicie blondynek raz w miesiącu, o coś więcej niż upodobanie do numerków z dziewczynami w czarnych rękawiczkach. McMullen może sobie uważać, że głównym tematem jest perwersyjny apetyt, który ogarnął Hawthorne'a mniej więcej cztery lata temu, ale ja mam inne zdanie. Czuję trop, wyczuwam, że nie jest to świeża sprawa, ale coś, co ma związek z o wiele wcześniejszymi wydarzeniami. Nie wiem jeszcze, co to za wydarzenia, lecz w tej kopercie znajduje się klucz do tajemnicy...

Pascal spojrział na kopertę. Była gruba i zaklejona.

- Co to jest? - zapytał.

- Szczegóły dotyczące przykładowej służby wojskowej Johna Hawthorne'a.

Wczoraj przefaksował mi je dobry znajomy z Waszyngtonu. Jest tam też parę informacji o McMullenie, których wcześniej nie znałem.

- Rzeczywiście jest podejrzany?



- Trudno powiedzieć. - Jenkins rozłożył ręce. - Część tych wiadomości pochodzi od dyskretnego przyjaciela Melrose'a, więc może są prawdziwe, a może nie. Jedno jest pewne, McMullen służył nie tylko w jednostce spadochronowo-desantowej. Wszystko wskazuje na to, że jest bardziej niebezpieczny, niż sądziłem... Najciekawsze są jego powiązania z Johnem Hawthorne'em, znacznie wcześniejsze niż się przyznał.

- To znaczy?

- To naprawdę dziwne, ale sięgają one czasów, o których Hawthorne wspomniał w swoim wczorajszym przemówieniu...

- Czyli?

- Wojny w Wietnamie - odparł Jenkins. - I co ty na to?

Gini powoli szła przez olbrzymią salę muzeum tuż przy wejściu. Doskonale wiedziała, że w pobliżu jest mnóstwo miejsc, z których ktoś może ją obserwować - schody, korytarze, zaułki. James McMullen mógł bez trudu ukryć się gdzieś tutaj i czekać na jej przybycie. Pomyślała, że na pewno jej się pokaże, kiedy uzna, że nadeszła odpowiednia chwila. Role myśliwego i zwierzyny zostały odwrócone.

Nie pozostawało jej chyba nic innego, jak tylko pochodzić po sali. W ten mokry i zimny styczniowy ranek w muzeum było niewielu zwiedzających - grupa dzieci, które nauczycielka właśnie prowadziła w kierunku sklepika, kilkoro dość apatycznych Japończyków z kamerami i jeszcze ze dwie osoby oglądające eksponowane na parterze klasyczne głowy i popiersia.

Jeszcze raz przeszła wzdłuż galerii i wróciła. Nic. W muzeum panowała senna, ciężka cisza, kroki rozbrzmiewały echem wśród ścian. Nikt się do niej nie zbliżał.

Po dłuższej chwili doszła do wniosku, że główna sala przy wejściu jest miejscem zbyt otwartym i publicznym. Weszła na pierwsze piętro po marmurowych schodach i natychmiast się zgubiła. Stała chwilę przy dużych gablotach, zawierających rzymskie monety oraz ceramikę, przeszła dalej i znalazła się w oszklonym zaułku, pełnym ślepych greckich głów.

Zbiegła o jedną kondygnację niżej, przeszła długim korytarzem, wspięła się na wyższy poziom i trafiła do egipskiej galerii. Mijając wysokie witryny z wizerunkami bóstw, mimo woli przyglądała się własnemu odbiciu, przypominającemu szklanego ducha. Raz usłyszała za sobą jakiś ruch, lekki krok, ale gdy się odwróciła, nie

zobaczyła nikogo. Pochylona nad gablotami, oglądała słoje na oliwę i ziarno, papirusowe zwoje, maleńkie ceramiczne figurki, które Egipcjanie umieszczali w grobowcach i imponujące ozdoby książąt, wyruszających w podróż do świata zmarłych. Patrzyła na bóstwa pod postaciami jastrzębi i kotów - ich malowane oczy napotykały jej roztargnione spojrzenie. Nasłuchiwała czujnie. Nic. Nadal była tu zupełnie sama. Przechodziła między rzędami mumii, leżących i siedzących, zamkniętych w pozłacanych i malowanych trumnach, i spowitych w bandażu.

Ileż tu było postaci śmierci, pięknych, przerażających i zróżnicowanych... Spojrzała na syna faraona, złożonego na wieczny spoczynek w szatach barwy szkarłatu, fioletu i błękitu, o malowanej twarzy promieniejącej spokojem. Powietrze przesiąknięte było zapachem kurzu. W starszej części muzeum, gdzie w tej chwili się znajdowała, gabloty i witryny tworzyły coś w rodzaju drugiego labiryntu, i Gini musiała dosłownie przeciskać się między zmarłymi. Miała wrażenie, że ją osaczają ze wszystkich stron, więc postanowiła poczekać w innym, mniej opustoszałym miejscu.

Dotarła do głównego wyjścia, wyszła na zewnątrz, kupiła gazetę i znowu wróciła do muzeum. Usiadła przy stoliku w kafejce, gdzie hałasowała szkolna wycieczka. Nikt do niej nie podszedł.

W porannym wydaniu „Evening Standard” zamieszczono artykuł o przemówieniu Johna Hawthorne'a, wygłoszonym na wczorajszym przyjęciu. Duży tytuł głosił: „Ambasador Stanów Zjednoczonych ostro krytykuje »nazistowskie« państwa arabskie”. Zdaniem Gini było to niezbyt trafne podsumowanie komentarzy Hawthorne'a, którego słowa i tak wywołały już burzę. Według „Stop Press” przed gmachem ambasady Stanów na Grosvenor Square oraz przed londyńskimi siedzibami kilku amerykańskich banków rozpoczęły się demonstracje, ich uczestnicy starli się z policją.

Gini napiła się kawy, odczekała piętnaście minut i wyszła. W pobliżu wejścia stały kabiny telefoniczne i stamtąd zadzwoniła najpierw do paryskiego studia Pascala, a potem do jego żony. Pod oboma numerami zgłaszała się tylko automatyczna sekretarka.

Może wraca do Londynu, pomyślała. Może już jest w drodze... Ta myśl od razu poprawiła jej humor.

Nie wychodziła z muzeum, chociaż czekała na McMullena od ponad godziny. Postanowiła podjąć jeszcze jedną próbę.

Tym razem wybrała schody do sal ekspozycyjnych znajdujących się w podziemiach. Światło było tu przyćmione, a odosobnione rzeźby, wśród nich najwybitniejsze eksponaty muzeum, wydobywało z półmroku kierunkowe światło reflektorów. Gini minęła marmurowe zdobycze lorda Elgina i fryz ze sceną bitewną, który kiedyś zdobił Partenon. Spojrzała na olbrzymie, wykute w marmurze konie, pieczołowicie oddaną broń i nieruchome postacie konających wojowników. Tu także nikt na nią nie czekał. Przeszła do następnej galerii i do kolejnej, w końcu stanęła na progu sali zawierającej eksponaty sztuki asyryjskiej, których nigdy dotąd nie oglądała.

Tu, skąpane w bocznym świetle, przykuwały wzrok całe ściany pokryte masywnymi reliefami. Gini stanęła przed wielką procesją mierzących ponad trzy metry królów, wojowników i kapłanów. Wszyscy oni trzymali w rękach dary i Gini próbowała skoncentrować się na workach ze zbożem, misach z winem i ofiarnych zwierzętach. Falangę płaskorzeźb skojarzyła z zawsze i wszędzie otaczającymi Johna Hawthorne'a ochroniarzami. Podstawowa różnica polegała na tym, że we współczesnym świecie ofiarami, jakie nieśli nowocześni wojownicy, były karabiny i pistolety, a nowocześniejszym księżętom w stylu Hawthorne'a nie towarzyszyli kapłani.

Nachyliła się, żeby odczytać umieszczony na tablicy krótki opis tamtych czasów i nagle usłyszała za sobą szmer - lekki krok, szmer tkaniny ocierającej się o kamień.

Nareszcie... Odwróciła się szybko i rozejrzała po sali. Wydawało jej się, że kątem oka dostrzeżę poruszenie wśród cieni przy drzwiach, lecz może było to tylko złudzenie. Pobiegła w tamtą stronę - galeria i korytarz były puste. Po obu stronach miała potężne rzeźby. Cofnęła się, oślepiona blaskiem lamp w galerii. Nie, nie było tu nikogo, ale z sali prowadziły jeszcze trzy inne wyjścia. Sprawdziła je pośpiesznie. Jeżeli nawet ktoś tam wcześniej był, najwyraźniej zdecydował się odejść.

Przystanęła, ogarnięta złością. Nie miała wątpliwości, że ktoś ją obserwował. Dlaczego McMullen bawi się z nią w kotka i myszkę? Stała teraz u stóp schodów na tyłach muzeum, w słabo oświetlonym holu. Z tego miejsca dokładnie widziała salę, w której oglądała asyryjskie rzeźby w chwili, gdy usłyszała za sobą szmer. Wielkie

kamienne wizerunki wojowników i kapłanów... Już miała zejść na dół, gdy nagle na jedną z rzeźb padł cień. Zaraz potem z boku posągu wyłonił się mężczyzna.

Ubrany był w ten sam ciemny płaszcz, jaki zwykle nosił, i poruszał się cicho, w butach na miękkich, elastycznych podszwach, opisanych przez Lise Hawthorne. Frank Romero. Stał przed rzeźbą, podniósł głowę i dotknął kamienia. Potem schylił się, jakby zamierzał dokładnie obejrzeć podłogę przed posągiem. Po chwili wstał i zaczął ostrożnie i cicho chodzić od rzeźby do rzeźby. Przyglądał im się z ogromną uwagą, zaglądał w załamania kamienia, wyraźnie szukając jakiegoś śladu czy może raczej ukrytej informacji.

Gini powoli cofnęła się w mrok, ku schodom. Nieoczekiwanie z ciemności wyłoniła się czyjaś ręka i zasłoniła jej usta. Na sekundę sparaliżował ją wielki strach. Zanim zdążyła się szarpnąć, czy choćby pomyśleć, poczuła, jak napastnik przyciąga ją blisko do siebie, tak by jego usta znalazły się tuż przy jej uchu. Jego oddech owiewał jej twarz.

- Nie krzycz i nie odzywaj się - odezwał się cichym, spokojnym, bardzo angielskim głosem.

McMullen, pomyślała Gini.

- Podam ci teraz numer, pod który zadzwonisz jutro w południe, rozumiesz? Jeżeli rozumiesz, kiwnij głową.

Gini wykonała polecenie. McMullen powoli i cicho podał cyfry, raz i drugi.

- Zapamiętałaś? Jutro w południe, z bezpiecznego telefonu. Punktualnie w południe, nie za pięć i nie pięć po. Teraz idź tymi schodami na górę, skreć w prawo, potem w drugi korytarz z lewej strony. Znajdziesz się w głównym holu. Kup kilka pocztówek, tak jakby była to normalna wizyta w muzeum, i wyjdź. Nie, nie oglądaj się... Wszystko zrozumiałaś?

Puścił ją. Gini, nie oglądając się, pobiegła schodami na górę. Szeptem powtarzała numer telefonu. Kiedy wsiadła do samochodu, wyjęła notes i ołówek, i drżącą ręką zapisała cyfry. Kierunkowy 0865... Oksford.

Miała wrażenie, że zna ten numer, ale nie była pewna i nie mogła sprawdzić tego od razu, ponieważ jej notes z adresami i telefonami został w domu.

Starala się jechać jak najszybciej, lecz wciąż zacinał gęsty deszcz i wszędzie napotykała korki. Omijała je, ale i tak pokonanie ośmiokilometrowej trasy zajęło jej prawie godzinę.

Zaparkowała na placu, zbiegła po schodach i wsunęła klucz do zamka. Notes leżał na biurku, obok telefonu. Pchnęła drzwi do salonu. Kiedy je zamykała, coś miękkiego otarło się o jej twarz.

Zrobiła jeszcze parę kroków w kierunku biurka, zanim jej umysł zarejestrował, że coś jest nie tak. Zatrzymała się. Żołądek ścisnął jej się ze strachu. Gdy zamykała drzwi, coś miękkiego otarło się o jej twarz, ale przecież tam nie powinno być niczego... Od wewnętrznej strony w drzwi wbity był haczyk, na którym nigdy nic nie wisiało...

Odwróciła się, spojrzała i wydała zdławiony okrzyk. Rzuciła się do drzwi, ale było już za późno, co najmniej o godzinę.

Ten, kto zabił Napoleona, z pewnością umiał zabijać. Zadusił go czarną pończochą, którą przysłano Gini tydzień wcześniej. Owinął nylon dookoła szyi kota, zacisnął węzeł, tworząc stryczek, i powiesił zwierzę na drzwiach. Ciało Napoleona już sztywniało. Na wargach i nozdrzach miał krew, drzwi poznaczone były śladami zadrapań w miejscach, gdzie próbował znaleźć oparcie dla łap.

Jak długo konał? Nikt nie mógł odpowiedzieć na to pytanie. Gini chwyciła kota w ramiona, zdjęła go z drzwi i przytuliła. Zaczęła płakać, mocno przyciskając go do piersi. Jej palce usiłowały rozwiązać stryczek. Kołysała Napoleona w objęciach i szlochała. W końcu zdołała ściągnąć pończochę z karku kota. Wtedy usiadła na podłodze i zaczęła przemawiać do martwego zwierzęcia. Głaskała jego futerko i ze wszystkich sił pragnęła uwierzyć, że miłość jest w stanie przywrócić życie. Ale Napoleon się nie poruszył. Jego ciało było boleśnie drobne i kruche.

Nie przestawała go głaskać, delikatnie dotykając wąsów i miękkich poduszeczek. Po długim czasie rozpacz zastygła, a łzy przestały płynąć. Gini podniosła głowę i przysięgła sobie, że teraz nikt już jej nie powstrzyma. Nie po tym.

Nadal siedziała na podłodze, tuląc Napoleona, kiedy pod domem zatrzymał się motocykl Pascala. Gini nie słyszała ani warkotu silnika, ani kroków na chodniku. Dopiero gdy wszedł do pokoju, usłyszała go i poczuła jego bliskość.

Spojrzała na niego. Zobaczyła, jak jego twarz zmienia się gwałtownie na widok porzuconej na podłodze pończochy i nieruchomego kłębaka w jej ramionach. Nigdy nie widziała go w takim stanie, dlatego zaskoczyło ją, że prawdziwy, głęboki gniew może przeistoczyć go w tak imponującą postać. Ten, kto czynił z Pascala swojego wroga, z pewnością popełniał błąd...

Zaraz potem twarz Pascala odzyskała łagodny wyraz, w jego oczach zabłysła niezwykła czułość. Schylił się i ostrożnie wziął Gini w objęcia.

- Nie płacz, moje kochanie - powiedział. - Znajdziemy ich, obiecuję ci to. Znajdziemy tych, którzy to zrobili.

## XXV

Pochowali Napoleona w małym ogródku za domem. Ziemia była miękka po deszczu, więc nie było to trudne. Pracowali w milczeniu, ramię w ramię. Kiedy skończyli, Pascal nachylił się do ucha Gini.

- Nie tutaj - szepnął. - Spakuj trochę rzeczy, musimy gdzieś pojechać. Mamy jeszcze trzy dni. Czas zniknąć.

Podróż była długa i dość skomplikowana, chociaż trasa krótka. Najpierw pojechali do małego hoteliku w St James's, gdzie Pascal często się zatrzymywał. Powiedział Gini, że dyrektor hotelu, jego stary znajomy, zadba, aby zarezerwowany pokój sprawiał wrażenie zajętego. Będzie wykonywał z niego telefony i każe zanosić tam jedzenie.

- W tym pokoju będą mieszkać nasze duchy. Natomiast my będziemy gdzie indziej. To powinno nam pomóc, przynajmniej na jakieś dwa dni. Potem spróbujemy czegoś innego, jeżeli będzie trzeba.

Pojechali dalej i po paru kilometrach zawrócili. Kiedy Pascal upewnił się, że nikt ich nie śledzi, wreszcie udali się we właściwym kierunku. Godzinę później dotarli do niewielkiego domu w Hampstead, położonego w samym sercu labiryntu wąskich, brukowanych alejek, niedostępnych dla samochodów. Pascal zaparkował motocykl w szopie za budynkiem.

- Byłem tu wcześniej i sprawdziłem dom - powiedział. - Jest zupełnie anonimowy, poza tym ma kilka innych plusów. Popatrz...

Wprowadził ją do środka i Gini przeszła po pokojach, z każdą chwilą coraz bardziej zdziwiona. Dom był kompletnie umeblowany i wyposażony, łóżko posłane, lodówka pełna zapasów, które powinny wystarczyć na kilka dni, świeże gazety porządnie ułożone w małym salonie. Wszystkie okna miały grube wewnętrzne okiennice z drewna, drzwi wzmocniono stalowymi sztabami.

- Kto tu mieszka? - zapytała Gini. - Co to za miejsce?

- Całkowicie bezpieczne. W tej chwili nikt tu nie mieszka na stałe. Należy do znajomej, która wiele razy dzieliła się ze mną różnymi interesującymi informacjami. Kiedyś była właścicielką najslawniejszego burdelu we Francji, potem wyniknęły jakieś drobne kłopoty z urzędem skarbowym. W rezultacie przyjechała do Londynu i zainwestowała resztki majątku w rynek nieruchomości. Ma teraz ponad siedemdziesiąt lat i wciąż jest niezwykłą kobietą. Wynajmuje ten dom byłym klientom, ludziom, którzy potrzebują bezpiecznego schronienia, bez podsłuchu i kamer.

- Znasz wiele takich osób?

- O, tak. Możemy tu spokojnie rozmawiać, kochanie. Dom jest wyposażony w odpowiedni sprzęt elektroniczny i jest regularnie sprawdzany. Nie jest bezpieczny w stu procentach, bo takie miejsca w ogóle nie istnieją, ale w dziewięćdziesięciu dziewięciu na pewno...

Przyciągnął ją do siebie i ujął jej ręce. Twarz Gini nadal była biała jak prześcieradło i poznaczona śladami łez. Delikatnie pocałował ją w czoło.

- Posłuchaj... - powiedział. - Idź na górę, rozpakuj rzeczy i weź prysznic. Nie, nie protestuj, zrób to, co mówię. Zobaczysz, że mimo wszystko poczujesz się lepiej. W tym czasie ja przygotuję coś do jedzenia. Potem, kiedy się wzmocnisz, dokładnie przyjrzymy się wszystkim elementom tej sprawy. Jesteśmy już blisko rozwiązania, kochanie, czuję to. Oderwane kawałki zaczynają układać się w spójną całość...

Gini odsunęła się na odległość ramion i zajrzała mu w twarz.

- Powiedziałeś, że poprosiłeś Jenkinsa, aby odsunął mnie od tego tematu. Dlaczego?



Pascal się uśmiechnął.

- Nie podejrzewałem, że już to zrobił, to chyba oczywiste... - przerwał. - Nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, co robimy, nawet Jenkins. Nie ufam mu w pełni, nie ufam nikomu, naturalnie poza tobą...

- Ale nie planowałeś zachować się tak, jak mu mówiłeś, prawda? Dajesz słowo?

- Daję słowo... - Pascal się zawahał. - Boję się o ciebie, kochanie i ze wszystkich sił będę się starał nas chronić. Nie pozwolę, żeby spotkało cię to, co Lornę Munro... - przerwał.

W odpowiedzi na jej niespokojne, pytające spojrzenie dokładnie opowiedział, co się stało i jak szybko do tego doszło. Gini z cichym okrzykiem ukryła twarz w dłoniach.

- Zabiliśmy ją... - jęknęła. - Zupełnie jakbyśmy podpisali wyrok skazujący...

- Przestań... - Pascal mocno przytulił ją do piersi. - Na początku też tak myślałem, ale to nieprawda. Nie było trudno ją znaleźć, każdy mógł to zrobić i zabić ją w dowolnym czasie i miejscu... Chyba rozumiesz, o co im chodziło? Zaczekali, aż ze mną porozmawiała i kazali mi patrzeć na jej śmierć. To miało być jedno z ich ostrzeżeń, tak jak Wenecja i Napoleon... Skorzystamy z ostrzeżenia, od dziś będziemy dużo ostrożniejsi, ale nie poddamy się, niezależnie od tego, co sądzi Jenkins czy ktokolwiek inny. Będziemy pracować razem i odniesiemy sukces. - Przerwał, jego twarz przybrała wyraz smutnej determinacji. - To, co powiedziałaś mi w Wenecji, pamiętasz? Słyszałem to, możesz mi wierzyć...

Kiedy Gini zeszła na dół, czuła się silniejsza i odświeżona. Z kuchni rozchodziły się smakowite zapachy. Pascal starannie nakrył stół - pośrodku stały dwie zapalone świece i mały afrykański fiołek w doniczce, przeniesiony tu z jednego z pokoi na piętrze. Świece były odrobinę przekrzywione. Gini ogarnęło prawdziwe wzruszenie. Pascal omiół swoje dzieło dumnym spojrzeniem. Potem z rozmachem otworzył drzwiczki piekarnika, zajrzał do środka i sprawdził temperaturę, zręcznie manipulując dwiema ścierkami. Gini stłumiła uśmiech. Doskonale wiedziała, że Pascal nie umie gotować. Z piekarnika wyjął całkiem niezłą wołowinę po burgundzku, którą oczywiście odpowiednio wcześniej kupił w sklepie z mrożonymi daniami.

- Niesamowite... - rzekł z uśmiechem, kiedy zabrali się do jedzenia. - To gotowanie jest o wiele łatwiejsze, niż sądziłem. - Otwierasz piekarnik, wkładasz potrawę do środka i gotowe, *voilà*...

- Bywa. trochę bardziej skomplikowane, jeżeli sam robisz wszystko od początku do końca.

- Naprawdę? - Spojrzał na nią poważnie. - Umiałabyś przygotować taką wołowinę, od początku do końca?

- Tak. Nie jest to takie trudne...

- Cudownie. Pielęgnuję kilka typowo francuskich przesądów, a jednym z nich jest pragnienie, aby kobieta umiała gotować.

- A gdyby nie umiała?

- No cóż, to nie kłopot, oczywiście, gdybym kochał ją dość mocno. Wtedy sam zacząłbym uczyć się sztuki gotowania albo codziennie jadalibyśmy w innej restauracji. Albo zamawiali pizzę do domu. Albo głodowali. Dopóki byłbym przy niej, nie miałyby to najmniejszego znaczenia. - Wstał zza stołu. - Teraz zaparzę kawę i porozmawiamy, zaczynając od samego początku. Ty pierwsza, kochanie.

I tak Gini opowiedziała mu, jedno po drugim, wszystkie wydarzenia ubiegłych dwu dni. Opowiedziała o Franku Romero i guzikach na jego blezerze. O spotkaniu z Lise i o tym, co powiedziała Mary. O dziwnej pocztówce, podpisanej imieniem „Jacob” i o długiej i przerażającej poniedziałkowej nocy.

Pascal słuchał uważnie, w milczeniu paląc papierosa. Kiedy Gini zaczęła mówić o nocnym telefonie i obscenicznym, szeptanym monologu mężczyzny, twarz Pascala pobladła z gniewu.

- Wzięłaś ze sobą nagranie? Daj mi je!

Wyszła z pokoju na czas, kiedy przesłuchiwał kasetę. Gdy wróciła i spojrzała na niego, pomyślała, że chyba jeszcze nigdy nie widziała go przepelnionego tak zimną, morderczą wściekłością. Dopiero po chwili przypomniała sobie, że kiedyś już widziała w jego oczach tę samą lodowatą mieszankę nienawiści i pogardy, kiedyś słyszała tę samą furję w jego głosie - było to w Bejrucie, w hotelu Ledoyen, podczas tamtej ostatniej krótkiej rozmowy z jej ojcem, rozmowy, której była milczącym świadkiem.

- Kim on jest?! - Pascal uderzył dłonią o stół. - Kto to? Hawthorne? Nie wiem, nie rozpoznaję tego głosu! A ty?

- Także nie, ale wydaje mi się, że to nie Hawthorne. Nie jestem pewna...

- Nie powinnaś była mówić mu, że pracujesz nad tekstem o seksie przez telefon! Co ci przyszło do głowy? Dlaczego to zrobiłaś?

- Zapytał, nad czym pracuję. Przecież nie mogłam powiedzieć, że nad tekstem o nim, prawda? Musiałam szybko coś wymyślić i po prostu tak mi się wymknęło... Swoją drogą przyszło mi do głowy, że nie byłoby źle, gdybym zobaczyła jego reakcję...

- Na miłość boską! - Pascal zrobił krótki, gniewny gest, lecz zaraz nad sobą zapanował. - Nieważne, nieważne... Nie ma sensu płakać nad rozlanym mlekiem. Jeżeli to nie Hawthorne, to kto? Romero? Czy możliwe, że to on?

- Nie wiem, naprawdę. Jestem jednak pewna, że Romero ma z tym coś wspólnego. Kiedy byliśmy w Wenecji, on miał wolny weekend. Mógł tam być. I dam sobie rękę uciąć, że guziki na jego swetrze były dokładnie takie same jak ten, który znalazłeś. Romero pracuje dla Hawthorne'ów od lat, służył razem z Johnem w Wietnamie i... O co chodzi?

- Nieistotne... Poczekaj, później ci to wyjaśnię. - Jego twarz przybrała dziwny, zamknięty wyraz. - Mów dalej. Co zdarzyło się wczoraj? Wiem, że wieczorem odbył się bankiet, na którym Hawthorne był honorowym gościem...

Gini streściła swoją rozmowę z dawnym wykładowcą McMullena, doktorem Anthonym Knowlesem, wizytę w agencji towarzyskiej, spostrzeżenia Jasona Steina i przemówienie Johna Hawthorne'a. Powiedziała też o obecności S.S. Hawthorne'a na przyjęciu.

- W trakcie przemówienia Hawthorne wspomniał o Wietnamie, tak? - upewnił się Pascal. - Jenkins mówił mi o tym. Co dokładnie powiedział?

Powtórzyła, usiłując przypomnieć sobie wszystkie szczegóły. Rzuciła Pascalowi niepewne spojrzenie.

- Powiedział, że prasowe doniesienia z Wietnamu pomogły zakończyć wojnę. Że ta wojna odmieniła Amerykę... O co ci chodzi? Dlaczego przyczepiłeś się do tego

wątku? Od zakończenia wojny minęło dwadzieścia lat, to nie może mieć nic wspólnego z tą sprawą...

- Może nie... - Na twarzy Pascala znowu pojawił się ten sam czujny wyraz.

Nie naciskała więcej. Skończyła opowiadać, nie mówiąc ani słowa o swoim powrocie do mieszkania i o Napoleonie. Nie chciała przeżywać tego raz jeszcze.

- Jestem przekonana, że tym człowiekiem w parku i w muzeum był McMullen - powiedziała. - Chciał porozmawiać, ale Frank Romero również tam był. Podał mi oksfordzki numer, w pierwszej chwili wydawało mi się nawet, że jest to ten sam, pod którym zastałam doktora Knowlesa, ale nie, sprawdziłam. Straszna szkoda, że nie rozumiem wiadomości, które McMullen przysłał, tych książek i pocztówki... Tak czy inaczej, jutro w południe powinniśmy zadzwonić pod ten numer. Wydaje mi się, że wkrótce albo my go odnajdziemy, albo on skontaktuje się z nami, a to już jakiś postęp.

Pascal zmarszczył brwi.

- Och, zrobiłaś duży postęp, bez dwóch zdań. Nareszcie zaczynam dostrzegać wiodący motyw tej sprawy, czy może raczej dwa - jeden prawdziwy i drugi, który miał wprowadzić nas w błąd. - Wstał, popatrzył na nią w zamyśleniu i wyciągnął rękę. - Chodźmy na górę, usiądziemy przy kominku. Opowiem ci moją historię, co na szczęście nie potrwa długo, bo wyglądasz na kompletnie wycieńczoną... Jeżeli jednak rysuje się realna możliwość, że w końcu uda nam się porozmawiać z McMullenem, powinnaś najpierw poznać kilka szczegółów...

- McMullen nie jest tym, za kogo go braliśmy? Pascal powoli potrząsnął głową.

- Nie. Niektóre informacje, zdobyte przez Jenkinsa, mogą być nieprawdziwe, trudno to ocenić, ale jedno wydaje się jasne. Rola McMullena nie ogranicza się wyłącznie do spieszenia z pomocą Lise Hawthorne. Okłamał Jenkinsa, a w każdym razie nie powiedział mu całej prawdy. McMullen może okazać się dużo bardziej niebezpieczny i podstępny, niż sądziliśmy.

W pokoju na piętrze Gini siedziała w milczeniu, słuchając Pascala. Kiedy skończył, westchnęła ciężko.

- Zaczynam rozumieć... - powiedziała. - Co za głupiec z tego Jenkinsa...

Dlaczego od początku nie był z nami szczery? Pascal wzruszył ramionami.

- Przecież wiesz, jaki on jest. Muszę zresztą przyznać, że zmieniłem o nim zdanie. Nie znaczy to, że go nagle polubiłem, ale widzę, że jest twardy i na pewno nie głupi. Teraz powinien się jednak pilnować...

- W porządku, myliłam się co do niego. - Gini pokiwała głową. - Nie jest niczym sługusem. Ale dlaczego nie mógł po prostu powiedzieć, że to Appleyard podrzucił mu ten temat? Zapytałam go o to wprost, a on nadal szedł w zaparte...

- Cóż, z jego punktu widzenia nie było to kłamstwo. - Pascal uśmiechnął się lekko. - Kiedy zaczął rozmawiać o tym z Appleyardem, a było to jesienią ubiegłego roku, Appleyard powtórzył mu tylko kilka plotek z Waszyngtonu, głównie o złym stanie zdrowia Lise Hawthorne. Potem Appleyard próbował węszyć dookoła londyńskich lekarzy Lise, ale nic mu to nie dało...

- To nie wszystko - przerwała mu Gini. - James McMullen naprawdę skontaktował się z Appleyardem, więc był to temat Appleyarda. Nerozważnie wspomniał o nim Jenkinsowi, a ten dopuścił się bezczelnej kradzieży!

- Takie grzechy stale zdarzają się w prasowym świecie. Dobrze o tym wiesz, więc czemu się dziwisz? Zresztą, zastanów się chwilę, to nie było takie proste. McMullen powiedział tylko Appleyardowi, że powinien dać sobie spokój z Lise, za to dokładniej przyjrzeć się jej mężowi. Zasugerował, że Hawthorne zdradza żonę, ale nic więcej.

- Dobrze, dobrze, może przesadzam, lecz moim zdaniem to zwykła kradzież tematu, i tyle. Opowiedz mi wszystko jeszcze raz.

- Posłuchaj, wydarzenia nastąpiły w takiej kolejności... McMullen podpuścił Appleyarda. Musiał dowiedzieć się, że ten szuka informacji o chorobie Lise, więc podrzucił mu sugestię o niewierności Johna, ale tylko sugestię, nic konkretnego. Mamy tu pierwszy dowód, że McMullen wcale nie jest taki naiwny, jak wydawało się to Jenkinsowi. Potem Appleyard wspomniał o sprawie Jenkinsowi i na własne nieszczęście wymienił źródło informacji.

- Jenkins poczuł się jak kot, który dostał śmietankę zamiast mleka, bo dobrze znał tego człowieka i od razu się zorientował, że może zrobić temat bez pomocy Appleyarda - wtrąciła Gini. - Inaczej mówiąc, uznał, że nie potrzebuje Appleyarda.

- To prawda, ale czy możesz go za to winić? Czy ty sama chciałybyś pracować nad naprawdę ważnym tematem, mając na karku Johnny'ego Appleyarda?

- Jasne że nie, zwłaszcza gdybym była Jenkinsem. Jenkinsowi zależałoby na dwóch rzeczach. Po pierwsze, na wyłączności, a po drugie, na sprzedaniu tekstu na cały świat, oczywiście przy założeniu, że okazałby się przebojem. Tymczasem Appleyard próbowałby sprzedać temat wszystkim gazetom, jakie by mu przyszły do głowy bo na tym polegała jego praca, w ten sposób robił duże pieniądze...

- Właśnie. Dlatego Jenkins szybciotko zrezygnował z jego usług. Nie było to trudne. McMullen odbył już kilka rozmów z Appleyardem i nie był zachwycony. Znacznie bardziej spodobał mu się pomysł współpracy z Jenkinsem, Anglikiem i dawnym kolegą szkolnym. McMullen przestał więc odpowiadać na telefony Appleyarda, w każdym razie tak sądzi Jenkins. My wiemy, że było inaczej - McMullen musiał pozostać w kontakcie z Appleyardem. To Appleyard znalazł mu Lornę Munro. McMullen zorganizował wysyłkę czterech paczek. Jasno widać, że McMullen od pierwszego dnia grał nieczysto... - Pascal przerwał. - Więcej, podejrzewam, że Lise Hawthorne pomagała mu i nadal pomaga, nawet teraz.

Gini zmarszczyła brwi.

- Teraz? Przecież powiedziała mi coś zupełnie innego, że nie rozmawiała z McMullenem od jego wyjazdu z Londynu.

Była we łzach, absolutnie zrozpaczona, trzęsła się jak osika. Błagała, żebyśmy go znaleźli, powtarzała, że nie wie nawet, czy on jeszcze żyje. Odniosłam wrażenie, że...

- Że co?

- Że bała się, czy go nie zabito. Chyba uważała, że mógł to zrobić Romero, w czasie tamtego weekendu. Ale może było to tylko wrażenie...

- Zastanów się nad tym... - Pascal pochylił się ku niej. - Lise powiedziała ci, że nie kontaktuje się z McMullenem, chociaż mogła zadzwonić z tego baru, i umówiła się z tobą na spotkanie w Regent's Park, tak? Nie pojawiła się w parku, za to przyszedł tam McMullen. Nie wydaje ci się to dziwne? Zbieg okoliczności? McMullen biegał po parku przez ostatnie trzy tygodnie, czy jak? Nie wierzę w to. To spotkanie musiało być przygotowane...

- Niekoniecznie. Lise mówiła, że wcześniej zawsze tam się z nim spotykała, właśnie o tej porze. Może przyszedł w nadziei, że się z nią zobaczy.

- W porządku, nie możemy tego wykluczyć, chociaż moim zdaniem zakrawa to na zbyt szczęśliwy przypadek...

- Ale przecież wiemy, że Lise i McMullen są zaangażowani w tę sprawę! On próbuje jej pomóc, słyszałeś pierwszą taśmę...

- Tak, z McMullenem w roli błędnego rycerza. - Rzucił jej chłodne spojrzenie. - Jest w niej zakochany do szaleństwa i chce uwolnić ją od męża-sadysty... Może i tak, byłbym gotów w to uwierzyć, gdyby nie pewien drobny szczegół. McMullen prowadził już kampanię przeciwko Hawthorne'owi, wiele lat temu... - Pascal wstał. - Masz tę pocztówkę, tę podpisaną „Jacob”? Porównajmy charakter pisma z kopiami listów, które tu mam...

- Listów? Jakich listów?

Pascal sięgnął po dużą szarą kopertę, którą dał mu Jenkins i wyjął z niej gruby plik kartek. Gini zobaczyła, że część z nich stanowią wycinki prasowe. Pascal podał jej trzy kartki. Odbito na nich napisane ręcznie listy, z londyńskim adresem u góry strony. Gini drgnęła. Adresatem wszystkich trzech był John Hawthorne, nadawcą zaś James McMullen.

- Daty... - Gini podniosła wzrok. - 1969... 1970... 1972... W 1972 roku Hawthorne został po raz pierwszy wybrany do Kongresu. Co to jest?

- Przecież widzisz, prośby, bardzo uprzejme prośby o informacje na temat okresu służby Hawthorne'a w Wietnamie. Jeden z sekretarzy Hawthorne'a równie uprzejmie odpowiadał na te listy. Mam tu kopie...

- Nie rozumiem... W jaki sposób trafiły w ręce Jenkinsa?

- Przez przyjaciela lorda Melrose'a, urzędnika ministerstwa spraw wewnętrznych, najprawdopodobniej służb specjalnych, który być może dostał je od wywiadu brytyjskiego, amerykańskiego lub nawet samego Johna Hawthorne'a. Naturalnie, mogą być sfalszowane, ale charakter pisma jest dokładnie ten sam, spójrz na pocztówkę...

- Tak, tak, to prawda... - Gini szybko przeniosła wzrok z kopii listu na kartkę. - Nadal nic nie rozumiem... Dlaczego McMullen szukał informacji o służbie



Hawthorne'a w Wietnamie i to w tych latach... Przecież było to... Zaraz, kiedy? Po tym, jak rzucił studia...

- I zanim wstąpił do wojska. Tak.

- Czyli w tym okresie, o którym nic nie było wiadomo... Dziwne... Ale dlaczego? Jaki związek może to mieć z obecną sprawą? Randki z blondynkami a wojna w Wietnamie? Zupełnie bez sensu...

- Może dla nas, ale nie dla McMullena. Spójrz na to... - Podał jej następną kartki. - Kopie listów, które McMullen wysłał do pewnego amerykańskiego senatora w 1971 roku... Do senatora Melville'a, zmarłego kilka lat temu... Wtedy Melville był szefem komisji Senatu do spraw wojskowych, znanym przeciwnikiem wojny w Wietnamie. McMullen zasypywał go listami i dowodami. W listach wspomina o załącznikach, których tu nie mamy. Usiłował nakłonić senatora do wszczęcia dochodzenia w sprawie postępowania amerykańskich żołnierzy jesienią 1968 roku, ze szczególnym uwzględnieniem wydarzeń, które miały miejsce w małej wietnamskiej wiosce... - Zawahał się i Gini znowu ujrzała ten dziwny wyraz na jego twarzy. - W wiosce, która nazywała się My Nuc

- My Nuc? - Ściągnęła brwi. - Brzmi to jakoś znajomo, ale nie mogę sobie przypomnieć, skąd...

- Nic dziwnego - powiedział Pascal. - W 1968 roku miałaś dwa lata, kiedy wojna dobiegła końca siedem, nie, osiem... Ja byłem nastolatkiem, a i tak nazwa My Nuc z niczym mi się nie skojarzyła. Tak czy inaczej, sprawa My Nuc była bardzo znana, krótko, ale jednak. Stała się jednym z przykładów amerykańskiego heroizmu. Właśnie w My Nuc oddziały Vietcongu odcięły amerykański pluton, który wytrzymał tam prawie dwa tygodnie, pod stałym ostrzałem... W szczególny sposób wyróżnił się porucznik, który został potem odznaczony za bohaterstwo. Nazywał się John Hawthorne.

Gini usłyszała ton współczucia w jego głosie i nagle tknęło ją złe przeczucie.

- Nie rozumiem... - powtórzyła. - Skąd to wszystko wiesz?

- Kiedy McMullen zaczął zadawać pytania na temat tego, co wydarzyło się w My Nuc, gdy wreszcie oświadczył, że rzeczywistość nie miała wiele wspólnego z oficjalną wersją źródeł wojskowych, senator Melville mógł wysłać mu zwięzłą i

jednoznaczną odpowiedź. To ten list, widzisz? Utrzymany w ostrym, wręcz gniewnym tonie. Nie było gwałtów, plądrowania, zabójstw... A dlaczego senator był tego taki pewny? - Pascal podał Gini ksero długiego artykułu. - Pewność, że wersja oficjalna pokrywa się z rzeczywistością, opierał na zeznaniach niezależnego świadka, dziennikarza, który towarzyszył plutonowi Hawthorne'a przez cały czas oblężenia. Później ten dziennikarz sporządził szczegółowy opis wydarzeń. Nie było to jego najlepszy tekst, lecz razem z wieloma innymi, które napisał w tym samym roku, pomógł mu zdobyć nagrodę Pulitzera...

Gini popatrzyła na kartkę, którą trzymała w ręce i zamknęła oczy. Nagle usłyszała głos Hawthorne'a, który parę dni temu, na przyjęciu u Mary, opowiadał jej właśnie o tym, jak przez trzy dni jej ojciec siedział razem z nim pod ogniem wietnamskich karabinów. *On wyżerał moje racje żywnościowe, ja pochłaniałem zawartość jego manierki... Nie jestem pewien, czy była to odwaga, czy ślepa głupota...*

Podniosła pobladłą twarz i spojrzała na Pascala. Czowała, jak ta opowieść zawiązuje się i w nowym kształcie wnika w jej świadomość; widziała niepokój w oczach Pascala. Rzuciła kartki na podłogę.

- W takim razie McMullen jest kłamcą - rzuciła. - Nic mnie nie obchodzi, jakie oskarżenia stawiał wtedy i nie jestem już pewna, czy interesuje mnie to, co mówi teraz. Ten człowiek jest podejrzany, sam tak powiedziałeś...

- Kochanie, nie mówiłem...

- Posłuchaj mnie! - Gini wstała, drżąc na całym ciele. - Jeżeli McMullen sugeruje, że mój ojciec mógłby kryć czyjekolwiek brudne wojenne sprawy, to kłamie, i tyle. Wiem, że nienawidzisz mojego ojca i wiem, jaki on jest. Nie mam złudzeń. Pije za dużo, przechwała się, a w ostatnim czasie stał się leniem, ale kiedy był młodszy, zresztą nawet teraz... Ojciec nigdy by nie skłamał, nie zniekształcił prawdy... - Z trudem przełknęła ślinę. - Nie był wzorowym mężem dla Mary ani ojcem dla mnie, ale naprawdę był dobrym reporterem. Najlepszym, jednym z najlepszych dziennikarzy...

Zapadła cisza. Odwróciła się i Pascal widział, jak walczy, aby zapanować nad sobą. Schylił się i schował papiery do koperty, a potem otoczył Gini ramionami. Za wszelką cenę chciał teraz uniknąć konfliktu z powodu jej ojca. Już raz popełnił ten błąd, dwanaście lat temu, i nie zamierzał go powtarzać.

- W porządku... - powiedział. - Zaczniemy więc od tego punktu... Jeżeli McMullen kłamał czy wmawiał sobie pewne rzeczy wiele lat temu, chociaż nie mam pojęcia, jak i dlaczego zainteresował się tymi wydarzeniami, to jest to możliwe i teraz. Jest jeszcze jedno rozwiązanie, może McMullen z jakiegoś powodu celowo oczernia Hawthorne'a. Tak czy inaczej...

Gini odwróciła się do niego z nową nadzieją w oczach.

- Tak czy inaczej, wiele powinno się wyjaśnić, kiedy go w końcu spotkamy, a liczę, że nastąpi to naprawdę niedługo...

- Jutro?

- Tak myślę. Zobaczymy... - Przerwał i spojrzał jej prosto w oczy. - Wiesz, jak bardzo cię kocham, prawda?

- Tak.

- Więc chodźmy do łóżka.

Następnego dnia o dziewiątej rano Gini i Pascal znajdowali się w ostatniej z kilku taksówek, którymi pokonali stosunkowo niewielką odległość od Hampstead do St John's Wood. Na prośbę Pascala taksówkarz przejechał ulicą w pobliżu Avenue Road najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Kilka dużych domów oznaczonych było tablicami z napisem „DO WYNAJĘCIA” i Pascal bacznie im się przyglądał.

Wysiedli obok dawnych koszar wojskowych, dokładnie o dziewiątej trzydzieści. Parę minut później rozmawiali już z agentem nieruchomości, oglądając jeden z domów, które wcześniej minęli. Była to miniaturowa kopia pałacu St John's Wood, w pełni umeblowany i utrzymany w wyjątkowo złym guście. Pascal zerknął na Gini i stłumił uśmiech. Obejrzelni piętro, a teraz wrócili do salonu.

- Czas na decyzję, skarbie - odezwał się. - Co o tym myślisz?

Spojrzała na niego spod oka. Okręciła na palcu udające obrączkę kółko od żabki do zasłon i podeszła do okna wychodzącego na tyły domu.

Za marszczonych zasłonek z różowego jedwabiu widać było taras i białe krzesła ogrodowe w stylu rokoko. W rogu znajdował się duży wbudowany na stałe grill, dalej zaś trawnik z paskudną białą statua i ogrodzenie. Za ogrodzeniem, w odległości mniej więcej piętnastu metrów, widniały otynkowane na biało ściany, gotycki portyk i okna domu, którego adres podała im Lise Hawthorne. Zanim weszli

do biura nieruchomości, Pascal wyjaśnił Gini, że dom, który właśnie oglądali, jest idealnym miejscem obserwacji, skąd w najbliższą niedzielę bez trudu wykona potrzebne fotografie. Z tylnych okien rozpościerał się doskonały widok na podjazd, gdzie John Hawthorne miał zabrać kolejną blondynkę.

- Nie jestem pewna, kochanie - odparła suchym głosem. - To miły dom, ale od tyłu trochę za bardzo otoczony innymi posesjami...

Pascal pośpiesznie odwrócił się do agenta, który nie sprawiał wrażenia optymisty i wyraźnie odwlekał moment, kiedy będzie musiał wymieć kwotę, jakiej właściciele domu żądali za wynajem.

- Moja żona ma wysokie wymagania - rzekł Pascal. - W ciągu ostatniego tygodnia obejrzelismy chyba z pięćdziesiąt domów. Niewykluczone, że zdecydujemy się na ten, ale musielibyśmy szybko załatwić formalności. Chciałbym wprowadzić się tutaj w sobotę rano, a dziś mamy czwartek. Jeżeli da się to załatwić...

Zawiesił głos. Agent zamrugał, całkowicie zaskoczony. Dom stał pusty przez ostatnie osiemnaście miesięcy, w okolicy nie brakowało dużo lepszych po znacznie korzystniejszej cenie. Zrozumiał, że jeżeli natychmiast nie zareaguje, prowizja przepadnie.

- Oczywiście, jestem pewny, że jest to do załatwienia - powiedział szybko. - Jak państwo widzą, dom jest świetnie wyposażony... - Wykonał szeroki gest, obejmujący ocean różowego brokatu. - Płatne za trzy miesiące z góry, naturalnie. Będziemy też musieli potwierdzić referencje, ale to zwykła formalność. Mogę osobiście dopilnować, aby w sobotę z samego rana włączono gaz, elektryczność i telefon...

- Zapłacimy czekiem bankowym, jeszcze dziś rano - oświadczył Pascal. - I nie widzę żadnego problemu, jeśli chodzi o referencje. Ile wynosi komorne?

Agent przełknął ślinę i ze wzrokiem utkwionym w różowe żaluzje wymienił sumę. Spodziewał się okrzyków oburzenia i niedowierzania, ale klienci milczeli. Stali teraz przy oknie i podziwiali ogród za domem.

Popatrzył uważnie na parę młodych ludzi, którzy przybyli do jego biura pieszo. Kobieta, którą od razu uznał za atrakcyjną, ubrana była z niedbałą elegancją, jej mąż miał na sobie czarną skórzaną kurtkę i džinsy. Włosy miał trochę za długie... Agent westchnął. Kiedyś potrafił ocenić zamożność klienta na podstawie stroju, ale ostatnio

ta metoda coraz częściej okazywała się zawodna. Ludzie, którzy wyglądali na niezamożnych, mogli pracować w show-biznesie i być irytująco bogaci. Doszedł do wniosku, że ci sprawiają wrażenie muzyków. Za dużo pieniędzy i zero rozsądku, pomyślał.

Wrócili do biura i szybko podpisali umowę najmu. Potem rozpromieniony agent odprowadził ich do drzwi.

- Wydaje mi się, że znam pana twarz... - zagadnął, wiedziony ciekawością i zazdrością. - Jest pan muzykiem rockowym, prawda?

Francuz wykonał skromny gest.

- Jak pan zgadł? - Uśmiechnął się.

Pół godziny później w biurze agenta rozdzwonił się telefon. Kiedy podniósł słuchawkę, usłyszał męski głos z amerykańskim akcentem.

- Czy przypadkiem zastałem jeszcze pana Lamartine? - zapytał.

Agent wyjaśnił, że pan Lamartine niedawno wyszedł.

- Och, co za szkoda... Miałem nadzieję, że go złapię... Jestem jego asystentem... Powiedział, że zadzwoni, jeżeli zdecyduje się wynająć dom, żebym mógł przyspieszyć formalności w banku... Musiał zapomnieć... Przez całe przedpołudnie ma jedno spotkanie za drugim, niestety...

- Zdecydował się - odparł agent. - Mam już gotową umowę ze wszystkimi danymi, właśnie wpisuję szczegóły...

Asystent pana Lamartine zapisał sobie niektóre informacje.

- Bardzo dziękuję za pomoc - powiedział.

O jedenastej byli już z powrotem w bezpiecznym domu w Hampstead.

- Jeszcze godzina i dzwoniemy - oznajmiła Gini. Pascal kiwnął głową. Widziała, że on także jest spięty.

- Zaparzę kawę - powiedział. - Muszę przemyśleć parę spraw...

- Nie potrafisz myśleć bez kofeiny? - zapytała z uśmiechem.

- Pewnie że potrafię, ale z kofeiną wychodzi mi to o wiele lepiej. Zrobię listę, spiszę wszystko, co wiemy o McMullenie. Żadnych plotek, żadnych przypuszczeń, wyłącznie fakty.

Zszedł na dół, do kuchni. Gini usłyszała warkot młynka do kawy. Usiadła przy stole w salonie i przysunęła telefon, żeby mieć aparat w zasięgu ręki. Zdjęła zegarek i położyła go na stole obok.

W drodze powrotnej wstąpiła do księgarni w Hampstead z nadzieją, że uda jej się kupić te same trzy książki, chociaż na pewno nie w tych samych wydaniach, jakie znalazła w mieszkaniu McMullena i teraz położyła zakupy na stole. Udało jej się znaleźć *Raj utracony* i położyła ją obok tej znalezionej w Wenecji, tak samo zrobiła z książką *Ballady o Sad Cafe Carson McCullers. Oksfordzkiej antologii poezji współczesnej* nie udało jej się kupić, lecz w ostatniej chwili zdecydowała się na duży atlas drogowy całego kraju, wyposażony w dokładne plany ulic trzydziestu największych miast, między innymi Oksfordu. Wyjęła kartkę papieru z cyframi, znaną wewnątrz ramki fotografii Lise Hawthorne i pocztówkę z reprodukcją obrazu Uccella od „Jacobca”. Nie miała teraz czasu, aby poprosić o konsultację przyjaciela Mary, specjalizującego się w łamaniu szyfrów, postanowiła sama podjąć ostatnią próbę.

Odniesienie cyfr do numerów stron i kolejności słów nie przyniosło żadnego rezultatu. Zagadkę trudno było rozwiązać między innymi dlatego, że cyfr na kartce było naprawdę niewiele; oznaczało to, że wiadomość musi być bardzo krótka. Gini długo siedziała z ołówkiem i kartką, nie mogąc pochwalić się żadnymi sukcesami. Przerzuciła kilkanaście kartek poematu Milтона, szukając zaznaczonego miejsca, o którym mówił Pascal. Pamiętała *Raj utracony* ze szkoły i, o dziwo, przypomniała sobie nawet ten konkretny fragment. Pochodził z Księgi pierwszej i opisywał stan ducha szatana po utracie łaski:

*Teraz dręczy go myśl*

*O utraconym szczęściu i nieprzemijającym cierpieniu...*

W poprzednim fragmencie szatan został wygnany z raju - Gini dość dokładnie pamiętała opis jego upadku. Niestety, to także jej nie pomogło. Przygnębiona porażką, pochylała się nad atlasem drogowym i zaczęła szukać słynnych ulic w centrum Oksfordu. Znalazła college McMullena, Christ Church, High Street, skrzyżowanie Carfax oraz St Giles...

I wtedy, na skraju centralnej części miasta, gdzie przeważały budynki uniwersyteckie, zobaczyła Paradise Square i Paradise Street, jedno i drugie ze słowem „raj” w nazwie.

W tej samej chwili zrozumiała przesłanie McMullena - cyfry nie odnosiły się do stron, lecz do tytułów książek; musiało ono być krótkie, ponieważ składało się z adresu, wyłącznie z adresu... Szybko chwyciła kartkę i zaczęła pisać. Kiedy Pascal wrócił ze świeżo zaparzoną kawą, triumfalnie podniosła kompletną wiadomość.

- Udało mi się! - zawołała. - Popatrz! McMullen naprawdę zostawił dla nas wiadomość i zawarł wskazówkę na kartce, którą mi przysłał! Było to o wiele mniej skomplikowane, niż sądziłam. Cyfra „3” u góry odnosi się do trzech tytułów, następna linijka, 6/2/6, do liczby wyrazów w tytułach, zaś ostatnia, 2/1/6, podaje porządek wyrazów, jakie należy odczytać. „Oksford - Paradise Cafe” - widzisz?

Pascal spojrział na kartkę i zmarszczył brwi.

- Wcale nie uważam, że to proste... Nie wiemy nawet, czy w Oksfordzie rzeczywiście jest taka kawiarnia.

- Tu jest Paradise Square, a tu Paradise Street... Założę się, o co chcesz, że jest też Paradise Cafe...

Podniosła słuchawkę i wybrała numer informacji międzymiastowej. Po paru chwilach podziękowała, zakończyła rozmowę i uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Miałaś rację?

- Oczywiście. Paradise Cafe, na rogu Paradise Square...

- McMullen nie należy do zwolenników łatwych zadań, prawda? - zakpił Pascal.

- Gdyby je ułatwił, ktoś inny odczytałby wiadomość przed nami. Tak czy inaczej, już wcześniej się zorientował, że nie idzie nam zbyt dobrze, stąd propozycja spotkania w Regent's Park i dzisiejszej rozmowy telefonicznej... - Spojrzała na zegarek. - Jeszcze dwadzieścia minut. Przygotowałeś swoją listę?

- Tak. Umieściłem tam wszystkie informacje o McMullenie, te z wojska i te, które uzyskałaś od dziekana Knowlesa - że McMullen był jednym z jego najlepszych studentów, że ma zdolności językowe... Knowles powiedział ci, że McMullen mówi płynnie po francusku i po włosku, prawda?



- Tak. Jako dziecko spędził sporo czasu we Włoszech, a francuski zna chyba ze szkoły. Poza tym między skończeniem szkoły średniej i podjęciem studiów w Oksfordzie przez kilka miesięcy mieszkał w Paryżu i uczęszczał na zajęcia na Sorbonie, wiem to od Knowlesa, który podał ten fakt jako przykład zaangażowania McMullena i jego pędu do poszerzania wiedzy...

- Doskonale, więc możemy być pewni, że nie brakowało mu chęci do nauki i ciężko pracował... - Pascal przerwał. - W jakim czasie był w Paryżu?

Gini wzruszyła ramionami.

- Przecież sam wiesz, sprawdzaliśmy już daty... McMullen zaczął studiować w Christ Church jesienią 1968 roku, szkołę średnią skończył w grudniu poprzedniego roku, po zdaniu ostatnich egzaminów i zdobyciu stypendium. Pozostaje dziewięciomiesięczna luka, właśnie w tym czasie musiał uczyć się na Sorbonie... - Spojrzała na telefon.

- Właśnie... Wiosna 1968 roku, ważny czas dla studentów Sorbony, okres, który na pewno wywarł wpływ na McMullena. Wtedy dochodziło do protestów i walk ulicznych, gwałtownych wybuchów radykalizmu. Maj 1968 roku... Ciekawe, czy McMullen brał udział w tych wydarzeniach... Próbuję zrozumieć, dlaczego młody człowiek, który rok później niespodziewanie rzuca studia w Oksfordzie, zaczyna pisać listy na temat wojny w Wietnamie do amerykańskich polityków... Ta wojna była swoistym katalizatorem dla jego pokolenia, na pewno, ale wszystko to razem nadal wydaje mi się dziwne...

Odwrócił się i zaczął chodzić po pokoju. Gini przysunęła telefon. Do dwunastej brakowało jeszcze sześciu minut.

- Nie ma sensu zastanawiać się nad tym właśnie teraz - rzuciła. - Odwodzi nas to od kluczowej sprawy - Hawthorne'a i jego spotkań z blondynkami...

Pascal rzucił jej krótkie spojrzenie. Wiedział, dlaczego to powiedziała. Czuł, że będzie się starała odrzucić każdy aspekt sprawy, który ma związek z wojną w Wietnamie i przeszłością jej ojca.

- Może masz rację - rzekł z namysłem. - Może... Jednak ten okres jest jak ciemna dziura w samym środku historii... Chcę zrozumieć, gdzie zaczyna się ta ciemność.

- Posłuchaj, przede wszystkim powinniśmy umówić się z McMullenem i porozmawiać z nim...

- Doskonale.

Usiadł po drugiej stronie stołu. Wyczuwał napięcie, które nagle pojawiło się między nimi, i był nim zaniepokojony. Wszystko sprowadzało się do tego, czego nigdy nie udało im się rozwiązać - kwestii postępowania ojca Gini w Bejrucie, jej posłuszeństwa i wymówek, jakie wynajdywała na usprawiedliwienie Sama Huntera, nawet teraz. Przez chwilę miał wrażenie, że ojciec Gini stoi między nimi niczym niewidzialna przeszkoda. Nawet dziś Gini nie potrafi przyznać, że zrobił źle, pomyślał ze smutkiem.

I właśnie teraz, kiedy wydawałoby się, że przebywający w Waszyngtonie Hunter nie może mieć wpływu na życie córki, Sam wrócił, aby ich prześladować. Wyłonił się z ciemnych zaułków historii, nad którą pracowali. Hawthorne, Romero, Hunter, McMullen... Wspólnym mianownikiem jakiejś części ich przeszłości był Wietnam. Pascal ze znużeniem potarł dłonią czoło. Uznał, że lepiej będzie milczeć. Może Gini ma rację i ten aspekt sprawy okaże się marginalny. Spojrzał na zegarek. Obie wskazówki dotykały dwunastej.

- Dzwon.

Gini wybrała numer. Po pierwszym sygnale usłyszała w słuchawce znajomy głos. Ani ona, ani jej rozmówca nie przedstawili się sobie, lecz nie miała cienia wątpliwości, że rozmawia z doktorem Anthonym Knowlesem. Dawny wykładowca McMullena od razu przeszedł do rzeczy.

- Dziękuję, że pani dzwoni - powiedział. - Jacobowi bardzo zależy na spotkaniu z panią i pani przyjacielem. Pyta, czy znacie jakiś bar lub restaurację, gdzie moglibyście się umówić i podkreśla, że ma szczególny powód, aby zadać to pytanie... Zna pani taki lokal? Proszę nie wymieniać jego nazwy...

- Znam - odparła Gini.

Pomyślała, że wskazówki McMullena były czymś więcej niż tropem, pełniły także rolę testu sprawnościowego.

- Wybrałam go z listy zawierającej trzy nazwy - ciągnęła ostrożnie. - Jest to niebiańsko cudowne miejsce...

- Świetnie! - W głosie Knowlesa pojawił się cień rozbawienia. - Proszę być tam o szóstej, dziś wieczorem. Na zewnątrz, nie w środku. Gdybyście mieli jakieś trudności, zadzwońcie pod ten numer o dziewiątej, punktualnie, bo później zostanie wyłączony. Rozumiemy się?

- Tak.

Knowles przerwał połączenie.

- Rozmawiałaś z McMullenem? - zapytał Pascal.

- Nie. Z jego byłem wykładowcą, Knowlesem.

- Ciekawe... Więc ktoś mu pomaga... Tak mi się wydawało. Mamy się spotkać w Paradise Cafe? O której?

- O szóstej. Zaczekamy na niego pod kawiarnią.

- Dobrze...

Wstał i zajął się sprawdzaniem swojej torby na aparaty. Do zewnętrznej kieszeni schował gruby notatnik z adresami i numerami telefonów. Gini przyglądała się, jak szybko i energicznie przygotowuje się na spotkanie z McMullenem. Dobrze znała te celowe, skupione ruchy i otaczającą teraz Pascala atmosferę koncentracji.

- Muszę jeszcze zadzwonić w parę miejsc i jedziemy - powiedział. - Na motorze dojedziemy tam w niecałą godzinę.

- Na motorze, prawie sto kilometrów? Nie moglibyśmy pojechać inaczej? Poza tym, spotkanie mamy dopiero o szóstej, nie musimy wyjeżdżać już teraz...

- Musimy. - Rzucił jej ostre spojrzenie. - Trzech rzeczy możemy być pewni: McMullen jest przebiegły, bardzo inteligentny i przeszedł specjalne szkolenie dla komandosów. Dlatego zamierzam sprawdzić teren, zanim się z nim spotkamy. Chcę obejrzeć tę restaurację i Paradise Square jeszcze przed zmrokiem.

## XXVI

Kiedy dotarli do Oksfordu, powietrze przesiąknięte było wilgocią, a ziąb dosłownie zapierał dech w piersiach. Zanim zakończyli sprawdzanie terenu, znad rzeki zaczęła podnosić się mgła. Niedługo potem zrobiło się ciemno, Gini i Pascal zajęli pozycję na Paradise Square. Mgła zgęstniała, tworząc żółtawe obłoczki. Światło ulicznych latarni z trudem przebijało się przez pasma mgły, które przesuwały się i znowu pojawiały, utrudniając widzenie.

Ta część miasta, chociaż położona w pobliżu uniwersytetu, sprawiała wrażenie zaniedbanej. Niedaleko znajdował się targ, gdzie handlowano bydłem, a nieco dalej widniały wysokie, ponure mury miejscowego więzienia. Paradise Square był zupełnie opustoszały, tylko od czasu do czasu przejeżdżały tędy samochody.

Większość domów to były biura lokalnych firm, o tej porze pozamykane i ciemne. Jedyne źródłem światła, dźwięku i nieco lepszego nastroju były zaparowane okna Paradise Cafe, które Gini i Pascal widzieli z przeciwnej strony placu.

Za trzy szósta Pascal rzucił Gini zachęcające spojrzenie, wziął ją za ramię i razem zbliżyli się do restauracji. Był to niewielki lokal, a umieszczone w oknie menu świadczyło, że podaje się tu głównie greckie potrawy. Wewnątrz kręciło się dwóch kelnerów, obsługujących kilka grup studentów. Gini zadrżała i rozejrzała się dookoła. Nikt nie nadchodził. Minuty mijały powoli.

Wyczuła napięcie Pascala we wszystkich mięśniach jego ciała, kiedy przytuliła się do niego, szukając ciepła. Wiatr pognał po chodniku tuż przed nimi szeleszczące opakowanie po czekoladowym batonie. Mgła przesłoniła najbliższą latarnię i oblepiła twarz Gini. Piętnaście po szóstej Pascal zaczął zdradzać oznaki zniecierpliwienia. Zaklął cicho.

- Mam tego dosyć - mruknął. - Niewykluczone, że znowu tylko tracimy czas...

- Zaczekajmy jeszcze.

- Zamarzniemy tutaj. - Odwrócił się i zajrzał do restauracji. - Myślisz, że on może być w środku?

- Kto wie... - Gini także zbliżyła twarz do pokrytej parą szyby. Wydawało jej się, że wszyscy klienci są młodzi, z pewnością nie w wieku McMullena. Lekko

ścisnęła ramię Pascala. - Nie mamy wyjścia, musimy poczekać... Myśl o czymś innym. Przestań liczyć sekundy, bo tak jest jeszcze trudniej. Opowiedz mi o tych wszystkich faktach, dobrze? Przecież wiem, że zastanawiałeś się nad nimi przez całe popołudnie...

Pascal rzucił jej rozbawione spojrzenie. Napięcie opadło.

- Dobrze... Mam nauczyć się panować nad zniecierpliwieniem, tak? W porządku. Mogę ci opowiedzieć, gdzie służył. Trzy razy wysyłano go na dłużej do Irlandii Północnej, dwa razy do Niemiec, raz na Bliski Wschód. Był w Omanie...

- To prawda - odezwał się cichy głos za ich plecami. - W 1978 roku.

Wsiadziecie do samochodu?

Pascal zaklął, Gini gwałtownie odwróciła się twarzą do przybysza. Mężczyzna zmaterializował się za nimi bez żadnego dźwięku, zupełnie jakby wypłuła go mgła. Podobnie jak wcześniej, ubrany był w czarny dres i czarne buty do biegania, lecz tym razem kaptur nie zasłaniał jego głowy.

Samochód, który wskazał, był zaparkowany po drugiej stronie placu. Gini zauważyła czarny, pochlapany błotem range rover, kiedy szli do Paradise Cafe, i mogła przysiąc, że był pusty.

- Nie możemy tutaj rozmawiać - powiedział McMullen. - Nie mam zbyt dużo czasu. Wsiadacie?

Nie ulegało wątpliwości, że rzeczywiście był to McMullen. Odwrócił się trochę w prawo i wtedy blask latarni wydobył z mroku jasne włosy. Przez chwilę Gini widziała jego twarz, o rysach bardziej zdecydowanych niż na fotografii. Czowała, że Pascal się waha, ale bez słowa poszła do samochodu.

Usiadła na tylnym siedzeniu, Pascal na przednim.

McMullen szybko zostawił za sobą labirynt wąskich, jednokierunkowych uliczek.

- Za piętnaście minut będziemy na miejscu - rzekł, kiedy byli już na obrzeżach miasta. - To niedaleko...

Więcej już się nie odezwał, a Pascal nie zachęcał go do rozmowy. Gini przypuszczała, że on, zresztą tak jak ona, usiłuje zapamiętać trasę, co bynajmniej nie było proste, biorąc pod uwagę ciemność, szybkość, z jaką jechali, oraz mnogość krętych, nieoświetlonych wiejskich dróg, które mijali. Gini przysunęła się do okna.

Przed następnym skrzyżowaniem, kiedy McMullen musiał zwolnić, zdążyła zauważyć znak drogowy i tablicę z nazwą następnej miejscowości.

To jej wystarczyło. Od tej chwili obserwowała tylko wijącą się przed nimi drogę. Oczywiście, jedziemy przez Oxfordshire, hrabstwo, gdzie znajduje się wiejska rezydencja Johna Hawthorne'a, pomyślała. Zdjęcia starego, zadbanego dworu, który tu kupił, regularnie pojawiały się w wielu czasopismach, a Gini, przystępując do pracy nad tematem, sprawdziła jego położenie. Jeśli się nie myliła, przed paroma minutami minęli bramę wiodącą na podjazd właśnie tej posiadłości, a potem przejechali wzdłuż muru oddzielającego ogród od drogi.

Była teraz przekonana, że miejsce, do którego wiezie ich McMullen jest już blisko.

Okazało się, że miała rację. Minąwszy ogrodzenie otaczające posiadłość Hawthorne'ów, skręcili w prawo, potem w lewo i pojechali dalej stromą, wyboistą drogą, z którą wyposażony w czterokołowy napęd range rover poradził sobie bez trudu. Gini oceniła, że droga biegnie w górę na odcinku mniej więcej pięciu kilometrów, aby potem łagodnie zbiec w lewo, już na równym terenie. McMullen zatrzymał samochód na polanie, z trzech stron przylegającej do gęstego lasu. Przed sobą mieli mały budynek o ciemnych oknach. Z lewej strony wzgórze opadało, tworząc głęboką nieckę.

Gdy wysiedli z samochodu, Gini i Pascal ruszyli właśnie w tamtą stronę. McMullen stał obok wozu, obserwując ich uważnie.

- Księżyc jeszcze nie wzeszedł, ale jestem pewna, że w pogodną nocę rozciąga się stąd wspaniały widok - powiedziała Gini powoli. - Gdzieś tam, trochę dalej, zaczyna się posiadłość Johna Hawthorne'a, ale dom jest chyba za daleko, żeby można go zobaczyć...

- Widać południowy taras, oczywiście przez lornetkę - odparł spokojnie McMullen.

Otworzył drzwi, zaczekał, aż wszyscy troje wejdą do środka i dopiero wtedy zapalił światło. Stali w małym, skromnie umeblowanym salonie, który był chyba jedynym pokojem na parterze, nie licząc małej kuchni ze ściętym sufitem. Gini pomyślała, że kiedyś na pewno mieszkał tu leśniczy lub łowczy jednego z majątków

graniczących z posiadłością Hawthorne'a. Na kamiennej podłodze stał duży stół z surowego drewna i kilka prostych krzeseł; w kącie leżał stos gazet. Mimo zamkniętych okiennic, w pomieszczeniu panował przejmujący chłód. McMullen przeszedł na drugą stronę pokoju i zapalił olejowy grzejnik.

- Przepraszam za te spartańskie warunki - odezwał się. - Lubię takie otoczenie...

- Mieszka pan tu teraz? - zapytała szybko Gini. McMullen przysiadł na piętach. Jego twarz przybrała wyraz czujności. W skupieniu ustawił pokrętło piecyka.

- Od czasu do czasu.

- Pańskie mieszkanie w Londynie nie jest spartańskie - rzekł Pascal, nie spuszczać wzroku z gospodarza. - Wręcz przeciwnie...

McMullen uśmiechnął się gorzko i wstał.

- To prawda, ale bardzo rzadko tam bywam... - przerwał. - Kiedy udało wam się tam dostać?

- W ubiegłą środę. Tydzień temu.

Skinął głową, jakby ta odpowiedź w jakiś sposób go satysfakcjonowała.

- A Wenecja? Na pewno byliście i w Wenecji...

- W niedzielę.

Pytanie zostało zadane spokojnym, wręcz lekkim tonem, i Pascal odpowiedział na nie w podobny sposób. Nie dodał ani słowa więcej. Gini zorientowała się, że McMullen zauważył to i zaaprobował. Obserwowała, jak dwaj mężczyźni oceniają się nawzajem, uważnie szacują swoje możliwości.

- Początkowo zamierzałem spotkać się z wami w Wenecji - odezwał się McMullen, przez cały czas wpatrując się w twarz Pascala. - Musiałem zmienić ten plan. We wczorajszych gazetach widziałem wzmianki o śmierci Appleyarda, ale nie wynika z nich, kiedy zginął...

- Sądząc po stanie rozkładu ciała w chwili, gdy je widzieliśmy, mniej więcej dwa tygodnie temu - odpowiedział Pascal.

- Rozumiem... - McMullen zawiesił głos. - A ten drugi?

- Później, jakieś cztery, pięć dni temu.

- W porządku. - Na twarzy McMullena nie było cienia emocji.

Nadal ignorował Gini, zachowując się tak, jakby nie było jej w pokoju.



- W porządku? - powtórzyła ostro. - Nie, wcale nie w porządku! To, co ich spotkało, było złe i okrutne!

- Wywnioskowałem to z prasowych doniesień - odparł chłodno McMullen.

Odwrócił się i po raz pierwszy popatrzył na Gini, mierząc ją krótkim zimnym spojrzeniem. Znowu odwrócił się do Pascala.

- Chcę wyjaśnić, że nie ja ich zabiłem. Mówię to raz i więcej nie będę powtarzał. Appleyarda spotkałem tylko jeden raz, w październiku ubiegłego roku. Nigdy nawet nie słyszałem o jego przyjacielu. Gdyby Appleyard postępował zgodnie z moimi wskazówkami i trzymał się od tej historii z daleka, nic by mu się nie stało. Wetknął nos w nie swoje sprawy i zginął.

- To ostra ocena - powiedziała Gini, dotknięta jego tonem.

- Możliwe. Nie ma sensu udawać, że śmierć Appleyarda pogrążyła mnie w smutku. Nie lubiłem go.

- Ale posłużył się nim pan. - Usiłowała zachować spokój. - Podobnie jak Lorną Munro. Wie pan, że ona także nie żyje?

Zapanowało krótkie milczenie. McMullen przeniósł wzrok z Gini na Pascala.

- To prawda?

- Tak - potwierdził Pascal. - Zginęła parę minut po rozmowie ze mną, w Paryżu. Zabił ją kierowca czarnego mercedesa.

- Z rozmysłem?

- Zdecydowanie tak. Widziałem to na własne oczy.

Na twarzy McMullena po raz pierwszy pojawił się wyraz zaniepokojenia, może nawet smutku. Zacisnął usta.

- Cóż, przykro mi - powiedział sucho. - Żał mi tej dziewczyny... Może jednak jej śmierć uświadomi wam, o jaką stawkę toczy się gra i czemu musiałem stawić czoło. W grudniu Hawthorne usiłował mnie zabić. Wtedy zrozumiałem, że muszę zniknąć.

- Jest pan pewny, że za zamachem na pańskie życie stał Hawthorne? - zapytał spokojnie Pascal. - Jaką metodą się posłużył?

McMullen rzucił mu chłodne spojrzenie.

- Człowiek, któremu zlecił zabójstwo, od lat pracuje dla niego i jego ojca. To Frank Romero. Myślę, że można przyjąć, iż działał na zlecenie, prawda? A metoda, jaką się posłużył, była dość prosta, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że przebywałem wtedy w Londynie. Romero usiłował wepchnąć mnie pod nadjeżdżający pociąg w metrze...

Przerwał. Gini i Pascal milczeli. McMullen lekko wzruszył ramionami.

- Przeszedłem szkolenie, przygotowujące również i na takie sytuacje, więc mu się nie udało. Od tamtego czasu starałem się zachowywać ostrożność, w innym razie znalazłbym bardziej bezpośredni sposób nawiązania kontaktu, i to dużo wcześniej... - Omiótł ich obydwójce baczным spojrzeniem niebieskich oczu. - Przepraszam, chyba czas, żebyśmy zakończyli ten pojedynek. Właśnie uświadomiłem sobie coś bardzo oczywistego... Jesteście dziennikarzami. Zakładam, że skoro mówię prawdę, to mi wierzycie, ale przecież nie musi tak być... Ten sam błąd popełniłem już wcześniej...

Zawahał się po raz pierwszy od rozpoczęcia rozmowy i Gini zdała sobie sprawę, że pod kolczugą ostrych pytań i krótkich odpowiedzi nerwy McMullena są napięte jak cięciwa łuku. Westchnął i rozejrzał się po ponurym, wyziębionym pokoju.

- Przywiązywałem wielkie znaczenie do tego spotkania - podjął, znacznie mniej spokojnym tonem. - Myślałem o tym, co wam powiem i co zrobię... Nie spodziewałem się podejrzliwości ani wrogości... Mój błąd. Jezu Chryste... - Wykonał gwałtowny gest i odwrócił się. - Jezu Chryste, powinienem był wiedzieć...

Zmiana w jego zachowaniu dokonała się bardzo gwałtownie - w jednej chwili był spokojny i opanowany, w następnej z trudem zmagął się z emocjami. Gini i Pascal wymienili spojrzenia. Gini uniosła dłoń, Pascal skinął głową.

- Musi nas pan zrozumieć - przemówił. - Oskarżenia, z jakimi pan występuje, są bardzo poważne. Gdyby trafiły do wiadomości publicznej, z pewnością zniszczyłyby całe życie i karierę człowieka, którego dotyczą. Nie jesteśmy do pana wrogo nastawieni, staramy się tylko dociec prawdy - przerwał. - Strasznie tu zimno... Gini przemarzła do szpiku kości, ja także. Moglibyśmy napić się gorącej herbaty? Usiądziemy i omówimy to wszystko, od początku do końca.

McMullen popatrzył na Pascala i skinął głową.

- Dobrze - powiedział, zerkając na zegarek. - Ale musimy się pośpieszyć. Nie mam dużo czasu.

Wyszedł do małej kuchni za pokojem. Pascal jeszcze raz porozumiał się wzrokiem z Gini i stanął w drzwiach, zasłaniając McMullenowi widok na część pokoju. Gini, gdy tylko Pascal wspomniał o herbacie, domyśliła się, że chce rozejrzeć się po domu, szybko dokonała pobieżnych oględzin. Gazety w kącie pochodziły sprzed sześciu miesięcy - niektóre lokalne, inne ogólnokrajowe. Przejrzała je pośpiesznie. Kilka było otwartych na informacjach o spotkaniach, bankietach i balach, w których uczestniczył John Hawthorne. W sierpniu zeszłego roku ogrody posiadłości Hawthorne'ów w Oxfordshire otwarto, urządzając w nich charytatywne przyjęcie, z którego wpływy miały zasilić miejscowy szpital. Strona z tekstem opisującym to wydarzenie, wraz ze zdjęciami ogrodów, została wycięta z „Oxford Mail”.

W kącie pokoju obok kuchennych drzwi leżał zielony plecak, wyglądający na wojskowy, mocno zasznurowany. Przy kominku na półce stały kieliszki, parę szklanek i do połowy opróżniona butelka whisky, a także popielniczka z niedopałkami papierosów bez filtra. Obok dwie powieści w miękkich okładkach, o pożółkłych kartkach, jedna autorstwa Fredericka Forsytha, druga Grahama Greene'a. W pokoju nie było nic więcej - żadnych obrazów, dywanu czy chodnika, po prostu nic. Kilka sztuk mebli. Grzejnik syczał w kącie, w powietrzu unosił się zapach rozgrzanego oleju. Spartańskie warunki, bez wątpienia...

W pokoju były jeszcze jedne drzwi. Gini otworzyła je ostrożnie i zobaczyła wąskie, nieprzykryte chodnikiem drewniane schody. Na pewno na piętrze był jeszcze jeden pokój - sypialnia McMullena.

Zamknęła drzwi, starając się zrobić to jak najciszej, i podeszła do olejowego piecyka, usiłując ogrzać trochę dłonie. Dziwne, że McMullen przywiózł nas właśnie tutaj, pomyślała. Ten dom wyglądał na miejsce, gdzie planuje się polowanie, a jeżeli McMullen rzeczywiście polował na Hawthorne'a, na pewno nic chciałby, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział.

Kiedy Pascal i McMullen wrócili do pokoju, gospodarz zachowywał się odrobinę bardziej przyjaźnie i naturalnie, przynajmniej w stosunku do Pascala. Gini przyglądała się, jak ustawia pokrętko grzejnika i siada na krześle. Był mniej więcej

dziesięć centymetrów niższy od Pascala, szczupły, lecz mocno zbudowany. Nawet gdyby nic o nim nie wiedziała, postawa i oszczędność ruchów powiedziałyby jej, że miał coś wspólnego z wojskiem. Długie szkolenie i służba wywarły także wpływ na jego sposób wysławiania się, i to wrażenie pogłębiało się z każdą chwilą. Na twarzy McMullena nie było teraz ani śladu emocji, jakie niedawno okazał. Zaczął mówić tak, jakby prowadził wojskową odprawę - krótko i zwięźle. Z kieszeni wyjął paczkę papierosów bez filtra i zapalił.

- Oto moja propozycja... Jak mówiłem, nie przywykłem do rozmów z dziennikarzami. Jeżeli się zgodzicie, opowiem wam tę historię z mojej perspektywy, a na ewentualne pytania odpowiem na końcu. W ten sposób zaoszczędzimy sporo czasu. Zgadza się?

Pascal skinął głową, ponieważ McMullen nadal wydawał się mówić tylko do niego.

McMullen zaciągnął się dymem i powoli wypuścił go z ust, obserwując, jak wąska szara strużka wznosi się do sufitu. Po chwili zaczął znowu mówić.

- Po pierwsze, informacje podstawowe. Być może nie wiecie, że od wielu lat łączy mnie z Lise Hawthorne bliska przyjaźń. Poznaliśmy się na krótko przed moim wstąpieniem do wojska, w 1972 roku, kiedy była jeszcze panną. Spędzałem lato w Wirginii, w domu rodziny Grenville, wracając do sił po chorobie. Grenville'owie byli zaprzyjaźnieni z moją matką i spokrewnieni z matką Lise. Moja rodzina uznała, że potrzebny mi jest dłuższy wypoczynek, a Grenville'owie zaprosili mnie i bardzo serdecznie przyjęli. Lise miała wtedy siedemnaście lat i dopiero niedawno zaczęła bywać w towarzystwie. Fotografia, którą widzieliście w moim mieszkaniu, pochodzi z tego okresu. Oboje od razu poculiśmy do siebie sympatię i zaprzyjaźniliśmy się - McMullen przerwał i spojrzał na Pascala. - Muszę to teraz powiedzieć, ponieważ chcę, żebyście mieli w tym względzie całkowitą jasność - kiedy mówię o przyjaźni, mam na myśli przyjaźń, nic więcej. Lise i ja nigdy nie byliśmy kochankami, czy to jasne?

Pascal bez słowa skinął głową.

- Jest to bardzo głęboka przyjaźń - podjął McMullen. - Zawsze szczerze podziwiałem Lise, która jest jedną z niewielu naprawdę dobrych osób, jakie znam. W

przeszłości okazała mi dużo serca i jestem gotów zrobić prawie wszystko, aby okazać jej wdzięczność. Lise o tym wie. Sposobność nadarzyła się latem zeszłego roku...

Gini rzuciła Pascalowi wymowne spojrzenie, które McMullen natychmiast zauważył.

- Powiniennem wyjaśnić jeszcze jedno - ciągnął. - Być może sądzicie, że jestem uprzedzony do męża Lise i niewykluczone, że faktycznie tak jest, nie wierzę jednak, aby miało to wpływ na mój osąd sytuacji. Nigdy nie darzyłem sympatią Johna Hawthorne'a i od początku odradzałem Lise to małżeństwo. Uważam go za niebezpiecznego, zimnego, aroganckiego człowieka, bardzo podobnego do ojca. Hawthorne manipuluje ludźmi, jest człowiekiem bez zasad, politykiem najgorszego rodzaju. Przy tym jest wybitnie inteligentny, uzdolniony i bardzo ambitny, co w moich oczach czyni go zasługującym na tym większe potępienie. Dawniej Lise utrzymywała, że... - Zawahał się, lecz trwało to tylko sekundę. - Że nie mam racji. Przyznawała, że jej mąż posiada pewne wady, na przykład arogancję, lecz powtarzała, że jego wychowanie i dzieciństwo stanowią okoliczności łagodzące. Kiedy wychodziła za Johna, była w nim namiętnie zakochana. W tym czasie posiadałem znacznie więcej informacji o Hawthornie, niż przypuszczała, i musiałem zdecydować, czy mam podzielić się z nią tą wiedzą. W końcu postanowiłem zachować milczenie. Lise z takim zapalem wychwalała go pod niebiosa, że niszczenie jej złudzeń zakrawałoby na okrucieństwo, zresztą wtedy i tak by mi nie uwierzyła. Obawiałem się też, że moja szczerłość położyłaby kres naszej przyjaźni... - McMullen odwrócił wzrok. - Wmówiłem sobie, że to może Lise ma rację, że Hawthorne się zmienił. Nie powiedziałem jej nic i teraz bardzo tego żałuję.

Zapanowało krótkie milczenie. McMullen zgasił papierosa i spojrzał na Pascala.

- Do powodów mojej nieufności wobec Hawthorne'a wrócę później. Wiem przecież, dlaczego tu jesteście. - W jego głosie zabrzmiała gorycz. - Wiem, dlaczego Nicholas Jenkins tak zapalił się do tej historii. Brak mi doświadczenia w kontaktach z dziennikarzami, ale nawet ja zdaję sobie sprawę, jak szybko reagują na najmniejszą wzmiankę o skandalu seksualnym, zwłaszcza jeżeli ma to związek ze sławnymi ludźmi. Nie mylę się, prawda?

Pytanie zostało zadane ostrym tonem. Gini pozostawiła odpowiedź Pascalowi. Zainteresowała ją gorycz, brzmiąca w głosie McMullena. Miała wrażenie, że z pewną pogardą decyduje się powiedzieć im to, co jego zdaniem chcieli usłyszeć.

- Nie, nie myli się pan, a w każdym razie nie do końca - odparł spokojnie Pascal. - Co prawda, nigdy bym nie powiedział, że jest to jedyny rodzaj wiadomości, na jaki dziennikarze reagują szybko, ale to już zupełnie inna kwestia. Możemy wrócić do tego później. Proszę mówić dalej.

- Dobrze... - McMullen odchylił się do tyłu w krześle. - Po ślubie Lise widywaliśmy się rzadziej. Ja byłem w wojsku, ona w Ameryce. Oczywiście pisywaliśmy do siebie. Jakieś cztery lata temu, po moim odejściu z wojska, spotkaliśmy się we Włoszech, gdzie na krótko wyjechała w towarzystwie przyjaciół, bez męża. W ciągu następnych trzech lat widzieliśmy się kilka razy, kiedy Lise i Hawthorne odwiedzali Londyn. Za każdym razem byłem u nich na kolacji i nigdy nie zauważyłem nic szczególnego. Potem Hawthorne objął stanowisko ambasadora Stanów Zjednoczonych w Londynie i wtedy zaczęliśmy się widywać dużo częściej. Lise zapraszała mnie na różne przyjęcia i bankiety w ambasadzie. Przy tych okazjach zawsze zamieniałem też parę zdań z jej mężem, który traktował mnie w bardzo uprzejmy, nienaganny sposób. W lipcu zeszłego roku otrzymałem zaproszenie na długi weekend do ich rezydencji na wsi i wtedy uświadomiłem sobie, że dzieje się coś bardzo złego. Zorientowałem się, że Lise żyje w stanie wielkiego napięcia. Widziałem ją kilka tygodni wcześniej i odniosłem wrażenie, że w ciągu tego krótkiego czasu potwornie zmizerniała. Bardzo schudła, nie miała apetytu, w obecności męża była zdenerwowana i ulegała nieoczekiwanym zmianom nastroju. Trudno było z nią porozmawiać, ponieważ dom był pełen gości, ale drugiego dnia udało nam się pójść na długi spacer. Zaczęło padać, Lise płakała. To było straszne, nie wiedziałem, co robić. W końcu się załamała i wszystko mi powiedziała... - Przerwał nagle, jego twarz pociemniała. - Musicie zrozumieć jedno - w ostatnim czasie Hawthorne na pewno traktuje Lise coraz gorzej, ale zdradza ją od wielu lat, z sekretarkami, przypadkowymi znajomymi i tak dalej. Przespał się z inną kobietą w noc przed ich ślubem. Był wierny Lise dokładnie pięć dni. Lise wie o tym nie z powodu plotek, lecz dlatego że sam Hawthorne otwarcie jej o tym mówi. Systematycznie pozbawia ją poczucia godności i

pewności siebie, powtarza jej, że jest głupia, że do niczego się nie nadaje, porównuje ją ze swoimi kochankami, chwali się romansami na jedną noc...

Twarz mu się zmieniła pod wpływem emocji. Gini widziała, jak stara się opanować. Zapalił następnego papierosa, drżącą ręką podnosząc płonąca zapalke i nagle podniósł się z krzesła.

- Przepraszam... - powiedział. - Nie jest to dla mnie łatwe. Muszę się napić, a nie znoszę pić samotnie. Napije się pan ze mną?

Pascal uniósł brwi.

- Tak, chętnie przyłączymy się do pana - odparł. McMullen natychmiast się zorientował, że popełnił nietakt.

- Zachowałem się nieuprzejmie - zwrócił się do Gini. - Przepraszam panią. Nie zrobiłem tego rozmyślnie, proszę mi wierzyć. Jest mi trudno mówić o tych sprawach, zwłaszcza w obecności kobiety...

Nalał whisky do trzech szklaneczek, dodał wodę. Podał drinki Gini i Pascalowi, usiadł i znowu spojrzał na zegarek.

- Jest pan gdzieś umówiony? - zapytał Pascal. - Chyba powinniśmy do końca wyjaśnić tę sprawę...

- Naturalnie - przytaknął McMullen. - Już niedługo będziecie wiedzieli dość dużo, aby zrozumieć, o co mi chodzi... - Tym razem spojrzał także na Gini. - Na pewno słyszeliście, że przed przyjazdem Hawthorne'a i Lise do Londynu po Waszyngtonie krążyły rozmaite plotki... I że w końcu Appleyard zwrócił na nie uwagę...

- Tak, słyszeliśmy - odezwała się Gini.

- Nie wiecie jednak, że te plotki wyszły od samego Johna Hawthorne'a. W ten sposób rozpoczął kampanię, która miała w ostateczny sposób pozbawić Lise godności.

- McMullen przerwał na chwilę, żeby zapalić papierosa. - Przez pierwsze sześć lat małżeństwa Hawthorne wierzył, że jego dominacja nad Lise pozwoli mu bezkarnie wyłgać się z każdej sytuacji. Wiedział, że Lise, jako głęboko wierząca katoliczka, nie bierze pod uwagę możliwości rozwodu i całym sercem kocha synów. Uważał, że z tych powodów nigdy od niego nie odejdzie, ale cztery lata temu zachorował ich młodszy syn, Adam, i wtedy wszystko się zmieniło. Chłopiec był o krok od śmierci i chyba dlatego Lise spojrzała na życie z innej perspektywy. Gdyby nie to, na pewno



dalej znosiłaby upokorzenia, okrucieństwo i przechwałki, lecz po chorobie Adama w końcu zrozumiała, że musi bronić dzieci przed tym człowiekiem. Dostrzegła, że John może wyrzucić na synów równie negatywny wpływ, jak jego ojciec na niego, i postawiła mu ultimatum - albo zmieni swoje postępowanie, albo ona odejdzie od niego i zamieszka z dziećmi osobno. Nie groziła wyjawieniem szczegółów ich małżeńskiego życia, tylko separacją. I Hawthorne uroczyście przyrzekł, że się zmieni. - McMullen uśmiechnął się zimno. - Możecie sobie wyobrazić, jak długo to trwało... Kilka miesięcy. Wpadł w panikę i zrezygnował z urzędu senatora, wydaje mi się, że głównie ze strachu przed skandalem, a chyba też pierwszy raz w życiu naprawdę przestraszył się tego, co mogłaby zrobić Lise. Nowe oblicze bardzo mu przeszkadzało - zaczął dużo pić i prowokował Lise do kłótni. Potem przestał pić i znowu zajął się kobietami, ale kochanki i dziewczyny na jedną noc przestały mu wystarczać. Potrzebował nowych podniet. Właśnie w tym czasie zaczął co miesiąc spotykać się z blondynkami. Żeby zmylić trop, opracował nową strategię, rozpuszczając plotki o złym stanie psychicznym Lise... Trzeba przyznać, że było to sprytne posunięcie, bo Lise rzeczywiście była bliska załamania. Hawthorne ostrzegł ją, że jeżeli go zostawi, pozbawi ją prawa do opieki nad dziećmi, zeznając w sądzie, że jest złą, nie zrównoważoną psychicznie matką. Jego ojciec i on przeprowadzili z nią długą rozmowę i dokładnie jej to wszystko wyjaśnili. Pokazali listę świadków, których mogą zachęcić do złożenia zeznań przeciwko niej - służących, pokojówek, sekretarek, znajomych... Niektórych chcieli przekupić, innych zmusić... Lise wiedziała, że mają bogate doświadczenie w tego rodzaju operacjach. Ojciec Johna zawsze się przechwalał, że nie spotkał jeszcze człowieka, którego nie mógłby kupić. Poza tym John postanowił przygotować sobie alibi. Gdyby kiedykolwiek Lise odważyła się przemówić przeciwko niemu, czy to w sądzie, czy wobec przyjaciół, prawie nikt nie powinien dać wiary jej słowom. Hawthorne zmierzał do tego, aby uznano ją za paranoiczkę. Najsmutniejsze było to, że im większemu poddawał ją stresowi, tym bardziej pogarszał się jej stan zdrowia. Osobiście jestem przekonany, że właśnie na tym polegał plan Johna i jego ojca - chcieli doprowadzić ją do szaleństwa. Z ich punktu widzenia lepiej mieć psychicznie chorą żonę niż zniszczoną karierę, zresztą, mąż biednej wariatki zasługuje na największe współczucie, prawda?

- Tak, ale nie wszystko jest w tej sprawie jasne - powiedziała Gini. - W czasie, o którym pan mówi, Hawthorne odłożył już karierę na półkę i zrezygnował z miejsca w Senacie...

- Hawthorne nigdy nie odłożył kariery na półkę! - zaprotestował McMullen ostro. - Musicie to zrozumieć... Mógł uznać, że na pewien czas lepiej będzie wycofać się w cień, przynajmniej do rozwiązania problemu, jakim stała się Lise. A także, że lepiej będzie odseparować ją od krewnych i znajomych, wywieźć ze Stanów, tak, ale na pewno nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby zrezygnować ze swojego głównego celu. I trzeba wam wiedzieć, że jego ojciec musiał być w to wszystko zaangażowany, od samego początku. Jeżeli nawet John Hawthorne kiedykolwiek się wahał, czy powinien zamknąć żonę i matkę swoich dzieci w szpitalu dla psychicznie chorych, to jego ojciec niewątpliwie zachęcał go do tego kroku, podpowiadając, że jest to najlepsze wyjście.

- Naprawdę tak pan myśli? - Pascal pochylił się do przodu. - Sądzi pan, że Hawthorne nosił się z zamiarem ubezwłasnowolnienia żony?

- Nie sądzę, ale wiem, ponieważ wiele razy jej tym groził. Wybrał już nawet szpital, prywatną klinikę o nazwie Henley Grange, w odległości trzydziestu kilometrów od Londynu.

W zeszłym roku dał im pięćdziesiąt tysięcy dolarów na osłodeń niezbyt wygodnej dla nich sytuacji...

- Skąd pan to wie?

- Lise widziała wystawiony czek z podpisem męża. Poza tym od ubiegłej jesieni opiekuje się nią psychiatra współpracujący z Henley Grange. Hawthorne wezwał go osobiście, a wiecie kiedy? Dwa dni po mojej pierwszej rozmowie z Appleyardem i założeniu podsłuchu w moim telefonie. - Na jego twarzy odbiło się napięcie. - Postarajcie się zrozumieć, jak ważny jest w tym wszystkim czas... W lipcu zeszłego roku, gdy Lise opowiedziała mi, jak wygląda jej życie, byłem przerażony. Nie mogłem uwierzyć, że ktoś mógłby zachowywać się w taki sposób - czynić rytuał ze swoich praktyk seksualnych, a potem zmuszać żonę, aby co miesiąc słuchała ich szczegółowego opisu. Gdyby opowiedział mi to kto inny, zapewne bym nie uwierzył, ale usłyszałem tę historię od Lise, od Lise, która nigdy nie kłamie. Tak się również

składa, że potwierdza to inne historie, jakie opowiadano mi o Hawthornie. Zawsze był sadystą, nawet jako bardzo młody człowiek... - Spojrzał na Pascala. - Nie wiem, jak was przekonać, że byłem kompletnie zdesperowany. Wtedy, w lipcu, ze wszystkich sił starałem się dodać Lise odwagi, skłonić ją, by zaczęła działać, lecz ona nie potrafiła się na to zdobyć, bardzo się bała. Widziałem, dlaczego Hawthorne rozpuszcza plotki i nie wątpię, że wkrótce kampania się nasili. Miałem rację. We wrześniu pogłoski w końcu dotarły do dziennikarza, który postanowił je wykorzystać. Do Appleyarda. Wczesną jesienią Appleyard zaczął wydzwaniać do londyńskich lekarzy Lise, którzy oczywiście powiadomili ją o tym. Wtedy Lise wreszcie pojęła, że musi walczyć, więc przystąpiliśmy do przygotowania planu. Byliśmy ostrożni, ale nie dość ostrożni. Hawthorne chyba podejrzewał, że Lise latem powiedziała mi o wszystkim, bo kazał Romero i innym mnie obserwować. Teraz w Londynie są już trzej ludzie, którzy wcześniej pracowali dla ojca Hawthorne'a. Możecie sprawdzić ich nazwiska... - Pociągnął whisky, co trochę go uspokoiło. - Gdy tylko Hawthorne się zorientował, że grozi mu zdemaskowanie, zaczął działać, i to szybko. Kazał założyć podsłuch w moim telefonie, śledzić Lise i mnie, obdarował Henley Grange pięćdziesięcioma tysiącami dolarów i wezwał lekarzy, którzy podali Lise bogaty koktajl leków stymulujących, uspokajających i usypiających. Zastrzyki przed śniadaniem, obiadem i kolacją, zastrzyki przed snem, pigułki, kapsułki, pielęgniarce... To było przerażające. Udało mi się namówić Lise na wizytę u lekarza, którego znałem...

- Ach, tak, poleconego przez pańską siostrę - wtrącił spokojnie Pascal. - Wspomniał pan o nim na taśmie, którą dał pan Jenkinsowi.

- Tak? Nie pamiętam już tego.... Tak czy inaczej, lekarz przeprowadził podstawowe badania krwi, ponieważ chciałem mieć jakiś dowód tego, co robią z Lise, i po przejrzeniu wyników włosy stanęły mu dęba na głowie. Mam tu jego nazwisko i numer telefonu. - Wyjął kawałek papieru z kieszeni kurtki i położył na stole.

Pascal spojrział na kartkę i bez słowa ją schował.

- Niech pan mówi dalej.

- No cóż, leki oczywiście wpływały na zachowanie Lise. - W głosie McMullena zabrzmiała niepewność. - Obserwowałem to, tydzień po tygodniu. Pewne rzeczy łatwo wypadały jej z pamięci, czasami była bardzo spięta, rozedrgana, nerwowa, mówiła za

dużo i za szybko, kiedy indziej prawie nie można było się z nią porozumieć. Czasami miałem wrażenie, że mówię do automatu... - Jego twarz ściągnął spazm bólu. - Zupełnie jakby była w transie. Najstraszniejsze było to, że nic nie mogłem na to poradzić. Trzeba było czekać. Musieliśmy zdobyć dowody, że Hawthorne rzeczywiście co miesiąc spotyka się z tymi kobietami, tak jak mówił. Myślałem, że może wystarczyłoby, gdybyśmy wytropili jedną z nich, nakłonili ją, żeby zaczęła mówić, czy nawet po prostu jej zapłacili, ale Nicholas Jenkins nie chciał się na to zgodzić. Twierdził, że to nie dosyć, bo gdyby sprawa trafiła do sądu, to zeznania tego rodzaju świadka łatwo podważyć, poza tym sędziowie przysięgli zwykle niechętnie patrzą na dziewczyny na telefon. Prawnicy zatrudnieni przez redakcję „News” nigdy nie przystaliby na propozycję publikacji opartej na takiej podstawie. Powiedzieli, że musimy zdobyć konkretne dowody, nagrania lub zdjęcia... Wtedy Jenkins zasugerował, żeby ściągnąć pana...

- Naprawdę? - Pascal zmierzył go długim spojrzeniem. - To Jenkins pierwszy wymienił moje nazwisko?

- Tak mi się wydaje... - McMullen niedbale machnął ręką. - Nie pamiętam już, jak to było. Oczywiście, ja także znalazłem pańskie fotografie i zawsze je podziwiałem. Nie bardzo wiedziałem, czym pan się teraz zajmuje...

Przerwał. Pascal milczał. Gini uważnie obserwowała McMullena. Wiedziała, że przed chwilą skłamał, chyba po raz pierwszy w czasie tej rozmowy. Do tej pory była przekonana, że McMullen wierzy, iż wszystko, co mówi, jest prawdą, a jednak skłamał w tak drobnej, praktycznie nieistotnej kwestii... Dlaczego?

McMullen znowu zerknął na zegarek. Podniósł się i odstawił butelkę whisky na półkę, potem odwrócił się i spojrzał na nich.

- Teraz jesteście już prawie na bieżąco - powiedział. - Czekałem, żeby Lise się dowiedziała, gdzie Hawthorne zamierza zabrać kolejną dziewczynę. W październiku i listopadzie ani słowem nie wspominał o miejscu spotkań. Och, naturalnie dużo opowiadał o tych kobietach - co każe im robić, w jaki sposób je wybiera...

- Jak je wybierał? - zapytała Gini.

McMullen utkwiał chłodne, niebieskie oczy w jej twarzy.

- Sądziłem, że już się tego dowiedzieliście...

- Może, ale chciałabym usłyszeć pańską wersję.

- Korzystał z agencji i własnych kontaktów. Zamawiał fotografie, w każdym razie tak mówił Lise. Ani ona, ani ja nie wiemy, czy to prawda. Kiedyś pokazał jej kilka zdjęć i polecił, żeby wybrała dla niego jedną z dziewczyn. Była to jego typowa metoda działania... Gdy Lise odmówiła, uderzył ją.

- Często to robił? - zapytał Pascal spokojnie. - Chodzi mi o to, czy często stosował przemoc fizyczną...

Na policzki McMullena wypełził szkarłatny rumieniec.

- Tak, do cholery! Czy muszę wam dokładnie opowiadać, co z nią robił? Jeżeli sądzicie, że pozwolę się wypytywać na ten temat, to jesteście w błędzie! Na samą myśl o tym robi mi się niedobrze...

- To nie są rzeczy bez znaczenia - odezwała się Gini cicho. Spojrzała na Pascala, który skinął głową. - Żadne z nas nie chce pana przypierać do muru, ale proszę zrozumieć, mamy na to wszystko jedynie pańskie słowo. Może ten lekarz zdecyduje się potwierdzić, że Lise była naszpikowana środkami psychotropowymi, lecz to jeszcze niczego nie dowodzi. Największa trudność tkwi właśnie w braku dowodów. Lise mogła dobrowolnie przyjąć te leki. Tylko od niej dowiadujemy się o poprzednich zdradach Hawthorne'a, o fizycznym i emocjonalnym okrucieństwie, jakiego się wobec niej dopuszczał, o jego perwersyjnych randkach z blondynkami... - przerwała. - Pracujemy nad tym od ponad tygodnia i zgromadziliśmy sporo materiałów, ale większość z nich można zakwalifikować jedynie jako poszlaki. Wciąż brakuje nam dowodów, że Hawthorne rzeczywiście co miesiąc umawiał się z tymi dziewczynami.

W pokoju zapadło długie milczenie. Gini widziała, że McMullen jest wściekły i stara się zapanować nad tym uczuciem. Rzucił jej lodowate, wrogie spojrzenie.

- Rozumiem... Krótko mówiąc, zarzuca pani Lise kłamstwo?

- Nie, nikomu nie zarzucam kłamstwa i ani trochę nie wątpię, że mówi pan szczerze, ale chyba zdaje sobie pan sprawę...

- Nie zdaję sobie sprawy! - przerwał jej podniesionym tonem. - To wy macie dostarczyć dowody i udokumentować te spotkania, to wasze zadanie, nie moje! Lise nic nie może zrobić, żyje teraz jak w więzieniu, ja muszę ciągle zmieniać miejsce

pobytu. Mam kilkoro przyjaciół, którzy mi pomagają, między innymi osobę, z którą dziś pani rozmawiała, ale nie mogę telefonować, bo to za duże ryzyko i stale muszę uważać, czy ktoś mnie nie śledzi. Naprawdę próbowałem skontaktować się z panią wcześniej, nie, nie mówię o pocztówce... Trzy dni temu zaryzykowałem i w nocy przyszedłem pod pani dom...

- To był pan?

- Tak, byłem na schodach. Światło jeszcze się paliło... - Zawahał się. - Na podwórku za domem ktoś był, słyszałem kroki... Musiałem uciekać. Stawałem na głowie, żeby wam pomóc, lecz istnieje pewna granica, której nie mogę przekroczyć. Ze względu na Lise muszę dalej żyć...

- W takim razie po co ryzykuje pan i przyjeżdża do domu, który znajduje się tak blisko wiejskiej posiadłości Hawthorne'a? - Pascal przerwał gniewną tyradę. - Czy to rozsądne?

Można było odnieść wrażenie, że jego pytanie w jakiś sposób zaskoczyło McMullena. Obrzucił ich twardym, surowym spojrzeniem.

- Jestem ostrożny - odrzekł. - Poza tym to miejsce pasuje do moich planów. W pobliżu mam przyjaciół. Przepraszam na chwilę, zaraz wrócę...

Znowu sprawdził czas i szybko podszedł do drzwi. Bez słowa wyjaśnienia wyszedł na zewnątrz, zamykając je za sobą.

Pascal i Gini popatrzyli na siebie w milczeniu.

- Wierzysz mu? - zapytała cicho Gini.

Pascal spojrział ku drzwiom. Nasłuchiwał. Po chwili lekko wzruszył ramionami.

- Nie jestem pewny.

- Reaguje dość gwałtownie...

- Tak. I jest bardzo spięty, ale w tych okolicznościach nie powinno nas to dziwić. - Zmarszczył brwi. - Ciekawe, dlaczego co parę minut patrzył na zegarek... Co on tam robi?

- Bóg jeden wie... Nic nie słysząc...

- Ja go słyszę. - Pascal położył palec na wargach i zniżył głos do szeptu. - Jest tuż za drzwiami... Bądź ostrożna, kochanie. Jednego możemy być pewni, to jeszcze nie koniec.

Kiedy McMullen wrócił do pokoju, od razu spostrzegli, że jest dużo spokojniejszy. Zachowywał się tak, jak na początku, chłodno i obojętnie. Przestał udawać, że prowadzi rozmowę także i z Gini. Ignorował ją teraz zupełnie, zwracając się tylko do Pascala.

- Przepraszam, musiałem coś sprawdzić - powiedział. - Miałem też chwilę na przemyślenie pewnej sprawy. Powinienem był pokazać to panu na samym początku, jeszcze zanim zacząłem mówić o Lise...

Przeszedł przez pokój, schylił się i szybko rozwiązał plecak. Wyjął z niego grubą teczkę. Wyprostował się i spojrzał Pascalowi prosto w oczy.

- Cenię dyscyplinę - oświadczył. - Jestem tak przyzwyczajony do wojskowej dyscypliny, że czasami zapominam, iż nie jest to jedyny sposób postępowania... Dziennikarze też są zdyscyplinowani, w każdym razie ci najlepsi. Widziałem, jakie są tego efekty, oglądałem pana zdjęcia i podziwiałem je. Zrobił pan serię fotoreportaży o wojnie o Falklandy i zdołał pan uchwycić na kliszy, jak to naprawdę wyglądało... - Uśmiechnął się ironicznie. - Jest pan świetnym fotografem piekła...

Pascal ściągnął brwi.

- Był pan na Falklandach? Z oddziałem desantowym?

- Na pewno już to sprawdziliście. Nie, nie służyłem wtedy w oddziale desantowym.

Mocno zacisnął zęby.

Gini i Pascal nie mieli wątpliwości, że dalsze indagowanie o zadania, jakie pełnił w czasie wojny o Falklandy, pozostaną bez odpowiedzi. McMullen otworzył teczkę.

- Ponieważ jest pan w tym bardzo dobry, chciałbym, żeby rzucił pan okiem na te zdjęcia. Zrobiono je w Wietnamie, dwadzieścia pięć lat temu, a więc jeszcze zanim zajął się pan fotografowaniem.

Podszedł do stołu i zaczął wyjmować z teczki czarno-białe zdjęcia. Układał je jak karty w pasjansie, nie okazując żadnych uczuć. Pascal zbliżył się powoli. Gini wstała, zawahała się i znowu usiadła. Obaj mężczyźni stali teraz tyłem do niej.

- Ta wioska nazywała się My Nuc - ciągnął McMullen tym samym beznamytnym tonem. - Oto, co zostało z niej po odejściu plutonu Johna



Hawthorne'a... Przed ich przybyciem mieszkało tam pięćdziesiąt osób. Sami cywile, większość kobiet z dziećmi, kilku starców... Daje to pewne pojęcie, co się tam stało... - Nadal rozkładał fotografie na blacie, jedną za drugą. - Pewna kobieta w średnim wieku i dwunastoletni chłopiec uciekli w ostatniej chwili. Udało im się przeżyć. Pozostałe czterdzieści osiem osób zabito, niemowlęta i małe dzieci także... Chaty spalono. Ta dziewczyna... - Wyjął z teczki następne zdjęcie. - Ta dziewczyna to siostra kobiety, której udało się uciec. Zanim jej to zrobili - wskazał na coś palcem - zgwałcili ją piętnaście razy. Sierżantem był Frank Romero, który wynalazł nowatorski sposób unieruchamiania ofiary. Przebił palikami kostki jej nóg i ręce, przybijając ją do ziemi. John Hawthorne stał obok niej i przyglądał się. Był oficerem, dowódcą plutonu, więc na pewno mógł skorzystać pierwszy, naturalnie gdyby chciał, lecz on wolał być ostatni. Kiedy z nią skończyli, była już półmartwa. Widzi pan, jaka sucha była tam ziemia? Napchali jej piasku do nosa i ust, a potem dobili strzałem w tył głowy. Podczas gdy podkomendni Hawthorne'a robili to wszystko, on stał i patrzył, cały czas...

McMullen odsunął się trochę od stołu, lecz Pascal wciąż wpatrywał się w zdjęcie. Gini nawet nie drgnęła.

- Zdaję sobie sprawę, że nie raz widywał pan podobne sceny - ciągnął McMullen cichym, obojętnym głosem. - Podczas wojny takie rzeczy się zdarzają, trudno temu zaprzeczyć. Armia posiada specjalny system dyscyplinarny, służący do wymierzania kar, także najwyższych, ale w tym wypadku nie podjęto żadnych działań. Nie było sądu polowego, nic z tych rzeczy. Szczerze mówiąc, nawet mnie to nie dziwi, bo przecież nikt nie wystąpił z oskarżeniem. Pluton Hawthorne'a został zabrany na pokład helikopterów z miejsca znajdującego się w odległości pięciu kilometrów od My Nuc. Ci żołnierze byli jedynymi ludźmi, którzy wiedzieli, co naprawdę wydarzyło się w wiosce. Dopóki milczeli, byli bezpieczni. Gdyby ktokolwiek odkrył dowody zbrodni, zawsze można było zwalić winę na Vietcong. Początkowo pluton składał się z trzydziestu dwóch ludzi, w tym jednego dziennikarza, ale zostali odcięci i przez pięć dni znajdowali się pod ciężkim ostrzałem. Kiedy wchodzili do My Nuc, było ich już tylko szesnastu, razem z dziennikarzem, Hawthorne'em oraz Romero. Ostatni dwaj nadal żyją i dziennikarz także. Chcielibyście wiedzieć, co przydarzyło się pozostałym

trzynastu? Powiem wam. Pięciu zginęło jeszcze w czasie wojny, co znaczy, że ośmiu wróciło do kraju. W krótkim czasie wszyscy zginęli, co do jednego. Kilku udało się przeżyć parę miesięcy, dwóm aż rok. Wypadek samochodowy w Luizjanie, przedawkowanie narkotyków w Waszyngtonie, śmierć podczas strzelaniny na stacji benzynowej, zakażenie krwi po transfuzji, utonięcie... Ani jeden nie zmarł śmiercią naturalną. Umierali w Kalifornii, Missouri, New Jersey. Łatwo możecie to sprawdzić, wszystkie dane są w tej teczce. - Położył teczkę na stole. - Jak to możliwe, że Hawthorne i Romero mają się dobrze, natomiast reszta plutonu wacha kwiatki od spodu? Nic w tym dziwnego? To tylko znaczy, że Hawthorne i jego opiekuńczy tatuś świetnie radzą sobie z wszelkimi zagrożeniami. No i że John Hawthorne zawsze zgarnia całą pulę... To są dowody. - Wskazał zdjęcia. - Możecie je potwierdzić. Oddział Hawthorne'a był jedynym, który wtedy działał w okolicy My Nuc. Tamci dwoje, którzy uciekli, na pewno zgodzą się zeznawać. Widzieli to wszystko na własne oczy i nadal żyją.

Pascal usłyszał lekkie drżenie w głosie McMullena. Wciąż patrzył na zdjęcia, rzeczywiście podobne do wielu, jakie Pascal widział w przeszłości, i do innych, które sam zrobił. Przypominały koszmarne sny, które często dręczyły go w nocy. Nagle ogarnęła go potężna fala litości i współczucia dla McMullena, który przez tyle lat pielęgnował w sobie te przerażające obrazy.

- Co wiąże pana z tymi wydarzeniami? - zapytał cicho, wskazując zdjęcia. - Miał pan wtedy najwyżej dwadzieścia lat i na pewno nie był pan w Wietnamie...

Nie było to najuczciwsze z pytań, biorąc pod uwagę wiedzę, którą Pascal już posiadał, lecz McMullen chyba nie zwrócił na to uwagi. Wpatrywał się w okno.

- Było to w 1968 roku, miałem wtedy osiemnaście lat - powiedział. - Część roku spędziłem w Paryżu, potem pojechałem do Oksfordu. Pluton Hawthorne'a rozprawił się z My Nuc, kiedy kończyłem pierwszy semestr.

- A pana związek z My Nuc? Bo przecież jakiś związek musi istnieć...

McMullen zacisnął usta i gwałtownie odwrócił twarz.

- Znałem kobietę, którą widzi pan na zdjęciach, tę, którą zabił Romero. Nigdy nie spotkałem jej siostry, której udało się uciec z My Nuc, ale później, znacznie później nawiązałem z nią kontakt...

- Mógłby mi pan powiedzieć, jakiego rodzaju znajomość łączyła pana z tą kobietą?

- Nie. Nie chcę dłużej o tym rozmawiać.

- Oczywiście... Kto zrobił zdjęcia?

- Jego nazwisko znajdzie pan wśród tych dokumentów.

Naturalnie to Wietnamczyk, miał za zadanie dokumentowanie takich okropności. Jego oddział przybył tam dwa dni po wycofaniu plutonu Hawthorne'a. Nadal żyje, mieszka w Mieście Ho Chi Minha.

- Byli także i inni świadkowie?

- Po fakcie? Tak. Ich dane także umieściłem w teczce.

- Próbował pan przedstawić te oskarżenia publicznie?

- Oczywiście. Pod koniec wojny napisałem do kilku amerykańskich senatorów. Po jej zakończeniu podjąłem jeszcze jedną próbę. - Skontaktowałem się z pewną gazetą.

- Nie uwierzyli panu?

- Nie. Nawet nie wszczęli szczegółowego dochodzenia. Powiedzieli mi, że fotografie pochodzą z podejrzanego źródła, czyli od wrogiej strony. Hawthorne był już wtedy kongresmenem. Nie, nie uwierzyli mi.

- Kontaktował się pan z kimś jeszcze? - zapytała Gini, wstając z krzesła. - Dlaczego nie porozumiał się pan z dziennikarzem, który towarzyszył temu plutonowi? Przecież to był główny żyjący świadek...

- Skontaktowałem się z nim. - McMullen popatrzył na nią chłodnymi, niebieskimi oczami. - Trzy razy pisałem do pani ojca, może go pani zapytać. Odpowiedział raz, na mój ostatni list. Poinformował mnie, że się mylę. Kiedy napisałem jeszcze raz, otrzymałem pismo od jego prawników. Więcej się nie odezwał.

Zapadła cisza. Pascal pozbierał zdjęcia i włożył je do koperty. Gini nie spuszczała wzroku z McMullena.

- Dlaczego ani słowem nie wspomniał pan Jenkinsowi o tym aspekcie sprawy?

- Ponieważ wiedziałem, jak zareaguje. Uznałby mnie za wariata, jak inni przed nim. Kogo dziś obchodzi, co zdarzyło się dwadzieścia pięć lat temu w małej wiosce na drugim końcu świata?

- Och, rozumiem! Natomiast przeczuwał pan, że jeżeli zgłosi się do mojej gazety z seksualnym skandalem, związanym ze znaną osobą, wszyscy natychmiast to podchwycą, tak?

- Chce pani powiedzieć, że stało się inaczej? - chłodno odparł McMullen. - Czy ta historia nie wzbudziła pani zainteresowania? Czy nie zaciekała Jenkinsa? I Appleyarda?

- Tak pan to zaplanował? - rzuciła ostro. Pascal się odwrócił.

- Gini... - powiedział ostrzegawczo, kładąc rękę na jej ramieniu.

- Nie, spójrzmy teraz na to z mojego punktu widzenia... - Gini odepchnęła jego dłoń i stanęła naprzeciwko McMullena. - Najpierw przedstawił nam pan taką historię, którą zgodnie z pana oczekiwaniami natychmiast podchwyciliśmy, potem podbudował pan jej wiarygodność, organizując całą tę aferę z paczkami, przez którą my obydwój, Pascal i ja, straciliśmy mnóstwo czasu, a trzy osoby życie... Dlaczego? Jeżeli nie chciał pan nas nakręcić, to jaki inny miał pan cel? Rozmyślnie zrobił pan to tak, aby wyglądało, że paczki wysłał Hawthorne...

- Gini... - Pascal stanął między nią i McMullenem. - Nie teraz.

- To bez sensu. - McMullen ruszył ku drzwiom. - Zresztą, i tak nie mam więcej czasu.

Gini zagroziła mu drogę.

- Niech pan się tak nie śpieszy. Dość długo czekaliśmy na to spotkanie. Nie przyszło panu do głowy, że może chcielibyśmy zadać parę pytań? A może powinniśmy przyjąć to wszystko do wiadomości tylko dlatego, że pan tak mówi? Jak dotąd, podał pan nazwisko jednego lekarza, i to wszystko. No, i jeszcze przyniósł pan zdjęcia, które mogły zostać zrobione gdziekolwiek w Wietnamie, w czasie trwającej kilka lat wojny...

- To nie wszystko. - McMullen się zatrzymał. - Nawet nie spojrzeliście na inne dowody. Są tam oświadczenia, zeznania naocznych świadków, potwierdzenia... - Głos mu się nagle załamał. - Czego trzeba, żeby przekonać takich jak wy? Widzieliście, co potrafi Hawthorne, widzieliście trzy trupy... Chcecie więcej?

- Dostyc! - Pascal szybko wszedł między nich. - Oboje równocześnie mylicie się i macie rację. To do niczego nie prowadzi...

- Rzeczywiście do niczego - przerwał mu McMullen. Usiłował odepchnąć Pascala, ale nie zdołał. - Teraz już rozumiem, byłem głupcem, licząc, że mi pomożecie, a już szczytem głupoty było wierzyć, że zrobi to ona... - Gniewnym gestem wskazał Gini. - Jesteście tacy jak inni dziennikarze, cyniczni i zblazowani. Nie rozpoznalibyście prawdy, nawet gdybyście mieli ją tuż przed oczami. Tracę czas. Wychodzimy, już...

- Nie, nie wychodzimy. - Pascal odsunął Gini na bok i zasłonił drzwi. Jego głos stał się nagle bardzo chłodny. - Zanim wyjdziemy, spokojnie mnie pan wysłucha. Naszym zadaniem nie jest pomaganie panu w publikowaniu oskarżeń, lecz odkrywanie prawdy. Nie ma pan prawa mówić do Gini w ten sposób. Wie pan, przez co przeszła w ciągu ostatniego tygodnia? Obsceniczne telefony w środku nocy, splądrowane mieszkanie, a wczoraj, kiedy kazał jej pan uganiać się po muzeum...

- Daj spokój... - poprosiła cicho. - Zostaw to... To bezcelowe.

- Przeciwnie! - Oczy Pascala błyszczały gniewem w napiętej, bladej twarzy. - Myśli pan, że ktoś może być cyniczny i zblazowany, kiedy żyje w stanie zagrożenia? Gini najpierw dostała anonimową przesyłkę z kajdankami, potem dwie inne - w jednej była czarna jedwabna pończocha, w drugiej but, dokładnie w jej rozmiarze... Wie pan jak to jest, kiedy ktoś nocą wyłącza prąd w mieszkaniu, a potem dzwoni telefon i jakiś zboczeniec zaczyna opisywać to, co dziewczyna ma w tej chwili na sobie? Sądzi pan, że Gini reaguje na takie sytuacje obojętnym wzruszeniem ramion?

Jeżeli tak, to niech pan się jeszcze nad tym zastanowi. I niech pan nie odzywa się do niej tym tonem...

Zapadła cisza. McMullen się cofnął. Na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia, rozłożył ręce.

- Buty? Pończochy? Nocne telefony? Nic nie rozumiem... Co się stało, kiedy wczoraj byliśmy w muzeum?

- Ktoś drugi raz włamał się do mojego mieszkania - powiedziała Gini sucho i odwróciła się. - Mam kota. Miałam kota... Zadusili go. Potem... Potem powiesili go na haczyku wbitym w drzwi. Ktoś to zrobił. Pascal ma rację. Kiedy znalazłam mojego kota, wcale nie czułam się zblazowana. Wie pan, jak się czułam? - Znowu odwróciła się twarzą do McMullena. - Ogarnęła mnie wściekłość, tak jak wtedy, gdy weszłam do

tamtego mieszkania w Wenecji i zobaczyłam dwa trupy. W każdej chwili mogłam wycofać się z tej sprawy, zrezygnować z tematu, Pascal także, ale żadne z nas tego nie zrobiło. Jak pan myśli, dlaczego tu teraz jesteśmy, do diabła? Ponieważ chcemy poznać prawdę i nie zamierzamy rezygnować, dopóki jej nie poznamy.

McMullen zrobił jeszcze krok do tyłu, lecz przez cały czas uważnie słuchał. Kiedy Gini skończyła, schylił się, zawiązał plecak, podszedł do grzejnika i wyłączył go.

- Przykro mi - rzekł nieco sztywno. - Nic o tym nie wiedziałem... I nie miałem z tym nic wspólnego. Wysłałem cztery paczki, żeby dać wam wskazówkę, skierować was na właściwy trop i utrzymać na nim, dopóki sam nie będę mógł się z wami skontaktować. Nie miałem pojęcia, jakie będą konsekwencje mojego kroku i ani przez chwilę nie przypuszczałem, że aż tak długo nie będę mógł się z wami porozumieć. Przykro mi, ale powiedziałem wam wszystko, co wiem. Nic więcej nie mogę dodać. Nie mam żadnych oszałamiających dowodów. Daję wam słowo honoru, że mocno wierzę, iż wszystko, co powiedziałem wam o Johnie Hawthornie jest prawdą. Teraz musimy już jechać. Odwiozę was do Oksfordu.

Mówił zimnym, zdecydowanym tonem. Było oczywiste, że nie ma sensu go przekonywać. Podszedł do drzwi i wyłączył światło. Zaparkował samochód na zboczu, więc kiedy wsiedli, zwolnił hamulec i range rover powoli zjechał na drogę. Dopiero wtedy McMullen włączył światła i przekręcił kluczyk w stacyjce.

- Mówiliście, że macie pytania - odezwał się, gdy zbliżali się do głównej drogi.  
- Możecie je teraz zadać.

Gini już otwierała usta, lecz Pascal szybko powstrzymał ją lekkim dotknięciem ręki.

- Ja mam pytanie - powiedział. - Czy kiedy Jenkins zasugerował, że przydzielili temat właśnie Gini, wiedział pan, kim jest jej ojciec?

- Na początku nie. Zwróciłem uwagę na pani nazwisko, ale ostatecznie należy ono do dość popularnych. - Spojrzał w lusterko, napotykać wzrok Gini. - Dopiero później Jenkins wspomniał, że ma pani jakieś powiązania z Hawthorne'ami, przez macochę, i że jest pani Amerykanką, a wreszcie jasno powiedział, kim pani jest.

Usiłował przekonać mnie do pomysłu, by powierzyć ten temat właśnie pani, lecz ja byłem przeciwny dawaniu go kobiecie i wcale tego nie ukrywałem.

- Ale dlaczego nie zaprotestował pan bardziej zdecydowanie, kiedy już dowiedział się pan, że chodzi o córkę Sama Huntera? Był pan chyba świadomy, że nie obejdzie się bez pokazania jej tych dowodów... - Pascal postukał palcem w teczkę, którą McMullen przekazał mu w drodze do samochodu. - To powiązanie z pewnością pana niepokoiło, prawda? Musiał pan podejrzewać, że Gini źle zareaguje na sugestię, iż jej ojciec kryje Hawthorne'a...

- Przyszło mi to do głowy, oczywiście, ale Jenkins kilkakrotnie podkreślił, że ona nie widuje się z ojcem, że nie utrzymuje z nim żadnych kontaktów. Kiedy to wszystko wyszło na jaw, była już połowa grudnia i musiałem błyskawicznie podjąć decyzję. Szczerze mówiąc, sądziłem wtedy, że nie jest ważne, kto napisze tekst, bo w pierwszej kolejności i tak należało zdobyć fotograficzne dowody „hobby” Hawthorne'a. Myślałem, że gdy ponad wszelką wątpliwość dowiedziemy, jakiego rodzaju człowiekiem jest Hawthorne, każdy uczciwy dziennikarz będzie gotów poprowadzić śledztwo w jego sprawie, do końca odsłonić niegodziwość tego przestępcy, łącznie z czynami, których dopuścił się w Wietnamie. Tak uważałem, aż do dzisiaj... Teraz zaczynam widzieć, że popełniłem błąd.

Gini nachyliła się do przodu między dwoma przednimi fotelami.

- Niech mnie pan posłucha - rzekła cicho. - Jeżeli znajdziemy dowody, że pańskie oskarżenia wobec Hawthorne'a są prawdziwe, doprowadzę tę sprawę do samego końca, nie cofnę się. Razem z Pascalem zbadam ją najdokładniej, jak potrafię, rozgrzebię całą przeszłość Hawthorne'a, proszę mi wierzyć. Ma to dla mnie ogromne znaczenie, bo Hawthorne jest amerykańskim politykiem, a ja urodziłam się w Stanach Zjednoczonych i czuję się Amerykanką...

McMullen nie odpowiedział. Gini spojrzała mu w oczy w lusterku. Szybko zmienił biegi i wjechał na dwupasmową szosę do Oksfordu. Zbliżali się do miasta inną trasą niż ta, którą wyjechali. Chwilę w milczeniu obserwowała, jak McMullen wykonuje te manewry. Widziała tylko jego prawy policzek i zaciśnięte na kierownicy dłonie.



- Na razie chciałabym jednak poznać odpowiedzi na kilka pytań - podjęła. - Chodzi mi o te pierwsze cztery paczki. Załóżmy, że następne dwie wysłano w celu zastraszenia mnie, ale tamte...

- Musimy do tego wracać? - zapytał McMullen z irytacją. - Po co? Czy to takie ważne? Mówiłem już, że chciałem w ten sposób podrzucić wam wskazówkę. Dlaczego nie skoncentruje się pani na Hawthornie? Przecież to on jest bohaterem tej historii, nie ja.

- A jednak zależy mi na wyjaśnieniu tego wątku. Nie rozumiem, w jakim stopniu zaangażowany był w to Appleyard. Dlaczego posłużył się pan nim, żeby skontaktować się z Lorną Munro?

- Usiłowałem być ostrożny - odparł McMullen. - Próbowałem odsunąć go od sprawy Hawthorne'a, ale mi się nie udało. Kiedy włączył się Jenkins, musiałem postarać się, aby Appleyard milczał. Miałem nadzieję trzymać go na dystans do chwili, gdy Jenkins opublikuje całą historię. Appleyard wiedział tylko o słabości Johna Hawthorne'a do blondynek. Myślał, że Lorna Munro ma spotkać się z Hawthorne'em i że później dowie się ode mnie, jak Hawthorne zareagował... - Przerwał na chwilę. - O ile pamiętam, nazwał tę dziewczynę „słodką pułapką”...

- Rozumiem... - Gini zawiesiła głos, lecz McMullen milczał. - Więc postanowił pan posłużyć się tym chwytem z przesyłkami, tak? Kiedy to było?

- Po moim wyjeździe z Londynu, wtedy to zaplanowałem. Powtarzam raz jeszcze, teraz wydaje mi się to głupim pomysłem. Żałuję, że to zrobiłem.

- Sam przygotował pan ten plan?

- Tak. Dlaczego pani pyta?

- Ponieważ jest to... Sprawia wrażenie bardzo kobiecego pomysłu, przynajmniej pod pewnymi względami. Nie spodziewałabym się, że mężczyzna tak dokładnie obmyśli wszystkie detale. Na przykład strój Lorny Munro...

- To było proste - rzucił McMullen. - Na początku grudnia wpadłem do mojej siostry, przypadkiem przerzuciłem kilka leżących na stole czasopism i natknąłem się na tamto wydanie „Vogue”...

Gini nie zareagowała. Następne kłamstwo, pomyślała, tym razem bardziej oczywiste. Siostra McMullena powiedziała Pascalowi, że nie widziała brata od sierpnia.

- Tak czy inaczej, musiał pan mieć pewne problemy z wyreżyserowaniem tej sytuacji - podjęła. - Zdobycie futra, naszyjnika, kostiumu Chanel...

- Okazało się to łatwiejsze niż myślałem. - McMullen znowu zerknął w lusterko i zjechał na pasmo szybkiego ruchu.

Gini czekała.

- W takim razie kto zadzwonił do salonu Chanel? - zapytała w końcu.

- Słucham? Chwileczkę, dobrze? Zaraz wjedziemy na rondo Headington, a tam zawsze jest potworny ruch...

Za rondem McMullen przyśpieszył, zjechał na drogę objazdową do Oksfordu, potem zaś skręcił i zaczął przedzierać się przez poplątaną sieć uliczek w kierunku centrum miasta. Wciąż nie odpowiadał na ostatnie pytanie. Gini zerknęła na Pascala, którego milczenie wydało jej się dziwne. Pascal siedział ze wzrokiem utkwionym w przedniej szybie i nic nie wskazywało, że w ogóle ją słyszał.

- Nie chciałabym naciskać, ale muszę wiedzieć, jak to było. - Gini znowu nachyliła się do przodu. - Widzi pan, ja...

- To nieważne. - Pascal odwrócił się do niej. Mówił lekkim tonem, lecz chwycił ją za rękę i mocno przycisnął do oparcia fotela. - Nie mamy teraz czasu... - Spojrzał na McMullena. - Takie szczegóły interesują nas, ponieważ ich sprawdzanie kosztuje zwykle mnóstwo wysiłku - wyjaśnił. - Jestem teraz pewny, że oboje z Gini od pierwszego dnia jesteśmy pod obserwacją, ktoś niewątpliwie podsłuchiwał nasze rozmowy telefoniczne. To może tłumaczyć pewne aspekty wydarzeń, ale nie wszystkie. Na przykład, dlaczego wysłał pan paczkę do Wenecji, do samego siebie?

- Mówiłem już, że liczyłem, iż zdołam się tam z wami spotkać. Przede wszystkim zależało mi na tym, żebyście nie przestali interesować się tematem, to było dla mnie najważniejsze.

- Rozumiem... Ale skąd Appleyard wiedział o tym mieszkaniu w Wenecji? Kto dał mu adres? Zjawił się tam, jeszcze zanim pan wysłał paczki...

- Nie wiem. - McMullen sprawiał wrażenie zadowolonego, że przestali wypytywać go o strój Lorny Munro. - Ja nigdy nie dawałem mu adresu, chociaż mieszkanie należy do mnie. Wynajmuję je od lat. Przychodzi mi do głowy jedyne wyjaśnienie - ktoś napuścił Appleyarda, powiedział mu, że tam mnie znajdzie. Appleyard nie mógł skontaktować się ze mną w Londynie, a za nic nie chciał pozostawić tematu Hawthorne'a, więc pojechał do Wenecji i w rezultacie zginął...

- Kto mógł go napuścić? Musiało to być zaraz po Bożym Narodzeniu. Podejrzewa pan Johna Hawthorne'a?

- Nie zrobił tego osobiście, ale nie mam wątpliwości, że posłużył się jednym ze swoich ludzi, najprawdopodobniej Frankiem Romero. Adres Palazzo Ossorio był zapisany w notesie Lise, wiem o tym z całą pewnością. Pisywała tam do mnie w przeszłości, wiele lat temu. Poza tym, ja przecież rzeczywiście byłem w Wenecji, pojechałem tam prosto z Anglii. Niewykluczone, że ktoś mnie śledził. Wiedziałem, że mogę zatrzymać się w Wenecji najwyżej jeden dzień, może półtora. Dłuższy pobyt byłby zbyt ryzykowny, więc pojechałem dalej.

- Chce nam pan powiedzieć, dokąd?

- Nie.

- Czy w tym czasie, od wyjazdu z Londynu do dziś, udało się panu skontaktować z Lise? Musiał się pan o nią bardzo niepokoić...

- Z całego serca chciałem się z nią zobaczyć, ale to było niemożliwe. Nie.

Zachowanie McMullena uległo zmianie w chwili, gdy Pascal wymienił imię Lise. Robił wrażenie zdenerwowanego i jechał znacznie mniej ostrożnie. O mały włos nie przegapił znaku stopu i wziął zakręt ze zbyt dużą szybkością. Potem zwolnił i wjechał do centrum Oksfordu.

- To wszystko? - zapytał. - Macie jeszcze jakieś pytania? Jesteśmy tuż obok Paradise Square, zaraz się zatrzymam...

- Jeszcze jedno... - zaczął Pascal z namysłem. - Pan i Lise Hawthorne... To pytanie może się panu nie spodobać, ale...

McMullen zeszywniał.

- Już mówiłem - rzucił. - Lise i ja zawsze byliśmy i nadal jesteśmy tylko przyjaciółmi. Gdyby znał pan Lise, zrozumiałby pan, że mówię prawdę. Lise jest

mężatką i wierzy w przysięgę małżeńską. Niezależnie od tego, co ja mogłem czuć, jakkolwiek związek, oczywiście poza przyjaźnią, był całkowicie wykluczony... Ja...

- Nie o to mi chodziło - przerwał mu cicho Pascal. - Nie sugeruję, że jesteście kochankami, nic z tych rzeczy, ale dobrze pan wie, że nie trzeba być kochankiem kobiety, aby ją kochać. W rozmowie telefonicznej, której nagranie przesłuchaliśmy, zwraca się pan do niej z ogromną czułością, więcej...

- Wiem.

McMullen westchnął. Zwolnił, skręcił w opustoszałą High Street i zatrzymał się pod kościołem Wszystkich Świętych. W obrębie miasta mgła była znacznie gęstsza niż na wsi. McMullen wyłączył silnik i długo milczał. Gini zauważyła, że jego oparte na kierownicy dłonie drżą. Plecy i barki były sztywno wyprostowane, napięte.

- Kocham Lise - odezwał się nagle cichym głosem, odwracając twarz w bok. - Kocham ją od wielu lat. Moja miłość mimo rozdzielania nie osłabła, wręcz przeciwnie. Nigdy nie mówiłem jej, co do niej czuję. Cóż, nie musiałem, bo ona na pewno wie - słyszy to w moim głosie, widzi w moich oczach. Poza Lise kochałem tylko jedną kobietę, więc nie jest to uczucie, które traktowałbym lekko... Nigdy nie zaszło między nami nic... Nic niewłaściwego. Gdyby Lise mogła się rozwieść, gdyby nie jej religia... Ale ona nie może, nie bierze tego pod uwagę. Jeżeli sugerujecie, że wyciągnąłem całą tę historię na światło dzienne, żeby uwolnić Lise od męża, odpowiedź brzmi: nie. Nienawidzę Hawthorne'a, lecz nigdy nie posunąłbym się do oszczerstw, nawet gdyby miały one zwiększyć moje szanse u Lise. Powiem jasno, nie mam u niej żadnych szans, dopóki Hawthorne żyje - McMullen odwrócił się i spojrzał na Pascala. - Poza tym... Nie zna mnie pan i nie musi mi pan wierzyć, ale daję słowo, że nigdy nie skrzywdziłbym go dla korzyści osobistych. To nie w moim stylu...

Nagle ujrzeni przed sobą tego McMullena, którego znali z opisu jego siostry i Jenkinsa. Gini przyglądała mu się uważnie. Nie ma w nim naiwności, pomyślała, ale głębokie i robiące wrażenie przekonanie, że mówi prawdę. Teraz nie wątpiła już w szczerść jego słów i widziała, że Pascal czuje to samo. Patrzył na McMullena w taki sposób, jakby lubił go i rozumiał.

- Jeśli chodzi o motywy mojego działania... - McMullen przerwał. Zmarszczył brwi i utkwił wzrok w zamglonej ulicy przed nimi. - Wiele razy sam zadawałem sobie

to pytanie, zadaję je sobie od dwudziestu pięciu lat. Ze względu na szacunek do samego siebie musiałem mieć pewność, dlaczego uważam, że powinienem zdemaskować Hawthorne'a. Chcę chronić Lise i jej synów, tak brzmi odpowiedź, lecz poza tym nie potrafię pozbyć się tej staroświeckiej wiary w prawdę. Nie chcę dopuścić, aby człowiek o jego pozycji i znaczeniu nie poniósł kary za tyle zła i tyle lat kłamstw...

Przechylił się do tyłu i otworzył tylne drzwi. Było oczywiste, że rozmowa dobiegła końca. Zaczekał, aż obydwójce wysiądą i uchylił szybę.

- Mało brakowało, a zapomniałbym o najważniejszej rzeczy - powiedział. - Dalsze wskazówki, plan na najbliższe dni...

Gini chciała odpowiedzieć, lecz Pascal szybko jej przerwał.

- Mamy wszystkie wskazówki, jakie mogą nam się przydać - rzekł. - Znamy też adres domu, gdzie Hawthorne umówił się na niedzielne spotkanie. Wiemy, jak i gdzie wybiera te kobiety. Zrobię zdjęcia. To chyba byłoby wszystko...

McMullen wyglądał na zaskoczonego. Gini, na pewno nie mniej zdziwiona, milczała. Pascal potrafił naprawdę świetnie kłamać.

- Na pewno? - McMullen popatrzył na niego spod ściągniętych brwi. - Dlaczego nie powiedział mi pan tego wcześniej?

- Może wcześniej mniej panu ufałem. - Pascal wzruszył ramionami.

McMullen z wahaniem spojrzał na zegar wbudowany w deskę rozdzielczą.

- Muszę jechać... Niewykluczone, że jeszcze się spotkamy. Po niedzieli... - Na jego twarzy pojawił się wyraz dziwnego smutku. - Kiedy będzie już po wszystkim. Mam nadzieję... Chciałbym, żebyście wiedzieli, że naprawdę dużo wam zawdzięczam... Zapewne wydałem wam się niewdzięczny, nieuprzejmy i arogancki, ale...

- Wszystko w porządku - odparł Pascal. - Możemy się spotkać, kiedy będzie po wszystkim. Jeżeli uzna pan, że należy nam się podziękowanie, wtedy nam pan podziękuje.

- Wtedy? - McMullen spojrzał na niego ze zdziwieniem. Jego twarz na moment przesłoniła mgła. Zaraz potem wziął się w garść. - Ach, wtedy... Kiedy będzie po wszystkim... Tak, oczywiście. Muszę już jechać. Do widzenia...

Zamknął okno, włączył silnik i odjechał. Stali na chodniku, patrząc jak jego samochód znika w oddali. Mgła zasnuła wylot ulicy, warkot silnika ucichł. Pascal westchnął i spojrzął na Gini.

- Co za dziwny człowiek... - powiedział. - Bardzo, bardzo dziwny człowiek...

## XXVII

Pascal zaparkował motocykl na Holywell Street, niedaleko miejsca, gdzie pożegnali się z McMullenem. Kiedy zatrzymali się przy błyszczącej czarnym lakierem maszynie, Gini odwróciła się twarzą do Pascala.

- Wyjaśnij mi, co się stało? - zapytała.

- Dlaczego powstrzymałem cię przed zadawaniem niezliczonych pytań? -

Uśmiechnął się do niej.

- Tak. I dlaczego okłamałeś go na końcu.

- Nie teraz, nie mamy czasu. Damy McMullenowi fory, ale niezbyt wielkie.

Chcę sprawdzić, dokąd jedzie.

- Myślisz, że wróci do tego domku?

- Tak... - Pomógł Gini usadowić się i zapiął kask pod jej brodą. - Jestem jednak prawie pewny, że nie od razu...

Wskoczył na przednie siodełko, Gini objęła go w pasie ramionami. Zrobiło się bardzo zimno, a prędkość, z jaką jechał Pascal, potęgowała to wrażenie. Starał się jechać dokładnie tą samą trasą, którą wcześniej pokonali z McMullenem. Zaparkowali na obrzeżach wioski, w której znajdowała się posiadłość Hawthorne'a. Stąd Pascal poprowadził Gini wąską dróżką w kierunku kościoła.

Mgła była tu rzadsza niż w mieście i trochę bladego światła księżyca co jakiś czas przedzierało się przez chmury. Pascal ostrożnie szedł przodem przez cmentarz, omijając groby. Przystanął przy obrośniętym pnączami murze, wspiął się nań i podciągnął Gini.

- Tak myślałem... - odezwał się cicho, wprost do jej ucha. - Większość starych angielskich dworów jest usytuowana w pobliżu kościoła. Tam jest dom Hawthorne'a, widzisz bramę?

Gini spojrzała w rozciągającą się pod nimi dolinę. Gdy jej oczy przywykły do ciemności, ujrzała mroczną sylwetę domu i jaśniejsze pasmo podjazdu, zakończone wysoką żelazną bramą. Kiwnęła głową.

- Doskonale. Teraz patrz.

Siedzieli w milczeniu dziesięć minut. Lekki wiatr poruszał nagimi gałęziami drzew, sowy pohukiwały w oddali. Tarczę księżyca co parę chwil przesłaniały chmury. Za ich plecami kościelny zegar zaczął wybijać dziesiątą.

Kilka sekund później Gini zobaczyła jasne pasma światła, wspinające się na wzgórze za domem Hawthorne'a.

W gęstej ciemności reflektory wydawały się świecić zdumiewająco jasno. Dwa samochody, pomyślała Gini. Ktoś musiał zostać uprzedzony o ich przybyciu, bo kiedy wozy się zbliżyły, brama otworzyła się szeroko. Dwa duże lincolny przemknęły po podejździe i brama się zatrzasnęła. Na ganku domu zapaliła się lampa, psy rozszczeptały się głośno. Samochody stanęły.

Drzwi otworzyły się i zamknęły. W przyćmionym świetle Gini ujrzała, jak pierścień ciemno ubranych mężczyzn zamyka się wokół jednego z nich. Cała grupa szybko weszła po schodach, drzwi znowu się otworzyły i zamknęły.

- Hawthorne?

- Tak. Bez żony. Zaczekaj...

Pascal przestał obserwować dom, przeniósł wzrok na pola po drugiej stronie doliny. Gini poszła za jego przykładem. Widziała ich szare kształty, ciemniejsze linie żywopłotów, grupy drzew, skupionych w kilku miejscach na zboczu, zwieńczonym czarną koroną lasów.

Minęło pięć minut, dziesięć... Gini zadrżała. Pascal spojrzał na zegarek. Wtedy daleko przed nimi, w ciemności zabłysło małe światełko.

Po sekundzie zniknęło. Gini nie była nawet pewna, czy rzeczywiście je widziała. Światło księżyca mamiło wzrok, cienie wciąż przesuwwały się wraz z rzadkimi pasmami mgły.

Pascal pomógł jej zeskoczyć z muru.

- Widziałaś? - zapytał.

- Wydaje mi się, że coś widziałam, ale nie jestem pewna, co...



- Płomyk zapalniczki. Mieliśmy szczęście, że go dostrzegliśmy. McMullen jest zawodowcem - nie chodzi po lesie z latarką, nie błyska w ciemności bladą twarzą i gołymi dłońmi, nie potyka się o gałęzie, które pękają z trzaskiem. Jednak nawet McMullen czasami się denerwuje, a jak na pewno zauważyłaś, jest nałogowym palaczem. Zachowuje więc maksymalną ostrożność, lecz w ostatniej chwili o niej zapomina... Przed chwilą zapalił papierosa.

Gini spojrzała przez ramię w kierunku lasu.

- Chcesz powiedzieć, że był tam przez cały czas? - zapytała.

- Oczywiście. Obserwuje Hawthorne'a i wcale tego nie ukrywa.

- Czekał na przyjazd Hawthorne'a? To dlatego ciągle zerkał na zegarek, tak?

Ale skąd wiedział, co Hawthorne zamierza zrobić i kiedy?

- Interesujące pytanie - mruknął Pascal. - I chyba znam odpowiedź...

Wziął Gini za ramię i bez specjalnego pośpiechu wrócili w miejsce, gdzie zostawili motocykl. Tam przystanęli.

- Wyjaśnij mi - powiedziała Gini - dlaczego przerwałeś moje pytania o strój Lorny Munro?

- Dlaczego? - Pascal ze zniecierpliwieniem rozłożył ręce. - Bo McMullen kłamał, oto, dlaczego. Może wcześniej nie i później też nie, ale akurat w tamtym momencie łął jak z nut.

- Przyznaję, że to, co mówił, nie było zbyt przekonujące...

- Było po prostu śmieszne. Daty zupełnie się nie zgadzały, zresztą, nic nie trzymało się kupy, ale nie chciałem, by się zorientował, że o tym wiemy. Moim zdaniem, należało uśpić jego czujność.

- Uśpić jego czujność? - Gini rzuciła mu ostre spojrzenie. - Czy dlatego go okłamałeś? Aby uśpić jego czujność? Wiemy, jak wybiera te kobiety - tak powiedziałaś... Przecież to nieprawda... Dlaczego skłamałeś?

Pascal długo stał w milczeniu, ze wzrokiem utkwionym w wylot wiejskiej uliczki.

- Instynktownie - rzekł w końcu, lekko wzruszając ramionami. - Głównie dlatego, żeby zobaczyć, jak zareaguje.

- Zareagował zdumieniem i ulgą - odparła Gini. - Wielką ulgą, i to szczerą... Jestem pewna, że nie udawał.

- Zgadzasz się z tobą, ale było to dziwne... - Pascal jeszcze chwilę stał bez ruchu, głęboko zamyślony. Wreszcie odwrócił się i chwycił dłonie Gini. - Zmarzłaś... Jest już za późno i za zimno na powrót do Londynu. Przenocujemy w Oksfordzie i zjemy porządną kolację. Potem porozmawiamy.

- Dobrze... - Gini podeszła do motocykla i nagle się zatrzymała. - Co wydało ci się dziwne?

- Widzisz, moje ostatnie kłamstwo, to, że wiemy, jak i gdzie wybiera kobiety, i tak dalej, powinno być dla niego najważniejszą informacją. Gdyby to była prawda, koszmarne przeżycia Lise wreszcie by się skończyły, a McMullen osiągnęłaby wszystko, na co liczył. Najbardziej istotna sprawa, tymczasem on nie zadał nawet jednego pytania. Nie chciał wiedzieć, z jakiego źródła korzystaliśmy, jak dowiedzieliśmy się, gdzie Hawthorne zamierza spotkać się z następną blondynką... Przecież to są kluczowe pytania, nie uważasz?

- Jasne... - Gini zmarszczyła brwi. - Zwróciłam na to uwagę. Nie zadał też najbardziej oczywistego pytania - czy widzieliśmy się z Lise Hawthorne...

- Ponieważ znał odpowiedź. Jestem o tym przekonany. McMullen wiedział, że rozmawialiśmy z Lise i że to ona podała nam adres domu, gdzie jej mąż zamierza odbyć randkę. Wiedział też, że wczoraj miałaś przyjść do Regent's Park i że Hawthorne miał przyjechać tutaj dziś wieczorem. Podejrzewam, że kiedy na chwilę zostawił nas samych, poszedł do samochodu, żeby skorzystać z telefonu komórkowego. Wtedy ktoś podał mu przybliżoną godzinę przyjazdu Hawthorne'a do Oxfordshire. Zastanów się - skąd mógł wiedzieć to wszystko...

- Nadal kontaktuje się z Lise? Choć uparcie zaprzecza?

- Przecież to oczywiste. Dlatego zaczął kłamać, kiedy zaczęłaś wypytywać o strój Lorny Munro... Lise brała udział w tej sprawie z paczkami, nawet jeżeli była wtedy tutaj. Pomogła mu to zorganizować. Tylko dlaczego McMullen nie chce się do tego przyznać...

- Oslania ją?

- Może... - Pascal rzucił jej szybkie spojrzenie. - Nie zapominaj jednak, że może kierować się także i mniej niewinnymi motywami.

- Zaczniemy od domu, do którego nas zawiózł - rzekł Pascal. - Opowiedz mi, co zauważyłaś w pokoju, a ja opiszę kuchnię... - Przerwał i spojrzał na zegarek. - Nie, zaczekaj chwilę. Może załapiemy się jeszcze na końcówkę wiadomości...

Włączył telewizor stojący w kącie hotelowego pokoju. W późnym serwisie nadawano właśnie przegląd informacji. Śmierć dwóch osób w wyniku wybuchu bomby podłożonej przez IRA na Piccadilly Circus; spotkanie ministrów krajów Wspólnoty Europejskiej w Brukseli; propozycja obniżenia stóp procentowych kredytów, wysunięta przez Partię Pracy; rosnące prawdopodobieństwo działania finansowanych przez Arabów grup terrorystycznych w Londynie. Kiedy zaczęła się prognoza pogody, Pascal wyłączył telewizor.

- Londyn zmienia się w światową stolicę terroryzmu - powiedział. - Chcesz jeszcze kawy, kochanie?

Gini potrząsnęła głową. Pascal nalał sobie następną filiżankę. Wynajęli pokój w hotelu Randolph, oczywiście pod fałszywym nazwiskiem. Było tu anonimowo, wygodnie i cicho. Pascal usiadł w fotelu naprzeciwko Gini i wyprostował długie nogi. Jednym haustem wypił kawę i zapalił papierosa.

- Nigdy nie masz dosyć? - odezwała się Gini. - Nie czujesz, że powinieneś odpocząć?

- W czasie pracy nad tematem? - Spojrzał na nią ze zdziwieniem. - Oczywiście że nie... Musimy porozmawiać z tą Suzy z agencji towarzyskiej i z przyjacielem McMullena, Prior-Kentem. Całkiem możliwe, że akurat pod tym względem jestem podobny do Hawthorne'a. - Uśmiechnął się. - Pamiętasz, co mówił ci ten dziennikarz z „New York Timesa”? Hawthorne potrafi sypiać zaledwie trzy godziny dziennie. Mnie też czasami to wystarcza. Zdarza się nawet, że całkiem nieźle radzę sobie bez snu...

- Zauważyłam, szczególnie ostatnio...

- Chodź tutaj, kochanie. - Wyciągnął rękę. - Usiądź obok mnie.

Rzuciła mu rozbawione spojrzenie.

- Na pewno tego chcesz? Może to nie jest dobry pomysł...

- Masz rację... Masz rację. - Opuścił dłoń. - Najpierw powinniśmy się zastanowić, co dalej. Praca przede wszystkim, wiem... Nie mogę się już doczekać, kiedy skończymy temat... Gdy będziemy wolni... - Zawahał się. - Wyjedziesz wtedy ze mną? Do jakiegoś miejsca, gdzie moglibyśmy być sami, tylko we dwoje, gdzieś, gdzie uda nam się zapomnieć o tym wszystkim?

- Przecież wiesz, że tak. Powiedzieć ci, dokąd chciałabym pojechać?

- Wystarczy jedno słowo, a możesz być pewna, że będziemy tam następnego dnia po zakończeniu pracy. Do Indii? Ameryki Południowej? Na Wyspy Karaibskie? Na jakąś cudowną pustynię? Byłoby to całkiem przyjemne. Rozbiliśmy namiot pośrodku gór piasku. Oczywiście, mielibyśmy wielbłądy i studnię gdzieś w pobliżu... I może kilka palm. W nocy wychodzilibyśmy z namiotu, żeby patrzeć w niebo, na miliony, miliony gwiazd. Bo może nie wiesz, ale gwiazdy najlepiej widać z pustyni...

- Nie chcę jechać na pustynię, mimo gwiazd. Chciałabym, żebyś zabrał mnie tam, gdzie obiecywałeś - do Prowansji, twojej Prowansji...

Spojrzeni sobie w oczy i twarz Pascala nagle złagodniała.

- W takim razie właśnie tam pojedziemy - rzekł. - Pokażę ci mój stary dom i farmę, i mały kościółek... Będziemy pili czerwone wino w kafejkach, a potem całą noc przetańczymy na rynku...

- Zimą?

- Zimą, latem, wiosną, jesienią - co za różnica... Znowu wyciągnął do niej rękę. Zawahała się, lecz po chwili wstała.

- Dziesięć minut...

- Piętnaście - odparł. - Chcę cię tylko przytulić. Piętnaście minut, przysięgam.

Godzinę później Pascal podniósł się z łóżka, nalał sobie kawy, podszedł do okna i odsunął zasłonę.

- Mam nadzieję, że mgła się podniesie - powiedział. - Z samego rana musimy być w Londynie...

- Będziemy. Na razie weźmy się do pracy. Gdzie byliśmy? Chyba zgubiłam wątek...

Uśmiechnął się. Usiadł w pewnej odległości od Gini i zapalił papierosa.

- Rozmawialiśmy o pokoju w domu McMullena. Co tam znalazłaś?

Opowiedziała mu wszystko szczegółowo. Pascal słuchał uważnie.

- Miałaś dość czasu, żeby przejrzeć gazety?

- Tak. Najstarsze pochodzą z lipca zeszłego roku. Potwierdza to jego słowa, zbierał doniesienia o poczynaniach Hawthorne'a, odkąd Lise opowiedziała mu swoją historię. Zastanawia mnie, kiedy przeprowadził się do tego domu.

- Nie ulega wątpliwości, że śledzi Hawthorne'a - rzekł Pascal. - Czasami tutaj, czasami w Londynie... Utrzymuje, że był w Wenecji. Ciekawe, gdzie jeszcze...

- Mam wrażenie, że Anthony Knowles musiał wiedzieć o wyjazdach McMullena, może nawet pomógł mu zniknąć.

- Plecak był zasnurowany?

- Niestety tak...

- Najprawdopodobniej i tak nie miałabyś czasu, żeby do niego zajrzeć. Przez cały czas, gdy byliśmy w kuchni, nasłuchiwał, co dzieje się w pokoju.

- Co zauważyłeś w kuchni?

- Tylko dwie rzeczy. Obok zlewozmywaka leżał krem do kamuflażu w sztyfcie, musiał posmarować nim twarz i dłonie, zanim dziś wieczorem poszedł do lasu. Sztyft był do połowy zużyty, co wskazuje, że już wcześniej prowadził obserwację posiadłości Hawthorne'a. Na ścianie obok tylnych drzwi wisiało kilka półek. Stały na nich puszki z jedzeniem, talerze, kubki i niewielki pojemnik smaru do broni palnej.

- Smaru?

- Po oczyszczeniu broni pokrywa się nim wewnętrzne metalowe części.

- Myślisz, że miał tam pistolet albo karabin?

- Jestem pewny, że tak. - Pascal ściągnął brwi. - Zastanów się, od początku nie zwróciliśmy uwagi na bardzo oczywistą rzecz... Jeden z jego znajomych, z którymi rozmawiałem, wspomniał, że w sierpniu ubiegłego roku był z McMullenem na polowaniu, a doktor Knowles w rozmowie z tobą wymienił trzy sporty, w jakich McMullen osiągnął prawdziwe mistrzostwo, pamiętasz? Krykiet, wioślarstwo i co jeszcze?

- Strzelanie z broni palnej! Oczywiście! Knowles mówił, że McMullen osiągał znakomite wyniki w konkursach, był tak dobry, że reprezentował uniwersytet w zawodach międzyuczelnianych...

- Właśnie! Zastanówmy się, jakie to może mieć znaczenie. - Wstał i zaczął chodzić po pokoju. - Po pierwsze, McMullen jest byłym komandosem. Jego kariera wojskowa z pewnością nie należała do przeciętnych... Pamiętasz, co powiedział o Falklandach?

- Tak. Był tam, ale nie z oddziałami desantowymi. Nie zrozumiałam tego.

- Zaczynam się zastanawiać, czy on przypadkiem z wojsk spadochronowych nie przeszedł do jeszcze bardziej elitarnych tajnych jednostek, na przykład do SAS. Do SAS można się dostać wyłącznie na zaproszenie. Dowództwo SAS często rekrutuje ludzi z jednostek desantowych, a ktoś o wyjątkowych umiejętnościach strzelniczych na pewno by ich zainteresował.

- Jeżeli rzeczywiście należał do SAS, i tak nie zdołamy tego sprawdzić. Nie powiedzą nam nic, choćbyśmy nie wiem jak się starali.

- Niekoniecznie... Jeśli pojechał na Falklandy jako człowiek SAS, może mógłbym się czegoś dowiedzieć... Byłem tam, fotografowałem działania wojenne i nadal mam trochę kontaktów. Mógłbym spróbować... - Ściągnął brwi. - Nieważne... Na razie wróćmy do tematu. McMullen był komandosem, to wiemy na pewno. Był i najprawdopodobniej nadal jest znakomitym strzelcem. Obecność smaru do broni w jego kuchni sugeruje, że ma w domu pistolet albo karabin. Niezależnie jaką ma broń, musiał uzyskać pozwolenie na jej kupno i posiadanie, a to jest do sprawdzenia. Jutro się tym zajmę. Teraz zastanówmy się nad tym, co to oznacza, że McMullen ma broń w miejscu, które w oczywisty sposób traktuje jako punkt obserwacyjny...

Gini zawahała się przez chwilę.

- Znaczyłoby to, że istnieje jeszcze inny sposób interpretacji tej historii - powiedziała powoli. - Być może McMullen jest myśliwym, a ambasador zwierzyną...

- Popatrzmy na to wszystko z nowego punktu widzenia - zaproponował Pascal.  
- McMullen nienawidzi Hawthorne'a za coś, co wydarzyło się dwadzieścia pięć lat temu w Wietnamie. McMullen kocha kobietę, która poślubiła Hawthorne'a. Powiedzmy, że to małżeństwo jest nieszczęśliwe, może nawet Hawthorne zdradza

zonę. W tej sytuacji Lise i McMullen planują oszczerczą kampanię. Wymyślają historię o blondynkach, ponieważ wiedzą, jak gazety reagują na takie skandale.

Przygotowują poszlaki, które mają potwierdzać zmyślony wątek - wysyłają cztery paczki, może nawet dzwonią do agencji, w której byłaś. Utrzymują ze sobą kontakt - nawet wtedy, gdy McMullen znika, Lise nadal przekazuje mu informacje. Lise nie zdaje sobie jednak sprawy, że celem działań McMullena jest coś więcej niż zniszczenie reputacji Hawthorne'a, on zamierza zlikwidować ambasadora. Pamiętasz, jak powiedział nam, że Lise nie bierze pod uwagę rozwodu i mogłaby wyjść za niego tylko wtedy, gdyby Hawthorne umarł?

- Sądysz, że McMullen chce zabić Hawthorne'a? Dokonać zamachu na ambasadora? - Gini pokręciła głową. - Nie wierzę w to. Zresztą, nawet gdyby McMullen rzeczywiście nosił się z takim zamiarem, to nie miałby szans w starciu z ochroniarzami Hawthorne'a...

- Jesteś pewna? Nie ma takiej ochrony, która zapewniałaby absolutne bezpieczeństwo. McMullen jest strzelcem doskonałym, ma za sobą świetne szkolenie i wielkie doświadczenie. Irlandia Północna, Falklandy... Najprawdopodobniej zabił już w przeszłości. Dlaczego nie miałby zabić znowu? Wywiady brytyjski i amerykański uważają go za niebezpiecznego człowieka - dlaczego? Dlatego, że stanowi zagrożenie dla reputacji i kariery Hawthorne'a, czy dla jego życia? Zastanów się... Dlaczego McMullen wybrał na kryjówkę miejsce położone tak blisko wiejskiej rezydencji Hawthorne'a? Dlaczego zgromadził tam te wszystkie gazety? Może starał się ocenić przewidywalność planu zajęć ambasadora? Może uważa, że tutaj ochrona Hawthorne'a jest słabsza niż w Londynie, bo przecież trudniej jest osłaniać człowieka w domu otoczonym polami i lasami... Tutaj, na wsi, Hawthorne co niedzielę jeździ na poranną mszę do miejscowego kościoła. Czasami otwiera ogrody przy rezydencji z okazji jakiegoś przyjęcia... Ciekawe, że McMullen wyciął z gazety wzmiankę o takim właśnie wydarzeniu, nie sądzisz?

- Wydaje mi się, że przesadzasz...

- Nie, wysuwam tylko pewną hipotezę. Hipotezę, która jest bardziej sensowna, niż początkowo przypuszczałem.



- W porządku, jest to jakiś scenariusz, ale przecież wiesz, że nie wyjaśnia wszystkiego. Sugerujesz, że McMullen zabił Johnny'ego Appleyarda i Steveya? A co z guzikiem, który znalazłeś w mieszkaniu w Wenecji?

- Mógł go dostać od Lise, aby tam podrzucić...

- Niech będzie... - Gini skinęła głową. - Nie przekonuje mnie to, ale niech będzie. Czy McMullen zabił też Lornę Munro?

- Nie jest to wykluczone, chociaż przyznaję, że mało prawdopodobne.

- A kto wysłał te późniejsze paczki?

- Wszystkie, i te pierwsze cztery, i te następne, wysłał McMullen. Kiedy o nich wspomniałaś, tylko udawał zdziwienie... Nie przejmuj się, kochanie, ja też nie wierzę w tę wersję. Warto pamiętać, że możemy odczytać wszystkie te wydarzenia na więcej sposobów niż tylko jeden. - Bądźmy tego świadomi i nie wyciągajmy pochopnych wniosków... Nie, nie wierzę, aby to McMullen stał za całą tą sprawą. Poza tym... Kiedy wyjaśniał nam, co nim kierowało, uwierzyłem mu. Więcej, poczułem nawet do niego sympatię.

Gini odwróciła głowę.

- Ja też mu wtedy uwierzyłam... Ale nie mogę powiedzieć, bym darzyła go sympatią wcześniej, kiedy zapytałam go o Wietnam. Był pełen wściekłości i goryczy, jego słowa wydały mi się zupełnie oderwane ode rzeczywistości. A przecież wszystko, co mu powiedziałam, było prawdą - fotografie, które pokazał, nie stanowią żadnego dowodu...

- Nie obejrzałaś ich - rzekł Pascal.

- Nie, ponieważ widziałam, że on tego nie chce. Pomyślałam, że lepiej pozwolić mu porozmawiać z tobą... Wcale nie chcę ich oglądać, nawet teraz... - Przerwała i spojrzała na Pascala. - Czy twoim zdaniem mogą stanowić niepodważalny dowód?

- Same w sobie, nie. Tłumaczą jednak gniew i gorycz McMullena. Jeżeli byś szczerze wierzyła, że ktoś popełnił tak straszną zbrodnię, a inni nie chcieliby cię wysłuchać, gdybyś zderzyła się ze ścianą oficjalnej obojętności, korupcji i lenistwa, czy nie byłabyś wściekła i zgorzkniała? Myślę, że tak.

Mówił cicho, lecz Gini usłyszała ton łagodnego wyrzutu w jego głosie. Odwróciła wzrok i westchnęła.

- Słusznie - powiedziała. - Masz rację. Nie możesz jednak zaprzeczyć, że jest to dziwna historia. Co może łączyć McMullena z tamtą tragedią, na miłość boską? Młody człowiek, student uniwersytetu w Oksfordzie i wioska w Wietnamie? Nie chciał tego wyjaśnić nawet wtedy, gdy zapytałeś go wprost, w jaki sposób poznał tę kobietę...

- Możemy być pewni, że znał ją bardzo dobrze. Widziałś jego twarz, kiedy o niej mówił?

- Nie.

- Ja patrzyłem na niego przez cały czas. Dobrze wiesz, że jestem uodporniony na tego rodzaju zdjęcia, ale te były naprawdę przerażające. McMullen musiał kochać tę młodą kobietę, jestem o tym przekonany. Wystarczyło na niego spojrzeć, żeby się tego domyślić. Ze wszystkich sił próbował się opanować i zdystansować, ale...

Pascal przerwał. Podszedł do Gini, uklęknął przed nią i ujął obie jej dłonie.

- Posłuchaj, w gruncie rzeczy nie ma znaczenia, czy to, co od niego usłyszeliśmy, jest prawdą czy kłamstwem. Istotne jest, że on sam w to wierzy, tak jak głęboko wierzy w cierpienia i nieszczęścia Lise. Szarpia nim potężne uczucia - miłość i gniew, nienawiść i zazdrość...

- I pragnienie zemsty?

Zapadło krótkie milczenie. Spojrzał Gini w oczy i podniósł się z westchnieniem.

- Tak, obawiam się, że również i pragnienie zemsty... Znowu zaczął chodzić po pokoju. Gini nie odzywała się,

spróbowała zmusić się do bezstronnego przemyślenia całej sytuacji. Nie było to łatwe. Wiedziona impulsem, miała ochotę zdyskredytować wszystko, co powiedział McMullen.

Gdyby zdołała dowieść samej sobie, że McMullen nie mówi prawdy o obecnych poczynaniach Hawthorne'a, mogłaby przyjąć założenie, że kłamie także co do wcześniejszych, tych z odległej przeszłości. Bardzo chciała uwierzyć, że McMullen kłamie, albo przynajmniej się myli. O, tak, pragnęła tego całym sercem.

Po pewnym czasie podniosła głowę i spojrzała na Pascala.

- Ja także wierzyłam w to, co mówił - rzekła. - Niemożliwe, żeby wszystko zmyślił, po prostu niemożliwe. Za dużo się wydarzyło... Wiem, że nie McMullen

odpowiada za to, co spotkało nas i innych. W jego oskarżeniach musi być trochę prawdy. Cały ten ubiegły tydzień... Nie mam wątpliwości, że stoi za tym Hawthorne lub jego ojciec. Albo ten Romero, bo przecież nie wiemy, czy on nie działa niezależnie od nich. To nie McMullen dzwonił do mnie w środku nocy i to nie on włamał się do mojego mieszkania, aby tak starannie poukładać przedmioty, które przypominają mi Bejrut. McMullen nie wie o Bejrucie, bo niby skąd? I nie zrobiłby żadnej z tych rzeczy, jestem tego pewna... - Przerwała. - Nie wydaje mi się, aby nosił w sobie okrucieństwo. Myślę, że mógłby zabić, i jeśli weźmie się pod uwagę przebieg jego kariery w wojsku, to można śmiało przypuszczać, że zabijał, ale z pewnością nie zdobyłby się na torturowanie zwierzęcia. Nie męczyłby Napoleona...

- Ja również o tym myślałem - powiedział Pascal. - I przyjrzałem mu się bardzo uważnie, kochanie. Nie miał podrapanych rąk, twarzy czy szyi...

- Wiem, ja też mu się przyglądałam. - Szybko zamrugła oczami. - Napoleon nie poddałby się bez walki. Mam nadzieję, że zadał sporo bólu temu, kto to zrobił...

Pascal podszedł do niej i wziął ją w ramiona. Potem namówił ją, by się trochę przespała, obydwójce powinni się zdrzemnąć. Zasnęli, lecz ich spokojny sen został zakłócony.

O czwartej rano zadzwonił telefon. Aparat stał po stronie Gini, więc jeszcze przez sen wyciągnęła rękę, znalazła słuchawkę i przytknęła ją do ucha. Pascal usłyszał cichy okrzyk i natychmiast oprzytomniał. Wyjął słuchawkę z jej drżącej dłoni. Od razu rozpoznał lekko zachrypnięty, przytłumiony głos. Spojrzał na Gini, która z pobladałą twarzą usiadła na łóżku.

- Skąd on może wiedzieć, gdzie jesteśmy? - zapytała. - Zameldowaliśmy się tu pod fałszywym nazwiskiem... Nie rezerwowaliśmy pokoju...

Pascal się odwrócił. Przez parę sekund słuchał, jak mężczyzna opisuje swoje fantazje erotyczne z Gini w roli głównej.

- Weź go w usta... - zaszeptał. - Aż do końca... Teraz...

Pascal wciąż nie mógł się zdecydować, czy powinien się odezwać, czy odłożyć słuchawkę, gdy mężczyzna nagle zmienił ton.

- Pamiętaj o naszym niedzielnym spotkaniu - powiedział. - Wiesz, gdzie masz przyjechać. Bądź tam, Gini, zaraz po zmroku. I nie zapomnij włożyć tej czarnej sukni...

W słuchawce rozległ się trzask, połączenie zostało przerwane. Pascal utkwiał wzrok w oknie, usiłując opanować lęk o Gini, który ogarnął go wielką falą. Powoli odłożył słuchawkę i wziął Gini w ramiona. Jej ciało było sztywne ze strachu i napięcia.

- Co powiedział? Co on mówił, na miłość boską?!

- Nic, kochanie, w każdym razie bardzo niewiele... - Zaczął gładzić jej włosy.

- To samo, co wcześniej?

- Tak. Potem przerwał połączenie. Nie myśl o tym, skarbie. Jestem przy tobie...

Wiedząc, że melodia jego rodzinnego języka zawsze ją uspokaja, zaczął powtarzać wszystkie kojące zwroty, które mówił jej wiele lat temu w Bejrucie - *soyez-calme, tu sais que je t'aime, reste tranquille...* Spokojnie, przecież wiesz, że cię kocham, uspokój się...

Ta łagodna intonacja pomogła Gini, której oddech wkrótce stał się regularny i głęboki. Po paru chwilach zasnęła. Niestety, magia czułych słów nie odegnała lęku, dręczącego Pascala. Długo leżał nieruchomo, wpatrzony w ciemność.

## XXVIII

W piątek o jedenastej czterdzieści pięć Gini siedziała w barze na parterze Groucho Club. O dwunastej zaczęli się pojawiać pierwsi klienci - grupa ludzi zajmujących się reklamą, dwoje dziennikarzy, których dość dobrze znała, aktor, ostatnio podkładający głos do większości reklam na rynku. Wciąż nie było jednak tego, dla którego tu przysła - Jeremy Prior-Kent, bliski przyjaciel McMullena z college'u, najwyraźniej nie należał do osób punktualnych.

Zamówiła wodę mineralną, otworzyła gazetę i szybko ją przejrzała. Pierwszą i drugą stronę zajmowały artykuły o nieustających zamachach bombowych, organizowanych przez IRA oraz doniesienia międzynarodowe, na dwóch następnych pisano głównie o skandalach w rodzinie królewskiej. Na piątej umieszczono zdjęcie

małżonki ambasadora Stanów Zjednoczonych. Poprzedniego dnia Lise Hawthorne odwiedziła szpital dziecięcy Great Ormond Street, komitet zarządzający funduszami szpitala pracował obecnie pod jej kierownictwem. Fotografia przedstawiała promienną, przejętą Lise, otoczoną grupką dzieci chorych na białaczkę.

Gini złożyła gazetę. Do baru weszła grupa nowych gości, lecz nikt z nich nie podszedł do jej stolika. Zegar wskazywał kwadrans po dwunastej. Jeszcze raz przyjrzała się fotografii Lise, kobiety, którą McMullen nazwał świętą dzisiejszych czasów. Tego ranka, po powrocie z Oksfordu, oboje z Pascalem przez ponad dwie godziny telefonowali z domu w Hampstead, usiłując sprawdzić kilka szczegółów, które wymknęły się McMullenowi.

Ustalili, że matka McMullena rzeczywiście była zaprzyjaźniona z dalekimi krewnymi Lise Hawthorne, Grenville'ami, lecz nie zdołali się dowiedzieć, na co chorował McMullen przed przyjazdem do Grenville'ów w 1972 roku. Gini nie mogła się oprzeć wrażeniu, że ta choroba, która nastąpiła zaraz po nagłej i niewyjaśnionej rezygnacji McMullena ze studiów, może mieć duże znaczenie dla sprawy. Bardzo chciała się dowiedzieć, jaki był jej charakter i jak długo trwała. Miała nadzieję, że Prior-Kent odpowie na to pytanie, oczywiście, jeżeli w ogóle się pojawi.

Spojrzała na zegarek. Pascal miał przyjechać po nią koło pierwszej piętnaście. Gdy ona czekała tu na przyjaciela McMullena, Pascal miał sprawdzić pozwolenie na broń, wystawione na McMullena, i pogrzebać w jego wojskowej przeszłości. Zamierzał też odebrać klucze do domu w St John's Wood, gdzie następnego dnia rano chciał zainstalować swój sprzęt fotograficzny. Gini poczuła, że ogarnia ją niepokój. Niedziela zbliżała się wielkimi krokami i chociaż nie mówiła o tym Pascalowi, miała coraz więcej wątpliwości, czy uda mu się sfotografować Hawthorne'a z blondynką. Chwilami sądziła, że to zupełnie nieprawdopodobne, aby Hawthorne rzeczywiście zjawił się w pseudogotyckim domu z wynajętą dziewczyną. Gdyby nic z tego nie wyszło, wróciliby do punktu wyjściowego i trzeba by zabiegać o potwierdzenie historii innymi sposobami.

Po południu byli umówieni z Suzy z agencji towarzyskiej. Liczyli, że albo Prior-Kent, albo właśnie ona dostarczą informacji, które okażą się przełomowe dla sprawy, ale gdyby żadne z nich nie miało nic interesującego do powiedzenia, nadal nie

dysponowaliby najmniejszym dowodem. Podniosła głowę, bo do baru weszła kolejna grupa, ale z rozczarowaniem spostrzegła, że to także dziennikarze, w dodatku dobrze jej znani. Do grupki należała także Lindsay, która dostrzegła Gini i szybko podeszła do jej stołu.

- Cześć, nie miałabyś ochoty przyłączyć się do nas? Wpadliśmy na lunch.

- Niestety, nie mogę. Czekam na kogoś. Jak było na Martynice?

Lindsay zrobiła zabawną minę.

- Cudownie, po prostu rajska idylla. Wróciłam wczoraj i właśnie się dowiedziałam, że w redakcji rozpętało się piekło, słyszałaś?

- Nie, od dwóch dni w ogóle tam nie zaglądam...

- A powinnaś... - Lindsay uśmiechnęła się szeroko. - Grecka tragedia w kilku aktach. Trup pada gęsto, na piętnastym piętrze aż grzmi...

- Poważnie?

- Absolutnie poważnie. Chłopcy urządzili prawdziwą noc długich noży.

Naprawdę nic nie wiesz?

- Zupełnie nic! Co się stało?

- Po pierwsze, Daiches został zwolniony, przez samego Jenkinsa.

- Nie! - wykrzyknęła Gini. - Daiches?! Nie do wiary!

- Podobno ostro się starli, o mało nie doszło do rękoczynów. Nicholas oskarżył Daichesa o porozumiewanie się za jego plecami z Melrose'em. Charlotte mówi, że Jenkins od pewnego czasu przygotowywał jakiś duży temat. Potem Melrose kazał mu się wycofać z tej sprawy, Jenkins udał, że się zgadza, ale wcale nie zrezygnował. W tej sytuacji Daiches, wierna psina, uznał, że Melrose powinien się o tym dowiedzieć. - Lindsay uśmiechnęła się zjadliwie. - Niestety, Jenkins zamówił z archiwum jakieś dane i na tej podstawie Daiches zdołał dowieść, że mówi prawdę. W rezultacie tych rozgrywek, Jenkins wywalił Daichesa na zbity pysk. Ten błogosławiony stan trwał mniej więcej trzy godziny. Potem do gabinetu Jenkinsa wpadł Melrose...

- Kiedy to było? - zapytała Gini.

- Wczoraj. Podobno rozmawiali mocno podniesionym głosem, a niedługo po wyjściu Melrose'a Daiches wrócił do swego gabinetu, uśmiechnięty od ucha do ucha.

- A Jenkins?

- Nie mam zielonego pojęcia. Właśnie mieliśmy omówić to przy lunchu, bo sporo osób twierdzi, że jeszcze przed wieczorem Jenkins może stracić stołek. Otwieramy zakłady, chcesz coś postawić? Na to, czy Jenkins odejdzie i kto go zastąpi.

- Ile stawiacie na Daichesa?

- Początkowo piętnaście do jednego, teraz dziewięć do jednego i ciągle spada.

- No, świetnie... - Gini jęknęła. - Jeżeli Daiches zostanie naczelnym, jestem bez pracy.

- Ja też. Możemy razem złożyć wypowiedzenie i zgłosić się do urzędu pracy. Albo też rozpuścimy wiadomość, że szukamy pracy i zaczekamy na efekty. - Lindsay rzuciła Gini rozbawione spojrzenie. - Zaraz po lunchu zamierzam dzwonić do znajomych. Powinnaś zrobić to samo.

- Dziś nie mogę, nie mam czasu. - Gini wzruszyła ramionami. - W gruncie rzeczy, może wcale nie jest to taka znowu zła wiadomość... Nie ma mowy, żebym została w „News” pod kierownictwem Daichesa...

Lindsay pokiwała głową i odwróciła się, żeby pomachać kolegom.

- Muszę zniknąć. Do zobaczenia jak najszybciej... Och, a skoro już mówimy o ważnych sprawach... Czy rozwiązałaś jakoś ten problem z Pascalem Lamartine? A może sam się rozwiązał?

- W pewien sposób...

- Tak mi się wydawało. - Uśmiechnęła się, tym razem szczerze i ciepło. - To widać. Oczy ci błyszczą i w ogóle... Do zobaczenia, kochanie.

Odwróciła się i razem z przyjaciółmi poszła do restauracji na piętrze. Gini chwilę zastanawiała się nad nowinami. Co będzie, jeżeli Jenkins straci pracę? W myśli szybko sporządziła listę innych gazet i czasopism, do których w razie konieczności mogłaby zanieść temat Hawthorne'a.

Była jeszcze w trakcie tych rozważań, kiedy o dwunastej trzydzieści drzwi baru się otworzyły i do środka wszedł wysoki mężczyzna, którego miała już okazję widzieć. Był bardzo szczupły, o rudawych włosach ściągniętych z tyłu w kucyk, ubrany w ten sam co poprzednio rzucający się w oczy musztardowy garnitur od Armaniego. Rozejrzał się po barze i ruszył w jej kierunku. Wszystko wskazywało na to, że dawny przyjaciel McMullena nie spędził ostatnich trzech dni, szukając plenerów



w Kornwalii. Był zajęty czymś innym - reżyserowaniem edukacyjnego filmu o seksie, nadzorowaniem funkcjonowania agencji towarzyskiej i sprawdzaniem, jak Bernie radzi sobie z osiemdziesięcioma sześcioma liniami telefonicznymi.

Jeremy Prior-Kent zatrzymał się przy stoliku, zmierzył Gini długim spojrzeniem i uśmiechnął się szeroko.

- Genevieve Hunter, tak? - odezwał się. - W końcu jednak się spotykamy... Przepraszam za spóźnienie. Proszę mi powiedzieć, co takiego zrobiłem? Skąd to nagle zainteresowanie ze strony redakcji „News”?

Od samego początku rozmowy Gini miała wrażenie, że Prior-Kent jest albo bardzo się stara być rozbrajający. Wyglądał na całkowicie zrelaksowanego. Zamówił meksykańskie piwo z odrobiną soku z limonki, które wypił zgodnie z najnowszymi tendencjami, czyli prosto z butelki. Zapalił papierosa, pogadał chwilę o wszystkim i o niczym, z czarującym uśmiechem przyznał, że poprzedniego wieczoru był na imprezie i teraz ma potwornego kaca. Na pewno był koło czterdziestki, ale wyglądał młodziej. Delikatna, piegowata, prawie dziewczęca twarz, wyraźna skłonność do flirtowania, choć czujne, skupione spojrzenie zielononiebieskich oczu świadczyło o tym, że nie można nazwać go naiwniakiem.

To wrażenie potwierdziło się w chwili, gdy Gini wspomniała o Jamesie McMullenie. Kent nie był łatwowierny, w przeciwieństwie do swoich pracowników, Hazel i Berniego. Nie zdążyła jeszcze rozwinąć starannie obmyślanego wstępu, kiedy przerwał jej krótkim gestem.

- Proszę trochę zwolnić, dobrze? Wyjaśnijmy coś sobie. To ze względu na Jamesa chciała się pani ze mną tak pilnie spotkać? Dlaczego?

Gini przewidziała taką reakcję.

- Czy może to zostać między nami? - zapytała.

- Oczywiście. Niezły numer... Proszę mówić dalej.

- Mogę przedstawić panu tylko ogólny zarys. James McMullen pomagał mi w pracy nad pewnym tematem i...

- Nad jakim tematem?

- Prowadzę śledztwo dziennikarskie i wolałabym nie wchodzić w szczegóły...

- Masz ci los! - Uśmiechnął się lekko. - Chyba jednak pani musi, bo James jest moim przyjacielem, jak by nie było.

- No, trudno. Piszę o brytyjskich najemnikach, to znaczy o organizacjach, które ich skupiają. O ich losach i sposobach działania. Ostatnio wielu z nich walczy w Jugosławii...

- Czytałem o tym w gazetach.

- Większość tych organizacji prowadzą byli wojskowi. To mroczny, tajemniczy świat, do którego trudno przeniknąć. James McMullen był jednym z najlepszych źródeł informacji, lecz tuż przed Bożym Narodzeniem nagle zniknął.

- Naprawdę? No, no, no... - Prior-Kent rzucił Gini badawcze spojrzenie. - Proszę mówić dalej.

- Chciałabym go odnaleźć, i to szybko. Ludzie z jego dawnego oddziału nie mogli mi pomóc, dzwoniłam do jego siostry i kilku przyjaciół, również bez rezultatu. Myślałam, że może pan wie, gdzie go szukać.

- I to wszystko? - Uśmiechnął się. - A miałem nadzieję, że chodzi pani o mnie... Szkoda. - Pociągnął łyk piwa z butelki. - Obawiam się, że ja też nie mogę pani służyć pomocą. Nie widziałem Jamesa od paru miesięcy, chyba nawet od lata. James czasami rzeczywiście znika bez śladu, zdarzało się to i wcześniej.

- Ale widział się pan z nim w lecie?

- Tak, w lipcu albo sierpniu, nie pamiętam dokładnie. Zadzwoił zupełnie niespodziewanie i umówiliśmy się na kolację. Spiliśmy się do nieprzytomności, w każdym razie ja na pewno. Jak pani może wie, James nie pije zbyt dużo. Potem poszliśmy do jego mieszkania nad rzeką. Była tam pani?

- Tak. Piękne mieszkanie.

- Prawda? Tak więc porozmawialiśmy trochę i potoczyłem się do siebie, dość późno, bo koło trzeciej nad ranem. Od tej pory go nie widziałem.

- Zaskoczył pana swoim telefonem? Prior-Kent wzruszył ramionami.

- Trudno to tak nazwać, raczej nie... James i ja nie jesteśmy już tak zaprzyjaźnieni jak kiedyś, widujemy się tylko od czasu do czasu... Opowiadamy sobie wtedy, co w ostatnim czasie wydarzyło się w naszym życiu, jeśli chodzi o pracę, kobiety, i tak dalej.

Zapadła cisza. Gini zastanawiała się nad datą spotkania McMullena i Prior-Kenta, do którego musiało dojść chyba zaraz po pobycie tego pierwszego w Oxfordshire, w rezydencji Hawthorne'ów. Nie mogła jednak określić tego z absolutną pewnością.

- Czy w czasie waszej rozmowy McMullen wydawał się zmieniony? - zagadnęła. - Czy mówił panu o jakimś ważnym wydarzeniu, które miało wtedy miejsce w jego życiu?

Kent zastanawiał się chwilę i znowu lekko wzruszył ramionami.

- Ważne wydarzenie? Nie pamiętam nic takiego... Swoją drogą, James nie należy do ludzi, którzy chętnie się zwierniają, to nie w jego stylu. Rzucił tę nudną posadę w banku, do której przyjęcia skłonił go ojciec, ale to stało się dużo wcześniej, w pierwszej połowie roku... - Rzucił Gini kolejny czarujący uśmiech. - Pewnie mówiłem głównie ja, o filmach, które robię. Po dwóch drinkach stałem się monotematyczny.

Zerknął w kierunku baru, pochwycił spojrzenie aktora, który obecnie był niekwestionowanym królem dubbingu w reklamach, i przywitał go skinieniem głowy. Pociągnął długi łyk meksykańskiego piwa. Gini się zawahała. Jeremy Prior-Kent nie pasował do jej wyobrażeń o szefie agencji towarzyskiej czy wytwórni filmów edukacyjnych o seksie. Ogarnęły ją obawy, że rozmowa przerodzi się w monolog Kenta, złożony z sympatycznych anegdot, które do niczego nie mogły się przydać. Z powodu jego spóźnienia już teraz zostało jej niewiele czasu. Postanowiła go trochę przycisnąć.

- Czy w czasie ostatniego spotkania z Jamesem McMullenem, kiedy opowiadał mi pan o pracy, wspominał pan tylko o reklamowych spotach dla telewizji, czy także o swoich innych osiągnięciach? - zapytała, podnosząc oczy.

Zapadło krótkie milczenie. Kent odstawił butelkę.

- O innych osiągnięciach? - powtórzył.

- O tych trochę mniej jawnych, tych, których nie wymienia pan w opisie działalności firmy Salamander Films? Na przykład o filmach edukacyjnych o seksie, albo o agencji towarzyskiej, którą prowadzi pańska firma. Albo o liniach z seksem przez telefon... Mówił pan McMullenowi o tym wszystkim?

Pytania były bardzo ryzykowne, a cisza, jaka po nich nastąpiła, bardzo długa. Gini nie byłaby zaskoczona, gdyby Kent natychmiast zakończył rozmowę, lecz on podjął widać inną decyzję. Obrzucił ją bystrym, szacującym spojrzeniem. Dostrzegła wyraz rozbawienia, rodzący się w jego oczach. Wreszcie się uśmiechnął, więcej, wybuchnął śmiechem.

- Och, do kurwy nędzy... - westchnął. - Popełniłeś błąd, Jeremy, staruszk. Zasada numer jeden, nigdy nie rozmawiać z dziennikarzami, zasada numer dwa, zachować szczególną ostrożność w stosunku do tych z jasnymi włosami, pięknymi oczami i słodkim uśmiechem. Cóż, trudno, to musiało się kiedyś zdarzyć... Co mi grozi? Demaskacja na łamach „News”? Publikacja artykułu pod tytułem: „Prawdziwe oblicze króla porno”, lub coś w tym rodzaju? Nie ma sposobu, żeby panią splawić, prawda? Niechże pani pomyśli o mojej biednej matce staruszce, droga Genevieve! Jak, nieszczęsna, wytłumaczy to sąsiadom? I niech pani pomyśli o moim całkiem bogatym księgowym - jakże on sobie poradzi, kiedy urzędnicy Izby skarbowej zapukają do jego drzwi? - Uśmiechnął się. - Czy na pewno jest pani aż do tego stopnia pozbawiona serca i wszelkich ludzkich uczuć? Przecież pani wie, że wszystko, co robię, jest całkowicie legalne... - Położył dłoń na sercu, zabawnie zmarszczył nos i błagalnie pochylił głowę. - Proszę, droga Genevieve... Chyba nie chce pani złamać mojego młodego życia i kariery? Do diabła, nie zniosę tego, zwłaszcza przy tym kacu... Spotkanie z ponurym przeznaczeniem w Klubie Groucho, kto by pomyślał... Zamówię sobie duży gin z tonikiem, a pani?

Kent podniósł się i ruszył w kierunku baru. Po chwili wrócił z dwoma bardzo dużymi ginami i jedną małą buteleczką toniku. Wciąż z tym samym wyrazem rozbawienia na twarzy, zapalił papierosa, pociągnął łyk czystego ginu i wstrząsnął się.

- W porządku, teraz czuję się znacznie silniejszy... Kto wie, może niesława przypadnie mi do gustu? W każdym razie na pewno szybko nauczę się z nią żyć... Niech mi pani powie, co teraz?

Gini uśmiechnęła się, mimo woli szczerze ubawiona jego zachowaniem.

- Może to pana zdziwi, ale naprawdę chcę porozmawiać o Jamesie McMullenie... - zaczęła.

- Poważnie? - Prior-Kent uniósł brwi. - Ale nie z tych powodów, o których pani mówiła, czy tak?

- Tak, z zupełnie innych powodów. Potrzebuję tła, informacji. Oczywiście, mogłabym napisać ciekawy tekst o pańskim imperium, ale jak pan sam powiedział, działa ono na granicy legalności, więc raczej nie zasługuje na wielkie zainteresowanie. Tak czy inaczej, teraz zajmuję się zupełnie innym tematem...

- Ach, wreszcie przechodzimy do sedna... - Uśmiechnął się jeszcze szerzej, z nieskrywaną ulgą. - Pomyślała pani sobie, że przyciśnie mnie pani trochę, by zdobyć te informacje, rozumiem... Nieładnie, oj, nieładnie... - Żartobliwie pogroził jej palcem.

Gini się roześmiała.

- Jestem gotowa wycisnąć z pana te informacje, bo są mi naprawdę bardzo potrzebne. Jeżeli jedynym sposobem byłoby wprowadzenie w zażenowanie pańskiej matki staruszki, nie cofnęłabym się i przed tym...

- I mojego księgowego. Nie zapominajmy o nim.

- I księgowego. Gdyby jednak zgodził się pan pójść na współpracę...;

- Och, oczywiście, że pójdę na współpracę. - Nachylił się ku niej ponad stołem. - Jeżeli pójdzie pani dziś ze mną na kolację, pójdę na jak najdalej posuniętą współpracę... Nie? Szkoda... - Przeciągnął się, dołączył do ginu odrobinę toniku i napił się. - Nie musiała pani aż tak się spinać - podjął po chwili. - Odpowiem na wszystkie pytania na temat Jamesa. Czemu nie? Nie wiem o nim nic, co mogłoby rzucić negatywne światło na jego postać. James jest okropnie przyzwoitym facetem, zupełnie inaczej niż ja...

- Więc odpowie pan na moje pytania?

- Nie mogę się już doczekać... Zaczniemy od tych o trzecim stopniu trudności. Jakie to podniecające...

Gini wyjęła notatnik.

- Bez magnetofonu? - Uśmiechnął się lekko.

- Bez, bo panuje tu za duży hałas. Poza tym, nie potrzebuję magnetofonu, znam stenografię.

- Naprawdę? Wspaniała z pani dziewczyna... Czy ktoś już pani mówił, że pani oczy... - Roześmiała się. - W porządku, w porządku... Przepraszam, proszę pytać.

- Zaczniemy od ostatniego spotkania z McMullenem... Mógłby pan sobie przypomnieć trochę dokładniej, kiedy to było? W lipcu czy w sierpniu?

- Chyba jednak w sierpniu... Tak, w sierpniu, ponieważ James właśnie wrócił z polowania w Yorkshire. Facet świetnie strzela i lubi takie rozrywki, jak mordowanie biednych ptaszków. Sezon polowań na kuropatwy zaczyna się dopiero dwunastego sierpnia, więc musieliśmy spotkać się już po dwunastym... Tak.

Po spotkaniu z Lise, pomyślała Gini.

- Czy McMullen pytał o pańską agencję towarzyską?

- Niech się zastanowię... - Kent zmarszczył brwi. - Podobnie jak większość moich przyjaciół, James wie, że prowadzę ten biznes. Nie jestem jedynym właścicielem, skoro już o tym mówimy, dla mnie jest to raczej uboczne pole działania. Naprawdę duże pieniądze można zrobić tylko na filmach. Czy pytał mnie o agencję towarzyską... Tak, przypominam sobie, że rzeczywiście zadał mi parę pytań na ten temat... Jacy mężczyźni korzystają z takich usług i tak dalej. Byłem zaskoczony, bo James jest człowiekiem o dość surowej moralności i nie aprobeuje takich rzeczy.

- Więc wiedział o agencji i pytał o nią... Czy znał jej nazwę i adres?

- Tak, bez wątpienia.

- Nie sugerował, że może kiedyś chciałby z niej skorzystać?

- James? Dobry Boże! Nigdy w życiu, nawet żartem!

- Może mówił, że zna kogoś chętnego?

- Nie, absolutnie nie. James naprawdę kieruje się sztywnymi zasadami moralnymi, może mi pani wierzyć.

- A czy opowiadał panu o swoim życiu osobistym? Wspominał o jakimś związku uczuciowym?

- Nie... - Na twarzy Kenta znowu pojawił się szeroki uśmiech. - Ja dużo mówiłem o swoich związkach uczuciowych, ale to już inna sprawa... Jeśli chodzi o Jamesa, to chyba zawsze zakładałem, że nie ma nikogo. James niezbyt dobrze radzi sobie z kobietami, w ogóle nie umie z nimi rozmawiać. Mam wrażenie, że zostało mu to po wojsku, a może nawet po szkole. Sam nie wiem, bo przecież na mnie szkoła nie wywarła takiego wpływu... Po tych wszystkich latach w męskiej szkole z internatem bardzo szybko nadrobiłem zaległości...

- Musi pan podrzucić mi trochę informacji. - Gini popatrzyła na niego z namysłem. - Był pan w szkole średniej z Jamesem McMullenem, poszliście też razem na studia w Oksfordzie, do tego samego college'u i w tym samym czasie... Jesienią 1968 roku, czy tak?

- Tak, w 1968, szczególnym roku... - Kent uśmiechnął się lekko. - Nie muszę pani mówić, że pod względem intelektualnym daleko mi było do Jamesa. On zdobył stypendium, ja po prostu zapisałem się na studia. W każdym razie znaleźliśmy się praktycznie od kołyski, a raczej od przedszkola. Kiedy mieliśmy osiem lat, poszliśmy do szkoły z internatem, jednej z tych typowo angielskich instytucji o barbarzyńskim charakterze... Ten podział na szkoły żeńskie i męskie, cała ta szowinistyczna propaganda...

- Może mi pan powiedzieć, co takiego stało się na uniwersytecie w czasie waszego pierwszego semestru? Skoro James był taki lotny, dlaczego rzucił studia?

- Ach, o to chodzi... Nie wie pani? Cóż, James zachorował i ta jego przerażająca mamusia zabrała go do domu. Wszyscy myśleli, że tylko na trochę, ale James już nigdy nie wrócił na uczelnię.

- Więc to była poważna choroba? Jaka? Fizyczna, umysłowa?

- Nie jestem pewny. - Kent wzruszył ramionami. - James nigdy o tym nie mówi, podobnie jak reszta jego rodziny, nawet ta jego siostra... Baba z piekła rodem... Poznała ją pani? Zgodnie z oficjalną wersją, James zapadł na jedno z dziwacznych, długotrwałych schorzeń. Zapalenie wątroby? Nie. Gorączka reumatyczna? Tak, chyba to. Naprawdę nie pamiętam szczegółów, w końcu to wszystko działo się dawno temu.

- Sam pan mówi, że tak brzmiała wersja oficjalna. W takim razie jaki był prawdziwy powód jego odejścia z uczelni? Może pan coś wie albo podejrzewa?

- Zawsze mi się wydawało, że przeszedł jakieś załamanie, ale jeżeli nawet tak było, to nikt nie wspomniał o tym ani słowem. Zabrali go do domu, do Shropshire. Pisywał do mnie od czasu do czasu, ale zobaczyliśmy się chyba dopiero po trzech latach. Jeśli faktycznie było to załamanie, to chyba kryje się w tym coś dziwnego... Z jednej strony, sytuacja była na tyle poważna, że przecież przerwał studia, lecz z drugiej strony, najwyraźniej nie na tyle, by mu przeszkodziło w karierze w armii, bo przecież pod koniec 1972 roku wstąpił do wojska i nigdy nie miał tam żadnych



kłopotów, a warto zauważyć, że brytyjska armia nie jest instytucją, która z otwartymi ramionami przyjmuje kandydatów na oficerów po leczeniu psychiatrycznym...

- Więc jaka jest pana opinia?

- Myślę, że James był w stanie silnego napięcia, rodzice jakoś mu pomogli i wrócił do równowagi. Komisja rekrutacyjna na pewno miała dostęp do jego wszystkich wyników badań i najwyraźniej nie powzięła żadnych podejrzeń. Może zresztą i powzięła, ale połowa rodziny Jamesa ma powiązania z wojskiem. Jego dziadek, stryjowie, kuzyni - generałowie, pułkownicy... Któryś z nich zawsze mógł pociągnąć za odpowiedni sznurek.

- Rozumiem... - mruknęła Gini. - To ciekawe... A pan jak go widział jako jego przyjaciel, wtedy i później? Zaryzykowałby pan stwierdzenie, że miał skłonności do rozchwiania emocjonalnego? Opisałby pan go jako fantastę, może lekkiego paranoika, lub coś w tym rodzaju?

- Nie. - Kent nie wahał się ani chwili. - W żadnym razie, wręcz przeciwnie. James ma przerażająco racjonalne podejście do życia, zawsze taki był. Oczywiście, wszyscy czasami zdradzamy objawy paranoi, prawda? Ale James jest inny. Jeżeli ma jakąś słabość, to polega ona na tym, że nie rozumie pojęcia kompromisu. Chce, żeby wszystko było jasne i wyraźnie określone. Ma wyobraźnię, z pewnością, lecz wydaje mi się, że stara się ją tłumić, ponieważ siła wyobraźni go przeraża. Czasami przemawia przez niego namiętny romantyk, rycerz, krzyżowiec, ale James trzyma tę stronę swojego charakteru pod ścisłą kontrolą.

- Jest człowiekiem, którego można wykorzystać do walki za jakąś szczytną sprawę?

- Jak najbardziej, dlatego wstąpił do wojska. Armia nadała jego życiu sens. Coś bardzo mało skomplikowanego i wysoce honorowego, na przykład obrona ojczyzny - oto cel dla Jamesa. - Prior-Kent uśmiechnął się. - Zawsze trochę mnie to wzruszało, może dlatego, że było takie staroświeckie... Tak czy inaczej, w czasie, gdy James delektował się ostrym szkoleniem w Sandhurst, ja wędrowałem po King's Road w sandałach i z hinduskimi koralikami na szyi. Pokój i miłość... Dzieci kwiaty, moja droga Genevieve... Lata mijały i z czasem odkryłem, że kapitalizm i komercjalizm mają mimo wszystko pewne zalety... - Spojrzał na Gini i westchnął. - Nie pamięta pani

tego, jakżeby inaczej... Była pani wtedy w powijakach, prawda? Przy pani czuję się potwornie stary, to okropne. Lecz tak to właśnie było - cudowny świat przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych... Wciąż na haju... Wyruszyłem w tę podróż sam, bez Jamesa.

Zapadła cisza. Gini szybko zapisała coś w notatniku. Pomyślała, że w tej historii aż roi się od paradoksów. Kent, były hipis, teraz biznesmen w garniturze od Armaniego, wciąż powiększający swoje dochody i działający w wytyczonych przez system prawny granicach, McMullen, surowy racjonalista, który dostrzegł życiowy cel w służbie wojskowej, a teraz rozmaitymi metodami, niekoniecznie wyłącznie legalnymi, atakował znienawidzonego człowieka.

Odwróciła kartkę w notatniku i spojrzała na Kenta, który właśnie zerkał na zegarek.

- Przez panią spóźnię się na lunch - oświadczył. - Ale mam to gdzieś, co tam... Miło wspominać dawne dobre czasy. Jestem pewien, że wtedy przypadłbym pani do gustu. Nosilem brodę w stylu Che Guevary i włosy dotąd... - Dotknął ręką piersi. Gini odwzajemniła jego uśmiech.

- W takim razie porozmawiajmy jeszcze o tym okresie - powiedziała. - Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty ósmy rok, jesień, obaj rozpoczynacie studia. Rok później McMullen odchodzi. Jest pan zdania, że mógł przejść załamanie nerwowe. Czy wcześniej, zanim przerwał studia, cokolwiek wskazywało, że dzieje się z nim coś złego? Robił wrażenie przygnębionego, niezrównoważonego?

- Raczej nie. Był smutny, więcej, nieszczęśliwy, to rzucało się w oczy. Próbował zajmować się rozmaitymi rzeczami, bardzo dużo się uczył. Nie było w tym nic dziwnego, bo jego bliscy właśnie tego się po nim spodziewali. Miał być pierwszy, i tyle. Po pewnym czasie stał się samotnikiem, nie chodził na imprezy, nie umawiał się z dziewczynami, nie pił... Na pewno powinienem częściej z nim rozmawiać, poświęcać mu więcej czasu, ale wie pani, jak to jest, byłem zbyt zajęty zabawą. I zanim się zorientowałem, Jamesa już nie było...

- Właśnie. Cofnijmy się trochę głębiej w przeszłość. Na uczelni robił wrażenie nieszczęśliwego, a wcześniej? Czy miewał zmienne nastroje, stany depresyjne?

- W szkole średniej? Nie, skądże znowu!

- Krótko mówiąc, zmienił się, tak? Niech pan spróbuje sobie przypomnieć, kiedy zauważył pan tę zmianę. Czy widywał się pan z nim w okresie między zakończeniem szkoły średniej a początkiem studiów? McMullen spędził wtedy kilka miesięcy w Paryżu, uczęszczał na zajęcia na Sorbonie...

- Och, obaj byliśmy wtedy w Paryżu. Nie wiedziała pani o tym? Naprawdę? Nie miałem ochoty na ten wyjazd, ale James mnie namówił, choć pomysł tak naprawdę wyszedł od jego rodziców. Oboje mieli kręcka na punkcie kultury. Byli zdeterminowani, żeby James nie stracił tych miesięcy przed rozpoczęciem studiów, więc załatwili nam mieszkanie u swoich krewnych w Paryżu, rodziny Gravellier. Marc Gravellier prowadził galerię sztuki na lewym brzegu Sekwany i matka Jamesa uznała, że pobyt u nich będzie doskonałą okazją, abyśmy poprawili francuski, poznali kulturę europejską i tak dalej. Pojechałem tylko dlatego, że James był za tą podróżą, a poza tym myślałem, że gdzie jak gdzie, ale w Paryżu na pewno będzie mnóstwo ładnych dziewczyn.

- Rozumiem, więc pojechaliście razem. Na jak długo?

- Na sześć miesięcy, od stycznia do lipca. Bawiliśmy się wspaniale. - Kent nachylił się ku Gini. - Matka Jamesa niezbyt starannie odrobiła pracę domową, myślała, że Gravellierowie są przykładną, niezwykle kulturalną rodziną i naturalnie miała rację, nie wiedziała jednak, że wszyscy oni, szczególnie pani Gravellier, są namiętymi francuskimi intelektualistami i mają legion lewicujących przyjaciół. Przyjęcia, na które często wpadał Jean-Paul Sartre, trwały do trzeciej nad ranem. Zero domowej dyscypliny, żadnych nakazów, żadnej godziny policyjnej... Wyobraża sobie pani coś takiego po angielskim internacie? Zupełnie straciłem głowę. - Uśmiechnął się szeroko. - Kiedy tak się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że właśnie wtedy zacząłem zsuwać się po równi pochyłej... Po raz pierwszy w życiu poczułem zapach wolności, co niewątpliwie mocno zaszkodziło mojej duszy...

- Oddał się pan przyjemnym szaleństwom, tak? A James? On także poszedł w tango?

- Och, James... - Jeremy Prior-Kent roześmiał się. - James zaczął od bardzo poważnych rozrywek, czyli od zajęć na Sorbonie, których ja unikałem jak zarazy. Myślę jednak, że on także poczuł wolność, inny świat... Szczerze mówiąc, nie mogło

być inaczej. W kwietniu i maju można było odnieść wrażenie, że lada chwila Paryż wybuchnie jak wulkan, a zaraz potem cały świat... James uległ tej atmosferze, ogólnej ekscytacji. Wziął udział w paru demonstracjach, zorganizowanych przez studentów Sorbony, lecz pod koniec maja miał już co innego na głowie...

- To znaczy?

- Zakochał się. - Kent z uśmiechem rozłożył ręce. - A ponieważ James to James, strzała Amora trafiła go w samo serce i wbiła się głęboko. Francuzi mają na to różne określenia, najlepsze to *un coup de foudre*, co znaczy, że miłość spada jak grom z jasnego nieba. James oszalał. Musi pani pamiętać, że mówimy o dwóch angielskich chłopcach świeżo po szkole, wychowanych jak mnisi, prawniczkach, niestety... Mieliliśmy osiemnaście lat...

Przerwał i spojrzał ku drzwiom. Pascal właśnie wszedł do baru i zmierzał do ich stolika. Kent westchnął.

- Jest pani przyjacielem, żeby go pokręciło... A już miałem ponowić zaproszenie na kolację... Szkoda, ale cóż, trudno. Mam wrażenie, że nie byłby zachwycony moją propozycją. Czy on zawsze jest taki nasrożony, czy tylko wtedy, gdy faceci z kucykami stawiają pani duży gin? Witam, bardzo mi miło...

Kent wstał, został przedstawiony i usiadł znowu. Uważnie spojrzał na Pascala, który przysunął sobie krzesło.

- No, no, no... - Pokręcił głową. - Pascal Lamartine we własnej osobie... Biedny James, co on narozrabiał? O ile wiem, James nie ugania się za gwiazdami filmowymi. Nie zdawałem sobie sprawy, że pracuje pani z brygadą spadochronową... Gdybym wiedział, od razu dałbym nogę.

Pascal zaczął coś mówić, ale Gini mocno kopnęła go w kostkę pod stołem.

- Pascal jest moim dawnym znajomym - rzuciła niedbale. - Umówiliśmy się na lunch, to wszystko. Nie ma to nic wspólnego z moim tematem ani z panem... - Uśmiechnęła się do Kenta. - Naprawdę. Pascal chwilę zaczeka, prawda?

- Oczywiście - przytaknął Pascal.

- Niech pan mówi dalej - poprosiła Gini. - Mam wrażenie, że dochodzimy do bardzo interesującej części tej historii...

- Pójdę po drinki - Pascal zerwał się z krzesła. - Gin z tonikiem?

Jeremy Prior-Kent zawahał się i wzruszył ramionami.

- Nie, dziękuję, wróć do piwa. Corona z sokiem limonki.

Pascal ruszył w stronę baru. Kent zapalił kolejnego papierosa. Spojrzał na Gini i uśmiechnął się.

- Ciekawe, dlaczego wydaje mi się, że w tym wszystkim kryje się coś więcej, niż widać na pierwszy rzut oka... - wymamrotał.

- To wina tych pańskich paranoicznych skłonności, wspominał pan o nich.

- Może, może... Nie zamierzam się tym przejmować, przecież nie zdradzamy sobie tajemnic państwowych... Naprawdę chce pani, żebym mówił dalej?

- Tak, od tego momentu, gdzie pan przerwał, czyli od maja 1968 roku w Paryżu. James McMullen zakochał się bez pamięci, wdał się w pierwszy romans w życiu...

- Powoli... - Kent uniósł dłoń. - Powiedziałem, że się zakochał, a nie że wdał się w romans. Ja miałem kilka romansów, ale nie James. O ile mi wiadomo, było to uczucie czysto platoniczne, a tym samym bardziej intensywne. James taki już jest. Lubi stawiać kobiety na piedestale i oddawać im cześć, służyć im. Prawdziwy rycerz. Wszystko to są głęboko średniowieczne tendencje i, moim zdaniem, dość niebezpieczne, ponieważ rodzą wszelkie niezdrowe iluzje. Oczywiście James nigdy by się z tym nie zgodził.

- Kim była ta kobieta? Jak ją poznał?

- Och, najgorsze jest to, że nie mogę sobie przypomnieć jej imienia. Poznałem ją i spotkałem kilka razy. Była starsza od Jamesa, miała dwadzieścia dwa, może dwadzieścia trzy lata. Półkrwi Francuzka, pół Wietnamka. Bardzo piękna, drobniutka, krucha jak porcelanowa figurynka, ze wspaniałymi długimi czarnymi włosami. Dziewczyna była siostrzenicą pani Gravellier i nie mieszkała w Paryżu, przyjechała tylko z wizytą, razem z ojcem, czy może wujem, który uczestniczył w jakiejś konferencji... Nie pamiętam szczegółów, to już tyle lat, mój Boże... Zresztą, teraz to i tak bez znaczenia. James nigdy nie wspomina o niej ani słowem, nigdy. Prawdopodobnie zapomniał, że coś takiego mu się przydarzyło...

- Była półkrwi Wietnamką?

- Tak jest. Cóż, Wietnam był przecież dawną francuską kolonią i rodzina pani Gravellier miała tam jakieś powiązania. Wydaje mi się, że kiedyś mieli tam plantację kauczuku, czy coś takiego. Pani Gravellier urodziła się i wychowała w Indochinach, do Francji przyjechała dopiero jako nastolatka. Jedna z jej siostr zamieszkała tam na stałe i wyszła za Wietnamczyka. Jestem prawie pewny, że właśnie stąd wziął się ten kontakt... Tak czy inaczej, dziewczyna zjawiała się na jednym z szalonych przyjęć u Gravellierów. W salonie tłoczyły się stada ludzi, studentów, artystów, aktorów, pisarzy i kawiarnianych intelektualistów. Pani Gravellier przedstawiła jej nas obu i kiedy zacząłem go szukać, zorientowałem się, że siedzi w kącie z tą dziewczyną, pograżony w rozmowie. Przesiedzieli tam równo cztery godziny...

- I tak się poznali?

- Tak. Ona nie mówiła po angielsku, lecz oboje płynnie posługiwali się francuskim. Tak więc gadali i gadali bez końca. Miała na sobie taki wschodni biały żakiet, zapinany pod szyję, ze stójką i długą spódnicę, coś w rodzaju sarongu. Włosy nosiła rozpuszczone. Była bardzo spokojna, opanowana... Zaciekawilo mnie, co się dzieje, bo James szczególnie radził sobie z kobietami. Był bardzo nieśmiały i zwykle wcale się do nich nie odzywał, więc postanowiłem sprawdzić, jakie podejście zastosował. Pokręciłem się w pobliżu, ale chyba żadne z nich nawet mnie nie zauważyło. Nie mówiłem zbyt dobrze po francusku, więc trochę to potrwało, zanim zrozumiałem, o czym oni tak dyskutują... - Przerwał i uśmiechnął się. - Założę się, że nigdy by pani nie zgadła... Rozmawiali o polityce. Nie do wiary, co? James poznaje olśniewającą, wspaniałą młodą kobietę i o czym z nią rozmawia? O filozofii Ho Chi Minha... - Zawiesił głos, ponieważ Pascal właśnie wrócił z drinkami. - Właściwie to już koniec historii... Wiem, że James nadal się z nią spotykał. Spędziła w Paryżu mniej więcej dwa miesiące, a potem wyjechała, wróciła do kraju. W lipcu James i ja wróciliśmy do Anglii i ponownie zobaczyliśmy się dopiero w college'u Christ Church, w październiku.

- Potem już o niej nie wspominał?

- Ani słowem.

- Myśli pan, że pozostał z nią w kontakcie?

- Najprawdopodobniej.

- Czy kiedykolwiek przyszło panu do głowy, że zmiana, jaką dostrzegł pan w zachowaniu Jamesa, mogła mieć związek z tą dziewczyną?

- Nie. Szczerze mówiąc, prawie zapomniałem o jej istnieniu. Dobrze się bawiłem, obserwując Jamesa w szponach pierwszej miłości, ale to było kilka miesięcy wcześniej, w innym kraju, innym mieście... Wydawało mi się, że James odzyskał zdrowy rozsądek. Mieliśmy po osiemnaście lat, na miłość boską, a to była tylko jakaś tam dziewczyna, jedna z wielu...

Kent pociągnął duży łyk piwa, ostrożnie spojrzał na milczącego Pascala i postukał palcem w tarczę zegarka.

- Przykro mi, ale muszę już lecieć. Powinienem przynajmniej na pięć minut zjawić się na tym lunchu... - Wstał i zmierzył Gini niepewnym spojrzeniem. - Jamesowi nic się nie stało, prawda? Nie wpakował się w żadne kłopoty? Lubię go, znamy się od tak dawna... - Przeniósł wzrok na Pascala. - Mam nadzieję, że nie poluje pan na niego?

- Nie, nic z tych rzeczy. Jeremy Prior-Kent zamyślił się.

- Jeżeli rzeczywiście musicie go znaleźć, to jest jedna osoba, która może wiedzieć, co się z nim dzieje...

- Tak? - Gini postarała się nadać swemu głosowi ton neutralnego zainteresowania.

- Nazywa się Lise Hawthorne. To żona amerykańskiego ambasadora, na pewno wiecie... Spotkałem ją kiedyś w towarzystwie Jamesa, natknąłem się na nich w jakiejś słabo oświetlonej restauracji. Spróbujcie się z nią skontaktować, są bardzo bliskimi przyjaciółmi... - Kent uśmiechnął się lekko.

- Kiedy pan ich spotkał?

- W zeszłym roku, chyba wiosną.

- Czy James McMullen powiedział, że są zaprzyjaźnieni?

- Tak, właśnie tak powiedział. Jeśli mam być szczerzy, to odniosłem nieco inne wrażenie... - Kent wyraźnie się teraz spieszył, ale postanowił chyba wyjaśnić sprawę do końca. - Trzymali się za ręce pod stołem. Mam nadzieję, że tylko trzymali się za ręce... Ona była w rumieńcach, James zaś nie ucieszył się na mój widok. Nie ulegało wątpliwości, że pojawiłem się w nieodpowiednim momencie, ale cóż można poradzić,



skoro ludzie zachowują się w taki sposób w miejscu publicznym... - Podniósł dłoń w geście pożegnania. - Miło mi było was poznać. Proszę pamiętać o mojej matce staruszce, Genevieve. Do widzenia.

Drzwi baru zamknęły się za nim. Pascal i Gini chwilę siedzieli w milczeniu, patrząc na siebie.

- No, no... - mruknął Pascal. - I co ty na to? Są przyjaciółmi, jak utrzymuje McMullen, czy kochankami?

- Jeremy Kent sugerował, że są kochankami, dobrze o tym wiesz. A jednocześnie przez całą godzinę powtarzał, jakimi surowymi zasadami moralnymi kieruje się McMullen...

- Tacy zawsze cierpią najmocniej, kiedy już się zakochają.

- Właśnie. Co więcej, Kent jest nie tylko dawnym przyjacielem McMullena z ławy szkolnej. Poznałam go, gdy tylko stanął w progu. Prowadzi tę agencję towarzyską, w której byłam, jest jednym z jej właścicieli...

- Powiedział ci o tym?

- Tak. Powiedział też, że James McMullen wiedział o agencji i wypytywał o nią, kiedy spotkali się w sierpniu ubiegłego roku, czyli mniej więcej miesiąc po lipcowych rozmowach z Lise...

- Sądziysz, że McMullen chciał posłużyć się agencją Kenta, żeby zrobić Hawthorne'a? - Pascal zmarszczył brwi.

- To całkiem możliwe. - Gini zamknęła notes. - Jeżeli Lise i McMullen rzeczywiście są kochankami, musimy spojrzeć na całą sprawę z innego punktu widzenia. Na początek oznaczałoby to, że oboje kłamią.

- Jestem tego świadomy. - Pascal wstał. - Chodźmy, kochanie. Na trzecią jesteśmy umówieni z Suzy z agencji, pamiętasz? Zaparkowałem motocykl przed barem. Posłuchajmy, jak wygląda ta historia z perspektywy dziewczyny na telefon.

- Myślisz, że to po prostu dziewczyna na telefon?

- Nie zapominaj, że to wszystko kręci się wokół seksu. - Ujął Gini za ramię. - Oczywiście, chodzi tu także i o inne rzeczy. Być może o miłość i o wojnę, na pewno o kłamstwa. A już zwłaszcza o seks. Tak, myślę, że to dziewczyna na telefon. Czyżbyś miała inne zdanie na ten temat?

## XXIX

Pascal zarezerwował pokój w dużym, dyskretnym hotelu w Knightsbridge, z widokiem na Hyde Park. Dotarli na miejsce po pokonaniu długiej i skomplikowanej trasy, aby zgubić ewentualny ogon, czterdzieści pięć minut przed czasem. Pascal zamówił kawę do pokoju. Zapalił pierwszego z wielu papierosów i jak zwykle zaczął szybkim krokiem przemierzać odległość od ściany do ściany.

- Odebrałem klucze do domu w St John's Wood - powiedział. - Możemy wprowadzić się tam w każdej chwili. Jutro zainstaluję sprzęt. Jeżeli ta cholerna randka rzeczywiście ma się odbyć, musimy być gotowi od północy z soboty na niedzielę. Chcę przygotować wszystko z dużym wyprzedzeniem, tak żeby nikomu nie udało się wejść do tamtego domu lub wyjść z niego bez zwrócenia naszej uwagi, nawet po ciemku. - Przerwał i wzruszył ramionami. - Potem przez całą wieczność sprawdzałem pozwolenia na broń, co wcale nie było proste. W końcu, z pomocą jakiegoś człowieka z policyjnego wydziału broni, udało mi się wytropić licencję McMullena. Wystawiono mu zezwolenie na przechowywanie broni palnej w mieszkaniu w Londynie. Jest to dość zaskakujące, ponieważ obecnie reguły dotyczące przechowywania broni są bardzo surowe - trzeba trzymać ją w zamkniętej szafie, specjalnie przeznaczony na ten cel, i policja często przeprowadza kontrole. Tymczasem w mieszkaniu McMullena nie ma żadnego takiego sprzętu, sama widziałas. Tak czy inaczej, ma zarejestrowany karabinek i dwa pistolety. Pistolety jako sprzęt sportowy, karabinek z racji przynależności do klubu myśliwsko-strzelniczego, z siedzibą pod Oksfordem. Podobno McMullen często z niego korzysta... - Pascal odwrócił się do Gini. - I tak to wygląda... Nie dowiedziałem się niczego nowego o przebiegu jego służby w wojsku, więc to jest suma moich osiągnięć. Potem przyjechałem po ciebie. Myślałem, że będziesz już dawno po rozmowie z Kentem. Chyba przeszkodziłem ci w najmniej odpowiednim momencie, prawda?

- Trochę, ale wszystko poszło dobrze. Kent opowiedział swoją historię do końca. Wszystko wskazuje na to, że miałeś rację, rzeczywiście istnieje ogniwo łączące McMullena i tę kobietę z Wietnamu...

Szybko i zwięźle streściła rozmowę z McMullenem. Słuchał w skupieniu.

- Ach, więc to tak... - odezwał się, kiedy skończyła. - McMullen mieszkał u rodziny, która kiedyś miała posiadłości w koloniach i to przez nich poznał tę dziewczynę... Francuska lewica zawsze miała silne powiązania z Wietnamem i wszystkie pokojowe negocjacje między Amerykanami i Wietnamczykami z północnej części kraju odbywały się w Paryżu. Rok 1968 był przełomowy - to wtedy Lyndon Johnson wydał rozkaz zabraniający dalszych bombardowań Wietnamu Północnego i chyba wtedy doszło do rozpoczęcia ostatecznych rozmów pokojowych, chociaż te ciągnęły się jeszcze przez wiele lat. Musiałbym to sprawdzić... - spojrzał na Gini. - Kent wspominał o konferencji, prawda? Mówił, że ta kobieta przyjechała do Paryża właśnie z tego powodu?

- Tak, ale nie powiedział mi, o jaką konferencję chodziło. O niektórych rzeczach mówił bardzo szczegółowo i dokładnie, o innych dość mętnie. Pamiętał, jak wyglądała Wietnamka, ale nie jak się nazywała...

- Jak ją opisał?

- Bardzo drobna, krucha, spokojna i opanowana. Płynnie mówiła po francusku. Tamtego pierwszego wieczoru ubrana była na białą, miała długie, czarne włosy... - Gini się zawahała. - Przyszło mi do głowy, że...

- Co takiego?

- Widzisz, zaciekało mnie, że pewne typy kobiet powtarzają się w tej historii... Najpierw blondynki - kobiety, z którymi jakoby umawia się Hawthorne. Także Lorna Munro i Suzy... Lecz także ich zupełne przeciwieństwo fizyczne - dwie kobiety, bardzo różne pod wieloma względami, ale dość podobne zewnątrznie - czarne włosy, drobna budowa, delikatne rysy...

- Może... - Pascal wzruszył ramionami. - Ja nazwałbym to zbiegiem okoliczności. Dużo kobiet ma ciemne włosy.

- Oczywiście, ale McMullen powiedział nam, że przed Lise kochał tylko jedną kobietę i dlatego to uczucie jest tak poważne. Niewykluczone, że Lise w jakiś sposób kojarzy mu się z tamtą, rozumiesz? To mogłoby wiele tłumaczyć. Jeżeli zginęła czy umarła, choćby nawet nie stało się to tak, jak on sądzi, to mógł przelać całą tę miłość na Lise. To uczyniłoby ten związek jeszcze bardziej intensywnym.

- Możliwe - Pascal ze zniecierpliwieniem machnął ręką. - Mam już po dziurki w nosie sugestii i spekulacji. Wciąż nie możemy wyjść poza przypuszczenia. Potrzebuję faktów, prostych, oczywistych faktów... Chcę wiedzieć, na przykład, czy McMullen i Lise Hawthorne są kochankami. Tak lub nie. Co robisz?

Odwrócił się i spojrzał na Gini, która właśnie sięgnęła po telefon.

- Dzwonię do Mary - powiedziała. - Masz rację, musimy poznać pewne fakty...

- Do Mary? To chyba nie jest dobry pomysł, kochanie...

- Dlaczego nie?

- Ponieważ Mary jest w stałym kontakcie z Johnem Hawthorne'em, to po pierwsze, a po drugie, zaraz przyjdzie tu ta Suzy.

- Mamy jeszcze dziesięć minut. Nie bój się, nie powiem Mary, gdzie jestem i postaram się rozmawiać z nią w zupełnie naturalny sposób. Nie dzwoniłam do niej od paru dni, a ona nie może mnie zastać w domu... Poza wszystkim innym, nie chcę, by denerwowała się moją nieobecnością. Spróbuję się dowiedzieć, co Mary wie o Jamesie McMullenie. Czy kiedykolwiek spotkała go na przyjęciu u Lise, czy rozmawiała o nim...

Zaczęła wybierać numer. Pascal zawahał się, lecz po chwili wzruszył ramionami.

- No, dobrze, tylko naprawdę postaraj się, żeby to wypadło jak najbardziej naturalnie, na miłość boską. Najpierw porozmawiaj o czymś innym, potem powiedz, że przypadkiem wpadłaś gdzieś na McMullena i on wspomniał o Lise. Nie podoba mi się, że dzwonisz do niej właśnie teraz. Jest już sobota, do niedzieli zostało parę godzin i całkiem możliwe, że John Hawthorne jest u niej w tej chwili...

Umilkł, ponieważ Gini zaczęła mówić. Była dopiero w połowie pierwszego zdania, kiedy nagle przerwała. Słuchała w milczeniu. Ze słuchawki dobiegał przyciszony głos Mary.

- Ach, tak... - odezwała się Gini. - Nic nie wiedziałam. Tak, ostatnio miałam mnóstwo pracy, to dlatego... Kiedy? Och, nie jestem pewna... Ja... Nie spodziewałam się...

Pascal podszedł bliżej. Gini zbladła, a jej twarz przybrała dobrze znany mu z przeszłości wyraz, zamknięty, pełen napięcia. Stała plecami do niego i zaczęła

bawić się sznurem telefonicznym. Odpowiadała monosylabami. Pascal czuł, że próbuje stawiać opór, lecz w końcu się poddaje.

Odłożyła słuchawkę i odwróciła się twarzą do niego. Zmiana w jej postawie i zachowaniu zaskoczyłaby każdego. Pewna siebie młoda kobieta wyglądała teraz jak przestraszone dziecko. Tylko jeden człowiek wywierał taki wpływ na Gini. Pascal łagodnie wziął ją za rękę.

- Twój ojciec... - powiedział. - Rozmawiałaś z ojcem, tak?

- Tak, Mary oddała mu słuchawkę. - Odwróciła twarz. - Jest przejazdem w Londynie, ma spotkanie z wydawcą książki o Wietnamie. Od dwóch dni próbował mnie znaleźć, chce się ze mną zobaczyć u Mary, dziś wieczorem. Na krótko, bo wychodzą gdzieś razem, na jakąś godzinę...

Zapadło milczenie. Pascal nie spuszczał wzroku z twarzy Gini.

- Kiedy widzieliście się ostatnim razem? - zapytał cicho.

- Och, nie pamiętam... Chyba dwa lata temu. Dwa i pół...

- Ojciec dzwoni do ciebie? Pisze?

- Nie.

- Ale teraz masz rzucić wszystko i biec do niego, ponieważ przypadkiem bawi w Londynie...

- Powiedział, że to pilne. Coś ważnego. Będę musiała pojechać do Mary.

- Nie mam cienia wątpliwości, że to coś ważnego i pilnego. Dowiedział się, że pracujesz nad sprawą Hawthorne'a, który delikatnie kazał mu wyrzucić na ciebie presję.

- Nie wspomniał ani słowem o Hawthornie.

- Daj spokój, dobrze wiesz, o czym chce pogadać twój ojciec! On i Hawthorne znają się od wieków! Powie ci, żebyś trzymała się z dala od prywatnego życia jego kumpla i żebyś pod żadnym pozorem nie próbowała wygrzebać na światło dzienne pewnego incydentu, który miał miejsce w Wietnamie...

- Naprawdę tak uważasz? - Odwróciła się do niego gwałtownym ruchem. - Może przynajmniej zaczekajmy chwilę, zanim wydamy wyrok, co? Może przyjazd ojca nie ma nic wspólnego z tą sprawą! Sądziś go z góry, zawsze tak robiłeś! Może jest chory, może...

- Och, na miłość boską! - Pascal wykonał bezradny gest. - Przez niego zaczynasz zachowywać się jak dziecko! Wystarczy pięć minut rozmowy z ojcem i nagle nie masz własnego zdania, tracisz zdolność samodzielnego myślenia!

- To nieprawda! Jesteś niesprawiedliwy!

- Kochanie, ojciec potrafi owinąć cię dookoła swojego małego palca! Jedna pochwała i już jesteś gotowa oddać za niego życie, jedno słowo krytyki i już stajesz na głowie, żeby spełnić jego oczekiwania! On o tym wie i nie wątpię, że Hawthorne także...

Próbował objąć ją, lecz go odepchnęła. Pascal cofnął się. Westchnął ciężko i bezradnie rozłożył ręce.

- Zgodziłaś się pojechać? - zapytał.

- Tak. Musiałam. Tylko na godzinę, najwyżej dwie...

- W porządku. Pojadę z tobą.

- Wykluczone! - wybuchnęła. - Przestań, dobrze? Wyobrażasz sobie, co by się stało, gdybyś zjawił się tam ze mną? Ojciec wpadłby w szal!

- Więc niech wpadnie w szal! Boisz się? Dlaczego? Niech sobie krzyczy, niech się miota! Nie musisz go już słuchać, nie masz piętnastu lat...

- Nie o to chodzi! Nie boję się go, chcę tylko spokojnie wysłuchać, co ma mi do powiedzenia i wyjść. Mary tam będzie. Proszę cię, nie kłóćmy się... Muszę się z nim zobaczyć. Już i tak jest mi ciężko, proszę...

Wyciągnęła do niego rękę. Pascal ujął ją i z gniewnym niepokojem zajrzał jej w twarz.

- Dlaczego, kochanie? - zapytał, chwytając ją w ramiona. - Dlaczego? Wytłumacz mi, bo nie rozumiem... Dlaczego pozwalasz, żeby ci to robił?

Pochyliła głowę. Pozwoliła, aby ją objął, ale nie odpowiedziała. Przytulił ją mocno. Czowała napięcie w jego ciele, słyszała głośnie uderzenia serca.

Nagle zadzwonił telefon. Pascal szybko podniósł słuchawkę. Okazało się, że Suzy przyszła punktualnie i teraz czeka w recepcji. Zanim dotarła do ich pokoju, Gini zdołała odpowiedzieć na ostatnie pytanie Pascala, chociaż zrobiła to jedynie w myśli.

Dlaczego? Ponieważ przy ojcu rzeczywiście czuła się jak dziecko, niekochane, niepotrzebne, irytujące, nudne dziecko. Może tym razem będzie inaczej, pomyślała,

lecz zaraz ze smutkiem odrzuciła tę możliwość. Nadzieja, że coś się między nimi zmieni, była źródłem władzy, jaką miał nad nią ojciec, i to niezależnie od tego, ile razy traciła ją w przeszłości.

Suzy wyglądała bardzo młodo i była zdenerwowana. Ubrała się jak na rozmowę w sprawie pracy, w elegancki kremowy kostium z odpowiednimi dodatkami. Jasne, świeżo umyte włosy, makijaż dyskretny, prawie niewidoczny. Dopiero po chwili można było zauważyć zmęczenie, malujące się w jej oczach i wtedy złudzenie młodości i niewinności nagle się rozwiewało.

Kiedy weszła do pokoju, rzuciła kilka lekkich uwag na temat hotelu i uważne, szacujące spojrzenie na Pascala. Potem zobaczyła Gini i stanęła jak wryta. Jej twarz przybrała twarde, zdecydowany wyraz.

- O co chodzi? - zapytała ostro. - Nie robię trójkątów, nie za te pieniądze. Odpieprzcie się.

Minęło dobre dziesięć minut, nim zdołali ją namówić, aby jednak została. W końcu, po długich wyjaśnieniach i zapewnieniach, uspokoiła się trochę.

- W porządku - powiedziała do Gini. - Porozmawiam z tobą, ale on ma wyjść. Niech to będzie rozmowa w cztery oczy, dobrze?

Gini skinęła głową i Pascal bez słowa wyszedł z pokoju. Nie wydawał się specjalnie zachwycony. Suzy zaczekała, aż zamknie za sobą drzwi, usiadła na krześle naprzeciwko Gini i zapaliła papierosa.

- Nie lubię facetów - oświadczyła spokojnie. - Nie ufam im. Pieprzę się z nimi, ale nie mam do nich zaufania. A ty?

- Są tacy, którym ufam.

- Cóż, sama kopiesz sobie grób. - Suzy wzruszyła ramionami. - Zawsze chętniej rozmawiam z kobietami... Zanim zaczniemy, wyjaśnijmy coś sobie. Wyglądam na młodszą niż jestem i mam dwoje dzieci na utrzymaniu. Nie pracuję na państwową emeryturę, to prawda, ale zarabiam niezłe pieniądze. Jeśli o mnie chodzi, świadczę pewne usługi, i tyle. Klienci kupują usługę, nie mnie.

- Rozumiem. - Gini się zawahała. - Nie mogę ci powiedzieć, dlaczego zadaję te pytania, ale są ważne i stanowią część większej całości...



- W porządku. - Suzy wypuściła z ust obłoczek błękitnawego dymu. - Wszystko gra, płacisz za mój czas. Nie mam nic przeciwko temu, żeby opowiedzieć ci, co się stało. Cholerna świnią... Musiałam posłać zdjęcia, żeby je sobie obejrzał, a potem jeszcze siedzieć w holu jakiegoś hotelu, żeby mnie obejrzał. - W oczach kobiety błysnął gniew. - Ten facet zamawiał spotkanie ze mną trzy razy, rozumiesz? I za każdym razem odwoływał.

Gini pochyliła się do przodu.

- Co stało się za trzecim razem? - zapytała. - Chyba nie skończyło się na tym, że przesiadziłaś pół godziny w holu...

- Oczywiście, że nie, chociaż agencji przekazał właśnie takie zlecenie, a ja potwierdziłam wykonanie... Naprawdę było zupełnie inaczej.

Suzy zawahała się, zaciągnęła dymem.

- Opowiem wszystko od początku, może wtedy lepiej zrozumiesz - zaproponowała. - Było to w grudniu ubiegłego roku. Siedziałam w holu, tak jak prosił, ubrana w ten kostium. Często noszę go do pracy. Byłam ciekawa, wiesz? Dostaję różne zlecenia, ale to było coś nowego. Próbowalam zgadnąć, który z mężczyzn w holu jest moim klientem, a kandydatów było wielu, mnóstwo facetów. Po pewnym czasie zauważyłam tę kobietę... Stała przy ladzie recepcji i gapiła się na mnie. Obserwowała mnie.

- Kobietę? Potrafisz ją opisać?

- Koło trzydziestki, bardzo atrakcyjna. Długie jasne włosy, fryzura podobna do mojej. Ubrana w piękne ciuchy, po prostu przepiękne. Granatowy kostium, kremowa bluzka koszulowa z jedwabiu, perły na szyi, drogie buty... Och, i taka torebka, dokładnie taka sama, z jaką wystąpiła w filmie ta sławna aktorka...

- Grace Kelly? Torebka od Hermesa?

- No, właśnie. Z krokodylej skóry. Dwa tysiące funtów, lekko licząc. Kobieta miała ciemne okulary, co wydało mi się dziwne, bo przecież był grudzień, na litość boską... Świeciło słońce, to prawda, ale ona weszła do hotelu i nie zdjęła ich...

- Podeszła do ciebie? Odezwała się?

- Tak. Powiedziała, że zapewne jestem Suzy, i to ona dzwoniła do agencji. I że nastąpiła zmiana planu. Klient chce się ze mną spotkać, ale w swoim pokoju. Zapytała, czy nie mam nic przeciwko temu, żeby pójść z nią na górę...

- Zgodziłaś się?

- Jasne. - Suzy rzuciła Gini ostre spojrzenie. - Pomyślałam, że może facet był wcześniej w holu, obejrzał mnie sobie, podniecił się i teraz chce się pieprzyć... - Zawahała się. - Doszłam do wniosku, że przecież nie muszę spowiadać się z tego w agencji i dzielić się z nimi pieniędzmi. Po co oddawać im dwadzieścia procent? Nie muszą wiedzieć, prawda? Poza tym hotel był bardzo elegancki. Nigdy wcześniej tam nie byłam i miałam ochotę zobaczyć, jak wyglądają pokoje.

- Więc poszłaś na górę z tą kobietą?

- Tak. Najpierw powiedziała, że tylko zaprowadzi mnie na miejsce, ale potem weszła razem ze mną. To był apartament, naprawdę imponujący. Cudne puszyste dywany, meble pokryte jedwabiem, wielkie wazony z kwiatami... Dopiero po chwili zwróciłam uwagę na coś dziwnego - przedpołudnie, a wszystkie zasłony były zaciągnięte.

- Nie zauważyłaś tego od razu?

- Nie. Chyba byłam zbyt zajęta wycenianiem mebli... - Uśmiechnęła się lekko. - W hotelowych pokojach często jest ciemno, zresztą paliły się lampy i tylko część pokoju była pogrążona w mroku... - Przerwała. - Kobieta wskazała mi miejsce na sofie obok lampy. I wtedy uświadomiłam sobie, że nie jesteśmy same. W rogu pokoju, w mroku siedział mężczyzna. Nie odzywał się i nie poruszał. Siedział z nogą założoną na nogę i przyglądał mi się. Przez cały czas nie odezwał się ani słowem...

- Możesz go opisać?

- Niezbyt dobrze, bo mam krótki wzrok, a on był w cieniu... Dobrze ubrany - w czarny, rozpięty płaszcz, ciemny garnitur. Koło czterdziestki, raczej wysoki, blondyn...

- Przystojny? Opalony? Oczy niebieskie? Ciemne?

- Nie wiem.

- Nie szkodzi. Co z kobietą? Nadal tam była? Mówiła coś?

- Och, tak, nie wyszła z pokoju ani na sekundę. - W głosie Suzy zabrzmiała twarda nuta. - Podobno czyny mówią głośniejszą niż słowa, prawda? Wiesz, co zrobiła?

Otworzyła torebkę i podsunęła mi ją, żebym mogła zajrzeć do środka. Torebka była pełna pieniędzy. Pozwoliła mi popatrzeć, a później bardzo powoli zaczęła wyjmować forszę, pliki pięćdziesięciofuntowych banknotów, po dziesięć w jednym... Chciałabym, żebyś się rozebrała, ale nie do naga, tylko do bielizny, mówi. Dostaniesz za to pięćset funtów. Potem, jeżeli będziesz posłuszna, następne pięćset. Jeśli będziemy z ciebie zadowoleni, dorzucimy bonus. Możesz zarobić tysiąc pięćset funtów. Nikt cię nie dotknie. Kiedy skończymy, wyjdiesz. Zgadzasz się? - Suzy przerwała i pokręciła głową. - Mówiła cichym, łagodnym, uprzejmym głosem, zupełnie jakby prosiła mnie o przysługę. Wyjęła trzy paczki banknotów i położyła je na stoliku. Patrzyłam na nie i patrzyłam... Wiesz, ile trzeba się napracować, żeby zarobić taką sumę? Muszę obsłużyć czterech lub pięciu klientów, pozwolić im się obmacywać albo obciągnąć im laskę. Czasami mija parę tygodni i nie mam żadnego klienta, a przecież muszę płacić czynsz, chesne za szkołę... No, i lubię ładne rzeczy. Zgodziłam się.

- Co musiałaś zrobić?

Przez twarz Suzy znowu przemknął wyraz chłodnej niechęci. Wzruszyła ramionami.

- Przede wszystkim musiałam pozwolić się kupić. Myślę, że o to chodziło, to ją podniecało, może zresztą jego także. Nie spuszczał ze mnie wzroku. Tak czy inaczej, zrobiłam to, o co prosiła, powoli, zgodnie z jej wskazówkami. Musiałam stanąć naprzeciwko niego i zdjąć ubranie. Ona ciągle kręciła się w pobliżu. Wydawało mi się, że ma wielką ochotę mnie dotknąć. I patrzyła na mnie, gapiała się, jakby zamierzała nauczyć się na pamięć moich ruchów i gestów. Pomogła mi rozpiąć spódnicę, dotknęła moich włosów, powiedziała, że są piękne. Kilka razy musnęła palcami moje piersi i widziałam, że strasznie się napaliła. Jeśli mam być szczerą, to ja też, bo lubię robić to z kobietami... - Zerknęła na Gini. - A ty?

- Wolę mężczyzn.

Suzy wzruszyła ramionami.

- Gdybyś zmieniła zdanie, daj mi znać. Więc ta kobieta zaczęła głaskać moje piersi, ale tak jakoś dziwnie, stojąc z boku, żeby facet mógł wszystko widzieć. Nagle zaczęła trząść się jak galareta... Wtedy on westchnął i zaraz się opanowała. Kazała mi usiąść, twarzą do swojego przyjaciela...

- Tak go nazwała?

- Tak. Ładny mi przyjaciel, pieprzony zboczeniec... Kiedy ona mnie dotykała, trzymał ręce w kieszeniach i możesz mi wierzyć, że nie szukał tam ani portfela, ani kluczy...

- Rozumiem... Mów dalej.

- W gruncie rzeczy nie było w tym wszystkim niczego nadzwyczajnego. Spotykam wielu zboczonych biznesmenów, którzy lubią patrzeć i robić sobie dobrze... Myślałam, że wcześniej czy później zechce przyjrzeć się, jak się pieprzymy, ta blondynka i ja, ale się myliłam. Może i miała na to ochotę, lecz nie było tego w scenariuszu. Powiedziała mi, że ona będzie mówić, a ja mam milczeć. Że taka jest zasada...

- Użyła tego określenia? Zasada?

- Tak. Usiadłam, ona także, z prawej strony, żeby nie zasłaniać mu widoku. Potem zaczęła mi wydawać polecenia, ciągle tym samym cholernie uprzejmym głosem, jak jakiś pierdolony robot. Jakby powtarzała rolę z pamięci... Siedziałam na krześle w odległości mniej więcej czterech metrów od niego, w samej bieliźnie, mojej zawodowej bieliźnie, jeśli chcesz wiedzieć. Same białe rzeczy, bardzo drogie. Pończochy, pas... Bez stanika i majtek... - Suzy się zawahała, rzuciła Gini lekki uśmiech. - Przez pięć lat nauczyłam się, co należy robić. Trzeba ich szybko podniecić i mieć sprawę z głowy. Nie mam ochoty spędzać wielu godzin w łóżku z tymi zwierzakami. Czasami mi się udaje i nawet nie muszę się z nimi pieprzyć. Wystarczy dać im popatrzeć, kilka razy dotknąć piersi, pokazać cipkę... Powiedzieć takiemu, że ma wielkiego fiuta... Kretyni. Niektórzy są tak zdesperowani, że zaraz mają orgazm... - Przerwała, żeby zapalić papierosa. - Więc byłam posłuszna, a ona ze szczegółami mówiła mi, co mam robić, tym słodkim, miłym głosem. Rozsuń nogi. Obejmij nimi krzesło. Pieść piersi. Potem dała mi parę długich czarnych rękawiczek. Załóż je. Uszczypnij sutki. Dotknij cipki, jeszcze, spraw sobie przyjemność... Patrz mu w oczy i nic nie mów. Kiedy będziesz bliska orgazmu, zamknij oczy...

W pokoju zapadła cisza. Gini wstała i zaczęła chodzić po pokoju. Suzy, zupełnie spokojna, paliła papierosa. Zza okna dobiegał szum ulicznego ruchu. Gini wyjrzała i w dole zobaczyła flotę czarnych mercedesów. Do samochodów podeszła

grupa Arabek w głębokiej czerni, z zasłoniętymi twarzami. Wszystkie niosły torby od Harrodsa i na tle mokrego chodnika wyglądały jak wrony. Odwróciła się do Suzy.

- I zrobiłaś to wszystko? Suzy uśmiechnęła się drwiąco.

- Jasne, tyle że odegrałam orgazm, zresztą jak zawsze. Większość facetów nie jest w stanie poznać, czy szczytujesz, czy nie, kiedy cię walą, a co dopiero ktoś, kto tylko się przygląda. - Wzruszyła ramionami. - Zawsze oszukuję, wiesz? Wydaje im się, że mogą mnie kupić, ale to nieprawda. Zależało mi na jednym, zgarnąć tysiąc pięćset funtów, a potem do widzenia, pieprzcie się, i tyle...

Gini zignorowała gorzki ton Suzy.

- Więc ten mężczyzna ani razu się nie odezwał i nie poruszył, przez cały ten czas?

- Ani razu. Muszę jednak powiedzieć, że podziałało to na niego, bo kiedy skończyłam, o mało nie wypchnęli mnie z pokoju. Ona miała błyszczące oczy i rumieńce na twarzy, i była taka podniecona, że aż drżała. Wiedziałam, co się stanie, gdy wyjdę. I miałam rację.

- Skąd wiesz?

- Podśluchiwałam pod drzwiami i wyraźnie ich słyszałam, a w każdym razie ją. Błagała, żeby pokazał jej fiuta, mówiła, że jest wielki i twardy... Wtedy nie była już taka słodka i niewinna.

- Potem poszłaś stamtąd?

- Tak, po paru minutach. Chciałam sprawdzić, czy on się odezwie, ale nie, nadal milczał. Kobieta szalała, odchodziła od zmysłów. Na koniec usłyszałam, jak ją uderzył, mocno, z całej siły...

- Jesteś pewna, że się nie odezwał?

- Absolutnie pewna. Uderzył ją chyba w twarz, otwartą dłonią. Krzyknęła. Potem rozległo się głuchoe stuknięcie, jakby osunęła się na podłogę. I cisza... - Suzy znowu wzruszyła ramionami. - Myślę, że ją pieprzył, tak jak prosiła - na stojąco, pod ścianą.

Gini wróciła na swoje miejsce. Długo siedziała w milczeniu, wpatrując się w Suzy.

- Czy to się rzeczywiście zdarzyło? - odezwała się wreszcie. - Powiedziałaś mi prawdę?

- Całą prawdę.

- Zastanów się teraz. Czy ta kobieta na pewno była blondynką?

- Jestem tego pewna.

- Może nosiła perukę?

- Nie sądzę. Moim zdaniem to były jej własne włosy.

- Nie zdjęła ciemnych okularów?

- Nie.

- Mogłabyś jeszcze raz opisać jej głos?

- Miękki, uprzejmy, spokojny... Bardzo angielski, z wyższych sfer... Mówiła tak, jakby recytowała wyuczoną rolę.

- Jesteś pewna, że nie miała żadnego akcentu? Ani śladu? A potem, kiedy już wyszłaś?

- Żadnego akcentu, chyba że akcentem można nazwać bogactwo i edukację w prywatnej szkole z internatem... Pieprzone wyższe sfery...

- Zapamiętałaś może coś jeszcze? Jakiś szczegół stroju? Nosiła rękawiczki?

- Nie, nic takiego...

- Pierścionki? Pierścionek zaręczynowy? Obrączkę?

- Nie.

- A ten mężczyzna? Czy nic w jego wyglądzie nie rzuciło ci się w oczy?

Pomyśl...

- Mówiłam już, siedział w cieniu, ubrany w ciemny garnitur, białą koszulę, ciemny płaszcz... Nic szczególnego...

- Więc może w pokoju było coś zasługującego na uwagę... Walizka? Papierosy, książki, czasopisma?

- Nic. Drzwi do sypialni były zamknięte. Pokój wyglądał zwyczajnie, jak pokój w bardzo drogim hotelu.

- Czy w agencji podali ci nazwisko klienta?

- Tak. Zaraz, zaraz... Hastings, tak. John Hastings. Gini ściągnęła brwi. John Hawthorne; John Hamilton, pseudonim, którym posłużył się McMullen, nawiązując

kontakt z Lorną Munro; John Hastings... Znowu ogarnęło ją uczucie, które dręczyło także i Pascala - że ktoś nimi manipuluje, że taki zbieg okoliczności ma pełnić rolę wskazówki. Wskazówki, która często wprowadzała w błąd. Otworzyła torebkę i wyjęła z niej trzy fotografie. Pierwsza i druga przedstawiały McMullena i Hawthorne'a, trzecia Lise. Podała dwie pierwsze Suzy.

- Czy któryś z tych mężczyzn może być Hastingsem? Suzy uważnie przyjrzała się zdjęciom. Po chwili wzruszyła ramionami.

- I jeden, i drugi, albo żaden. Obaj są w tym samym wieku co tamten facet, mają jasne włosy... Podobnie jak setki innych.

- W porządku... - Gini podsunęła Suzy trzecią fotografię. - Czy gdyby ta kobieta miała jasne włosy, byłaby podobna do tamtej?

Przedstawiające Lise zdjęcie, wypożyczone z archiwum „News”, było białoczarne. Gini nie udało się znaleźć bardziej anonimowej fotografii żony Hawthorne'a. Lise, wyjątkowo nie otoczona tłumem wielbicieli, stała na chodniku, obok samochodu. Suzy długą chwilę przypatrywała się zdjęciu. Kiedy podniosła wzrok, na jej twarzy malowała się podejrzliwość.

- O co tu chodzi? - rzuciła. - Co jest grane? Znam tę kobietę, zresztą, kto jej nie zna... To pani Hawthorne, żona amerykańskiego ambasadora.

- To prawda...

- Nie jestem głupia! Kiedyś nawet zostałam jej przedstawiona...

- Zostałaś jej przedstawiona? - powtórzyła Gini.

- Dziwi cię to, co? Poznałam ją wiosną ubiegłego roku, w szpitalu, na oddziale dziecięcym. Moja młodsza córka była poważnie chora, mało nie umarła. Robili jej dializę. Wiesz, kto dał pieniądze na aparaturę? Pani Hawthorne. Byłam w grupie rodziców, którzy ją witali, gdy odwiedziła szpital. Powinnaś się wstydić, słowo daje!  
- Suzy podniosła głos, zerwała się z miejsca i ruszyła w stronę drzwi. - Rozmawiałam z nią! Usiadła przy łóżku mojej małej i rozmawiałyśmy... Sama ma dwóch synków. Była taka sympatyczna, bardzo miła i nikogo nie traktowała z góry! Naprawdę przejmowała się losem tych biednych dzieciaków!

Gini zrozumiała, że zaufanie, jakie udało jej się obudzić w Suzy, zniknęło bez śladu. W oczach młodej kobiety płonąła wrogość.



- Więc pani Hawthorne i tamta kobieta na pewno nie mają ze sobą nic wspólnego? - zapytała cicho.

- Nie! To po prostu niemożliwe! Mówiłam, że tamta była Angielką, w dodatku była młodsza od pani Hawthorne! Miała jasne włosy... Jak śmiesz, do diabła?! Przekłęci dziennikarze! A myślałam, że jesteś w porządku... Chyba kompletnie zwariowałam! Grzebiesz w brudach, i tyle! - Jednym szarpnięciem otworzyła drzwi i rzuciła Gini ostatnie gniewne spojrzenie. - Co się z wami dzieje, ludzie? Musisz to robić? Musisz obrzucać innych błotem? Wydawało mi się, że to ja jestem dziwką, ale to nieprawda! Dobrze ci płacą, tak? Pieprzę cię! Jeżeli chcesz zniszczyć życie niewinnej osobie, to ja ci w tym na pewno nie pomogę, o, nie! I nie dzwońcie do mnie więcej, rozumiesz? Ani ty, ani ten twój kolega!

Kiedy Pascal wrócił, zachowywał się spokojnie, lecz chłodno. Gini dokładnie mu wszystko opowiedziała.

- Nic z tego nie wynika - rzekł, gdy skończyła. - To mógł być Hawthorne albo McMullen. Lise mogła być tamtą kobietą, oczywiście jeżeli potrafi zmieniać akcent, lecz najprawdopodobniej była to jedna z blondynek Hawthorne'a. Co o tym sądzisz? Wydaje mi się, że Suzy wzięła udział w czymś w rodzaju przesłuchania lub próby...

- Też tak myślę. Próba przed niedzielną randką... Musi istnieć jakiś związek między tymi sprawami, bo niektóre wątki wyraźnie się powtarzają: czarne rękawiczki, milczenie, zasady postępowania...

- A może komuś zależy, żebyśmy zaczęli dopatrywać się takiego związku...

- Myślę, że faktycznie była to jedna z blondynek Hawthorne'a. Spotkanie z Suzy miało miejsce jakieś trzy dni przed grudniową randką. Może Hawthorne właśnie wtedy podejmował decyzję, którą z dwóch kobiet zatrudnić: Suzy czy blondynkę z akcentem z wyższych sfer i torebką od Hermesa za dwa tysiące funtów...

- I zdecydował się na droższy towar?

- Prawdopodobnie... - Gini zmarszczyła brwi. - To dziwne... Kiedy Suzy opisywała tamtą kobietę, miałam przed oczami Lise... Zaczęłam się zastanawiać... McMullen powiedział nam, że Hawthorne pokazywał zdjęcia blondynek Lise i kazał jej wybierać, pamiętasz? Może on nie tylko opisuje jej swoje randki, ale także zmusza ją do udziału w nich...

- Uważasz, że każe jej oceniać te dziewczyny? To chyba przesada...

- Wiem, wiem... Ale Suzy miała wrażenie, że tamta recytuje wyuczoną rolę, więc może...

- Suzy była także przekonana, że blondynka z hotelu świetnie się bawiła - sucho zauważył Pascal.

- To prawda, lecz zachowanie Lise bywa dziwne, wręcz nieprzewidywalne. Ona przyjmuje leki - środki uspokajające, nasenne i Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze... Może Hawthorne nakłania ją do zażywania innych rzeczy...

- Raz w miesiącu? Tuż przed trzecią niedzielą ukradkiem podaje jej tajemniczy środek i wtedy ona zmienia się w burdelmameę? Posłuchaj...

- W porządku, zgadzam się z tobą, to absurd! - Gini wzruszyła ramionami. - Zresztą, Suzy nie miała cienia wątpliwości, jej zdaniem to nie mogła być Lise.

Pascal machnął ręką.

- To także niczego nie dowodzi. Sama powiedziałaś, że Lise Hawthorne stara się zostać świętą i właśnie taką zapamiętała ją Suzy. Widziała anioła, pochylonego nad łóżkiem chorego dziecka. Anioła lub bohaterkę, jeśli ktoś woli. Ludzie potrzebują bohaterów, za wszelką cenę pragną trzymać się swoich złudzeń... A skoro już o tym mówimy - jesteś umówiona z ojcem. Powinniśmy się zbierać.

### XXX

- Wejź... - powiedziała Mary, gestem zapraszając Gini do środka.

Obie na chwilę przystały w otwartych drzwiach, patrząc na Pascala, który włączył silnik motocykla i opuścił wizjer kasku. Zatoczył koło na ulicy i po paru sekundach zniknął w oddali.

- Przyjedzie po mnie koło ósmej.

Mary z westchnieniem zamknęła frontowe drzwi.

- Chwileczkę... - odezwała się. - Zanim wejdiesz do gabinetu, chciałabym ci coś powiedzieć...

Gini odwróciła się ku niej. Zauważyła, że drzwi gabinetu są zamknięte. Na miłej, dobrej twarzy Mary malował się wyraz kompletnego zagubienia. Starsza pani z pewnym wahaniem położyła rękę na ramieniu Gini.

- Nie rozumiem, co się tutaj dzieje, ale jedno jest dla mnie jasne - powiedziała. - Ty i Pascal Lamartine prowadzicie dziennikarskie śledztwo, przygotowujecie artykuł o Johnie... - Ze smutkiem potrząsnęła głową. - Jak mogłaś mnie tak oszukać? Kiedy przyszedłaś na przyjęcie, musiałaś już o tym wiedzieć... Udawałaś, że chodzi ci o coś innego... John jest jednym z moich najbliższych przyjaciół. Jak mogłaś? To takie do ciebie niepodobne...

Gini bez pośpiechu zdjęła płaszcz.

- Rozumiem... - rzuciła zimno. - Więc to dlatego tu jestem... Powinnam była się domyślić...

Była zła i smutna. Tuż przed przyjazdem do Mary pokłóciła się z Pascalem. Mało brakowało, a straciliby panowanie nad sobą. W ciągu minionej godziny oboje dążyli do konfrontacji, w ostatniej chwili się wycofywali. Świadomość, że Pascal nie pomylił się w ocenie motywów postępowania jej ojca, nie poprawiła Gini nastroju. Instynkt podpowiadał jej, aby po prostu wyszła stąd, w ogóle nie rozmawiając z Samem Hunterem. Wszystko to razem musiało znaleźć odbicie w wyrazie jej twarzy, ponieważ Mary uważnie popatrzyła na nią z bliska i lekko ścisnęła za rękę.

- Och, kochanie, co za potworny zamęt... - Westchnęła. - Nie przejmuj się tym, co powiedziałam, to nie jest teraz najważniejsze. Poczułam się dotknięta, nawet więcej, zraniona i... Nieważne. Bądź ostrożna, bo Sam jest w fatalnym humorze. Nakręca się już od paru godzin. Próbowałam go uspokoić, ale bez skutku. Jest przy drugim ginie, a wiesz, jak się zachowuje, kiedy pije. Pomyślałam, że najlepiej będzie, jeżeli wasza rozmowa nie potrwa długo. Sam jest umówiony na kolację ze swoim wydawcą, ja też mam z nim pójść. Czeka cię godzina koszmaru, chyba nie więcej... Uważaj, kochanie, bardzo cię proszę... I nawet nie wspominaj o Pascalu Lamartine, na miłość boską...

Mary przerwała, jej głos załamał się nagle i Gini zorientowała się, że jej macocha jest bliska łez. Dziewczyna objęła Mary i mocno ją przytuliła. Ogarnęła ją fala czułości i wyrzutów sumienia. Jeżeli Sam Hunter przy pomocy alkoholu

przygotowywał się do tego spotkania, to trudno jej było wyobrazić sobie, co Mary przeszła w czasie popołudnia.

- Przepraszam cię... - szepnęła. - Wszystko ci później wyjaśnię. Nie denerwuj się, to nie twoja wina... To takie niesprawiedliwe, że tkwisz w samym środku tej całej afery...

- Ale tkwię tam i nic na to nie poradzę - Mary wykonała bezradny gest. - Ja także nie byłam wobec ciebie całkowicie szczerą, kochanie, a powinnam była wyznać ci prawdę. Przez cały czas wiedziałam o Bejrucie. Wiedziałam, kim jest Pascal, ale nie chciałam się do tego przyznać. Nienawidzę tych kłamstw...

- To bez znaczenia, kochanie. Wcale mi to nie przeszkadza, jestem nawet zadowolona... Naprawdę...

Zawiesiła głos. Z zamkniętego pokoju dobiegł jakiś hałas, zgrzyt odsuwanego krzesła. Mary rzuciła Gini niespokojne spojrzenie.

- Nie chodzi tylko o to... - powiedziała szybko. - Sam obwinia Pascala za tamtą historię i chce, żebyś była na to przygotowana, ale...

Znowu zawahała się. Gini popatrzyła na nią ze zdziwieniem i przeniosła wzrok na zamknięte drzwi. Tym razem usłyszała głos ojca, który zadał jakieś pytanie, sądząc po intonacji. Parę chwil w pokoju trwała cisza, a potem ktoś spokojnie odpowiedział na pytanie Sama. Gini poczuła, jak wszystkie jej mięśnie napinają się niczym struny.

- Kto jest tam z nim? - odezwała się. - Przecież nie rozmawia ze sobą... Co się dzieje?

Mary nie zdążyła odpowiedzieć, ponieważ w tym samym momencie rozległy się kroki i drzwi otworzyły się gwałtownie. W progu stał nachmurzony Sam Hunter, z pełną szklanką w ręku. Za nim rysowała się postać opartego o kominek Johna Hawthorne'a. Hunter obrzucił wściekłym spojrzeniem najpierw Gini, a potem Mary.

- Wejdziecie do środka czy nie? - odezwał się agresywnym tonem. - Może zamierzacie do końca tego cholernego wieczoru szeptać w holu, co?

Długo jeszcze mówiłby w ten sposób, gdyby Mary nie wzięła sprawy w swoje ręce. Zaciśnęła dłoń na ramieniu Gini i wprowadziła ją do pokoju. John Hawthorne przywitał młodą kobietę skinieniem głowy, ale nie odezwał się ani słowem. Mary odwróciła się twarzą do Sama.

- Wyjaśnijmy coś sobie - jej głos był cichy, lecz zdecydowany. - To mój dom, nie twój. Jeśli zamierzasz wrzeszczeć i miotać się, lepiej wyjdź, bo nie toleruję takiego zachowania, rozumiesz? Ta sytuacja nie jest łatwa ani dla mnie, ani dla Gini, ani dla nikogo z nas. Przystałam na to spotkanie pod jednym warunkiem - ty i John powiecie, co macie do powiedzenia, spokojnie i bezstronnie wysłuchacie Gini i wszyscy troje wyjdziecie. Nie pozwolę, abyś urządzał tu burdy, więc usiądź i uspokój się. Zachowujmy się jak cywilizowani ludzie, na miłość boską...

Ton Mary błyskawicznie i skutecznie uciszyłyby wiele osób, ale nie Sama Huntera, w każdym razie nie wtedy, gdy pił.

- Posłuchaj! - zaczął, dźgając palcem wskazującym powietrze. - Posłuchaj mnie! Jeżeli sądzisz, że będę udawał, iż spotkaliśmy się tu na herbatce, to grubo się mylisz. Nie zamierzam bawić się słowami. Moja córka ma się z czego tłumaczyć i im szybciej się tym zajmiemy, tym lepiej. Jezu Chryste, nie widziałem jej przez dwa lata, a teraz wykreca mi taki numer!

Pociągnął duży łyk ginu. Jego nabiegłe krwią oczy ogarnęły pokój i zatrzymały się na Gini.

- Powiem ci jeszcze tylko jedno - rzekł. - Uważam, że winę za to wszystko ponosi ten pieprzony Francuz, ale winę też ciebie. Nie masz już piętnastu lat, do diabła! Gdzie się podział twój zdrowy rozsądek?

Gini i Mary odezwały się jednocześnie. Mary zaczęła robić Samowi wyrzuty, Gini chciała uświadomić mu, że nie ma prawa odzywać się do niej w ten sposób, natomiast Sam usiłował przekrzyczeć je obie. Wtedy John Hawthorne wreszcie się odezwał. Jego głos, zimny, rozkazujący i ostry, natychmiast uciszył całą trójkę.

- Wystarczy, Sam - powiedział. - Mary ma rację, tego rodzaju sceny są zupełnie bez sensu. Opanuj się, dobrze? Gini przyjechała tu z mojego powodu. Nie odmówiła, chociaż mogła, więc jestem jej winien wyjaśnienie.

Gini milczała. Obserwowała ojca z przerażeniem i z niesmakiem. Bolało ją, że tak łatwo i w gruncie rzeczy pokornie złożył broń przed Hawthorne'em. Sam rzucił jej ostatnie wściekłe spojrzenie i z teatralnym westchnieniem odwrócił się do niej plecami. Podszedł do kominka i padł na fotel, ani na chwilę nie wypuszczając z ręki szklanki z ginem.

Gini nie mogła uwierzyć, że w ciągu dwóch i pół lat ojciec aż tak się zmienił. Wyglądał znacznie gorzej niż podczas ich ostatniego spotkania, chociaż jak zawsze był dobrze ubrany, w jeden z ciemnych garniturów, które zamawiał na miarę w Londynie i odrobinę wyzywająco elegancką koszulę od Paula Stuarta, a jego buty lśniły. Od razu zauważyła jednak, że utył, a jego zwiotczała skóra pokryła się plamami typowymi dla ludzi nadużywających alkoholu. Uświadomiła sobie, że Sam Hunter robi wrażenie agresywnego, niezrównoważonego i głęboko nieszczęśliwego człowieka.

Podeszła do krzesła naprzeciwko Johna Hawthorne'a i usiadła. Mary przez chwilę kręciła się przy barku. Podała Gini kieliszek wina, zupełnie jakby mimo wszystko chciała stworzyć wrażenie, że spotkali się na gruncie towarzyskim, lecz w końcu usiadła nieco za Gini. Centralnym punktem utworzonego w ten sposób półokręgu stał się John Hawthorne, który wciąż stał przy kominku.

W przeciwieństwie do ojca Gini, Hawthorne wydawał się spokojny i całkowicie opanowany. Miał na sobie ciemny, bardzo oficjalny garnitur. Kiedy spojrzał na Gini, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że odczytuje w jego oczach pewien żal czy może pogardę, jakby spodziewał się po niej czegoś lepszego, jakby zawiodła jego nadzieje, nie zdając egzaminu.

- Przede wszystkim proponuję, abyśmy nie marnowali czasu - zaczął. - Nie zamierzam przez następną godzinę słuchać zaprzeczeń i kłamstw, więc powinniśmy krótko nakreślić sytuację. Przyjmijmy za pewnik, że mniej więcej dziewięć dni temu redakcja „News” wszczęła śledztwo dziennikarskie, dotyczące mojego prywatnego życia, i że temat ten przydzielono Gini oraz francuskiemu fotoreporterowi, Pascalowi Lamartine, dobrze?

Mówiąc to, patrzył prosto w oczy Gini. Dziewczyna milczała. Siedząca za nią Mary cicho westchnęła. Sam Hunter niespokojnie poruszył się w fotelu.

- John ma rację, Gini - odezwał się, pochylając się do przodu. - Nie opowiadajmy sobie bzdur. John wie, że pracujesz nad tym tematem, ja też o tym wiem. Wszyscy wiemy, więc nie ma sensu zaprzeczać. To strata czasu.

- Skoro jesteście tak doskonale poinformowani, na pewno wiecie także, że w ubiegły wtorek naczelny odebrał mi temat i w ogóle z niego zrezygnował - ostrożnie

zaczęła Gini. - Do uszu mojego szefa dotarło parę plotek, nic więcej. Poproszono mnie, abym je sprawdziła, ale nie udało mi się tego zrobić. Między innymi dlatego redakcja wycofała się ze sprawy. Był jednak także i inny powód - wobec właściciela „News” zastosowano pewne naciski, tak zdecydowane, że podobno w tej chwili stanowisko mojego naczelnego wisi na włosku. Nie rozumiem tylko jednego... - spojrzała w oczy Hawthorne'owi. - Dlaczego, skoro dysponuje pan takimi wpływami, usiłuje pan teraz wyrzucić presję na mnie. Po co? Przecież jest to pozbawione sensu. Nie pracuję już nad tym tematem.

- Sugerowałem, żebyśmy nie tracili czasu - Hawthorne popatrzył na nią zimno. - Otrzymałaś polecenie, aby zostawić tę sprawę w spokoju, oboje dobrze o tym wiemy. Twój naczelny może straci pracę, a może nie - decyzja należy do Henry'ego Melrose'a i nie ma nic wspólnego ze mną. Nie udawajmy jednak, że usłuchałaś polecenia szefa. Za jego wiedzą lub bez niej nadal ciągniesz temat, podobnie jak Lamartine. Punktem wyjścia tej historii jest niejaki James McMullen, z którym spotkałaś się dwa dni temu, najpierw w Regent's Park, potem w British Museum. W tym tygodniu kontaktowałaś się z byłym wykładowcą i opiekunem naukowym McMullena, doktorem Anthonym Knowlesem z Oksfordu. Dzisiaj także prowadziłaś rozmowy w tej samej sprawie, spotkałaś się z przyjacielem McMullena w Klubie Groucho w Soho... Chcesz mi wmówić, że tak zachowuje się dziennikarz, który odkłada temat na półkę?

Gini zauważyła, że ani słowem nie wspomniał o spotkaniu z McMullenem w Oksfordzie.

- Nie wiem, skąd pan czerpie te informacje... - wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok. - Powinien pan sprawdzić swoje źródła... Do British Museum poszłam nie na spotkanie z McMullenem, ale żeby obejrzeć ekspozycję sztuki starożytnej. Wcześniej rozmawiałam z Anthonym Knowlesem, to prawda, lecz drugi raz zadzwoniłam do niego wyłącznie po to, aby mu powiedzieć, że wycofuję się z tematu, natomiast dzisiaj umówiłam się na drinka z dawnym znajomym, który często podrzuca mi różne informacje i to spotkanie nie miało nic wspólnego z tą sprawą...

- Umówiłaś się dziś ze szkolnym przyjacielem McMullena, człowiekiem, którego nigdy wcześniej nie spotkałaś. - Hawthorne rzucił jej zimne spojrzenie. - Kiedy się o tym dowiedziałem, poczułem pewną ulgę. Pomyślałem, że może wreszcie



zajęłaś się sprawdzaniem przeszłości McMullena, co oczywiście należało zrobić trochę wcześniej. Tak czy inaczej, sprawdź go, i to dokładnie. McMullen jest kłamcą i zawsze sieje zamęt. Czasami się zastanawiam, czy w ogóle jest normalny...

- Normalny? - Sam Hunter nie mógł się dłużej powstrzymać. Zatoczył szeroki łuk ramieniem, wylewając trochę ginu. - Normalny, na miłość boską?! Facet jest kompletnym świrem! Ma obsesję na punkcie Johna, na moim także, i od lat snuje jakieś paranoiczne iluzje! Teraz znowu pojawił się jak diabeł z pudełka i kogo postanowił zaprząć do pomocy? Moją córkę! - Odwrócił się do Gini. - Ile lat pracujesz jako dziennikarka? Nie umiesz rozpoznać zwykłego wariata? A może bierzesz za dobrą monetę wszystko, co ktoś ma ochotę ci wcisnąć? Dlaczego nie sprawdziłaś tych informacji? Naucz się sprawdzać, potwierdzać przypuszczenia, do cholery, a jeżeli nie stać cię na to, wracaj do szkoły dziennikarskiej! Chociaż nie, lepiej znajdź sobie inną pracę...

- Chwileczkę... - zaczęła Gini, lecz Mary jej przerwała.

- Zastanów się, Sam, zanim zaczniesz rzucać oskarżenia - powiedziała. - Nie masz zielonego pojęcia o zawodowych umiejętnościach Gini, ponieważ nigdy nie interesowałaś się jej pracą. Gini nie jest dzieckiem, które dopiero wkracza w świat dziennikarstwa. Ma duże doświadczenie...

- Doświadczenie? Dajże spokój! Niby gdzie je zdobyła? W jakiejś tandetnej szmacie, zajmującej się wyłącznie seksem i skandalami?

- Gini ma duże doświadczenie. - W głosie Mary zabrzmiała zdecydowana nuta. - Gdyby nadal pracowała nad tym tematem, na pewno dokładnie sprawdziłaby wszystkie informacje. I gdyby ten James McMullen był taki, jak mówisz, Gini przejrzałaby go bez większego trudu. Nie wierzę, żeby sprawa, o której mówicie, była tak prosta...

- Mary ma słuszość. - Chłodny głos Hawthorne'a i tym razem uspokoił wszystkich. - To nie jest takie proste, chociaż wiele bym dał, aby było...

Utkwił spojrzenie w oknie i Gini po raz pierwszy wyczuła dręczące go napięcie. Przez chwilę widziała na jego twarzy wyraz prawdziwej rezygnacji, który dostrzegła już wcześniej, w czasie bankietu w hotelu Savoy. Sprawia wrażenie całkowicie opanowanego, ale w głębi duszy jest bliski rozpacz, pomyślała.

Miała wrażenie, że Mary i jej ojciec także to wyczuli. Sam rzucił Hawthorne'owi szybkie spojrzenie i natychmiast zmienił ton. Wstał, a jego wojowniczy nastrój zniknął bez śladu.

- Zastanów się, o jaką stawkę toczy się ta gra - odezwał się spokojnie. - Chodzi o życie Johna, jego reputację... Wiesz, co się dzieje, kiedy takie rzeczy wymykają się spod kontroli. Ludzie gadają, plotkują. Nawet jeżeli nie opublikujesz tekstu, i tak będą gadać, a plotki zaczną zataczać coraz szersze kręgi... Nie zamierzam do tego dopuścić, dlatego tu jestem. - Przerwał i znowu spojrzał na Hawthorne'a. - Przed chwilą straciłem cierpliwość, zupełnie niepotrzebnie. Zdarza mi się to, taki mam temperament. W gruncie rzeczy, wcale cię za to wszystko nie winię, muszę ci jednak powiedzieć, że moim zdaniem zabrałaś się za coś, z czym nie bardzo umiesz sobie poradzić. Pojawienie się Lamartine'a na pewno nie poprawiło sytuacji. Nie będę wywlekał przeszłości, nie muszę tego robić. Jeżeli dwanaście lat temu nie zdażyłaś się zorientować, kim on jest, to zrób to teraz, byle szybko. Przyjrzyj się, czym zajmuje się Lamartine. To nie jest dziennikarstwo i nigdy nim nie będzie. Lamartine wygrzebuje z błota prywatne sprawy innych ludzi. To zwykła hiena...

Zapadła cisza. Hawthorne nadal stał przy kominku, wpatrzony w ogień. Gini spojrzała na ojca i szybko odwróciła głowę. Mary powoli podniosła się z krzesła.

- Przemyśl słowa Sama - rzekła cicho. - Nie chcę osądzać Pascala Lamartine'a jako człowieka. Mówiłam ci, że polubiłam go, ale nie można ignorować tego, czym obecnie się zajmuje, pod tym względem przyznaję Samowi rację. Praca Pascala łączy się z brutalną ingerencją w życie innych, cechuje ją okrucieństwo i bezwzględność. Na pewno sama nigdy nie nazwałabyś jej etyczną. Kochanie, wydaje mi się, że powinnaś zadać sobie pytanie, w jakim stopniu uczucie, jakim darzysz Pascala, odmienia twoją ocenę sytuacji. Czy posunęłabyś się tak daleko, gdybyś pracowała bez niego? Pascal wywiera na ciebie negatywny wpływ. Przykro mi, że to mówię, ale naprawdę tak uważam...

- Przestań, Mary... Nie zamierzam o tym rozmawiać, a to, co przed chwilą powiedziałaś, nie jest prawdą.

Mary westchnęła.

- W takim razie wracamy do punktu wyjściowego - oświadczyła. - Zachowałam się bardzo nierozsądnie, wręcz głupio. I ty, i Pascal Lamartine zostaliście wprowadzeni w błąd w bardzo sprytny, podstępny sposób. Skoro nie chcesz nas słuchać, mogę mieć tylko nadzieję, że sama to sobie szybko uświadomisz.

Ostatnie jej słowa zabrzmiały ostro, nie starała się ukrywać dezaprobaty. Nagle John Hawthorne podniósł głowę.

- Przykro mi, ale nie mogę czekać, aż Gini dostrzeże swój błąd - powiedział. - Nie mogę ryzykować, tu chodzi o Lise. Nie chcę przyglądać się bezczynnie, jak moja rodzina cierpi z powodu tej sprawy. Muszę myśleć o dzieciach, które i tak dosyć już przeżyły...

Odwrócił się z gniewnym, pełnym niesmaku gestem. Gini patrzyła na niego w milczeniu. Widziała, że jest głęboko wzruszony i prawie nie może mówić. Znowu ogarnęły ją wątpliwości, niczego nie była już pewna. Sam Hunter odchrząknął i spojrzał na Hawthorne'a, jakby czekając na jego pozwolenie.

- John? Hawthorne skinął głową.

- Dobrze... - Hunter z poważnym wyrazem twarzy odwrócił się do Gini. - Powiem to tylko raz i krótko. Nie ma sensu bawić się w uniki. To, co powiem, musi pozostać między nami, w najgłębszej tajemnicy, rozumiesz, prawda? Doskonale. Od mniej więcej czterech lat, a dokładnie od choroby młodszego synka, Lise sama jest poważnie chora. Specjaliści z Waszyngtonu, Londynu i Nowego Jorku stwierdzili u niej psychozę maniakalno-depresyjną. Lise wymaga stałego leczenia, pięć razy przechodziła terapię elektrowstrząsami. Dwukrotnie usiłowała popełnić samobójstwo - raz w Waszyngtonie, jeszcze zanim John zrezygnował z pełnienia urzędu senatora, drugi raz miesiąc po przyjeździe do Londynu. Nie można zostawiać jej samej, bez opieki, w każdym razie nie na dłuższy czas. W rezultacie tej sytuacji narasta w niej przekonanie, że jest prześladowana. John robi wszystko, co można, aby jej pomóc, a nie wyobrażaj sobie, że jest to łatwe. Zrezygnował dla niej z polityki, ponieważ powtarzała, że chce, aby więcej czasu poświęcał jej i chłopcom. Zgodził się przyjmując stanowisko ambasadora, bo nalegała, żeby to zrobił, i mówiła, że zależy jej na większej roli w życiu publicznym. John myślał, że to jej pomoże - nowe miasto, zmiana otoczenia, nowi znajomi. Niestety, jej stan jeszcze się pogorszył. Nie ulega

wątpliwości, że znajomość z McMullenem wywiera na nią fatalny wpływ. Tutejsi lekarze od lata zeszłego roku twierdzą, że Lise należy jak najszybciej umieścić w szpitalu. John nie zgadza się na to. Moim zdaniem popełnia błąd, ale cóż... - W głosie Huntera zabrzmiała twarda nuta. - Lise jest nie tylko wspaniałą, cudowną kobietą, ale także ofiarą potwornej choroby. Nie potrafi odróżnić rzeczywistości od fikcji. Ma też kilka innych problemów, ale nie zamierzam tu ich omawiać. Mogę jednak zaświadczyć, że praktycznie rzecz biorąc, Lise jest schizofreniczką. Mary powie ci to samo, jestem tego pewny...

Gini odwróciła się i spojrzała na Mary. Na twarzy starszej pani malował się smutek i niepokój.

- Tak... - westchnęła. - Opowiadałam ci już wcześniej o scenie, jakiej byłam świadkiem. Dla mnie było to szalenie przykre, dla Johna przerażające i traumatyczne. Musisz zrozumieć, że John znajduje się w niezwykle trudnej sytuacji. Ma publiczne obowiązki i jednocześnie stara się zachowywać pozory oraz chronić Lise przed nią samą. Musi też myśleć o synach. Dźwiga te trudne do wyobrażenia ciężary na własnych barkach, nie może nawet z nikim porozmawiać o swoich przeżyciach, chyba że z lekarzami...

- Częściowo sam jestem sobie winien - odezwał się John Hawthorne. Odwrócił się twarzą do Gini i popatrzył na nią pełnymi bólu oczami. Ze znużeniem potarł dłonią czoło. - Muszę przyjąć ten fakt do wiadomości i nauczyć się z nim żyć. Powinienem był zareagować wcześniej i nie pozwolić, aby moi synowie patrzyli na to wszystko... Najprawdopodobniej zrobiłem błąd, przyjmując nominację na ambasadora. Trzeba było posłuchać rady lekarzy, ale widzicie... - Jego głos załamał się nagle. Minęła dłuższa chwila, nim się opanował. - To jest niewyobrazalnie okrutna choroba... Zdarzają się okresy, kiedy Lise jest sobą i wtedy znowu budzi się we mnie nadzieja. Potem zawsze następuje pogorszenie i Lise przeistacza się w obcą mi osobę. Niespodziewanie, bez wyraźnego powodu, wpada w szał, albo zachowuje się zupełnie normalnie, lecz ni z tego, ni z owego kłamie, wymyśla jakieś fakty czy sytuacje... - powiódł wzrokiem od Gini do Mary. - Pamiętasz ten wieczór, kiedy przyjechaliśmy na przyjęcie, które wydałaś z okazji urodzin Lise?

Mary kiwnęła głową. Twarz Hawthorne'a przybrała wyraz całkowitego zagubienia.

- Był to jeden z dni, kiedy wydawało mi się, że Lise czuje się lepiej. Była ożywiona, radosna, prawie taka jak dawniej. I nagle, gdy już zbieraliśmy się do wyjścia... Pamiętasz to, Mary? Lise pokazała ci swoje futro i naszyjnik z pereł, i powiedziała, że dostała je ode mnie tego samego dnia, na urodziny...

- Pamiętam - przytaknęła Mary.

- To była nieprawda. Dałem Lise futro i perły jesienią ubiegłego roku. Zabrałem ją wtedy na weekend na wieś, tylko we dwoje. Obchodziliśmy rocznicę ślubu i chciałem... Próbowałem... - Znowu przerwał, usiłując zapanować nad wzruszeniem. - Przyszło mi do głowy, że jeżeli spędzimy razem dwa normalne, zwyczajne dni, z dala od codziennych spraw i zgiełku to może... Wydawało mi się, że futro i naszyjnik bardzo jej się spodobały, ale po powrocie do Londynu schowała je i nie założyła ani razu aż do tamtego wieczoru... I wtedy skłamała, powiedziała, że dostała je ode mnie z zupełnie innej okazji. Dlaczego? Po co? Nie jestem w stanie powiedzieć, kiedy naprawdę coś jej się myli, a kiedy stara się mnie zranić. W tym wypadku wyglądało to tak, jakby chciała zapomnieć o tamtym weekendzie, o naszej rocznicy, o naszym małżeństwie... Nic już nie wiem...

Odwrócił się gwałtownie. Mary podeszła do niego szybko i otoczyła go ramieniem.

- Przestań... - poprosiła cicho. - Nie torturuj się tym, to nie ma sensu i nikomu nie pomoże. Powinieneś nauczyć się rozmawiać z przyjaciółmi, w końcu po to nas masz. Napij się, dobrze? Należę ci whisky. Jesteś zupełnie wyczerpany, przecież widzę... Nie spieraj się ze mną, wypij, i już...

Poszła do barku i przygotowała drinka. Gini patrzyła na Hawthorne'a, stojącego z czołem opartym o parapet kominka, i nie potrafiła odegnać strasznych wątpliwości. Co ja zrobiłam, pomyślała. Popełniłam błąd, okropny błąd...

Wszyscy milczeli. Hawthorne przyjął drinka i Mary wróciła na swoje miejsce. Gini pochwyciła zaniepokojone spojrzenie, jakie jej ojciec rzucił ambasadorowi.

- Mam mówić dalej, John? - zapytał. - Gini może równie dobrze poznać całą prawdę...

- Czemu nie? - Hawthorne ze zniechęceniem machnął ręką. - Wyjaśnij jej, co się stało. Ja nie mam już siły o tym mówić.

Hunter wyjął z kieszeni kartkę papieru i podał ją córce.

- Przeczytaj później - rzekł. - To ksero artykułu, który napisałem dwadzieścia pięć lat temu. Opisałem w nim misję, na jaką w listopadzie 1968 roku wysłano w Wietnamie pluton Johna. Towarzyszyłem oddziałowi jako reporter. Zostaliśmy odcięci w dżungli, na południe od Hue, od siedemnastego równoleżnika, niedaleko wioski o nazwie My Nuc. Pluton przez pięć dni był pod nieustannym ostrzałem. Siedemnastu ludzi Johna zginęło... - przerwał. - Czy McMullen przedstawił redakcji „News” oskarżenia dotyczące wydarzeń, jakie miały miejsce w My Nuc? Bo nawet jeżeli jeszcze tego nie zrobił, to wkrótce zrobi, możesz mi wierzyć...

Gini się zawahała i utkwiała wzrok w podłodze. Tamtych troje obserwowało ją teraz uważnie.

- Wiemy, co McMullen opowiada o Johnie i jego małżeństwie - niecierpliwie rzucił jej ojciec. - Mówił ci też o Wietnamie?

- Powtarzam, że nigdy nie rozmawiałam z McMullenem. Zniknął, nikt nie wie, co się z nim stało. Sprawdziałam tylko plotki.

- O moim małżeństwie? - zapytał ostro Hawthorne.

- Tak.

- A o wydarzeniach w My Nuc? - Tym razem pytanie zadał jej ojciec.

Gini wzruszyła ramionami.

- Powiedziano mi, że wysuwane są pewne zarzuty wobec amerykańskich żołnierzy, którzy weszli do tej wioski w 1968 roku...

- Jezu Chryste! - Hunter rzucił Hawthorne'owi gniewne spojrzenie. - Posłuchaj, Gini... Za parę miesięcy ma wyjść moja książka o Wietnamie, może dlatego McMullen uaktywnił się właśnie teraz... Tak czy inaczej, musimy wyjaśnić sobie tę kwestię. McMullen wysuwał te zarzuty już wcześniej, znacznie wcześniej, mniej więcej dwadzieścia lat temu. Wiedziałaś o tym?

Gini się zawahała.

- Nie - odparła.

- Tak było. Oskarżał żołnierzy Johna o gwałt i wymordowanie cywili. Najpierw zwrócił się z tym do senatora, który już nie żyje, później, w 1972 roku, do dwóch amerykańskich gazet. W tym czasie spędził sześć miesięcy w Stanach.

Wszystkie te historie są zmyślane od początku do końca. Nic takiego nie miało miejsca, nic. Kiedy próbował zainteresować tym tamte dwie redakcje, został zwyczajnie wyśmiany, i wcale mu się to nie spodobało. Uwierz mi, żołnierze z plutonu Johna nie byli gwałcicielami ani mordercami. Byłem tam razem z nimi, przez cały czas. Wioska My Nuc została zrównana z ziemią, zanim tam weszliśmy. Wszyscy mieszkańcy nie żyli, włącznie z dziewczyną, którą zgwałcono, zdaniem McMullena. Każde słowo, jakie wtedy napisałem, było prawdziwe. Byłem naocznym świadkiem tych zdarzeń, do diabła...

Zapadła cisza.

- McMullen utrzymuje, że kontaktował się z innymi świadkami, Sam - odezwał się John Hawthorne. - Na pewno Gini też o tym słyszała. Nie ma sensu przerzucać się argumentami i zeznaniami po dwudziestu pięciu latach, jakie upłynęły od tamtych wydarzeń. Gini z pewnością powinna zwrócić uwagę na to, kiedy McMullen wystąpił z oskarżeniami i co zrobił od tamtego czasu... - Zmierzył Gini chłodnym wzrokiem. - Od lipca ubiegłego roku, kiedy to McMullen zaczął podporządkowywać sobie moją żonę, najprawdopodobniej doskonale wiedząc, że ma do czynienia z osobą poważnie chorą, poświęciłem sporo czasu na sprawdzenie McMullena i jego zarzutów. Kobieta, którą jakoby zgwałcono, nie była jakąś tam wieśniaczką, żyjącą w odległej od cywilizacji wiosce. Pochodziła z Wietnamu Północnego, nie z Południa. Jej ojciec i brat byli znanymi i wybitnymi działaczami komunistycznymi w Hanoi, ojciec był członkiem zgromadzenia narodowego Wietnamu Północnego. Zginęła mając dwadzieścia pięć lat, a od ukończenia szesnastego roku życia aktywnie działała na scenie politycznej. Była półkrwi Francuzką i odebrała doskonale wykształcenie. Studiowała nie tylko w Hanoi, ale także w Paryżu, Pradze i Moskwie. W związku z tym wydaje mi się, że warto byłoby zadać pytanie, co robiła w My Nuc, na Południu.

- Była pieprzoną agentką komunistyczną, i tyle! - wybuchnął Sam. - Pracowała dla Vietcongu, rozumiesz, Gini? - Gniewnym gestem wyrzucił ręce w górę. - Jezu, to strata czasu, John! Ona nic nie wie o tej wojnie!



- To prawda. - Hawthorne nie stracił zimnej krwi. - Więc może zrozumie lepiej, gdy wyjaśnię jej sytuację McMullena. McMullen poznał tę kobietę w Paryżu - spotykali się przez dwa miesiące. Kiedy dotarła do niego wiadomość o jej śmierci, przeżył poważne psychiczne załamanie. Jego rodzice starali się to zatuszować, ale się zachowały opinie lekarzy i opis przebiegu choroby. Gdy latem ubiegłego roku brytyjskie służby specjalne zaczęły grzebać w przeszłości McMullena, okazało się, że po porzuceniu studiów spędził sześć miesięcy w prywatnej klinice. Później zaczęła się obsesja, związana z My Nuc. Moi ludzie odkryli, że pisał nawet do mojego biura, i to trzy razy, żądając informacji o mojej służbie w wojsku. Dopiero wtedy na własne oczy zobaczyłem te listy. Jedna z sekretarek zarejestrowała je i udzieliła na nie odpowiedzi; potem sprawa poszła w zapomnienie...

- Do mnie także pisał - wtrącił Sam. - Dwadzieścia lat temu, do cholery! Napuściłem na niego swoich prawników i to zamknęło mu buzię. Gini, powinnaś wiedzieć, że wszyscy dziennikarze dostają tego rodzaju listy z oskarżeniami i zarzutami pod jakimś adresem. W przypadku kogoś takiego jak John zwykle jest jeszcze gorzej. Za każdym razem, gdy wygłosi przemówienie i pokaże się w telewizji, zgłasza się jakiś dupek, który utrzymuje, że jest jego zaginionym synem, lub świr, przekonany, że John falami elektromagnetycznymi wysyła wiadomości przeznaczone wyłącznie dla niego, i tak dalej. Na świecie nie brak wariatów, możesz mi wierzyć. Jeżeli chcesz pozostać przy zdrowych zmysłach, musisz ich ignorować. Zwykle po pewnym czasie dają ci spokój... - Przerwał, zerknął na Hawthorne'a i znowu zwrócił się do Gini. - Trzeba jednak pamiętać, że nie zawsze tak to się kończy. Nie ma chyba Amerykanina, który by o tym nie wiedział. Czasami tacy wariaci chowają się do jakiejś dziury i tam hodują swoje fantazje, aby potem pewnego dnia dokonać zamachu na prezydenta lub gwiazdę filmową, albo wejść do przedszkola i zastrzelić kilkoro dzieci... Nie mówię, że McMullen jest psychopata, ale nie ulega wątpliwości, że ma za sobą poważne problemy. Z obsesją na punkcie Johna nosi się już od dwudziestu pięciu lat, na miłość boską. Powiem więcej, McMullen od początku stara się zbliżyć do Johna, jakoś go podejść...

- Podejść go? - powtórzyła Gini. Hawthorne westchnął.

- Przyjrzyj się jego zachowaniu - powiedział spokojnie. - McMullen przez trzy lata prowadził aktywną kampanię w sprawie My Nuc. Pisał do mnie i do Sama. Dziś wiemy, że w tym samym czasie, bezpośrednio po swoim załamaniu, podejmował także bardziej zdecydowane kroki - najpierw nawiązał kontakt z senatorem Melville'em, a potem z redakcjami dwóch amerykańskich gazet. Posunął się jeszcze dalej. Jak mówił Sam, pod koniec tego okresu McMullen spędził sześć miesięcy w Stanach. Wiesz, u kogo mieszkał? U przyjaciół swojej matki, rodziny Grenville. Lise jest z nimi daleko spokrewniona, natomiast ja znacznie bliżej. To moi kuzyni i często ich odwiedzam. Właśnie wtedy pierwszy raz spotkałem Jamesa McMullena, ich sympatycznego młodego przyjaciela z Anglii, który dochodził u nich do zdrowia po bliżej niesprecyzowanej chorobie. Było to w 1972 roku. Wtedy poznała go także Lise. Zaprzyjaźnili się i ta przyjaźń trwa do dziś. Łączy ich zainteresowanie sztuką i wielka miłość do Włoch. Zawsze podejrzewałem, że McMullen podkochuje się w Lise. Bawiło ją jego poświęcenie i często żartowaliśmy na ten temat. Podobno McMullen nawet jej się oświadczył, w każdym razie tak mi powiedziała... - W oczach Hawthorne'a pojawił się wyraz skupienia, jakby pierwszy raz przyglądał się z bliska przedmiotowi, który z jakiegoś względu wzbudził jego zainteresowanie. - Teraz wydaje mi się, że tamto spotkanie i kontakt z Lise miały dla McMullena znaczenie większe niż wtedy przypuszczałem... Niewykluczone, że kocha ją na swój dziwny sposób, ale jest także gotowy posłużyć się nią. Poprzez Lise pozostaje w bliskim kontakcie ze mną. I chyba sądzi, że w chorej, niezrównoważonej Lise znalazł wreszcie środek na zniszczenie wroga... Zajęło mu to dwadzieścia pięć lat, lecz niewątpliwie zemsta smakuje teraz jeszcze lepiej...

Odwrócił się i utkwiał wzrok w płomieniach. Gini patrzyła na jego blady, napięty profil. Miałam rację, pomyślała. Hawthorne podzielił się z nią szczegółami, które McMullen wolał ukryć, lecz w gruncie rzeczy sugestie ambasadora w niczym nie różniły się od tego, co sama powiedziała McMullenowi. I oto ojciec doszedł do wniosku, że najlepiej będzie wytłumaczyć jej wszystko do końca, jasno i dobitnie, niezależnie od tego, czy było to konieczne, czy nie. Pociągnął duży łyk alkoholu i postawił pustą szklanę na stole.

- Nie jesteś chyba aż taka naiwna, żeby nie dostrzec planu McMullena - rzekł. - Facet od dawna nosi się z pragnieniem zemsty. Niedługo wychodzi moja książka, a choroba Lise i jej fantazje na temat Johna dają mu szansę, na jaką czekał, więc postanowił zaatakować. Tym razem także zwrócił się do prasy, ale z zupełnie odmienną historyjką. Sprzedaje skandal seksualny z wybitnym człowiekiem w roli głównej, z jedynym amerykańskim politykiem, który pod tym względem ma czyste ręce... I kto kupuje tę historię? Ty. Ty i ten drań Lamartine...

Hunter odwrócił się, nie kryjąc niesmaku i nalał sobie ginu, ignorując protesty Mary. Kiedy Gini wciąż milczała, ze złością rozłożył ręce.

- Ty z nią pogadaj, John! - rzucił. - Ja się poddam. Może tobie uda się ją otrzeźwić. Nie słucha mnie, widzę to po wyrazie jej twarzy. Uparta jak osioł... Sam spróbuj.

- Dobrze. - Hawthorne odstawił niedopitą whisky i odwrócił się do Gini. - Nie wiem, jakimi kłamstwami McMullen handluje tym razem, ale mogę się domyślić. Nie spreparował ich sam, usłyszał je od Lise. Od Lise, która umiera z zazdrości. Mary widziała, co się z nią dzieje. Lise wyobraża sobie, że romansuje z innymi kobietami, nie ma chyba takiej, której nie podejrzewałaby o związek ze mną. Nie potrafię jej przekonać, że się myli, chociaż nie szczędzę wysiłków. McMullen wykorzystuje tę sytuację od lata zeszłego roku... To najdobitniej świadczy, jakim jest człowiekiem. Gotów jest posłużyć się chorobą mojej żony, ale ja nie zamierzam tego dłużej znosić. Wszystko to kłamstwa, od początku do końca. Kocham Lise, co w oczach McMullena jest niewybaczalnym grzechem, to oraz fakt, że poślubiłem Lise, oczywiście. Dziesięć lat po tym, jak odrzuciła jego oświadczenia... - Hawthorne spojrzał Gini prosto w oczy. - Nie chcę dłużej rozmawiać na ten temat. Boli mnie, że muszę w ten sposób mówić o Lise i naszym małżeństwie. Sama podejmij decyzję. Jeżeli chcesz ciągnąć ten temat po wszystkim, co usłyszałaś ode mnie i od Sama, to pamiętaj o jednym - niewiele trzeba, żeby zepchnąć Lise na dno rozpacz. Zdajesz sobie chyba sprawę, że gdyby szczegóły naszego wspólnego życia stały się ogólnie znane, mogłaby podjąć kolejną próbę samobójstwa, prawda? Powiedzmy to jasno, gra toczy się o życie Lise. Nie o moją reputację, nie o moją przyszłość. Jest mi już całkowicie obojętne, co będzie z moją karierą, ale nigdy nie będzie mi obojętny los moich synów i Lise. Tak to wygląda.

Dasz mi jakąś odpowiedź? Wydaje mi się, że tyle jesteś mi winna... Zamierzasz dalej pracować nad sprawą Hawthorne'a? Tak czy nie?

Pytanie zostało zadane chłodnym tonem, lecz Gini usłyszała w nim nutę prośby, nawet błagania. Spojrzała na niego niepewnie. Nie miała wątpliwości, że miotają nim silne uczucia. Słyszała, jak głos załamał mu się na ułamek sekundy, kiedy mówił o dzieciach i widziała ból i zmęczenie w jego oczach. Przez chwilę, jedną krótką chwilę, wydał jej się podobny do Pascala, który czasami, szczególnie kiedy wspominał rozwód i lata spędzone w strefie działań wojennych, wyglądał na równie znużonego i smutnego. Ogarnęła ją fala współczucia dla Hawthorne'a i zorientowała się, że on to poczuł. Jego twarz zmieniła się nagle. Gini miała wrażenie, że zaraz odezwie się do niej albo wyciągnie rękę.

Jednak zanim zdążył wykonać jakikolwiek gest, zareagował jej ojciec, z całą typową dla siebie gwałtownością. Zdaniem Sama Huntera milczenie Gini trwało za długo.

- O co chodzi, do diabła?! - wykrzyknął. - Ktoś zadaje ci proste pytanie, więc udziel prostej odpowiedzi! Tak czy nie? Rzucisz temat? Bo jeżeli nie, to liczą się konsekwencjami. W tym kraju prawo karze zniesławienie i kary te są o wiele surowsze niż w Stanach, więc powinnaś dokładnie sprawdzić, co znajduje się w umowie o pracę, którą podpisałaś z redakcją „News” lub którą podpiszesz z jakąś inną gazetą. Upewnij się, czy biorą na siebie odpowiedzialność za twoje wysoki, skarbie, a najlepiej poproś o to prawnika. Tak czy inaczej, żadna redakcja nie bierze odpowiedzialności za zniesławienie, jakiego dopuści się zatrudniony przez nią dziennikarz. Jeżeli przyłapią cię na kłamstwie lub choćby nieścisłości, zapłacisz podwójnie - po pierwsze, stracisz wszystko, łącznie z reputacją i pieniędzmi, a po drugie, pójdiesz siedzieć...

- Dosyć! - Hawthorne przerwał Hunterowi, nie ukrywając gniewu. - Chciałem uniknąć tego typu pogroźek. Jeżeli będę musiał podjąć działania prawne, zrobię to i Gini doskonale o tym wie. Wolałbym, żeby nie podejmowała decyzji dlatego, że ktoś pogroził jej palcem, ale żeby zrozumiała ludzki wymiar sprawy. Gini nie zajmuje się niszczeniem życia innych, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości, lecz, niestety, pracuje razem z Lamartine'em, który trudni się tym nie od dziś, jak wszyscy wiemy... - Spojrzył na zegarek. - Jest już po ósmej. Sam, Mary, musicie się zbierać.

Nie zachowaliśmy się fair wobec Gini, która przez cały wieczór właściwie nie miała szansy się odezwać.

Jedźcie już, nie powinniśmy was zatrzymywać. - Odwrócił się do Gini. - Mój samochód czeka. Pozwolisz, żebym odwiózł cię do domu?

Łatwo było odrzucić tę propozycję za pierwszym razem, lecz znacznie trudniej pół godziny później, kiedy Pascal nadal się nie pojawił. Hawthorne nie zbierał się do wyjścia, chociaż Gini zapewniła go zdecydowanie, że nie potrzebuje transportu. Mary próbowała uspokoić coraz bardziej zniecierpliwionego Sama.

- Świetnie - powiedział ten o ósmej trzydzieści. - Po prostu świetnie... Do diabła z tym wszystkim, ja też zaczekam... - Zdjął płaszcz i rzucił go na fotel. - Co tam... Nie zjem kolacji z wydawcą, więc co z tego? Możemy posiedzieć tu jeszcze godzinę, dlaczego nie? Jesteśmy na usługi tego pieprzonego francuskiego drania, prawda? Pieprzę mojego wydawcę i umowę na książkę. Zaczekam, co mi tam... Chętnie zamienię parę słów z Lamartine'em. Dlaczego to wszystko miałoby mu ująć płazem? Najwyraźniej nie miał dość odwagi, żeby stanąć przed nami i wysłuchać, co do niego mamy, o, nie... Związał jak ostatni tchórz i na pewno zjawi się, kiedy przyjdzie mu na to ochota. Doskonale. Mam z nim kilka spraw do omówienia. Skoro ty czekasz, Gini, to ja także poczekam. Przy okazji naleję sobie jeszcze trochę ginu...

Mary wyszła właśnie do holu włożyć płaszcz i Sam postanowił to wykorzystać. Szybko podszedł do barku i napełnił szklankę ginem. Gini przyglądała się temu bezradnie. Hawthorne milczał.

- Posłuchaj, tato... - Zrobiła krok w kierunku ojca. - Nie chcę, żebyś się spóźnił, powinieneś pojechać na tę kolację. Prosiłam Pascala, żeby nie przyjeżdżał tu ze mną dziś wieczorem, ale jemu na tym zależało. Umówiliśmy się dość luźno, niezobowiązująco... Na pewno utknął gdzieś w korku... - Niespokojnie spojrzała na zegarek.

Pascal obiecał, że wróci po nią o ósmej. Teraz była już ósma trzydzieści pięć.

- Umówiliście się dość luźno i niezobowiązująco? - Hunter pociągnął spory łyk ginu. - To dla niego dość typowe, o ile mi wiadomo. Pamiętam, że już wcześniej pobierałaś u niego nauki luźnych obietnic i związków...

- Uspokój się, Sam - rzucił zimno Hawthorne. - Za dużo wypiliśmy. Powinieneś jechać.

- Nie! Trzymaj się od tego z daleka, John! Nic nie rozumiesz, a Gini świetnie wie, o czym mówię... - Wychylił alkohol do dna i sięgnął po butelkę.

- Proszę cię... - Gini próbowała ją odsunąć. - Nie rób tego... Nie pij więcej. Sama pojedę do domu, najlepiej od razu...

- Ty cholerna durna suko! - Hunter mocno odepchnął jej rękę, chwycił butelkę i nalał sobie nową porcję ginu. - Tylko mnie nie pouczaj, dobrze? Najpierw poukładaj własne życie i nie przychodź wypłakiwać mi się na ramieniu, kiedy znowu coś spieprzysz...

W pokoju zaległa grobowa cisza. Gini patrzyła na ojca pełnym niedowierzania wzrokiem.

- Nigdy nie przychodziłam wypłakiwać ci się na ramieniu - zaczęła cichym, drżącym głosem. - Nigdy... Po co miałabym robić coś tak głupiego? I tak byś mnie nie wysłuchał, nauczyłam się tego, kiedy miałam trzy lata...

- Naprawdę? Co ty powiesz? Więc co takiego się stało, kiedy miałaś piętnaście lat? Ni stąd, ni zowąd zjawiłaś się w Bejrucie, opowiadając te swoje żalosne bzdury... Chcę zostać dziennikarką, tatusiu... Chcę pracować w gazecie, tatusiu, tak jak ty...

Hunter wykrzywił usta w nieprzyjemnym grymasie, starając się mówić cienkim głosem. Gini cofnęła się gwałtownie, Mary, która stanęła w progu pokoju, usiłowała się odezwać, lecz Sam nie pozwolił sobie przerwać. Nie odrywając oczu od twarzy Gini, zrobił krok w jej stronę, zachwiał się i przytrzymał oparcia fotela.

- Jesteś durną dziewczuchą, rozumiesz? Przyjechałaś do kraju, w którym toczyła się wojna i zachowywałaś się tak, jakbyś połknęła wszystkie rozумы! Głupi, arogancki bachor! Płatałaś mi się pod nogami, musiałem świecić oczami przed znajomymi, bo bez przerwy zadawałaś mi idiotyczne pytania...

- Sam, w tej chwili przestań! - odezwała się Mary podniesionym głosem.

- A na koniec jak się popisałaś? - Hunter znowu zatoczył się do przodu. - Od czego zaczęłaś swoją wielką dziennikarską karierę? Bez wahania poszłaś do łóżka z pierwszym dupkiem, który cię poderwał i pieprzyłaś się z nim przez następne trzy tygodnie! Z tym samym, który pieprzy cię teraz, i nie zaprzeczaj, bo masz to wypisane

na twarzy! Wystarczyło mi raz na ciebie spojrzeć i już wiedziałem, co jest grane! Dorośnij wreszcie, skarbie. Ten facet spieprzy ci życie, a wiesz dlaczego? Bo jest głównym, a ty ostatnią idiotką. Nie jesteś w stanie się zorientować, że on cię wykorzystuje...

- Przestań! - Gini ogarnął nagle oślepiający gniew. Chwyliła szklanke i wyrwała ją ojcu. - Dostyc tego! Za dużo pijesz, to obrzydliwe! Robi mi się niedobrze, kiedy na ciebie patrzę! Nienawidzę cię, kiedy jesteś pijany! Nienawidzę cię, kiedy tak do mnie mówisz! Skoro tak strasznie potrzebujesz ginu, to masz, tatusiu...

Chlusnęła resztką alkoholu prosto w twarz ojca. Sam usiłował złapać ją za przegub dłoni, ale chybił. Połowa ginu zalała mu koszulę, parę kropel spadło na bluzkę Gini. Sam stracił równowagę i poleciał do tyłu, na barek. Butelki runęły na ziemię, rozległ się trzask pękającego szkła. Z wściekłości zupełnie stracił panowanie nad sobą. Rzucił się w kierunku córki. W oczach Gini wszystko to było smugą ruchu - Mary biegła ku niej, ojciec także, John Hawthorne nagle znalazł się tuż za plecami przyjaciela. Sam podniósł rękę, powietrze przesycił dławiący, ostry zapach alkoholu.

- Ty suko! - wrzasnął. - Głupia mała dziwko...

Gini cofnęła się, próbując uniknąć ciosu, lecz w tej samej chwili między nią i ojcem stanął Hawthorne. Gini tępo patrzyła na ciemny, gładki materiał jego marynarki. Jakby z wielkiej odległości obserwowała błyskawiczne ruchy.

- Cofnij się, Sam - warknął lodowatym głosem.

Hawthorne chwycił ojca Gini za klapy marynarki i prawie uniósł go w powietrze. Potrząsnął nim mocno i popchnął na fotel.

- Weź się w garść. Wytrzeźwiej! To było niedopuszczalne zachowanie, dobrze o tym wiesz! Jeżeli teraz się podniesiesz, znokautuję cię, słowo daję!

Stał wyprostowany, patrząc z góry na Huntera, który usiłował dźwignąć się na nogi, ale szybko się poddał. Gini wpatrywała się w nich obu - w Hawthorne'a, wysokiego i szczupłego, po którym nawet nie było widać, że przed chwilą stoczył krótką walkę, i w ojca, bezwładnie siedzącego w fotelu i z trudem chwyającego powietrze. Jego głowa opadła do tyłu, mięśnie szczęk zwiotczały. Zamknął oczy.

Hawthorne odwrócił się do Gini.



- Przepraszam - powiedział. - Ja sprowokowałem tę scenę. Sam nakręcał się od rana, mogłem zgadnąć, do czego to prowadzi. Nic ci się nie stało?

- Nie, nic mi nie jest. Przywykłam do takich scen, to nie pierwsza, jaką przeżyłam...

Wargi Hawthorne'a zacisnęły się w wąską linijkę.

- Nie wyglądasz na osobę, której nic nie jest. Wystarczy już, nie sprzeczasz się ze mną. Zabieram cię do domu, i to natychmiast... - Zawahał się. - Co zrobimy z Samem, Mary? Chcesz, żebym zadzwonił po taksówkę? Albo może lepiej przyślę tu Malone'a i on odstawi Sama do hotelu...

- Nie, zostaw go. Ja też jestem do tego przyzwyczajona. Teraz prześpi się trochę, a kiedy się obudzi, zrobię mu kawy. Potem zacznie przepraszać, rozczulać się nad sobą i wreszcie pójdzie...

- Na pewno?

- Wiele razy radziłam sobie z nim, kiedy był w takim stanie. Jedź już i zabierz Gini do domu... - Usta Mary zadrżały, z trudem wstrzymywała łzy. - Gini, tak mi przykro... Nie zwracaj uwagi na to, co on mówi... Wcale tak nie myśli, to tylko alkohol mówi przez niego... Sam cię kocha, na swój własny sposób, ale nigdy nie miał pojęcia, jak to okazać... Nie płacz, kochanie... John ma rację, powinnaś teraz wrócić do domu. Pozwól, żeby cię odwiózł...

W holu Hawthorne otulił Gini płaszczem, i delikatnie ujął jej ramię. Kiedy sprowadził ją po schodach na ulicę, Gini rozejrzała się dookoła. Pascala nadal nie było.

- Nie martw się o Lamartine'a. - Hawthorne otworzył drzwi samochodu po stronie pasażera. - Jeżeli się zjawi, Mary powie mu, gdzie jesteś.

Pomógł jej wsiąść i zatrzasnął drzwi. Zajmując miejsce za kierownicą, rzucił jej lekki uśmiech.

- Wiem, o czym myślisz - powiedział. - Nie ma goryli, jak nazywa ich Mary. Czasami lubię prowadzić sam, chociaż oczywiście nawet wtedy jeżdżę z eskortą... - Wskazał czarny samochód, trzymający się w odległości kilkudziesięciu metrów za nimi. - Tak czy inaczej, lubię to. Siadam za kierownicą i znowu czuję, że jestem zwyczajnym człowiekiem. Nie umiem ci powiedzieć, jakie to cudowne wrażenie...

Na końcu ulicy zwolnił i znowu na nią spojrzął.

- Dokąd jedziemy? - zapytał.

- Słucham?

Uśmiechnął się.

- Nie wiem, gdzie mieszkasz.

- Och, przepraszam, zamyśliłam się... Mieszkam w Islington, przy Gibson Square. Nie chciałabym sprawiać kłopotu... Mogę wysiąść przy pierwszej z brzegu stacji metra...

- Nie. - W jego oczach błysnęło rozbawienie. - To nie jest dobry pomysł, nie w tych okolicznościach... Zawiozę cię do domu, tak jak powiedziałem.

Oboje umilkli. Gini utkwiała wzrok w przedniej szybie i usiłowała myśleć o Pascalu. Co mogło mu się przydarzyć? Może nadal jest na nią zły i postanowił nie przyjeżdżać. Może sam pojechał do Hampstead... W głębi serca wiedziała jednak, że nigdy by tego nie zrobił, choćby najbardziej mu się nie podobało, że ona ma spotkać się z ojcem. Ta myśl wzbudziła w niej niepokój i lęk.

Potem wróciła myślami do ojca. Znowu słyszała jego głos, kiedy mówił te straszne rzeczy i widziała wyraz jego twarzy. Z trudem przełknęła ślinę. Była obolała, napięte mięśnie zeszywniały.

John Hawthorne odwrócił ku niej głowę.

- Włączyć jakąś muzykę? Może to poprawiłoby ci nastrój... Mnie muzyka czasami naprawdę pomaga. Lubię Mozarta. Mam tu operę *Figaro*... Znasz ją?

- Niezbyt dobrze.

- To jedna z moich ulubionych. Wielkie szczęście i wielki ból, związane w jedno... - Zawahał się. - Absurdalny wątek, tajemnicza zamiana postaci, złamane serce, którego można uniknąć dzięki pocałunkowi w ciemności... Daje mi to nadzieję, która oczywiście rozwiewa się, gdy opera dobiega końca...

Sięgnął do odtwarzacza CD i nacisnął odpowiedni guzik. Wnętrze samochodu wypełniła muzyka. Wraz z Mozartem jechali na północ, a melodia pochłaniała dystans. Kiedy zaczął się drugi akt, Hawthorne skręcił w Gibson Square i zaparkował.

Chwilę siedział w milczeniu, słuchając muzyki. Potem wyłączył odtwarzacz, wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.

- Na pewno dobrze się czujesz?

- Tak. Mozart rzeczywiście pomaga, uspokoiliam się.

- Cieszę się... - Zawiesił głos. - Żałuję, że wciągnąłem w to Sama. Pije znacznie więcej niż wtedy, kiedy widziałem go ostatnim razem. Gdybym przewidział, że wydarzy się coś takiego... - Wzruszył ramionami. - Muszę ci powiedzieć coś, o czym nie mogłem wspomnieć w obecności Mary i Sama... Czy mógłbym wejść z tobą, tylko na dziesięć minut? Nie masz nic przeciwko temu?

Mówiąc to, uwolnił jej rękę i cofnął się lekko. Potem, nie czekając na odpowiedź, wysiadł, obszedł samochód dookoła i otworzył drzwiczki od jej strony. Gdy stanęła na chodniku, zobaczyła, że eskortujący ich wóz zatrzymał się kilkanaście metrów dalej. Wewnątrz widać było dwie męskie sylwetki. Hawthorne podniósł rękę i wykonał krótki gest. Silnik drugiego samochodu natychmiast przestał pracować. W panującej wokół ciszy usłyszała przerywane trzaski krótkofalówek. Hawthorne ruszył wraz z nią w stronę domu. Kątem oka dostrzegła, że patrzy w ciemne okna. Ze skrzynki pocztowej pani Henshaw sterczał gruby plik listów i reklamówek, na progu stały dwie butelki mleka - świadectwo dłuższej nieobecności. Gini pierwsza zeszła po schodkach, szukając w torebce klucza.

- Mogę wejść? - Hawthorne uprzejmie trzymał się dwa kroki z tyłu. - Naprawdę nie zajmę ci dłużej niż dziesięć minut... Muszę wracać do Lise.

- Ależ proszę... Jestem wdzięczna za to, co zrobiłeś. Zaparzę kawę.

Gini schyliła się szybko i zgarnęła stos listów, leżących na wycieracze. One także świadczyły wyraźnie, że nie było jej w domu przez parę dni. Hawthorne bez słowa wszedł za nią do salonu i rozejrzał się dookoła z nieukrywaną aprobatą. Widziała, jak ogarnia wzrokiem wygodne, stare meble i plakaty na ścianach. Uśmiechnął się lekko.

- To bardzo miłe miejsce - odezwał się. - Kiedy byłem w twoim wieku, chciałem tak żyć... Moje własne mieszkania... Cóż, ostatni pokój, który sam urządziłem i mógłbym nazwać własnym, miałem w Yale, potem już nigdy. Mój ojciec zaczął mi dyktować, w jaki sposób i w jakich warunkach powinienem żyć, gdzie, a nawet z kim... - Odwrócił się i znowu się uśmiechnął, tym razem ze smutkiem. -

Mówiłem ci już, że mamy ze sobą coś wspólnego i rzeczywiście, oboje mamy trudnych, dominujących ojców...

- Sam nie... - zaczęła Gini, jak zwykle obronnym tonem, lecz coś w wyrazie twarzy Hawthorne'a kazało jej przerwać.

- Jeżeli chciałaś powiedzieć, że Sam nie jest dominującym ojcem, to po jego dzisiejszym występie trudno mi w to uwierzyć - rzekł kpiąco. Szybko podszedł, żeby pomóc jej zdjąć płaszcz. - Na pociechę wyznam ci, że sam byłem znacznie starszy od ciebie, kiedy w końcu zacząłem sobie radzić z tym problemem. Zresztą, jeszcze teraz... Nawet teraz ojciec wywiera na mnie bardzo silny wpływ. Jako dziecko często go nienawidziłem, ale także kochałem. To właśnie ta kombinacja uczuć utrudnia nam życie... - Znowu wzruszył ramionami. - Chyba na tym polega nasze nieszczęście. Żadne z nas nie odcięło się od ojca, ani ty, ani ja...

Stał bardzo blisko niej i patrzył w jej twarz z zalem, lecz jednocześnie z lekkim rozbawieniem. Kiedy brał od niej płaszcz, jego dłoń musnęła jej szyję i Gini nadal czuła dotyk jego ręki. Zdała sobie sprawę, że jest bardzo świadoma jego bliskości i że on czuje to samo. Nagle zrozumiała, dlaczego inne kobiety uważają go za tak atrakcyjnego i zaczęła się zastanawiać, czy wyczuł jej reakcję, bo jego spojrzenie stało się skupione i uważne. Chwilę później oboje, jakby kierowani tym samym instynktem, odsunęli się od siebie.

Gini poszła do kuchni i zaczęła przygotowywać kawę. Puściła zimną wodę do zlewu i obmyła twarz i ręce. Miała wrażenie, że wydarzenia wieczoru zupełnie wymykają się spod jej kontroli. To przez ojca, powiedziała sobie. Gdyby zachował się inaczej, byłabym absolutnie spokojna. Wiedziała jednak, że chodzi nie tylko o ojca, ale także o sposób, w jaki Hawthorne stanął w jej obronie, o to, jak mówił do niej wcześniej, w samochodzie i teraz. Ten Hawthorne wcale nie był takim człowiekiem, za jakiego go brała, lecz kimś zupełnie innym, dużo bardziej skomplikowanym i zasługującym na uwagę.

Kiedy wróciła do pokoju, niosąc na tacy kawę, Hawthorne stał przy oknie, wpatrzony w ciemność. Widziała jego blade odbicie na tle czarnej szyby. Wyrwał się z zamyślenia dopiero wtedy, gdy dostrzegł jej odbicie obok swojego.

Uśmiechnął się, wziął tacę z jej rąk, zaciągnął zasłony, zaczekał, aż Gini rozpali ogień w kominku i usiadzie, i sam usiadł naprzeciwko niej.

- To naprawdę miły pokój - odezwał się, kiedy nalewała kawę.

- Bardzo zwyczajny. I zupełnie niepodobny do wspaniałych apartamentów, w jakich zwykle mieszkasz...

- Zapewne właśnie dlatego mi się podoba. Wspaniałe apartamenty nie należą do rzeczy, które lubię, w przeciwieństwie do mojego ojca i Lise... Czy Mary mówiła ci, jak wyglądał dom mojego dzieciństwa? Na pewno tak. To było potworne miejsce, horror z pięćdziesięcioma sypialniami, zapchanymi trofeami zdobytymi przez co najmniej pięć pokoleń przedsiębiorczych Hawthorne'ów... - Uśmiechnął się. - Nienawidziłem tego domu i nadal go nienawidzę. Staram się wracać tam jak najrzadziej, ale to nie ma znaczenia, bo to on wraca do mnie w ponurych snach. Wydaje mi się, że błędzę i gubię się w tych niekończących się korytarzach... Poza tym czasami po prostu muszę tam jechać, żeby zobaczyć się z ojcem. Zawożę do niego chłopców.

- Twój ojciec jest teraz w Anglii, prawda? Ktoś pokazał mi go na bankiecie w Savoyu...

- Tak. Chciał być na moim urodzinowym przyjęciu, które może w ogóle się nie odbędzie... Miał tu także jakieś sprawy do załatwienia i zdecydował się przyjechać wcześniej. Zatrzymał się u nas, co raczej nie wpłynęło na poprawę atmosfery, ponieważ on i Lise nigdy nie darzyli się sympatią... - przerwał. - Może poznasz go, jeżeli Lise będzie się czuła na tyle dobrze, żeby wziąć udział w przyjęciu. Chciałbym ci go przedstawić. To niezwykle człowiek.

Odwrócił głowę i utkwiał wzrok gdzieś w oddali.

Gini odniosła wrażenie, że przestał widzieć pokój i na chwilę przeniósł się w przeszłość. Po paru minutach milczenia, chyba czując spojrzenie na swojej twarzy, znowu skupił uwagę na niej.

- Wiesz, ile miałem lat, kiedy po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że mój ojciec zaplanował całe moje życie? Osiem. Wyobrażasz to sobie? Obchodziłem ósme urodziny. Matka kupiła mi pociąg i szyny... Rok później już nie żyła. Ojciec miał o

wiele bardziej niezwykły pomysł na prezent dla ośmioletniego chłopca... Nie zgadniesz, co to było... Zegar.

- Zegar?

- Naturalnie bardzo cenny zegar. - Wzruszył ramionami. - Antyczny, wysoki, zdobiony piękną inkrustacją... Podobno kiedyś należał do Thomasa Jeffersona. Miał dwa wahadła i mnóstwo ciężarków oraz naciągów. Nakręcaliśmy go z ojcem co tydzień, zawsze w niedzielę, była to nasza specjalna ceremonia. Ojciec uwielbiał ceremonie i rytuały, zresztą, na pewno nadal ma do nich słabość... - W jego głosie zabrzmiała ostra nuta. - Nie znajdziesz tej historii w prasowych wycinkach... Może nie zasługuje na specjalną uwagę, ale zachowałem ją dla siebie. Wiesz, dlaczego podarował mi zegar? Żebym nauczył się mierzyć czas. Chciał, żebym patrzył, jak czas mija, odmierzany ruchem wskazówek, wahadeł i odważników... Za czterdzieści lat będziesz prezydentem tego kraju, John, powiedział tamtego dnia. I dodał, że dzieci nie potrafią wyobrazić sobie tak długiego okresu, więc za każdym razem, gdy będę nakręcał zegar, muszę przypominać sobie jego słowa. Czterdzieści lat to dwa tysiące osiemdziesiąt tygodni...

Znowu przerwał i znowu zapatrzył się w okno, wracając do przeszłości. Wydawało się, że zupełnie zapomniał o obecności Gini.

- Jeżeli odmierzamy czas takimi jednostkami, czterdzieści lat to strasznie długo - odezwała się, obserwując go uważnie. - Dwa tysiące osiemdziesiąt tygodni...

Spojrzał na nią z uśmiechem.

- Teraz jesteśmy w dwa tysiące siedemdziesiątym dziewiątym - powiedział. - W przyszłym tygodniu przypadają moje czterdzieste ósme urodziny... Nie wyrobiłem się z planem, a ojciec nie omieszkiał mi o tym przypomnieć...

Jego głos brzmiał teraz gorzko i drwiąco. Gini nie bardzo wiedziała, jak odpowiedzieć. Nie chciała niszczyć dziwnego, sprzyjającego zwierzeniom nastroju, lecz kiedy milczenie się przedłużało, postanowiła zaryzykować.

- Ale zamierzasz nadrobić spóźnienie, prawda? - zagadnęła cicho. - W każdym razie tak wszyscy uważają...

- Może... Wiem, że mógłbym je nadrobić, a ojcu bardzo na tym zależy... Czy zdziwiłoby cię, gdybym powiedział, że już zrezygnowałem z wszystkich tych planów i

ambicji? Mało brakowało, a zrobiłbym to. Cztery lata temu, podczas choroby mojego syna, podjąłem decyzję. Dlatego zrezygnowałem z miejsca w Senacie. Oczywiście, istniały i inne przyczyny, między innymi stan mojego małżeństwa, ale nie one były najważniejsze. Tej nocy, kiedy mój syn umierał, kiedy nastąpił kryzys, sam czuwałem przy jego łóżku w szpitalu. - Uśmiechnął się ze znużeniem. - Modliłem się, chociaż zostało we mnie bardzo niewiele wiary... Przyglądałem się sobie, swojemu życiu i w końcu, koło trzeciej nad ranem, zawarłem układ z Bogiem... Na pewno powiesz, że w takich okolicznościach ludzie często dobijają z Nim targu... Nieważne, wtedy wydawało mi się, że robię to, co należy. Zrozumiałem, że w moim życiu było mnóstwo rzeczy i uczynków, przez które mogłem czuć do siebie pogardę, i bardzo niewiele takich, które by mi się podobały. Więc zawarłem z Nim układ. Pozwól mojemu synowi wyzdrowieć, a zostawię to wszystko, powiedziałem. Wyrzeknę się władzy, chwały, hipokryzji i nieuczciwości... - Przerwał na chwilę. - Bóg poszedł mi na rękę, dotrzymał umowy. Mój syn wrócił do zdrowia. Kilka dni później zrezygnowałem z miejsca w Senacie. - Spojrzał na nią. - Tego również nie znajdziesz w wycinkach, ale to prawda...

Mówił z wielkim napięciem i wysiłkiem, ostrym, surowym tonem. Gini poczuła litość.

- Jeżeli rzeczywiście złożyłeś tę obietnicę, to chyba nadal uważasz ją za wiążącą... - przemówiła cicho. - Przecież jesteś katolikiem...

- Teraz widzę to inaczej - odparł krótko. - Nie mogę pozwolić, aby moim życiem rządziły przesady, a tym jest dziś dla mnie moja religia. Przesądem. Mówiłem ci, że straciłem wiarę. Muszę myśleć o ojcu, który poświęcił pół życia, aby dać mi szansę na realizację jego i moich ambicji... Jest już starym człowiekiem, zostało mu niewiele czasu. Chciałbym dać mu ostatni podarunek... - Przez jego twarz przemknął uśmiech. - Poza tym nie jestem pozbawiony pewnych zdolności i umiejętności. Pod pewnymi względami brakuje mi dawnego życia. Tęsknię za polityką, za świadomością, że mam przed sobą jeden jasno wytyczony cel. W końcu żyję z tym celem od dziecka, prawda?

- Więc wrócisz do polityki? Nie porzuciłeś nadziei na prezydenturę?

- Nie. Ani ja, ani tym bardziej mój ojciec.



- Masz własny plan? Uśmiechnął się.

- Jasne. Realistyczny i elastyczny, częściowo uzależniony od stanu zdrowia Lise, ale także od obecnego prezydenta i jego sukcesów bądź porażek...

Gwałtownie wstał z krzesła, zdradzając niepokój, którego nie dostrzegła w nim wcześniej, i zaczął chodzić po pokoju. Obserwowała go w milczeniu. Wreszcie przystanął i spojrzał na nią.

- Staralem się - powiedział. - Bóg mi świadkiem, że starałem się zmienić moje życie, ale plan został przygotowany, zanim przyszedłem na świat. Ach, gdyby nie ten nieszczęsny status mojej rodziny... Nie mogłem zostać tylko senatorem, to by było za mało. Mój dziadek był senatorem, ojciec także. Musiałem osiągnąć coś więcej. Bez tego celu życie wydaje mi się puste, pozbawione sensu. Potrafisz to zrozumieć? Od czterech lat zmagam się z tą bezcelowością, ale mam już dosyć. Co może być dla mnie pociechą, oczywiście poza moimi synami? Gdy znika ambicja, pojawia się pustka...

Próbowała coś wtrącić, ale jej przerwał.

- Wiem, co mi powiesz. Sława? Bez władzy sława nie ma znaczenia. Pieniądże? Od urodzenia mam więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek byłbym w stanie wydać. Straciłem wiarę, więc co mi zostało? I nie wspominaj o moim małżeństwie. Trudniej cię oszukać niż Mary czy Sama i jestem pewny, że zauważyłaś, co się dzieje. Moje małżeństwo jest martwe, przestało istnieć w niecały rok po ślubie...

Cisza, która zapadła po tych słowach, wydawała się wibrować tym, czego nie mógł wypowiedzieć. Jego oczy spoczęły na twarzy Gini.

- Wcześniej mówiłeś coś innego... - rzekła cicho.

- Wiem. Jak na pewno zwróciłaś uwagę, byłem bardzo ostrożny. Okłamałem cię tylko jeden raz, kiedy powiedziałem, że kocham moją żonę. Nie kocham Lise i nigdy jej nie kochałem. Jeśli mam być absolutnie szczery, to nienawidzę jej...

Znowu umilkł. Gini spojrzała na niego niepewnie. Czowała, że prawdziwy Hawthorne znajduje się bardzo blisko, być może na odległość jednego pytania. Pochyliła głowę i odsunęła mankiet bluzki, aby odsłonić tarczę zegarka. Dziewiąta trzydzieści. Pascal spóźniał się już półtorej godziny. Bała się, że stało mu się coś złego, ale pośpiesznie odepchnęła ten lęk. Przeniosła wzrok na Hawthorne'a i wyczytała w jego twarzy napięcie i cierpienie.

- Chcesz, żebym już poszedł? - zapytał. - Może powinienem...

- Chciałeś mi coś powiedzieć... - odezwała się z wahaniem. - Czy dotyczy to twojego małżeństwa i Lise?

- Pośrednio... - Potarł dłonią czoło. - Nie powinienem mówić w ten sposób o Lise, to niewłaściwe... - Spojrzał na nią. - Nie chciałem poruszać tego tematu w obecności twojego ojca i Mary, ale plotki, które słyszałaś, związane są z moją niewiernością, tak?

- Tak.

Wydawał się zadowolony z tej krótkiej, jednoznacznej odpowiedzi. Uśmiechnął się lekko.

- W takim razie właśnie o tym chciałbym z tobą porozmawiać, o innych kobietach w moim życiu. Pomyślałem, że mogę powiedzieć ci prawdę...

- Dlaczego właśnie mnie?

- Dlaczego tobie? Cóż, częściowo dlatego, że chociaż gorąco zaprzeczasz, to jednak polujesz na mnie, więc właściwie czemu nie miałbym ci tego ułatwić... Poza tym, lubię cię.

- Naprawdę?

- Tak. - Odsunął się od okna. - Poczulem do ciebie sympatię już za pierwszym razem, kiedy poznałem cię u Mary... Miałaś trzynaście lat i przyjaciółkę, która bardzo chciała ze mną flirtować, ale nie wiedziała, jak się do tego zabrać, pamiętasz? Ta sympatia przetrwała i odezwała się później. Nie da się wytłumaczyć, dlaczego kogoś lubimy... A może nie lubię cię i nie mam do ciebie zaufania, ale dzięki zbiegowi okoliczności znalazłaś się we właściwym miejscu i czasie, kto wie...

Podszedł do stolika, na którym stała butelka szkockiej, szklanki i kieliszki. Wziął butelkę do ręki i odkręcił ją.

- Pozwolisz? - zapytał z uśmiechem. - Przyłączysz się do mnie?

Nagle uśmiech zniknął. Hawthorne znieruchomiał. Gini uświadomiła sobie, że on nasłuchuje. Potoczyła wzrokiem po cichym pokoju, lecz wreszcie i ona usłyszała wyraźny dźwięk, odgłosy kroków na chodniku za oknem. Hawthorne popatrzył na nią bacznie.

- Czy to mieszkanie jest bezpieczne? - zapytał.

- Bezpieczne?

- Czy jest tu podsłuch? Zawahała się.

- Nie jestem pewna, ale to możliwe... Westchnął, powoli wypuszczając powietrze z płuc.

- Nic mnie to nie obchodzi. - Uśmiechnął się wyzywająco. - Naprawdę, nie mnie ta już nie obchodzi... Proszę bardzo.

Podał Gini szklaneczkę whisky. Jego dłoń dotknęła na moment jej ręki, ale chyba w ogóle tego nie zauważył. Usiadł naprzeciwko i zmierzył Gini długim, badawczym spojrzeniem.

- Pamiętasz, co powiedziałem na bankiecie w Savoyu? O prywatnym życiu ludzi aktywnych w życiu publicznym?

- Pamiętam. Powiedziałaś, że jeżeli tacy ludzie nie mają nic do ukrycia, nie mają się czego obawiać...

- Właśnie. Zgodnie z tą zasadą, gdyby to, co wcześniej powiedziałem o swoim małżeństwie było prawdą, nie musiałbym obawiać się McMullena, prawda? Mógłby rozsiewać plotki, ale co z tego? Prawdopodobnie jakoś bym sobie z tym poradził, bo ani on, ani ty, ani nikt inny nie mógłby dowieść mi winy. - Popatrzył na nią chłodno. - Niestety, jak na pewno już zdałaś sobie sprawę, nie jest to takie proste. W moim życiu były inne kobiety, zdradzałem Lise. W końcu dowiedziałyby się o ich istnieniu, to tylko kwestia czasu. Zaoszczędzę ci wysiłku i sam o nich opowiem... - Usiadł wygodniej, odchylił się do tyłu w krześle. - Jesteś młoda i może tego nie zrozumiesz, ale powiem ci. Oto, jak to się zaczęło...

## XXXI

Była szósta trzydzieści wieczorem, kiedy Pascal odjechał spod domu Mary. Obejrzał się tylko raz. Zobaczył Gini i Mary stojące na progu i zrozumiał, że jeżeli teraz się zawaha, zmieni zdanie i zawróci.

Gini oświadczyła jasno i gniewnie, że nie życzy sobie jego obecności, więc przyspieszył, żeby nie mieć już czasu na wahanie. Gnał przez ciemne mokre ulice i

skwery Kensington, nie zważając na kierunek. W końcu uświadomił sobie, że jedzie zdecydowanie za szybko, skręcił w boczną uliczkę i zahamował.

Po Gini miał przyjechać dopiero za półtorej godziny i musiał jakoś wypełnić ten czas. Ruszył przed siebie w górę Church Street, nie zwracając uwagi na innych przechodniów i oświetlone wystawy sklepów. Zatrzymał się dopiero przed winiarnią, w której poza alkoholowymi drinkami podawano także kawę. W barze było prawie pusto. Usiadł pod ścianą i zamówił potrójne espresso. Na krześle obok ktoś zostawił popołudniowe wydanie gazety „Standard”. Z roztargnieniem przerzucił kilka stron, odłożył gazetę i zapatrzył się w przestrzeń.

Myślał o Gini i kłótni, którą rozpętali przed wyjazdem do Mary. Pamięć usłużnie podsunęła mu niektóre jej fragmenty - półprawdy i niezgrabne uniki, tłumioną niechęć i żal. W pewnym momencie oboje poczuli lęk i zdali sobie sprawę, że coś, co jest im bardzo drogie, znalazło się w niebezpieczeństwie. Ta utrata wzajemnego zaufania i pewności pojawiła się nagle. W jednej chwili był przekonany, że następne pytanie czy zdanie przerzuci most nad przepaścią, która ni stąd, ni zowąd pojawiła się między nimi, a już w następnej zrozumiał, że bardzo się myli. Kolejne pytanie tylko pogorszyło sytuację i pogłębiło przepaść. Ogarnął go strach.

Znał to miejsce, ten punkt w samym środku nicości, ponieważ właśnie w nim spędził większą część swego małżeńskiego życia. Wiedział, że Gini także je poznała - nie mówiła o nim, ale jej poprzednie, przelotne związki z mężczyznami mówiły same za siebie. Zrozumiał, że w dniach po wyjeździe do Wenecji stracili czujność, pogrążając się w przyjemnym zadowoleniu. Pozwolili sobie wejść do nowej, cudownej krainy wzajemnego zrozumienia i zaufania, nieskażonej kłótniami i sprzeczkami, a teraz z przerażeniem spostrzegli, jak łatwo mogą zostać wygnani z tego raj. Nagle oboje znaleźli się z powrotem w zwyczajnym świecie, gdzie kochankowie nie zgadzają się ze sobą i gdzie nieporozumienia niepokojąco szybko rodzą wrogość, niechęć i nieufność.

Nie pozwolę, żeby nas to dotknęło, pomyślał. Spędził całą godzinę w barze, planując, co powie i zrobi, kiedy zobaczy Gini, i jak uratuje ich oboje. Kłótnia nie jest niczym nadzwyczajnym, powiedział sobie. Wszyscy kochankowie się kłócą, walczą ze sobą i godzą się. Kłótnie po prostu się zdarzają, nie trzeba się ich obawiać, oczywiście

pod warunkiem, że nie podważają fundamentów związku. Ta myśl dodała mu odwagi. Zamówił następną dużą kawę, zapalił papierosa i patrzył, jak wskazówki wiszącego na ścianie zegara powoli posuwają się w kierunku siódmej czterdzieści pięć. Nagle nie mógł się już doczekać, kiedy zobaczy Gini, porozmawia z nią i wyjaśni wszystko, co wymagało wyjaśnienia.

Wydawało mu się, że wskazówki zegara poruszają się nienaturalnie powoli. Zniecierpliwiony, znowu sięgnął po leżącą obok gazetę i wtedy dostrzegł niewielki tytuł na ostatniej stronie. WYPADEK POD OKSFORDEM. Spojrzał uważniej, znieruchomiał, przeczytał krótką notatkę i zaklął. Rzucił banknot na stół, chwycił gazetę i wybiegł na ulicę. Znowu lało jak z cebra. Dopadł do motocykla, wskoczył na siodelko i ruszył na południe.

Skreślił w High Street. Dom Mary znajdował się kilka przecznic w bok, na zachód. Na ulicach wciąż panował duży ruch, lecz pora korków już minęła. Pascal jechał szybko, wymijając samochody. Musiał jak najszybciej porozmawiać z Gini. Prawie zupełnie zapomniał o jej ojcu i jego obecności w domu Mary. Teraz było to nieważne, liczyło się tylko to, aby przekazać Gini wiadomość.

Wzdłuż całej trasy trafiał na czerwone światła. Znowu zaklął pod nosem. Przed sobą miał kolejne światła, w tej chwili jeszcze zielone. Zerknął w boczne lusterko i zobaczył dużego czarnego forda, jadącego jakieś dwadzieścia metrów za nim. Przyspieszył, zrównując się z dużą ciężarówką. Jechał teraz pasmem szybkiego ruchu. Ford wciąż trzymał się z tyłu. Światło było nadal zielone, lecz sekundę później sytuacja gwałtownie się zmieniła - ford przyspieszył i był teraz tuż za Pascalem, zamrugało pomarańczowo światło. Miał ułamek sekundy na podjęcie decyzji. Był już na skrzyżowaniu i światło ostrzegało wyraźną czerwienią. Zahamować czy jechać dalej?

Nie wiadomo, dlaczego nagle pomyślał o pewnym bulwarze w Paryżu. Czarny ford był zbyt blisko, aby Pascal mógł zahamować. Przyspieszył, pewny, że uda mu się w ostatniej chwili przeskoczyć na drugą stronę skrzyżowania. Ani ciężarówka, ani ford nie zwalniały. Nadal mu towarzyszyły, obstawiały go z boku i z tyłu. Poczul uderzenie powietrza, kiedy ciężarówka zbliżyła się do niego. Kierowca nie włączył światła i nie przyhamował. Bez ostrzeżenia zajechał Pascalowi drogę.

Gdy motocykl skręcił w lewo i Pascal zaczął tracić kontrolę nad kierownicą, ford włączył światła mijania, zupełnie go oślepiając. W ostrym blasku Pascal widział, jak motocykl niebezpiecznie przechyliła się na bok i jak czarny, błyszczący wilgocią asfalt podnosi się, śpiesząc mu na spotkanie. Usłyszał zgrzyt metalu, pisk opon. Jego kręgosłup aż zawibrował od kilku uderzeń o jezdnię. Poczował, jak leci, trąc plecami i bokiem o asfalt, pięć metrów, może dziesięć. Ruch i ból zyskały wymiar hipnotycznej powolności. Nie stracił przytomności. Jakby spoza czasu i miejsca wypadku z absolutną jasnością oglądał przebieg tego podwójnego manewru. Ciężarówka, uderzywszy w motocykl, teraz oddalała się szybko, czarny ford zaś pędził prosto na niego. Pascal leżał na środku jezdni, więc kierowca nie musiał się śpieszyć. Miał dość czasu i przestrzeni, aby nie popełnić błędu.

- Nie wiem, jaką historię o moim osobistym życiu opowiedział McMullen twojemu redaktorowi naczelnemu - powiedział Hawthorne. - Jestem pewien tylko jednego, że skomponował tę opowieść z pomocą Lise, która oczywiście go okłamała. Nawet gdyby nie była chora i niezdolna odróżnić prawdy od fałszu, i tak by go okłamała. Lise nigdy nie zaakceptowała prawdy o naszym małżeństwie, zawsze uważała się za całkowicie niewinną i skrzywdzoną... - Wzruszył ramionami. - Nie zamierzam wchodzić teraz w to wszystko. Przyznaję, że wina jest także po mojej stronie.

Gini widziała, jak wędruje wzrokiem po pokoju. Przyjrzał się półkom z książkami, przedmiotom na parapecie nad kominkiem. Było tam kilka pocztówek, ceramiczny wazonik, a z boku obróżka Napoleona, którą postanowiła zatrzymać, z błękitnej skóry, miała medalion z imieniem i mały dzwoneczek. Pomyślała, że Hawthorne nie widzi tych rzeczy, chociaż patrzy na nie. Był całkowicie skupiony na faktach ze swojego życia.

Nie czuła się zbyt pewnie. W tej historii kryło się zło, a jak powiedział Pascal, zło nie znajduje odbicia w twarzy człowieka, jego gestach czy głosie. Postanowiła być ostrożna, lecz nie wyczuwała zła w Hawthornie; rozpacz - tak, ogromne zmęczenie - tak, zgorzknienie - prawdopodobnie. Było w nim także pragnienie dokładności i uczciwości, które w dziwny sposób kłóciło się z jego rezerwą. Przez jej głowę

przemknęła myśl, że Mary miała rację. Hawthorne nie należał do ludzi, którzy chętnie i otwarcie mówią o sobie.

Kiedy odwrócił wzrok, znowu zerknęła na zegarek. Martwiła się o Pascala, bardzo niepokoiło ją to niewytłumaczalne spóźnienie, ale nie chciała okazać lęku w obecności Hawthorne'a. Taka okazja mogła się nie powtórzyć, a jeżeli miała być szczerą wobec siebie, musiała przyznać, że chodzi tu o coś więcej niż o dziennikarską szansę. Zdała sobie sprawę, że niełatwo jest zachować bezstronność i pamiętać, że słucha Hawthorne'a właśnie jako dziennikarka, zwłaszcza że mówił do niej jak do kogoś bliskiego. Czyżby był to sprytny manewr z jego strony? Nie mogła tego wykluczyć, ale wyraz twarzy i oczu świadczył na jego korzyść. Znowu na nią spojrzął. Wzruszył ramionami.

- Nie idzie mi zbyt dobrze - powiedział. - Nigdy z nikim o tym nie rozmawiałem. Nieważne... Wydaje mi się, że problemy zaczęły się wraz ze ślubem. Pobraliśmy się głównie ze względów pragmatycznych, dynastycznych, jeśli wolisz. Senator musi mieć żonę. Mój ojciec sprzyjał temu małżeństwu, Lise bardzo na nim zależało, a ja dałem się ponieść fali... Nie było w moim życiu nikogo, kogo darzyłbym miłością. Lise wydawała się taka miła i młoda. Myślałem, że może z czasem... Myliłem się. Małżeństwo okazało się katastrofą. W ciągu roku odkryliśmy, że nie pasujemy do siebie pod żadnym względem, zwłaszcza seksualnym. Nie chcę rozwodzić się nad szczegółami. Sytuacja stała się paskudna i bolesna dla nas obojga. Sześć miesięcy po ślubie spaliśmy osobno. Lise spodziewała się, że będę żył w celibacie, poza bardzo nielicznymi okazjami, kiedy uda nam się przemóc wzajemną niechęć i pójść do łóżka... - Zawahał się, znowu wzruszył ramionami. - Nic z tego nie wyszło. Nie różnię się od innych mężczyzn, od czasu do czasu potrzebuję seksu.

Nie spuszczał wzroku z twarzy Gini. Gdy nie zareagowała, zaczął mówić dalej, wciąż tym samym spokojnym tonem.

- Półtora roku po ślubie zrobiłem to, o co Lise oskarżała mnie od kilku miesięcy. Pojechałem na jakąś konferencję i spotkałem tam kobietę, która nie ukrywała, czego chce, więc zaprosiłem ją do łóżka. Była mniej więcej w twoim wieku, jasnowłosa, ładna, miła, otwarta i pełna inwencji. Spędziliśmy trzy noce w moim pokoju, potem rozstaliśmy się i nigdy więcej się do mnie nie odezwała. Nadal jestem



jej głęboko wdzięczny. Przypomniała mi, czym może być seks dla dwojga dorosłych ludzi. Głęboką przyjemnością, która nie ma nic wspólnego z nieustającym procesem targowania się i walką o władzę... - Rzucił Gini ostre spojrzenie. - Nie aprobujesz tego, prawda?

- To nie takie proste. Niewierność jest zjawiskiem, które często się zdarza. Nie do mnie należy wydawanie sądów.

- Sądzę, że jednak to oceniasz, ale nieważne... To bez znaczenia...

Odbiegł gdzieś spojrzeniem i gdy znowu zaczął mówić, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jego spowiedź przeznaczona jest nie tylko dla jej uszu, ale także dla tych słuchających ścian i, być może, dla niego samego.

- Śmieszne, nie sądzisz? - ciągnął. - W przypadku człowieka o mojej pozycji istnieje tylko jedno pytanie, które się liczy. Zdradzał żonę czy nie? A jeżeli tak, to kiedy i z kim... Nikt się nie zastanawia, dlaczego... - przerwał. - Powiedz mi, co pomyślałaś o Lise, kiedy ją poznałaś?

Gini się zawahała.

- Powiedz prawdę.

- Pomyślałam, że boi się ciebie, że jest zagubiona i nie do końca wie, co się dookoła niej dzieje. Raz po raz zaprzeczała sama sobie. Starła się podkreślać, jaki jesteś dla niej ważny i ciągle cię cytowała...

- Och, nie wątpię... - Uśmiechnął się. - Wydało ci się to przekonujące?

- Nie przekonujące, lecz przerysowane. Zbyt słodkie. To określenie najwyraźniej mu się spodobało.

- Za słodkie? Słusznie. Lise czasami przesadza z manifestowaniem przywiązania do mnie, podobnie jak z roztaczaniem uroku osobistego. Zawsze tak się zachowywała, także przed chorobą. Jest faktem, że oboje nie darzymy się sympatią. Lise mnie nie znosi, ale jest doskonałą aktorką. Między innymi dlatego ojciec radził mi, żebym się z nią ożenił. Uważał, że umiejętności aktorskie są niezbędnym atrybutem małżonki przyszłego prezydenta i do tej pory nie zmienił zdania... - Westchnął i wypił whisky do dna. - Ojciec jest cynikiem i teraz postrzega Lise jako ciężar, którego należy się pozbyć. Sugerował już, żebym wystąpił o unieważnienie małżeństwa i za jakiś czas poszukał sobie nowej żony.

- To możliwe?

- Jak najbardziej - odparł niedbale, chyba trochę zdziwiony jej pytaniem. -

Jeżeli ktoś ma kontakty na odpowiednio wysokim szczeblu kościelnej hierarchii, unieważnienie małżeństwa nie przedstawia zbyt wielkich trudności. Bez współpracy Lise byłoby to oczywiście bardziej skomplikowane, a dopóki choruje, w ogóle nie jest możliwe, ale w przyszłości, dlaczego nie... Jeżeli Lise zrozumiałaby, że naprawdę ma własną osobowość i że fakt, iż jest sławna, nie zależy od jej statusu jako mojej żony...

- Myślisz, że kiedykolwiek przyjmie to do wiadomości?

- Nie, nie sędzę... - Udzielił tej odpowiedzi spokojnie, jakby od niechcenia.

Znowu patrzył na nią uważnie. - Oczywiście gdybym odzyskał wolność, musiałbym trochę wyedukować ojca, wytłumaczyć mu, że teraz szukam osoby o innych cechach.

- To znaczy?

- Opanowanej, spokojnej, dyskretnej... Otwartej, umiejącej kochać, inteligentnej. Tak, przede wszystkim inteligentnej, to ogromnie ważne.

Gini odwróciła wzrok. Intensywność jego spojrzenia budziła w niej dziwny niepokój.

- Lise nie sprawia wrażenia głupiej... - zaczęła.

- Och, dajże spokój! - Podniósł się, podszedł do stołu i ponownie napełnił szklaneczkę. - Daj spokój, uważam cię za osobę naprawdę spostrzegawczą... Lise jest próżną, zarozumiałą, skoncentrowaną na sobie kobietą. Jest przeraźliwie głupia i żyje na przemian w stanie zachwyty nad sobą i niezadowolenia z siebie. Ma potrzebę tkwić w centrum uwagi. To największa egoistka, jaką kiedykolwiek spotkałem. Jeżeli przytulanie chorych dzieci przed obiektywem może skupić na niej uwagę innych, to świetnie. Jeżeli w tym samym celu musi podciąć sobie żyły, też dobrze, zrobi i to.

Dobry Boże, jestem jej mężem od dziesięciu lat, to matka moich dzieci. Myślisz, że nie znam własnej żony?

Zapadła cisza Gini była wstrząśnięta namiętną niechęcią, z jaką mówił. Hawthorne natychmiast zdał sobie z tego sprawę, westchnął i wykonał bezradny gest.

- Wiem, robię dokładnie to, czego miałem nie robić. Wierz mi, nie chciałem źle o niej mówić, ale czasami, raz na jakiś czas, chciałbym, żeby ktoś zrozumiał, jakie naprawdę jest to moje pozornie idealne małżeństwo... Mam dwóch synów z kobietą,

której ani nie kocham, ani nie szanuję. Oczywiście, ona ponosi konsekwencje tej sytuacji, ale ja także. W przeciwieństwie do Lise, nie szukam ucieczki w kłamstwach czy pigułkach. Czasami sięgam po alkohol, żeby przetrwać noc, albo po kobiety. Alkohol jest zbyt niebezpieczny, grozi nałogiem, jak widzieliśmy dziś na przykładzie twojego ojca, więc częściej wybieram to, co łatwiej dostępne i mniej groźne - kobiety. Uprawiam seks z wieloma kobietami, tak, to prawda.

Gini znowu poczuła niepokój, którym wibrowało powietrze w salonie.

- Czy od kobiet nie można się uzależnić? - zapytała. Hawthorne obserwował ją uważnie.

- Czy to McMullen sugerował ci coś takiego? - odpowiedział pytaniem na pytanie. - Że potrzebuję kobiet tak jak narkotyku? - Jego twarz przybrała twardy wyraz. - Jeżeli tak mówił, nie jestem zaskoczony... Lise wiele razy występowała z takim oskarżeniem, oczywiście w różnych formach... Moim zdaniem, to nieprawda. Powiedziałem ci, że lubię kobiety i seks, i nie jestem wierny mojej żonie. Pierwszy raz zdradziłem ją po osiemnastu miesiącach małżeństwa i od tamtego czasu często dopuszczałem się cudzołóstwa. Jeżeli chcesz znać szczegóły, to w ciągu ośmiu i pół roku miałem cztery dłuższe związki, wszystkie z miłymi, dyskretnymi mężatkami, kobietami, które szczerze lubiłem i szanowałem. Każdy z nich zaczynał się za zgodą obu stron i kończył bez łez i wyrzutów... - Przerwał, jakby zastanawiając się, czy ujawnić resztę. - Były też inne epizody - dodał gniewnie. - Takie na jedną noc... Sypiałem z kobietami także dlatego, że przebywałem poza domem, zmęczony, samotny i zrozpaczony, a one były blisko. Podobnie jak milion innych mężczyzn, ulegałem złudzeniu, że kobieta może pomóc rozwiązać poczucie samotności... Jestem politykiem, nie księdzem. Czasami sytuacja jest bardzo prosta - spotykam kobietę, z którą chcę się pieprzyć...

Znowu zamilkł. Tym razem Gini nie miała wątpliwości, że ta cisza jest niebezpieczna. Zrozumiała, że przez całą rozmowę Hawthorne zmieniał charakter ich wzajemnych stosunków, coraz głębiej wciągając ją w tę sferę swego życia, której granic nie powinna przekraczać, a tym jednym ostatnim słowem jeszcze raz odmienił atmosferę ich spotkania. Rozmowa straciła charakter zwierzeń czy spowiedzi, a tym bardziej wywiadu - teraz byli po prostu mężczyzną i kobietą, którzy późnym

wieczorem siedzą sami w pokoju. Niewykluczone, że aż do tej chwili Hawthorne starał się postępować ostrożnie, panować nad emocjami i utrzymywać dystans, lecz w chwili gdy wypowiedział to słowo, wszystko się zmieniło. Wiszące między nimi milczenie było teraz naładowane erotycznym napięciem.

Gini nie była pewna, czy Hawthorne zaplanował to wszystko. Wierzyła, że nie, wiedziała jednak, że on odbiera panującą w pokoju atmosferę tak samo jak ona i od razu dostrzegła tę zmianę w jego twarzy. Odstawił szklanę i pochylił się do przodu.

- Zaskoczyło cię to? - odezwał się. - Wyglądasz na poruszoną...

- Nie, nie jestem zaskoczona... Po prostu ostrożni politycy niezbyt często używają tego słowa, może o to chodzi...

- Nie rozmawiam z tobą jako polityk i dlatego nie jestem ostrożny. Myślałem, że to rozumiesz... - Spojrzał jej prosto w oczy. - Ostatecznie jest to powszechnie znane słowo. Jednoznaczne i bardzo konkretne.

- To prawda.

- Ale uważasz je za niesmaczne... - Uśmiechnął się lekko. - Nie zaprzeczaj, widzę to, o, tutaj... - Wychylił się jeszcze dalej i bardzo delikatnie dotknął jej czoła, między brwiami, po czym natychmiast cofnął rękę. - Tutaj... Taka malutka zmarszczka. I w oczach, tak, w twoich oczach też czytam dezaprobatę... - Westchnął. - Dlaczego? Czy to takie okropne? Po prostu chcesz się z kimś pieprzyć? Przynajmniej uczciwie się do tego przyznaję, prawda?

- To nie to... - Gini pośpiesznie wstała.

- Wolałabyś, żebym powiedział, że szukałem kogoś, kogo mógłbym pokochać?

- Spojrzał na nią, wciąż z tym samym półuśmiechem i także wstał.

Znaleźli się bardzo blisko siebie. Jego twarz spoważniała.

- Czy właśnie coś takiego wolałabyś usłyszeć? Większość kobiet łatwiej zniosłaby takie wyznanie...

- Nie, dlaczego? To bez znaczenia...

Odwróciła się, lecz Hawthorne lekko dotknął jej ramienia i przyciągnął ją do siebie.

- Mylisz się - powiedział. - Mylisz się... To ma ogromne znaczenie, przecież wiesz...

Gini zrobiła mały, szybki gest, którym starała się zaprzeczyć jego słowom. Miała uczucie, że wydarzenia nabierają tempa i przemykają przed jej oczami, niczym światła samochodów na autostradzie.

- Jest bardzo późno - zaczęła gwałtownie. - Lepiej będzie, jeżeli już pójdziesz i...

Przerwała. Hawthorne ujął jej dłoń i podniósł ją do ust. Dokładnie w chwili, gdy poczuła jego oddech na swojej skórze, rozdzwonił się stojący na biurku telefon. Szybko wyrwała rękę i odwróciła się.

- To na pewno Pascal Lamartine, spóźniony dwie i pół godziny - zauważył spokojnie Hawthorne. - Chyba powinnaś odebrać...

Podeszła do biurka i podniosła słuchawkę. Po drugiej stronie panowała cisza. Odwróciła się twarzą do Hawthorne'a, nie wypuszczając słuchawki z ręki.

- Pascal? - odezwała się. - To ty?

Najpierw usłyszała trzaski, potem głos mężczyzny, lecz nie Pascala. Znała ten głos.

- Gini... - wyszeptał. - Gini, jesteś tam?

Wstrzymała oddech. Krew odpłynęła jej z twarzy.

Nagle uświadomiła sobie, że się boi, bardzo boi się obu tych mężczyzn. I tego, który przed chwilą pocałował ją w rękę, i tamtego, który szeptał jej do ucha swoje sekretne pragnienia. A może obaj mieli te same pragnienia... Zamarła bez ruchu, wpatrzona w Hawthorne'a. Głos nadal szeptał. Hawthorne zmarszczył brwi. Zrobił krok do przodu, podszedł jeszcze bliżej, nie spuszczając wzroku z jej twarzy. Kiedy zbliżył się na odległość wyciągniętego ramienia, Gini zrozumiała, że on także słyszy szept. Zobaczyła, jak jego oczy zmieniają wyraz pod wpływem obscenicznych słów. Nie okazał zaskoczenia, lecz jego usta ściągnął gniew. Chwilę słuchał, potem wyciągnął rękę.

- Daj mi słuchawkę - powiedział.

Podawała mu. Słuchał jeszcze parę sekund, zanim przemówił zinnym, opanowanym głosem.

- Czy ta rozmowa jest kontrolowana? Wiesz, do kogo dzwonisz?

Zapadła cisza. Szept urwał się nagle.

- Jeżeli zadzwonisz jeszcze raz, gorzko tego pożałujesz, rozumiesz? - Jego twarz była pozbawiona cienia uczucia.

Z trzaskiem odłożył słuchawkę.

Stał teraz tuż przed Gini, która opierała się o biurko. Patrzył w jej twarz, a kiedy spojrzała mu w oczy, zobaczyła w nich lodowaty gniew.

- Czy coś takiego zdarzyło się już wcześniej?

- Tak.

- Kiedy? Odkąd masz takie telefony?

- Zaczęły się w tym tygodniu, chyba we wtorek... Nie, w poniedziałek, kiedy wróciłam z Wenecji...

Przerwała. Wypowiedziała to słowo, zanim zdążyła pomyśleć, pochłonięta bliskością Hawthorne'a. Natychmiast spostrzegła, że zrozumiał i oblała się krwawym rumieńcem. Hawthorne westchnął lekko. Poczula, jak całe jego ciało się rozluźnia.

- Dobrze wiem, że tam byłaś - powiedział cicho, ni to z rozbawieniem, ni ze smutkiem. - I wiem, dlaczego. To nieważne. Zaufaj mi choć trochę. Jeszcze kilka dni... Gdybyś mogła mi zaufać... Ja... - przerwał. - Nie wierz w te kłamstwa. Dobry Boże... - Podniósł rękę i dotknął jej włosów. - Masz takie niezwykle włosy, takie piękne... Kiedy na ciebie patrzę...

- Przestań... - Wysunęła obie ręce przed siebie, usiłując go odepchnąć, lecz on naciskał na jej otwarte dłonie ciężarem całego ciała.

Położył dłoń na jej karku i podniósł głowę.

- Naprawdę chcesz, żebym przestał? - zapytał. - Jesteś tego pewna? Spójrz na mnie... Nie, nie odwracaj głowy... Tak, właśnie tak...

Znieruchomiała. Patrzyła w jego twarz. Oddychał teraz szybciej i nie ulegało wątpliwości, że jest podniecony. Przerazała ją to. Głęboko w jego oczach dostrzegła rozpacz, dotykał jej tak, jakby bardzo jej potrzebował. Zaczął mówić, przerwał, potem zaczął znowu, cichym głosem. Wziął ją za rękę.

- Musisz wiedzieć, co się ze mną dzieje, kiedy jesteś blisko... Tak było za pierwszym razem, gdy cię zobaczyłem i potem znowu, u Mary. O czym rozmawialiśmy? Nie mogę sobie przypomnieć. Wiedziałem, dlaczego tam byłaś, ale nawet to niczego nie zmieniło. Dookoła nas było mnóstwo ludzi, lecz cóż z tego? I

dzisiaj, kiedy twój ojciec próbował cię uderzyć... Jesteśmy podobni. Należymy do siebie. Wiem, że ty też to czujesz, widzę to w twoich oczach. Oto, co mi mówią...

Mocno chwycił jej rękę i przycisnął ją do swojej piersi. Poczowała bicie jego serca pod palcami. Wtedy zacieśnił uchwyt i pociągnął jej dłoń w dół. Jego penis był sztywny. Zadrżał, kiedy dotknęła go ręka Gini, kierowana jego dłonią.

- Popatrz na mnie...

Zaczął przyciskać ją do biurka. Gini próbowała oswobodzić rękę, odwróciła twarz.

- Przestań! - powiedziała. - Puść mnie! Przestań...

- Powtórz to, patrząc mi w oczy... Wiesz, że nie możesz...

Kiedy jednak zwróciła ku niemu twarz, schylił głowę i mocno pocałował ją w usta. Popchnął ją lekko do tyłu. Jęknął i zaczął pieścić jej piersi. Krzyknęła. Cofnął się odrobinę i wtedy zobaczyła wyraz pożądania i triumfu na jego twarzy. Wykręcił jej ramię do tyłu i przegiął ją nad biurkiem, napierając całym ciałem tak, że jego erekcja ocierała się o jej krocze. Jednym szarpnięciem rozerwał bluzkę. Zadrżała, czując jego dłoń na skórze, na swojej piersi.

- Nic nie mów... Przestań się opierać... Kochanie, przestań...

Chwycił rękę, którą usiłowała go odepchnąć. Uniósł ją i posadził na blacie biurka. Wsunął rękę pod spódnicę, wdarł się między jej uda i przycisnął ją do siebie. Złapał ją za włosy, odchylił głowę do tyłu. Krzyknęła znowu, lecz on przywarł ustami do jej warg i rozdzielił je językiem.

Był bardzo silny i poruszał się szybko. Nie wahał się ani chwili, jakby myślał, że ona może nie życzyć sobie tych pieszczot, nawet nie powstała mu w głowie. Gini wciąż próbowała uwolnić rękę, które teraz uwięzione były między ich ciałami. Boleśnie gniótł ustami jej wargi i ból był tym większy, im bardziej walczyła. Nagle rozluźniła wszystkie mięśnie i natychmiast poczuła jego reakcję.

- Tak... - szepnął. - Tak, kochanie, tak...

Zaczął gorączkowo całować jej szyję. Gini wreszcie oswobodziła rękę i czekała w napięciu. Kiedy podniesie głowę, pomyślała.

- Masz takie piękne usta... - odezwał się. - Takie śliczne piersi...



Jego głowa zsunęła się niżej, dłonie obejmowały ją teraz w talii, wyginając plecy do tyłu. Całował jej piersi, łagodnie i delikatnie, muskając sutek językiem i ssąc go wargami, najpierw prawy, potem lewy. Przez jego ciało przebiegł dreszcz. Gini wciąż czekała, aż się wyprostuje.

Jego dłonie powędrowały w kierunku paska spodni i wtedy, gdy stał w pół zgięty, pełen pożądania, wpatrzony w nią ze ślełą koncentracją, zacisnęła pięść, wykonała zamach i uderzyła go z całej siły. Cios wylądował w idealnym, bardzo wrażliwym miejscu, z boku szyi. Hawthorne wydał okrzyk bólu. Wypuścił ją i cofnął się.

Prawie natychmiast odzyskał równowagę. Stał wyprostowany, ciężko dysząc. Na jego twarzy pojawił się wyraz niezrozumienia i zagubienia, potem gniewu.

- Myślałem, że rozumiesz... - zaczął, robiąc krok w jej kierunku. - Gini...

- Och, zrozumiałam. Zrozumiałam aż za dobrze. Tłumaczyłeś mi to przez cały wieczór, teraz już wiem.

Zapadło milczenie. Twarz Hawthorne'a napięła się boleśnie.

- Najwyraźniej nie dość jasno - odparł.

- Wyjdź stąd, dobrze?

Usiłowała okryć się rozdartą bluzką. Ręce jej drżały i bardzo się bała, że on to zauważy.

- Boisz się...

Patrzył na nią uważnie. Odpowiedziała zimnym spojrzeniem i nagle dostrzegła w jego oczach wyraz rodzącego się zrozumienia.

- Ręce ci się trzęsą. Myślałem... - Znowu zrobił krok w jej stronę.

Podniósł rękę. Skuliła się w sobie i instynktownie uniosła ramię, próbując się bronić. Hawthorne zatrzymał się w pół kroku i opuścił dłoń.

- Zaczynam rozumieć - odezwał się. - Co ci o mnie powiedziano, na miłość boską?

- Nic poza tym, co sam powiedziałeś przed chwilą. - Gwałtownym gestem wskazała biurko. - Jeżeli nawet wcześniej miałam jakieś wątpliwości, teraz nie mam już żadnych. Dokładnie pokazałeś mi, jakim jesteś człowiekiem...

- Naprawdę? - Jego głos zabrzmiał obco, zimno. - Pieściłem cię, w każdym razie tak mi się wydawało...

- Pieściłeś mnie? Tak to się twoim zdaniem nazywa? - Odwróciła się twarzą do niego. - Niemożliwe, żebyś tak uważał... Próbowałam z tobą walczyć, do diabła...

- Cóż, w takich okolicznościach zawsze należy liczyć się z pewnym oporem... - Uśmiechnął się lekko. - Jak długo jeszcze byś się opierała? Jak myślisz?

- Wynoś się stąd... I nie kłam. Słyszałeś, jak prosiłam, żebyś przestał...

- Ale czy naprawdę o to ci chodziło?

- Tak! I dobrze wiesz, że tak właśnie było!

- W takim razie przepraszam. - Wzruszył ramionami i obrzucił ją baczny spojrzeniem. - Musiałem źle zinterpretować sygnały...

- Jakie sygnały? - zapytała ze złością. - Nigdy nie dawałam ci żadnych sygnałów!

- Jesteś tego pewna?

- Po tym, co o tobie usłyszałam? Uważasz, że zachęcam do zalotów takich facetów jak ty? Nigdy w życiu!

Oboje długo milczeli. Hawthorne poblądł. Widziała, że jej słowa podziały na niego jak uderzenie w twarz. Westchnął.

- Wszystko jedno, co ci powiedziano... - rzekł cichym, napiętym głosem. - W tej sytuacji... - Krótkim gestem wskazał ją i siebie. - W tej sytuacji prawie wszystko jest możliwe. Każde, choćby najbardziej ekstremalne rozwiązanie... Niestety, drogo zapłaciłem za tę wiedzę...

Odwrócił się i ruszył do drzwi. W połowie drogi zatrzymał się i spojrzał na nią.

- Wcześniej nie kłamałem - powiedział. - Nie skłamałem ani razu, odkąd znalazłem się w tym pokoju, co w tych okolicznościach jest nie lada osiągnięciem. Ty, ja, to wszystko... Nie kłamałem, mówiąc, że cię lubię. Niektórym rzeczom nadawałem określony podtekst, lecz ty najwyraźniej nie rozumiałaś... Nie spodziewam się, że uwierzysz mi teraz, w tej chwili, ale gdy się uspokoisz i będzie już po wszystkim, może przypomnisz sobie moje słowa... - Obrzucił ją długim, spokojnym spojrzeniem. - Rozmawialiśmy także o seksie. O miłości i seksie, dwóch sprawach, na których temat ludzie najczęściej okłamują innych, ale również siebie... Zastanów się nad tym...

Gini patrzyła na niego niepewnie. Gniew i strach zniknęły. Zawahała się i postąpiła krok w jego kierunku.

- Nie chciałam, żeby tak się stało - powiedziała, równie cicho jak on. - Nie powinienes sugerować, że cię zwodziłam. Kocham kogoś i nie mogłabym... Nie mogłabym zachęcać do zbliżenia kogoś innego. Nie teraz. Zrozum mnie...

Spojrzał na nią ze smutkiem, lecz po chwili uśmiechnął się lekko.

- Jesteś młoda - rzekł z nutą dziwnego żalu. - Gdy będziesz w moim wieku, uświadomisz sobie, że nawet miłość przed niczym nas nie chroni. Takie rzeczy zdarzają się, często jakby wbrew naszej woli. Poczucie obowiązku, zasady etyczne, przysięgi i nawet miłość, tak, nawet miłość - nic nie zapewnia skutecznej ochrony. Mówisz tak teraz, ale czy możesz być pewna, że to samo powiesz za sześć miesięcy? Za rok? Jutro? Albo teraz, gdybym pocałował cię jeszcze raz?

Zrobił krok w jej stronę. Gini stała nieruchomo.

- Nie bój się, nie dotknę cię. - Uniósł rękę i pozwolił jej bezwładnie opaść. - Jestem zupełnie nieszkodliwy, widzisz? - Odwrócił się i otworzył drzwi. - Pamiętaj, że nie kłamałem.

I zapytał siebie, czy ty mówiłaś prawdę...

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Gini dopadła do nich i oparła się o nie plecami. Drżała na całym ciele. Powoli wypuściła powietrze z płuc. Słuchała odgłosu jego kroków, kiedy wchodził po kamiennych schodkach i szedł chodnikiem do samochodu. Potem dobiegł ją warkot włączonego silnika. Hawthorne musiał otworzyć okno, ponieważ nagle usłyszała krótki fragment utworu Mozarta. Po chwili odjechał i na ulicy zapanowała cisza.

Podbiegła do biurka i chwyciła słuchawkę. Później, już z pewnej perspektywy, wielokrotnie zadawała sobie pytanie, czy następne wydarzenia ułożyłyby się inaczej, gdyby Pascal nie zjawił się w jej mieszkaniu mniej więcej sześć minut po wyjściu Hawthorne'a. Gdyby przyjechał choć trochę później, miałyby trochę czasu do namysłu, mogłaby zmienić bluzkę, umyć twarz, związać włosy, uprzątnąć szklanki po whisky i filiżanki po kawie... Może wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej...

Nie zdążyła jednak zrobić żadnej z tych rzeczy. Usiadła na podłodze przy biurku, oparła sobie telefon na kolanach i zaczęła wybierać numer Mary, raz po raz.

Była absolutnie pewna, że Pascal musi tam być, że wdał się w kłótnię z jej ojcem i właśnie dlatego tak długo nie daje znaku życia. Pomysł ten przyszedł jej do głowy w chwili, gdy Hawthorne odjeżdżał, więc dzwoniła uparcie, chociaż numer był zajęty.

Nasłuchiwała także, czy z ulicy nie dobiegnie ją odgłos motocykla, ale pod jej oknami przejechało tylko kilka samochodów. Przed domem zatrzymała się taksówka, ale to ją nie zainteresowało. Rozdygotanymi palcami znowu wybrała numer, w dalszym ciągu zajęty. Dopiero gdy usłyszała kroki na schodach i jego głos, wołający jej imię, zerwała się na równe nogi, podbiegła do drzwi i otworzyła je.

Z jej gardła wyrwał się krótki, radosny okrzyk. Objęła go i wciągnęła do środka. Nagle zatrzymała się, zaskoczona i przestraszona. Twarz Pascala była biała jak ściana, skórę na skroni miał rozciętą, rękaw kurtki rozdarty od barku do mankietu.

- Co się stało? - wyjąkała z przerażeniem. - Co ci się stało?

Wyciągnęła ramiona, żeby go objąć, lecz wtedy zobaczyła wyraz jego twarzy. Jego oczy spoczęły na jej potarganych włosach, podartej bluzce, potem zarejestrowały inne szczegóły - filiżanki po kawie, szklanki po whisky, rozrzucone przedmioty na biurku. Krzesło obok biurka było przewrócone, czego wcześniej nawet nie zauważyła. Na podłodze leżał jej pantofel. Pascal powoli przeniósł wzrok na jej twarz. Mocno zacisnął ręce na jej ramionach. Popatrzył na wargi i szyję, i w jego oczach odmalowało się niedowierzanie.

- Co się stało, kochanie? - Bezwiednie powtórzył jej pytanie. - Co się stało?

- Och, tyle rzeczy na raz... Zaczekaj, teraz to nieistotne, wyjaśnię ci później...

Jesteś ranny...

- Co tu się działo, do diabła?!

Próbowała go objąć, ale on chwycił jej ręce w przegubach i odsunął od siebie, badając wzrokiem jej twarz. Gini poczuła, że się czerwieni. Mogę mieć ślady na szyi, pomyślała nieprzytomnie. Podniosła dłoń i położyła ją na szyi.

- Kto tu był? - Pascal kilkoma krokami pokonał odległość dzielącą go od stolika. Podniósł najpierw jedną szklaneczką po whisky, potem drugą. - Kto?

- John Hawthorne - odparła, robiąc nieskoordynowany gest. - Ale to teraz nieważne... Kiedy nie przyjechałeś... Musiałam jakoś wrócić do domu od Mary, a on zaproponował, że mnie podwiezie...

- Chcesz mi powiedzieć, że wpuściłaś go do domu? Jezu Chryste, co to wszystko ma znaczyć? Zaprosiłaś go do środka? Zrobiłaś mu drinka?

- Nic nie rozumiesz, posłuchaj... Zaraz ci to wytłumaczę. Nic mi się nie stało...

- Nic ci się nie stało? - powtórzył lodowatym tonem. - Masz podartą bluzkę i pończochy... Twoje włosy, twarz... Chryste Panie... - Objął wzrokiem panujący w pokoju bałagan, odwrócił się i wziął ją za rękę. - Co się stało, kochanie?

- On... Rozmawialiśmy, po prostu rozmawialiśmy, bardzo długo, chyba ponad godzinę... Wciąż nie wracałeś. Potem zadzwonił telefon, to znowu był ten mężczyzna, ten straszny szepczący głos i wtedy...

Pascal chwycił Gini w ramiona i mocno przytulił. Zaczął gładzić jej włosy.

- Wszystko w porządku, kochanie, już wszystko w porządku... Naprawdę nic ci nie jest? Co on zrobił, na miłość boską?

- Nic. - Usiłowała go odepchnąć. - Próbowałam... Cóż, to widać, prawda? Ale potem przestał i poszedł sobie... Nic mi nie jest, naprawdę. Nie chcę o tym rozmawiać, nie tutaj. Jesteś ranny, masz rozciętą skroń...

- Wychodzimy, ale już. - Pascal cofnął się gwałtownie. Podniósł przewrócone krzesło, postawił je i znowu rozejrzał się po pokoju.

- Włóż but - dodał. - I płaszcz. I wszystkie inne części ubrania, które zgubiłaś dziś wieczorem...

- Przestań! - Odwróciła się do niego z wściekłością. - Nie odzywaj się do mnie w ten sposób! Przestań mi rozkazywać!

Podszedł do niej szybko i chwycił ją za rękę. Jego twarz była napięta ze zmęczenia. Kiedy poruszył prawym ramieniem, zaklął głośno.

- Posłuchaj mnie - powiedział. - Nie mam ochoty na głupie kłótnie, nie jestem w nastroju. Zabierz swoje rzeczy do cholery. Kiedy ty popijałaś tu sobie whisky z Hawthorne'em, ja o mały włos nie zginałem. I nie był to wypadek.

- Ale...

- Posłuchaj, do diabła! Mam rozbite ramię, dopiero niedawno skończyłem rozmawiać z policją i wyrwałem się lekarzom. Motocykl nadaje się na złom. Pojechałem do Mary, ale nikogo tam nie było, stamtąd do Hampstead, tam też cię nie było. Mało nie oszalałem z niepokoju. Szukałem cię, nie wiedząc, co się stało. W

końcu przyjeżdżam tutaj, i co się okazuje? Że spędziłaś wieczór w towarzystwie tego człowieka. Zaprosiłaś go do domu. Siedziałaś tu z nim i popijaliście drinki. Masz rozdartą bluzkę, skaleczoną wargę, czerwone ślady na szyi... Co mam o tym myśleć, na miłość boską?! I nie zaczynaj się teraz ze mną sprzeczać... - Przerwał i odwrócił się. - Zbierz swoje rzeczy, w porządku?

Zapadła cisza. Spełniła jego polecenie. Włożyła buty i płaszcz. Pascal ujął ją za ramię i wypchnął z mieszkania. Zatrzasnął drzwi z taką wściekłością, że dom zadygotał.

Kiedy dotarli do Hampstead, znowu zaczął ją wypytywać. Gini miała potworny ból głowy i prawie nie mogła myśleć. W końcu namówiła go, żeby zdjął kurtkę. Koszula była także podarta, ramię na całej długości podrapane i pokaleczone. Prawy bark, na który upadł, już teraz przybrał czarnofioletowy kolor.

- Nic mi nie jest, nic mi nie jest - powtarzał z wściekłością. Spróbował zgiąć ramię i natychmiast skrzywił się z bólu. - Jutro muszę mieć sprawne ręce. Muszę rozmieścić sprzęt, zrobić zdjęcia... Jezu Chryste...

Gini obmyła podrapane ramię i przyniosła czystą koszulę. Pascal trochę się uspokoił, lecz wiedziała, że nie toleruje u siebie żadnych objawów choroby czy niesprawności. Obecny stan tylko nasilał jego furję.

- Nie mam pojęcia, co się stało - powiedział, odsuwając ją ramieniem, kiedy próbowała pomóc mu zapiąć koszulę. - Zostaw, sam to zrobię... Nie jestem inwalidą. Mówiłem ci, że jutro będę musiał posługiwać się rękami, więc równie dobrze mogę to zrobić...

- Przecież to cię boli... Daj odpocząć mięśniom, przynajmniej trochę...

- Nie chcę.

- Jak to się stało? - zapytała. - Nadal nic nie rozumiem...

- Mówiłem ci... - Odsunął się. - Z lewej strony miałem ciężarówkę, za sobą dużego forda. Wszystko wydarzyło się tak szybko... Ciężarówka zajechała mi drogę, wtedy spadłem z motocykla i potoczyłem się po jezdni. Spojrzałem w górę i zobaczyłem tego forda, pędzącego prosto na mnie. Oślepił mnie światłami, nic nie mogłem zrobić... Nie byłem w stanie się poruszyć. Może przetoczyłem się trochę w bok, nie wiem... Ford chybił, o tyle - najwyżej piętnaście centymetrów... Mógł to być

błąd kierowcy, ale nie sądzę, aby tak było. Gdyby chciał, zabiłby mnie bez trudu. Dlaczego tego nie zrobił? - Wykonał kolejny gniewny gest, potem wzruszył ramionami. - Może to miało być następne ostrzeżenie, kto wie... Ostatnie ostrzeżenie? Jeżeli tak, to teraz wiemy, kto nas ostrzega. Przynajmniej to wydaje się jasne. Popatrz...

Podniósł kurtkę i z wewnętrznej kieszeni wyjął popołudniowe wydanie gazety. Rzucił je Gini.

- Za tym wszystkim stoi Hawthorne, to on odpowiada za to, co się dzieje.

Zaprosiłaś dziś do domu mordercę.

Gini podniosła wzrok znad gazety.

- Skąd wiesz?

- Bo nie ma już innego kandydata. McMullen nie żyje.

- Co takiego?!

- Zginął na torach kolejowych pod Oksfordem, zmiądzzył go pociąg. Zwłoki znaleziono rano, koło ósmej. Zginął mniej więcej osiem godzin po rozmowie z nami. Mówiłem ci, że ktoś posługuje się nami, chce, żebyśmy go znaleźli... I oto rezultat... W jakim nastroju był Hawthorne? Niewątpliwie miał ochotę na amory... Czy był pewny siebie? Rozluźniony? Jeżeli tak, to już wiesz, dlaczego. Prawie wszystkie jego problemy rozwiązały się dziś przed śniadaniem, prawda?

W pokoju zapanowała cisza. Gini dwa razy przeczytała notatkę. Pochyliła głowę nad gazetą i usiłowała się skoncentrować. Wróciła myślami do tego długiego wieczoru, a potem zaczęła się zastanawiać, czy ma dość odwagi, aby powiedzieć Pascalowi, co naprawdę o tym sądzi. Wiedziała, że jej opinia rozgniewa go i może nasili jego wrogość, ale nie mogła kłamać.

Podniosła oczy i spojrzała na Pascala, który nie spuszczał wzroku z jej twarzy.

- Mylisz się - rzekła krótko i spokojnie. - Przykro mi, ale się mylisz. To nie Hawthorne odpowiada za to wszystko. Nie wierzę McMullenowi i nie wierzę Lise. Hawthorne nie jest taki, jak twierdzą...

Spodziewała się wybuchu gniewu, tymczasem Pascal zareagował w niebezpiecznie spokojny sposób. Usiadł i zapalił papierosa.



- Cóż, w porządku... - powiedział po długiej chwili milczenia. - Twoja reakcja wydaje mi się zaskakująca, zwłaszcza po tym, co wydarzyło się dziś wieczorem... Najwyraźniej ja nie rozumiem, co zaszło. Chyba powinnaś opowiedzieć mi wszystko dokładnie, bo naprawdę nic już nie pojmuję. Kilka razy prosiłem cię, żebyś to zrobiła. Co w tak radykalny sposób odmieniło twój stosunek do Hawthorne'a?

- Czy musimy rozmawiać o tym teraz? Jest późno, czas, żebyś odpoczął... Cała ta sprawa jest bardzo skomplikowana. To długa historia...

- Nie szkodzi - odparł lodowato. - Zamierzam jej wysłuchać, i to w całości. I mam gdzieś, czy opowiadanie zajmie ci pięć minut, czy całą noc.

## XXXII

Do drugiej w nocy zdążyła już dwa razy opowiedzieć Pascalowi całą historię. Za pierwszym razem najpierw zdradzał ogromny niepokój, potem gniew, a na koniec zupełny brak zrozumienia. Za oknem wciąż lał deszcz. Twarz Pascala była blada i ściągnięta, i Gini wiedziała, że człowiek, którego kocha, bardzo cierpi. Im więcej mówiła, tym silniejsze miała wrażenie, że się pogłębia przepaść między nimi. Patrzył na nią jak na zupełnie obcą osobę, w dodatku taką, która nie budzi wielkiej sympatii.

- Kłamiesz - powiedział krótko, kiedy wreszcie skończyła. - A jeżeli nie kłamiesz, to coś przemilczasz... Ta historia nie wyjaśnia, dlaczego zmieniłaś zdanie na temat Hawthorne'a.

- Jedynym powodem może być to, że nie opowiedziałam jej jak należy - odparła Gini cicho. - Nigdy bym cię nie okłamała.

- Przepraszam... - Wykonał krótki gest, jakby odsuwał coś od siebie i pochylił się do przodu. - Wiem o tym, ale spróbuj mnie zrozumieć, to wszystko wydaje się pozbawione sensu... Dlaczego nagle uwierzyłaś w jego niewinność? Ani on, ani twój ojciec nie przedstawili żadnego dowodu. Opowiedzieli przekonującą wersję wydarzeń, to prawda, ale to tylko jedna z wielu wersji...

- To nie stało się wtedy... - Gini się zawahała.

- Rozumiem, uwierzyłaś później. Czy wtedy, gdy zostałaś sama z Hawthorne'em?

- U Mary prawie zdołał mnie przekonać, zresztą mój ojciec także. Może szale przeważała jego interwencja w chwili, gdy ojciec mnie zaatakował...

- Może, ja też na to bym właśnie stawiał... Ta sytuacja bardzo mu się przysłużyła.

Gini puściła tę uwagę mimo uszu.

- Nie potrafię tego wyjaśnić - westchnęła. - Wrażenie zrobiło na mnie nie to, co powiedział, ale w jaki sposób. Kiedy mówił o swoim małżeństwie, o innych kobietach... Wiem, że mówił prawdę.

- Jezu Chryste! - Pascal bezradnie rozłożył ręce. - Co zrobił ten niewinny, honorowy mężczyzna, kiedy znalazł się z tobą sam na sam?

- Wiem, wiem... Ale wcześniej bardzo długo po prostu ze mną rozmawiał.

- Rozmawiał. No, świetnie. A o czym? O kobietach. O miłości. Nabrał cię na najstarszy numer w historii podrywania, zwierzył ci się, że jego żona go nie rozumie i nie kocha...

- Nie tak to brzmiało.

- A ty to kupiłaś. Zastanów się, nie jesteś przecież dzieckiem... Cała ta rozmowa była prowokująca.

- Nieprawda...

- Chyba nie mówisz poważnie! - Odwrócił się do niej gwałtownie. - Facet opowiada ci o swoich romansach, o kobietach, które podrywał na jedną noc, a ty nie widzisz, do czego to prowadzi! Dobrze wiem, dlaczego mężczyźni mówią kobietom o takich rzeczach, widziałem to i słyszałem tysiące razy. To prosty sposób na podryw.

- Brzmiało to zupełnie inaczej, naprawdę. Nie zaplanował tego, był szczery. Uwierzyłam mu.

- W porządku, niech będzie... - Wyrzucił dłonie w górę, wstał z krzesła i zaczął chodzić po pokoju.

Gini widziała, że stara się pokonać gniew i zniecierpliwienie. Usiadł, wychylił się do przodu i popatrzył na nią uważnie.

- W porządku, omówmy to jeszcze raz. Żadne z nas nie ma na to ochoty, ale nie mamy innego wyjścia. Dobrze... Jestem gotów uwierzyć w pierwszą część historii.

Miałaś za sobą trudną rozmowę, co tam rozmowę, kłótnię z ojcem, i Hawthorne

przyszedł ci z pomocą. Zawiózł cię do domu, puścił Mozarta... Zapytał, czy mógłby wejść, ty się zgodziłaś. To było szaleństwo z twojej strony, ale się zgodziłaś. Dobrze. Usiadł i odbył z tobą uczciwą, szczerą rozmowę, bez podtekstów, bez żadnych dwuznacznych sugestii. Spojrzałaś na niego przychylnym okiem... Czy jak na razie nie poplątałem?

- Nie, ale... - Zawahała się. - To nie było tak, że spojrzałam na niego przychylnym okiem... Chyba raczej go podziwiałam...

- Słucham?

- Podziwiałam go jako człowieka. Nie podobało mi się jego postępowanie i historia małżeństwa, ale wydał mi się interesujący. Skomplikowany. Zraniony. I uczciwy...

- Chcesz powiedzieć, że jeszcze chwila, a zakochałabyś się w nim? Bo tak to brzmi... Jezu Chryste, nic z tego nie rozumiem! - Pascal zrobił kolejny gniewny gest i wstał. - Muszę się napić, a ty?

- Nie. Chcę się położyć i przestać ciągle o tym rozmawiać. Jaki to ma sens?

- Musisz zrozumieć, że twoje przekonanie o niewinności Hawthorne'a opiera się wyłącznie na intuicji...

- Więc co z tego? Nadal uważam, że mam rację. Pascal nalał sobie brandy i przez ramię spojrzał na Gini.

- Zdajesz sobie chyba sprawę, że to bezsensowny argument? - odezwał się chłodno. - Zupełnie idiotyczny. Nie zamierzam pracować w ten sposób.

- Mamy odmienne podejście do sprawy, to wszystko.

- Dlaczego tak się upierasz? Dlaczego? - Usiadł i ujął dłonie Gini. - Kochanie, wyjaśnijmy sobie jedno... Niezależnie od tego, co myślałaś, kiedy Hawthorne czynił te swoje zwierzenia, dobrze wiesz, co wydarzyło się później...

- Tak? - Gini rzuciła mu zmęczone spojrzenie. - Nie jestem pewna...

- Dobrze... - westchnął. - Spróbujmy jeszcze raz... Kiedy dotknął cię pierwszy raz, przed telefonem czy potem?

- Po telefonie... Nie, przed... Nie, jeszcze inaczej - już wcześniej czułam, na co się zanosz. On... On ujął moją rękę i pocałował ją...

- Nie wspominałaś o tym wcześniej.

- Zapomniałam. Więc pocałował mnie w rękę, a wtedy ja poprosiłam, żeby już sobie poszedł... Nie pamiętam dokładnie, kiedy to było, czy tuż przed telefonem, czy zaraz po... Potem zadzwonił ten zboczeniec i... I Hawthorne coś mu powiedział, był wściekły...

- A jaki niby miał być? Zachwycony, że dostajesz takie telefony? Zresztą doskonale wiesz, że to on musiał je zaaranżować...

- Wcale tego nie wiem. I ty też nie.

- W porządku. Więc wziął od ciebie słuchawkę i powiedział coś temu facetowi... Co było dalej?

- Nie jestem pewna, wszystko działo się tak szybko... Zaczął mówić...

- Pocałował cię?

- Tak...

Powiedziała mu o tym pierwszy raz. Pascal zbladł.

- Pozwoliłaś mu? Nie rozumiem...

- Nie, już ci mówiłam! Nie pozwoliłam mu, to wszystko działo się bez mojego pozwolenia, kazałam mu przestać! Ale on jest silny, a ja bardzo się bałam.

Wyrywałam się, ale przyszło mi do głowy, że może właśnie to go podnieca, więc zaczęłam na właściwy moment i uderzyłam go. Wtedy przestał...

Zapadła cisza. Pascal zmęczonym gestem przesunął dłonią po twarzy.

- Wyobrażasz sobie, jak się teraz czuję? - zaczął. - Jak się czuję, kiedy o tym myślę? Robi mi się niedobrze. Serce mnie boli. To nie do wytrzymania. Jak możesz mówić, że mu ufasz? Podarł na tobie bluzkę, przyparł cię do biurka, prawie cię zgwałcił...

- To naprawdę nie było tak... Wiem, jak to brzmi, ale wyglądało inaczej...

Po długiej chwili milczenia Pascal westchnął.

- Jak mam to rozumieć? - zapytał. - Nie zmuszał cię? Nie stawiałaś oporu?

- Ależ tak, opierałam się i szarpałam... Mimo wszystko to nie jest takie proste...

- Zmuszał cię? Tak czy nie?

- Tak.

- W takim razie dlaczego go rozgrzeszasz? Dlaczego?

- Nie wiem. Dobrze, kierowałam się instynktem, osądziłam go na podstawie tego, co mówił wcześniej, jak wyglądał... I przecież jednak przestał... A później...

Przerwała. Pascal się cofnął, jego twarz przybrała chłodny, czujny wyraz.

- Więc było jeszcze jakieś „później”? Nie wspominałaś o tym... Stało się coś jeszcze?

- Nie, nie w tym sensie... Nie dotknął mnie więcej, jeśli o to ci chodzi, i prawie natychmiast wyszedł. Widzisz, on mnie przeprosił...

- Och, wspaniale!

- Powiedział... Powiedział, że to było nieporozumienie. Wyglądał... Nie potrafię ci powiedzieć, jak wyglądał, jakby wszystko stracił i był tego świadomy... To było okropne.

- Jakoś nie bardzo mnie to wzrusza - rzucił Pascal zimno. - Jeżeli istnieje piekło, a ono istnieje, to niech Hawthorne się w nim smaży. Mam nadzieję, że to go nie ominie. Nie mów mi, jak wyglądał, tylko co powiedział.

- Nie da się rozdzielić tych dwóch rzeczy...

- Co powiedział?

- Przeprosił i usprawiedliwił się, już ci mówiłam. Powiedział, że źle mnie zrozumiał, niewłaściwie odebrał sygnały... Że wydawało mu się, iż chciałam tego.

Gini przymknęła oczy i spuściła głowę. Zapadło długie, bolesne milczenie. Czekwała na następny wybuch gniewu, lecz nic takiego się nie stało. Kiedy podniosła wzrok, ujrzała odmienioną twarz Pascala. Gniew, zagubienie i niepokój zniknęły bez śladu. Wyciągnął do niej rękę.

- Chodź tutaj - poprosił.

Wstała i podeszła do niego. Łagodnie wziął ją w ramiona i zajął w twarz. Uśmiechnął się.

- Tylko głupiec mógłby popełnić taki błąd - rzekł. - Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wcześniej?

- Nie wiem. Wstydziałam się... Myślałam, że będziesz wściekły.

- Nie. Czuję ulgę. Teraz sama chyba widzisz, że Hawthorne kłamał. Jakie sygnały mógł odebrać? Nie dawałaś mu żadnych sygnałów, wiem o tym. Nie ty, nie

teraz. To niemożliwe. Sięgnął po tanią wymówkę, żeby jakoś wyplątać się z trudnej sytuacji, to typowe...

- Tak myślisz?

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Posłuchaj, kochanie, to wszystko moja wina... Nie powinienem był poddawać cię temu przesłuchaniu. Ja tylko... Nie mogłem zrozumieć, dlaczego go bronisz, ale teraz już rozumiem. Hawthorne starał się obudzić w tobie poczucie winy i to mu się udało. Jesteś wyczerpana i ledwo żywa. Rano spojrzysz na to z pewnej perspektywy i na pewno zrozumiesz, co to za człowiek... Nie odwracaj głowy, najdroższa. Spójrz na mnie... Byłem zazdrosny i wściekły... Chodźmy do łóżka, dobrze? Deszcz przestał padać, słyszysz? Jutro mamy mnóstwo do zrobienia. Czuję, że niedługo będzie po wszystkim. Jeszcze dzień, dwa, i zostawimy to za sobą, tak? I wtedy...

- Pascal...

- Nic już nie mów. Delikatnie położył palec na jej wargach. - Czas odpocząć.

Kiedy położyli się, otoczeni gęstą ciemnością, Pascal wziął ją w ramiona.

Deszcz i wiatr ustały.

- Jaka spokojna noc... - odezwał się.

- Pragnę cię - powiedziała Gini.

- Jesteś pewna?

- Tak.

Pocałował ją, bardzo łagodnie i delikatnie. Potem zaczął pieścić jej plecy, szyję, kark i piersi. Kochali się powoli i długo. Oboje mieli wrażenie, że składają sobie uroczystą przysięgę wiecznej miłości. Później, gdy Pascal zapadł w sen, Gini rozplakała się, trochę ze szczęścia, trochę z rozkoszy, a trochę dlatego, że duch Hawthorne'a mimo wszystko wrócił. Argumenty Pascala, takie rozsądne i logiczne, nie zdołały jej przekonać.

Rano Gini obudziła się i ujrzała odrodzony, nowy Londyn. Pascal nadal spał. Odsunęła rąbek zasłony i wyjrzała. Trawa była biała od szronu, bezchmurne niebo lśniło. Ostrożnie uchyliła okno. Czyste powietrze było suche i zimne, jak tchnienie lodu.

Zamknęła okno i na palcach wymknęła się z sypialni. Była sobota. Tego ranka mieli rozgościć się w wynajętym domu w St John's Wood, aby Pascal na długo przed północą zdążył ustawić swój sprzęt. Gini poszła do kuchni, nalała sobie kawy i zaczęła analizować ustalony plan. Zastanawiała się także, czy starczy jej odwagi, żeby wytłumaczyć Pascalowi, że sen nie wpłynął na jej opinię. Nadal wierzyła Hawthorne'owi, dokładnie tak samo jak minionego wieczoru.

Tuż przed dziewiątą cicho zamknęła za sobą drzwi domu i wąską dróżką wspięła się na szczyt Holly Hill, a stamtąd po stromych kamiennych stopniach zeszła ku High Street. W kiosku kupiła dziesięć, najważniejszych brytyjskich dzienników, i zawróciła w kierunku domu.

Chciała przejrzeć gazety, zanim rozpocznie dzień z Pascalem i na szczycie wzgórza, tuż nad starym cmentarzem Hampstead, znalazła idealne miejsce. Stał tutaj mały biały kościół, którego osiemnastowieczna nawa była ciepła i jasna. Przed figurą Najświętszej Marii Panny płonęły świece. W kościele nie było żywego ducha. Gini poszła do bocznej kaplicy, usiadła w ławce i zajęła się lekturą.

Wzmiankę o śmierci Jamesa McMullena znalazła tylko w „Daily Mail”, na piątej stronie. Notatka zawierała trochę więcej informacji niż szcątkowy opis w „Standard”, lecz tak czy inaczej, nic nie wskazywało, aby wypadek wzbudził zainteresowanie dziennikarzy. Śmierć McMullena wydawała się zupełnie anonimowa.

Ciało, które zidentyfikowano jako McMullena, znaleziono na torach trasy Oksford-Londyn, piętnaście kilometrów na wschód od Oksfordu. Zmasakrowane zwłoki zauważył w piątek rano mężczyzna, który wyszedł na spacer z psem. Policja rozpoczęła śledztwo, mające ustalić, czy było to samobójstwo, czy wypadek. Poinformowano rodzinę McMullena. Na końcu notatki zamieszczono kilka zdań o ojcu zmarłego, znanym historyku sztuki, oraz jego siostrze, która kilka lat wcześniej występowała w popularnym serialu telewizyjnym.

Gini złożyła gazetę. Wypadek? Samobójstwo? McMullen zginął w dziesięć godzin po spotkaniu z nią i Pascalem. Czy wtedy sprawiał wrażenie człowieka, który zamierza się zabić? Nie.

Siedziała długą chwilę, wpatrzona w świece, migoczące dookoła rąbka szaty Najświętszej Dziewicy. Przypomniała sobie, że pod koniec ich spotkania coś w



zachowaniu McMullena zaskoczyło ją i zastanowiło. Teraz ten aspekt uderzył ją ze zdwojoną siłą.

Kiedy McMullen próbował im podziękować, Pascal zasugerował, aby zaczekał do zakończenia całej sprawy i podziękował im dopiero wtedy.

- Ach, wtedy... Tak, oczywiście... W tonie głosu McMullena zabrzmiała dziwna nuta. Wtedy Gini nie zrozumiała wahania McMullena, lecz teraz wydało się jej ono zupełnie oczywiste - nie spodziewał się ich już więcej zobaczyć.

Dlaczego? Czy był pewny, że śmierć jest blisko? A może oczekiwał, że coś złego przydarzy się jej i Pascalowi? A może istniało jeszcze inne wyjaśnienie...

Wstała i powoli ruszyła do wyjścia. Na chwilę przystanęła przed ołtarzem, myśląc o Hawthornie i o tym, co powiedział poprzedniego wieczoru. Próbowała wyobrazić sobie, co musi czuć człowiek, który został wychowany w wierze katolickiej i przestał wierzyć. Ona sama nie została wychowana w żadnej religii. Pod wpływem impulsu wrzuciła monetę do puszeki i zapaliła wotywną świecę. Kiedy otworzyła drzwi, obejrzała się. Płomień zachwiał się w podmuchu wiatru, zamigotał, lecz nie zgasł.

Gdy weszła do domu, Pascal już nie spał, a w powietrzu unosił się zapach świeżej kawy.

Pascal klęczał na środku salonu, sprawdzając aparaty fotograficzne i utykając rozmaite drobne przedmioty w małych przegródkach torby.

Słyszając jej kroki, podniósł głowę. Sięgnął po jej dłoń i pocałował ją, a potem znowu zajął się pracą. Gini stanęła obok niego i przyglądała się. Na podłodze leżały dwie duże aluminiowe kasety na aparaty, a w nich, pozawijane w czarny lateks, tkwiły narzędzia pracy Pascala - aparaty, światłomierze, obiektywy, w tym dwa grube, mniej więcej dziesięciocentymetrowej długości. Obok kaset, w długim pokrowcu z czarnej skóry, podobnym do pokrowców na strzelby i karabiny, znajdowały się statywy.

Długo patrzyła na tarcze i pudełka z matowego metalu, w ciemne, lśniące oczy obiektywów. Obserwowała, jak poruszają się ręce Pascala, lewa szybko i sprawnie, prawa nieco sztywno. Kilka razy napiął kontuzjowane ramię i pracował dalej. Oto broń Pascala, pomyślała Gini.

Nie lubiła aparatów fotograficznych, ponieważ zatrzymywały czas i niewiele rozumiała z ich technicznych zalet. Potencjalna siła arsenału Pascala budziła w niej niepokój. Obiektywy połyskiwały, starannie ułożone w szkatułkach. To dzięki nim mieli szansę ustalić prawdę...

Pascal zamknął kasety i z uśmiechem spojrzął na Gini.

Zawahała się. Czowała, że musi od razu powiedzieć mu o swoim zamiarze, bo inaczej nigdy się nie odważy.

- Nie pojedę dziś z tobą - rzekła. - Nie będę ci potrzebna, więc wybiorę się do Oksfordu...

- Co takiego? - Podniósł się z podłogi, patrząc na nią ze zdumieniem.

- Pojadę do Oksfordu. I tak nie pomogę ci w robieniu zdjęć, więc w gruncie rzeczy nie będę ci potrzebna. Jadę do Oksfordu, żeby sprawdzić szczegóły śmierci McMullena...

- To niemożliwe, kochanie. - Pascal wziął ją za rękę. - Musimy trzymać się razem, przecież wiesz... Nie pozwolę ci jechać tam samej. To bezsensowne i niebezpieczne...

- Nie. Chcę pojechać. Pojadę z tobą do domu w St John's

Wood, bo to po drodze, a stamtąd do Oksfordu. Ktoś musi sprawdzić, jak to się stało. Ty nie możesz, więc ja to zrobię. Przynajmniej tyle jesteśmy winni McMullenowi...

- Winni? - W oczach Pascala błysnął gniew. - To jest temat, nie kruczata. Nic nie jesteśmy winni McMullenowi. Będzie jeszcze mnóstwo czasu, aby poznać szczegóły jego śmierci. Na miłość boską, on nie żyje, i tyle. Twoja wyprawa do Oksfordu nic nie zmieni...

- Może zmieni.

- Nie rozumiem cię. Jak możesz? Celem wszystkich naszych działań, całej pracy, była ta niedziela, ta przeklęta randka Hawthorne'a... - Przerwał nagle i jego twarz przybrała twardy wyraz. - Och, już rozumiem, oczywiście... Twoja decyzja ma bardzo niewiele wspólnego z McMullenem, za to dużo z Hawthorne'em, prawda? Mam rację?

- Jeżeli chodzi ci o to, że nie wierzę w randki Hawthorne'a, to może rzeczywiście masz rację... Tak. Nie wierzę, że zobaczysz Hawthorne'a i jakąś blondynkę. Nie zjawia się tam. Nic z tego nie będzie.

- Skąd możesz to wiedzieć? - odwrócił się do niej ze złością. - Czy byłaś pewna tego wszystkiego, kiedy wczoraj po południu rozmawiałaś z Suzy? Nie, prawda? Nigdy wcześniej mi o tym nie mówiłaś. Dlaczego teraz zmieniasz zdanie? Wiem, to sprawka tego cholernego Hawthorne'a... Dostyc... Nie zamierzam do tego wracać i nie chcę się z tobą kłócić. Jadę do St John's Wood i ty jedziesz ze mną. To wszystko.

- Nie.

- Ile razy muszę powtarzać, że boję się o ciebie? - Spojrzał na nią z bezradną rozpaczą w oczach. - Zginęły już cztery osoby, wczoraj wieczorem sam o mało nie zostałem zabity... Nie puszcze cię samej do Oksfordu.

- Dobrze wiesz, że nie możesz mnie powstrzymać - odparła cicho. - Nic mi się nie stanie... Dojadę tam w godzinę. Chcę porozmawiać z policją i może z Anthonym Knowlesem, jeżeli się zgodzi. Potem wrócę, najprawdopodobniej wczesnym wieczorem będę w Londynie. Prosto z dworca przyjadę do ciebie. Przed północą i tak nic się nie stanie... Nawet jeżeli to wszystko okazałoby się prawdą, to oni zjawia się tam dopiero po północy. Wrócę dużo wcześniej, nie martw się...

- Nie. Nie mogę pojechać z tobą, muszę zostać w tamtym domu i rozmieścić sprzęt, a to zajmuje mnóstwo czasu. Obiecuję ci, że pojedziemy do Oksfordu w poniedziałek rano, jeżeli nadal będzie ci na tym zależało. Niczego się tam nie dowiesz, więc dlaczego nie możesz zaczekać?

- Nie mogę, to wszystko. Czuję, że powinnam tam pojechać. Zresztą, tak będzie lepiej, ja zajmę się McMullenem, ty Hawthorne'em. Przed szóstą będę z tobą...

- Nie! - przerwał zimnym tonem. - Wyjaśnijmy coś sobie. Nie mogę pracować w takich warunkach. Ciągłe sprzeczki, głupie plany, zmiany w ostatniej chwili... Masz rację, do niczego nie mogę cię zmusić, ale proszę cię, nie rób tego.

- Muszę to zrobić...

- Więc nie chcesz mnie posłuchać, tak? Moje opinie, moje uczucia, obawy o twoje bezpieczeństwo nic dla ciebie nie znaczą?

- Wiesz, że to nieprawda...

- Czyżby? - Popatrzył jej prosto w oczy. - Nie jestem już nawet pewny, czy cię znam... Najpierw wczorajszy wieczór, teraz to... Kocham cię, Gini, i wyłącznie dlatego proszę cię ostatni raz, zostań ze mną, tak jak ustaliliśmy...

- Nie.

Zapadło długie, pełne napięcia milczenie. Pascal się odwrócił.

- Doskonale. - Schylił się, podniósł kasety i postawił je pod drzwiami. - W takim razie nie musisz śpieszyć się z powrotem. Możesz spędzić w Oksfordzie tyle czasu, ile chcesz.

Gini milczała, nie spuszczać wzroku z jego twarzy.

- Mówisz poważnie? - zapytała cicho.

- Tak.

- Takie stawiasz warunki?

- Właśnie.

- Trudno... - Zagryzła wargi, tłumiąc łzy. - Skoro tak, nie pozostawiasz mi wyboru. Pojadę z tobą do St John's Wood, a potem do Oksfordu. Nie pozwolę się szantażować.

- Jak możesz tak mówić? Jak śmiesz? Chryste...

Zrobił krok w jej stronę i przez sekundę wydawało jej się, że chce ją uderzyć albo objąć. Zatrzymał się w pół kroku, na krawędzi któregoś z tych gestów. Stali nieruchomo, patrząc na siebie, oboje bladzi, oboje nieprzytomni ze zdenerwowania.

Gini wyciągnęła rękę.

- Nigdy nie zrobiłabym ci czegoś takiego, gdybym nie musiała jechać - odezwała się błagalnym tonem. - To tylko kilka godzin. Później...

- Nie rób sobie złudzeń - przerwał jej ostro. - Nie będzie żadnego „później”.

Odwrócił się i wyszedł.

Do wynajętego domu w St John's Wood dotarli o dziesiątej trzydzieści. Pascal nie odezwał się do Gini ani słowem przez całą drogę, a także po przybyciu na miejsce. Od razu poszedł na górę, milczący, z zaciśniętymi ustami, zupełnie jakby nagle stała się niewidzialna. Na piętrze, w spowitej w dziesiątki metrów różowego brokatu sypialni, której okna wychodziły na tyły domu, położył aluminiowe kasety na łóżku i zabrał się do ich rozpakowywania.

Gini poszła za nim. Z całego serca chciała przemówić, wykrztusić choć słowo, lecz żadne nie wydawało jej się właściwe. Pascal nie podniósł wzroku, kiedy stanęła w progu pokoju. Długą chwilę patrzyła na niego ze smutkiem, potem podeszła do okna. Idąc za jego przykładem, usiłowała skoncentrować się na czekających ich zadaniach. Zdawała sobie sprawę, że Pascal wybrał najlepszy pokój - z jego okna widać było dokładnie gotycką willę, której adres podała im Lise Hawthorne.

Za otwartą przestrzenią ogrodu Gini widziała okna i tylne wejście do tamtego domu, z łukowatym pseudogotyckim portykiem i wiodącymi do niego kilkoma stopniami. Każdy, kto wchodził lub opuszczał dom, musiał tamtędy przejść. Pascal, słusznie cieszący się opinią prawdziwego profesjonalisty, wybrał idealne miejsce.

Usłyszała, jak poruszył się za nią. Zbliżył się, stanął obok i podał jej lornetkę.

- Powiększenie uzyskane przez obiektyw aparatu jest jeszcze lepsze - rzekł uprzejmym, neutralnym głosem, jak do obcej osoby. - Spójrz...

Spojrzała. Portyk i schodki znalazły się nagle zaskakująco blisko, tuż przed oczami. Widziała nawet wzór na żelaznej balustradzie. Zmieniła kąt spojrzenia, boleśnie świadoma bliskości Pascala, i uważnie zbadała tylną część domu.

Były tu trzy okna, po jednym na piętrze. Najwyższe, wbudowane w spadzistą część dachu, było malutkie, niższe, na piętrze, gdzie znajdowały się sypialnie, wyraźnie większe. Dostrzegła zarys mebli za firanką. Największe było okno na parterze, wychodzące na balkon, z którego wąskie schodki prowadziły prosto do ogrodu. Słońce odbijało się w szybie, lecz mimo tego Gini dość dokładnie widziała jasny dywan, dużą białą kanapę, róg stołu i wazon z kwiatami.

- Ktoś korzysta z tego domu - odezwała się takim samym tonem jak Pascal. - Albo zamierza... W pokoju na parterze stoją świeże kwiaty.

Wziął z jej ręki lornetkę, poprawił ostrość, popatrzył na wskazane przez nią okno i przesunął szkła w prawo. Przyglądał się ogrodowi, położonemu między ulicą i zaułkiem. Opuścił lornetkę i zmarszczył brwi.

- Dziwne... - powiedział.

- Co takiego?

- Jest tu zbyt spokojnie, to jest dziwne. Żadnych samochodów, żadnych przechodniów...

- Mówiłam ci, że połowa tych domów pełni rolę podmiejskich rezydencji, pamiętasz? Właściciele na większą część roku zostawiają je puste, poza tym mamy sobotnie przedpołudnie. Ludzie odsypiają ciężki tydzień...

- W taki piękny dzień? Przyjrzyj się uważnie, zaułek wygląda jak cmentarz.

Posłuchała. Pascal wrócił do swoich aparatów. Zaułek rzeczywiście był dziwnie opustoszały. Ani na ulicy, ani przed domami nie stały samochody, nigdzie nie było widać ludzi. Poczowała, jak po karku przebiegł jej dreszcz. Zerknęła na zegarek, świadoma, że wkrótce będzie musiała wyjść.

Odwróciła się od okna. Pascal nie zwracał na nią najmniejszej uwagi, ze spokojną precyzją wkręcając długi obiektyw. Odchrząknęła.

- Za dnia nie będziesz miał problemów ze zrobieniem zdjęć - przemówiła głosem, który nawet w jej własnych uszach brzmiał nienaturalnie. - Ale co zrobisz, jeżeli on przyjedzie w nocy?

- Twoim zdaniem w ogóle nie przyjedzie, więc nie powinnaś się tym przejmować...

- Po prostu pytam...

- Skoro chcesz wiedzieć, to po zapadnięciu zmroku też nie będę miał trudności. Widzisz to? - podniósł aparat, spojrzął przez obiektyw i przesunął malutką dźwigienkę. - Wiele zawdzięczamy wojskowym technologom... Dzięki temu doskonale widzę w ciemności, prawie jak kot.

- Dlaczego akurat wojskowym technologom? Pascal wzruszył ramionami, nadal chłodny i obojętny.

- Nie mam teraz czasu, żeby ci to wytłumaczyć, zresztą są to ściśle techniczne szczegóły, nic byś nie zrozumiała. Poza tym, chyba powinnaś się pośpieszyć, jeżeli zamierzasz zdążyć na pociąg.

- Chciałabym zrozumieć...

- Skoro ci na tym zależy... - Przysiadł na piętach, ładując kasetę z filmem do aparatu. - Większość ostatnich osiągnięć techniki fotograficznej pojawiło się dzięki badaniom naukowców zatrudnionych przez wojsko. Na przykład noktowizor lub urządzenie zwane intensyfikatorem obrazu, które sprawia, że żołnierz może zobaczyć wroga z odległości półtora kilometra, w zupełnej ciemności i to z absolutną do-

kładnością. Może wziąć go na cel i zastrzelić, a przedtem jest w stanie ocenić, czy ofiara ma zarost na twarzy, czy też nie. - Wzruszył ramionami. - Naturalnie, w świetle dziennym pole widzenia jest jeszcze większe. Wroga można zabić z odległości trzech kilometrów. Niezłe, co?

- Niezłe? Przeróżające...

- Oczywiście. Takie nowinki czynią z zabijania operację kliniczną. Na pewno słyszałaś o inteligentnych bombach, prawda? Właśnie. Istnieją też inteligentne karabiny i aparaty fotograficzne. Weź to do ręki. - Podał jej aparat. - Czujesz, jaki ciężki? Jest wyposażony w coś w rodzaju bardzo nowoczesnego noktowizora. Dzięki temu widzę w ciemności równie dobrze jak snajper... - przerwał. - Mogę też filmować. Do tego aparatu ładuje się film pokryty specjalną substancją. Przy tej odległości i z odpowiednią przesłoną mogę zrobić trzydzieści do trzydziestu pięciu klatek, zanim ktoś wejdzie po tamtych schodkach. Jeżeli Hawthorne czy ktokolwiek inny pojawi się przed wejściem lub w pokojach, których okna wychodzą na tę stronę, nie umknie mi.

- Zdjęcie będzie wyraźne?

- Jasne. Po wywołaniu zobaczysz każdą zmarszczkę na twarzy Hawthorne'a, wyraz jego oczu i wzór krawata...

- A blondynka?

- Ona także wyjdzie bardzo wyraźnie. *Evidemment.*

Pascal spojrzał na Gini. Widział napięcie w jej twarzy. Stała na środku pokoju i szarpała pasek od torebki, najwyraźniej czując się nieswojo. Jej wargi były trochę obrzmiałe, na szyi miała kilka małych siniaków. Nagle przypomniała mu się tamta wspólna noc w hotelu w Oksfordzie i szept, który usłyszał przez telefon: *Bądź tam, Gini. Przyjdź po zmierzchu... I nie zapomnij włożyć tej czarnej sukni...*

Szybko podniósł się i spojrzał jej prosto w oczy. Nie odwróciła wzroku. Z cichym okrzykiem chwycił ją w ramiona i zaczął całować twarz i włosy. Przyłgnęła do niego ciasno, jej wargi się rozchyliły. Całował ją namiętnie. Po jej policzkach płynęły łzy, zebrał je więc wargami i znowu całował w usta. Sięgnął do guzików płaszcza, pożądanie, które czuł, prawie go obezwładniło. Przycisnął ją mocno do siebie. Wydała zdławiony jęk. Położył dłoń na jej piersi, podniósł ciężką falę jasnych włosów i ukrył twarz w załamaniu szyi.



- Zostań, kochanie, proszę... - powiedział.

- Nie - odparła ze smutkiem, podnosząc dłoń i leciutko opierając palce na jego wargach. - Nie nakłonisz mnie do zmiany decyzji. Nawet w ten sposób...

Zapadło milczenie, wreszcie Pascal odwrócił się gwałtownie.

- Więc niech tak zostanie - rzekł.

Pochylił się nad kasetami, wyjął jeden z aparatów i zajął się nakładaniem obiektywu. Wydawał się bez reszty skoncentrowany na swoim zadaniu.

- Dlaczego nie chcesz się na to zgodzić?! - zawołała Gini z rozpaczą. - Przecież sam widzisz, że to może być ważne.

- Nic mnie to już nie obchodzi. - Podniósł na nią chłodne oczy. - Próbowałem, już więcej nie mogę. Kocham cię i niepokoję się o ciebie, ale nie chcesz mnie posłuchać. Mam tu pracę do wykonania, więc wykonam ją i to wszystko. Mogłabyś mi w tym pomóc, tak jak ja próbowałem pomagać ci od samego początku tej historii, ale nie, ty o to nie dbasz... Jesteś uparta, porywcza, kierujesz się wyłącznie własną wolą... Jeżeli wciąż zamierzasz jechać, to jedź.

- Pascal...

- Jedź. - Wstał, spojrzał najpierw na aparat, potem na Gini. - To koniec.

- Nie wierzę! Nie zrobiłbyś tego! Na pewno nie właśnie teraz, kiedy...

- Nie ma znaczenia, co dzieje się właśnie teraz. Zrobię to, możesz być pewna. Już raz wyciąłem cię ze swego życia i jakoś przetrwałem, więc zrobię to i drugi raz, jeśli będę musiał. Wybieraj.

Przyglądała mu się w milczeniu. Na jego twarzy malował się wyraz twardego zdecydowania, głos brzmiał zimno. Wiedziała, że on nigdy nie rzuca słów na wiatr.

- Nie pozwolę stawiać się pod murem - powiedziała. - To jest złe. Mówiłeś, że mnie kochasz...

- Tak. - Na moment zamknął oczy, jakby poraził go niespodziewany ból. - Kiedyś także prosiłem cię, żebyś dokonała wyboru. W Bejrucie, pamiętasz? Stałem na środku tego okropnego hotelowego pokoju, przed twoim ojcem, po tym, jak mnie okłamałaś i prawdy musiałem dowiedzieć się od niego, nie od ciebie. W jego obecności poprosiłem cię, żebyś wybrała. Doskonale wiedziałaś, że zaczekałbym na ciebie. Przeżylibyśmy ciężkie dwa lata, ale później ojciec nie mógłby ci już dyktować,

co masz robić. I co? Nie zdecydowałaś się na to, wolałaś zerwać ze mną. W porządku, tym razem to ja kończę nasz związek...

- To niesprawiedliwe! - krzyknęła. - I dobrze o tym wiesz! Miałam piętnaście lat, byłam przerażona i zawstydzona. Ojciec mówił do mnie bez końca, przez parę godzin przed twoim przyjściem. A potem go uderzyłeś...

- Naprawdę nic mnie to już nie obchodzi, rozumiesz? Nie chcę do tego wracać, nie chcę słuchać argumentów i wymówek. Ojciec miał wtedy na ciebie ogromny wpływ i ma go nadal, podobnie jak Hawthorne... Nie potrafisz sama podejmować decyzji, na miłość boską?

- Potrafię - odparła spokojnie. - Potrafię sama podejmować decyzje i teraz nie zgadzam się z tobą. Mam inne zdanie.

- W takim razie już dokonałaś wyboru. - Wzruszył ramionami. - Dobrze. Czas na ciebie.

Gini podeszła do drzwi.

- W domu w Hampstead zostały moje rzeczy...

- Proszę bardzo... - Rzucił klucz, który upadł na podłogę u jej stóp.

Schyliła się i podniosła go.

- Możesz zabrać je, kiedy zechcesz. Nie wybieram się tam.

- Dlaczego to robisz? Dlaczego jesteś taki twardy?

- Dlaczego? - W jego oczach błysnął gniew. - Dlatego, że już raz o mało mnie nie zniszczyłaś i nie zamierzam pozwolić, by coś podobnego stało się teraz... -

Przerwał i zniżył głos. - Nic z tego nie będzie, sama widzisz. Skończyłoby się na tym, że zniszczylibyśmy się nawzajem. Kto wie, może tak będzie lepiej... Szybciej i w gruncie rzeczy mniej boleśnie...

Powiedział to tonem spokojnym, zdecydowanym. Potem pochylił się nad aparatami i zaczął montować następny obiektyw. Nie podniósł już wzroku. Gini stała w progu przez parę chwil, zanim wreszcie odwróciła się i cicho opuściła dom.

## XXXIII

- Czas zgonu?

Sierżant z posterunku policji w Thames Valley był młody, niski i pulchny, z włosami ostrzyżonymi na jeża. Siedzieli w policyjnej stołówce tuż przy posterunku pod Headington. Sierżant jadł smażone kiełbaski, jaja, frytki i bekon, czyli dania absolutnie zabójcze pod względem zawartości cholesterolu. Kroił kiełbaski na małe kawałki i przeżuwał je kontemplacyjnie. Gini ze wszystkich sił usiłowała skupić się na rozmowie, szczególnie że fakt, iż podała się za dziennikarkę piszącą artykuł o metodach działania policji, zdziałał cuda. Sierżant wprawdzie bardzo chętnie zgodził się współpracować, ale wciąż miała wrażenie, że i jej rozmówca, i ona sama znajdują się w jakimś nierzeczywistym świecie.

- Wczoraj koło szóstej rano - podjął sierżant. - Najprawdopodobniej przejechał go jeden z podmiejskich pociągów. Niedługo dostaniemy wyniki autopsji i wtedy wszystko będzie jasne. Gdyby chciała pani porozmawiać z inspektorem, proszę zadzwonić później, bo teraz jest w kostnicy.

Sierżant mówił powoli, z wyraźnym akcentem Gloucestershire. Okrągłe niebieskie oczy utkwiał w twarzy Gini. Wytarł żółtko kawałkiem chleba, nie przestając przeżuwać.

- Na pewno trudno jest przeprowadzić identyfikację ofiary takiego wypadku - powiedziała Gini.

Policjant wzruszył ramionami.

- Miał przy sobie dokumenty. Jego range rover był zaparkowany przy moście, w kieszeni znaleźliśmy kluczyki. Na palcu nosił sygnet z herbem, taki sam jak jego ojciec...

- Czy jego ojciec zidentyfikował ciało?

- Tak. To, co z niego zostało... Nie było to przyjemne zadanie.

- Z pewnością. Czy wygląda to na samobójstwo?

- Ocena należy do koronera. - Sierżant przeżuł ostatnią frytkę, spojrzął na Gini i westchnął. - Mogę tylko powiedzieć, że tam, gdzie zginął, tory biegną prosto, nie ma żadnego zakrętu, więc zbliżający się pociąg widać z bardzo daleka. Niewiele osób

decyduje się zaparkować pośrodku lasu, wysiąść i położyć się na torach... - przerwał. - Z drugiej strony nie ulega wątpliwości, że facet pił, zwłoki aż cuchnęły alkoholem. W ogóle nie powinien był siadać za kierownicą. W kieszeni kurtki tkwiła pusta butelka po whisky, w samochodzie znaleźliśmy drugą, też pustą, po szkockiej. Poprzedniego wieczoru jadł kolację w college'u, nie załował sobie wina i koniaku. Był naprawdę mocno wstawiony...

- Poprzedniego wieczoru? W college'u? Może w Christ Church?

- Zgadza się. - Sierżant otworzył notes i przerzucił kilka kartek. - Sam sprawdziłem, co się z nim działo. Nie było to trudne, jego dawny wykładowca usłyszał wiadomość o wypadku i natychmiast do nas zadzwonił...

- Jego wykładowca?

- Tak, niejaki doktor Anthony Knowles.

Policjant skrzywił się lekko. Gini odniosła wrażenie, że doktor Knowles szczególnie przypadł mu do gustu.

- Słyszałam o Knowlesie...

- A kto o nim nie słyszał? - Sierżant obejrzał się przez ramię i zniżył głos. - Dwadzieścia minut po tym, jak się z nim pożegnałem, zadzwonił do mnie naczelnny inspektor, kumpel Knowlesa i kazał mi piorunem zabrać się do roboty. Tylko niech pani tego nie cytuję...

- Nie zamierzam.

- Chcą jak najszybciej wyjaśnić i zakończyć tę sprawę. Muszę bardzo uważać, żeby nie popełnić jakiegoś błędu...

Gini się zamyśliła. Część tej historii była zwyczajnie nieprawdziwa. McMullen mógł zginąć na torach w piątek rano, ale z całą pewnością nie mógł być gościem Knowlesa w Christ Church poprzedniego wieczoru, ponieważ to właśnie wtedy spotkał się z nią i Pascalem. Zawiózł ich do Oksfordu koło dziewiątej piętnaście, a potem wrócił do swojej kryjówki niedaleko posiadłości Hawthorne'a. Tak więc Knowles okłamał policję. Ciekawe było też to, iż Knowles twierdził, jakoby usłyszał wiadomość o śmierci McMullena w lokalnym radiu. A przecież ona włączyła tę stację w samochodzie, który wynajęła na dworcu w Oksfordzie i wiedziała, że bez przerwy

nadawano tam muzykę rockową. Miała wrażenie, że tego rodzaju program raczej nie był w guście Knowlesa.

Zmęczonym gestem odgarnęła włosy do tyłu. Nie była w stanie normalnie myśleć, przez cały czas w uszach brzmiał jej głos Pascala. Ból, który towarzyszył rozstaniu był doznaniem fizycznym - mogła go zlokalizować, położyć rękę na sercu i wyczuć jego pulsowanie.

- Filiżankę kawy, skarbenku? Nie wygląda pani za dobrze...

- Nie, nie, dziękuję, wszystko w porządku. - Nachyliła się nad stołem. - Więc co było później, kiedy w czwartek wieczorem McMullen zjadł już kolację w college'u?

- Doktor Knowles utrzymuje, że spotkanie zakończyło się późno, a potem on i McMullen poszli do jego mieszkania. Otworzyli butelkę porto z 1912 roku czy coś tam równie wykwintnego i długo rozmawiali. Knowles położył się koło trzeciej nad ranem, a kiedy obudził się o jedenastej przed południem, McMullena już nie było. Niezłe życie, co? Chętnie zostałbym jednym z tych uniwersyteckich wykładowców...

- Czy to znaczy, że Knowles spodziewał się zastać McMullena u siebie rano?

- Och, tak. Podobno ten cały McMullen przechodził przez trudny okres i od paru dni gościł u Knowlesa.

- Naprawdę? W college'u? Jak długo? Sierżant zajrzał do notatek.

- Cztery dni. Zatrzymał się w jednym z pokoi gościnnych, na tej samej klatce schodowej, na której znajduje się mieszkanie doktora Knowlesa. Zjawił się w ubiegły poniedziałek i miał wyjechać w piątek rano, jakoby do swoich rodziców, którzy mieszkają w Shropshire, niedaleko granicy z Walią. Najwidoczniej zaplanował jednak coś innego, bo w piątek rano rodzice dostali od niego list. Jego ojciec pokazał mi go. McMullen pisał, że nie radzi sobie z życiem i poddaje się.

- Podał jakiś powód?

- Ogólna depresja. Brak pracy, samotność i tak dalej. Policjant wzruszył ramionami.

Gini zmarszczyła brwi. Więc Knowles okłamał policję, najprawdopodobniej po to, aby uwiarygodnić możliwość samobójstwa. Ale dlaczego McMullen miałby podejmować taką decyzję właśnie teraz? Czy człowiek, z którym rozmawiali w czwartek wieczorem mógł się zabić zaledwie kilka godzin później? Nie była w stanie

w to uwierzyć. Nagle ogarnęło ją podniecenie. Miałam rację, pomyślała. W tej śmierci kryje się jakaś zagadka. Skoro policja zaakceptowała wersję, iż McMullen zatrzymał się w Christ Church, to najwyraźniej fakt istnienia domku w pobliżu rezydencji Hawthorne'a był dla wszystkich tajemnicą.

- Rozumiem, że McMullen zostawił wszystkie swoje rzeczy w Christ Church?

- Niewiele ich tam było. Jedna walizka, trochę ubrań na zmianę...

- Co znaleziono przy zwłokach? Widzi pan, interesuje mnie, na jakiej podstawie przeprowadzacie identyfikację. Myślę, że to może zainteresować czytelników...

Sierżant westchnął.

- Ach, te wszystkie listy i dokumenty, cała ta cholerna papierkowa robota, przepraszam za słownictwo... Kiedyś wypełnialiśmy formularze w trzech egzemplarzach, teraz wszystko robi się w komputerze. Właściwie to chyba mógłbym dać pani kopię, bo niby dlaczego nie? Proszę zejść ze mną do biura...

W biurze osunął się na krzesło, pogrzebał w papierach i po paru chwilach znalazł wydruk, którego szukał.

- Ten artykuł, który pani pisze... - Podał Gini kartkę. - To o metodach prowadzenia dochodzenia, tak?

- Tak.

- Dlaczego wybrała pani akurat ten przypadek? To rutynowa sprawa, skarbeńku. Mógłbym podsunąć pani jakieś przyjemne zabójstwo. Uśmiechnął się. - Albo narkotyki... W Oksfordzie wiele się dzieje w tej dziedzinie. Mniej więcej tydzień temu...

- Mojemu wydawcy zależy właśnie na rutynowej sprawie - przerwała mu Gini pośpiesznie. - Dokładnie o coś takiego mu chodzi, żeby przybliżyć czytelnikom codzienną pracę policji. Mam tutaj mapę... Czy mógłby mi pan pokazać, gdzie dokładnie zginął ten McMullen?

Podsunęła sierżantowi dużą, dokładną mapę. Przyglądał jej się długą chwilę, a potem wskazał palcem kwadrat. To miejsce w rzeczywistości leżało około szesnastu kilometrów od miasta, na południowy wschód. Tam, wśród niewielu wiosek, otwartych pól i lasów, drogę spinał ponad torami samotny mostek.

- Tutaj - powiedział. - Widzi pani ten mostek? Pośrodku lasu, dookoła pustka...

Gini bez komentarza złożyła mapę. Dookoła mostku był las, to prawda, lecz miejsce to leżało w pobliżu małego domu, w który dwa dni wcześniej była razem z Pascalem.

Kiedy wsiadła do wynajętego samochodu, jeszcze raz obejrzała mapę, usiłując przypomnieć sobie, jak wyglądał teren. Tak, tu był kościół i cmentarz, gdzie czuwała razem z Pascalem, niżej zaś, w dolinie, stał dom Hawthorne'a. Po drugiej stronie doliny rozciągał się gęsty las, otaczający kryjówkę McMullena, a tutaj był domek i droga, która prowadziła na miejsce.

Droga biegła jeszcze dalej. Po ciemku nie było tego widać, lecz na mapie zaznaczono, że mniej więcej pięć kilometrów dalej łączyła się z wąską szosą. Ten punkt był oddalony od miejsca śmierci McMullena o jakieś pięćdziesiąt metrów.

Przekręciła kluczyk w stacyjce, znowu wyłączyła silnik i jeszcze raz przyjrzała się mapie. Granice posiadłości Johna Hawthorne'a zostały na niej wyraźnie zaznaczone, więc wszystko wskazywało na to, że McMullen zginął niecały kilometr od wysokiego kamiennego muru, biegnącego wokół wiejskiej rezydencji ambasadora. W przypadku człowieka cierpiącego na obsesję na punkcie Hawthorne'a raczej nie było to bez znaczenia...

Zawahała się i spojrzała na zegarek. Dochodziła druga. Jeżeli zaraz zadzwoni do Anthony'ego Knowlesa, powinna przed zapadnięciem zmroku dotrzeć do linii kolejowej i domku w lesie.

Znalazła budkę telefoniczną i wybrała numer Christ Church. Uprzejmy portier poinformował ją, że doktora Knowlesa nie ma. Z samego rana wyjechał na trzydniową konferencję do Rzymu. Nie, niestety, nie może podać numeru telefonu...

Gini odwiesiła słuchawkę i oparła czoło o zimne szkło kabiny. Ulicą pędziły samochody, deszcz znowu zaczął padać. Zaledwie dwa dni wcześniej przechodziła tędy z Pascalem, starając się wypełnić jakoś czas do spotkania w Paradise Cafe. Na tamtym rogu Pascal spojrzał na nią i wziął ją za rękę... Nagły ból zupełnie ją obezwładnił. Serce ścisnęło się z rozpaczy.

W torebce miała kartkę z numerem telefonu domu, który wynajęli w St John's Wood. Wyjęła ją, ponownie chwyciła słuchawkę i wybrała numer.



Do południa Pascal skończył rozmieszczanie sprzętu. Dwa aparaty z potężnymi obiektywami tkwiły na statywach. Oko jednego skierowane było na schody prowadzące do wejścia willi, drugiego - w okna na parterze. Pascal przepchnął wszystkie meble pod ścianę, żeby poruszać się szybko i bez przeszkód nawet w ciemności. Pod ręką miał jeszcze cztery inne aparaty, dwa z filmami czarno-białymi i dwa z kolorowymi.

Dopóki był zajęty, mógł trzymać ból na dystans, lecz gdy skończył przygotowania, cierpienie wróciło. Siedział w brzydkim, okropnym pokoju, paląc jednego papierosa za drugim. Dlaczego powiedział te wszystkie rzeczy? Ukrył twarz w dłoniach. Jestem głupcem, pomyślał, pełen wściekłości i niepokoju.

W pewnym sensie wiedział, dlaczego zachował się tak, a nie inaczej. Tak bardzo zależało mu na powstrzymaniu Gini, że gotów był sięgnąć po wszystkie możliwe środki, aby osiągnąć ten cel.

Nie miał wątpliwości, że jeżeli mocno obciąży szalę, Gini się cofnie, ale w chwili, gdy zrozumiał, że ona nie zamierza zrezygnować, nawet gdyby oznaczało to koniec ich związku, dał się wciągnąć w obrzydliwą spiralę bólu, gniewu, niezrozumienia i wątpliwości, a także zazdrości o Hawthorne'a. Tak, żalostnej zazdrości, napędzanej wciąż trwającą niepewnością, co właściwie wydarzyło się pomiędzy nimi poprzedniego wieczoru. Jego umysł zaczął przeskakiwać od jednego szalonego wniosku do drugiego - Gini na pewno go nie kocha; ukrywa coś; jednak nic nie ukrywa... Z gniewnym okrzykiem zerwał się na nogi i zaczął chodzić po pokoju.

Wszystko to przez wybujałą dumę, pomyślał. Zawinił, pobłażając własnej pysze, zgrzeszył uporem, brakiem umiarkowania, cierpliwości i rozwagi, i jaki osiągnął rezultat? Rzucił Gini klucz... Rzucił go w okropny, pogardliwy sposób, nie pofatygował się nawet, żeby go podać, i mówił do niej tym strasznym, zimnym, obojętnym tonem, który wypracował podczas kilku lat małżeństwa. Zrobił to wszystko w chwili, kiedy tak naprawdę pragnął wziąć ją w ramiona... Nic dziwnego, że odeszła. Teraz była gdzieś w Oksfordzie, całkiem sama. Nie mógł do niej zadzwonić, nie miał szans, by się z nią skontaktować, a przecież wiedział, że Gini jest równie dumna i uparta jak on, więc nigdy do niego nie zadzwoni, za żadne skarby świata.

Jestem głupcem, pomyślał znowu. Głupcem, idiotą, kretynem. Powiódł wzrokiem po różowym brokacie i nagle pojął, że nie wytrzyma w tym pomieszczeniu ani minuty dłużej. Wpadł z domu, dotarł do ogrodowej furtki i dopiero wtedy uświadomił sobie, że nie ma motocykla ani samochodu, żadnego środka transportu. Co by było, gdyby Gini znalazła się w kłopotach? Gdyby był jej potrzebny? Wrócił do domu, zadzwonił do pierwszej lepszej firmy trudniącej się wynajmem samochodów, znowu wybiegł na zewnątrz, przypomniał sobie, że nie włączył automatycznej sekretarki, wpadł do środka, popatrzył na telefon i po krótkim zastanowieniu wykręcił numer. Na posterunku policji w Thames Valley bardzo chcieli mu pomóc, ale prowadzący sprawę sierżant miał właśnie przerwę na lunch. Nie, nie wiadomo, kiedy wróci. Następnie zatelefonował do college'u Christ Church i na wiadomość o wyjeździe doktora Knowlesa odzyskał odrobinę spokoju ducha. Nieobecność Knowlesa mogła przecież skłonić Gini do powrotu do Londynu. Zostawił portierowi mało zrozumiałą wiadomość, włączył sekretarkę i poszedł prosto do firmy wynajmującej samochody. Poprosił o najszybszy samochód, jakim dysponowali. Okazało się, że jest to czarny rover z przerobionym silnikiem. Nienawidził tych wozów, ale bez słowa usiadł za kierownicą i szybko odjechał.

Przez parę minut jeździł ulicami, próbując skupić się na geografii związanej z historią Hawthorne'a. Przejechał obok Regent's Park, meczetu i rezydencji ambasadora. Zmierzył czas dojazdu do zaułka. Gini oceniła, że powinno to zająć pięć minut, lecz on pokonał trasę w czasie krótszym dokładnie o połowę.

Przemknął obok wjazdu do zaułka i zawrócił, nie zwracając najmniejszej uwagi na dźwięk klaksonów. Przyspieszył, zwolnił, zahamował, zaparkował na żółtej linii, gdzie parkowanie było zabronione, wysiadł z wozu i wszedł na teren Regent's Park. Ominął znajdującą się po prawej stronie rezydencję, skręcił w lewo i poszedł ścieżką między platanami o nagich gałęziach. Dzień był słoneczny, lecz bardzo zimny. Minał budynki londyńskiego zoo po lewej i wyszedł na otwartą przestrzeń. Przystanął, nieobecny wzrokiem wpatrując się w drzewa i trawę. Od strony boksów dla zwierząt, które teraz miał za plecami, rozległ się długi, przenikliwy krzyk. Był to głos więzionego stworzenia, wyraz opuszczenia lub głodu. Potem zapadła cisza. Pascal poszedł dalej.

W końcu zatrzymał się w pewnej odległości za rezydencją ambasadora. Z miejsca, gdzie stał, widział dach budynku, a w tle lśniąca kopułę meczetu i minaret. Niebo było niebiesko-białe, bezchmurne. Kiedy na nie spojrzął, rozboleły go oczy. Moja ukochana, pomyślał. Ból, który szarpał mu serce, był dotkliwy. Potrafił zlokalizować ten ból, bynajmniej nie metaforyczny - jego źródłem było serce.

Odwrócił się i szybko poszedł do samochodu. Ruszył w kierunku wynajętego domu, oczywiście ze zbyt dużą prędkością, i zaparkował w niedozwolonym miejscu. Nie obchodziło go już, że może zwrócić na siebie uwagę. Teraz nie był w stanie zrozumieć, dlaczego wyszedł z domu. A jeżeli Gini dzwoniła? Wbiegł do środka. Była piąta trzydzieści. Małe światełko w pokrywie telefonu nie błyskało, co znaczyło, że Gini nie dzwoniła. Wszedł na górę i popatrzył na swoje aparaty. Ich widok wcale go nie pocieszył.

- Jezu Chryste... - powiedział głośno i uderzył pięścią w ścianę.

Zbiegł na dół, chwycił słuchawkę i wybrał numer mieszkania Gini w Islington. Zrobił to dokładnie w tej samej chwili, gdy Gini dzwoniła do niego z Oksfordu. Kiedy usłyszała szybki, urywany sygnał, Pascal nagrywał się na jej automatyczną sekretarkę.

- Kochanie, zadzwoń do mnie - powiedział. - Proszę, zadzwoń... Zadzwoń zaraz po powrocie...

Odłożył słuchawkę i spróbował się skupić. Może Gini po powrocie do Londynu pojedzie najpierw do domu w Hampstead, po swoje rzeczy. Nagle ujrzał ją oczyma wyobraźni, jak otwiera drzwi kluczem, który rzucił jej pod nogi. Jęknął cicho i ukrył twarz w dłoniach. Po chwili znowu sięgnął po słuchawkę i wybrał numer w Hampstead. Zostawił tam tę samą wiadomość co w Islington i przerwał połączenie. Zaraz potem doszedł do wniosku, że wybrał nieodpowiednie słowa i wypowiedział je w nieodpowiedni sposób, więc jeszcze raz zadzwonił pod oba numery i nagrał dłuższy dodatek.

- Kocham cię - rzekł. - Kocham cię całym sercem, najdroższa. Zadzwoń do mnie zaraz po powrocie...

Położył słuchawkę na widełkach. Już miał zadzwonić do Islington, a potem do Hampstead po raz trzeci, ponieważ uświadomił sobie, że zapomniał dodać, że

przeprasza ją najmocniej, jak potrafi, kiedy aparat rozdzwonił się pod jego dłoń. Chwytał słuchawkę.

Zawołał jej imię w tej samej chwili, gdy się odezwała.

Ułamek sekundy później czarny samochód z przyciemnionymi szybami wjechał w zaułek. Pascal zobaczył, jak wóz dojeżdża do końca uliczki, przystaje pod pseudogotycką willą, zawraca, wyjeżdża i znika.

- Naprawdę? - zapytała Gini. - Kocham cię, najmilszy. Nie widzę, nie słyszę i nie mogę myśleć ze szczęścia... Tak, płaczę... Nie wiem, dlaczego. Zaczęłam płakać, bo nie mogłam się do ciebie dodzwonić. Przepraszam cię, strasznie cię przepraszam... Masz rację, jestem dokładnie taka, jak powiedziałeś...

Uśmiechnął się.

- Ja też, kochanie. Muszę mieć cię tutaj, przy sobie. Wracaj do domu.

- Następnym bezpośrednim pociągiem, pośpiesznym o czwartej trzydzieści.

Wysiądę na dworcu Paddington około piątej czterdzieści, wezmę taksówkę i jeszcze przed szóstą będę z tobą, przysięgam...

- Nie mogłabyś przyjechać wcześniej?

- To nie ma sensu, przecież pośpieszny i tak jedzie krócej. Poza tym, w czasie rozmowy na policji zorientowałam się, że coś w tym wszystkim nie gra... Pojadę teraz spojrzeć na miejsce, gdzie on zginął, jeżeli zginął...

- Jeżeli? - zapytał ostro.

- Nie mogę ci tego teraz wyjaśnić, ale ktoś okłamał policję. Posłuchaj, pojadę tam tylko na chwilę i zaraz wrócę na stację. Obiecuję, że zdążę na ten pociąg.

Już miał wybuchnąć kolejną falą protestów i zakłęk, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język i zachował zastrzeżenia dla siebie, chociaż kosztowało go to naprawdę dużo wysiłku.

- Obiecujesz, że będziesz ostrożna, kochanie?

- Obiecuję...

Rozmawiali jeszcze chwilę, Gini wrzucała kolejne monety do automatu. Opowiedziała o swojej rozmowie z sierżantem miejscowej policji i odczytała z notatnika listę rzeczy znalezionych przy zwłokach. Zapisał wszystko. Po paru minutach, gdy sięgnęła do torebki, odkryła, że zużyła już wszystkie drobne.

- Muszę jechać, kochany. Nie mam już monet, zresztą niedługo zrobi się ciemno. Do zobaczenia o szóstej, to już tylko trochę ponad trzy godziny...

- O trzy godziny i trochę za długo - odparł.

W Oksfordzie Gini wyszła z budki na zwyczajną uliczkę, która teraz wydawała jej się rajskim miejscem. Nad nią rozpościerało się rajskie niebo, z którego padał rajski deszcz. Uniosła twarz i z radością pozwoliła, żeby zimne krople obmyły jej policzki.

W Londynie nieprzytomny ze szczęścia Pascal utkwiał niewidzący wzrok w pustym zaułku i cudownym błękitnobiałym niebie. Zrobił sobie kawy i wypalił kilka papierosów, wsłuchując się w ciszę i swoją radość.

Później, kiedy trochę się uspokoił, przebiegł wzrokiem podyktowaną przez Gini listę - portfel, karty kredytowe, klucze, pieniądze, papierosy, zapalniczka, zegarek na rękę, chustka do nosa, sygnet. Była to niczym niewyróżniająca się lista. Większość z tych rzeczy on też nosił we własnych kieszeniach, w każdym razie tak mu się wydawało. Nagle przyjrzał się liście raz jeszcze i zrozumiał, że jeżeli właśnie te przedmioty znaleziono przy McMullenie, to coś jest zdecydowanie nie tak.

Miejsce, gdzie zginął McMullen, było wyjątkowo ponure. Zanim Gini zdążyła tam dotrzeć, dwa razy myląc drogę, było parę minut po trzeciej i zaczęło już zmierzchać.

Krótką chwilę stała na mostku nad torami, dygocząc z zimna. Otaczały ją świeżo zaorane pola. Po prawej biegła droga prowadząca do domu McMullena. Kilkaset metrów dalej znikwała wśród sosen i starych buków, porastających zbocza i szczyt stromego wzgórza.

Tory biegły tu prosto jak strzelił. Kawki i wrony krakały ochryple, wrywając sobie jakieś pożywienie pod nasypem kolejowym. Najbliższy dom, opuszczona farma, znajdował się jakieś trzy kilometry dalej, przy drodze. Cudowne, ustronne miejsce, pomyślała ponuro. W sam raz nadające się do tego, żeby popełnić samobójstwo lub dać się zabić. .

Zeszła z mostku na tory, które kiedyś były ogrodzone, lecz drewniane sztachety chyba już dawno zgniły i rozpadły się. Między poszyciem i krzewami widać było zardzewiały drut kolczasty. Na wietrze łopotały resztki plastikowej taśmy, którą oznaczono miejsce wypadku. Na nasypie leżało mnóstwo śmieci - puszki po napojach,

plastikowe torebki, koło od roweru. Drobne kamienie, którymi wysypano nasyp między torami, usiane były rdzawymi plamami. Chwilę patrzyła na nie, nie uświadamiając sobie, co właściwie widzi, potem zaś szybko odwróciła oczy.

Nagle tory zadudniły życiem. Powietrze zawibrowało, rozległ się huk. Zaraz potem, dosłownie po sekundzie, najwyżej dwóch, zabłysły światła. Pociąg znalazł się w miejscu, gdzie stała Gini, z przerażającą szybkością. Chociaż była oddalona od torów o dobre dwa metry, uderzenie powietrza zaparło jej dech w piersi. Zatoczyła się do tyłu, poślizgnęła na mokrych kamieniach i upadła. Zanim zdążyła podnieść głowę, pociąg zniknął. Powietrze wciąż drżało, z oddali niósł się przeraźliwy gwizd lokomotywy. Kawki z oburzonym krzykiem poderwały się z nagich gałęzi drzew.

Powoli dźwignęła się na nogi. Ślizgając się i potykając na rozmięklej ziemi niższej części nasypu, dotarła do mostku. Odwróciła się i spojrzała na drogę, prowadzącą do domku McMullena.

Pomyślała, że jeżeli zachowa ostrożność, powinna dotrzeć tam bez większego trudu. Od Oksfordu i dworca dzieliło ją dwadzieścia minut drogi samochodem, miała więc jeszcze sporo czasu. Popatrzyła na ciemny las na szczycie wzgórza i zawahała się. Zmrok gęstniał. Nie miała wielkiej ochoty na jazdę w zapadających ciemnościach, lecz skoro przyjechała aż tutaj, to nie po to, by w ostatniej chwili stracić odwagę. Pomyślała o Hawthornie i o tym, co usłyszała od niego poprzedniego wieczoru. Nie wierz we wszystkie kłamstwa, powiedział.

Otrząsnęła się z niezdecydowania, pobiegła do samochodu i ostrożnie ruszyła. Jechało jej się łatwiej i szybciej, niż myślała. Dotarła prawie na szczyt wzgórza. Niecałe sto metrów poniżej domku droga okazała się nieprzejezdna. Zostawiła samochód na niewielkiej polanie i poszła dalej pieszo.

Dookoła panowała całkowita cisza, zakłócana jedynie szelestem gałęzi. Starając się stapać cicho i ostrożnie, zmierzała do kryjówki McMullena. Wyszła spośród drzew prosto na mały dziedziniec za domkiem. Przystanąła i chwilę nasłuchiwała. Dom stał ciemny i cichy. Gini powoli przeszła przez podwórko do kuchennych drzwi. Nacisnęła klamkę, lecz drzwi były zamknięte, okna zasłonięte okiennicami. Obeszła dom i zatrzymała się przed frontowymi drzwiami.

Znowu nasłuchiwała. Cisza, nawet wiatr się uspokoił. Położyła dłoń na klamce i nagle wciągnęła powietrze, przestraszona i zaskoczona. Drzwi były otwarte i właściwie same uchylły się bezgłośnie na dobrze naoliwionych zawiasach. Wewnątrz było zupełnie ciemno.

Uświadomiła sobie, że nie wzięła latarki i cicho zaklęła. Stała na progu domu. Gdzieś w lesie za jej plecami trzasnęła gałąź i zaszeleściły wyschnięte liście. Zamarła, lecz nie usłyszała nic więcej. Zwierzę, powiedziała sobie. Jakieś małe zwierzę, to wszystko... Weszła do pokoju, zamknęła za sobą drzwi, oparła się plecami o ścianę i sięgnęła do włącznika.

Potok światła uspokoił ją. Pokój był pusty i wyglądał tak samo jak wcześniej. Szybko rozejrzała się dookoła. Parę sprzętów, dwie książki w miękkich okładkach, stos gazet, butelka whisky, szklanki, grzejnik olejowy...

Mimo wszystko nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że coś się zmieniło, że coś jest nie tak. Zauważyła, że plecak zniknął, ale to nie był główny powód jej niepokoju. Ponownie rozejrzała się i nagle pojęła, o co chodzi. W pokoju nie było zimno. Kiedy przyjechali tu z McMullenem, w domu panował lodowaty chłód. Z cichym okrzykiem podeszła do kaloryfera i dotknęła go. Szybko cofnęła dłoń. Był jeszcze ciepły.

Stała nieruchomo, z mocno bijącym sercem. Ktoś był tutaj, i to całkiem niedawno. Pobiegnęła do kuchni. Pojemnik ze smarem do broni zniknął. Wróciła do pokoju i sięgnęła po leżącą na wierzchu stosu gazetę.

Był to miejscowy dziennik, „Oxford Mail”. Piątkowe wydanie... Z zapartym tchem wpatrywała się w datę. Zmarli nie kupują gazet, pomyślała. Jakim cudem McMullen mógł kupić gazetę i przywieźć ją tutaj, skoro o szóstej rano, w ten właśnie piątek, leżał martwy na torach ponad cztery kilometry stąd?

Powoli potoczyła wzrokiem po pokoju. Butelka szkockiej, trzy nieumyte szklaneczki, jeszcze ciepły grzejnik... Kłamstwo doktora Knowlesa, który poinformował policję, że McMullen spędził z nim wieczór ostatniego dnia przed śmiercią...

Czy McMullen rzeczywiście nie żył, czy też wciąż był wśród żywych, miał się świetnie i nadal działał?

W gardle zaschło jej ze strachu, skórę miała wilgotną od potu.



W domu panowała głucha cisza. Gini wzięła się w garść. Podeszła do drzwi, oddzielających pokój od schodów na górę i otworzyła je. Długą chwilę stała, usiłując opanować drżenie mięśni, i wpatrywała się w ciemność.

Schody trzeszczały, kiedy wspinała się na górę. Nie było tu ani poręczy, ani włącznika światła, schody prowadziły prosto do jedyne go pokoju na pięterku. W suficie znajdowało się gołe okienko. Gini przywarła plecami do ściany, czekając, aż oczy przyzwyczają się do ciemności.

Stopniowo zaczęła rozróżniać kształty. W pokoju nie było żadnych mebli. Na podłodze bezpośrednio pod oknem ktoś rozłożył kawałek wykładziny i śpiwór. Przez jedną straszną chwilę miała wrażenie, że na posłaniu ktoś leży, zaraz jednak zdała sobie sprawę, że poza nią w pomieszczeniu nie ma żywej duszy. Obok śpiwora leżało kilka przedmiotów.

Zbliżyła się, uklękła i spróbowała rozpoznać je dotykiem. Pusty metalowy świecznik, pudełko zapalek i jakiś pakunek... Płaska, sztywna paczuszka - koperta z grubej tektury, otwarta z boku. Wymacała rozcięcie, najprawdopodobniej zrobione nożem.

Podniosła kopertę z nadzieją, że uda jej się odczytać nazwisko adresata w mniej gęstej ciemności pod okienkiem, lecz okazało się to niemożliwe. Znowu poczuła dreszcz. Z lękiem wsłuchiwała się w ciszę. W kopercie coś było, coś sztywnego i zupełnie gładkiego.

Przesunęła dłońmi po podłodze dookoła i pod śpiworem, ale nie znalazła niczego więcej. Chwyciła kopertę i ostrożnie zeszła na dół.

Światło trochę ją uspokoiło, wreszcie odetchnęła pełną piersią. Czowała, że musi się bardzo śpieszyć. Spojrzała na przylepioną na środku koperty kartkę z wydrukowanym adresem: *James McMullen, c/o doktor Anthony Knowles, Christ Church, Oksford*. Znaczka nie było, co wskazywało, że ktoś musiał osobiście doręczyć przesyłkę.

Wewnątrz znajdowały się zdjęcia, owinięte kartką grubego białego papieru. Kiedy przebiegła wzrokiem treść listu, wydała cichy okrzyk zdumienia. Pod kilkoma zdaniem i widniał podpis ojca Johna Hawthorne'a, sam list zaś był krótki i zwięzły.

*Panie McMullen,*

*Wystąpił pan z wyjątkowo nierozważnymi oskarżeniami, dotyczącymi blondynek. Wydaje mi się, że powinien pan poznać prawdę. Te fotografie wykonano w ciągu ostatnich trzech miesięcy ubiegłego roku, w trzecią niedzielę każdego z nich. Żegnam, panie McMullen. Spodziewam się, że nie będzie pan więcej niepokoił tej rodziny.*

Gini ze zmarszczonymi brwiami jeszcze raz przeczytała list. Myliłam się, pomyślała. Hawthorne kłamał. Zawahała się, nie chcąc oglądać zdjęć, lecz po chwili wyjęła je. Przeczucie podpowiadało jej, co zobaczy, lecz nie spodziewała się pornografii. Na widok trzech ujęć, opisanych nazwami miesięcy - październik, listopad, grudzień - krzyknęła cicho i upuściła je na podłogę.

Pochyliła się i spojrzała na fotografie. Wszystkie trzy były czarno-białe. Na wszystkich trzech kobieta ubrana była w czarny, obcisły gorset o głębokim wycięciu, całkowicie odsłaniającym piersi, długie czarne rękawiczki, czarne pończochy i czarne skórzane pantofle na bardzo wysokim obcasie. Na wszystkich trzech klęczała przed mężczyzną. Na każdym zdjęciu widać było innego mężczyznę, chociaż wszyscy mieli dwie cechy wspólne - byli młodzi, koło dwudziestki i jasnowłosi. Gini nie знаła żadnego z nich. Każdy miał ręce skute kajdankami na plecach, każdy miał na sobie robotniczy kombinezon lub brudne dżinsy, każdy mógł poszczycić się muskularną budową ciała. Jeden miał ślady zadrapań na twarzy. Ten z listopada zdjął koszulę, odsłaniając potężne ramiona, pokryte tatuażami. Wszyscy mieli rozsunięte rozporki, z których sterczały sztywne penisy.

Na pierwszym zdjęciu kobieta trzymała penis partnera w dłoni, na drugim ssła go. Trzecia fotografia, najgorsza, ukazywała moment tuż po orgazmie mężczyzny - uniesiona twarz kobiety, jej czarne włosy i nagie piersi spryskane były gęstym nasieniem. Kobieta robiła wrażenie pogrążonej w ekstazie. Patrzyła na kogoś, najprawdopodobniej na osobę, która robiła zdjęcia, z wyrazem triumfu i zachwytu.

Gini poczuła, że robi jej się niedobrze. Podniosła zdjęcia i list, i szybko wepchnęła je z powrotem do koperty. Stała na środku pokoju, dygocząc z obrzydzenia. Zamknęła oczy. Techniczna jakość fotografii była wręcz doskonała, więc pomyłka nie wchodziła w grę. Wreszcie pojęła, że musi zmienić płeć ofiary, a także główny wątek

historii. To mężczyzna był skuty kajdankami, to mężczyzna miał jasne włosy... I to nie John Hawthorne lubił raz w miesiącu uprawiać seks z obcymi, lecz jego żona. Pornograficzne zdjęcia przedstawiały Lise Hawthorne.

Gini miała ochotę jak najszybciej uciec z tego domu, pobiec do samochodu, złapać pociąg i wrócić do Pascala. Pośpiesznie przeszła przez pokój i wyłączyła światło. Miała jeszcze czas i powinna spokojnie dojechać do Oksfordu.

Otworzyła drzwi i spojrzała w ciemność. Wiatr znowu się zerwał, księżyc wschodził, powoli rozświetlając niebo usiane maleńkimi kryształkami gwiazd. Małe chmurki szybko mknęły na wschód.

Światło na zewnątrz było mylące i podstępne. Stwarzało wrażenie, że nieruchome obiekty żyją własnym życiem. Przystanęła na progu, z lękiem wpatrując się w poruszające się cienie. To McMullen odebrał zdjęcia, pomyślała. McMullen żyje... Zrobiła krok do przodu i wtedy to usłyszała. Mogło to być nic lub coś - ni to najcichszy szelest, ni to szmer. Natychmiast pojęła, co słyszy. Ktoś był w ciemności pod domem i coś, co miał na sobie albo trzymał w ręku, otarło się o ścianę.

Zakryła usta dłonią, żeby stłumić krzyk. Zesztywniała ze strachu. Czy rzeczywiście słyszała teraz oddech? Chyba tak... Bardzo powoli cofnęła się do środka i stanęła za drzwiami.

Nasłuchiwała. Szelest suchych liści, trzask gałęzi, cisza... Może tylko wyobraziłam sobie tamten dźwięk, pomyślała i zrobiła mały krok. Wyciągnęła rękę w kierunku jaśniejszego pasma tuż przy krawędzi uchylonych drzwi. I wtedy, bez ostrzeżenia, z zupełnej ciszy i bezruchu buchnął na nią prąd powietrza. Błady skrawek księżycowego światła zniknął. Ktoś zatrzaskał drzwi.

I przekręcił klucz w zamku. Jęknęła cicho. Teraz słyszała już kroki, zmierzające na tył domu. Ruszyła do kuchni, po drodze boleśnie uderzając udem o stół. Kuchenne drzwi były zamknięte, lecz w zamku od środka nie było klucza. Ktoś chodził po podwórku. Otworzył drzwi szopy, potem je zamknął, podszedł do tylnych drzwi. Uszu Gini dobiegły nowe odgłosy - ktoś włókł jakiś ciężar po ziemi, potem go dźwignął.

Znowu zasłoniła usta otwartą dłonią i przywarła do drzwi, nasłuchując. Przez drewniany panel wyraźnie słyszała oddech.

Ten, kto był na zewnątrz, czekał pod drzwiami. Ale na co?

## XXXIV

Godzina szósta minęła. Pascal siedział w różowej sypialni na piętrze i czekał. O szóstej piętnaście zszedł na dół i zaczął nasłuchiwać, czy pod dom podjeżdża taksówka. Przez pół godziny, nawet trochę więcej, jego umysł wykazywał się sporą inwencją, wymyślając jedno usprawiedliwienie przedłużającej się nieobecności Gini za drugim. Przyjechała na Paddington w przewidzianym czasie, ale nie mogła złapać taksówki. Nie, to raczej jej pociąg się spóźnił, o dziesięć, może piętnaście minut, na pewno nie więcej. Później zaczął wyobrażać sobie poważniejsze powody spóźnienia. O siódmej trzydzieści wyobraźnia kompletnie go zawiodła i wtedy zadzwonił na dworzec Paddington. Poinformowano go, że pociąg wyjeżdżający z Oksfordu o czwartej trzydzieści przyjechał punktualnie. Poczł pierwsze dojmujące ukłucie przerażenia. Usiłował zachować spokój - zapisał godziny przyjazdów innych wieczornych pociągów z Oksfordu i zaczął liczyć minuty. Jeżeli Gini spóźniła się na pierwszy pociąg i złapała drugi, mógł spodziewać się jej koło ósmej. Na krótki czas ta możliwość trochę go uspokoiła, lecz wkrótce ósma także minęła.

Wrócił na górę, do ciemnej sypialni, pochylił się nad wizjerem i przyjrzał zaułkowi. Nadal panował tam całkowity spokój. W żadnym domu nie paliły się światła. Okna pseudogotyckiej willi również były ciemne, zasłony częściowo opuszczone, a ukryte za nimi pokoje ciche i senne, zupełnie jakby one także na coś czekały.

Niepokoił się, że Gini nie dzwoni. Dochodziła dziewiąta, co oznaczało, że spóźniła się i na drugi pociąg. Zamierzała być na dworcu w Oksfordzie o czwartej, co więc wydarzyło się w ciągu tych pięciu godzin? Tego wieczoru z Oksfordu do Londynu odjeżdżały jeszcze tylko dwa pociągi. Jeden powinien być na Paddington koło dziewiątej, drugi tuż po północy. Pascal siedział w ciemności, czując jak czas powoli posuwa się naprzód.

Zawsze miał wyostrzony słuch, a otaczająca go ciemność jeszcze nasilała tę cechę. Zaułek wciąż był cichy i mroczny, lecz on słyszał najdrobniejsze odgłosy, dobiegające z ulicy, przy której stał wynajęty przez niego dom. Gdzieś niedaleko rozpaczliwie zaskomlał pies, zaraz potem rozległy się kroki, odgłos otwieranych i

zamykanych drzwi, szmer opon... Telefon wciąż milczał, na dole nie zatrzymywała się żadna taksówka. Pascal zerwał się i zaczął chodzić po pokoju. Po chwili znowu zszedł na dół.

Nie chciał zajmować linii telefonicznej, na wypadek gdyby Gini próbowała się z nim skontaktować, lecz o dziewiątej trzydzieści napięcie stało się nie do zniesienia. Oczyma wyobraźni widział, jak Gini ze zbyt dużą prędkością bierze ostry zakręt w kruchym, wynajętym samochodzie, na mokrej wiejskiej drodze, jak koła blokują się i wchodzą w poślizg. Zadzwoił na policję i długo czekał, aż spokojna, rozważna policjantka sprawdzi listę wypadków. Nie, w okolicy Oksfordu w ciągu tego popołudnia i wieczoru nie było żadnych wypadków drogowych, poinformowała go wreszcie. Zaraz potem doznał przyływu inspiracji - Gini powiedziała, że wynajęła na dworcu samochód, zadzwonił więc na stację kolejową w Oksfordzie, zapytał o nazwę firmy i wybrał jej numer. Telefon odebrała kobieta, Wyraźnie zniecierpliwiona. Oświadczyła, że czeka tylko na ostatniego klienta, który wcześniej zamówił samochód telefonicznie i lada chwila powinien przyjechać pociągiem z Londynu. Gdyby nie on, wyszłaby już godzinę temu, w końcu jest sobotni wieczór...

Pascal wyczuł, że kobieta chce odłożyć słuchawkę i ze zdwojoną siłą przypuścił rozpaczliwy atak. Po paru chwilach jego rozmówczyni zdecydowała się sprawdzić wpisy z popołudnia. Tak, panna Hunter zwróciła wypożyczony samochód, który teraz stoi na parkingu przed biurem. Nie, nie jest w stanie powiedzieć, o której to było. Sama nie widziała panny Hunter, ale sądzi, że zwrot nastąpił w ciągu ostatnich dwudziestu minut, zajęła się tym jedna z jej koleżanek. Nie, tej koleżanki już nie ma, skończyła pracę i wyszła.

Pascal podziękował i odłożył słuchawkę. Spojrzał na zegarek. Dziesiąta piętnaście. Poczł przyływ nadziei, nawet ulgi. Wszystko to razem musiało oznaczać, że Gini bezpiecznie dotarła na dworzec. Może próbowała dodzwonić się do niego, kiedy rozmawiał z policją? Najprawdopodobniej wsiadła do ostatniego pociągu, który wyjechał z Oksfordu przed trzema minutami i teraz powoli zmierza do Londynu. Będzie na Paddington o północy. Na pewno przyjedzie, na pewno jest bezpieczna.

Podniesiony na duchu, poszedł do kuchni i zrobił sobie kawę. Usiadł przy stole i ukrył twarz w dłoniach. Przez cały dzień nic nie jadł i wcale nie był głodny. Starł się

powoli sączyć kawę, ale kofeina i papierosy wprawiły go w stan niepokoju. Nagle przypomniał sobie listę przedmiotów, znalezionych przy zwłokach McMullena. Jeżeli były to zwłoki McMullena, jeżeli McMullen rzeczywiście zginął...

Wyjął kartkę z kieszeni i przebiegł wzrokiem spis. Gdyby nie słowa Gini, która powiedziała mu o rozbieżnościach w przedstawionym policji opisie ostatnich godzin życia McMullena, nie od razu by zauważył, że coś jest nie w porządku z listą, lecz dzięki niej natychmiast rzuciły mu się w oczy dwa dziwne fakty.

Lista została sporządzona w bardzo metodyczny sposób. Uwzględniono w niej liczbę drobnych monet, znalezionych w kieszeni zabitego, herb wyryty w oczku sygnetu, markę zegarka i zapalniczki, rodzaje kart kredytowych i nazwę papierosów. McMullen miał w kieszeni paczkę silkcutow, dość popularnych w Wielkiej Brytanii, tyle że z całą pewnością nie były to papierosy, które palił przy Pascalu i Gini. McMullen palił papierosy bez filtra, co obecnie było na tyle niezwykle, że Pascal zwrócił na to uwagę, nie używał też zapalniczki, tylko zapalek.

Czyżby więc McMullen zainscenizował własną śmierć? A może ktoś próbował go zabić i przez pomyłkę zamiast niego uśmiercił kogoś innego? Próbował się skupić, przypomnieć sobie szczegóły rozmowy, którą Gini poprzedniego wieczoru odbyła z Hawthorne'em u Mary.

Wszystko wskazywało na to, że Hawthorne nic nie wiedział o ich spotkaniu z McMullenem w Oksfordzie, chociaż ktoś poinformował go o wcześniejszych próbach nawiązania kontaktu w Regent's Park i British Museum. Pascal był do niedawna przekonany, że Hawthorne tylko udawał niewiedzę, usiłując wyciągnąć pewne wiadomości od Gini. Nie miał cienia wątpliwości, że ludzie Hawthorne'a pojechali za nimi do Oksfordu, ponieważ wcześniej śledzili ich i podsłuchiwali przez prawie dwa tygodnie. Obawiał się, że pojawienie się ich obojga w Oksfordzie może naprowadzić wrogów McMullena na jego trop i rzeczywiście, w parę godzin po ich wyjeździe James McMullen zginął na torach kolejowych.

Hawthorne był w Oksfordzie tego samego wieczoru co oni. Oboje go widzieli, a Pascal przyjął, że jego wizyta w wiejskiej rezydencji miała jeden, bardzo oczywisty cel. Hawthorne przyjechał, aby upewnić się, że tym razem McMullen zostanie wreszcie skutecznie uciszony. Pascal uznał ten scenariusz za zupełnie oczywisty, ale



teraz zaczynał mieć wątpliwości. A jeżeli McMullen wcale nie zginął? I jeżeli Gini miała rację, przecucia ją nie myliły? Czy możliwe, by John Hawthorne był niewinny, a przynajmniej częściowo niewinny?

Nagle przez głowę przemknęła mu nowa, przerażająca myśl. Starał się ją odegnąć, ale nie chciała zniknąć, więc chcąc nie chcąc, musiał jej się przyjrzeć. Nie miał pojęcia, czy Hawthorne jest teraz w Londynie, czy nie. A jeśli jest w Oxfordshire i Gini o tym wie? Wyjaśniałoby to jej upór, aby właśnie tego dnia pojechać do Oksfordu... Jeśli spotkała się tam z Hawthorne'em, tłumaczyłoby to jej spóźnienie...

Podniósł się gwałtownie i zaczął chodzić po pokoju. Nie, powiedział sobie, to niemożliwe. Gini nigdy by go nie okłamała. Gdyby miała pewność, że Hawthorne będzie w swoim wiejskim domu, powiedziała mu o tym. Z drugiej strony, potrafił sobie wyobrazić, jak Gini pod wpływem impulsu kontaktuje się z Hawthorne'em i, dowiedziawszy się o jego obecności w Oxfordshire, umawia się z nim na spotkanie. I wtedy... Pascal jęknął i ukrył twarz w dłoniach. Usiłował zapanować nad swoją zazdrosną wyobraźnią, lecz nie potrafił.

Czuł, jak w jego umyśle migają obrazy. Nadal nie wiedział szczegółowo, co wydarzyło się podczas rozmowy Hawthorne'a i Gini, i teraz obawiał się, że już nigdy się tego nie dowie i nie zrozumie. Wyobrażał sobie, jak Hawthorne dotyka Gini i w jaki sposób to robi, i potwornie cierpiał. Przyszło mu do głowy, że Gini mogła pozytywnie zareagować na pieszczoty Hawthorne'a, i że wstydziła się przyznać do tego nie tylko Pascalowi, ale także samej sobie. Skoro zareagowała w ten sposób poprzedniego wieczoru, to czy nie mogło się to powtórzyć?

Ujrzał Gini w ramionach innego mężczyzny i ten obraz poraził go niczym uderzenie pioruna. Widział, jak Hawthorne dotyka jej piersi i rozwiera jej uda. Zrobił krótki, rozpaczliwy gest, ze wszystkich sił próbując odrzucić podejrzenia.

Znał Gini jak siebie samego. Jego ciało znało jej ciało. Nie tylko oczy i uszy zapisywały jej reakcje i sposoby odwzajemniania pieszczot, ale także dłonie, genitalia, usta i serce. Dostyc, powiedział sobie, lecz umysł nie chciał już słuchać, a pamięć podsuwała jeden obraz za drugim. Wyraz jej oczu, tuż zanim w nią wszedł, promienna jasność twarzy w chwili, gdy to robił, ruchy ciała, rozchylenie warg, kiedy zwalniał tempo, ślepa, ognista namiętność w tym ułamku sekundy, gdy wiedział, że wystarczy



jeden ruch, najwyżej dwa, aby doprowadzić ją do orgazmu. Wszystkie te gesty, ruchy, dotknięcia i odczucia uważał za swoje własne, zarezerwowane wyłącznie dla niego. Nie potrafił nawet wyobrazić ich sobie, nie doświadczając najostrzejszego pożądania. Przez chwilę widział i czuł pod palcami wilgotne pasma jej włosów, czuł w ustach słonawy posmak piersi i odczytywał w oczach wzruszenie i pożądanie, jakim zawsze, niezmiennie witała złączenie ich ciał.

Poruszała się wtedy i całowała go w szczególny, niepowtarzalny sposób, mówiła rzeczy, których nie powtarzała w żadnej innej sytuacji, i Pascal wierzył, że wszystko to należy tylko do niego, niezależnie od tego, ilu miała kochanków, kim byli i co z nimi robiła. Wszyscy oni byli równie nierzeczywiści jak kobiety z jego przeszłości. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że Gini mogła do nich należeć, lecz teraz z przerażającą jasnością zdał sobie sprawę, że padł ofiarą złudzenia lub niedostatku własnej wyobraźni.

Teraz dokładnie widział Gini w objęciach Hawthorne'a. Dzięki rozbudzonej wyobraźni był świadkiem, jak Gini mówi innemu mężczyźnie te same rzeczy i obdarowuje go tymi samymi doznaniemami.

Jeżeli była to zazdrość, to Pascal nigdy wcześniej nie doświadczył czegoś podobnego. To uczucie przenikało całe jego ciało, było jak nóż wbity w serce i w krocze. Wstydział się obrazów, przemykających przez jego umysł i bał się ich. Miał wrażenie, że są niczym obce, całkowicie nieznane istoty, które dokonują brutalnej inwazji, lecz nie potrafił odeprzeć ataku. Przystanął na środku brzydkiej kuchni i niewidzącym spojrzeniem potoczył po klinicznie białych powierzchniach, poprzecinanych lśniąącym chromem. Starał się skupić na nic nieznających szczegółach - na kształtach i kolorach filiżanek, talerzy, noży i łyżeczek.

Stopniowo uspokoił się i poczuł, jak cofają się podsuwane przez wściekłą zazdrość obrazy. Zrozumiał, że takie myśli są najprawdziwszą zdradą. Mój umysł mnie okłamuje, pomyślał. Wszystko będzie dobrze, byle tylko Gini przyjechała ostatnim pociągiem...

Nagle odwrócił się, przywołany do rzeczywistości jakimś prawie niezauważalnym odgłosem, i zaczął czujnie nasłuchiwać. Szybko wyszedł do holu.

Tak, miał rację. Było dwadzieścia po jedenastej i wyraźnie usłyszał charakterystyczny warkot silnika londyńskiej taksówki. Samochód zatrzymał się na ulicy.

Ulga ogarnęła go wielką falą. Z imieniem Gini na ustach rzucił się do drzwi i już miał je otworzyć, gdy nagle dobiegły go obce głosy. Mężczyzna i kobieta wymieniali uwagi na temat przyjęcia, z którego niedawno wyszli. Ich kroki minęły dom, skomlały pies zaniósł się gwałtownym szczekaniem, drzwi otworzyły się i zamknęły. Do zaułka powróciła cisza. Już niedługo, pocieszył się Pascal. Oby jak najszybciej... Postanowił, że jeszcze raz sprawdzi, czy aparaty są przygotowane. Każda czynność, dzięki której mógł zapanować nad wyobraźnią, wydawała mu się dobra.

Pokoje na piętrze pogrążone były w ciemności. Na dole Pascal zostawił zapaloną lampę na stoliku obok telefonu i drugą w kuchni. Kiedy ruszył ku schodom, obie lampy nagle zgasły.

Pascal zamarł. Stał bez ruchu, starając się myśleć szybko i skutecznie. Podszedł do wejściowych drzwi i zamknął zasuwę. Przesuwał dłonią po ścianie od jednego włącznika światła do drugiego, lecz żaden nie działał. W kuchni otworzył drzwi lodówki - umieszczona wewnątrz lampka nie zapaliła się. Cicho wycofał się do holu i podniósł słuchawkę. Telefon także nie działał.

Ostrożnie przeszedł do salonu i rozchylił zasłony. W dwóch domach naprzeciwko paliły się światła, uliczne latarnie działały. Najwyraźniej nie była to zwyczajna awaria prądu, lecz kolejna gra, podobna do tych, jakimi kilka dni temu ktoś uraczył Gini. Zaczyna się, pomyślał. Ktoś wie, że tu jestem.

Ta świadomość pomogła mu się skoncentrować. Wszedł na górę i otworzył drzwi do sypialni w tylnej części domu.

Zrozumiał, że ktoś starannie wybrał właśnie ten moment. Za dwadzieścia minut miała zacząć się trzecia niedziela miesiąca i przed pseudogotycką willą pojawił się pierwszy gość. Pascal doskonale widział w ciemności i potrafił poradzić sobie nawet bez pomocy noktowizora. Ciemno ubrany mężczyzna, który przed paroma sekundami pojawił się na podjeździe, zaczynał wchodzić na schody.

Pascal schylił głowę nad aparatem, poprawił ostrość i przyjrzał się twarzy mężczyzny. Jeden z ochroniarzy Hawthorne'a, pomyślał. Na pewno nie był to Malone,

lecz miał wrażenie, że na podstawie opisu Gini rozpoznaje Franka Romero. Wysoki, ciemnowłosy, potężnie zbudowany mężczyzna... Skoncentrował się na jego ubiorze. Przybysz miał na sobie ciepły czarny płaszcz, rozpięty. Pod nim błyskały mosiężne guziki. Mężczyzna przestąpił z nogi na nogę, chuchnął w dłonie i otulił się płaszczem. Jego oddech zawisł w mroźnym powietrzu w postaci białych obłoczków. Postawił kołnierz płaszcza, zmarszczył brwi i westchnął. Stał na szczycie schodów, nie próbując wejść do domu.

Pascal zrobił trzy zdjęcia. Mężczyzna miał topornie wyciosaną, szeroką, dość prymitywną twarz. Widział niewielką ranę po gołeniu na jego lewym policzku i stebnowanie na kołnierzu płaszcza. Ochroniarz niechętnie spojrział w niebo, ogarnął wzrokiem ogród i odwrócił się, skupiając spojrzenie na wjeździe do zaułka. Minuty mijały powoli. Mężczyzna spojrział na zegarek.

Pascal napiął kontuzjowane prawe ramię, poruszył palcami i znowu schylił się nad aparatem. Czekał, podobnie jak tamten, lecz nie trwało to długo.

Czarny samochód pojawił się trzy minuty po północy. Anonimowy, szybki wóz - ford scorio, z kierowcą i pasażerem. Pascal zrobił dziesięć zdjęć, strzelając z aparatu jak z karabinu. Mężczyzna w czarnym płaszczu zbiegł po schodach i zbliżył się do samochodu. Otworzył drzwiczki po stronie kierowcy.

Z forda wysiadł John Hawthorne. Oparł ramię na dachu wozu i odwrócił się, żeby spojrzeć na ogród. Pascal miał go tuż przed sobą, w dużym zbliżeniu. Dokładnie widział napięcie i dziwne połączenie zniecierpliwienia i znużenia, malujące się na jego twarzy. On także ubrany był w czarny płaszcz, spod którego wyzierała śnieżna biel koszuli. Miał na sobie smoking.

Ściągnął brwi, obszedł samochód od przodu i przystanął. Ochroniarz wsunął się za kierownicę. W tej samej chwili Hawthorne pochylił się i otworzył drzwi po stronie pasażera. Przez moment Pascal nie mógł nic dostrzec, ponieważ widok zasłaniały mu otwarte drzwiczki i ramię Hawthorne'a, lecz zaraz potem zobaczył falę długich jasnych włosów. Akumulator aparatu fotograficznego zaszumiał cicho. Z samochodu wysiadła kobieta.

Kiedy Hawthorne i jego towarzyszką ruszyli ku schodom, nie widział twarzy blondynki. Czarny ford scorio z ochroniarzem za kierownicą na tylnym biegu

wycofał się z podjazdu, zatoczył łuk na końcu zaułka i z dużą prędkością wyjechał na główną ulicę. Jego światła pomknęły na południe, wyraźnie widoczne na tle nocnego nieba. Hawthorne i kobieta bez pośpiechu wchodzili po schodach. W ich zachowaniu nie było ani śladu obawy czy choćby czujności. Hawthorne objął ramieniem kobietę, która również miała na sobie czarny płaszcz. Jej włosy wydawały się bardzo jasne na ciemnym tle kołnierza. Przystanęli przed drzwiami. Pascal zrobił kilka następnych kłatek. Hawthorne wyjął z kieszeni klucz, jego wargi się poruszyły. Odwrócił się i powiedział coś do kobiety. Pascal ustawił obiektyw na długie, jasne włosy.

- Odwróć się do mnie... - wymamrotał. - No, odwróć się...

Powiew wiatru uniósł leżące na ramionach srebrzyste pasma, które zasłaniały twarz kobiety. Lekko poruszyła głową i wtedy Pascal ujrzał bladej profil, jasne wargi. W napięciu parokrotnie nacisnął migawkę.

Nagle przerwał i znieruchomiał. Miał wrażenie, że kobieta usłyszała jego myśli, bo kiedy Hawthorne przekręcił klucz w zamku i drzwi się otworzyły, wreszcie zwróciła twarz w kierunku Pascala. Jej proste brwi zbiegły się lekko w wyrazie zdziwienia. Patrzyła prosto w okno, za którym czekał Pascal, prosto w jego obiektyw. Miała piękną twarz, lecz Pascal nawet nie drgnął. Nie był w stanie robić zdjęć, ręce odmówiły mu posłuszeństwa. Stał nieruchomo, ze wzrokiem utkwionym w okienku noktowizora, czując, jak po plecach przebiega mu lodowaty dreszcz. Zaklął, poprawił ostrość i znowu spojrzał na towarzyszkę Hawthorne'a.

Była nią Gini. Blask księżycy rozświetlał jej skórę, ciemność podkreślała odcień włosów. Bladej jak duch, poruszyła się lekko i cienie nocy przemknęły po jej twarzy niczym fale. Podmuch wiatru uniósł włosy. Przez sekundę, może mniej, patrzyła Pascalowi prosto w oczy, potem odwróciła się i włosy opadły jej na twarz. Przystąpiła próg domu powoli, jak w transie. Hawthorne wyciągnął do niej obleczoną w czarną rękawiczkę dłoń. Ujęła ją i zniknęła w mroku. Jej włosy błysnęły w ciemności i zgasły. Drzwi się zamknęły.

Weszli do pokoju na parterze, tego z największymi oknami. Były tu i zasłony, i żaluzje, lecz Hawthorne i jego towarzyszką nie zamierzali zasłaniać okien. Hawthorne zapalił światło, spojrzał w okno, odwrócił się i zdjął płaszcz. Rozwiązał czarny

jedwabny krawat i odpiął najwyższy guzik białej koszuli. Podszedł do okna, założył ręce na plecach i utkwiał wzrok w ciemności, surowo marszcząc brwi.

Gini musiała wejść tuż za nim, ponieważ pojawiła się w kadrze sekundę później. Wyszła na środek pokoju ze schyloną głową, jak lunaticzka lub aktorka, zajmująca wskazane przez reżysera miejsce. Hawthorne odwrócił się i powiedział coś przez ramię. Gini poderwała głowę i spojrzała na niego. Opadające skrzydło długich włosów odsłoniło jej twarz. Zadrzała, odwróciła się tyłem do Pascala i powoli zdjęła płaszcz. Pascal ostro wciągnął powietrze. Pod płaszczem Gini miała suknię, którą doskonale pamiętał - wąską kreację z eleganckiej czarnej krepy, na dwóch cieniutkich ramiączkach. Pierwszy raz włożyła ją na przyjęcie u Mary. Hawthorne powiedział coś, chyba zadał krótkie pytanie. Podał jej jakiś przedmiot. Znowu coś powiedział i zrobił jakiś gest. Gini zawahała się i odeszła lekko w bok, przez co znalazła się prawie poza kadrem. Pascal widział teraz tylko jej włosy, prawy bark i ramię. Nagle zorientował się, co dał jej Hawthorne. Gini wciągała rękawiczki, wieczorowe czarne rękawiczki, sięgające do łokcia. Były świetnie dopasowane. Poruszyła palcami, podniosła rękę i wyciągnęła ją do Hawthorne'a.

Pascal stał bez ruchu, niezdolny do myślenia. Scena, którą miał przed oczami, wydawała mu się jednocześnie rzeczywista i nierzeczywista. Hawthorne w jednej chwili był daleko od niego, a zaraz potem, gdy Pascal znowu pochylił się nad wizjerem, zaskakująco blisko. Gini też była blisko, na krawędzi kadru, tak blisko, że mógłby jej dotknąć...

Wyciągnął dłoń i dotknął powietrza. Ręce mu drżały. Ufał swoim oczom, które dla niego stanowiły narzędzie pracy. Teraz oczy mówiły mu, że ma przed sobą Gini. Czy była to Gini, czy też złudzenie? Patrząc na swoje własne wyobrażenia, pomyślał. Oglądam swoje najgorsze lęki...

Wpatrywał się w wizjer, jakby detale mogły mu powiedzieć, czy powinien wierzyć własnym oczom. Gini nigdy nie włożyłaby takich butów, pomyślał. Z drugiej strony czarne pantofle na bardzo wysokich obcasach były dokładnie takie jak te, które jej przysłano...

Odwróciła się do Hawthorne'a, spojrzeli sobie w oczy. Hawthorne powiedział coś, objął ją i łagodnie przyciągnął do siebie. Kobieta uniosła głowę. Hawthorne nadal

mówił. Pascal patrzył na nich, oślepiiony bólem i niezrozumieniem. Widzieć, a jednak nie widzieć, obserwować poruszenia warg, ale nie słyszeć - była to zupełnie nowa forma cierpienia. To nie dzieje się naprawdę, pomyślał. W pokoju naprzeciwko Hawthorne właśnie ujął okrytą czarną rękawiczką dłoń Gini, podniósł ją do ust i pocałował. To samo zrobił wczoraj, pomyślał Pascal. Tak to się zaczęło, tak opisała to Gini.

Odszedł od aparatu, przesunął ręką po twarzy. Tkwił w pułapce swoich najczarniejszych podejrzeń, poczucia winy i niedowierzania. Minęło kilka sekund, lecz każda z nich ciągnęła się bez końca. Gdy jedna część jego umysłu wciąż nie mogła pojąć tego tylko na wpół realnego urzeczywistnienia się jego obaw, druga część dokonywała pośpiesznych obliczeń. Trzydzieści sekund, żeby zbiec po schodach i wypaść z domu... Trzydzieści sekund, aby przebiec przez ogród i przesadzić ogrodzenie... Trzydzieści sekund na dotarcie do tarasu i francuskich okien, które wydawały się dość kruche, by można je wyważyć jednym kopniakiem... Razem półtorej minuty. Zrobił krok ku drzwiom, lecz zaraz odwrócił się i znowu pochylił głowę nad wizjerem.

Kobieta i mężczyzna obejmowali się, dłonie Hawthorne'a gładziły plecy Gini. Oboje sprawiali wrażenie bardzo podnieconych. Dłonie mężczyzny spoczęły na biodrach kobiety, która zadrżała i oparła głowę na jego ramieniu. Jasne włosy zaczepiły się o nitki ciemnej tkaniny marynarki. Podnieś głowę, pomyślał Pascal. Podnieś głowę i odwróć się do mnie...

Kobieta drżała. Hawthorne powoli odpiął ramiączka sukni, najpierw lewe, potem prawe. Suknia zsunęła się w dół. Pod nią kobieta nosiła czarny gorset, który lekko podnosił i odsłaniał piersi. Hawthorne przyciągnął ją do siebie i zamknął oczy. Po chwili zaczął gorączkowo całować jej usta i szyję. Ujął w dłonie piersi, pieszcząc je namiętnie. Włosy kobiety zafalowały. Nagle tempo ich pieszczot uległo zmianie. Początkowo niespieszne i senne, teraz stało się szybkie. Kobieta zamknęła głowę Hawthorne'a między dłońmi i pociągnęła ją w dół, ku swoim piersiom. Jej ruchy były gwałtowne i urywane, i przez sekundę Pascal miał wrażenie, że potrafi przewidzieć, co się zaraz stanie. Popchnie ją na podłogę, a jej włosy rozłożą się jak wachlarz, pomyślał

z rozpaczą. Wtedy zdał sobie sprawę, że Hawthorne nie reaguje, nie całuje jej piersi. Kobieta odwróciła się jeszcze o parę stopni w stronę okna i Pascal wreszcie zrozumiał.

To nie ona, pomyślał. Nadal nie widział zasłoniętej włosami twarzy kobiety, widział jednak jej piersi i ramię aż do obojczyka. Poczł ogromną, niewypowiedzianą ulgę. Poznał Gini dotykiem równie dobrze jak wzrokiem - wiedział, jak wąska jest jej szyja, jakie jest wygięcie pleców i łopatek. Znał także ciężar i zarys piersi. To nie Gini. Towarzysząca Hawthorne'owi kobieta nie była nawet w jej wieku, lecz starsza i to mniej więcej o dziesięć lat. Atrakcyjna, owszem, lecz jej piersi były drobne, prawie dziecięce, a sutki również niewielkie i uróżowane. Poruszała się zupełnie inaczej niż Gini. Każdy gest Gini był miękki i pełen wdzięku, podczas gdy ruchy tej kobiety wydawały się zbyt mechaniczne, wulgarne i sztywne.

Hawthorne przesunął się w lewo i kobieta odwróciła się twarzą do niego. Wzięła coś ze stołu i zaczęła masować piersi olejkiem. Jej skóra lśniła, dłonie w czarnych rękawiczkach wykonywały uwodzicielskie gesty, sutki napięły się i stwardniały. Przerwała, spojrzała na Hawthorne'a, jakby szukając aprobaty w jego oczach i spuściła głowę.

Pascal nie potrafił teraz pojąć, jak mógł pozwolić aby oczy i umysł aż tak go oszukały. Włosy, a zwłaszcza uczesanie mogły stanowić dokładną kopię stylu Gini, suknia była taka sama, lecz podobieństwo tej blondynki do Gini było doprawdy niewielkie. To nie jego Gini, lecz Gini, jaka istniała w wyobraźni kogoś innego, może właśnie Hawthorne'a. Zacisnął gniewnie usta, jego dłonie znowu obudziły się do życia. Postanowił, że załatwi tego drania raz na zawsze.

Zaczął robić zdjęcie za zdjęciem, dziesięć, piętnaście, dwadzieścia klatek. Chłodny obiektywizm, który zawsze towarzyszył mu w pracy, wreszcie powrócił. To, co działo się w domu naprzeciwko, nie miało teraz żadnego znaczenia. Dla niego była to po prostu praca, zadanie do wykonania, skomplikowana gra układu kątów, cienia i światła. Patrzył nie na seks, lecz na abstrakcyjne kształty, które należało uwiecznić na kliszy przy konkretnym oświetleniu, w konkretnych warunkach, z tej odległości i tym sprzętem. Jego koncentracja miała wymiar absolutny. Sceny, które widział w wizjerze, nie budziły w nim żadnych emocji, Hawthorne i blondynka zostali pozbawieni



osobowości, stali się serią ujęć. Liczyła się tylko jakość fotografii, aby można je potraktować jako dowód.

Przerwał na chwilę. Stłuczone ramię mocno bolało. Wyjął zużyty film, załadował nowy i znowu pochylił głowę nad wizjerem.

Czarny gorset z połyskliwego materiału mocno opinał talię kobiety. Pascal poprawił ustawienie światła i ostrość. Kiedy zmieniał film, kochankowie odsunęli się od okna. Hawthorne wciąż był kompletnie ubrany i znalazł się z boku kadru, co nie było najlepszym rozwiązaniem.

Blondynka klęczała przed nim z podniesioną głową. Pascal zrobił kilka zdjęć i przerwał, czekając, aż Hawthorne uniesie twarz. Kobieta kilka razy przesunęła dłońmi po wewnętrznej stronie ud mężczyzny i zaczęła głaskać jego krocze. I właśnie wtedy Pascal po raz pierwszy odniósł wrażenie, że cała ta scena nie jest tym, na co wygląda.

Nie ulegało wątpliwości, że kobieta jest podniecona i chętna, lecz Hawthorne patrzył na nią chłodno i obojętnie, w ogóle nie reagując. Ręce miał opuszczone, nie próbował dotykać blondynki ani jej pomagać. Lekko uniósł głowę. Pascal zrobił dwa zdjęcia i znowu przerwał. Teraz, kiedy wreszcie mógł myśleć normalnie, dostrzegł na twarzy Hawthorne'a niechęć i pogardę. Kobieta zadrzała i zaczęła pocierać piersiami jego uda. Kiedy podniosła rękę i zbliżyła ją do zapięcia jego spodni, uderzył ją. Niespodziewanym, mocnym ciosem powalił ją na podłogę.

Kobieta upadła na bok, podniosła się, znowu upadła i odczołgała się parę kroków w bok. Znalazła się poza kadrem. Dokładnie w tej samej chwili, gdy Pascal uświadomił sobie, że nie może dalej robić zdjęć, Hawthorne podniósł wzrok, spojrzał prosto w obiektyw i uśmiechnął się triumfalnie.

Pascal wyprostował się i odsunął od aparatu. Wreszcie zrozumiał to, co powinien dostrzec od razu. Ta scena nie była i nie mogła być niezaplanowana. Czy ktoś taki jak Hawthorne rzeczywiście zrobiłby coś takiego? Dlaczego miałby stanąć przed odsłoniętym oknem, w pełnym świetle? Dlaczego miałby podejmować tak wielkie ryzyko? Powód mógł być tylko jeden - to, co działo się w domu naprzeciwko, było przedstawieniem dedykowanym Pascalowi, a wyreżyserowanym przez samego Johna Hawthorne'a.

Pascal, osłupiały, znowu spojrział w wizjer. Wszystko wydało mu się pozbawione sensu. Dlaczego Hawthorne miałby dostarczać mu dowody? Sekundę później, kiedy kobieta znowu pojawiła się w kadrze, Pascal poznał odpowiedź na to pytanie. Instynktownie zaczął robić zdjęcia, lecz zaraz przerwał.

Kobieta nie była już blondynką. Miała sięgające ramion czarne włosy. Może peruka spadła jej z głowy w czasie upadku, a może sama postanowiła ją zdjąć. Tak czy inaczej, coś wprawilo ją w wielkie zdenerwowanie.

Twarz miała kredowobiałą, całe ciało drżało. Zdjęła czarne rękawiczki i rzuciła je na podłogę. Skoczyła na Hawthorne'a jak dzika kocica, bijąc go i drapiąc, usiłując dosięgnąć paznokciami jego twarzy. Hawthorne chwycił jej ręce i z łatwością unieruchomił. Pascal zwrócił uwagę, że sprawiło jej to przyjemność. Zadrżała i odwróciła się twarzą do obiektywu. Zaczęła coś mówić z wyzywającym, drwiącym wyrazem twarzy. Chociaż nie słyszał, bez trudu odczytał słowa z ruchu jej warg. *Uderz mnie*, powiedziała raz, drugi i trzeci.

Hawthorne zmierzył ją długim, zimnym, szacującym spojrzeniem. Odwrócił się do niej tyłem, podszedł do okna i opuścił środkową część żaluzji. Zanim to zrobił, ostatni raz podniósł wzrok i utkwił go w oknie, za którym stał Pascal. Uśmiechnął się krótko, kpiąco. Pascal nie miał cienia wątpliwości, że ten uśmiech był przeznaczony właśnie dla niego. *Twoje zdjęcia są bezużyteczne*, mówił.

Pascal się wyprostował. Żaluzje zasłoniły okno. Nagle ogarnął go gniew i nienawiść do samego siebie. *Gem, set i mecz dla Hawthorne'a*, pomyślał. Zdjęcia rzeczywiście były bezużyteczne. Nie dowodziły niczego poza faktem, że ambasador i jego żona dzielą upodobanie do erotycznych zabaw.

## XXXV

Po drugiej stronie drzwi był mężczyzna, Gini nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Kroki, przerywane długimi okresami ciszy, były zbyt ciężkie jak na kroki kobiety, tylko tyle mogła powiedzieć. Nie zawsze potrafiła się zorientować, gdzie się znajdował. Czasami wydawało jej się, że jest bardzo blisko i spodziewała się, że drzwi

otworzą się lada chwila, kiedy indziej miała wrażenie, że się oddała. Czasami była prawie pewna, że odszedł, ale po długiej i przerażającej ciszy znowu go słyszała.

W ciemności dźwięki stawały się wyraźniejsze i zniekształcone. Czy to był oddech, czy tylko wiatr, przemykający wśród gałęzi? Noc rozbrzmiewała cichymi szelestami i trzaskami, gdzieś wysoko, tuż pod dachem niósł się dziwny przerywany świst.

Straciła poczucie czasu i kiedy w końcu zaczęła wierzyć, że mężczyzna rzeczywiście odszedł, nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło od chwili, gdy znalazła się w domku McMullena. Serce biło jej szybko i boleśnie. Przesunęła się pod ścianę i wyciągnęła rękę w poszukiwaniu włącznika. Czowała, że niezależnie od tego, czy mężczyzna wciąż jest na zewnątrz, czy odszedł, ona nie znieśie dłużej ciemności. Policzyła do dziesięciu i nacisnęła włącznik. Nic się nie stało. Z jej gardła wydobył się cichy jęk przerażenia. Przykucnęła pod ścianą i przypomniała sobie odgłos otwieranych i zamykanych drzwi szopy. Prawdopodobnie tam znajdowały się korki lub generator, bo nie ulegało wątpliwości, że mężczyzna wyłączył prąd.

Spróbowała się skoncentrować. Po chwili przypomniała sobie, że w tym domu istnieją także i inne źródła energii - olejowy grzejnik i kuchenka gazowa. Jeżeli zdoła je zapalić, zyska trochę światła. Nie miała przy sobie zapalek, pamiętała jednak, że widziała pudełko na górze, obok śpiworu. Szybko przeszła przez kuchnię do salonu. Wpadła na drzwi, krzyknęła i poszukała ręką ściany. Znalazła drzwi, którymi wychodziło się na schody, a lekkie światło, padające z pokoju na pięterku, dodało jej trochę nadziei. Trzęsącymi się rękami podniosła zapalki i o mało nie upuściła pudełka. Powoli, powoli, skarciła się w myśli. Ostrożnie otworzyła pudełko - w środku leżały cztery zapalki.

Najpierw próbowała zapalić kuchenkę. Była prawie pewna, że jeżeli gaz dopływa do domku z sieci głównej, mężczyzna także go odciął, liczyła jednak trochę, że może znajdzie w kuchni zwyczajną butlę gazową. Jej nadzieja się spełniła - gdy odkręciła kurek, rozległ się cichy syk i zaraz potem fajerka zapłonęła niebieskawym ogniem.

Płomienie wydawały się nikle i drżące, lecz ich poświata natychmiast ją uspokoiła. Na zewnątrz wciąż panowała całkowita cisza. Spojrzała na zegarek i

zamarła, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Było już po piątej. Spędziła w domku ponad godzinę, aż kilkadziesiąt minut minęło od chwili, gdy ktoś zatrzasnął drzwi. Ta świadomość sprawiła ją w przerażenie. Muszę się stąd wydostać, pomyślała.

Najpierw spróbowała otworzyć kuchenne drzwi, potem frontowe. Jedne i drugie były ciężkie, wzmocnione grubymi deskami. Dlaczego wcześniej tego nie zauważyła? Usiłowała szarpać klamkę i pchać ze wszystkich sił, lecz drzwi nawet nie drgnęły. Wróciła do kuchni, gdzie gaz nadal palił się dość wysokim płomieniem. Otworzyła drzwiczki kredensu obok kuchenki i znalazła w środku butlę na gaz. Przyjrzała jej się z obawą i spróbowała ją przesunąć, lecz butla okazała się za ciężka. Nie miała pojęcia, ile gazu mogło w niej jeszcze być.

Nie mogła znieść myśli, że ogień zgaśnie i w domku znowu zapadną ciemności. Zaczęła gorączkowo szukać innych źródeł światła - latarki lub świeczek. Bezskutecznie. Z trudem zapanowała nad powoli ogarniającą ją paniką. Drzwi nie chciały się otworzyć, nie miała najmniejszych szans dosięgnąć świetlika w dachu... Jedyne drogą ucieczki mogły być okna, lecz wszystkie były zamknięte od zewnątrz okiennicami.

Okno w kuchni znajdowało się dość nisko, tuż nad zlewozmywakiem. Gini wspięła się na blat i uważnie je obejrzała. Podobnie jak wszystkie okiennice na parterze, te także zostały przymocowane do ram gwoździami, wbitymi w odległości mniej więcej dwóch centymetrów jeden od drugiego.

Zeskoczyła na podłogę i ciałnie otuliła się płaszczem. W domku zrobiło się bardzo zimno; po ciepłe, które tu zastała, zostało jedynie wspomnienie.

Wróciła do niebieskawo migoczącej ciemności w dużym pokoju i przyjrzała się olejowemu grzejnikowi. Nigdy takiego nie używała i teraz usiłowała sobie przypomnieć, w jaki sposób zapalił go McMullen. W bocznej ścianie znajdowały się małe drzwiczki, które otwierał, aby wyregulować ciepło. Poszła za jego przykładem i po paru minutach udało jej się uruchomić grzejnik.

Ustawiła go tak, aby żółtawy płomień nie palił się zbyt mocno. W pokoju zrobiło się trochę jaśniej. Gini starannie przeszukała kuchnię i pokój, zaglądając do każdej szafki i szuflady. Na kuchennym stole ułożyła cały asortyment narzędzi - trzy noże, trzy widelce, jedną łyżeczkę do herbaty i otwieracz do konserw.

Znowu weszła na blat. W pierwszej kolejności wypróbowała noże. Oddychała ciężko, usiłując zapanować nad drżeniem dłoni. Odkryła, że jest w stanie wsunąć ostrze noża między deskę i framugę okna, ale o niczym więcej nie mogło być mowy. Poruszyła nożem w jedną i drugą stronę, z nadzieją, że zdoła obluźnić gwóźdź, ale ostrze było zbyt słabe. Zrozpaczona, próbowała podważyć deskę, unosząc trzonek noża, lecz to także okazało się nieskuteczne. Kiedy wyżej podniosła trzonek, ostrze pękło.

Jęknęła i rzuciła trzonek na ziemię. Spróbowała znowu, tym razem widelcem, najpierw podważając deskę zębami, a potem grubszym końcem, lecz nie zdołała wsunąć go dość daleko, aby uzyskać pożądaną efekt. Zaczęła pchać mocniej, coraz bardziej rozgorączkowana i wtedy ręka ześlizgnęła jej się z zębów widelca, które zadygotały i wbiły się w jej dłoń. Upuściła widelec z ostrym krzykiem bólu. Krew zaczęła spływać jej między palcami. Zeskoczyła na podłogę i odkręciła kurek nad zlewem, ale z kranu nie poleciała nawet kropla.

Nie wiedziała dlaczego, ale brak wody przeraził ją bardziej niż cokolwiek wcześniej. Rozejrzała się dookoła i zrozumiała, że znalazła się w pułapce. W domu nie było ani wody, ani jedzenia, wiedziała, że gazu i parafiny nie wystarczy na długo. Dom był zamknięty, położony na uboczu. Nikt nie wiedział, że tu przyjechała...

Panika ogarnęła ją wielką falą, dławiąc zdolność normalnego myślenia. Krew kapłała z dłoni na białą emalię ziewu. Powietrze na parterze było teraz suche i ostre od gazu. Gini oparła się o szafkę, walcząc ze strachem. Znalazła ścierkę i owinęła nią krwawiącą rękę, potem przykręciła gaz i olej, aby zapas paliwa wystarczył na dłużej i zmusiła się do myślenia.

Nieprawda, że nikt nie wie, gdzie jest. Powiedziała Pascalowi, dokąd jedzie i chociaż nie wspomniała o domku, liczyła, że wpadnie na ten pomysł. Gdy ona nie przyjedzie do Londynu o szóstej, na pewno podejmie jakieś działania i domyśli się, gdzie jej szukać. Nie wolno mi sądzić, że się stąd nie wydostanę, powiedziała sobie.

Nie miała jednak zamiaru biernie czekać na ratunek. Czowała, że musi podjąć kolejną próbę znalezienia jakiegoś wyjścia. Pomyślała o Pascalu, ujrzała jego twarz i usłyszała głos. Nagle wydało jej się, że Pascal jest tuż obok i poczucie jego bliskości dodało jej odwagi. Ponownie wspięła się na blat i ostrożnie przesunęła zdrową ręką po

desce z prawej strony. Zauważyła, że jeden z gwoździ został wbity pod niewłaściwym kątem i chyba trzymał się słabiej niż pozostałe. Powoli i uważnie wsunęła tuż obok ostrze drugiego noża, i zaczęła podważać deskę trzonkiem.

Trwało to bez końca. Przez wiele godzin pracowała nad tym jednym gwoździem, nad jednym kawałkiem deski, najpierw tylko ostrzem, a potem, kiedy luka między deską i framugą okna odrobinę się powiększyła, zębami widelca. Podważając deskę, wróciła myślami do wydarzeń tego dnia. Teraz wszystko wydawało jej się zrozumiałe. McMullen nie zginął, była tego pewna. Był tutaj. To on kupił gazetę, rozpalił grzejnik i otworzył kopertę ze zdjęciami. To on był tutaj, kiedy się zjawiała i to on zamknął ją w domu. Potem odszedł, co chyba znaczyło, że to miejsce stało się dla niego nieprzydatne. Odszedł, ale dokąd?

Zamyśliła się i utkwiała wzrok w deskach. Po plecach przebiegł jej zimny dreszcz. McMullen otrzymał fotografie i ich widok musiał być dla niego wielkim ciosem. Zostawił je w domku, lecz zabrał ze sobą ciężki wojskowy plecak i pojemnik ze smarem do czyszczenia broni palnej.

Spojrzała na zegarek. Było po ósmej, do końca soboty zostały tylko cztery godziny. Dlaczego McMullen zainscenizował własną śmierć, o czym teraz była głęboko przekonana? Chyba tylko po to, aby zyskać na czasie i obudzić w Hawthornie fałszywe poczucie bezpieczeństwa... A jeżeli Pascal miał rację, utrzymując, że McMullen postanowił zabić Hawthorne'a? Kiedy miałby największą szansę zrealizować swój plan? Wtedy, gdy wszyscy by uwierzyli, że nie żyje... I oczywiście w niedzielę, trzecią niedzielę miesiąca, która miała zacząć się za niecałe cztery godziny...

Zaczęła gorączkowo podważać deskę, lecz zaraz wzięła się w garść. Nagle przypomniała sobie coś, co Hawthorne powiedział jej poprzedniego wieczoru. Było to tuż po tym, jak wspomniała o Wenecji. Nie wierz we wszystkie kłamstwa, powiedział. Daj mi jeszcze kilka dni.

Kiedy to mówił, musiał już wiedzieć o zwłokach znalezionych na torach. Na pewno założył, że McMullen nie żyje i uwierzył, że w tej sytuacji kłamstwa i oskarżenia zostaną szybko wyjaśnione. Właśnie dlatego mówił z nią tak otwarcie...

Ale jeżeli McMullen żyje, Hawthorne może być w wielkim niebezpieczeństwie, pomyślała. Możliwe, że zostało mu nie kilka dni, ale godzin...

Podwoiła wysiłki i wreszcie obłuzowany gwóźdź wypadł z otworu. Miała teraz więcej miejsca. Zaczęła wypychać deskę najpierw widelcem, potem otwieraczem do konserw, wreszcie, kiedy otwór się poszerzył, palcami. Deska skrzypiała i stawiała opór. Gini chwyciła ją oburącz, szarpnęła z całej siły i wreszcie wyłamała spory kawał drewna. Usunięcie reszty także nie było łatwe - czasami udawało się wyrwać duży fragment, czasami tylko drzazgę. Ręce miała podrapane i pokrwawione, lecz stopniowo otwór się powiększał. Mogła już dostrzec księżyc i fragment muru. Była zeszywniała z zimna i zmęczenia, lecz nadal walczyła z deską, przeklinając się za to, że jest kobietą o słabych mięśniach, świadoma, że mężczyzna wyrwałby tę deskę w ciągu kilku minut. Szarpała, ciągnęła i pchała ze wszystkich sił. Wolność była bardzo blisko. Widziała już oświetlone księżycowym blaskiem podwórko i ciemne pasmo lasu. Jej samochód był tuż, tuż, niecałe sto metrów od domu, w połowie zbocza. Jeszcze trochę i pobiegnie tam, aby wreszcie odjechać z tego przekłętą miejsca. Znajdzie telefon, zadzwoni do Pascala... Zadzwoni także do Hawthorne'a, tak, musi to zrobić... Musi go ostrzec, że McMullen żyje.

Chwyciła ostatni kawałek deski i szarpnęła go. Drewno nagle ustąpiło, łamiąc się w jej rękach. O mało nie runęła na podłogę, lecz w ostatniej chwili odzyskała równowagę. Złapała klamkę, poruszyła nią, pchnęła. Okno się nie otworzyło. Dopiero teraz zobaczyła, że zamki znajdowały się aż w trzech miejscach.

Zeszła z blatu, usiłując opanować drzenie zmęczonych mięśni. Mogła wybić szybę, lecz okno było podwójne, co nastęrczało trudności. Potem spróbuje precyzyjnie się przez powstały otwór.

Gazowy płomień palił się coraz słabiej. Gini podkręciła go odrobinę. Płomyk zasyczał i zamigotał. Muszę się śpieszyć, pomyślała. Muszę się śpieszyć...

Przyniosła z pokoju krzesło i uderzyła nim w okno. Jedna szyba roztrzaskała się na kawałki, druga tylko pękła.

Z trudem wdrapała się na blat i ciężko dysząc ze zmęczenia, zaczęła tłuc ręką owiniętą w ścierkę pękniętą szybę i napierać barkiem na drugi zamek. Ustąpił odrobinę, czuła to, lecz wciąż trzymał. Walczyła z oknem, jednocześnie starając się



wyciągać z framugi szklane drzazgi. Ramiona drżały jej z wysiłku, poranione ręce krwawiły. Otarła krew, żeby dłonie się nie ślizgały i zobaczyła, że szkiełko zegarka pękło w wielu miejscach, unieruchamiając wskazówki. Spojrzała na tarczę, wysilając wzrok. Minęło kilka godzin, o wiele więcej, niż sądziła. Zepsuty zegarek wskazywał jedenastą trzydzieści, ale nie wiedziała przecież, kiedy stanął.

Jęknęła ze złości i przerażenia. Niewykluczone, że była już niedziela. Rzuciła się do pracy. Po paru minutach usunęła resztę szkła, a drugi i trzeci zamek puściły. Poczucie wolności uderzyło jej do głowy jak wino. Głęboko odetchnęła mroźnym powietrzem. Postanowiła nie wyłączać gazu ani grzejnika, świadoma, że największe znaczenie ma to, aby zabrała ze sobą znalezione na górze fotografie. Zaczęła przeciskać się przez otwór. Najciaśniej jak mogła otuliła się płaszczem, lecz tkanina i tak czepiała się kawałków szkła. Czowała, jak szklane drzazgi chwytają ją za włosy i drapią twarz. Zrobiła jeszcze jeden wysiłek i wreszcie wydostała się na wolność. Osunęła się na bruk podwórka.

Wszystkie mięśnie bolały ją z wysiłku, z trudem trzymała się na nogach, ogarnęło ją jednak ożywcze uniesienie. Samochód był blisko, bardzo blisko... Przebiegła przez dziedziniec i zaczęła rozgarniać krzewy, szukając wzrokiem ścieżki. Wreszcie dostrzegła ją i pobiegła w dół zbocza, potykając się i ślizgając. Dwa razy upadła, lecz dźwignęła się z ziemi i w końcu dotarła na brzeg polany. Przystanąła, rozglądając się dookoła nieprzytomnym wzrokiem. Krew spływała jej po twarzy, czuła słony smak na wargach. Każdy oddech sprawiał fizyczny ból. Zatoczyła się jeszcze kilka kroków do przodu, wbijając wzrok w ciemność między drzewami, niezdolna przyjąć do wiadomości tego, co było zupełnie oczywiste. Pobiegła kawałek dalej i zawróciła, ciężko dysząc. Blask księżyca i cienie tańczyły dookoła niej.

Samochód zniknął. Ktoś go zabrał.

Była już niedziela, a od najbliższej drogi dzieliło ją pięć kilometrów. Godzina, pomyślała. Pięć kilometrów można przejść w godzinę... Wyprostowała przygarbione ramiona i trochę podbiegając, a trochę wlokąc za sobą nogi, ruszyła w dół ścieżką.

Dostrzegła światła i usłyszała hałas, kiedy była dopiero w połowie drogi. Dźwięki docierały z lewej strony, z doliny, w której znajdował się dom Johna Hawthorne'a. Z miejsca, gdzie się znalazła, nie widziała otoczonego sosnami budynku,

słyszała jednak warkot silników i głosy mężczyzn. Między drzewami migotały światła. Zawahała się, lecz po chwili zboczyła w lewo, w kierunku światła. Schylona przedierała się pod gałęziami, potykała na wystających z ziemi korzeniach drzew i biegła dalej. Wreszcie wydostała się z lasu na nagie zbocze i przystanąła.

Między nią i wiejską rezydencją Hawthorne'a rozpościerały się otwarte pola. Dom ambasadora lśnił w ciemności wszystkimi światłami. Oświetlona była droga przed domem, brama, podjazd i budynek, spowity mgiełką zielonkawego blasku halogenów. Wszędzie kręciło się mnóstwo ludzi. Widziała wozy policyjne i inne, zaparkowane na podjeździe i przy drodze. Przed domem naliczyła trzy, nie, cztery długie czarne limuzyny. Stłumiła okrzyk strachu i rozpacz. Coś się stało, coś właśnie się działo... Czy McMullen dokonał zamachu na życie Hawthorne'a? Czy Hawthorne był teraz tutaj, w Oxfordshire? Żywy czy nie?

Pobiegła przez pola, usiłując przyspieszyć kroku i walcząc o każdy oddech. Wilgotna, błotnista po wielu tygodniach deszczu ziemia z mokrym mlaskaniem chwytła ją za stopy. Starła się biec brzegiem pola, gdzie grunt był nieco twardszy. Pokonała jedno pole, potem drugie. Widziała już drogę i bramę wjazdową. Poślizgnęła się, potknęła i pobiegła jeszcze szybciej.

Stojący przy drodze mężczyźni usłyszeli jej kroki i ciężki oddech. Widziała, że patrzą na nią i ruszają w jej stronę. Ktoś powiedział coś ostrym tonem, lecz ona potrafiła myśleć tylko o widniejącej przed nią bramie.

Światło latarek zupełnie ją oślepiło. Osłoniła ręką oczy i ujrzała przed sobą pięć ciemnych sylwetek. Patrzyła na mężczyzn, a oni patrzyli na nią. Jeden z nich, ten po prawej, miał na sobie policyjny mundur. Zwróciła się ku niemu, lecz w tej samej chwili stanął przed nią inny mężczyzna w ciemnym garniturze. Ujął ją za ramię i zajrzał jej w twarz. Był bardzo wysoki, mocno zbudowany, ostrzyżony na jeża.

- Panna Hunter? - odezwał się, nie odrywając od niej wzroku. - Panna Hunter, prawda?

Gini spojrzała na niego. Droga zadrżała pod jej stopami, powietrze stało się dziwnie ciężkie. Zachwiała się, ale on ją podtrzymał. Rozpoznała go dopiero po chwili. Miał czujną, inteligentną twarz. Był to ten sam ochroniarz, którego widziała na

przyjęciu u Mary, Malone. Wydawało jej się, że stojący z prawej policjant coś powiedział, ale Malone szybko mu przerwał.

- Sprowadźcie samochód - rzucił.

Dwóch innych mężczyzn w ciemnych garniturach szybkim krokiem ruszyło w stronę podjazdu, pozostali skupili się wokół niej. Samochód podjechał zaskakująco szybko. Malone pomógł jej wsiąść, potem sam zajął miejsce obok niej i zanim zatrzasnął drzwi, już sunęli podjazdem ku domowi.

Gini próbowała coś powiedzieć, lecz Malone uniósł dłoń w ostrzegawczym geście.

- Nie tutaj, proszę pani - rzekł cichym, zdecydowanym głosem. - Wszystko jest w porządku, proszę spokojnie poczekać. Zaraz będzie pani w domu.

## XXXVI

Pascal stracił wszelkie poczucie czasu. Kiedy zatrzasnął za sobą drzwi domu w St John's Wood, mogła być pierwsza w nocy, druga, a może dopiero kilkanaście minut po północy. Stał na ulicy, wdychając zimne powietrze i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w ciemne niebo. W pseudogotyckiej willi w zaułku wciąż byli John Hawthorne i jego żona. Pascala nic już nie obchodziło, co robią sobie nawzajem i czy spędzą tam jeszcze tylko pięć minut, czy resztę nocy. Czuł głęboki niesmak, obrzydzenie do Hawthorne'a, do Lise, lecz przede wszystkim do siebie.

Zaraz po tym, jak Hawthorne z lekko kpiącym uśmiechem opuścił żaluzje, Pascal z trudem powstrzymał chęć rozbicia swoich aparatów i obiektywów na drobne kawałki, zniszczenia tego aspektu swojego życia. Nigdy więcej, obiecał sobie. Nigdy więcej nie zrobię czegoś takiego.

Jeżeli Hawthorne zamierzał dać mu lekcję, to z pewnością mu się to udało. Pascal szybkim krokiem podszedł do wynajętego samochodu, wsunął klucz do zamka i nagle znieruchomiał ze spuszczoną głową. Nigdy dotąd nie miał tak silnego wrażenia, że zajmuje się podglądaniem. Czuł się chory, zbrukany wszystkim, co zrobił tego wieczoru, wszystkimi swoimi zawodowymi przedsięwzięciami z ostatnich trzech lat. Uderzył pięścią w dach samochodu. Karał się bólem za to, że nie przestał robić zdjęć

nawet wtedy, gdy wierzył, że towarzyszącą Hawthorne'owi kobietą jest Gini. Nawet wtedy nie przestał pracować... Jak mógł dopuścić się takiej nieszczemności?

Oto, czym się stałem, pomyślał i poczuł obrzydzenie, wręcz nienawiść do siebie.

Skaleczył się w rękę. Wziął głęboki oddech, żeby się trochę uspokoić, potem jeszcze jeden. Lodowate powietrze przyniosło mu ulgę. Podniósł obolałą rękę i spojrzał na zegarek. Było po pierwszej.

Z niedowierzaniem jeszcze raz przyjrzał się wskazówkom. Po pierwszej, a Gini jeszcze nie wróciła...

Rzucił się w wir gorączkowych, szaleńczych poszukiwań. Pojechał na prawie opustoszały dworzec Paddington i zaczął wypytywać bagażowych, kasjerów i pasażerów, którzy chcieli się na chwilę zatrzymać. Ostatni pociąg z Oksfordu przyjechał punktualnie, ponad godzinę temu. Pascal nie mógł pozbyć się przekonania, że Gini w nim była. Zaczął przeszukiwać dworzec, zaglądając we wszystkie zakamarki i biegając z jednego peronu na drugi.

Wreszcie zrozumiał, że wszystkie te próby są żałośnie głupie. Wrócił do St John's Wood, jadąc o wiele za szybko, i wpadł do domu. Jego aparaty fotograficzne nadal tu były, podobnie jak kubek po kawie, lecz Gini nie było. Pobiegł na górę, na dół i znowu na piętro. Zorientował się, że willa po drugiej stronie ogrodu znowu jest pusta, lecz nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Żaluzje w tamtym pokoju na parterze były opuszczone, cały dom pogrążony w ciemności.

Zbiegł na dół, zostawiając cały swój cenny sprzęt na górze. Nie chciał patrzeć na aparaty ani ich dotykać. Przystanął w holu, szybko łapiąc powietrze. Światła nadal nie było, telefon nie działał.

Nagle w jego umyśle narodziła się nowa pewność - Gini musiała wrócić. Jest teraz w Londynie, ale pojechała do domu w Hampstead albo do swojego mieszkania w Islington. Nabazgrał na kartce mało zrozumiałą wiadomość, zostawił ją w widocznym miejscu i wybiegł z domu.

Pojechał najpierw do Hampstead, a potem do Islington, skąd zaraz znowu wrócił do Hampstead. Nie ulegało wątpliwości, że Gini nie zaglądała do mieszkania, ponieważ na wycieracze leżał stos listów i reklamówek, a czerwone światełko w

telefonie mrugało rytmicznie. Kiedy Pascal drżącą ręką nacisnął guzik automatycznej sekretarki, usłyszał tylko swój własny zrozpaczony głos. To samo było w Hampstead. Długą chwilę stał bez ruchu, rozdany niemożnością podjęcia decyzji. W którym z tych trzech miejsc powinien zaczekać? Była trzecia rano. Z jakiegoś beznadziejnie głupiego powodu znowu włączył sekretarkę i odsłuchał swoje dwie wiadomości.

Stał tak, wpatrzony w ciemność i słuchał czułych, bezużytecznych słów, wypowiedzianych głosem, którego prawie nie rozpoznawał.

- Czy John Hawthorne jest bezpieczny? - zapytała Gini.

Zadała Malone'owi to pytanie już dwukrotnie, raz w samochodzie i drugi w domu, zaraz po wejściu, lecz on nie udzielił jej odpowiedzi. Znajdowali się teraz w małym salonie, do którego wchodziło się z głównego holu. Malone stał w drzwiach. Za jego plecami działo się mnóstwo rzeczy, z holu dobiegały głosy wielu osób i szybkie kroki. Malone obserwował ją z typowym dla ochroniarzy zamkniętym wyrazem twarzy. Na moment zerknął przez ramię na kogoś przechodzącego za jego plecami i bardzo cicho powiedział kilka słów.

Gini zrobiła krok do przodu.

- Zadałam panu pytanie - rzuciła ostro. - Czy ambasador jest bezpieczny?

- Tak, proszę pani.

- Czy jest tutaj, w Oxfordshire?

Malone się zawahał. Gini była pewna, że nie odpowie, lecz on najwyraźniej zmienił zdanie.

- Nie, proszę pani. Ambasador jest dziś w Londynie, spędzi tam cały weekend.

Odwróciła się i rozejrzała po wygodnie urządzonej sypialni. Było tu krzesło, biurko, półki z książkami. Nie było tylko telefonu.

- Muszę zadzwonić - powiedziała. - Potrzebny mi telefon...

- Zaraz przyniosą kawę. - W głosie Malone'a zabrzmiało wahanie. - Jest pani...

Wydaje mi się, że powinna pani usiąść...

- Nie mam czasu. Muszę zadzwonić. Muszę z kimś natychmiast porozmawiać.

Wykonała krótki gest i spróbowała wyminąć Malone'a, który mocno ujął ją za ramię.

- Przykro mi, proszę pani. Jak pani widzi, mamy w tej chwili alarm, musimy rozwiązać kilka problemów...

Popatrzyła na niego badawczym wzrokiem.

- Wie pan, co się stało, prawda? - wybuchnęła. - Wiecie, że McMullen żyje, ale skąd? Czy ktoś go widział? Czy to jego szukają pańscy koledzy? Jeżeli tak, to tu go nie znajdują. John Hawthorne jest w Londynie i...

Przerwała. Malone, poruszając się z zaskakującą szybkością, którą tak dobrze zapamiętała, wciągnął ją do pokoju i zamknął drzwi.

- Co chciała pani powiedzieć?

- Nie powiem ani słowa. - Cofnęła się ze złością. - Ani panu, ani nikomu innemu. Będę rozmawiać tylko z ambasadorem. Chcę z nim porozmawiać. Proszę, niech pan przyniesie telefon... To może być ważne, wiem, że zechce mnie wysłuchać...

Malone zmierzył ją długim, poważnym spojrzeniem.

- Proszę tu poczekać - odezwał się cicho. - Zaraz wrócę.

Kiedy wychodził z pokoju, inny ochroniarz w ciemnym garniturze powiedział coś do niego przyciszonym głosem. Malone spojrział na Gini i odszedł w głąb holu. Drugi mężczyzna uprzejmie skinął głową w jej kierunku i stanął w otwartych drzwiach, całkowicie je blokując.

Gini westchnęła. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że nadal drży od stóp do głów. Odwróciła się i przypadkiem zerknęła w lustro wiszące na ścianie po lewej stronie. W pierwszej chwili przez głowę przemknęła jej myśl, że w pokoju jest ktoś jeszcze, jakaś obca kobieta, zaraz jednak uświadomiła sobie, że tą kobietą jest ona. Podeszła do lustra i popatrzyła na swoje odbicie. Nic dziwnego, że Malone wyglądał na zaskoczonego. Twarz miała podrapaną i zakrwawioną, płaszcz podarty, ręce i rękawy całe w błocie. Potargane, zmierzwiłone włosy sterczały we wszystkie strony, usiane tkwiącymi w nich liśćmi i kawałkami gałązek. Spod krwi i błota wyzierała obca, blada jak kreda twarz o gorączkowo błyszczących oczach.

Odwróciła się i zaczęła szybko chodzić po pokoju. Po chwili Malone wrócił. Zamknął drzwi, włączył telefon, który trzymał w ręku i podał jej słuchawkę. Wzięła ją z jego rąk i usłyszała głos Johna Hawthorne'a.

Wydała cichy okrzyk ulgi i zaczęła szybko wyrzucać z siebie słowa. Hawthorne przerwał jej prawie natychmiast.

- Nic ci nie jest? - zapytał. - Co się stało? Gdzie byłaś?

- To McMullen. - Gini miała wrażenie, że jej słowa potykają się jedno o drugie.

- To McMullen. On żyje. Jestem pewna, że żyje...

- Gini, wszystko jest w porządku. Spróbuj się uspokoić. Posłuchaj mnie. Wiemy o tym. Moi ludzie wiedzą, że McMullen żyje. O czwartej po południu otrzymaliśmy wyniki sekcji. Badania wykazały, że to nie jego grupa krwi. Posłuchaj...

- Nie ma go tutaj - powiedziała Gini. - Szukają go tutaj, ale jego nie ma... Był tu wcześniej, w każdym razie tak mi się wydaje. Ma tu mały domek po drugiej stronie doliny, w lesie. Byłam tam i on chyba także. Zamknął mnie, ale to wszystko wydarzyło się wiele godzin temu, koło czwartej po południu. Potem odjechał, chyba zabrał mój samochód...

- Zaczekaj. - W głosie Hawthorne'a zabrzmiała nagle ostra nuta. - Zaczekaj chwilę, dobrze? Na razie nie mów nic więcej. Daj mi Malone'a...

Malone nie spuszczał z niej wzroku przez całą tę rozmowę. Gini bez słowa podała mu słuchawkę i osunęła się na krzesło. Malone stał tuż obok, słyszała więc przyciszony głos Hawthorne'a, chociaż nie rozumiała szybko wypowiedzianych słów. Malone mówił bardzo niewiele, jego twarz nadal pozbawiona była wszelkiego wyrazu. Po paru minutach skinął głową i oddał jej słuchawkę.

- Chcę, żebyś teraz posłuchała mnie uważnie - powiedział John Hawthorne, jego głos brzmiał teraz dużo spokojniej i cieplej. Miała wrażenie, że rzucił jej linę ratunkową. - Dochodzi trzecia nad ranem, zdajesz sobie z tego sprawę? Malone mówi, że jesteś w szoku. Że masz mocno pokaleczoną twarz i ręce... Posłuchaj, pozwól moim ludziom, żeby pomogli ci przemyć skaleczenia i upewnili się, czy nie są poważne, bardzo cię proszę. Potem powinnaś coś zjeść i napić się czegoś ciepłego... Nie, nie przerywaj. Kiedy trochę się wzmocnisz, za jakąś godzinę, wsiądziesz do samochodu razem z Malone'em i przyjedziesz tutaj. Chcę porozmawiać z tobą osobiście, nie przez telefon, chociaż ta linia jest całkowicie bezpieczna. Rozumiesz mnie?

- Tak, ale...



- Malone nie odstąpi cię nawet na krok. O tej porze przejazd z Oksfordu do Londynu zajmie wam godzinę, na pewno nie więcej. Jeżeli nie będę na ciebie czekał, a jest to możliwe, bo tutaj także mamy pewne problemy, to bądź pewna, że przyjdę tak szybko, jak tylko będzie to możliwe. Zrozumiałaś mnie? Muszę się z tobą zobaczyć i porozmawiać... - Przerwał i lekko zniżył głos. - Pamiętasz, co powiedziałem ci ostatnio? Żebyś dała mi jeszcze kilka dni?

- Tak, pamiętam, ale...

- Teraz chodzi już nie o dni, ale godziny. Kilka godzin, to wszystko. Posłuchaj, nie rozmawiaj o tym wszystkim z Malone'em czy z kimkolwiek innym. Po prostu przyjeżdż tutaj, obiecujesz? Muszę dodać, że nie masz wielkiego wyboru w tej kwestii - rzekł z nagłym rozbawieniem. - Zamierzam zrobić wszystko, aby zapewnić ci bezpieczeństwo...

Gini spojrzała niepewnie na Malone'a. Rozpoznała uwodzicielsko bezpośrednią nutę w głosie Hawthorne'a, tę samą, którą słyszała w swoim mieszkaniu w piątkowy wieczór.

- Zrobię to, ale pod jednym warunkiem - zaczęła.

- Pod jakim warunkiem?

- Muszę zadzwonić do Pascala, i to natychmiast.

W słuchawce zapadło milczenie. Potem Hawthorne westchnął.

- Oczywiście - odparł spokojnie. - Daj mi Malone'a, dobrze? Obawiam się, że nie dopuści cię do telefonu, jeżeli nie wydam mu polecenia... Zobaczymy się wkrótce. Dobranoc.

Jeszcze raz podała słuchawkę Malone'owi, który wysłuchał instrukcji jak zwykle z kamienną twarzą. Kiedy rozmowa dobiegła końca, bez słowa wyłączył telefon, wyszedł z pokoju i po paru sekundach wrócił z innym aparatem. Włączył go do gniazdka i stanął przy Gini, gdy drżącymi palcami wybierała numer domu w St John's Wood. Czekala długo, lecz nie uzyskała połączenia. Przyszło jej do głowy, że linia musi być uszkodzona. Wybrała numer jeszcze dwa razy, również bezskutecznie.

W ciągu następnej godziny Malone zaprowadził ją do łazienki, gdzie umyła twarz i ręce, a następnie z powrotem do małego salonu, gdzie już czekała na nią gorąca kawa i kanapki, których nie była w stanie przełknąć.

Dokładnie po godzinie Malone podniósł się i spojrzął na zegarek.

- Musimy już jechać, proszę pani - oświadczył.

Pozwolił Gini jeszcze raz zadzwonić do domu w St John's Wood. Tym razem, ku swojemu zaskoczeniu, usłyszała normalny sygnał, a potem głos automatycznej sekretarki. Miała już odłożyć słuchawkę i wybrać numer w Islington lub Hampstead, lecz kiedy zerknęła na twarz Malone'a, zrozumiała, że na pewno się na to nie zgodzi.

- Pascal, nic mi nie jest - szybko powiedziała do słuchawki, decydując się nagrać wiadomość. - Jestem bezpieczna, wracam teraz do Londynu...

- Proszę pani... - Malone zrobił krok w jej stronę i potrząsnął głową.

Gini zasłoniła mikrofon dłonią.

- Nie mogę powiedzieć mu, dokąd jadę?

- Nie, proszę pani. Nie w tych okolicznościach.

Gini uświadomiła sobie, że musi zostawić Pascalowi informację, która będzie dla niego zrozumiała, lecz której nie zdoła zinterpretować ani Malone, ani nikt inny, kto chciałby ją odsłuchać.

- Kochany, zobaczymy się trochę później - dodała pośpiesznie. - Na razie myślę o tobie i wspominam...

- Proszę pani... Czas jechać.

- Myślę o Bejrucie, najdroższy. I o wszystkich tych miejscach, gdzie wtedy się spotykaliśmy...

Połączenie zostało przerwane. Malone, który właśnie wyjął wtyczkę z gniazdka, wyprostował się.

- Przykro mi - powiedział, wciąż tym samym obojętnym głosem. - Musimy jechać.

Ujął ją za ramię i zaprowadził do czarnego samochodu, czekającego u stóp schodów. Otworzył przednie drzwiczki od strony pasażera, pomógł jej wsiąść i zajął miejsce za kierownicą.

Gini odwróciła twarz do okna. Halogenowe lampy zostały już wyłączone, dom, podjazd i droga pogrążone były w mroku. Czuła się trochę silniejsza, spokojniejsza, a przede wszystkim dużo bardziej skoncentrowana. Zanim dotarli do końca podjazdu i wyjechali na drogę, jej oczy zdążyły przyzwyczać się do światła księżyca.

Kiedy Malone skręcił w prawo, w kierunku wioski i znajdującej się za nią autostrady, spojrzała na wzgórze nad rezydencją ambasadora. Tam, ukryty wśród drzew, stał domek McMullena. Kilkunastu ludzi z latarkami posuwało się w górę wzgórza w szyku szeroko rozłożonego wachlarza. Ich widok zaskoczył Gini i Malone'a chyba także, bo nagle zmarszczył brwi.

- Myślę, że nikogo tam nie znajdą - odezwała się.

- Ja też jestem tego zdania - odparł.

Chociaż powiedział to zupełnie bezbarwnym tonem, zdziwiła się, ponieważ nie oczekiwała żadnej uwagi. Malone prowadził z wzrokiem utkwionym w przedniej szybie.

- Tak czy inaczej, na pewno muszą to sprawdzić - dodała.

- Brytyjczycy zawsze starają się być bardzo dokładni.

- To ludzie z brytyjskich służb specjalnych?

- Niektórzy z brytyjskich, inni z amerykańskich. Nie mogę ujawnić, kto jest zaangażowany w tę akcję - Malone przyspieszył. - Nie ja wydaję tu polecenia, lecz ambasador... - Zawahał się i spojrział na Gini. - Czy w tym domu na wzgórzu... Czy widziała tam pani McMullena albo kogoś innego?

- Nie. Przecież słyszał pan, co mówiłam... Miałam wrażenie, że mówiłam jasno...

- To prawda - Malone obrzucił ją inteligentnym, chłodnym spojrzeniem. - Powiedziała też pani, że ten, kto panią tam zamknął, odjechał. Mniej więcej jedenaście godzin temu, tak?

- Tak... - Zawahała się. - Czy stało się coś jeszcze?

- Nie, nie - odparł. - Teraz najważniejsze jest to, żeby jak najszybciej znalazła się pani w Londynie.

Wiedziała, że Malone nie powie nic więcej. Przez całą drogę zachowywał milczenie. Kiedy wjechali na autostradę, jeszcze przyspieszył. Ruch był niewielki, lecz Gini zauważyła na trasie wyjątkowo dużo patroli. Minęli co najmniej cztery wozy policyjne, ale ani razu nie próbowano ich zatrzymać. Przy szybkości, z jaką jechali, Gini uznała ten brak reakcji za nieco dziwny. Malone znacznie przekroczył ograniczenie prędkości i aż do Londynu nie zwolnił ani na chwilę.

Kiedy dotarli do londyńskiej rezydencji ambasadora Stanów Zjednoczonych, dochodziła piąta rano, lecz było jeszcze zupełnie ciemno.

Skreśli w Regent's Park, minęli meczet i na chwilę zatrzymali się przed bramą, zanim wartownik pozwolił im wjechać na teren ambasady.

Malone wprowadził Gini do holu, który zapamiętała Przeszli obok wejścia do utrzymanego w różowej tonacji salonu, zupełnie pustego, weszli po schodach na piętro, a następnie do małego, anonimowego pokoju na tyłach budynku. Nie było tu telefonu, co wcale jej nie zaskoczyło. Malone uprzejmie podsunął krzesło, poprosił, aby nie wychodziła i zostawił samą, cicho zamykając za sobą drzwi.

Podniosła się z krzesła, podeszła do okna i odsunęła zasłonę, lecz nie zobaczyła dużo. W dole rozciągał się spowity mrokiem ogród, dalej zamknięty na noc park, za którym majaczyły światła Londynu. Opuściła zasłonę i rozejrzała się po pokoju. Poza jej krzesłem były tu dwa fotele i stół, na którym leżał gruby plik czasopism i gazet. Nad pustym kominkiem wisiało duże lustro. Pomyślała, że w przeciwieństwie do tętniącego nocną aktywnością domu w Oxfordshire, w rezydencji panuje całkowita cisza. Nie słyszała żadnych odgłosów życia.

Usiadła i zaczęła się zastanawiać, czy John Hawthorne rzeczywiście wkrótce się zjawi i co jej powie. Czas mijał. Cisza koła nerwy i usypiała. Poczwała, że oczy same jej się zamykają i po raz pierwszy uświadomiła sobie, jak bardzo jest zmęczona. Siedziała tak przez pewien czas, drzemiąc i budząc się, aż wreszcie usłyszała dźwięk, który natychmiast ją otrzeźwił.

Był to cichy, jednostajny odgłos, coś pomiędzy piskiem i sykiem. Przetarła oczy i wstała. Nie odrywała oczu od drzwi. Dziwny dźwięk narastał, jego źródło zbliżało się. Na sekundę przed otwarciem drzwi Gini uświadomiła sobie, że taki odgłos wydaje elektryczny fotel na kółkach, szybko poruszający się po wyłożonym dywanem korytarzu.

Zaraz potem Frank Romero otworzył drzwi i Gini ujrzała fotel oraz człowieka, który w nim siedział.

S.S. Hawthorne wjechał na środek pokoju, zatrzymał fotel, wykonał obrót, żeby znaleźć się twarzą do Gini i rzucił jej uśmiech tak podobny do uśmiechu swego syna, że ze zdumienia zaparło jej dech w piersiach.

- Panna Hunter, prawda? John musi jeszcze odbyć rozmowę z funkcjonariuszami służb bezpieczeństwa. Proszę usiąść. Pomyślałem sobie, że skoro czeka pani na Johna, możemy w tym czasie zamienić parę słów...

Uprzejmym gestem wskazał Gini krzesło naprzeciwko kominka i ustawił swój fotel twarzą do Gini i do znajdujących się za jej plecami drzwi. Gini niespokojnie spojrzała przez ramię. Romero nie opuścił pokoju, lecz stanął w progu, zakładając ramiona na piersi.

- Przynies wszystkie rzeczy, Frank - polecił S.S. Hawthorne. - Nie chcę marnować czasu...

Romero natychmiast wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Gini poczuła spojrzenie Hawthorne'a na swojej twarzy. Pierwszy raz widziała go z tak bliska. Energia, jaką wydawał się emanować nawet na zdjęciach, z odległości mniej więcej metra była wyjątkowo intensywna. Choć siedział w fotelu na kółkach, sparaliżowany od pasa w dół po ostatnim udarze, był ucieleśnieniem niepokonanej siły woli. Gini wyczuwała ją, rozpoznawała w mocnym uchwycie, w jakim jego piękne dłonie trzymały koła fotela, lecz przede wszystkim widziała ją w jego twarzy.

Pomyślała, że jako młody człowiek S.S. Hawthorne niewątpliwie był równie przystojny jak jego syn, a może nawet bardziej. Jeszcze dziś, unieruchomiony w inwalidzkim fotelu, sprawiał wrażenie silnego fizycznie. Miał koło metra dziewięćdziesięciu wzrostu i jak na swój wiek trzymał się bardzo prosto. Jego barki i ramiona były szerokie i umięśnione. W przystojnej, chłodnej twarzy o patrycjuszowskich rysach dominował duży, wystający nos, nadający właścicielowi wygląd drapieżnego ptaka, oraz oczy, wyraźnie jaśniejsze od oczu Johna, głęboko osadzone i podobne do kawałków błękitnego lodu. Były to najzimniejsze oczy, jakie Gini kiedykolwiek widziała. S.S. Hawthorne siedział spokojnie i bez cienia zażenowania szacował Gini twardym, zimnym spojrzeniem. Mierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Jego oczy spoczęły najpierw na jej stopach, potem nogach, biodrach, talii, piersiach, szyi, włosach i wreszcie twarzy.

Przyglądał się jej i oceniał w sposób niepozabawiony zainteresowania seksualnego, lecz jednocześnie dziwnie obojętny. Odniosła wrażenie, że rozbiera ją

wzrokiem i że zawsze właśnie tak patrzy na kobiety, oceniając ich wartość z takim samym brutalnym chłodem, z jakim rzeźnik ocenia jakość mięsa.

Ta inspekcja wprowadziła ją w prawdziwe zażenowanie. Nagle pożałowała, że nie ma na sobie czegoś innego, że wąskie czarne spodnie nie są bardziej luźne, i że na czarny sweter nie włożyła zakietu, który zasłoniłby jej piersi. Zaraz potem własna reakcja obudziła w niej gniew. Odpowiedziała Hawthorne'owi takim samym zimnym spojrzeniem, co z jakiegoś powodu sprawiło mu wyraźną przyjemność. Uśmiechnął się.

- W takich chwilach żałuję, że jestem stary - powiedział. - I że jestem kaleką, oczywiście. - Wskazał ręką nieruchome nogi. - Niezależnie od tego wszystkiego, miło mi, że mogę panią poznać. John w pewnym stopniu przygotował mnie na to spotkanie. Zaczynam rozumieć... - przerwał. - Ach, jesteś już, Frank. Dziękuję. Połóż je na stole.

Romero w milczeniu przeszedł przez pokój. Gini zauważyła, że miał na sobie taki sam strój jak wtedy, gdy widziała go przed kilkoma dniami - ciemne, zaprasowane w ostry kant spodnie i czarny blezer z mosiężnymi guzikami. Położył na stole mały magnetofon kasetowy i kilka pudełek z taśmami. Pytająco spojrzał na Hawthorne'a.

Hawthorne skinął głową.

- Tak, gdybyś był tak dobry... - rzekł i przeniósł wzrok na Gini. - Nie podzielam zaufania, jakim mój syn darzy dziennikarzy i panią. Zanim powiemy sobie coś więcej, chciałbym, aby Frank wykonał swoje zadanie. Proszę mu nie przeszkadzać.

Romero przeszedł na drugą stronę stołu, schylił się, podniósł torbę Gini i sięgnął do zamka. Gini zerwała się na równe nogi.

- Co pan robi, do diabła?! Hawthorne uspokajająco podniósł dłoń.

- Zależy mi, żebyśmy nie marnowali czasu. Nie rozmawiam z dziennikarzami, jeżeli nie jestem pewny, że nie mogą mnie nagrać. To taki niewinny nawyk.

- Proszę natychmiast odłożyć tę torbę!

Gini wyciągnęła rękę, lecz Romero z pogardliwym spojrzeniem odsunął ją na bok. Otworzył torebkę, zajrzał do środka, wyjął z niej kilka przedmiotów i odłożył je na miejsce. Potem dokładnie sprawdził kieszenie podartego płaszcza Gini.

Pobladła z wściekłości. Zrobiła krok do przodu, ale obaj mężczyźni całkowicie ją ignorowali.

- Co z fotografiami? - zapytał spokojnie S.S. Hawthorne.

- Są tutaj.

- Doskonale, tak myślałem. - Hawthorne odwrócił się do Gini. - Przykro mi, ale te zdjęcia nie należą do pani.

Romero położył na stole kopertę ze zdjęciami, wyjętą z kieszeni jej płaszcza. Schyliła się, podniosła torbę i zdjęła płaszcz z oparcia krzesła.

- Dobrze - powiedziała przez zaciśnięte zęby. - Wychodzę...

- Nie - przerwał jej Hawthorne. - Nie radziłbym. Wiem, że jest pani impulsywna... Zaraz, zaraz, jak dokładnie brzmiało to określenie? Uparta, impulsywna i twarda, chyba jakoś tak... Tak czy inaczej, teraz nadeszła chwila, aby pohamowała pani te odruchy, niewątpliwie czarujące w innych okolicznościach. Frank?

Gini znieruchomiała. Trzy słowa, które przed chwilą zacytował Hawthorne, zostały użyte przez Pascala poprzedniego ranka, w domu w St John's Wood. Po plecach nagle przebiegł jej dreszcz. Romero patrzył na nią obojętnie.

- Gdyby zechciała pani unieść ręce... - zaczął.

- Idź do diabła!

- Proszę go posłuchać, panno Hunter - polecił Hawthorne znudzonym tonem. - Jeżeli to pani robi, Frank w ciągu kilku sekund sprawdzi, czy nie ma pani na sobie sprzętu nagrywającego, ale jeśli zacznie pani odgrywać dramatyczne sceny, sprawdzenie potrwa trzy razy dłużej i będzie dużo bardziej nieprzyjemne. Proszę stać spokojnie i nie utrudniać. To, co mam pani do powiedzenia, dotyczy mojego syna, a także pani i fotoreportera, z którym pani pracuje. Kiedy ostatni raz rozmawiała pani z panem Lamartine? - Zerknął na zegarek. - No, tak, już prawie piętnaście godzin temu... Wiele może się zdarzyć w ciągu piętnastu godzin... Na pani miejscu nie stawiałbym oporu i nie tracił cennego czasu.

Gini bez słowa popatrzyła na Hawthorne'a. Sprawiał wrażenie znudzonego i zniecierpliwionego, lecz nie starał się maskować gróźb. Po chwili wahania uniosła ręce. Romero przesunął dłońmi po jej ciele, z góry na dół. Zrobił to szybko i obojętnie, niczym przeprowadzający rewizję policjant. Odwróciła twarz. Na policzku Romero miał zadraśnięcie, najpewniej po goleniu. Czowała zapach jego wody toaletowej i olejku do włosów, a dotyk jego dłoni budził w niej mdłości.



- Dziękuję pani - odezwał się Hawthorne. - Proszę usiąść. Frank?

Romero stanął przy magnetofonie. Widząc, że Gini nie siada, Hawthorne wzruszył ramionami.

- Mówiłem już pani, że nie chcę marnować czasu. Skończymy szybciej, jeżeli pani usiądzie i wysłucha mnie, nie ulegając pokusie przerywania...

Pytająco spojrział przez ramię. Romero kiwnął głową i wybrał jedną z taśm. Hawthorne się uśmiechnął.

- A więc, do rzeczy... Widzi pani te taśmy? To tylko niektóre z nagranych w ciągu ostatnich dwunastu dni. Mam także inne. Doszedłem do wniosku, że zaoszczędzimy sporo czasu, jeżeli Frank przygotuje dla nas mieszankę najważniejszych zdarzeń...

Romero wsunął kasetę do magnetofonu i uruchomił urządzenie. Jakość techniczna nagrania była doskonała. Gini usłyszała swój głos. Wyszłaby już po pierwszych słowach, gdyby nie zimne, błękitne spojrzenie Hawthorne'a, które mówiło jej, że taki krok byłby wysoce nierozważny. Słuchała dalej, chociaż sprawiało jej to ból. Powinnam wiedzieć, co słyszał, a co nie, pomyślała.

Nagrania zostały umiejętnie zmiksowane i ułożone w porządku chronologicznym. Najpierw fragment rozmowy jej i Pascala na parkingu przed budynkiem redakcji „News”, zaraz po odprawie u Nicholasa Jenkinsa, potem ich rozmowy w jej mieszkaniu. Gini wróciła myślą do chwili, kiedy zaraz po włamaniu oboje weszli do jej sypialni i Pascal pokazał jej, co stało się z jej pamiątkami z Bejrutu i białą nocną koszulą.

Hawthorne uniósł dłoń. Romero natychmiast zatrzymał taśmę.

- Bardzo przepraszam - odezwał się Hawthorne. - Obawiam się, że ktoś zbyt gorliwie wypełniał swoje obowiązki... Cóż, takie rzeczy się zdarzają, prawda, Frank?

Oczy obu mężczyzn spotkały się na chwilę. Hawthorne kiwnął głową. Romero włączył magnetofon i Gini usłyszała fragmenty swojej rozmowy z Pascalem w restauracji Stiltskins, gdzie mieli spotkać się z Appleyardem, potem znowu w jej mieszkaniu, w wieczór poprzedzający podróż do Wenecji i wreszcie w samej Wenecji. Usłyszała swój głos: *Nie wierzę własnym oczom*, i odpowiedź Pascala: *Ufam swoim oczom...*

Hawthorne westchnął.

- Banalne - powiedział. - Przewiń kawałek, Frank. Myślę, że dobrze znasz następny fragment... - Z uśmiechem odwrócił się do Gini. - Na pewno jest pani w stanie zrozumieć, że ten rodzaj pracy bywa nużący. Każdy, kto się jej podejmuje, musi znaleźć jakąś metodę radzenia sobie z nudą. Niektórzy wybierają sobie ulubione fragmenty... Akurat ten zajmuje wysokie miejsce na liście przebojów typowanych przez Franka, prawda, mój drogi?

Romero spojrział na Gini i szybko odwrócił wzrok, tłumiąc uśmiech.

- Techniczna jakość jest wręcz znakomita, a to zawsze sprawia mi satysfakcję...  
- rzekł.

Przewinał taśmę i wcisnął PLAY. Gini zacisnęła dłonie na oparciu stojącego przed nią krzesła. Słuchała teraz najbardziej intymnych i drogich jej chwil, spędzonych z Pascalem w hotelu w Wenecji. Pascal mówił słowa przeznaczone wyłącznie dla jej uszu, ona odpowiedziała, rozległo się westchnienie i lekki ruch powietrza, towarzyszący momentowi, gdy objęli się i przywarli do siebie. Nachyliła się do przodu i spojrzała na Hawthorne'a.

- Proszę to wyłączyć - powiedziała.

Nawet ją samą zaskoczył władczy ton jej głosu, chociaż wiedziała, że jego źródłem jest najwyższe oburzenie i obrzydzenie. Romero natychmiast zatrzymał taśmę. Gini zauważyła lekki uśmiech, unoszący kąciki ust Hawthorne'a, który zniknął w chwili, gdy ten ujrzał wyraz jej twarzy.

- Czy naprawdę myśli pan, że... - zaczęła niskim, napiętym głosem. - Czy naprawdę sądzi pan, że pozwolę się w ten sposób poniżyć? Zatrzymajcie sobie te taśmy i słuchajcie ich, ile dusza zapagnie... Nic mnie to nie obchodzi. Jeśli chodzi o was, to wszystko, co przed chwilą usłyszeliście, zostało powiedziane obcym dla was językiem. Jesteście godni pogardy, obaj. Nigdy nie zrozumiecie tego, czego słuchacie, nigdy!

Ruszyła w kierunku drzwi. Hawthorne znowu westchnął.

- Ostrzegałem już panią, że te dramatyczne sceny to tylko strata czasu, chociaż może dobrze robią pani poczuciu własnej wartości - rzekł. - Niewykluczone, że mówiłem nie dość wyraźnie... Jeżeli chce pani zobaczyć pana Lamartine, a sądząc po

nagranej tu scenie z udziałem was obojga nie wątpię, że bardzo pani na tym zależy, to proszę usiąść, słuchać i nie przerywać. Poproszę ostatni fragment, Frank. Potem możesz zostawić nas samych.

Romero szybko przewinął taśmę do przodu i wyprostował się, z lekkim uśmiechem na ustach. Gini słuchała teraz swojej rozmowy z Johnem Hawthorne'em. Romero puścił taśmę w momencie, gdy Hawthorne opisywał swoje związki z innymi kobietami. Zaraz potem zadzwonił telefon w mieszkaniu Gini. Romero wyłączył magnetofon tuż przed tym, jak Hawthorne zaczął jej dotykać. Potem zapadła cisza. Romero spojrzała na swego mocodawcę, ten skinął głową. Romero wyszedł.

- Proszę mnie teraz posłuchać, panno Hunter - S.S. Hawthorne z cichym piskiem kół odwrócił fotel ku Gini. - Wszystko pani wyjaśnię, a potem oboje zdecydujemy, co robić dalej... Jednak zanim zacznę, chciałbym powiedzieć parę słów o moim synu. - Utkwił wzrok w przestrzeni i jego twarz przybrała poważny wyraz. - Pamięta pani ten ostatni fragment nagrania? Chciałbym, żeby dobrze to pani zrozumiała... Mój syn podejrzewał, że kazałem założyć podsłuch w pani mieszkaniu i wcześniej wspominał nawet o takiej możliwości. Nie byłby tym zaskoczony. Na pewno orientuje się pani, podobnie jak wiele innych osób, że zawsze starałem się czujnie śledzić wszystkie jego posunięcia. Od pierwszego roku jego studiów w Yale chronilem w ten sposób swoją inwestycję, bo tak można to nazwać. Tak więc rozmowa, jaką odbyliście w piątek w pani mieszkaniu, a raczej nie tyle cała rozmowa, co wiele rzeczy, które powiedział John, skierowanych było nie tylko do pani, ale również do mnie. John przesłał mi określoną wiadomość, chociaż muszę przyznać, że był z panią bardzo szczery. Wypowiedział mi posłuszeństwo. Mój syn doskonale wie, że gdyby zależało to wyłącznie ode mnie, i pani, i ten fotoreporter już byście nie żyli. Sądzę, że zdążyła się już pani zorientować, iż nie igrzm z naprawdę ważnymi sprawami.

Obrzuciła Hawthorne'a poważnym, chłodnym spojrzeniem.

- W rezultacie tego śledztwa zginęły cztery osoby - rzekła. - Chce mi pan powiedzieć, że ponosi pan odpowiedzialność za ich śmierć?

Hawthorne ze zniecierpliwieniem wzruszył ramionami.

- Odpowiadam za śmierć pierwszych trzech osób, tak. Zleciłem wykonanie wyroków, lecz z czwartym zgonem nie mam nic wspólnego. Za to możemy winić tego McMullena... Jak zasugerowała pani w rozmowie telefonicznej z moim synem, pan McMullen, który okazał się bardziej inteligentny niż przewidywałem, zainscenizował własną śmierć. Nie mam pojęcia, kogo zabił na torach pod Oksfordem i nie bardzo mnie to obchodzi. Obchodzi mnie natomiast mój syn i jego przyszłość. - Wyprostował się i utkwiał wzrok w twarzy Gini. - Powinna pani wiedzieć, że mój syn, odbywając z panią tamtą rozmowę w piątek i zachowując się tak, a nie inaczej, postąpił wbrew moim wskazówkom i radom. - Przerwał i znowu zmierzył ją ostrym, badawczym spojrzeniem. - Powiem szczerze, pani wygląd nieco mnie rozczarował. Jest pani dość ładna, ale świat jest pełen ładnych kobiet, z których większość chętnie robi, co im się każe, jeżeli zaproponuje im się satysfakcjonującą nagrodę. Nie rozumiem więc, co mój syn w pani widzi, ale przyjmuję do wiadomości, że zrobiła pani na nim spore wrażenie. Najprawdopodobniej pociąga go to, że w tej chwili jest pani dla niego niedostępna. John zawsze pragnął rzeczy, których nie mógł mieć. Jak już mówiłem, gdyby zależało to ode mnie, mniej więcej tydzień temu zginęłaby pani w jakimś wypadku. Oczywiście, pani śmierć wywołałaby sporo hałasu, lecz nie trwałoby to długo, ponieważ nie należy pani do osób ważnych, czy wartych zachowania w pamięci... Jednak mój syn skłonił mnie, abym wstrzymał ostateczną akcję. Próbował rozwiązać problem samodzielnie, najpierw wywierając nacisk na właściciela pani gazety, potem redaktora naczelnego, a wreszcie, z pomocą pani ojca, usiłując namówić panią do zostawienia tematu w spokoju. Nie udało mu się, a na dodatek popełnił piramidalne głupstwo, rozmawiając z panią w zbyt otwarty, szczery sposób. Chciałbym, aby choć w części zrozumiała pani charakter mojego syna... Jest wybitnie inteligentny, bardzo ambitny, zdolny i kompetentny, ale posiada dwie wielkie słabości i, niestety, obie związane są z kobietami. Jedna tkwi tu, druga tam... - Hawthorne dotknął najpierw swojego krocza, a potem serca. - Jak sam pani wyznał, ma duży temperament. W gruncie rzeczy potrzeba zaspokajania pragnień seksualnych jest u niego silniejsza i bardziej niezwykła, jeśli chodzi o sposoby manifestowania, niż się pani przyznał. Rozumiem to, ponieważ sam posiadam podobny pociąg do kobiet. Znacznie trudniej jest mi pojąć jego okazjonalną słabość w tej dziedzinie... - Znowu

położył dłoń na sercu. - Z przyjemnością stwierdzam, że tego rodzaju słabość zdarza mu się bardzo rzadko, prawie nigdy. Kiedy więc wstawił się za panią, byłem przekonany, że zamierza się z panią przespać i w chwilę później zapomnieć o pani. To byłoby normalne. Wasza rozmowa w piątkowy wieczór obudziła jednak we mnie podejrzenie, że chodzi o coś więcej... Nieważne. Nie wątpię, że wkrótce John odzyska rozsądek. Gdyby poszła z nim pani do łóżka, do rana byłoby po wszystkim, ale ponieważ ta możliwość w najbliższym czasie raczej nie wchodzi w grę, załatwimy to inaczej. Zaraz to pani wyjaśnię. Rzucił jej kolejne przenikliwe spojrzenie. -

Oczywiście, zależy mi na pani milczeniu, to jest najważniejsze. Poza tym życzę sobie, aby raz na zawsze zniknęła pani z orbity mojego syna, przestając absorbować jego umysł i wyobraźnię. John ma na głowie znacznie poważniejsze sprawy. Postaram się teraz wytłumaczyć pani wszystko dokładnie, a pani będzie mnie słuchać. Kiedy skończę, powie mi pani, ile będzie kosztować pani współpraca.

Zapadła cisza. Gini rozejrzała się po pokoju, zastanawiając się, czy ta rozmowa także jest nagrywana lub może nawet filmowana. Spojrzała na duże lustro nad kominkiem, potem na kalekiego mężczyznę w fotelu na kółkach i zadała sobie pytanie, gdzie kończy się szaleństwo, kiedy już raz ktoś je rozpęta.

Usiadła na krześle naprzeciwko Hawthorne'a, który utkwiał w niej zimne spojrzenie, odczekał chwilę i zaczął mówić.

- W Wenecji, w mieszkaniu, gdzie zostali zabici tamci dwaj degeneraci, znalazła pani guzik od uniformu Franka, prawda? Była to nieostrożność z jego strony, lecz Frank lubi zabijać i przy takich okazjach zdarza mu się coś przeoczyć. Zwróciła pani uwagę na wzór na guziku?

- Tak. To była girlanda lub wieniec.

- Sam wybrałem ten wzór wiele lat temu. Wszyscy moi podwładni noszą takie guziki na rozmaitych uniformach. Jest to wieniec, jaki kiedyś wkładano na głowę... - Przerwał i spojrzał na nią z zainteresowaniem. - Zna pani łacińskie określenie *victor ludorum*?

- Zwycięzca zawodów... Tak.

- Zwycięzca zawodów, otóż to. Zawsze przywiązywałem wielką wagę do zwycięstwa w zawodach, wszystkich zawodach, i tych mało ważnych, i tych bardziej.

Nie lubię zajmować drugiego miejsca, lubię wygrywać, podobnie jak mój syn... - Pochylił się do przodu. - Przez prawie całe życie biorę udział w bardzo poważnych zawodach. Chcę, aby mój syn wypełnił swoje przeznaczenie, żeby zdobył największą nagrodę. I wiem, że doczekam takiej chwili. Mieliśmy pewne trudności, John opowiadał pani o nich. Choroba jego syna i tak dalej... Zachwiał się wtedy, lecz teraz odzyskał równowagę. Jeszcze rok, najwyżej dwa tutaj, a potem powrót do Ameryki. Sądzę, że rozumie pani, o czym mówię.

- Rozumiem, czego pragnie pan dla niego i dla siebie. Tak.

- Każdy ojciec pragnie, aby jego syn osiągnął więcej niż on sam - rzucił ostro. - Nie udaję altruisty, stawiam sprawę jasno - tego chcę i ja, i John, i tego zamierzam dopiąć. Nie powstrzyma mnie ani ta chora psychicznie suka, jego żona, ani żalosne machinacje takiego zera jak James McMullen, ani wysiłki jakiegoś paparazzi i jego ukochanej. Czy to jasne?

- Och, więcej niż jasne.

- Doskonale. Kiedy więc w lecie zeszłego roku John powiedział mi, że jego sytuacja małżeńska uległa pogorszeniu, a Lise wciągnęła do walki McMullena, nie wahałem się ani chwili. Lodowato błękitne oczy Hawthorne'a załśniły. - Wiele lat temu John i ja zawarliśmy pewien układ. Jego ręce muszą być czyste, natomiast moje... Cóż, czystość moich rąk nie jest już w tej chwili taka istotna... Gdy John napotyka na przeszkody, ja je usuwam. Jeżeli jest to możliwe, John nie wie nic o moich akcjach i metodach, które stosuję. Zapomniałem wspomnieć, że John miewa jeszcze jedną słabość - czasami odzywa się w nim sumienie. Poza tym w polityce prawdziwa niewiedza jest równie silnym atutem jak zupełna niewinność... - Odchylił się do tyłu w fotelu i złożył dłonie na kolanach. - Nie chcę wchodzić w nudne szczegóły, więc powiem krótko - objąłem ścisłą obserwacją Lise i McMullena. Nie byłem pewny, jak daleko zamierzają się posunąć, ponieważ obydwoje są niezrównoważeni, zwłaszcza Lise. Oboje wierzą, że mają powód, aby zemścić się na Johnie, chciałem więc dowiedzieć się, czy planują zaszkodzić jego reputacji, czy coś jeszcze gorszego. W pewnej chwili przyszło mi do głowy, że Lise z przyjemnością zostałaby wdową po Johnie. Zachowałyby wtedy pozycję, a może zyskałyby jeszcze lepszą, otaczając się aurą pełnej dostojeństwa rozpaczy. Zostałyby jedyną opiekunką

synów, a przynajmniej tak jej się pewnie wydaje. Dlatego byłem ciekawy, do czego Lise jest w stanie zmusić McMullena, byłego komandosa i doskonałego strzelca... Uzbroidłem się w cierpliwość i czekałem, ale oczywiście nie beczynnienie... W tym czasie podjąłem pewne działania, których efekty miały stać się polisą ubezpieczeniową od szaleństw Lise.

- Chodzi panu o te fotografie? - Gini wskazała leżącą na stole kopertę.

- Tak, chodzi mi o te fotografie... - Hawthorne uśmiechnął się zimno. - Lise zawsze miała dość niezwykle upodobania erotyczne. Ten fakt czasami odpycha Johna, lecz kiedy indziej wyraźnie go pociąga. Zapomniał powiedzieć pani, że ożenił się z nią między innymi ze względu na ów szczególny gust... Wtedy dewiacje Lise manifestowały się w znacznie łagodniejszej formie, lubiła być wiązana, zniewalana, bita, ale niezbyt mocno...

- Nie chcę tego słuchać - przerwała mu Gini.

- Nie? - Zimne oczy spoczęły na jej ustach, potem na włosach. Hawthorne wzruszył ramionami. - Jak pani sobie życzy. John przez pewien czas uważał to wszystko za podniecające, lecz poczynania Lise szybko go znudziły i zaczęły budzić w nim obrzydzenie. Od tego czasu jego małżeństwo wyglądało dokładnie tak, jak to pani opisał. Szukał pociechy gdzie indziej. W rozmowie z panią nie wspominał, że Lise nie pozostała mu dłużna i w rezultacie istnieją pewne wątpliwości co do ojcostwa ich drugiego syna. Nieważne... W ciągu ostatnich czterech lat upodobania Lise przybrały ostrzejszą formę. Kiedyś ostrzegałem ją i Johna, że tak się stanie. Ludzie, którzy szukają zaspokojenia w takich igraszkach, z czasem stają się coraz bardziej zdesperowani i rozczarowani. W ostatnim półroczu Lise sięgnęła po bardzo drastyczne środki, stąd ci muskularni młodzi ludzie. - Ruchem głowy wskazał zdjęcia. - Przedstawiła McMullenowi nieprawdziwą wersję swoich przeżyć, przypisując własne słabości Johnowi, zaś on uwierzył jej, nieszczęsny głupiec...

Jesienią ubiegłego roku rozpoczęli bardzo amatorską kampanię przeciwko mojemu synowi, najpierw kontaktując się z tym kolekcjonerem plotek, którego nazwiska nie pamiętam, a potem z redakcją pani gazety... - Hawthorne przerwał i lekko zmarszczył brwi. - Początkowo byłem tym trochę zaskoczony.

- Naprawdę? Dlaczego?



- McMullen wykazuje łatwowierność i naiwność tam, gdy chodzi o Lise, jest jednak zdyscyplinowanym, świetnie wyszkolonym żołnierzem, natomiast sama Lise, chociaż niewiarygodnie głupia, posiada dużo wrodzonego sprytu i umiejętność manipulowania ludźmi. Było dla mnie oczywiste, że ich plan jest skazany na porażkę. Gdyby posunęli się z nim jeszcze trochę dalej, z łatwością rozwiązałbym cały problem. Lise wzięłaby za dużą dawkę leku, czy coś takiego - ciągnął z brutalną nonszalancją. - Proste i szybkie. Niewielka strata dla ludzkości i wolność dla Johna... Ale wtedy dostrzegłem w tym planie coś więcej, ciekaw jestem, czy pani także... Wszystko to razem - historia z blondynkami, nawiązanie kontaktu z prasą, domniemane zniknięcie McMullena, cztery przesyłki - miało potwierdzić opowieści Lise, maltretowanej, udęczonej żony. Po dokładnym przemyśleniu stało się jednak dla mnie jasne, że ma to służyć odwróceniu uwagi od najważniejszego założenia planu. James McMullen i Lise zamierzali zabić mojego syna, i to od samego początku - widząc, że Gini chce zadać pytanie, podniósł rękę. - Wrócę do tego później. Wyjaśnię pani, w jaki sposób się tego dowiedziałem, kiedy i jaki dokładnie mieli plan, wcześniej chciałbym jednak przedstawić pani pewne szczegóły. Musi pani zrozumieć, że od zeszłego lata wszystkie decyzje w tej sprawie podejmowałem ja sam. W pierwszej kolejności zająłem się comiesięcznymi spotkaniami Lise z tymi muskularnymi młodzieniaszkami. Zależało mi, aby odbywały się w wybranym przeze mnie miejscu, gdzie Lise mogłaby zostać sfotografowana *in flagranti*. - Hawthorne spojrzął przez ramię w kierunku kominka i uśmiechnął się lekko. - Spotykała się z nimi w hotelowych pokojach wyposażonych w lustra podobne do tego, tyle że inne... Frankowi Romero daleko do Pascala Lamartine, lecz kiedy stanie po drugiej stronie odpowiednio skonstruowanego lustra, z dobrym sprzętem w ręku, radzi sobie doskonale... Chwileczkę... Wiem, jakie pytanie chce pani zadać i wrócę do tego we właściwym czasie. Proszę pozwolić mi ciągnąć tę opowieść w moim własnym tempie, dobrze? Świetnie. Tak więc zdobyłem ubezpieczenie w postaci zdjęć, monitorowałem całą sytuację i wiedziałem, że po zainscenizowanym zniknięciu McMullen wciąż kontaktował się z Lise. Frank i jego pomocnicy mieli pewne trudności z ustaleniem miejsca pobytu McMullena, ale wtedy na scenę wkroczyliście wy dwoje, pani i pan Lamartine. Zainteresował mnie ten nowy zwrot akcji i pozwoliłem sobie na kilka

niewinnych reżyserskich posunięć. Mówiłem już pani, że lubię gry... - Rzucił Gini zimny uśmiech. - To mnie może pani winić za kilka wydarzeń: włamanie do pani mieszkania, dodatkowe dwie przesyłki... Za co jeszcze? Niech pomyślę... Ach, za wyłączenie światła u pani i tajemnicze telefony, których treść została napisana i nagrana przez Franka. To zadanie również bardzo przypadło mu do gustu. Oczywiście, ja trochę mu pomogłem, między innymi przekazując mu informacje o pani, które podał mi John, na przykład jaką wagę przywiązywała pani do wydarzeń w Bejrucie lub o tekście na temat usług seksualnych przez telefon, nad jakim zaczęła pani pracować... Proszę mi nie przerwać. John nic o tym wszystkim nie wiedział, nie miał pojęcia, że zamierzam wykorzystać te wiadomości. A kiedy dowiedział się o telefonach do pani... Cóż, sama pani widziała, jak zareagował. John ma godną pożałowania skłonność do romantycznych uniesień i gdy usłyszał tekst autorstwa Franka, wpadł w furję...

Przerwał. W pokoju zaległa cisza. Potem pochylił się i poprawił ustawienie kół fotela.

- Mam nadzieję, że zrozumiała mnie pani - podjął tym samym chłodnym, uprzejmym głosem wykształconego, kulturalnego człowieka, tak podobnym do głosu syna. - Gdyby zależało to ode mnie, już by pani nie było na tym świecie. I pani, i pani przyjaciela. Pozbyłbym się was z równą łatwością, jak tamtych dwóch w Wenecji i tej modelki w Paryżu. I proszę nie wątpić, że zapomniałbym o tym pięć minut po wydaniu zlecenia zabójstwa. Nie mam sumienia, jest to słabość, z którą skończyłem dawno temu. Zawsze uważałem, że cel uświęca środki. Kiedy mój syn odwiódł mnie od tego zamiaru, postanowiłem się trochę zabawić. Zabawiłem się więc i przy okazji wykorzystałem was, co pani kochanek dostrzegł, chociaż dopiero po pewnym czasie. Liczyłem, że doprowadzicie mnie do tajemniczego pana McMullena... - Uśmiechnął się. - Trochę długo to trwało, ale jednak nie zawiedliście mojego zaufania...

- Jest pan tego pewny? - zapytała ostro Gini. - Ja odczytałam to zupełnie inaczej. Moim zdaniem McMullen wymknął się panu z rąk. Może nie jest aż takim głupcem, za jakiego go pan uważa... - Spojrzała mu prosto w oczy. - Powinien pan trochę uważać. Jest pan arogancki, a aroganci nie doceniają innych. To poważny błąd.

- Tak pani myśli? - Spojrzał na nią z rozbawieniem. - Z całą pewnością nie przeceniłem ani pani, ani pani kochanka... Oboje jesteście raczej prostoduszni i łatwo było sobie z wami poradzić. Natomiast jeśli chodzi o McMullena... Cóż, kiedy razem z panem Lamartine przenieśliście się do domu w Hampstead, utrudniliście Frankowi życie, ale tylko trochę. Zaprowadziliście mnie do Oksfordu, za co jestem wam wdzięczny. Do tego czasu zdążyliście się już czegoś nauczyć, więc zanim spotkaliście się z panem McMullenem, zgubiliśmy trop...

- Nie wątpię. Jestem pewna, że gdybyście nagrali naszą rozmowę z McMullenem, jej fragmenty znalazłyby się na taśmie, którą mi pan puścił. Można więc powiedzieć, że niezwykle sprawny i kompetentny Frank Romero spieprzył sprawę, tak?

- Niezupełnie. - Popatrzył na nią zimno. - Jak pani wie, zlokalizował was jeszcze tej samej nocy, w hotelu w Oksfordzie. Tak czy inaczej, mimo tej niewielkiej porażki dowiedzieliśmy się, że McMullen prawie na pewno przebywa w tamtej okolicy. Zresztą Lise popełniła w końcu błąd, zgodnie z moimi oczekiwaniami. Tego samego wieczoru, kiedy rozmawialiście z McMullenem, dwukrotnie do niego dzwoniła. Raz na telefon komórkowy, aby poinformować go, że jej mąż chwilę wcześniej wyjechał z Londynu, i drugi raz parę godzin później, na numer jego byłego wykładowcy - oba telefony z tej samej budki telefonicznej, z której zresztą korzystała już wcześniej. Błąd.

Gini pomyślała, że w głosie McMullena brzmi nie tylko nuta arogancji, ale także ogromnego zadowolenia z siebie. Wydawało jej się bardzo prawdopodobne, że Lise zdawała sobie sprawę, iż jej telefony zostaną wytropione, nie zamierzała jednak pomagać S.S. Hawthorne'owi. Spojrzała na niego uważnie.

- Więc wie pan, gdzie w tej chwili przebywa McMullen?

- Jeszcze nie. - Spojrzał na zegarek. - McMullen popełnił błąd, zabijając, ponieważ w ten sposób postawił na nogi nawet brytyjską policję. Instynkt podpowiada mi, że niedługo po spotkaniu z wami podjął próbę ucieczki z kraju. Nie wiem, czy mu się udało. Westchnął ze zniecierpliwieniem. - Teraz zależy mi tylko na tym, aby moi ludzie dopadli go przed brytyjską policją lub służbą bezpieczeństwa... Nie chcę, aby

został aresztowany, bo zostałby przesłuchany. Wolałbym zamknąć mu usta w ciągu najbliższych paru godzin...

Zmarszczył brwi i odwrócił głowę ku oknu. Jakaś myśl nie dawała mu spokoju. Gini w milczeniu obserwowała, jak jego palce skubią koc.

- Wie pani, kiedy McMullen chciał zabić Johna? - zapytał nagle. - Rozmawiał o tym z Lise, oczywiście nie wprost, ale ich intencje były zupełnie jasne. Na przyjęciu z okazji czterdziestych ósmych urodzin mojego syna, które ma odbyć się w przyszłym tygodniu w Oxfordshire, po kolacji, w czasie pokazu ogni sztucznych... Pokaz fajerwerków miał zacząć się o tej samej godzinie, kiedy John przyszedł na świat - taką mamy rodzinną tradycję. Lise zna moje plany dotyczące przyszłości Johna i wie, że liczyłem, iż do jego czterdziestych ósmych urodzin uda się je zrealizować... John mówił pani o tym w piątek wieczorem. Sądzę więc, że to Lise wybrała datę, natomiast McMullen dostrzegł w tych uroczystościach doskonałą okazję dla wyborowego strzelca. - Hawthorne wychylił się z fotela, jego oczy załśniły lodem. - Uważam to za wyjątkową podłość i zamierzam ukarać winnych. McMullen zostanie odnaleziony, a Lise...

- Lise przyjmie za dużą dawkę leku? - wtrąciła Gini. Hawthorne się uśmiechnął.

- Nie. Niestety... Mój syn zmusił mnie do zmiany decyzji. Jak pani mówił, szczerze przejmuję się losem swoich synów. Może trudno by mu było spojrzeć im w twarz, gdyby miał na sumieniu śmierć ich matki - nie wiem... Czasami podejrzewam, że Lise i Johna łączy więź, której natury nawet ja nie potrafię zrozumieć, i że John nie pragnie ostatecznego zerwania. Kto wie... John ma bardzo skomplikowaną osobowość. Tak więc Lise nie przedawkuje żadnego niebezpiecznego leku, chyba że zrobi to przypadkiem... Nie. Zostanie przewieziona do spokojnej, cichej kliniki dla umysłowo chorych, co lekarze sugerowali już wiele miesięcy temu. Tam będzie mogła do woli snuć swoje fantazje. Oczywiście, dostanie najlepszą opiekę. Lise naprawdę nie jest normalna. Chyba nawet pani rozumie, że mój syn nie ma innego wyjścia.

Gini odwróciła wzrok. Jeżeli wszystko to było prawdą, a nie widziała powodu, aby w to nie wierzyć, to rzeczywiście John Hawthorne nie miał innego wyboru.

Przez chwilę zastanawiała się, jak długo Johnowi uda się chronić Lise i czy ogólnie przyjęta definicja normalnego i nienormalnego umysłu mają w tym wypadku jakiegokolwiek zastosowanie.

- W ten sposób udało nam się dojść do dnia dzisiejszego - podjął S.S. Hawthorne. - Mamy do rozwiązania jeszcze jeden poważny problem. Chodzi mi o panią i pani przyjaciela. Sam nie wiem, co powinienem z tym zrobić...

Zapadła cisza. Gini i Hawthorne mierzyli się chłodnymi spojrzeniami.

- Oto moje warunki - rzekł w końcu. - Po pierwsze, żadna brytyjska gazeta nie opublikuje tej historii, nawet gdyby chciała ją pani komuś zaproponować. Mam tu zbyt wielu przyjaciół. McMullen popełnił już jedno zabójstwo i dysponuję niepodważalnymi dowodami, że zamierzał zabić mojego syna. McMullen jest oficerem brytyjskiej armii, który zrobił dość intrygującą i imponującą karierę. Fakt, iż ktoś taki chciał dokonać zamachu na amerykańskiego ambasadora... - Przerwał i uśmiechnął się. - Cóż, ten fakt wprawia Brytyjczyków w wielkie zdenerwowanie. Jeżeli opublikuje pani choć jedno słowo wymierzone w mojego syna w tym kraju, i pani, i pani redakcja dostaniecie wilczy bilet. W tej chwili jest to sprawa niezwykle drażliwa ze względów politycznych, więc wiem, że przynajmniej w tej kwestii mam was w ręku. Nie ukrywam, że taki stan rzeczy wcale mi nie odpowiada. Cenię sobie skuteczne rozwiązania. Niewykluczone, że okaże się pani niedyskretna lub spróbuje pani sprzedać swoją historyjkę za granicą. Proszę posłuchać mnie bardzo, ale to bardzo uważnie, panno Hunter... Jeżeli podejmie pani takie kroki, dowiem się o tym. Nie podniosę na panią ręki, w każdym razie nie od razu, lecz na pewno dokończę to, co zacząłem w piątek wieczorem. Wtedy mój człowiek oszczędził pani kochanka tylko dlatego, że mojemu synowi zależało, aby zachować go przy życiu do dzisiaj, do niedzieli...

Gini zbladła. Zerwała się z krzesła i zaczęła coś mówić, lecz Hawthorne przerwał jej znudzonym gestem.

- Niechże pani mnie posłucha, pan Lamartine nigdy nie wydawał mi się szczególnie ważną osobą. Wiem, że nigdy nie zrobi swoich zdjęć, bo nawet on nie sfotografuje całkowicie fikcyjnych spotkań z blondynkami. Pani udział w tej sprawie niepokoił mnie nieco bardziej, ponieważ mogła pani wpaść na trop dowodów

szkodliwych dla reputacji mojego syna, a teraz John nierozważnie sam złożył te dowody w pani ręce. Mój syn wywalczył jednak odroczenie pani egzekucji... Mimo tego, jeżeli będzie pani sprawiała kłopoty, wymierzę karę pani i panu Lamartine. Najpierw zginie jego córka, Marianne, proszę przekazać mu tę wiadomość, z łaski swojej. Potem każę zabić pana Lamartine, a na końcu panią, rozumiano? Dopilnuję, aby pan Lamartine umarł w bardzo nieprzyjemnych okolicznościach i dam pani dość czasu, aby udręczyła się pani poczuciem odpowiedzialności za jego śmierć. - Uśmiechnął się lekko. - Wpadła pani w oko Frankowi Romero. Nie wątpię, że rozprawi się z panią w jakiś intrygujący sposób... Zapewniam panią, że nie cofnę się przed niczym. Uśmiercę panią jak natrętnego owada, jak muchę. W przeciwieństwie do mojego syna, nie czuję do pani sympatii. Jest pani dość przeciętną osobą i zaczęła mi pani przeszkadzać...

Gini przyglądała mu się w milczeniu. Mówił jasno i zwięźle, tonem biznesmena dyktującego poszczególne punkty oficjalnego listu. Uświadomiła sobie nagle, że w centrum całej tej historii tkwi jedno kluczowe pytanie: jaki naprawdę jest John Hawthorne? Odpowiedzi mógł dostarczyć siedzący przed nią człowiek, chociaż na pewno nie bezpośrednio... Spuściła wzrok i spojrzała na czarny koc, okrywający jego sparaliżowane nogi.

- Rozumiem... - powiedziała. - I nie wątpię, że mówi pan prawdę. Jak długo spodziewa się pan jeszcze pożyć?

Jej pytanie rozbawiło go. Zaśmiał się krótko.

- Wystarczająco długo - odparł. - I proszę nie wyobrażać sobie, że po mojej śmierci będzie pani bezpieczna. Moje działania zawsze są skuteczne i będą takie nawet zza grobu. John o to zadba.

Przycisnął guzik na ramieniu fotela. Rozległ się cichy szum i Hawthorne ruszył w kierunku drzwi. Gini zastąpiła mu drogę.

- Nasza rozmowa dobiegła końca - rzekł cicho, zatrzymując fotel. - Proszę się odsunąć.

- Zaraz to zrobię, ale ta rozmowa jeszcze się nie skończyła. Jest kilka rzeczy, o których pan nawet nie wspomniał...

- Wiem o tym. - Spojrzał na zegarek. - Niestety, teraz czekają na mnie ważniejsze sprawy...

- Powiedział pan, że wie, jakie pytanie chciałabym panu zadać - ciągnęła Gini, nie ustępując.

Jej słowa obudziły jego zainteresowanie. Rzucił jej spojrzenie pełne zjadliwości i pogardy, spojrzał na kominek i wiszące nad nim lustro, potem na drzwi.

- Mój kot - powiedziała Gini.

- Tego dotyczy pani pytanie?

- Tak, jedno z moich pytań... Który z pańskich dzielnych ludzi zabił mojego kota? Chciałabym to wiedzieć.

- Mam tutaj trzech ludzi. - Hawthorne wzruszył ramionami. - Mógł to zrobić którykolwiek z nich... Polecenie na pewno wydał Frank Romero, ale nie radziłbym go wypytywać. Ma szczególny temperament i gust, chyba mnie pani rozumie...

- W porządku. Jeszcze jedno... Co naprawdę wydarzyło się w Wietnamie?

- Opis wydarzeń, przedstawiony przez Johna i pani ojca jest prawdziwy. Jeżeli ma pani jeszcze jakieś wątpliwości, proszę poprosić mojego syna o ich rozwianie... - Przerwał i rzucił jej pobłażliwe spojrzenie. - I to były te pytania, które tak panią dręczyły? Zdumiewające...

Gini odniosła wrażenie, że nagle przestało mu się śpieszyć. Wyczuła, że w swojej wielkiej arogancji uznał ją za marnego, niegodnego uwagi przeciwnika, którego każdy ruch i pytanie jest w stanie przewidzieć. Kiedy nie odezwała się od razu, uśmiechnął się szerzej, z nieukrywaną satysfakcją.

- Śmiało, panno Hunter, widzę, że coś jeszcze budzi pani niepokój... Jaki jeszcze szczegół powinienem pani wyjaśnić? Większą część historii wytłumaczyłem bardzo dokładnie...

- Ale jednak nie całą. Nie powiedział pan nic o tej kobiecie z angielskim akcentem, na przykład. A wszystko zaczęło się od Angielki, która zadzwoniła do firmy kurierskiej...

- Angielka też zadzwoniła do agencji towarzyskiej, a następnie spotkała się w hotelu z tą dziewczyną na telefon - uzupełnił niedbale. - Czy zawsze tak powoli kojarzy pani fakty? W obu przypadkach w roli Angielki wystąpiła Lise. Niech pani



poprosi ją kiedyś, żeby zademonstrowała pani swój angielski akcent. Lise to urodzona aktorka, jest nieprawdopodobna... - Hawthorne przyjrzał jej się uważnie. - Wydaje mi się jednak, że tak nieistotne szczegóły nie powinny już zaprzętać pani uwagi... Ach, rozumiem... - Uśmiechnął się. - Tak naprawdę chciała pani zadać zupełnie inne pytanie...

- Chcę wiedzieć, kim był mężczyzna, który czekał wtedy w pokoju hotelowym na tamtą dziewczynę i Lise... - zaczęła Gini.

Hawthorne parsknął szczekliwym śmiechem.

- Naturalnie, to było do przewidzenia... Zadaje pani pytania jako kobieta, nie jako dziennikarka, prawda? Mój syn fascynuje panią znacznie bardziej, niż jest pani gotowa się przyznać.

- To nieprawda.

- Ależ tak! Najwyraźniej John zbyt szybko poddał się tamtego wieczoru w pani mieszkaniu... Jest pani łatwiejsza do zdobycia niż można sądzić. Gdyby John rozegrał to w odpowiedni sposób, mógł mieć panią na zawołanie...

- Kim był tamten mężczyzna? - powtórzyła spokojnie. Popatrzył na nią z politowaniem.

- To był mój syn - powiedział. - Proszę pamiętać, że ostrzegałem panią...

Gini się zawahała. Oczekiwała takiej odpowiedzi, lecz mimo wszystko poczuła rozczarowanie. Wolałaby wierzyć, że John Hawthorne nigdy nie zniżyłby się do czegoś takiego. Wzruszyła ramionami i spojrzała jego ojcu prosto w oczy.

- Wobec tego proszę odpowiedzieć na ostatnie pytanie - odezwała się cicho. - Na zdjęciach, które posłał pan McMullenowi, a właściwie na trzecim, zrobionym w grudniu...

Na wspomnienie znalezionych w domku McMullena fotografii zarumieniła się mimo woli. S.S. Hawthorne natychmiast to zauważył.

- Tak? - powiedział zachęcająco.

- Na grudniowym zdjęciu Lise patrzy na kogoś, kto znajduje się poza kadrem. W pokoju był ktoś jeszcze, ktoś poza Lise i jej kochankiem... Ktoś, kto obserwował ją przez cały czas...

- Oczywiście, ma pani rację. Lise lubi mieć widownię. Tak, ktoś tam wtedy był, w październiku, w listopadzie, w grudniu i przy innych takich okazjach...

- Kto to był? - zapytała, z niezadowoleniem uświadamiając sobie, że ton jej głosu zdradza napięcie, od którego nie potrafiła się uwolnić.

S.S. Hawthorne spuścił wzrok. Pełen satysfakcji uśmiech ani na chwilę nie schodził z jego ust.

- Och, panno Hunter... - powiedział na wpół żartobliwie. - Myślę, że zna już pani odpowiedź. Jeżeli jednak miałyby pani wątpliwości...

Przerwał i starannie wygładził fałdkę koca na swoich kolanach. Drzwi otworzyły się i w progu stanął John Hawthorne. W milczeniu powiódł wzrokiem od ojca do Gini. S.S. Hawthorne rzucił Gini ostatnie złośliwe, rozbawione spojrzenie i skierował fotel ku drzwiom.

- Może jednak nie jest pani tak głupia, jak sądziłem - powiedział. - Odpowiedź na to pytanie stanowi sedno całej sprawy. Jeżeli miałyby pani wątpliwości, jak mówiłem, proszę nie zwracać się z nimi do mnie, lecz zapytać kogoś, kogo darzy pani sympatią i podziwem - mojego syna.

## XXXVII

John Hawthorne zamknął drzwi za ojcem, oparł się o nie plecami i długą chwilę stał bez ruchu, patrząc na Gini. Potem podszedł do okna, odsunął zasłony i utkwiał wzrok w ciemności.

- Która godzina? - zapytała.

- Ósma. Dziewiąta. Między ósmą a dziewiątą... Już rano, chociaż świt jeszcze nie nadszedł...

Odwrócił się twarzą do niej. Spojrzeli sobie w oczy. Gini uświadomiła sobie, że pierwszy raz widzi go w nieformalnym stroju. Miał na sobie ciemny sweter z kołnierzykiem polo i czarne sztruksowe spodnie, takie, jakie mógłby nosić Pascal. Poza tym sprawiał wrażenie zupełnie innego, odmienionego człowieka. Nie było w nim ani odrobiny energii, którą zazwyczaj emanował, jego twarz była blada i zmęczo-

na. Wyglądał jak człowiek, który spędził kilka bezsennych nocy, jak ten, kto przekroczył granicę martwej strefy, rozciągającej się za rozpaczą.

- Jak długo rozmawiałś z moim ojcem? - zapytał.

- Długo. I to on mówił, ja głównie słuchałam.

- Rozumiem...

- Przysłuchiwałeś się nam? A może nas obserwowałeś? - Wskazała lustro nad kominkiem.

Podążył za jej spojrzeniem i lekko ściągnął brwi. Jej pytanie ani go nie zaskoczyło, ani nie zdenerwowało.

- Nie... - powiedział z wahaniem. - Ojciec zorganizował to spotkanie bez mojej wiedzy...

Zobaczyła, że jego oczy spoczęły na magnetofonie i stosie kaset. Podeszedł do stołu, wziął kopertę ze zdjęciami, wyjął je, przyjrzał im się pobieżnie i włożył z powrotem do koperty. Rzucił ją na blat, jakby fotografie w ogóle go nie interesowały i powoli przeszedł przez pokój. Zatrzymał się w odległości metra od Gini. Objął wzrokiem włosy i podrapaną twarz, ujął dłoń i ostrożnie obejrzał skaleczenia. Potem uwolnił rękę i spojrzał Gini w oczy.

- Na początek chcę powiedzieć dwie rzeczy - zaczął cicho. - Tej nocy, kiedy zorientowałaś się, że mogę znaleźć się w niebezpieczeństwie, próbowałaś mnie ostrzec. Jestem ci za to wdzięczny. W tych okolicznościach było to więcej, niż miałbym prawo oczekiwać. Poza tym... - Przerwał, rozejrzał się po pokoju i znowu popatrzył na nią. - Poza tym naprawdę jest mi bardzo przykro, że zostałaś zamieszana w tę całą sprawę, chociaż nie wiem, czy mi uwierzysz... To jest ta druga rzecz. - Westchnął. - Jest mi przykro z powodu wielu rzeczy. Powinienem był uporać się z tym wszystkim na swój sposób, i to znacznie wcześniej. Lise powinna była trafić do szpitala, popełniłem duży błąd, wstrzymując się z podjęciem tej decyzji. Wiem, że przeprosiny nie mają sensu, ale zależy mi na twoim zrozumieniu. Wydarzenia ostatnich kilku tygodni prawie mnie zniszczyły, mało brakowało, a zapragnąłbym śmierci. Po raz pierwszy od wielu, wielu lat uznałem, że życie nie ma sensu. - Podeszedł do lustra, lecz zaraz znowu odwrócił się do Gini. - Nadal chcę z tobą porozmawiać. Pozwolisz?

- Tak. Ale nie tutaj. Nie podoba mi się ten pokój. Uśmiechnął się lekko i schylił się po jej torbę i płaszcz.

- Pójdziemy do mojego gabinetu. Jest bezpieczny i wolny od podsłuchu, jeżeli w ogóle istnieją takie miejsca. Chcę ci coś pokazać.

Przytrzymał drzwi, przepuszczając ją w progu i poprowadził długim korytarzem. Z oddali słyszała głosy, kroki i inne dźwięki, których nie potrafiła zidentyfikować. Korytarz skręcał ku przedniej części domu i kiedy znaleźli się przy oknie wychodzącym na podjazd przed wejściem,

Hawthorne zatrzymał się i gestem zachęcił ją, aby podeszła bliżej.

- Przyjechały karetki - powiedział.

Spojrzała w dół. Na podjeździe stały dwie nieoznaczone nazwą szpitala karetki. Drzwi jednej z nich się otworzyły, na żwirze zaszeleściły kroki.

- To jeden z powodów, dlaczego nie mogłem spotkać się z tobą wcześniej - rzekł Hawthorne. - Musiałem do końca załatwić sprawę Lise. Dzisiaj zabiorą ją do prywatnej kliniki. To już koniec, nie da się tak dalej żyć... Teraz pozostały już tylko formalności. Muszę podpisać dokumenty, ale zrobię to trochę później, kiedy zostanie przyjęta i poddana wstępnym badaniom. Lekarze mówią, że powinienem przyjechać tam koło południa. Może wtedy poczuję ulgę... - Wyciągnął rękę, jakby chciał położyć ją na ramieniu Gini, lecz zaraz ją cofnął. - Przepraszam... - Otworzył drzwi naprzeciwko okna. - To tutaj. Musisz mi wybaczyć, nie potrafię teraz myśleć zbyt klarownie... Najpierw zajmowałem się Lise, potem rozmawiałem z ludźmi ze służb specjalnych, bo McMullena jeszcze nie odnaleziono... Nie jadłem i nie spałem, ale ty możesz powiedzieć to samo, prawda? Usiądź, proszę. Napij się kawy albo drinka? Zjesz kanapkę?

Pokój, do którego weszli, zaskoczył Gini spartańską prostotą. Jego okna wychodziły na ogród przed rezydencją, półkolistą aleję parku i meczet.

Nie chciało jej się pić ani jeść, więc stanęła przy oknie, czekając, aż Hawthorne naleje sobie drinka. Patrzyła na meczet, usiłując dostrzec ulicę biegnącą między muzułmańską świątynią i domem, lecz widok zasłaniały drzewa. Niepokoiła się, czy Pascal odebrał wiadomość od niej i czy ją zrozumiał. Odwróciła się i spojrzała na Hawthorne'a.

- Czy Pascal jest bezpieczny? - zapytała. Popatrzył jej w oczy.

- Tak. Nic złego nie spotka ani ciebie, ani nikogo, na kim ci zależy, daję ci słowo honoru.

- Gdzie jest?

- Nie wiem. Mój ojciec prawdopodobnie jest lepiej poinformowany, trzeba go było zapytać... - Podszedł do biurka w rogu pokoju i wziął coś z blatu. - Wiem jednak, gdzie był wcześniej. Pozwoliłem mu zrobić zdjęcia, więcej, ułatwiłem mu zadanie. Czułem, że jestem mu to winny. Teraz jesteśmy kwita. Spójrz...

Zrobił krok w jej kierunku. Gini zobaczyła, że w rękę trzyma plik fotografii.

- Nie przydadzą mu się - ciągnął spokojnym, lecz pełnym napięcia głosem. - Nie może ich wykorzystać. Koło pierwszej w nocy opuścił dom, który wynajęliście, zostawiając w nim cały swój sprzęt i ten film... Z mojego punktu widzenia jest to nieoczekiwany bonus. Zamierzałem wytłumaczyć ci, co zrobił, ale w tej sytuacji nie muszę tego robić. Sama zobacz...

Podał jej czarno-białe zdjęcia, świeżo wywołane, jeszcze wilgotne. Spojrzała na ładną podobną do niej kobietę. Na Lise z jasnymi włosami i z ciemnymi. Po krótkiej chwili oddała zdjęcia Hawthorne'owi.

- Rozumiesz już? - Uważnie wpatrywał się w jej twarz.

- Nie, niezupełnie...

- Lise uwielbia odgrywać rozmaite role, zwłaszcza gdy chodzi o seks. -

Odwrócił się i rzucił zdjęcia na biurko. - W gruncie rzeczy seks jest dla niej bardzo trudny, jeżeli nie ma w nim elementu gry. Wymyśla mnóstwo scenariuszy, lubi też podtrzymywać w sobie przekonanie, że potrafi rozbudzić we mnie erotyczne zainteresowanie swoją osobą. Podejmuje żałosne wysiłki, aby osiągnąć ten cel.

Pragnie stać się kimś innym, kobietą, którą, jak sądzi, uważam za bardziej atrakcyjną od niej. W grudniu, kiedy starała się jakoś uwiarygodnić tę idiotyczną historię, którą McMullen podrzucił twojej gazecie, przeistoczyła się w blondynkę na telefon.

Rozmawiałaś z tamtą kobietą, prawda?

- Tak.

- Nie wzbudziła we mnie ani odrobiny zainteresowania i Lise to spostrzegła.

Dlatego w tym miesiącu, kiedy wreszcie uświadomiła sobie, że musi dostarczyć wam

faktycznych dowodów, postanowiła sama wystąpić w roli blondynki, z którą jakoby miałem się spotkać. Wiem, wiem, co chcesz powiedzieć... - Machnął ręką. - To nie mogło się udać, ale Lise nie ma zielonego pojęcia o nowoczesnej technice fotograficznej i nie spodziewała się, że znajdzie się w pełnym świetle, w pokoju z podniesionymi żaluzjami. Najprawdopodobniej myślała, że wystarczą jakieś niewyraźne, zamazane zdjęcia, przedstawiające mnie i blondynkę na schodach domu, czy coś w tym rodzaju. Kiedy już znalazła się ze mną w pokoju... Cóż, Lise nie potrafi się kontrolować, zwłaszcza w takich sytuacjach... - Utkwił wzrok w oknie. - Mój ojciec na pewno ci wyjaśnił, że ta część planu Lise nie była szczególnie ważna. Chodziło jej przede wszystkim o stworzenie takiej sytuacji, aby McMullen miał czas i możliwość mnie zabić, ponieważ Lise, chociaż nigdy nie zgodziłaby się na rozwód czy unieważnienie małżeństwa, bardzo pragnęła zostać wdową... - Przeniósł spojrzenie na Gini. - Poza tym wpadła w obsesję na twoim punkcie... Wiedziałaś o tym?

- Nie. - Na twarzy Gini odmalowało się zaskoczenie. - Dlaczego akurat na moim punkcie?

- Lise ma świetny instynkt i zawsze na nim polega. - Hawthorne się odwrócił. - Znamy się od wczesnego dzieciństwa, od dziesięciu lat jesteśmy małżeństwem... Potrafi nieomylnie wyczuć, co się ze mną dzieje i jest bardzo czujna. Na przyjęciu u Mary uważnie obserwowała nas, kiedy rozmawialiśmy i od razu zrozumiała, co czułem.

Gini popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Chcesz powiedzieć, że właśnie dlatego następnego dnia wpadła w histerię i urządziła te sceny, których świadkiem była Mary?

- Właśnie. I jeszcze dlatego, że postanowiłem wysłać dzieci do kraju.

- Ależ to kompletne szaleństwo! Dookoła kręciło się mnóstwo ludzi, rozmawialiśmy, nic więcej...

Zacisnął usta i odwrócił się.

- Może ty tak to widziałaś, lecz ja zareagowałem inaczej i Lise to wyczuła. Po kilku dniach histerii przystąpiła do usuwania zagrożenia. Postanowiła dokonać tego, przeistaczając się w ciebie, rozumiesz? Kupiła odpowiednią perukę, porozmawiała z Mary, znalazła taką samą suknię, jaką wtedy miałaś na sobie... - W jego głosie

zabrzmiała twarda nuta. - Krótko mówiąc, dziś w nocy miałem cię za pośrednictwem Lise... Jeżeli chcesz poznać prawdę, spójrz na zdjęcia Lamartine'a. Przez chwilę, może przez jakieś pięć minut, złudzenie prawie podziało... Pomyślałem, że skoro nie mogę mieć oryginału, może powinienem zadowolić się kopią... - Zwrócił się twarzą ku niej i wykonał bezradny gest. - Potem iluzja się rozwiązała. Zanim wydasz wyrok, bo widzę, że właśnie mnie osądzasz, przypomnij sobie, że twój przyjaciel i kochanek przestał robić zdjęcia dopiero po pewnym czasie. Postaw sobie pytanie - kimkolwiek jestem, jakikolwiek jestem, to czy on naprawdę tak bardzo różni się ode mnie? Czy jest lepszy, taki sam, a może gorszy?

Nie odpowiedziała. Wyminęła Hawthorne'a i stanęła przy oknie. Uliczne latarnie już pogasły, niebo się rozjaśniło. Było jeszcze dość wcześnie, poza tym niedziela, lecz mimo tego zastanowił ją brak jakiegokolwiek ruchu na drodze.

- Droga jest zamknięta - Hawthorne podszedł do niej. - Puszczą tędy samochody dopiero po odjeździe karetek...

- Dlaczego przyjechały dwie?

- To normalna procedura, każda z nich pojedzie inną trasą, dla odwrócenia uwagi. Jak wiesz, przez McMullena nadal mamy tu podwyższoną gotowość ochrony...

- Zawahał się i lekko dotknął jej ramienia. - Bądź spokojna - rzekł cicho. - Nie zamierzam więcej mówić o swoich uczuciach.

Wszystko już powiedziałem i wiem, kiedy nie należy wracać do tematu...

Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Wierzchem dłoni delikatnie musnęła jej policzek.

- Chciałbym wiedzieć, czy w innych okolicznościach sprawy ułożyłyby się inaczej... Może nie... - Cofnął się o krok i podniósł do ust szklaneczkę whisky. - Powiedz mi teraz, czy mój ojciec wszystko ci wytłumaczył? Lubi mówić w moim imieniu...

- Tak. - Odwróciła się i spojrzała na niego uważnie. - Uwolnił cię od odpowiedzialności za to wszystko. Czy powiedział prawdę?

- Chyba tak... Na pewno dokładnie przedstawił fakty, jest w tym naprawdę dobry.

- Wiedziałeś, co robił?



- Nie, zawsze dopiero po fakcie, a wtedy było już za późno. Ojciec dba o takie szczegóły. - Pociągnął whisky. - Czy powiedział ci, ile czasu mu zostało? - dorzucił tym samym obojętnym tonem.

- Zadałam mu to pytanie.

- Naprawdę? - Uśmiechnął się drwiąco. - Na pewno go to ubawiło... Więc powiedział ci?

- Nie. Wyjaśnił, że dla mnie to bez znaczenia. Groził mi. Oświadczył, że ma długie ręce, które dosięgną mnie nawet zza grobu i że ty o to zadbasz.

- Tak powiedział? - Hawthorne pokręcił głową. - Ciekawe, czy rzeczywiście w to wierzy... Mój ojciec bardzo się myli, a jeśli chodzi o czas, to nie ma go zbyt wiele. Jest poważnie chory na serce. Ma też raka, ale o tym jeszcze nie wie... - Przez jego twarz przemknął cień. - Może to potrwać pięć lat lub znacznie krócej, nie wiadomo. Muszę ci jednak powiedzieć, że nie zamierzam spełniać jego grózb. Jeżeli zechcesz publicznie obnażyć moje grzechy i słabości, za jakiś czas będziesz mogła zrobić to zupełnie bezkarnie... - Wzruszył ramionami. - Ciekawe, jaką podejmiesz decyzję... Nie, nic nie mów. Wiesz o mnie prawie wszystko. Możesz mnie zniszczyć lub oszczędzić - to twój wybór.

Przerwał. Nagle Gini drgnęła i odwróciła się twarzą do drzwi. Z oddali, przytłumiony murami i korytarzami, niósł się krzyk kobiety. Zapadła cisza, a zaraz potem rozległ się trzask tłuczonego szkła.

- Do diabła! - krzyknął Hawthorne. Jego wargi zacisnęły się, tworząc wąską linijkę. - Przepraszam... To Lise. Są tu sanitariusze i pielęgniarki, mieli podać jej środki uspokajające... Wybacz mi, zaraz wrócę...

Otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Zanim je zamknął za sobą, zdażyła dostrzec potężną postać Malone'a, który przyciszonym głosem zaczął mówić coś do ambasadora.

Szybko podeszła do biurka i spojrzała na telefon, z którego nie mogła skorzystać, ponieważ nie byłoby to bezpieczne. Popatrzyła na zdjęcia, które Pascal zrobił w nocy, i ukryła twarz w dłoniach. Była wyczerpana, znużona i zagubiona. Nawet gdyby mogła w tej chwili wyjść z rezydencji, nawet gdyby S.S. Hawthorne niczym jej nie groził, to czy napisałaby jednak swój artykuł?

John Hawthorne chronił ją i Pascala. Zawdzięczali mu życie, nie miała co do tego wątpliwości. Czy teraz, gdy złożył swój los w jej ręce, była gotowa skazać go na hańbę i publiczne upokorzenie?

Odwróciła się do okna. Przed domem coś się działo. Zobaczyła sanitariusza i dwie pielęgniarki w białych fartuchach. Ktoś otworzył drzwi karetki, sanitariusz wyjął z niej nosze. Usłyszała podniesione głosy, potem John Hawthorne powiedział coś, czego nie zrozumiała, na żwirze zaszurały szybkie kroki.

Po paru minutach drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł John Hawthorne. Na jego twarzy malowało się widoczne napięcie.

- Przepraszam cię... - zaczął. - Na dole rozpętało się prawdziwe piekło. Muszę prosić cię o pomoc... - Zbliżył się do okna i wyjrzał. - Brytyjczycy sądzą, że udało im się zlokalizować McMullena. Podobno wczoraj wieczorem wyleciał na fałszywym paszporcie z lotniska w Midlands i teraz jest w Rzymie, w tym samym hotelu, co jego były wykładowca, Knowles. Niedługo powinni go zatrzymać, mówią, że potrwa to jeszcze godzinę, może mniej... - Wykonał gniewny gest. - Tymczasem dwóch wykwalifikowanych sanitariuszy i dwie pielęgniarki nie może poradzić sobie z moją żoną, do cholery... Albo nie podali jej środków uspokajających, albo podali takie, które nie podziałały... Miałem nadzieję... Modliłem się, aby tym razem, chociaż tym razem obeszło się bez scen... Chciałem, żeby Lise wyjechała stąd z godnością... Chodź ze mną, popatrz...

Ujął ją za ramię i szybko wyprowadził na pusty korytarz. Przystanęli przy oknie wychodzącym na ogród na tyłach rezydencji.

- Popatrz - powtórzył. - Popatrz...

Gini ujrzała Lise, siedzącą na białej ławce na środku trawnika. Słońce świeciło coraz mocniej. Zapowiadał się kolejny pogodny, lecz bardzo zimny dzień. Lise miała na sobie cienką letnią sukienkę bez rękawów. Dygotała. Za jej plecami, w pewnej odległości, stała stłoczona grupka, złożona z ochroniarzy, sanitariuszy i pielęgniarek.

- Nie chce wejść do karetki - rzekł Hawthorne. - Nikomu nie pozwala się do siebie zbliżyć. Nie chce włożyć płaszcza czy choćby kurtki. Zachowywała się tak już wcześniej. Jeżeli spróbują do niej podejść, wpadnie w furję... Dobry Boże! Zależało mi tylko na tym, aby uniknąć tego przedstawienia... Uniknąć wstydu i upokorzenia ze

względu na nią... - Westchnął. - No tak, także ze względu na mnie... - Spojrzał na Gini.

- Zaczęła szaleć w tamtym domu, kiedy w końcu opuściłem żaluzje. Widziałem, co się z nią dzieje i nie chciałem, żeby ktoś na to patrzył, a już zwłaszcza Lamartine...

Szalała całą noc i długo jeszcze nie przestanie, jeżeli czegoś nie zrobię. Porozmawiasz z nią? Od drugiej w nocy wciąż powtarza, że chce z tobą pomówić. Mam wrażenie, że gdybyś spełniła jej życzenie, zgodziłaby się spokojnie odjechać. To całkiem możliwe.

- Ja mam z nią porozmawiać? - Gini spojrzała na niego ze zdumieniem. -

Dlaczego chce ze mną rozmawiać, na miłość boską? Szczególnie teraz?

Hawthorne bezradnie wzruszył ramionami.

- Nie domyślasz się? Lise uważa, że spaliśmy ze sobą. Powiedz jej, że to nieprawda, na Boga. Nie chce mi uwierzyć, ale może uwierzy tobie. Proszę cię... Nie mam prawa prosić cię o cokolwiek, ale...

- Dobrze. Jeżeli sądzisz, że to pomoże, porozmawiam z nią. Ale nie będę kłamać...

- Nigdy bym tego nie żądał. Oboje mamy dosyć kłamstw.

Odwrócił się i ruszył w dół po schodach. Gini poszła za nim. Na półpiętrze minęli wysoki stojący zegar szafkowy. Spojrzała na Hawthorne'a.

- Czy to ten zegar, który dostałeś od ojca?

Skinął głową, ale się nie zatrzymał. Na zewnątrz ktoś przebiegł ścieżką pod murem. Gini popatrzyła na zegar, odwróciła się i szybko zeszła na dół.

Tarcza zegara ozdobiona była rzymskimi cyframi oraz wizerunkiem słońca i księżyca. Pięknie wyrzeźbione wskazówki na moment zatrzymały się na dziesiątej. Kiedy Gini i Hawthorne znaleźli się w holu, mechanizm zegara zazgrzytał i zaczął wybijać pełną godzinę.

## XXXVIII

O ósmej Pascal był w Hampstead i obserwował powoli rozjaśniające się niebo. O ósmej piętnaście wszedł do pustego mieszkania Gini w Islington, zaś o ósmej dwadzieścia siedział w wynajętym samochodzie pod domem.

Ruszył na południe, potem skręcił na zachód, w kierunku St John's Wood. Czuł się tak, jakby przez sto lat na zmianę telefonował i prowadził samochód. Nie spał i nie jadł. W głowie miał jasną pustkę, która z jakiegoś powodu kojarzyła mu się z porannym niebem.

Miał całą noc, aby dokładnie przyjrzeć się swoim lękom. Przez całą noc słuchał ludzi, którzy nie mieli pojęcia, gdzie jest Gini i co się z nią dzieje. Przez całą noc jeździł od Islington do wynajętego domu w St John's Wood. W jego umyśle rozbrzmiewały pytania, na które nie znał odpowiedzi, i dzwonek telefonu.

Kiedy wjechał na podjazd, ujrzał pasmo światła, wydobywające się spomiędzy zasłon w pokoju na dole i zrozumiał, że prąd został ponownie włączony. Poczuł nadzieję, o której zważył już kilka godzin wcześniej i wpadł do domu, wołając Gini.

Pustka uderzyła w niego jak mocny podmuch powietrza. Czuł, widział i słyszał, że Gini tu nie ma. Trudno, pojedę teraz do Oksfordu, pomyślał. Już w progu obejrzał się i dostrzegł pulsującą czerwoną lampkę w obudowie aparatu telefonicznego.

Serce podskoczyło mu do gardła. Na sekundę ogarnęła go wielka fala radości, potem strach. To na pewno nie Gini, pomyślał ostrzegawczo, naciskając klawisz automatycznej sekretarki. To nie ona, to jakieś kolejne oszustwo... Wtedy usłyszał jej głos i cały świat rozjaśnił się cudownym blaskiem.

Odtworzył wiadomość pięć razy, za każdym razem słuchając uważnie. Jej głos brzmiał prawie tak jak zwykle, był ciepły i mocny. Nic nie wskazywało na to, aby miała jakieś kłopoty. Powiedziała, że nic jej nie jest, że jest bezpieczna i wraca do Londynu. Na końcu, całkiem wyraźnie, odzywał się męski głos, mówiąc: „Proszę pani...”. Potem następowała krótka pauza, a w niej wymiana zdań, której Pascal nie był w stanie rozszyfrować.

Po przerwie Gini powiedziała, że wspomina Bejrut i miejsca, gdzie kiedyś się spotykali. To zdanie urywało się nagle, jakby ktoś wyłączył telefon.

Dzwoniła spoza Londynu, najprawdopodobniej z Oxfordshire. Mężczyzna, który się odezwał, musiał być jednym z ochroniarzy Hawthorne'a - któż inny zwracałby się do Gini „proszę pani” z amerykańskim akcentem? Długo wpatrywał się w telefon. Nie wiedział, kiedy Gini nagrała wiadomość, ale był absolutnie pewny, że starała się przekazać mu coś, czego nikt inny nie potrafiłby zrozumieć.

Miejsca, gdzie spotykali się w Bejrucie... Przywołał je teraz z pamięci, jedno po drugim. Czasami spotykali się w kawiarni w porcie, czasami w jej hotelu, w jego pokoju, do którego klucz dał jej już pierwszego dnia... Gdzie jeszcze? Kilka razy przed meczetem, stojącym kilka ulic za jego domem, na skraju cienistego skweru. Pamiętał, że Gini siadywała na ławce na tym placyku, czekając na jego przyjście. Dwa razy, co najmniej dwa, umówili się pod arabską szkołą, w połowie drogi między jej hotelem i jego pokojem. Pamiętał rozbrzmiewające w tle głosy dzieci, pamiętał, że biegli ku sobie oboje i że chwycił ją w ramiona i unióśł wysoko... Czy było jeszcze jakieś miejsce? Miejsce, o którym zapomniał? Znał na pamięć geografię tych trzech tygodni, dzień po dniu. O jakie miejsce mogło jej chodzić? I wtedy przyszło olśnienie - meczet... Tutaj także był meczet, prawie naprzeciwko rezydencji ambasadora...

Wybiegł z domu, wsiadł do samochodu, wrzucił wsteczny bieg i wyjechał na ulicę. Do parku dotarł za piętnaście minut. Zwolnił i rozejrzał się. Wejście do parku i bieżąca dookoła droga były zamknięte.

Zamknięte dla samochodów, ale nie dla pieszych. Zaparkował wóz naprzeciwko bramy do parku, której strzegło dwóch umundurowanych policjantów. Już wcześniej zauważył, że policjanci bez pytania przepuścili entuzjastę porannego joggingu i kobietę z małym pieskiem. Sprawdzał, czy wiszący na jego szyi aparat ukryty jest pod skórzaną kurtką, wysiadł i niespiesznym krokiem ruszył w kierunku bramy.

Przeszedł obok policjantów, którzy obrzucili go tylko przelotnym spojrzeniem, i skręcił w prawo. Kiedy tylko znalazł się poza zasięgiem ich wzroku, zaczął biec. Przed nim, zaraz za zakrętem, znajdował się meczet i rezydencja ambasadora Stanów Zjednoczonych. Zwolnił. Teren rezydencji oddzielony był od drogi dość gęstym żywopłotem, lecz zdołał dostrzec dwa białe samochody. Nie był do końca pewny, ale wydawało mu się, że przed budynkiem stoją dwie karetki.

Znowu przyspieszył kroku i szybko pokonał mniej więcej sto metrów, dzielących go od otoczonego niskim ogrodzeniem meczetu. Nie było tu nikogo. Meczet znajdował się po lewej ręce Pascala, a tuż przed nim rozciągał się obszerny dziedziniec z bardzo wysokim minaretem.

Pascal rozejrzał się dookoła i lekko przesadził płot. Było kilka minut po dziewiątej, kiedy przystanął pod minaretem. Na głównej drodze za meczetem widać było nielicznych przechodniów. Podniósł głowę, mrużąc oczy w słonecznym blasku. Wokół panowała cisza i absolutny spokój. Czy Gini naprawdę chciała, żeby tu na nią czekał?

Czekał piętnaście minut. O dziewiątej dwadzieścia przeszedł przez wciąż pusty dziedziniec, przeskoczył ogrodzenie i wrócił na główną drogę. Po chwili wahania wszedł na teren parku.

Uprzytomnił sobie, że znajduje się teraz w miejscu, gdzie McMullen nawiązał kontakt z Gini. Stał na małym wzgórku, pod kępą młodych kasztanowców, skąd miał widok na meczet i ogrody wokół rezydencji. Widział też wysokie ogrodzenie z kamuflującą siatką, rozpiętą między sztachetami. Dostrzegł nawet luki w gęstwinie gałęzi, niewątpliwie efekt zleconego przez Lise Hawthorne przycinania. Zmarszczył brwi, podszedł do najbliższej ławki i usiadł.

Patrzył na park. Zapowiadał się kolejny piękny, pogodny zimowy dzień. Było jeszcze wcześniej i raczej zimno, więc po parku spacerowało niewiele osób. Dostrzegł kilkoro biegaczy i właścicieli psów; jakaś para zmierzała w kierunku stawu, ojciec z dwojgiem dzieci biegał po placu zabaw, a dalej, na moście nad kanałkiem, dwoje starszych ludzi karmiło kaczki.

Nagle odniósł wrażenie, że te pozornie nic nieznaczące obrazki zaczynają układać się w logiczną całość. Czuł, że jeszcze chwila i ujrzy kompletny obraz. Zapalił papierosa i zamyślił się.

James McMullen żył, to był pierwszy punkt... Jeżeli tamten martwy człowiek na torach miał przy sobie dokumenty McMullena, a na palcu jego sygnet, to oznaczało, że McMullen zainscenizował własną śmierć. Ale dlaczego?

Skoro Gini wiedziała o tym w chwili, gdy dzwoniła do Pascala, to w jakim celu skierowała go pod meczet? Czy tylko dlatego, że sama przebywała w pobliżu, w

rezydencji ambasadora, i chciała, aby o tym wiedział? A może kierował nią inny, mniej oczywisty motyw?

Czas mijał. Jeszcze raz ogarnął wzrokiem park. Biegacze, ojciec z dwójką dzieci, para starszków, ogrodzenie, meczet... Podniósł się z ławki i zaczął chodzić w tę i z powrotem. Spojrzał na meczet - na dziedzińcu wciąż nie było żywej duszy. Może powinien wrócić i spróbować dostać się na teren rezydencji? Był pewien, że i tak nie zostanie wpuszczony. Ale dlaczego stały tam dwie szpitalne karetki?

Zapуścił się dalej w głąb parku i znowu zawrócił. Była dziewiąta czterdzieści pięć i do parku wchodziło coraz więcej osób. Spojrzał w kierunku bramy, którą wszedł i zobaczył grupkę nastolatków z deskami, parę zakochanych, dwóch mężczyzn, jednego w dresie, drugiego w zielonej sportowej kurtce i kobietę ze spacerowym wózkiem. O dziesiątej podejść do bramy i poproszę, żeby mnie wpuścili, pomyślał.

Parę sekund później oderwane obrazy wreszcie zaczęły układać się w zrozumiałą całość.

Ruszył ku bramie i kiedy zbliżał się do kępy kasztanowców, pojął, co Gini usiłowała mu przekazać. Stał jak wryty. Pagórek, pomyślał. Wzniesienie...

Dlaczego McMullen zabrał ich do swojej kryjówki w Oxfordshire? Żeby ich zmylić, oto dlaczego. Chciał odwrócić ich uwagę od Londynu, od tego miejsca... Tu spotykała się z nim Lise. Pascal podejrzewał, że Lise i McMullena łączy bardzo silna więź, ale może poza więzią łączył ich także wspólny plan... Czy to możliwe, że Lise od samego początku planowała zamach na życie męża, zamach, którego miał się podjąć McMullen? Czy McMullen zjawiał się w parku tylko dlatego, aby skontaktować się z Gini, czy też chciał przy okazji sfinalizować swój plan?

Byłem idiotą, kompletnym głupcem, pomyślał Pascal, zbiegając ze wzgórzka ku ogrodzeniu rezydencji. Widok zasłaniały mu krzewy i siatka kamuflująca, lecz słyszał dobiegające z ogrodu głosy. Błady jak ściana, szybko zbadał wzrokiem rzeźbę terenu. Nie, pomyślał, to niemożliwe. Wzniesienie nie jest dość wysokie, ogród jest prawie niewidoczny. W oddali zegar na wieży kościoła wybił dziesiątą. Pascal stał nieruchomo, starając się zrozumieć, na czym polegał plan McMullena.

Nie mógł dokonać zamachu z wewnątrz ogrodu, ponieważ nie zdołałby się przedostać na teren, więc skąd? Z zewnątrz? Z którego miejsca? I skąd McMullen



mógł wiedzieć, kiedy ambasador pojawi się w ogrodzie? Tylko od Lise... Gorączkowo potoczył wzrokiem dookoła. Trawa, wzniesienie, meczet, droga, wysoki biały łuk bezchmurnego zimowego nieba...

Zrozumiał wszystko na chwilę przed tym, gdy w oddali ujrzał Jamesa McMullena. Zrozumiał wszystko w chwili, kiedy zobaczył lukę w ochronnym pasie gałęzi drzew, lukę wyciętą na polecenie Lise.

Wiedziony instynktem, uniósł głowę i spojrzał w lewo, na meczet i minaret, minaret, który wznosił się na wysokość ponad trzydziestu metrów.

Wrócił pamięcią do własnej przeszłości, do dni spędzonych w Bejrucie, w Belfaście... Przypomniawszy sobie snajperów, którzy z wysoka bez trudu trafiali w cel. Dokładnie w tej samej chwili dostrzegł McMullena, który zdejmował kurtkę i owijał nią jakiś przedmiot, który podniósł z ziemi. Potem wyszedł przez bramę parku na drogę biegnącą obok meczetu. Pascal poderwał się do biegu. Dziś jest niedziela, pomyślał. Trzecia niedziela miesiąca... Tak to zaplanowali. To stanie się teraz.

Kiedy Hawthorne zaprowadził Gini na taras z tyłu domu, oboje usłyszeli trzaski, dobiegające z mikrofalówek. Grupa zebrana w pobliżu Lise powiększyła się, stało tam teraz co najmniej dziesięć osób. Dwie pielęgniarki, zalana łzami kobieta w fartuszkach pokojówki, lokaj, sanitariusze i ze trzech ochroniarzy. Malone obserwował Lise z tarasu. Gini zauważyła, jak podnosi ramię i mówi coś do ukrytego w mankietach mikrofonu.

- Zabierz tych ludzi do domu - polecił Hawthorne lodowatym głosem, kiedy grupa gapiów rozstała się, aby ich przepuścić.

Gini obejrzała się i zrozumiała, że rozkaz przeznaczony był dla Franka Romero, który natychmiast zaczął kierować stojących do budynku. W ogrodzie została tylko jedna pielęgniarka i sanitariusz. Kiedy Hawthorne zszedł z Gini po stopniach tarasu na trawnik, Romero i Malone ruszyli za nim, trzymając się w odległości mniej więcej dwudziestu metrów.

- Zostańcie tutaj, na miłość boską! - rzucił cicho Hawthorne. - Pozwólcie mi się zająć sprawą. Zaczekajcie tutaj.

Romero zawahał się i przystanął. Malone zignorował polecenie. Zwiększył odległość, lecz nadal szedł za ambasadorem, przystając tylko wtedy, gdy Hawthorne i

Gini zwalniali. Gini zauważyła, że ze zmarszczonymi brwiami spogląda w kierunku ogrodzenia.

Lise się nie poruszyła, kiedy okrążyli ławkę i podeszli do niej. Przez chwilę wpatrywała się w nich martwym wzrokiem, następnie podniosła się z gracją, niczym pani domu witająca gości na przyjęciu. Chwyliła dłoń Gini i zacisnęła na niej lodowate palce.

- Ach, Gini, wreszcie przyszedłeś - odezwała się. - Cudownie... Piękny dzień, prawda? Tutaj, w słońcu, jest naprawdę ciepło...

Usiadła na ławce, wskazując Gini miejsce obok siebie. Gini spojrzała na nią niepewnie. Twarz Lise była kredowobiała, a na jej policzkach to wykwitwały, to znikwały dwie czerwone plamy. Słońce świeciło, lecz powietrze było bardzo zimne. Lise sprawiała wrażenie osoby z wysoką gorączką. Z boku policzka miała wyraźny, ciemny siniak. Jej ciałem wstrząsały dreszcze.

Gini się zawahała. Spojrzała w oczy Lise, o źrenicach tak rozszerzonych, że wydawały się dwukrotnie większe niż normalnie. Co ona bierze, do diabła, pomyślała.

- Jest zimno - powiedziała łagodnie. - Nie chciałabyś, żebyś przyniosła ci płaszcz?

- Nie, skądże znowu! - Lise się roześmiała. - Wcale nie jest mi zimno. Taki cudowny dzień... John, Gini i ja posiedzimy tu sobie na słońcu. Może zrobiłbyś nam drinka?

- Jest dziesiąta rano - odparł cicho Hawthorne. - Nie wydaje mi się, aby Gini miała ochotę na drinka...

- Bzdura! - W głosie Lise zabrzmiała dziwna, prawie kokieteryjna nuta. - Na pewno chętnie się czegoś napije, na przykład szampana. Szampana można pić o każdej porze dnia i nocy...

Hawthorne ściągnął brwi i spojrzał na Gini, która skinęła głową. Chciał coś powiedzieć, lecz w ostatniej chwili zmienił zdanie. Odwrócił się i odszedł w kierunku domu.

Na tarasie przystanął na chwilę i gestem przywołał Malone'a. Spoza otwartych balkonowych drzwi rozległ się nagle znany Gini dźwięk - cichy syk fotela na kółkach. Lise także usłyszała ten odgłos i mocniej zacisnęła palce na dłoni Gini.

- Czy jego ojciec tam jest? - zapytała.

- Tak mi się wydaje, ale nie widzę go. Może jest tuż za drzwiami wychodzącymi na taras.

- Nie mamy dużo czasu. - Lise utkwiała pociemniałe oczy w twarzy Gini. - Powiedz mi, tylko szybko, spałaś z nim? Poszłaś z nim do łóżka?

- Z twoim mężem? - zapytała spokojnie Gini. - Nie. Oczywiście, że nie.

- Och, dzięki Bogu! - Paznokcie Lise wbiły się w skórę Gini. - I nie pójdziesz z nim do łóżka, prawda? Obiecasz mi to? Dopóki się z nim nie prześpisz, jesteś bezpieczna, w każdym razie tak mi się wydaje. Nie skrzywdzi cię i nie pozwoli, aby zrobił to jego ojciec... - Nagle przerwała i zmrużyła oczy. - Mówisz prawdę?

- Tak.

- Czy próbował zaciągnąć cię do łóżka? Na pewno... - Zadrżała. - Namawiał cię, żebyś go dotykała? Och, muszę oprzytomnieć, muszę myśleć! - Zacisnęła szczupłą dłoń w pięść i kilka razy mocno uderzyła się w czoło. - No, wreszcie trochę lepiej - oświadczyła z promiennym uśmiechem. - Musimy porozmawiać, zanim mnie stąd zabiorą. Kiedy wsiądę do karetki, będzie po wszystkim. John przygotował wszystkie dokumenty, musi tylko pojechać do szpitala i podpisać je... - Nagle z jej oczu popłynęły łzy. - Już nigdy nie zobaczę moich chłopców... To takie podłe... I nikt nie może mi pomóc, nikt, nawet ty. Mówił ci, że James nie żyje?

Jęknęła cicho. Gini obejrzała się i zobaczyła, że Hawthorne wciąż stoi na tarasie, pogrążony w rozmowie z Malone'em.

- Wydaje mi się, że James jednak żyje. Mylisz się...

- On nie żyje, naprawdę! Przywieźli go tutaj wczoraj w nocy i zabili na moich oczach... Zrobił to ten zwierzak, Romero. Kazali mi patrzeć... Spójrz, mam na sukni krew Jamesa...

Gini spojrzała. Cienka sukienka Lise uszyta była z pięknego białego lnu, nieskalanego choćby najmniejszą plamką.

- Tłumaczył ci, o co mu chodzi? - odezwała się ostro Lise. - Nagadał ci kłamstw o mnie? A może wyręczył go jego ojciec? Nie wolno im wierzyć. On potrafi doskonale kłamać... John jest bardzo, bardzo niebezpiecznym mężczyzną, zwłaszcza dla kobiety. Zmusza kobiety do różnych rzeczy, okropnych rzeczy i patrzy, jak to

robią... Oczywiście, nie kocha mnie, mówiłam ci już o tym? Chyba tak... Ale kiedy znudzi się tymi swoimi blondynkami, zawsze wraca do mnie. Upokarza mnie, przyprowadza innych mężczyzn... Nie mogę ci powiedzieć, co każe mi z nimi robić, bo to jest straszne, obrzydliwe, ale ja nie mam wyboru... Spójrz... - Odwróciła twarz, żeby Gini mogła obejrzeć siniak na policzku. - John zrobił mi to w nocy. Powiedz swojemu przyjacielowi, Pascalowi, że to nie moja wina... To John kazał mi się tak zachowywać... A potem, kiedy opuścił żaluzje, zaczął się nade mną znęcać... Powiem ci na ucho, co mi zrobił... Nie mogę powiedzieć tego głośno, to zbyt straszne...

Zbliżyła usta do ucha Gini i zaczęła szeptać, wyrzucać z siebie strumień oskarżeń i wulgarnych słów. Potem nagle cofnęła się i obrzuciła Gini dziwnym spojrzeniem.

- Obiecasz mi coś?

- Tak, jeśli będę w stanie to spełnić...

- Skoro już z tobą porozmawiałam, mogę jechać. Odejdę spokojnie, tak jak sobie tego życzę... Może długi odpoczynek w jakimś cichym miejscu rzeczywiście dobrze mi zrobi, kto wie... - Potrząsnęła głową i westchnęła. - Muszę jednak mieć pewność, że nic ci nie grozi. Obiecasz mi, że nie pójdziesz z nim do łóżka?

Niezależnie od tego, co powie?

- Możesz być spokojna, nigdy tego nie zrobię.

- W ogóle cię nie kusi? - Lise spojrzała na nią bystro, nieco podejrzliwie. - Na pewno? Nie oszukujesz mnie? Większość kobiet nie może się oprzeć urokowi Johna. On potrafi być niezrównanym kochankiem. Jest taki namiętny i silny... - Zaśmiała się cicho. - Znasz to francuskie określenie - *le diable au corps*, diabeł wcielony? Taki jest John... Kochać się z nim to jakby wybrać się na przejażdżkę do piekła i z powrotem...

Gini ściągnęła brwi. W tej chwili Lise sprawiała wrażenie nie tyle szalonej, co sprytniej i podstępnej. Spojrzała przez ramię i mocno chwyciła Gini za rękę.

- Nieważne... - powiedziała. - Chcę mieć pewność, że będziesz bezpieczna, więc po moim odjeździe nie wracaj z nim do domu, dobrze? Nie ryzykuj...

- Muszę już iść. - Gini spróbowała oswobodzić ramię. - Spróbuj się nie martwić, nie ma powodu...

- Nie, posłuchaj! - Policzki Lise zapłonęły rumieńcem. - Obiecuj mi, że zostaniesz w ogrodzie i od razu wyjdiesz. Trzymaj się w polu widzenia ochroniarzy, zwłaszcza tego Malone'a... Widzisz tamtą ścieżkę? Dojdiesz nią do bramy, tylko nie mów nikomu, że dowiedziałaś się tego ode mnie. O, mój Boże... Już tu idzie...

Gini ze współczuciem spojrzała na ściągniętą przerażeniem twarz Lise.

- Nie mów mu, co ci powiedziałam! - jęknęła. - Nie mów mu, na miłość boską...

Lise odwróciła głowę i odsunęła się od Gini. Zaczęła rozglądać się po ogrodzie, popatrzyła na zegarek. Kiedy John Hawthorne zbliżył się, z twarzą poszarzałą ze zmęczenia, zerwała się z miejsca.

- Zrobiło się strasznie późno! - zawołała z ożywieniem. - Tak się cieszę, że mogliśmy porozmawiać, Gini! John, czuję się o wiele lepiej. Gini mi wytłumaczyła, że rzeczywiście potrzebuję odpoczynku, więc pojedę... Nie będę robić głupich scen, kochany, obiecuję.

Hawthorne spojrzał na nią ostrożnie, jakby lada chwila spodziewał się nowego wybuchu.

- Karetka czeka przed domem, Lise - powiedział. - Pojedzie z tobą pielęgniarka, ta Irlandka, którą tak polubiłaś, pamiętasz? Za parę godzin przyjadę cię odwiedzić.

- Wiem, wiem, ty myślisz o wszystkim... - Uśmiechnęła się lekko. - Jesteś taki dobry... Właśnie mówiłam Gini, jaki jesteś dla mnie dobry... Do widzenia, Gini. Ucałuj Mary, dobrze?

Nachyliła się i pocałowała Gini w policzek. Hawthorne wyciągnął do niej rękę, lecz Lise zignorowała ten gest. Przeszła na drugą stronę ławki. Stojąca na tarasie pielęgniarka podniosła koc i zrobiła kilka kroków do przodu; spojrzała na sanitariusza i kiwnęła głową.

- Pozwól, że cię odprowadzę... - odezwał się Hawthorne.

- Nie, nie rób tego! - zaprotestowała podniesionym głosem Lise.

Hawthorne się zawahał.

- Jesteś pewna? Może wolałabyś, żeby Gini...

- Nie, nie! Chcę pójść sama! Nie jesteś mi potrzebny! Nikt nie jest mi potrzebny...

- Lise...

- Zostaw mnie w spokoju! - Rzuciła się do tyłu i drżącymi rękami zaczęła szarpać brzeg sukienki.

- Nie denerwuj się - powiedział Hawthorne łagodnie. - Zostanę tutaj, jeśli tak wolisz...

- Tak, zostań w ogrodzie, pokaż Gini ogród... - Z ożywieniem skinęła głową. - Myślę, że to jej się spodoba... Pokaż jej swoją lawendową alejkę i nowy ogródek, kochanie. Chętnie obejrzysz ogród, prawda, Gini?

- Tak - odparła Gini cicho. - Bardzo chętnie.

Wydawało się, że jej słowa uspokoiły Lise. Wzięła głęboki oddech, odwróciła się i odeszła. Wchodząc na taras, z uśmiechem przywitała się z sanitariuszem i musnęła wargami policzek pielęgniarce.

Zaraz potem razem z nimi zniknęła wewnątrz domu. Gini zmarszczyła brwi. Naleganie Lise, aby ona i Hawthorne zostali w ogrodzie, nieco ją zdziwiło.

Hawthorne bez słowa śledził wzrokiem odchodzącą żonę. Kilka minut później usłyszeli dźwięk włączanych silników. Karetki odjechały. Na tarasie Frank Romero podniósł rękę, mówiąc coś do miniaturowego mikrofonu. Malone stał na trawniku, czujnym wzrokiem obserwując ogrodzenie. Warkot silników ucichł w oddali. Romero wykonał krótki gest i dopiero wtedy znieruchomiały John Hawthorne wrócił do życia.

Z jego piersi wyrwało się głębokie, powolne westchnienie. Podniósł głowę i spojrzał w rozświetlone, białobłękitne niebo.

- Już po wszystkim - powiedział. - Trudno w to uwierzyć, ale wreszcie się skończyło... Mogę znowu zacząć żyć... - Niepewnie popatrzył na Gini. - Dziękuję ci... Chyba już rozumiesz, że nie miałem wyboru... Boże, wydaje mi się, jakbym pierwszy raz od dawna oddychał pełną piersią... Wiem, o czym myślisz. To jeszcze nie koniec moich kłopotów, prawda? Muszę jeszcze stawić czoło młodej dziennikarce, która wyda wyrok - na moją korzyść lub przeciwko mnie... - Uśmiechnął się. - Wszystko jedno... W tej chwili czuję się wolny... Tak, chyba właśnie wolny... I mamy taki piękny dzień, takie świeże powietrze... Zrobiło mi się za gorąco...

Zdjął sweter i rzucił go na ławkę, podwinął rękawy koszuli w drobną kratkę, znowu popatrzył w niebo i przeciągnął się.

- Niedługo przyjdzie wiosna. Chodź, pokażę ci ogród. O tej porze roku nie robi imponującego wrażenia, zresztą i tak nie można go porównać z moim ogrodem w Oxfordshire, ale ta nowa część jest całkiem ładna... Sam zaprojektowałem układ roślin.

Wyciągnął rękę, lecz kiedy Gini jej nie przyjęła, natychmiast cofnął.

- Przepraszam, zapomniałem... - rzekł. - Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że jesteśmy przyjaciółmi, chociaż to nieprawda. Jeszcze nimi nie jesteśmy, ale... - Przerwał. - Nie chcesz tam pójść? Co się stało?

Serce Gini w jednej chwili stało się ciężkie jak kamień. Pierwszy raz widziała Hawthorne'a w rozpiętej pod szyją koszuli. Kiedy zdjął sweter, natychmiast dostrzegła bliznę, długi, wyraźny ślad po zadrapaniu pazurami u podstawy szyi. Drugi taki ślad znajdował się na jego prawym ramieniu. Blizny zdążyły się już prawie zagoić. Nic dziwnego, pomyślała. Napoleon nie żyje od tygodnia...

Hawthorne wciąż patrzył na nią z wyrazem zdziwienia na twarzy.

- Z przyjemnością obejrzę twój ogród, zwłaszcza tę nową część, John - powiedziała, naśladowując jego swobodę.

Po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu. Zauważyła, że sprawiło mu to przyjemność. Kiedy prowadził ją przez ogród, spojrzał na nią ciepło, a potem objął ją w pasie ramieniem.

## XXXIX

Pascal szybko biegł pod górę. Ciężko dysząc, uchylał się przed gałęziami kasztanowców, przepychał się wśród dzieci i dorosłych. Kiedy wreszcie wybiegł na drogę, McMullena już nie było.

Spojrzał w prawo, w kierunku rezydencji. Dobięł go odgłos włączanego silnika, najpierw jednego, zaraz potem drugiego. Minutę później z bramy wyjechały dwie karetki. Pierwsza skręciła na północ, druga na zachód. Pascal przeskoczył ogrodzenie wokół dziedzińca przed meczetem.

Nikogo tu nie było. Przystanął, licząc sekundy. Drzwi minaretu sprawiały solidne wrażenie i na pewno były zamknięte. Podniósł wzrok. Zobaczył parapet



dookoła platformy wysokiej wieży i kolumnienki podpierające baldachim. Nadstawił uszu. Cisza, nieprzerwana cisza... Myliłem się, pomyślał. W tej samej chwili kątem oka zobaczył ciemnozieloną kurtkę, zwiniętą i wepchniętą pod gałęzie krzewów rosnących na brzegu dziedzińca. Cicho i szybko podszedł bliżej i podniósł kurtkę. Nie ulegało wątpliwości, że przedmiot, w który ją owinięto, został już zabrany. Ostrożnie odłożył kurtkę na poprzednie miejsce. Wycofał się pod minaret i przylgnął plecami do muru. Posuwając się tuż przy ścianie, obszedł wieżę dookoła. Kiedy znalazł się pod platformą, z której musiał rozciągać się doskonały widok na ogród przy rezydencji, spojrzał w górę. Słońce oślepiło go na moment, lecz i tak dostrzegł błysk metalu. Z dołu przedmiot, na który patrzył, wydawał się maleńki i cienki jak źdźbło trawy, lecz Pascal doskonale wiedział, co to takiego.

Krzyknął, dość głośno, aby ostrzec i zaskoczyć strzelca. Odpowiedziała mu cisza. Krzyknął znowu, zawołał McMullena i równocześnie rzucił się do zamkniętych drzwi minaretu.

Runął na nie, napał całym ciężarem ciała, ale drzwi nawet nie drgnęły. Cisza. Zanim znowu rzucił się na drzwi, usłyszał cichy dźwięk, który wiele razy słyszał w przeszłości. Był to dźwięk odwodzonego zamka karabinu.

- Widzisz wzór? - zapytał Hawthorne.

Stali w odległości pięćdziesięciu metrów od ławki, na której wcześniej siedziała Lise, i patrzyli na sześciokątne kształty niskich żywopłotów. Niebo było nadal bezchmurne, słońce jasno świeciło. Hawthorne wskazał ręką linie żywopłotów, porozdzielane miniaturowymi ścieżkami, wysypanymi drobnym żwirem.

- Istnieje wiele tradycyjnych wzorów - ciągnął. - Większość datuje się z okresu od czternastego do szesnastego wieku. Ten, który zaprojektowałem, ma podwójną funkcję - jest to dekoracyjny wzór, ale także labirynt. Labirynty są niezwykle interesujące. W średniowieczu podobne wzory układano na posadzkach kościołów. Grzesznicy musieli przejść po nich na kolanach, było to alegoryczne nawiązanie do wędrówki duszy ku zbawienia... - Uśmiechnął się lekko. - Lubię średniowiecze. Czasami mam wrażenie, że znacznie lepiej czułbym się w tamtych czasach...

- Dlaczego?

- Och, sam nie wiem... Związek między moralnością i religią był wtedy bardzo silny, ludzie poruszali się w jasno zdefiniowanym świecie, wiedzieli, że czeka ich zbawienie lub potępienie... O, do diabła... - Pochylił się nad jedną z roślin. - Mróz wyraźnie im zaszkodził...

Gini obserwowała go uważnie. Zaraz mu powiem, powtarzała sobie.

- Zawsze interesowałem się ogrodnictwem - podjął Hawthorne. - Podobnie jak mój dziadek i ojciec. Jeszcze jedna rzecz, jaką po nich odziedziczyłem... - Podniósł wzrok na Gini. - Chcesz usiąść na chwilę, czy wolisz wrócić do domu?

Wskazał inną białą ławkę na skraju trawnika. Słońce świeciło mu teraz prosto w twarz, przemieniając włosy w błyszczący hełm. To tylko złudzenie, pomyślała Gini, nie mogła jednak oprzeć się wrażeniu, że Hawthorne przez chwilę wyglądał jak młody, niezwyciężony książę w rycerskiej zbroi.

Wyprostował się i podszedł do ławki. Gini się obejrzała. Dwaj ochroniarze, jak zwykle czujni i skupieni, stali w odległości dwudziestu metrów. Ośloniła oczy od słońca i poznała, że są to Romero i Malone. Romero patrzył na nią, Malone wciąż rozglądał się dookoła.

Gini podążyła za jego spojrzeniem. Miała przed sobą trawnik, drzewa, rozjaśniony słońcem horyzont i lukę między gałęziami drzew, niewątpliwy efekt przycinania, którego świadkiem była kilka dni temu. Tamtego dnia stała po drugiej stronie, słuchając warkotu piły i instrukcji, jakich Lise Hawthorne udzielała ogrodnikom. Tego samego dnia zginął Napoleon...

Gini z trudem przełknęła ślinę. Przez lukę przeświecała złocista kopuła meczetu i smukła sylwetka minaretu. Piękny widok, cudowny ogród, wyjątkowe miejsce... Takie są przywileje władzy, pomyślała. Podeszła do Hawthorne'a i usiadła obok niego.

- Wyjaśnij mi coś, czego zupełnie nie rozumiem - powiedziała cicho. - Dlaczego zabiłeś mojego kota?

Zareagował bardzo szybko. Jego oczy pociemniały tylko na ułamek sekundy, zaraz potem rozjaśnił je pełen zaskoczenia, niepewny uśmiech.

- Przepraszam, zamyśliłem się... Jakiego kota? Nie wiedziałem, że masz kota.

- Och, chyba jednak wiedziałeś. Podrapał cię, prawda? Zauważyłam ślady - tu, na ramieniu, i na szyi...

- To? - Podniósł rękę i westchnął. - Chcesz wiedzieć, skąd te zadrapania?

- Tak.

- Więc zapytaj Mary - rzucił twardo. - Była ze mną w pokoju, kiedy Lise rzuciła się na mnie. Nie opowiadała ci o tym?

Nawet wtedy mało brakowało, aby mu mimo wszystko uwierzyła. Zwiódł ją jego słowa, wyraz twarzy, ton głosu. Spojrzała na niego, a on odpowiedział jej otwartym, szczerym spojrzeniem. Przeniosła wzrok na jego szyję, potem na ramię.

- Tego nie zrobiła kobieta - powiedziała, patrząc mu prosto w oczy - Kłamiesz.

- Nie kłamie, możesz mi wierzyć... Mówiłem ci, że mam już dosyć kłamstw... - Z wahaniem ujął jej dłoń. - Wydawało mi się, że rozumiałaś... Nie okłamałbym cię, nie teraz... Zbyt dobrze mnie znasz, za dużo razem przeszliśmy...

- Nie wątpię, że okłamałbyś mnie bez chwili wahania.

Twoja żona także kłamie, prawie tak dobrze jak ty. Twój ojciec... - przerwała. - Nie jestem pewna, w jakim stopniu mnie okłamał. Chyba nie bardzo... Nie powiedziałaś mu, tak? - Lekko dotknęła blizny na jego ramieniu. - Twój ojciec nie wie o tym.

Zapadło długie milczenie. Hawthorne wciąż patrzył jej w oczy. Gini czekała. Wreszcie jego twarz zmieniła się, prawie niedostrzegalnie, ale jednak. Szybko przykrył jej dłoń swoją.

- Masz rację - powiedział. - Ojciec nic o tym nie wie. Zresztą, nawet gdyby wiedział, i tak by mnie nie zrozumiał.

Puścił jej rękę i wyprostował się. Utkwił wzrok gdzieś w oddali.

- To było w środę rano - zaczął spokojnie. - Poprzedniego wieczoru widziałem cię na bankiecie w Savoyu. Nie mogłem zasnąć. Myślałem o swoim przemówieniu i trochę o tobie. Rano ojciec puścił mi jedną z tych swoich przeklętych taśm, nagranie twojej rozmowy z Nicholasem Jenkinsem. Zgodziłaś się zrezygnować z tematu. Nie usatysfakcjonowało to mojego ojca i mnie także... Szczerze mówiąc, wywarło na mnie zupełnie odwrotny skutek. Bardzo chciałem się z tobą zobaczyć, powiedzieć ci to wszystko, co powiedziałem w piątek wieczorem, o moim małżeństwie i tak dalej... Pojechałem do Islington, ale oczywiście nie było cię w domu. Spojrzałem na nią w dziwny, nieruchomy sposób, zupełnie jakby w ogóle jej nie dostrzegłem. - Byłem w

bardzo dziwnym stanie, zdesperowany, pełen napięcia. Nie wiem dlaczego. Chyba pragnąłem, żebyś dowiedziała się, kim i czym jestem. Chciałem, żeby ktoś o tym wiedział... - Uśmiechnął się lekko. - Wszystkiemu winne to katolickie wychowanie, rozumiesz? Długo nie byłem u spowiedzi, nie mogę przyjąć komunii, może właśnie to mnie dręczyło...

Przerwał. Gini milczała. Za nimi rozległy się trzaski krótkofalówki.

Na drzewie z lewej strony zaczął śpiewać jakiś ptak, lecz zaraz odleciał. Z bardzo daleka, ze świata niemającego nic wspólnego z ich rozmową, dobiegł krótki krzyk.

- Twoja nieobecność obudziła we mnie gniew i paniczne przerażenie - ciągnął Hawthorne. - Musiałem dostać się do twojego mieszkania. Nie było to trudne, zamki w drzwiach mogłoby otworzyć nawet dziecko. Kiedy wszedłem, zapragnąłem cię. Zacząłem cię szukać. Dotykałem twoich ubrań, pościeli, czułem zapach skóry i włosów. Przejrzałem szuflady biurka, twoje dokumenty. Przyszło mi do głowy, że może znajdę cię w jakimś liście albo notatniku. Potem zobaczyłem te kajdanki, pończochy i pantofel, i nie mogłem zrozumieć, skąd się u ciebie wzięły. Nie miałem pojęcia, że ktoś ci je przysłał, ale natychmiast skojarzyły mi się z moją żoną, z rzeczami, które czasami z nią robiłem, z nią i z innymi kobietami. Podnieciło mnie to, chociaż trudno nazwać ten stan podnieceniem. Czuję się wtedy tak, jakbym wpadł do czarnej dziury. Pragnąłem cię. Jakaś część mojego umysłu pragnęła cię takiej, jaka naprawdę jesteś, inna natomiast wyobrażała sobie ciebie w pończochach i kajdankach, zwłaszcza w kajdankach... Tylko wtedy byłaś jak wszystkie inne kobiety i mogłem zmusić cię, żebyś robiła to, co chcę... Nie potrafię tego wytłumaczyć... Czasami coś każe mi się dowiedzieć, co jest we mnie najgorsze... Niekiedy panuję nad tym, kiedy indziej nie. Tego dnia nie umiałem sobie z tym poradzić. Gdybyś wtedy weszła, zmusiłbym cię, żebyś założyła te rzeczy i wszystko mogłoby się zdarzyć. Może zabiłbym cię, a może siebie, nie wiem. Ale ty nie wróciłaś, tylko twój kot siedział na podłodze i nie spuszczał ze mnie wzroku. Miałem w rękach pończochę, więc go zabiłem. Potem odłożyłem wszystko na miejsce, pozbyłem się bólu i rozpacz, i wyszedłem...

Z gardła Gini wyrwał się cichy okrzyk. Wstała, zachwiała się, lecz Hawthorne ujął ją za ramię i odwrócił twarzą do siebie. Spojrzała na niego przez łzy i nagle wydało jej się, że widzi światło, błędzące po jego czole.

- Właśnie tym jestem - powiedział cicho. - Domyśliłaś się tego wcześniej, pytałaś mojego ojca... Słyszałem twoje ostatnie pytanie... Kto był z moją żoną w czasie tych comiesięcznych spotkań? Kto obserwował ją, gdy oddawała się obcym mężczyznom? Ja. Dlatego, że lubiła patrzeć, jak ją obserwuję i dlatego, że upadłem aż tak nisko. Chciałem wiedzieć, czy na samym dnie znajdę miejsce, z którego nie da się już wrócić, miejsce dla potępionych...

Puścił ramię Gini i cofnął się. Przez jego twarz znowu przemknął jakiś świetlisty punkt.

- Teraz wiesz już wszystko - rzekł martwym głosem. - Znasz mnie lepiej niż ktokolwiek inny, oczywiście z wyjątkiem Boga... - Uśmiechnął się. - Jeżeli jest Bóg, to na pewno naprawdę wszystko widzi. I nie wolno mi się łudzić, że przebacza.

Zapadła cisza. Gini stała nieruchomo. Za plecami Hawthorne'a, w pewnej odległości, widziała jego dwa cienie, dwóch ochroniarzy.

- Dlaczego pozwoliłeś, żeby stało się z tobą coś takiego? - zapytała cicho. - Mogłeś być kimś zupełnie innym, tyle otrzymałeś... Kto cię takim uczynił? Ojciec? Lise? Dlaczego się nie broniłeś, dlaczego nie walczyłeś?

Zamilkła. Teraz całkiem wyraźnie widziała jasną kropkę, przesuwającą się po twarzy Hawthorne'a.

- Żadne z nich nie ponosi winy - odparł. - Sam się takim uczyniłem. W Wietnamie dowiedziałem się, jaki jestem. Posłuchaj mnie...

Ale Gini nie potrafiła skoncentrować się na jego słowach, ponieważ jej uwagę przykuł punkcik, przemykający po jego twarzy. Przypominało to puszczenie zajaczków lusterkiem, tyle że to światełko nie było jasne, lecz czerwone. Małe czerwone kółeczko...

Hawthorne wydawał się być nieświadomy jego obecności. Kiedy zrobił krok do przodu, czerwony punkt zniknął, lecz zaraz znowu się pojawił. Dotknął jego włosów. Hawthorne nadal mówił. Mówił coś o ojcu Gini i o wiosce My Nuc, i o tym, że jej

ojciec nie był świadkiem tamtych wydarzeń, chociaż na pewno się domyślił, co się stało.

- Co to? - odezwała się Gini. - Co się dzieje?

Ktoś za nimi poruszył się nagle. Hawthorne się obejrzał. Czerwony punkt spoczął na środku jego czoła.

- Zabiłem tę dziewczynę - wyznał z westchnieniem. - Była szpiegiem komunistów. Siedemnastu moich ludzi zginęło. Przesłuchaliśmy ją w chacie. Panował upał. Nie było tak, jak mówi McMullen. Byliśmy na wojnie. Jedna kobieta i piętnastu żołnierzy, którzy dopiero co patrzyli, jak konają ich przyjaciele... Miałem dwadzieścia trzy lata. Tak, wszystko poszło nie tak, sytuacja wymknęła się spod kontroli. Zgwałcili ją, a kiedy było już po wszystkim, ja ją zabiłem. Chciała umrzeć, umarła, trzymając mnie za rękę. Zabiłem ją strzałem w tył głowy...

- Zaczekaj! - krzyknęła Gini. - Przestań! Coś jest nie w porządku, twoja twarz...

Patrzyła, jak czerwony punkt przemieszcza się o milimetr, może dwa. Na twarzy Hawthorne'a odmalowało się zdziwienie. Zmarszczył brwi, spojrzał na nią z zaniepokojeniem.

- Co ci jest? - zapytał. - Chcesz wrócić do domu?

Wyciągnął do niej rękę i zaraz ją cofnął.

Czerwony punkt zadrżał, znieruchomiał. Hawthorne mocniej ściągnął brwi. Czas biegł coraz wolniej i wolniej. Głośny krzyk dobiegł do ich uszu dopiero po paru sekundach, a może minutach. Malone i Romero poderwali się do biegu, lecz Gini miała wrażenie, że wszystko to dzieje się bardzo powoli i w zupełnie innym świecie. Między brwiami Hawthorne'a widniał czerwony punkt, podobny do kastowego znaku. Patrzyła na to znamię, a cisza trwała i trwała. W oczach Hawthorne'a zabłysło zrozumienie, pełna świadomość tego, co się dzieje, może nawet ulga. Jego wargi poruszyły się. Gini poczuła, jak stara się ją odepchnąć, a potem jego twarz eksplodowała.

Powietrze wypełniła czerwona mgła. Czerwone krople splamiły twarz Gini, jej włosy i ubranie. Cała pokryta była tą potworną, czerwoną cieczą. Czas się zatrzymał. Czerwień, która na nią opadła, była ciepła i pachniała żelazem. Spojrzała na swoje dłonie i zobaczyła, że są czerwonokremowe. Szarpnęła się do tyłu. Hawthorne

zachwiał się, zatoczył, w mokrym powietrzu rozszalał się ruch. Dopiero wtedy Gini usłyszała trzask wystrzału i świst pocisku, który już trafił w cel.

- Padnij, padnij, na ziemię...

Malone runął na nią całym ciężarem i przewrócił ją. Leżała teraz na wilgotnej trawie, wpatrując się w białe niebo.

Po chwili doszła do wniosku, że może bezpiecznie odwrócić głowę. Ujrzała Hawthorne'a, który leżał mniej więcej metr dalej. Malone klęczał nad nim, Frank Romero chyba usiłował osłonić go własnym ciałem, równocześnie łamiącym się głosem krzycząc do mikrofonu w mankiecie.

- Trafiony! - wołał. - Trafiony! Skorpion dostał!

Gini chciała powiedzieć mu, że Hawthorne nie żyje, ale język i wargi odmówiły jej posłuszeństwa.

Nie była pewna, czy Romero zdaje sobie sprawę, co się stało. Nawet zawodowcy, nawet zabójcy i byli żołnierze mogą doznać szoku. Na oczach Gini szlochający Romero zaczął zbierać z trawy rozpryskany mózg i właczać go z powrotem do czaszki.

Zamknęła oczy. Zaraz potem zwymiotowała. Podczołgała się bliżej krzewów, bliżej ogrodu, w którym Hawthorne chciał wyhodować labirynt.

- Padnij! - krzyknął Malone. - Zostaw go! Padnij, na miłość boską!

Gini z jękiem zakryła uszy dłońmi. Długą, potężną ciszę przerwał trzask drugiego wystrzału.

Drzwi wreszcie ustąpiły. Pascal usłyszał pierwszy wystrzał w chwili, gdy znalazł się u stóp schodów. Biegł na górę, pokonując po dwa, trzy stopnie na raz. Drugi wystrzał huknął niecałą minutę później, kiedy Pascal dotarł już na szczyt spiralnych schodów. Krzyknął głośno. Strach ścisnął mu serce żelaznymi palcami. Hawthorne, pomyślał, i kto jeszcze... Nad nim trwała cisza. Nie wiedział, czy McMullen przeładowuje broń, czy nie musi tego robić, i ile osób chce zabić.

Wbiegł na platformę, na której czekał McMullen z bronią wymierzoną w jego serce.

- Och, to ty - powiedział spokojnie. - Nie ruszaj się. Nie mam powodu, żeby do ciebie strzelać, ale jeżeli się ruszysz, zrobię to.



Pascal znieruchomiał. McMullen trzymał w ręku bardzo niebezpieczną broń, karabin PSG1 Heckler&Koch z laserowym celownikiem.

- Kto? - wykrztusił. - Dlaczego strzelałeś dwa razy? Kogo zabiłeś?

McMullen spojrzał na niego najpierw ze zdziwieniem, potem z lekką irytacją.

- Hawthorne'a, oczywiście. I Franka Romero.

- Trafiłeś obu?

- Z odległości siedmiuset metrów i z tej wysokości? To chyba jasne. Hawthorne nie żyje, obaj nie żyją.

McMullen się obejrzał. On także usłyszał odgłos biegnących stóp na dziedzińcu przed minaretem.

- Nie martw się o swoją przyjaciółkę, nic jej się nie stało - dorzucił. - Była w ogrodzie, widziałem ją. Przed chwilą rozmawiała z Hawthorne'em...

- Co takiego? - Pascal zbladł. - Gini była z nim... Była z nim teraz?

- Tak - McMullen obrzucił go chłodnym spojrzeniem. - Chce pisać o wojnie, prawda? Teraz z bliska zobaczyła, co nowoczesna broń może zrobić z człowiekiem.

Pascal patrzył na niego bez słowa. McMullen był nieco blady, lecz absolutnie spokojny.

- Skąd o tym wiesz? - zapytał Pascal. - Nie mówiliśmy ci o tym... Skąd wiesz? McMullen wzruszył ramionami.

- Wiem więcej, niż przypuszczasz. Stań tam, dobrze? Nie, przesun się bardziej w prawo, pod ścianę...

Pascal spełnił polecenie. Zerknął w dół i zobaczył, jak dwóch mężczyzn w czarnych kurtkach przebiegło przez dziedziniec.

- Są uzbrojeni? - zapytał McMullen.

- Tak.

- W porządku... - Ruszył w kierunku schodów, po paru krokach przystanął. - Zrobiłeś te zdjęcia Hawthorne'a?

- Nie. To, co mam, do niczego się nie nadaje.

- Zjawił się w tamtym domu?

- Tak, tyle że nie z obcą blondynką, a ze swoją żoną. Z Lise.

McMullen zamarł.

- Jak to? Zmusił ją, żeby z nim pojechała?

- Nic nie wskazywało na przymus, wręcz odwrotnie - odparł Pascal. -

Inicjatywa od początku należała do Lise. Nie ulega wątpliwości, że była tam z własnej i nieprzymuszonej woli.

Zapadło milczenie. Palec McMullena spoczął na cynglu.

- Chcesz powiedzieć, że pojechała tam, żeby się z nim kochać? - zapytał. - To niemożliwe...

- Nie mogę zaprzeczać świadectwu własnych oczu - rzekł cicho Pascal.

Czekał. Nie był pewny, czy McMullen strzeli, czy nie. Cisza trwała tylko parę sekund, lecz Pascal miał wrażenie, że jest to cała wieczność. W oddali zawyły syreny.

McMullen zawahał się, zrobił krok do tyłu. Obaj słyszeli, że na dole coś się dzieje.

- Mylisz się - powiedział McMullen. - Bardzo się mylisz... To nie mogło być tak, jak mówisz...

- Mam zdjęcia.

- Zdjęcia? Zdjęcia to żaden dowód. Ojciec Hawthorne'a przysłał mi zdjęcia, na których jakoby była Lise. Nie dałem się nabrać. To był fotomontaż. Nigdy nie dawałem wiary fotografiom, wywiadom, dowodom... Wiedziałeś o tym?

- Teraz już wiem.

- Takie zdjęcia można sfałszować, prawda? - McMullen rzucił mu dziwne, prawie błagalne spojrzenie.

- Można - przyznał Pascal uczciwie. - Ja sam ufam tylko swoim zdjęciom...

Widział, że McMullen walczy z wątpliwościami i stara się zapanować nad emocjami. Z dołu dobiegały coraz głośniejsze dźwięki.

- Zamierzasz umrzeć za Lise? - zapytał Pascal cicho. - Jeżeli postoisz tu jeszcze trochę, zadając mi pytania, na pewno zginiesz...

- Tak sądzisz? - McMullen uśmiechnął się lekko. - Dlaczego miałbym chcieć umierać? Lise jest wolna. Hawthorne nie podpisze już dokumentów, skazujących ją na pobyt w zakładzie dla psychicznie chorych. Za dwie godziny zabiorę ją stamtąd w bezpieczne miejsce...

- Naprawdę? - Pascal stanął za kolumną i ostrożnie spojrzął w dół. - Na dziedzińcu jest pięciu ludzi, inni są już na schodach. Wątpię, czy uda ci się stąd wydostać, zwłaszcza z karabinem w ręku...

- Może i tak... - McMullen znowu się uśmiechnął. - Myślę jednak, że nie masz racji. Tak czy inaczej, karabin nie będzie mi już potrzebny. Łap...

Rzucił broń Pascalowi. Zrobił to tak szybko i niespodziewanie, że Pascal instynktownie wyciągnął rękę i złapał broń. Trwało to ułamek sekundy, lecz w tym czasie McMullen zdążył zniknąć.

Pascal słyszał, jak zbiega po schodach. Ostrożnie położył karabin na kamiennej podłodze, schylił się i wyszedł na schody. McMullen biegł, nawet nie usiłując zachować ostrożności. Na dole rozległ się warkot silnika samochodu.

Pascal wyprostował się, przywarł plecami do ściany i wyjrzał na dziedziniec.

Samochód stał przy drodze. Wszystkie drzwiczki były otwarte, za kierownicą siedział czarno ubrany mężczyzna, drugi właśnie wysiadał. Dwóch musiało czekać na McMullena u stóp schodów, ponieważ wszyscy trzej jednocześnie wyłonili się z cienia, szybkim krokiem zmierzając do ogrodzenia. Pascal bez trudu rozpoznał McMullena, najniższego z tych trzech, idącego z odkrytą głową. Wyglądało na to, że zna towarzyszących mu mężczyzn.

Pierwszy z nich pokonał odległość od drzwi minaretu do samochodu w ciągu piętnastu sekund.

- Teraz! - krzyknął, wsiadając do wozu.

McMullen biegł tuż za nim, trzeci mężczyzna dwa kroki dalej. Później Pascal doszedł do wniosku, że McMullen nie miał szans zorientować się, iż coś jest nie tak. Trzeci mężczyzna strzelił mu w plecy w chwili, gdy McMullen oparł dłonie na ogrodzeniu, aby przeskoczyć na drugą stronę. McMullen osunął się powoli, trzymając się metalowej sztachety. Wszyscy jego towarzysze wsiedli do samochodu, który ruszył z piskiem opon i zniknął za zakrętem. McMullen wyrzucił z ust strumień jasnoczerwonej krwi i runął na ziemię.

Pascal szybko wytarł karabin, usuwając swoje odciski palców. Wyjął aparat fotograficzny i przekręcił mniej więcej piętnaście klatek świeżego filmu. Potem bardzo szybko zbiegł po schodach. Wycie syren zbliżało się, narastało.

Zdawał sobie sprawę, że policja powinna przybyć mniej więcej półtorej minuty po strzelaninie. Miał trzydzieści sekund, lecz potrzebował najwyżej piętnaście. Drzwi na dole były otwarte, dziedziniec pusty. Wyszedł z wysoko podniesionymi rękami, trzymając nad głową aparat fotograficzny.

Pięć metrów od wejścia do minaretu przystanął, schylił się i położył aparat na ziemi. Syreny zawodziły coraz bliżej i głośniej. Kątem lewego oka dostrzegł niebieskie światła koło bramy do parku. Przeszedł przez dziedziniec i wydostał się na główną drogę. Przez głowę przemknęła mu myśl, że chyba jest bezpieczny, bo martwy francuski fotoreporter stanowiłby dodatkowe utrudnienie, zbędną komplikację starannie zaplanowanej historii, lecz mimo tego przez kilkanaście sekund czuł się bardzo niepewnie.

Obejrzał się. Nie widział stąd swojego aparatu, nie miał jednak cienia wątpliwości, że ktoś już go zabrał. Szybkim krokiem ruszył przed siebie, a gdy dotarł do miejsca znajdującego się naprzeciwko wjazdu na teren rezydencji ambasadora Stanów Zjednoczonych, przeskoczył ogrodzenie i przeszedł na drugą stronę drogi.

Przy bramie rezydencji znalazł się kilka sekund po tym, jak wewnątrz rozpętało się piekło. Ludzie biegali jak szaleni we wszystkich kierunkach, podjazdy zablokowały samochody. Przyjechały już pierwsze karetki i lekarze oraz sanitariusze pędzili w kierunku ogrodu na tyłach budynku. Wszędzie dookoła błyskały światła i brzęczały alarmy. Nagle z całego tego chaosu wyłonił się siwowłosy mężczyzna. Siedział na wózku inwalidzkim i jechał ścieżką w tę samą stronę, dokąd pobiegli lekarze. Przedarł się przez grupę ludzi, lecz nagle chyba się rozmyślił, zawrócił i zatrzymał fotel na skraju podjazdu.

Tkwiał tam nieruchomo, w dostojnym osamotnieniu, wśród biegających postaci, krzyków, syren i migoczących świateł. Zacisnął dłonie na oparciach fotela. Po chwili podbiegło do niego dwóch mężczyzn w czarnych wiatrówkach. Jeden pochylił się nad nim, drugi, szlochając, ukląkł obok.

Podjechała druga karetka, potem trzecia. Brama była szeroko otwarta. Pascal zamierzał wykorzystać tę sytuację i wejść na teren rezydencji, kiedy ktoś dotknął jego ramienia. Odwrócił się i ujrzał Gini oraz tego potężnego ochroniarza, Malone'a.

- Zabierz ją stąd - powiedział Malone. - Tylko szybko...

Pascal pośpiesznie zdjął kurtkę i otulił nią Gini. Twarz, ręce i ubranie miała splamione krwią i ledwo trzymała się na nogach. Objął ją i ostatni raz spojrzął za siebie.

Mężczyzna w fotelu na kółkach odchylił głowę do tyłu i uniósł ramiona ku niebu. Jego twarz zniekształcona była wściekłością i rozpaczą. S.S. Hawthorne zacisnął pięść, wygrażając niebu. Potem zaczął bluźnić.

## *XL*

Nabożeństwo żałobne w intencji Johna Hawthorne'a zostało wyreżyserowane doskonale. Odprawiono je w rzymskokatolickiej katedrze w Westminsterze.

Mary i Gini postanowiły wziąć udział w nabożeństwie. Pascal ostatecznie zdecydował się im towarzyszyć, chociaż uważał, że uroczystość będzie kulminacją tygodni wypełnionych kłamstwami i dezinformacją.

- Rozumiem, że Mary musi tam być - powiedział ze złością do Gini w wieczór przed nabożeństwem. - Ale my nie... Pogrzebali go jak bohatera, a teraz będą modlić się za niego jak za wielkiego męża stanu. I ty, i ja wiemy, kim i czym naprawdę był, więc dlaczego mielibyśmy uczestniczyć w tej szopce?

- Dlatego, że ja widzę to inaczej - odparła Gini z tym samym spokojnym uporem, który demonstrowała zawsze, gdy Pascal zaczynał mówić o Hawthornie. - Ty także patrzyłbyś na to z innej perspektywy, gdybyś był obecny przy jego śmierci.

Dosłyszał nutę wyrzutu w jej głosie i ugryzł się w język. Nie chciał wytaczać znanych im obojgu argumentów, ponieważ widział, że sprawia jej tym ból.

Teraz siedzieli w lewej części głównej nawy olbrzymiej katedry i słuchali granej na organach toccaty Bacha.

Pascal powiódł wzrokiem po ławkach i ocenił, że w nabożeństwie, które miało rozpocząć się za dziesięć minut, uczestniczyć będzie około ośmiuset osób. Liczne grupy ludzi wciąż wchodziły do katedry i zajmowały miejsca. W ławkach najbliższej ołtarza Pascal zauważył mnóstwo sławnych osób, wśród nich wielu brytyjskich polityków i dyplomatów, włącznie z premierem i większością urzędujących ministrów. Zgromadzili się tu także wysocy rangą wojskowi, właściciele gazet z

przyjacielem Hawthorne'a, Henrym Melrose na czele, redaktorzy naczelni wielu dzienników i czasopism, dziennikarze telewizyjni i radiowi, pisarze, producenci filmowi oraz inni sławni przyjaciele rodziny.

Pascal spojrział na Gini i Mary. Obie ubrały się na czarno. Twarz Gini była blada i spięta, Mary miała łzy w oczach. Przeniósł wzrok na listę czytań i utworów, zawierającą kilka fragmentów z Pisma Świętego i dzieł Szekspira, a także *Sanctus* z *Requiem* Mozarta. Zacisnął wargi. Nie ma sznurka, za który nie pociągnęli, pomyślał.

Pierwsze ławki po prawej stronie nawy były jeszcze puste, lecz wkrótce miała w nich zasiąść rodzina zmarłego. Pascal wrócił myślami do pogrzebu Hawthorne'a na cmentarzu w Arlington, którego transmisję oglądał w CNN. Tam dominującą rolę odegrał ojciec Hawthorne'a, czuwający przy grobie w fotelu na kółkach, oraz wiotka, spowita w czerń Lise, która stanęła u boku teścia, opierając dłonie na ramionach swoich jasnowłosych synów. Obok nich skupili się inni - młodszy brat Johna, Prescott i jego siostry ze swoimi dziećmi. Pascal zastanawiał się, ilu członków rodziny weźmie udział w żałobnym nabożeństwie w Londynie.

Odprawiający nabożeństwo arcybiskup ruszył od drzwi w stronę ołtarza, a za nim w procesji inni księża, ministrant niosący złoty krucyfiks i rodzina - Prescott, wspierający bladą Lise, synowie Johna, jego siostry i wreszcie, na końcu, z cichym szumem akumulatora, fotel wiozący S.S. Hawthorne'a oraz jego dwaj ochroniarze.

Na ten dźwięk Gini odwróciła oczy i utkwiała wzrok w ciemnej przestrzeni nad ołtarzem. Organowa muzyka wezbrała, wypełniając katedrę potężnym grzmotem. Kilka minut później rozpoczęły się modlitwy i psalmy.

Pascal widział, że Gini i Mary czują się trochę zagubione. Nie bardzo wiedziały, kiedy należy uklęknąć, a kiedy usiąść czy wstać. On sam ostatni raz był na mszy wiele lat temu, jeszcze w Prowansji, lecz szybko odkrył, iż blisko dwudziestoletnia przerwa niczego w nim nie zmieniła. Te rytuały i odpowiedzi miał we krwi od najwcześniejszego dzieciństwa i teraz, ku swemu wielkiemu zdumieniu odkrył, że nadal mają nad nim władzę.

Był głęboko wzruszony. Uświadomił sobie nagle, że w oczach swego Kościoła przeżył wiele lat w stanie grzechu. Kościół jego dzieciństwa nie uznawał małżeństw

cywilnych, a takie zawarł przecież z Helen, rozwodów czy chrztu w obrządku anglikańskim, którego życzyła sobie Helen dla Marianne.

Jego wewnętrzny niepokój rósł z każdą chwilą. Czy rzeczywiście miał prawo sądzić i potępiać Johna Hawthorne'a? Przed wejściem do katedry był głęboko przekonany, że posiada takie prawo, lecz teraz stracił tę pewność. Nagle poczuł, że musi wyjść, że nie wytrzyma tu ani chwili dłużej.

Gini rzuciła mu roztargnione spojrzenie, zapłakana Mary w ogóle nie zwróciła na niego uwagi. Wyszedł na zewnątrz i stanął na schodach. Był pogodny, zimny marcowy dzień, bardzo podobny do dnia, w którym zginął Hawthorne. Pascal zamyślił się, goniąc wzrokiem kłębiaste białe obłoki.

Kiedy po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że nikt z nich nie zna tej historii w całości - ani Gini, ani on, ani John Hawthorne czy jego ojciec, ani James McMullen i Lise? Zrozumiał to chyba w chwili, gdy zorientował się, że stojący na platformie minaretu McMullen oczekiwał pojawienia się czarno odzianych mężczyzn na dziedzińcu. Reszty się domyślił, patrząc, jak McMullen ucieka z ludźmi, których uważał za przyjaciół. Kiedy strzelili mu w plecy, nie miałem już żadnych wątpliwości, pomyślał teraz.

Wcześniej dwa czy trzy razy widział, jak w innych częściach świata przeprowadzano tego rodzaju tajne operacje. Dlaczego wcześniej nie odgadł, że McMullen nie jest samotnym zabójcą, lecz człowiekiem, którego wykorzystano w określonym celu i którego pozbyto się, gdy przestał być użyteczny?

Kto wykorzystał McMullena i kto zdecydował, że John Hawthorne musi umrzeć? CIA, brytyjskie służby specjalne czy ktoś inny? Rozumiał, że proizraelski Hawthorne narobił sobie wielu wrogów na Bliskim Wschodzie. Zdawał też sobie sprawę, że w Ameryce wciąż istnieją siły, których przedstawiciele mogli uznać, że najlepiej będzie, jeżeli wraz z Hawthorne'em umrze niebezpieczna prawda o pewnym incydencie w Wietnamie.

Pascal, zawsze niechętnie nastawiony do teorii spiskowych, nie chciał wskazywać winnych. Tak czy inaczej, ci, którzy wyreżyserowali sprawę Hawthorne'a, byli wyjątkowo kompetentni. Wszystkie dowody, które Gini i Pascal zgromadzili w domu w St John's Wood, w Hampstead i w Islington zniknęły bez śladu.



- To wszystko po prostu się nie zdarzyło - powiedział do Gini kilka dni po śmierci Hawthorne'a. - Oto, jaki efekt udało im się osiągnąć, rozumiesz, kochanie? Przerobili ostatnie dwa tygodnie naszego życia na fikcję lub zły sen...

Podejrzewał, że w sprawę usunięcia Hawthorne'a zaangażowani byli i Amerykanie, i Brytyjczycy, a osoba, która wydała rozkaz likwidacji, musiała być bardzo wysoko postawiona.

Dwadzieścia cztery godziny po wydarzeniach na terenie rezydencji ambasadora Stanów Zjednoczonych Gini i Pascal zostali wezwani na spotkanie, które odbyło się w anonimowym domu w Whitehall.

W spotkaniu uczestniczył Anglik, którego nazwiska nikt nie wymieniał, Amerykanin, który mówił niewiele, natomiast słuchał jak prawdziwy zawodowiec, oraz Malone, „ochroniarz” z Waszyngtonu.

Anglik ubrany był w tweedowy garnitur i wyglądał, jakby przed chwilą wrócił z wiejskiej posiadłości gdzieś na prowincji. Zadawał wiele pytań, lecz Pascal był zdania, że świetnie zna większość odpowiedzi. Miał chłodny sposób bycia i bardzo inteligentne, czujne oczy. Kiedy skończył, do akcji wkroczył milczący Amerykanin. Pascal zauważył, że skupił całą uwagę na Gini, odnosząc się do niej ciepło i ze współczuciem.

Przesłuchanie trwało ponad dwie godziny. Pascal zastosował taktykę, o której skuteczności przekonał się już kilka razy w trakcie swojej kariery - zaprzeczał wszystkiemu. Nigdzie nie był, nic nie widział, z nikim nie rozmawiał. Anglik i Amerykanie nie byli tym zachwyceni.

- Może przestałby pan wreszcie udawać? - proponował Anglik. - Jeżeli nie ma pan nic do opowiedzenia, nie pracował pan nad żadnym tematem i nie zamierza publikować nieistniejącej historii, to dlaczego wczoraj telefonował pan do redakcji dwóch amerykańskich czasopism, a dziś rano do „Paris Jour”?

- Rutyna - odparł Pascal. - Często pracuję dla tych gazet.

- Proszę posłuchać... - odezwała się nagle Gini.

Pascal drgnął, zaskoczony. Do tej pory Gini mówiła bardzo niewiele, a jej odpowiedzi, chociaż dość uprzejme, były lakoniczne.

- Proszę posłuchać - powtórzyła cicho, zdecydowanym tonem. - Może wszyscy przestaniemy udawać? Pascal i ja doskonale wiemy, dlaczego tu jesteśmy. Pascal nie ma filmu ani zdjęć, ja nie mam notatek i kaset. Niepotrzebnie zorganizowaliście tę akcję dokładnego sprzątnięcia. Niewiele dowiedziałam się o Johnie Hawthornie, a tego, co odkryłam, nie zamierzam publikować. Nie napiszę żadnego artykułu na jego temat. Wychodzę stąd.

Małomówny Amerykanin i Anglik w tweedach wymienili szybkie spojrzenie. Amerykanin skinął głową. Malone wstał i podszedł do drzwi. W progu Gini zatrzymała się i zmierzyła Malone'a uważnym wzrokiem.

- Wiedział pan? - zapytała.

Pascal uznał, że Malone ma uczciwe oczy, oczywiście, jeśli w tym zawodzie to w ogóle możliwe.

- Nie, proszę pani - odparł bez wahania. - Daję słowo honoru, że nic nie wiedziałem.

- Mam nadzieję, że naprawdę tak było - powiedziała Gini. - Bo wszyscy inni go zdradzili...

Pascal nie zdołał odwieść jej od tego punktu widzenia. Uważała, że John Hawthorne, chociaż winny, padł ofiarą zdrady i wciąż powtarzała, że nigdy nie napisze o tej sprawie.

- Nie - mówiła, gdy wracał do tematu. - Nie. Po pierwsze, niczego nie mogę udowodnić, po drugie, wolę autoryzowaną wersję. Niech sobie tworzą własne mity. Nie chcę, aby synowie Hawthorne'a cierpieli. Niech dorastają, wierząc w ojca. Nie chcę nikogo krzywdzić. John Hawthorne nie żyje.

- A jego ojciec?

- Jego ojciec jest umierającym, załamany człowiekiem.

- Ale co z Lise? Przecież ona odpowiada za śmierć Hawthorne'a w tym samym stopniu co McMullen i na dodatek jest psychicznie chora. Teraz jest też jedyną opiekunką swoich synów...

- Wiem o tym... - Zawahała się. - Nie zmienia to faktu, że niczego nie mogę dowiedzieć, podobnie jak ty, a jeśli chodzi o Lise, to... Myślę, że prędzej czy później poniesie karę.

- Przedawkuje jakiś lek?

- Może, lecz najprawdopodobniej nie będzie potrzebowała pomocy z zewnątrz.

Sama się załamie.

Czasami Pascal podejrzewał, że Gini nie mówi mu wszystkiego, ale nawet tego nie mógł być pewny.

Tygodnie mijały powoli. Śmierć Johna Hawthorne'a utrzymała się na pierwszych stronach gazet przez cztery dni. Potem świat skupił uwagę na nowych zamachach bombowych, do których przyznała się IRA, i na nowych okrucieństwach w byłej Jugosławii. James McMullen został przedstawiony jako samotny zabójca, człowiek niezrównoważony, który po odejściu z wojska stał się odludkiem i dziwakiem. Pojawiły się częściowo potwierdzone pogłoski, że podczas służby w Omanie nawiązał przyjazne kontakty z działaczami nacjonalistycznych ruchów arabskich.

Reputacja Johna Hawthorne'a, niezwykle obiecującego polityka oraz przykładowego ojca i męża, nie ucierpiała. Kilka pochwalnych artykułów opublikowała gazeta Gini. Pascal uważał, że nie ma w tym nic dziwnego - Nicholas Jenkins otrzymał niedawno awans i został wydawcą całej grupy brytyjskich gazet lorda Melrose; przyznano mu także miejsce w zarządzie.

Pascal niecierpliwie przechadzał się po stopniach katedry, zza której odrzwi słyhać było śpiew chóru. Nabożeństwo dobiegało końca.

Oparł się o mur i zasłuchał. Muzyka koła gniew, jaki ogarniał go na myśl o swojej pracy i drogach tego świata. Może Gini jednak ma rację, pomyślał. Może ja także kieruję się zazdrością i motywami osobistymi... Może faktycznie lepiej będzie zostawić Hawthorne'a w spokoju i zapomnieć o tej historii.

W głównej nawie katedry Mary otwarcie ocierała łzy. Gini patrzyła prosto przed siebie. Miała wrażenie, że muzyka w jakiś sposób przybliża jej postać Johna Hawthorne'a oraz paradoks jego życia - kruchość i dobroć natury ludzkiej.

Nie pochwałała czynów Hawthorne'a, ale nie mogła potępić człowieka. Zamknęła oczy. Wiedziała, że decydując się zachować milczenie, dokonała właściwego wyboru i wierzyła, że z czasem Pascal zrozumie jej punkt widzenia. W ciągu minionych tygodni opowiedziała mu wszystko, co przydarzyło jej się podczas tamtego weekendu, a on opowiedział jej o swoich przeżyciach. Ominęła tylko jeden

szczegół - nie zdradziła mu, że S.S. Hawthorne groził nie tylko jej i jemu, ale także Marianne. Uznała, że lepiej będzie osłonić Pascala przed okropnym lękiem, zwłaszcza że teraz ojciec Johna nie stanowił już żadnego zagrożenia. On także został ukarany, pomyślała. Nie zostało mu dużo czasu.

Chór śpiewał teraz *Sanctus*. Gini nie mogła oprzeć się wrażeniu, że i ona, i Pascal wynieśli pewne korzyści ze sprawy Hawthorne'a. Pascal znalazł wreszcie w sobie dość siły, aby rzucić pracę, którą wykonywał przez ostatnie trzy lata, i Gini wiedziała, że z czasem wróci do tego rodzaju fotoreportaży, jakie przyniosły mu zasłużoną sławę - do zdjęć wojennych.

Ona też się czegoś nauczyła. Ostatnie tygodnie przyczyniły się do tego, że wreszcie uniezależniła się i uwolniła od wpływu ojca. Przykład Johna Hawthorne'a i jego ojca pokazał jej, że źle wyważone związki, nawet z najbliższymi, mogą być niszczące. Wreszcie przekroczyła próg dorosłości. Czuła, że jeżeli nawet kiedyś zapragnie znowu zobaczyć się z ojcem, spojrzy na Sama Huntera bez złudzeń. Skończyło się, pomyślała. Jestem wolna.

Gdy przebrzmiało potężne *Sanctus*, nabożeństwo dobiegło końca i jego uczestnicy ruszyli do wyjścia. Jako pierwsi szli najbliżsi zmarłego. Patrząc na S.S. Hawthorne'a, Gini zauważyła, że w ciągu ośmiu tygodni, które upłynęły od pamiętnych wydarzeń, bardzo się postarzał. Siedział w fotelu zgarbiony, ręce mu drżały i wyglądał jak zagubiony, przerażony starzec.

Wsparta na ramieniu Prescottta Lise sprawiała wrażenie, jakby nie do końca zdawała sobie sprawę, gdzie się znajduje. Szła sztywno, patrząc prosto przed siebie, jak osoba w transie.

Jej synowie szli osobno, z jedną z ciotek, i Gini podejrzewała, że wcześniej czy później ich rozstanie z matką zostanie prawnie usankcjonowane. Za Lise kroczyła reszta rodziny. Gini zwróciła uwagę, że klan Hawthorne'ów otoczył synów Johna opiekuńczym kręgiem, w którym zabrakło miejsca dla ojca i żony zmarłego. Spojrzała na blade twarze chłopców. Starszy z nich wydał jej się łudząco podobny do ojca. Odwróciła wzrok, pozwalając, aby muzyka przyniosła jej spokój. Mozart... Pomyślała o Johnie, który lubił słuchać Mozarta w samochodzie i mówił, że ta muzyka daje mu nadzieję.

Odwróciła się i objęła zapłakaną Mary.

- Pascal czeka na nas przed katedrą, kochanie - powiedziała. - Odwieziemy cię do domu.

- Naprawdę wierzę, że winę za to wszystko ponosi ojciec Johna - rzekła Mary. - Pamiętasz tę historię, którą ci kiedyś opowiedziałam? Jak John uderzył ojca, chociaż był jeszcze dzieckiem?

Gini w milczeniu kiwnęła głową. Tę historię można było zinterpretować na kilka sposobów, nie zamierzała jednak ranić Mary, wyjawiając jej swoje teorie. Mary westchnęła.

- Nie znosiłam jego ojca - ciągnęła. - Cóż, może nie powinnam go osądzać... Na pewno przyczynił się do cierpienia Johna, ale sam też teraz cierpi...

Pogłaskała Doga i poczęstowała go czekoladowym herbatnikiem. Pascal i Gini spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Mary знаła tylko część wydarzeń sprzed kilku tygodni.

- Wiem jedno, straciłam przyjaciela - podjęła Mary. - Niektórzy mówią teraz, że był zimny, arogancki i manipulował ludźmi, ale ja znałam innego Johna, dobrego, czulego i opiekuńczego... - Westchnęła. - Nie mogę słuchać, jak wszyscy ci małostkowi dranie dyskutują o jego charakterze, a jeśli chodzi o tego McMullena, to wcale nie żałuję, że dostał kulkę. Ten człowiek z pewnością nie był normalny, za to podłości mu nie brakowało! John był idealistą, oceniał samego siebie surowiej niż inni, cierpiał z powodu każdej swojej porażki. Jak McMullen mógł szerzyć takie okropne plotki o małżeństwie Johna i o jego służbie w Wietnamie? - Mary pokręciła głową. - To takie niesprawiedliwe... Ameryka ma prezydenta, który jest otwarcie krytykowany za to, że nie walczył w Wietnamie, a kiedy trafia się polityk taki jak John, który walczył i został odznaczony za odwagę, okazuje się nagle, że to także nikomu się nie podoba... Zjawia się jakiś tam McMullen i zaczyna podawać wszystko w wątpliwość... Nie wolno tak postępować. W czasie wojny żaden żołnierz nie jest całkowicie niewinny. Czy nie mam racji, Pascal?

- Zapewne - odrzekł ostrożnie Pascal. - Człowiekowi, który nie brał udziału w tamtej wojnie bardzo trudno jest oceniać czyny jej uczestników, zwłaszcza dwadzieścia pięć lat po jej zakończeniu...

- Właśnie... - przyznała Mary ze smutkiem.

Chwilę milczała, wyraźnie przygnębiona, w końcu otrząsnęła się trochę i spojrzała na zegarek.

- Nie ma sensu wciąż wracać do przeszłości - zauważyła ze słabym uśmiechem.

- Nie chcę, żebyście przeze mnie spóźnili się na samolot... Zamówicie sobie taksówkę?

- Nie, dziękujemy. - Pascal podniósł się z krzesła. - Złapiemy taksówkę na ulicy, tak będzie szybciej... - Zawahał się i spojrzał na Gini, która lekko skinęła głową.  
- Może nawet wyjdę teraz i spróbuję jakąś zatrzymać...

Kiedy wyszedł z pokoju, Mary i Gini w milczeniu popatrzyły na siebie. Potem wstały i Mary mocno objęła Gini.

- Och, nie patrz tak na mnie - powiedziała. - Lubię go, naprawdę, a z czasem polubię jeszcze bardziej... Po prostu w tej chwili... Cóż, jakoś nie mogę wybaczyć mu całej tej historii z Johnem. Czuję, że gdyby nie on...

- Mylisz się, kochanie - Gini zajrzała w miłą twarz macochy. - Zachowałabym się tak samo, niezależnie od tego, z kim bym pracowała. Nie ma to nic wspólnego z Pascalem... Pod pewnym względem masz słuszość. On ma na mnie wpływ i oby dalej tak było... Kiedy lepiej go poznasz, na pewno zrozumiesz... Jest dobrym człowiekiem, to prawdziwa rzadkość...

Mary się uśmiechnęła.

- No, no, powiedziane od serca... Dobrze, nie będę go osądzać. Przekaż temu swojemu Pascalowi, że kiedy wrócicie, zapraszam was oboje na obiad. Niech tylko sobie nie myśli, że jestem miękka i że łatwo podbije moje serce...

- Na pewno nie napotka na wielkie trudności...

- Cóż, może rzeczywiście mam miękkie serce... I jestem sentymentalna, a on ma piękne oczy... - Mary roześmiała się i pociągnęła Gini do drzwi. - Nie powiesz mi, dokąd się wybieracie?

- Nie, to tajemnica. Opowiemy ci wszystko po powrocie.

- Na razie ani słówka? Trudno, trudno... - Mary otworzyła frontowe drzwi.

Pascal, który posiadał niezwykłą umiejętność znajdowania taksówek w największych miastach całego świata, nawet w godzinach szczytu i podczas ulewnego deszczu, wykazał się nią i tym razem. Taksówka czekała już u stóp schodów, a on

tłumaczył kierowcy, jak ominąć najgorsze korki w drodze na lotnisko Heathrow. Robił to ze sporą werwą. Mary spojrzała na tego wysokiego, ciemnowłosego młodego człowieka, który gestykulował jak prawdziwy Francuz i mówił bardzo szybko, po czym zerknęła na Gini i lekko popchnęła ją ku schodom.

- Rozumiem - oświadczyła. - Naprawdę rozumiem. Czy był taki już wtedy, gdy go poznałaś?

- Niecierpliwy, energiczny i porywczy? - Gini się uśmiechnęła. - Tak...

- W takim razie nie każ mu dłużej czekać. Zadzwoń do mnie zaraz po waszym powrocie i baw się dobrze... Bawcie się dobrze w tym tajemniczym miejscu, gdziekolwiek ono jest. Idź już, on czeka...

Gini szybko zbiegła po schodach. W taksówce Pascal wziął ją za rękę. Na jego twarzy malował się niepokój.

- W Prowansji czas przesunięty jest o godzinę do przodu - powiedział. - Chciałem, żebyśmy przyjechali za dnia, ale będzie już ciemno...

- Nic nie szkodzi. - Oparła głowę na jego ramieniu. - Zobaczę Prowansję o zmroku... Za to jutro wstaniemy bardzo wcześnie i...

- Może, ale niewykluczone, że nie będzie nam się chciało...

- Nieważne, któregoś dnia na pewno wstaniemy o świcie.

Nie była to długa podróż i nawet z przesiadką zajęła im trochę ponad dwie godziny. Kiedy znaleźli się w drugim samolocie, Pascal zaczął mówić dużo i bardzo szybko. Wyjaśnił, że jego była żona przeprowadza się do Anglii, więc niedługo Gini będzie mogła poznać Marianne, snuł mnóstwo planów co do tego, w której dzielnicy Londynu mogliby oboje zamieszkać i jak często będą wyjeżdżali do Francji. Miał także tysiąc planów dotyczących pracy, jej pracy oraz ich wspólnej pracy, a kiedy Gini wtrąciła, że ona także ma kilka pomysłów, spojrzał na nią z zachwytem i oświadczył, że naturalnie wezmą je pod uwagę i zajmą się ich realizacją.

- Nie wydaje ci się, że realizacja tych wszystkich planów może potrwać bardzo długo? - zapytała Gini. - W najlepszym wypadku całe lata...

- I co z tego? - Uśmiechnął się z zadowoleniem. - Wcale nie chcę, żebyśmy się nudzili... Zamierzam wciąż wymyślać nowe plany, ale i te wystarczą nam na długo.

- Niektóre są dość niebezpieczne.



- Nie szkodzi. Lubię niebezpieczeństwo, i ty także. - Wypił kieliszek szampana.  
- Codziennie od nowa odkrywam, kim jestem i to tobie powinienem za to dziękować.  
Chyba cię zaraz pocałuję... Tak, zaraz cię pocałuję i będę cię całował bardzo długo...

- W samolocie? Na oczach stewardes?

- Do diabła ze stewardesami. Do diabła z resztą pasażerów. Przechylił się trochę w tę stronę. Nie, jeszcze trochę, kochanie... Doskonale...

Zanim wylądowali, zdążyło jej się zakręcić w głowie. Trochę nieprzytomnie przyglądała się lotnisku, kobiecie w agencji wynajmu samochodów i ulicom miasta, którymi Pascal wioził ich szybko i pewnie. Patrzyła na węższe i bardziej strome drogi za miastem, ale cały świat wydawał się mieć nieco zamazane kontury, jakby przesłaniała go mgła. Gini była bardzo szczęśliwa. Wygodnie oparła głowę i obserwowała, jak światło nad wzgórzami przybiera najpierw srebrzysty, a potem lekko liliowy odcień. Długo czekała, aby tu przyjechać, a ponieważ знаła te miejsca na pamięć z opowieści Pascala, czuła się tak, jakby wracała do domu.

- Jeszcze tylko parę kilometrów - powiedział Pascal. - Wcześniej zamkniesz oczy i otworzysz je, dopiero gdy ci pozwolę... - Rzucił jej niespokojne spojrzenie. - Może będziesz rozczarowana...

- Nie będę rozczarowana.

Daleko przed nimi, w gęstniejącym zmroku, dostrzegła zarysy budynków, małego kościółka i farmy. Otworzyła okno i odetchnęła zapachem tego szczególnego miejsca. Pascal zwolnił. Usłyszała cichą muzykę, dobiegającą z oddali. Nad wzgórzami po lewej stronie przeleciała jasnoszara sowa.

- Teraz musisz zamknąć oczy - polecił, zatrzymując samochód.

Usłuchała go. Pascal obszedł wóz dookoła, otworzył drzwiczki i pomógł jej wysiąść. Potem poprowadził ją wybrukowaną drogą. Minione tygodnie odpłynęły w odległą przeszłość, zniknęły... Cieszyła się, że żyje, że jest z Pascalem, że przyjechała do jego domu.

- To tuż za rogiem. Zaraz będziesz mogła otworzyć oczy...

Przeszli jeszcze parę kroków. Głosy brzmiały teraz wyraźniej i towarzyszyły im inne dźwięki - muzyka, brzęk szklanek i kieliszków, kroki, śmiech dzieci. Powietrze przesiąknięte było zapachem smakowitych potraw, czerwonego wina i obietnicą

długich letnich wieczorów. Wreszcie Pascal pozwolił jej otworzyć oczy. Rozejrzała się dookoła i zobaczyła drzewa o pomalowanych wapnem pniach i nagich gałęziach, na których już pojawiły się pierwsze pąki, i dwie kawiarnie po dwóch stronach rynku, dokładnie naprzeciwko siebie. Zobaczyła domy, o których jej opowiadał i kościół, gdzie modlił się jako dziecko, księdza w sutannie, dwóch farmerów i matkę z małym dzieckiem. I jedyny hotel po drugiej stronie rynku, hotel, w którym mieli się zatrzymać, i zasłonięte żaluzjami okno na najwyższym piętrze, skąd roztaczał się wspaniały widok na okoliczne wzgórza... To w tamtym pokoju mieli zamieszkać...

Wszystko było bardzo zwyczajne i zupełnie niezwykle, takie, jak opisywał, i o wiele wspanialsze. Pascal spojrzał jej w oczy, a potem w usiane najjaśniejszymi gwiazdami niebo. Pocałował ją i zaprowadził do jednej z dwóch kawiarni, gdzie natychmiast go rozpoznano i gdzie razem z księdzem, który kiedyś udzielił mu Pierwszej Komunii, i z dwoma farmerami, dawnymi uczniami ojca Pascala, napili się wina. Wszyscy dobrodusznie żartowali sobie z nich, co oczywiście należało przyjąć za dobrą monetę.

Po pewnym czasie Pascal wstał i zaprowadził Gini do hotelu, którego właścicielka, kuzynka jego matki, z dumą dała im klucze do pokoju z najlepszym widokiem, na najwyższym piętrze. Następnego ranka wyjrzeli przez okno i zachwycili się wspaniałym widokiem, ale zgodnie z przewidywaniami Pascala, zrobili to długo po wschodzie słońca.

